R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

DANES PICTA .COM

Colour Chart #13

Inches
Centimetres

Blue	Cyan	Green	Yellow
Magenta	White	3/Color	Black

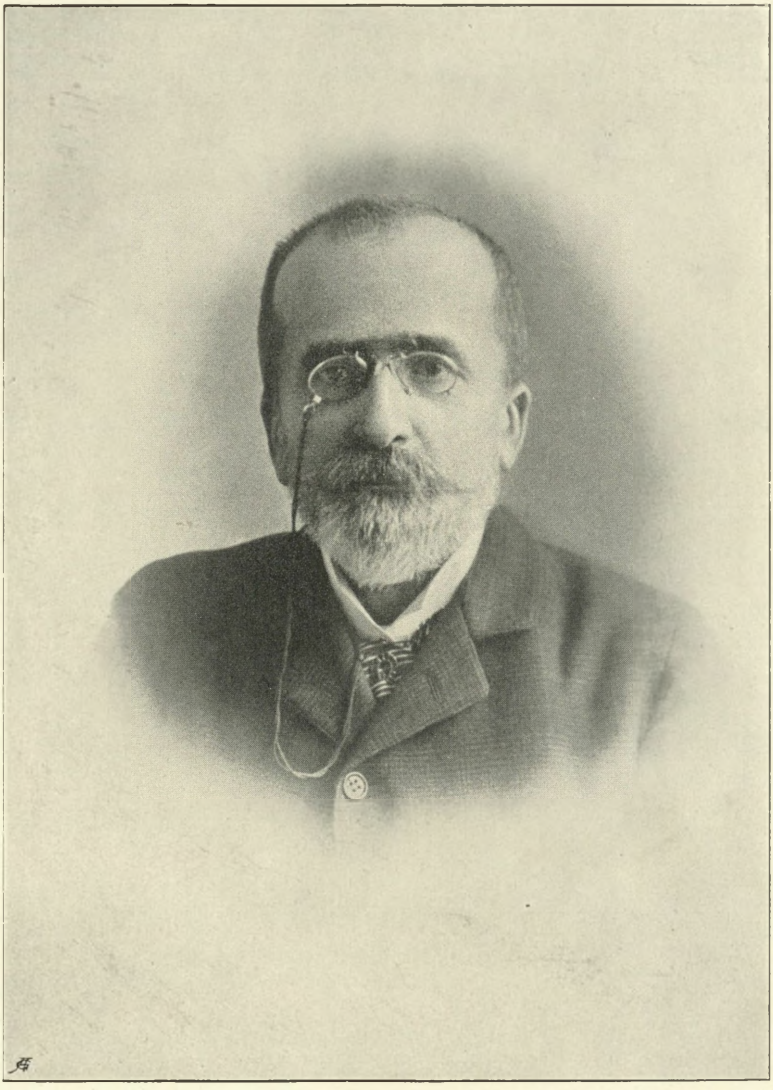
Edw. Burzal

SZKICE Z HISTORYI GALICYI

W XIX WIEKU

221/II-9131

12-



BRONISŁAW ŁOZIŃSKI
(1848—1911).

BRONISŁAW ŁOZIŃSKI

SZKICE Z HISTORYI GALICYI

W XIX WIEKU

Z PRZEDMOWĄ I POD KIERUNKIEM

PROF. DR. WACŁAWA TOKARZA

WYDAŁ

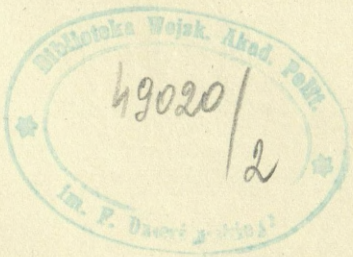
DR. WALERY ŁOZIŃSKI

Z PODOBIZNĄ AUTORA
I SIEDMIOMA CZĘŚCIĄ BARWNEMI RYCINAMI



oddz. 1/2

LWÓW 1913.
NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SYNA.



KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

SPIS TREŚCI.

Str.

Wstęp. Napisał Prof. dr. Wacław Tokarz VII

Bibliografia pism ś. p. Bronisława Łozińskiego. Zestawił dr. Walery Łoziński XVIII

I. Z historyi Stanów galicyjskich (I) 1

II. Z historyi Stanów galicyjskich (II) 16

III. Epilog Stanów galicyjskich (I, Ostatnie sesye Sejmu stanowego) . 29

IV. Epilog Stanów galicyjskich (II, Abdykacya Stanów) 64

V. Proces kryminalny Karola Szajnochy 99

VI. Z czasów i aktów dominikalnych (Przyczynek do historyi administracyi w Galicyi) 119

VII. Z teki Maurycego Kraińskiego 155

VIII. Galicya w roku 1846 (I, W przededniu katastrofy) 190

IX. Galicya w roku 1846 (II, Dwa upiory historyczne: Generał Benedek i Starosta Breinl) 213

Dodatek do rozdz. IX. 261

X. Głos niemiecki z roku i o roku 1846 267

XI. Głos Niemca-biurokraty z roku i o roku 1846 300

XII. Galicya w roku 1846 (III, Winowajcy) 333

XIII. Galicya w roku 1846 (IV, Epilog kryminalny) 375

XIV. Sprawa kryminalna Aleksandra hr. Fredry o zdradę stanu 398

Spis osób 432

SPIS RYCIN.

1. Bronisław Łoziński . . . . . przy tytule.
2. Mundur galowy Stanów galicyjskich (podług wzoru z r. 1817 w archiwum Wydziału Krajowego we Lwowie) . . . . . do str. 31
3. Karol Szajnocha (podług akwareli Jul. Kossaka z r. 1849 w posiadaniu prof. Władysława Szajnochy) . . . . . do str. 99
4. Więzienie Karmelickie we Lwowie . . . . . do str. 115
5. Maurycy Kraiński . . . . . do str. 155
6. Medal Władysława Oleszczyńskiego na pamiątkę rzezi r. 1846 do str. 228
7. Pismo starosty lwowskiego Milbachera z wezwaniem do rzezi . do str. 335
8. Aleksander hr. Fredro (podług litografii Pillera z r. 1858) . . do str. 398

WSTĘP.

Nauka historyczna straciła przez śmierć ś. p. Bronisława Łozińskiego pracownika niezmiernie swoistego, jednego z tych ludzi, którzy mogli dać wyraz swym zamiłowaniom do niej, żywionym od wczesnej młodości, dopiero pod koniec życia, spędzonego na posłudze obywatelskiej, którzy jednak — dzięki temu właśnie — wnieśli do niej niezwykły zasób doświadczenia politycznego. Straciła — następnie — człowieka, który oddawał jej usługi nie tylko bezpośrednio, przez swe dzieła, ale i pośrednio: przez pedagogiczną prawie działalność w charakterze stałego sprawozdawcy *Kwartalnika,* dozorującego bacznie cały rozwój pracy w dziedzinie historyi Galicyi.

Ś. p. Bronisław Łoziński urodził się 23 października 1848 roku w Smolnicy w powiecie starosamborskim jako syn Walerego (siostra Walerego, Marya z Łozińskich, była matką Karola Szajnochy) i Julii z Lewickich. Był on najmłodszym z trzech braci, z których i Walery, autor znanych powieści, osnutych przeważnie na tle historyi Galicyi, oraz licznych artykułów literackich i historycznych — i Władysław wprowadzili go w ten świat gorącego umiłowania przeszłości, ku której musiał go zresztą pociągać i przykład brata ciotecznego, Karola Szajnochy. O latach młodości ś. p. Bronisława Łozińskiego, o czasach jego pracy w Namiestnictwie i w Wydziale krajowym mówi nam ciekawa relacya najbliższego ich świadka, którą tutaj w całości przytaczam.

»Ś. p. Bronisław uczęszczał wraz z bratem swoim Władysławem, od którego był o pięć lat młodszym, do gimnazyum w Sam-

borze, wówczas jeszcze całkiem niemieckiego, a gdy Władysław po złożeniu egzaminu dojrzałości udał się na studya uniwersyteckie do Lwowa, wkrótce tam za nim podążył dla ukończenia klas gimnazyalnych. Złożywszy tu z wyszczególnieniem egzamin dojrzałości, zapisał się na wydział prawniczy, który opuścił z dyplomem doktora praw. Już jako akademik zaprawiał się do prac naukowych i literackich i był członkiem redakcyi *Gazety Lwowskiej.* W Czytelni akademickiej, która była w owych czasach ogniskiem umysłowem młodzieży w całem i to najpiękniejszem tego słowa znaczeniu, ś. p. Bronisław przez cały czas swoich studyów uniwersyteckich odgrywał wybitną, śmiało rzec można, pierwszorzędną rolę. Kochany przez kolegów, obdarzony niepospolitą bystrością i dowcipem, doskonały mówca i dyalektyk, zasłynął już wówczas obok swego kolegi, późniejszego marszałka krajowego hr. Stanisława Badeniego w najszerszych kołach młodzieży. Wówczas to także był inicyatorem i głównym współpracownikiem ulotnych kartek humorystycznych, które Lwów cały intrygowały, a których autorów nikt się nie mógł domyślić. Ulotne te listki humorystyczne uderzały dowcipem, a utrzymywane zawsze w granicach przyzwoitej, dystyngowanej satyry politycznej i społecznej, nie obrażały, ale bawiły nawet tych, których wybrały sobie za cel wesołych pocisków. Z tych luźnych kartek, puszczonych w świat lwowski w rozmaitych odstępach czasu, wyłonił się następnie *Szczutek,* tygodnik humorystyczno-polityczny pod redakcyą Liberata Zajączkowskiego. Po osiągnięciu dyplomu doktora praw wstąpił ś. p. Bronisław do służby rządowej w Namiestnictwie, którego szef ówczesny hr. Gołuchowski usiłował pozyskać wszystkie młode a wybitne siły. Wkrótce jednak przeniósł się do Wydziału krajowego, a ówczesny marszałek krajowy ks. Leon Sapieha, poznawszy się zaraz na niepospolitych zdolnościach młodego urzędnika, przydzielił go sobie i obdarzał go wyjątkowem zaufaniem i osobistą sympatyą. Kiedy po śmierci Alfreda hr. Potockiego mianowany został namiestnikiem Filip Zaleski, ś. p. Bronisław na usilne prośby i nalegania nowego namiestnika i jego szefa prezydyalnego Loebla, późniejszego namiestnika Moraw i ministra dla Galicyi, którzy obaj znali ś. p. Bronisława z jego krótkiego urzędowania w Namiestnictwie i wysoce cenili jego wyjątkowe uzdolnienie i niespożytą pracowitość, opuścił nie bez wahania Wydział krajowy i wstąpił napowrót do służby rządowej, którą za namiestnikostwa ś. p. hr. Badeniego z mocno już nadwątlonem zdrowiem opuścił. Równocześnie

z ustąpieniem brata Władysława ze stanowiska naczelnego redaktora *Gazety Lwowskiej* wystąpił także ś. p. Bronisław ze składu tego dziennika, którego był głównym filarem i do którego wziętości i wyjątkowego powodzenia on się w najpełniejszej przyczynił mierze. Jego artykuły wstępne polityczne, pisane codziennie, uderzały niezwykłą znajomością każdoczesnej sytuacyi, wielce trafną charakterystyką wypadków, a zarazem spokojem, miarą i jasnem a zwięzłem ujęciem tematu. Wielkiej powagi i znaczenia były także pisane przez niego poza tem rozprawy o sprawach krajowych, główne a wówczas prawie jedyne źródło informacyi nie tylko dla czytelników *Gazety Lwowskiej,* ale dla wszystkich innych dzienników krajowych, które je skwapliwie przedrukowywały«.

Pracy literackiej jął się ś. p. Br. Łoziński już od 18 roku życia, pisując z początku powieści i szkice literackie (m. i. o poetach-powstańcach: Mieczysławie Romanowskim i Aleksandrze Petöfi); — naukowej — w zakresie prawa publicznego i administracyjnego, filozofii prawa, kwestyi socyalnej, skarbowości, socyologii i t. d. — od 26 roku, wypowiadając się w szeregu artykułów i większych studyów, bądź wydanych oddzielnie, bądź też przeważnie umieszczanych w *Gazecie Lwowskiej, Przewodniku naukowym i literackim, Przeglądzie sądowym i administracyjnym, Bibliotece Warszawskiej, Przeglądzie Polskim i Przeglądzie powszechnym.* Dodać tutaj wypada wreszcie, chcąc dać obraz całkowity tej rozległej działalności publicystycznej i dziennikarskiej zmarłego, że poza pracą w *Gazecie Lwowskiej* ś. p. Br. Łoziński w latach 1883—1884 i w r. 1897 drukował szereg obszernych i ciekawych artykułów o polityce Koła polskiego, o sejmach galicyjskich w *Bibliotece Warszawskiej,* że w latach 1880—1888 on był stałym korespondentem lwowskim *Czasu,* w latach 1880—1891 współpracownikiem Biura korespondencyjnego w Wiedniu, a w końcu, w latach 1895—1896, korespodentem warszawskiego *Słowa.*

Na niwę systematycznej pracy nad historyą Galicyi, o której tutaj wyłącznie mówić wypadnie, wszedł ś. p. Bronisław Łoziński stosunkowo późno: pierwsze jego studyum z tej dziedziny, zapowiedź rozpoczętej monografii o Agenorze Gołuchowskim, pojawiło się w *Kwartalniku historycznym* (w streszczeniu) dopiero w r. 1898. Miał on wówczas poza sobą już 50 lat życia, zakończył przed siedmiu laty swą karyerę urzędową, a od pierwszych porywów młodości oddzielały go już 32 lata bardzo wcześnie rozpoczętej i bardzo płodnej działal-

ności literackiej, naukowej i publicystycznej. Już poprzednio zresztą, w swych zamiłowaniach osobistych, w kierunku i charakterze swej pracy publicystycznej, zdradzał on skłonność do historyi i historycznego traktowania spraw politycznych. W roku 1879 umieścił n. p. w *Przewodniku naukowym i literackim* sprawozdanie z ostatniego tomu dzieła Arnetha o Maryi Teresie, przynoszącego tyle ciekawych szczegółów do historyi stanowiska Austryi w sprawie pierwszego rozbioru, do chwiejnej i prowizorycznej polityki Maryi Teresy w kwestyi organizacyi Galicyi. Było to tylko streszczenie omawianej pracy, wydobycie z niej najważniejszych momentów, ale ze wstępu okazuje się, jak bacznie już wtedy śledził Łoziński cały ten, bardzo skromny zresztą, ruch w zakresie historyi Galicyi.

Tak samo — w jego pracach publicystycznych (zwłaszcza w tych artykułach ogólniejszych o polityce Koła polskiego, o sejmach galicyjskich i t. d., pisywanych w *Bibliotece Warszawskiej)* — widać pewien szerszy rozmach, głębszy punkt widzenia, wypływający z tego, że znał on przeszłość polityki polskiej w Austryi, lubił się do niej odwoływać i brał ją zawsze w rachubę przy ocenie współczesnych sobie wypadków. Były to jednak rzeczy drobne, wypływające z zamiłowania osobistego lub szlachetniejszego pojmowania obowiązków publicysty, ustępujące na razie na dalszy plan wobec zajęć urzędowych, pracy publicystycznej, oraz naukowej w innych dziedzinach.

Z tym faktem późnego zwrócenia się ś. p. Łozińskiego ku badaniom historycznym należy się liczyć bardzo, gdyż inaczej nie zdołamy ocenić należycie tej tak znacznej sumy pracy, jaką wniósł on w ciągu 13 ostatnich lat życia do naszych badań nad historyą porozbiorową, nie poznamy — następnie — jego właściwej fizyognomii jako historyka. Z wykształcenia prawnik, rozmiłowany w swym zawodzie, z działalności gorliwy urzędnik autonomiczny i polityczny o szerszym pokroju, z usposobienia i temperamentu publicysta — przerzucił on się dopiero pod koniec swego życia do pracy historycznej, w poczuciu, że zwraca się tylko ku innej dziedzinie pracy obywatelskiej, — z szeregiem właściwości i poglądów wytworzonych na poprzednich polach swej działalności.

Sądził on mianowicie — dał temu wyraz we wszystkich prawie swych pracach historycznych — że jednym z najpoważniejszych braków dzisiejszego wykształcenia politycznego jest ograniczanie się tylko do poznania obecnych prawno-politycznych warunków naszej roboty w Austryi i w kraju, bez zwracania się w przeszłość naszej polityki,

w czasy chociażby tylko schyłku ery absolutystycznej, nadziei r. 1848, reakcyi bachowskiej i późniejszej walki o zdobycie zasadniczych praw Galicyi. Dla pokolenia, w którem żył Łoziński, były to rzeczy znane dobrze z opowiadań licznych uczestników tych wypadków, z żywej tradycyi ustnej; wśród ludzi natomiast, do których zwracał się, rozpoczynając swą pracę nad dziejami, tradycyę tych czasów mogła podtrzymać tylko historya, niestety — pozostawiająca je wtedy odłogiem. Prowadziło to do tak częstego u nas zjawiska przerywania związku z przeszłością, zapominania o jej naukach, chociażby tak niedawnej daty. Pragnienie zapełnienia tej luki — odczuje to każdy czytelnik prac ś. p. Br. Łozińskiego — podjęte w myśl tych samych ideałów, jakie przyświecały dawniej jego publicystyce, skierowało go do pracy historycznej.

Wniósł on do niej swą metodę badań prawnika, który liczył się zawsze — jak to stwierdza choćby tylko wykaz jego prac — nie tylko z postępem wiedzy ściśle prawniczej i politycznej, ale i z ruchem w dziedzinie pokrewnych nauk społecznych. Złożyło się to później na fakt, że w najważniejszych, największych swych pracach historycznych położył on nacisk raczej na charakterystykę ogólną danego systematu politycznego, na wyniki jego działania, niż na wyświetlenie psychologii wyobrażających go ludzi, jakby to uczynił historyk zawodowy, nie mający za sobą tej przeszłości prawniczej i publicystycznej. Odczuwa się to bardzo wyraźnie zwłaszcza w pracy tak czysto biograficznej, jaką z założenia swego była monografia o Gołuchowskim: bohater jej nie występuje przed czytelnikiem jako osobistość, scharakteryzowana przez autora zapomocą silnych, wyrazistych rysów indywidualnych, poznajemy go za to do głębi jako przedstawiciela pewnej polityki, którą na tak szerokiem i ciekawem tle ogólnem zarysował Łoziński. Tylko w pracach drobniejszych (n. p. omawiających wypadki roku 1846, procesy polityczne Szajnochy i Fredry) dawny beletrysta brał górę nad prawnikiem, rysując omawiane osobistości barwami żywemi, wyrazistemi, ożywiając je czasem niezwykłem ciepłem sympatyi.

Działalność administracyjna ś. p. Łozińskiego wywarła na jego pracę bodaj jeszcze silniejszy i bardziej widoczny wpływ. Dała mu ona gruntowną znajomość kraju, o którym miał pisać, a przedewszystkiem — tego świata dawnej biurokracyi, z której epigonami mógł się jeszcze spotykać w początkach swej karyery urzędowej, którą znał tą

znajomością stosunków, jaką lubiącemu swój zawód i pojmującemu go w sposób szerszy urzędnikowi daje choćby tylko wyszukiwanie precedensów po aktach. To też jego zdolność odtwarzania dawnych stosunków, nieraz nawet na podstawie bardzo szczupłego materyału źródłowego (n. p. w charakterystyce administracyi józefińskiej lub działalności sejmu stanowego w Galicyi), była czemś zadziwiającem dla historyka, znającego te rzeczy tylko ze źródeł. Niejeden szczegół (uderza to zwłaszcza w pracy o Gołuchowskim), nad którym historyk przeszedłby do porządku dziennego, posłużył Łozińskiemu do wydobycia rzeczy ważnych i ciekawych. Bez tej znajomości świata biurokratycznego nie mógłby nikt tak »urzędowo ściśle« wykazać odpowiedzialności władz austryackich za wypadki roku 1846, tak ocenić całej doniosłości ochronnej, obywatelskiej pracy Agenora Gołuchowskiego w okresie jego pierwszego namiestnikostwa. Dała ona przytem Łozińskiemu wstrzemięźliwość i sumienność sądu, tę zdolność prawdziwego rozłożenia cieniów i świateł, pozwalającą mu n. p. rozróżnić dwie odmienne fazy w stosunku Franciszka hr. Stadiona do Galicyi, wykazać momenty nietrwałości i niepewności nawet w systemacie bachowskim. Wpłynęła ona wreszcie i na metodę pisarską Łozińskiego, metodę jak gdyby ożywiania dawnych aktów przy pomocy rzetelnej znajomości całego tła dziejowego.

Jako publicysta był ś. p. Łoziński konserwatystą, ale — w najszlachetniejszem znaczeniu tego słowa. Realizm polityczny, widoczny już we wszystkich jego pracach z dziedziny prawa i nauk politycznych, nakazał mu cenić głęboko rezultaty zdobyte przez politykę polską w Austryi, uczynił go szczerym rzecznikiem polityki umiarkowanej, opartej na stopniowem i systematycznem ich rozszerzaniu. Skłaniało go to później jako historyka do krytycznego zapatrywania się na rolę dziejową spisków galicyjskich, na wartość praktyczną usiłowań »wichrowatego roku 1848«, na wypadki roku 1863. Stawał on wtedy na stanowisku podobnem do tego, z którego dawniej w publicystyce sceptycznie traktował możność urzeczywistnienia programu federacyjnego, trzymanie się bezwzględne rezolucyi sejmowej r. 1868, politykę nieobsyłania Rady państwa stosowaną przez Czechów. Zdając sobie n. p. dobrze sprawę z tego, że spiski galicyjskie po 1831 roku były istotnym początkiem rozbudzenia się życia politycznego w tej dzielnicy, że wyprowadziły one na widownię wiele charakterów podniosłych i czystych (porów. n. p. jego piękne studyum o procesie Karola

Szajnochy i sprawozdanie o książce Studzińskiego), które później odegrały wybitną rolę w usiłowaniach politycznych lat 1848—1868 i przyczyniły się niewątpliwie do podniesienia poziomu życia politycznego, przypisywał on jednak większe znaczenie legalnym pracom sejmu stanowego, jego staraniom o ochronę ekonomicznych interesów kraju, o rozszerzenie praw polskości. Z drugiej jednak strony, jako »zdeklarowany autonomista, kontynuator polityki Agenora Gołuchowskiego«, »umiejący z niezwykłym instynktem prowadzić politykę narodową pod formą interesów państwa«, bardzo trzeźwo pojmujący zadania polityki polskiej w Austryi, nie czynił on nigdy swych zapatrywań jakimś kodeksem bezwzględnym i dawał im wyraz raczej w wyborze tematów, niż w sposobie traktowania zjawisk historycznych, bo temu zapobiegała jego prawość i sumienność historyka, jego silne współczucie osobiste dla tych nadziei i usiłowań, które doprowadziły n. p. do procesu Szajnochy.

Z działalności publicystycznej wyniósł również Łoziński swoje zasadnicze, podkreślane tak żywo we wszystkich pracach historycznych, pojęcie o tem, że w pierwszej połowie XIX wieku, a nawet i później — szlachta była w Galicyi jedyną świadomą przedstawicielką polskości, że polityka osłabiania, rujnowania jej stanowiska ekonomicznego była zarazem polityką antypolską. Ten pogląd, zgodny w zasadzie z myślą przewodnią pracy Kalinki, pokierował całą jego działalnością dziejopisarską, stanowił niejako jej rdzeń.

Od roku 1901, t. j. od czasu wydania monografii p. t. *Agenor hr. Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859),* zdobył sobie ś. p. Łoziński stanowisko najpoważniejszego u nas przedstawiciela badań nad historyą Galicyi. Wyrazem tego stanowiska były przedewszystkiem jego systematyczne sprawozdania z tej dziedziny, umieszczane w *Kwartalniku historycznym* w latach 1903—1911, a więc nawet w czasach, gdy już postępy nieuleczalnej choroby utrudniały mu niepomiernie pracę. Jest to poważna, bardzo doniosła część zasługi jego dla naszej historyografii porozbiorowej. Ta robota sprawozdawcza, kontrolująca, wypływała organicznie z całego poglądu ś. p. Łozińskiego na własną rolę jako historyka. We wszystkich jego pracach, studyach i ocenach znajdujemy dezyderaty, wskazówki i ostrzeżenia dla przyszłych pracowników w dziedzinie historyi Galicyi. Zdawał on sobie sprawę z tego, że z czasem zakres badań obejmie bez porównania większy materyał źródłowy, sięgnie poza — niewyzyskane

zresztą dotychczas w całości — archiwa Namiestnictwa, Sądu apelacyjnego i Ossolineum — do archiwów wiedeńskich, w których historyk polski znajduje dzisiaj tyle ułatwień i chętnej pomocy; przewidywał, że o ile ta praca nie zostanie podjętą przez naukę polską, to ubiegną ją historycy ruscy i niemieccy. To też, czyniąc zadość wrodzonej potrzebie działalności pedagogicznej, przez swe sprawozdania kontrolował, zachęcał ten ruch, dawał wskazówki. Ciekawym niezmiernie w tej dziedzinie był stosunek jego do stawiającej pierwsze kroki na polu badań nad historyą Galicyi nauki ruskiej. Zdawał on z niej sprawę systematycznie, zapobiegając temu fatalnemu pomijaniu jej u nas, ścierał się nieraz na ostre z jej przedstawicielami, ale zawsze umiał wydobyć z omawianej pracy jakiś pierwiastek dodatni. Czynił to jak gdyby celowo, w przekonaniu, że rozszerzenie działalności kulturalnej wogóle, a historycznej w szczególności, w tym świecie wpłynie może na spokojniejszy, sumienniejszy pogląd na przeszłość, w której ongi przecież, przed reakcyą po roku 1848, na gruncie spiskowym spotykały się żywioły gorętsze polskie i ruskie.

O ile chodzi o prace konstrukcyjne ś. p. Łozińskiego, to możnaby powiedzieć, że osią ich chronologiczną były wypadki r. 1846. Gdy zwracał on się do historyi początków administracyi austryackiej w Galicyi, to i tutaj miał jakby już przed oczyma tę straszną przyszłość, choć chodziło mu wtedy o scharakteryzowanie pierwszych kroków jednego z najbardziej opiekuńczych i policyjnych państw XVIII wieku na dziewiczym gruncie polskim. Historyę sejmu stanowego podjął również nie tylko w myśli wykazania, że już przed wpływami emigracyjnymi polskość budziła się w Galicyi do życia, ale i dla stwierdzenia, że od szlachty polskiej wyszła inicyatywa postępowego rozwiązania stosunków pańszczyźnianych, że więc na nią nie spada ciężar odpowiedzialności za wypadki roku 1846. I w monografii o Agenorze Gołuchowskim wypadki te zapełniły wstęp, wywarły bardzo silny wpływ na ocenę ogólnej działalności ochronnej i kojącej pierwszego namiestnika Polaka. Stosuje się to i do większości pomniejszych studyów, w których Łoziński rozprószył tyle ciekawego materyału, że obecnie zebrane w jedną całość, stanowić będą one pokaźny nabytek dla naszej jeszcze ubogiej (w zestawieniu zwłaszcza z historyą Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego) literatury historycznej o Galicyi. Tak samo — nareszcie — do historyi wypadków r. 1846 wracał on wciąż w swych sprawozdaniach, w dezyderatach, kładąc nacisk

na to, że pełne, poważne zbadanie ich jest jednym z najważniejszych obowiązków historyografii naszej. Sądził on, że w badaniach tych nie należy się liczyć (idąc w tej mierze za przykładem Węgrów) ani ze względami politycznymi, skoro tak dawno już doszło do zupełnej zmiany frontu w polityce polskiej Austryi, ani też z wywoływaniem reminiscencyi przykrych dla ludu, który już wytworzył sobie sąd należyty o swej roli owoczesnej. Jest to niezawodnie jeden z poważnych postulatów historyi porozbiorowej, wymagający jednak nie tylko studyów nad polityką austryacką w Galicyi, ale równocześnie głębszego poznania historyi emigracyi polskiej i jej niezwykle silnego oddziaływania w tych czasach na umysły w Galicyi i Poznańskiem.

Dziełem, w którem ś. p. Łoziński wypowiedział się najobszerniej, jest jego monografia o Agenorze Gołuchowskim, oparta na bardzo obfitym materyale źródłowym, najciekawsza i najbardziej wykończona ze wszystkich prac jego. Jest ona dzisiaj dla każdego polityka niezbędnym wstępem do znalezienia odpowiedzi na pytanie, jakim czynnikom, jakim działaniom i ludziom zawdzięcza Galicya swoje stanowisko obecne, pytanie nie rozwiązane w sposób naukowy po dziś dzień bez względu na całą jego aktualność. Łoziński w swej pracy nad rozwiązaniem tego pytania natrafił, bo natrafić musiał, na pierwsze namiestnikostwo Agenora Gołuchowskiego i poświęcił mu całą swą monografię. Panowały o tem namiestnikostwie i w tradycyi i w literaturze publicystyczno-historycznej wyobrażenia dość mętne, naogół krytyczne i niechętne, oddzielające wyraźnie ten okres działalności Gołuchowskiego od czasu drugiego i trzeciego namiestnikostwa, w których praca jego obywatelska dla kraju była już widoczną dla wszystkich. Zdawało się, że jak gdyby całe społeczeństwo zachowało w tej mierze pogląd młodego akademika, Karola Szajnochy, który w kartkach, rozrzuconych z okazyi rocznicy listopadowej w gmachu Uniwersytetu lwowskiego, zaliczył Gołuchowskiego w początkach jego karyery urzędowej do kategoryi *schwarzgelberów*. Na ten niesprawiedliwy i nieścisły w istocie sąd historyczny złożyło się wiele czynników. Działała tutaj i działać musiała w pierwszym rzędzie zasadnicza niechęć kraju do polityki bachowskiej, której nie mogły usunąć rządy namiestnicze Gołuchowskiego. Była ona naturalną rezerwą kraju, nie mogącego w żaden sposób, ze względu na swą przyszłość polityczną, rezygnować bez wyraźnych ustępstw ze swej polityki rozleglejszych pragnień, wyczekiwania i opozycyi. Wszak i przywódcy istotni Węgrów, których

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.

zachowanie się w tym okresie uważanem bywa za wzór racyonalnej polityki, Deak i jego zwolennicy, milczeli, trzymali się na uboczu, w rezerwie, usuwali od stanowisk, choć w gruncie rzeczy aprobowali politykę konserwatystów, tak podobną ze wszech miar do usiłowań Gołuchowskiego. Działało tu jednak i niezrozumienie tego, jaką rzetelną służbę dla kraju, dla jego teraźniejszości i przyszłości, spełniał — właśnie przez swój lojalizm — w tych ciężkich czasach namiestnik Polak, który na swem stanowisku rządowem nie mógł być przecież wtedy wyrazicielem dalej idących aspiracyi narodowych, Deakiem Galicyi; działało i niezrozumienie tej zasadniczej prawdy, że w takich sytuacyach politycznych siłą rzeczy musi dojść do pewnego podziału zadań narodowych; działała wkońcu i zupełna prawie nieznajomość faktów historycznych, czynów Gołuchowskiego w roli namiestnika, zakrytych przeważnie przed oczyma społeczeństwa tajemnicą urzędową. Ś. p. Łoziński, przystępując do swej pracy, zaznajamiając się z aktami urzędowymi, odczuł niezwykle silnie niesprawiedliwość tych dwóch ostatnich czynników sądu o pierwszem namiestnikostwie Gołuchowskiego i obalił je w sposób stanowczy w swej monografii. Wykazał on w niej przy pomocy badań niezwykle rozległych, ogarniających całą niemal historyę Galicyi tych czasów, że Gołuchowski oddał nam wtedy tę samą usługę dziejową, jaką Węgrom ówczesnym oddali konserwatyści. Z aktami w ręku, śledząc krok za krokiem czyny namiestnika, stwierdził, że: 1) zapobiegł on z jednej strony temu, aby rząd bachowski nie przeprowadził w Galicyi operacyi tego rodzaju, jakie po powstaniu r. 1863 w Królestwie przeprowadzał Komitet Urządzający, 2) zdobywał powoli a systematycznie w każdej dziedzinie ustępstwa dla polskości, 3) łagodził o ile możności ucisk policyjny, 4) przygotowywał wreszcie przez swe stosunki z dworem możność zmiany całej polityki polskiej Austryi, wytwarzając tam przeświadczenie (któremu dał wyraz w jednym ze swych memoryałów o kwestyi ruskiej), że Polacy są jedynym narodem słowiańskim niedostępnym dla wpływów panslawizmu, a więc poważnym czynnikiem dla szerszej polityki zagranicznej Austryi. Dowodzenie, przeprowadzone w tej mierze przez ś. p. B. Łozińskiego z całą ścisłością i systematycznością, stało się odtąd trwałym nabytkiem nauki. Niektóre ustępy jego książki (te n. p., w których jest mowa o walce Gołuchowskiego z samowolą rosyjską w Galicyi, opierającą się w r. 1849 na ścisłym sojuszu z miejscowemi władzami wojskowemi, a tolerowaną wyraźnie przez Bacha)

musiały w tym względzie wywrzeć wpływ pierwszorzędny, przemawiając do przekonania nawet najgorętszych krytyków pierwszego namiestnikostwa Gołuchowskiego. Okazywało się z nich, jak silnie czasami przez usta namiestnika Polaka, troszczącego się na pozór wyłącznie tylko o godność państwa, przemawiały te same uczucia, które żywili i zaliczający go do kategoryi schwarzgelberów, i to przemawiały w chwili, gdy nie tak łatwo było dać im wyraz. Jest to, powtarzam jeszcze raz, dzieło, które stanowić będzie zawsze nieodzowny wstęp do historyi walki o prawa Galicyi, a zarazem — z racyi szczegółowego i sięgającego daleko wstecz opracowania szeregu kwestyi, n. p. ruskiej — posiadać duże znaczenie dla współczesnego wykształcenia politycznego. Trzeba wyrazić tylko żal, że los nie pozwolił Łozińskiemu objąć i dalszych faz działalności Agenora Gołuchowskiego, zawierających ważniejszy jeszcze bodaj dla sprawy tego wykształcenia materyał.

BIBLIOGRAFIA PISM
ŚP. BRONISŁAWA ŁOZIŃSKIEGO.

Skrócenia: BW, Biblioteka Warszawska — D, Dzwonek — DL, Dziennik literacki — GL, Gazeta Lwowska — KH, Kwartalnik historyczny — PH, Przegląd historyczny — PNL, Przewodnik naukowy i literacki — PP, Przegląd Polski — PPow, Przegląd Powszechny — PPA, Przegląd prawa i administracyi (Przegląd sądowy i administracyjny).

1865. Ciury Bolesława Chrobrego. Nap. Bartek Szkolarz. D. Tom 12. Nr. 8.
1866. Złe wychowanie. Powieść ludowa przez St(udenta) z Lw(owa). Przyjaciel domowy.
Sąd króla chłopków. Nap. Bartek Szkolarz. D. Tom 14. Nr. 7.
Pieśń przy żniwie. Opiekun domowy. Nr. 32.
1868. Sąd we śnie. Nap. Bartek Szkolarz. D. Tom 18. Nr. 1.
Mądry Tomek. Opowiedział Bartek Szkolarz. D. Tom 18. Nr. 17.
Grzegorz Durak. Ludziom na chwałę i pożytek opowiedział Bartek Szkolarz. D. Tom 19. Nr. 6, 7.
Skarby ziemi. Powiastka Bartka Szkolarza. D. Tom 19. Nr. 13, 14.
1869. Mieczysław Romanowski. DL. Nr. 11—13.
Aleksander Petöfi. DL. Nr. 37—39.
Złote kajdany. Ze starych pamiętników przepisał Tadeusz Słowiński. Kalina (Kraków). Nr. 4—7.
1870. Józef Jastrzębski, dzielny wojak polski. Nap. Bartek Szkolarz. D. N. ser. Tom 1. Nr. 9.
Trębacz Borysiewicz. Nap. Bartek Szkolarz. D. N. ser. Tom 1. Nr. 11.
Podróż Macieja Kołowrotka. Czytelnikom »Dzwonka« na pożytek i zabawę opowiedział Bartek Szkolarz. D. N. ser. Tom 1. Nr. 15—17.
Opieka grobu. Powieść. W zbiorowej książce: Wiązanka dla młodego wieku na rok 1871, zebrana przez J. Chęcińskiego. Warszawa. Str. 75—110.
1871. Kilka słów o wszechnicy lwowskiej. Dziennik Polski. Nr. 174.
1873. Opinia publiczna. Studyum publicystyczne. PP. Rok 8, kwart. I.
1874. Prawa autorskie. GL. Nr. 281—282.

1875. Prasa i opinia. GL.
Kobieta wobec ekonomii społecznej. GL.
Słowo o Modrzewskim. PNL. Rok 3.
1876. Szkice węgierskie. GL.
O samobójstwie. GL.
Stare prawdy. GL.
1877. Wazale autonomiczni. PPA. Nr. 35.
1879. Narodowość a państwo (L. Gumplowicz, Das Recht der Nationalitäten und Sprachen in Oesterreich-Ungarn). PNL. Rok 7.
Z historyi Galicyi (A. v. Arneth, Maria Theresias letzte Regierungszeit. 1763—1780. Bd. IV). PNL. Rok 7.
1880. O społecznych prawach kobiet. GL. Nr. 156.
1881. Państwo i socyalizm. GL.
Wieczna wojna. Studyum polityczne. PNL. Rok 9.
1883. Ekonomiczne położenie Galicyi. BW. Tom 170.
Nowy sejm galicyjski. BW. Tom 171.
Pierwsza sesya nowego sejmu galicyjskiego. BW. Tom 172.
1884. Budżet krajowy na rok 1884. PP. Luty.
W sprawie Banku włościańskiego. Odb. z Czasu.
Corpus delicti. Lwów.
Przesilenie w austryackiej Radzie państwa. BW. Tom 174.
Prawo do życia. BW. Tom 174.
Sejm galicyjski w roku 1884. BW. Tom 176.
1885. Walka z socyalizmem. Studyum. BW. Tom 177.
Schaeffle contra Schaeffle. BW. Tom 178.
1890. Opieka publiczna nad ubogimi. Lwów.
1892. Administracya. PPA. Tom 17.
Reforma wyborcza. PPA. Tom 17.
1893. Iuris ignorantia. Studyum prawno-społeczne. Lwów.
Prawo a Kościół. Księga pamiątk. Wiecu katolickiego w Krakowie w r. 1893.
Nauka i filozofia prawa. PPA. Tom 18.
W sprawie urzędniczej. PPA. Tom 18.
1894. Personae miserabiles. Gazeta urzędnicza. Nr. 1.
Fortel ustawodawczy. PPA. Tom 19.
Rządowy projekt reformy wyborczej. PPA. Tom 19.
Prawo zwierząt. Studyum socyologiczne. PNL. Rok 22.
1895. Teorya anarchizmu. PPA. Tom 20.
Historya prawa. PPA. Tom 20.
Nowy apostoł socyalizmu. PNL. Rok 23.
Reakcya dzisiejsza przeciw pozytywizmowi. PPow. Tom 47.
Dobra wiara. BW. Tom 220.
Tłum. Szkic socyologiczny. Odb. z BW (Tom 217—218). Kraków.
1896. Demon polityczny. PPow. Tom 50, 51.
Idea nieśmiertelności na łożu Prokrusta. PPow. Tom 52.
Zbytek. BW. Tom 221, 222.
Moda. BW. Tom 223.

1897. Jubileusz samorządu. BW. Tom 226.
Współczesna propaganda pokojowa. BW. Tom 226.
Kartele. BW. Tom 227.
Infamia. Studyum prawno-społeczne, odznaczone nagrodą na konkursie »Gazety Sądowej« w Warszawie. Lwów.
1898. Nowoczesna etnologia. BW. Tom 230.
Wyrodne matki. BW. Tom 231.
Fouillée o psychologii swego narodu. PPow. Tom 59, 60.
Z dziejów anarchii galicyjskiej. KH. Tom 12. Str. 1033—1041.
1899. Sighele o psychologii sekt. PPow. Tom 61.
1901. Agenor hr. Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859). Lwów.
Z teki Maurycego Kraińskiego. PNL. Rok 29.
Epilog Stanów galicyjskich. BW. Tom 243.
1902. Głos niemiecki z roku i o roku 1846. PNL. Rok 30.
Małecki i Possinger. Czas. Nr. 74.
Dwa upiory historyczne: generał Benedek i starosta Breinl (Galicya w roku 1846). BW. Tom 246.
W przededniu katastrofy (Galicya w roku 1846). BW. Tom 248.
1903. Gołuchowski spiskowcem. Notatka historyczna. Czas Nr. 19.
»Naród« żydowski. BW. Tom 249.
Winowajcy (Galicya w roku 1846). BW. Tom 249.
Epilog kryminalny (Galicya w roku 1846). BW. Tom 251.
Napiwek. GL. Nr. 79—82.
1904. Z historyi Stanów galicyjskich. BW. Tom 253.
Z listów prezesa Rzeczypospolitej krakowskiej (Stanisława hr. Wodzickiego). BW. Tom 254.
Proces kryminalny Karola Szajnochy. BW. Tom 256.
Współczesna propaganda antypojedynkowa. PPow. Tom 81.
1905. Galicyjski Sejm Stanowy (1817—1845). Lwów.
Sprawa kryminalna Aleksandra hr. Fredry. PH. Tom 1.
Z czasów józefińskich. KH. Tom 19.
1906. Z czasów i aktów dominikalnych. KH. Tom. 20.
Legion awanturników (Epizod z roku 1848). PH. Tom 3.
Prawne i moralne horoskopy socyalizmu. PNL. Rok 34.
1907. Z czasów nowicyatu administracyjnego Galicyi. KH. Tom 21.
1908. Głos Niemca-biurokraty z roku i o roku 1846. KH. Tom 22.
1910. Początki ery józefińskiej w Galicyi (W. Tokarz, Galicya w początkach ery józefińskiej). KH. Tom 24.

WAŻNIEJSZE RECENZYE PRAC TREŚCI HISTORYCZNEJ.

1. *Bobrzyński-Jaworski-Milewski,* Z dziejów odrodzenia politycznego Galicyi (1859—1873). KH, r. 19. 1905, str. 647.
2. *Bogusz,* Wieś Siedliska-Bogusz. KH, r. 17, 1903, str. 466.
3. *Filewicz,* Iz istorii Karpatskoj Rusi. KH, r. 23, 1909, str. 627.
4. *Geffcken,* Preussen, Deutschland und die Polen seit dem Untergang des polnischen Reiches. KH, r. 20, 1906, str. 724.
5. *Gollenhofer,* Rewolucya krakowska 1848 roku. KH, r. 23, 1909, str. 444.
6. *Helfert,* Geschichte der oesterreichischen Revolution im Zusammenhange mit der mitteleuropäischen Bewegung 1848—1849 (Tom I). BW, t. 268, 1907, str. 357.
7. *Jakubenz,* Die Besetzung von Krakau 1846. KH, r. 21, 1907, str. 707.
8. *Kaindl,* Ein zeitgenössischer Bericht zur Geschichte des galiz. Aufstandes von 1846. KH, r. 23, 1909, str. 441.
9. *Kolowrat-Krakowsky,* Meine Erinnerungen aus den Jahren 1848—1849. KH, r. 19, 1905, str. 646.
10. *Krajewski,* Tajne związki polityczne w Galicyi 1833—1841. KH, r. 18, 1904, str. 620.
11. *Kreweckij,* Oboronna organizacija ruskich selian na hałycko-ruskym pohranyczu 1848—1849 r. KH, r. 20, 1906, str. 350.
12. — Z wyborczoho ruchu wschidnyj Hałyczyni w 1848 r. — Cucyliwska triwoha w 1848 r. KH, r. 21, 1907. str. 542.
13. — Do istorii organizowania gwardii w 1848 r. KH, r. 22, 1908, str. 476.
14. *Kruszelnyckij,* Z dnewnyka gr.-kat. parocha 1848—1850. KH, r. 18, 1904, str. 129.
15. *Kucharski,* Rozruchy lutowe w Jasielskiem. KH, r. 25, 1911, str. 118.
16. *Kucharzewski,* Sprawa polska w parlamencie frankfurckim 1848 r. KH, r. 23, 1909, str. 626.

17. *Laubert,* Eine Denkschrift des Legationsrats Heinrich Küpfer über die Germanisierung der Provinz Posen. KH, r. 21, 1907, str. 541.
18. *Loserth,* Zur vormärzlichen Polenpolitik. KH, r. 18, 1904, str. 124. Ob. dodatek do rozdz. IX. (str. 261 i ns.).
19. *Meyer,* Die Deutschen der Provinz Posen gegenüber dem polnischen Aufstand i. J. 1848. KH, r. 22, 1908, str. 479.
20. *Procner,* Smutne wspomnienia z rzezi w Grodkowicach. KH, r. 17, 1903, str. 466.
21. *Roszkowski,* Upadek absolutyzmu w Austryi. KH, r. 21, 1907, str. 161.
22. *Schmit v. Tavera,* Die mexikanische Kaisertragödie. — Geschichte der Regierung des Kaisers Maximilian I. PPow, t. 82, 1904, str. 126.
23. *Sozańskij,* Do istorii uczasty hałyckych Rusynow w słowiańskim kongresie w Prazi 1848. KH, r. 21, 1907. str. 710.
24. *Strobl von Ravelsberg,* Metternich und seine Zeit (1773—1859). Tom I. KH, r. 20, 1906, str. 719.
25. *Studyńskij,* Polski konspiracii sered ruskych pytomciw i duchowenstwa w Hałyczynie w r. 1831—1846. KH, r. 22, 1908, str. 742.
26. *Terszakoweć,* Materiały i zamitki do istorii nacionalnoho widrożdżenia hałyckoj Rusi w 1830 ta 1840 rr. KH, r. 23, 1909, str. 240.
27. *Tokarz,* Pierwsze dezyderaty szlachty galicyjskiej. KH, r. 24, 1910, str. 311.
28. *Tomasziwskij,* Materiały do istorii hałycko-ruskoho szkilnictwa XVIII. i XIX. ww. KH, r. 25, 1911, str. 323.
29. *Ziemiałkowski,* Pamiętniki. KH, r. 19, 1905, str. 137.

I.

Z historyi Stanów galicyjskich (I).

Sejm stanowy, którym Austrya po pierwszym rozbiorze Rzeczypospolitej uszczęśliwiła »rewindykowaną« Galicyę, ta instytucya, stanowiąca już wtedy anachronizm w dziedzicznych prowincyach państwa, karykaturalna w całym swoim ustroju, zwłaszcza na gruncie galicyjskim z niezagłuszonem jeszcze echem dawnych sejmików, skazana od pierwszej chwili na bardzo rzadko odgrywaną rolę potulnej, polityczno-dekoracyjnej asystencyi dla gubernatorów lwowskich — miał w całej swojej działalności jedną tylko chwilę rozgłośną, prawdziwie historyczną, gdy w r. 1848 członkowie jego, uniesieni wstrząsającym całą Austryą prądem wolnościowym, na zaproszenie gubernatora Franciszka hr. Stadiona odpowiedzieli abdykacyą w lapidarnej uchwale, albo raczej w jednomyślnym okrzyku: niema sejmu![1]). Po za tą chwilą z historyi galicyjskich Stanów, ze stanowiska interesu politycznego, zasługują jeszcze na wspomnienie niektóre momenty, nie z samej działalności, lecz z długiego, za kulisami sejmu rozegranego procesu organizacyi i reorganizacyi, jako następstwa wypadków i przejść, wypełniających cały okres czasu od zaboru Galicyi do ustalenia się stosunków po kongresie wiedeńskim. Zbiegał się więc ten proces z szybko po sobie następującymi przewrotami europejskimi, wśród których granice posiadłości polskich w trzech mocarstwach rozbiorczych ciągle się chwiały. Wśród tych przewrotów granice rewindyko-

[1]) Por. rozdz. III i IV.

wanej Galicyi przedewszystkiem ulegały zmianom, które wraz z ich przyczynami wojennemi odbijały się silnie na owym procesie organizacyi i reorganizacyi Stanów galicyjskich tak w Wiedniu, jak we Lwowie, w sposób rzucający światło na konstelacyę stosunków i na nastrój społeczeństwa polskiego w Galicyi i po za Galicyą, a poniekąd nawet, mianowicie w r. 1815, na stosunki mocarstw rozbiorowych.

Co do składu sejmu stanowego, opierającego się nie na wyborze, lecz na stanowisku społecznem i opłacaniu minimum podatkowego, oraz co do jego zakresu działania, streszczającego się w »najpokorniejszem« słuchaniu postulatów rządowych, które stanowiły rozkaz apodyktyczny i na »najuniżeńszem« lub »najpokorniejszem« przedstawieniu życzeń adresowych, poprzednio przez przewodniczącego gubernatora za dopuszczalne uznanych — odsyłamy czytelnika do powołanego wyżej szkicu.

Wtłoczenie krewkiego aż do granic swawoli, ale gromem rozbiorowym w apatyę polityczną pogrążonego organizmu polskiego, w te ciasno przykrojone ramy konstytucyi stanowej — dokonane zostało za rządów cesarzowej Maryi Teresy, w trzy lata po zajęciu Galicyi, bez ostentacyjnych akcesoryów ważnego aktu politycznego, lecz niejako w formie aktu administracyjnego, mającego, jako naturalna konsekwencya aneksyi, zrównać Galicyę z innemi prowincyami monarchii, albo raczej wcisnąć ją na konstytucyjne łoże Prokrusta ówczesnej Austryi.

Cesarz Józef II, zaraz po objęciu rządów (1782), skierował swoją gorączkę reformatorską także na mizerną konstytucyę stanową Galicyi, oczywiście nie z dążności do zwolnienia pęt włożonych życiu politycznemu, nawet nie z jakimkolwiek celem zasadniczego znaczenia. Chodziło tylko o pewne, małoznaczne zmiany, co do udziału duchowieństwa w kierunku cokolwiek ścieśniającym ten udział. Za to jednak ogłoszenie tej drobnej zmiany we Lwowie odbyło się w taki sposób pompatyczny, jak gdyby chodziło o jaki wiekopomny akt konstytucyjny.

Cesarz Józef II, którego rządy tak dotkliwie zaciężyły na Galicyi naporem germanizacyjnym, uciskiem podatkowym i bezwzględnością reformatorską w zakresie stosunków kościelnych, liczył na wrażliwość temperamentu polskiego na formy i zaraz na wstępie swoich rządów (1781) uderzył w tę strunę, tworząc w Wiedniu osobną gali-

cyjską gwardyę szlachecką, która nie stanowiła oddziału siły zbrojnej państwa, lecz korpusik dekoracyjny, przeznaczony do popisywania się swoją zewnętrzną okazałością przy uroczystościach dworskich. Na czele tej gwardyi postawił generała ziem podolskich, Adama ks. Czartoryskiego i przepisał jej osobny uniform, w którym kontuszowe reminiscencye łączyły się z dodatkami, obliczonymi, według konceptu austryackiego, na żądzę teatralnej senzacyi u wiedeńczyków, tak skłonnych do gapienia się przy każdej uroczystości dworskiej, nawet przy takiej drobnej okazyi, jak codzienna zmiana straży wojskowej u bramy cesarskiego pałacu. Nie zawiodły cesarza Józefa II rachuby co do wiedeńczyków, którzy do syta nagapili się zaraz przy pierwszem wystąpieniu szlacheckiej gwardyi galicyjskiej w jej roli dekoratorskiej. Za to co do społeczeństwa polskiego w Galicyi, cesarz od pierwszej chwili nie mógł wątpić o tem, że przerachował się na lekceważącem traktowaniu jego charakteru narodowego, że mimo jego okrzyczanej płochości, świadomość godności narodowej i pamięć wielkiej przeszłości zbyt jest głęboką, aby takie efektowne drobiazgi sprawić miały pożądane wrażenie.

Ktoby się tego spodziewał, że w 120 lat po tym fakcie, wśród stosunków zupełnie odmiennych, znajdzie się polski historyk 10-letniej zaledwie egzystencyi szlacheckiej gwardyi galicyjskiej, ubolewający nad tem, że społeczeństwo polskie w Galicyi nie poszło od razu na lep tego Józefińskiego umizgu, utrzymujący nawet, że był to błąd polityczny, który pozwolił zmarnieć dobrej sposobności do zdobycia dla Galicyi takiej pozycyi w monarchii habsburskiej, jaką Węgrzy zajmują! »Gdyby nasi wpływowi przodkowie mieli zmysł polityczny — tak opiewa ta dziwna reprymenda historyczna — gdyby byli umieli pogodzić się z losem i owładnąć ówczesne przyczylne nam i przyjazne usposobienie, gwardya galicyjska stałaby do dzisiaj pod bronią w Wiedniu, a kraj nasz zyskałby już wówczas takie same prawa i przywileje, co Węgry [1])«.

---

[1]) *Józef Wawel-Louis: Okruszyny historyczne,* zebrane po dawnych aktach, archiwach i dziennikach — Kraków 1898 (str. 5—6).

Autor ten, którego rachunek z krytyką historyczną poniekąd w zaległość popadł, w czasie swojego urzędowania przy najwyższym trybunale sądowym i kasacyjnym w Wiedniu, zbierał, z wszelkiego uznania godną skrzętnością w zbiorach archiwalnych i w bibliotece nadwornej, materyały nieznane do pierwszego okresu rządów austryackich w Galicyi. Z zebranego

Jak na uniformie galicyjskiej gwardyi szlacheckiej nie żałowano sobie w Wiedniu kolorowych i złocistych sznurów, szlif, wypustek, pasów i t. p., tak przy pompatycznej instalacyi Stanów poświęcono tyle

---

materyału powstał cały szereg szkiców, cennych głównie dla zawartości swojej. W opracowaniu zebranego materyału Wawel-Louis kierował się dziwną skłonnością do wydobywania i podnoszenia wszystkiego, co uchodzić może za jaśniejszy promień w tej, tak zresztą ponurej, dobie dziejowej. W tej skłonności swojej — mówimy o skłonności, wykluczając próżną żądzę oryginalności — posunął się Wawel-Louis nieraz tak daleko, że w przeciwieństwie do obrazów, skreślonych o tej dobie zgodnie przez innych historyków, a nawet w przeciwieństwie do współczesnych pamiętnikarzy (np. Fr. Karpińskiego), daje wprost do zrozumienia, że w tych obrazach prawda historyczna jest zamglona uprzedzeniami, że mianowicie więcej na ówczesnem społeczeństwie polskiem, niż na rządzie ciąży wina długiej rozterki. Czy Wawel-Louis patrzał na wszystko pod kątem dzisiejszego tak odmiennego systemu rządowego w Galicyi i wskutek tego już w przeszłości wyszukać pragnął jego zawiązki, czy przy przygodnem tylko badaniu z amatorstwa, a nie z planu umiejętnie zakreślonego, przypadek nasuwał mu pod rękę tylko same rzeczy, dogadzające tej skłonności, czy wreszcie, co może najwięcej zbliża się do prawdy, obie przyczyny złożyły się na taki rezultat — tego domysłem rozstrzygać ani chcemy, ani możemy. Tego jednak pominąć niepodobna, że taką metodą przy nierównie większym, wprost nawet wybitnym talencie p sarskim i sprycie kombinacyjnym, niehamowanym ani zbytkiem dobrej wiary, ani skrupulatnością naukową, inny (niemiecki) historyk biurokratycznego autoramentu, Maurycy br. Sala, zdołał nawet dzieje krwawych wypadków galicyjskich z r. 1846 przedstawić w jasnem dla rządu austryackiego świetle. Przygodne tylko badania archiwalne w Wiedniu snać nie zawiodły Wawela-Louis'a do tajników kancelaryi nadwornej, skąd wprawdzie historycy *à la* Sala mogą także wydobywać potrzebny dla swojej tendencyi materyał, skąd jednak historyk polski nie zdoła przy najlepszej chęci wysnuć węzła, łączącego dzisiejszy system rządowy Austryi w Galicyi, z postępowaniem jej pierwszych po aneksyi urzędników, zwłaszcza w dziale politycznej administracyi. Cząstkę materyału, ten dział objaśniającego, posiada Zakład Ossolińskich we Lwowie, w oryginalnych aktach i odpisach, dzięki jego założycielowi i jego wpływowemu stanowisku w Wiedniu zdobytych (Rps. Nr. 525 w dwóch wielkich tomach), a już z tego materyału przekonać się można, że nawet w Wiedniu, gdy za czasów Leopolda II odbywały się poufne konferencye nad konstytucyjnymi dezyderatami szlachty galicyjskiej (1790), uznano system reprezentowany w Galicyi przez pierwszych urzędników-przybłędów za główne źródło panującego niezadowolenia.

Z niewyzyskanych dotąd w zupełności aktów tego rękopisu Zakładu Ossolińskich, głównie czerpany był materyał do niniejszego szkicu. (Przyp. autora).

prochu na salwy i tyle butelek na galowe biesiady, jak gdyby chodziło o zapisanie tej uroczystości nietylko głęboko w pamięci uczestników uraczonych, lecz w ogóle w tradycyi przyszłych pokoleń. Gdybyśmy szczegółowy opis tych uroczystości znaleźli w jakim współczesnym pamiętniku, położylibyśmy go na karb naiwnego zachwytu świadka, który, olśniony niewidzianą dotąd paradą, a może i przy tem dobrze uraczony, nie myślał już o niczem więcej, ani o przeszłości, ani o przyszłości. Ale mamy przed sobą wydobyty przez założyciela biblioteki Ossolińskich z archiwum wiedeńskiego oryginał relacyi przez ówczesnego gubernatora galicyjskiego hr. Brigido d. 18 września 1782 r., bezpośrednio do cesarza Józefa II wystosowanej. Zasługuje ona na przytoczenie w całości, chociażby tylko jako *curiosum* nieobojętne dla charakterystyki tych czasów.

»Plac przed kościołem pojezuickim — pisze hr. Brigido — zajęły z trzech stron, oprócz batalionów lwowskiej załogi, dwa umyślnie na tę uroczystość sprowadzone oddziały szwoleżerów, a z czwartej strony placu ustawiło się mieszczaństwo w grupach cechowych ze sztandarami. Przed kościołem stała także część załogi. Pierwszy sekretarz gubernialny Feldhofer i sekretarz prezydyalny Wenger jechali w jednym powozie naprzód z dokumentem przywileju stanowego, za nimi wszyscy radcy gubernialni i fiscus królewski, a wkońcu ja sam w sześciokonnej karecie, dokoła trzech stron placu przez wojsko obsadzonych aż pod kościół, skąd naprzeciw mnie wyszli dwaj komisarze i zgromadzona szlachta. Poprzedzony przez personal gubernialny, udałem się przed wielki ołtarz, zasłonięty od góry do dołu czerwonym adamaszkiem z herbem Galicyi w środku. Ściany kościoła były także osłonięte taką samą materyą ze złotymi bortami. Po prawej stronie wielkiego ołtarza ustawiony był tron, obity czerwonym aksamitem ze złotymi bortami. Pod tronem stał tak samo ozdobiony fotel, a u góry zawieszony był portret cesarski. W środku kościoła przed wielkim, ołtarzem, stał na podniesieniu pokrytem czerwoną materyą adamaszkową stół, takąż materyą pokryty, z krzesłem dla mnie. Po lewej stronie na boku stał drugi stół dla królewskiego fiscusa i obu sekretarzy. Na chórze powyżej organów umieszczony był orzeł cesarski a podłoga była całkowicie tapetami wyłożona.

»Szlachta narodowa zajęła miejsca w kościele bez różnicy, chór i boczne miejsca były przeznaczone dla innej szlachty obojga płci, gości cywilnych i wojskowych oraz dla honoracyorów wszelkiego ro-

dzaju, którzy bardzo licznie pospieszyli na tę uroczystość i przez straże, ustawione u wszystkich drzwi, wpuszczani byli do kościoła, o ile to bez obawy przykrego ścisku możliwem było. Na przeznaczonym dla mnie stole złożono przywileje stanowe, a gdy zająłem krzesło dla mnie ustawione, fiscus i obaj sekretarze stanęli przy drugim stole. W krótkości przedstawiłem szlachcie dobrodziejstwo, jakie na nią z zaprowadzenia Stanów spływa, a potem kazałem pierwszemu sekretarzowi Feldhoferowi odczytać głośno przywilej. Po nim fiscus odczytał głośno i dobitnie treść przysięgi, złożyć się mającej, a sekretarz prezydyalny Wenger przypomnienie, że zgromadzona szlachta ma trzy palce do góry podnieść i za mną powtarzać formułę przysięgi, którą też potem wygłosiłem i którą za mną wszyscy powtórzyli. Teraz ozwała się pierwsza salwa karabinowa, dana przez wojsko pod kościołem ustawione, a zarazem salwa z dział na wałach. Potem wygłosiłem krótką przemowę, na którą imieniem całej szlachty odpowiedział łaciński arcybiskup Kicki, dobrze ułożonem podziękowaniem. Po tej mowie szlachta w całym komplecie udała się do kościoła katedralnego, dokąd i ja udałem się w takiem samem otoczeniu i w takim samym porządku, jak do kościoła pojezuickiego. Podczas podniesienia ozwała się druga salwa karabinowa i działowa, a gdy arcybiskup Kicki zaintonował »Te Deum«, dano trzecią salwę.

»Po skończonem nabożeństwie w ten sam sposób odjechałem do mojego mieszkania, gdzie odbył się obiad dla znakomitszych osób ze szlachty, dla biskupów, szefów samodzielnych urzędów, generałów i oficerów sztabowych, razem około 40 osób. Podczas obiadu trzy razy, t. j. przy toastach na pomyślność Najjaśniejszego Pana, najdostojniejszego domu cesarskiego i Stanów, zagrzmiało 44 dział wśród wesołego odgłosu podwójnego chóru trąb i kotłów. Na przyjęcie szlachty wynajęto dom Korytowskich, w którym zastawiono sześć stołów dwa po 60 a cztery po 20 nakryć. Wieczorem odbyła się u mnie kolacya na 40—50 osób, a potem w domu Korytowskich bezpłatna reduta, na którą szlachta, radcy i oficerowie mieli wstęp wolny, a inni znamienitsi urzędnicy nieszlacheckiego pochodzenia, członkowie magistratu i mieszczaństwo za biletami. Pokoje piętrowe, w których znajdowała się muzyka, były na tańce przeznaczone, a na dole podawano każdemu chłodniki, zimne potrawy i wino.

»Następnego dnia, 12 września, były u mnie znowu, obiad i kolacya, a w domu Korytowskich zastawiono powtórnie sześć sto-

łów na 200 osób, dnia 13 września oprócz obiadów urządziłem wieczorem przyjęcie, na którem przybywających ugościłem chłodnikami różnego rodzaju.

»Dnia 14 września odbyło się pierwsze zgromadzenie Stanów, na którem wybrano deputatów do wydziału, sekretarza stanowego i archiwaryusza. Potem były obiady u mnie i w domu Korytowskich, a wieczorem spalone zostały, przez umyślnie na tę uroczystość sprowadzonego, wiedeńskiego pirotechnika Stuwera, ognie sztuczne, którym wszyscy przypatrywać się mogli. Dla dam i szlachty urządzono osobną galeryę, z której wygodniej można było oglądać to przedstawienie. Wreszcie 15 września po obiadach, danych tak samo, jak poprzednio, i po kolacyi u mnie, zakończono pięciodniowe uroczystości ponowną, bezpłatną redutą. Proszonym na obiady członkom Stanów i reszcie szlachty oraz oficerom sztabowym rozdałem u siebie, każdemu własnoręcznie, a w domu Korytowskich przez komisarzy przy każdym stole posadzonych, małe złote i duże oraz mniejsze srebrne monety pamiątkowe. Tylko znakomitsi magnaci i szefowie otrzymali duże, złote medaliony«.

Końcowy punkt całego programu przyjęć gubernatorskich, bezpłatna reduta, stanowił niejako symboliczny finał tej maskarady konstytucyjnej, która byłaby kompletną, gdyby w powyższej relacyi hr. Brigida znajdował się jeszcze ustęp o tłumach ludności, witających entuzyastycznymi okrzykami rządowych i stanowych matadorów za każdem ich pompatycznem pojawieniem się na ulicy. Niema jednak takiego ustępu w relacyi gubernatorskiej, czego zapewne nie należy położyć na karb zapomnienia lub skromnej dyskrecyi. Hr. Brigido był nadto poważnym, a do tego i prawym, żeby to chciał wprost zmyśleć dla przypodobania się swojemu monarsze, chociaż podczas festynów gubernatorskich, zwłaszcza podczas obliczonych na rozweselenie pospólstwa, pewnie nie obeszło się bez tłumu gapiów, w których bez kontroli wmówić można było wezbrane uczucia lojalności i zachwytu dynastycznego. Hr. Brigido był wogóle wstrzemięźliwym w opisywaniu hałaśliwych uroczystości stanowych, z czego jak niemniej z innych szczegółów, mianowicie ze znacznych wydatków, oczywiście ze skarbu państwa pokrytych, i z wysłania pirotechnika wiedeńskiego do Lwowa wnosić można, że był nie autorem, lecz tylko ścisłym wykonawcą podyktowanego mu w Wiedniu programu festynowego.

W inny jednak sposób, za pomysłem i wpływem hr. Brigida,

skompletowana została cała ta maskarada konstytucyjna. Grono członków zebrania stanowego, prędzej na własny rachunek niż z jego upoważnienia, wystosowało do cesarza Józefa II, zaraz po zakończeniu uroczystości instalacyjnych, adres dziękczynny, pełen uwielbienia dla monarchy, tak samo, jak pełną przesady była cała ta uroczystość. Historyk upatrujący w utworzeniu galicyjskiej gwardyi szlacheckiej dla parady dworskiej w Wiedniu ujawnienie dążności do wyniesienia Galicyi na równe Węgrom stanowisko konstytucyjne, mógłby snadnie w tym adresie znaleźć dowód, że także i w ówczesnym nastroju szlachty polskiej w Galicyi przebłysła świadomość tej dążności, wraz z pełnem zaufaniem do przyszłych rządów Austryi w Galicyi. Oto brzmienie tego adresu, napisanego po francusku, a podpisanego przez Andrzeja hr. Zamoyskiego, Ignacego hr. Cetnera, Antoniego hr. Krasickiego, Michała Wielhorskiego, Józefa Bratkowskiego i Samuela Lewickiego:

»Od czasu przejścia pod rządy dostojnej dynastyi austryackiej aż do tej chwili szlachta Galicyi i Lodomeryi nie mogła jej złożyć innych dowodów swojego oddania i przywiązania, jak tylko swoją powolnością, uległością i ślepem posłuszeństwem *(l'obéissance la plus aveugle)*. Wprawdzie nagła zmiana rządu z początku przeraziła umysły ludności zawsze bardzo przejętej, a nawet zentuzyazmowanej swoją wolnością, wprawdzie pierwsze rozporządzenia wzbudziły w niej pewną trwogę, a nawet przestrach paniczny, co stanowi naturalny i nieunikniony skutek wszelkiej nowości, następstwa jednak zaczęły rychło rozpraszać obawy i odsłaniać realne korzyści, które stanowczo zapewnia rząd uważający za swoją podstawę, dyrektywę i cel, dobro każdej jednostki i szczęście całego kraju. Odkąd naród poznał Waszą Cesarską Mość, odkąd spostrzegł, że jego monarcha chce wysłuchać życzliwie i bez różnicy wszystkich swoich poddanych oraz przyjmować dobrotliwie ich zażalenia, odkąd naród uczuł skutek ojcowskiej troskliwości W. C. M. w sprawie monopolu soli, wszystkie jego obawy znikły, a w ich miejsce wstąpiła nadzieja najlepsza. W końcu ustanowienie Stanów przekonało nas, że bez predylekcyi dla dawnych poddanych, W. C. M. korzyści nowych poddanych zalicza do swoich najszczerszych zajęć. Zapewniając uszczęśliwienie wszystkim klasom ludności, W. C. M. daje poznać całemu światu, że nie chce mieć niewolników w żadnym kraju swoim. Czyż można sobie wyobrazić motyw silniejszy, aby przywiązać nas wszystkich węzłami nierozerwalnymi

do naszej ojczyzny i do naszego monarchy? Hasło monarchy, który zaznacza początek rządów swoich aktami ludzkości, szlachetności i podniosłości ducha, może tylko podniecić gorliwość każdego poddanego, a wzbudzając w nim cześć, miłość i zaufanie tak go nastroić, aby niezawodnie stał się zarówno wiernym poddanym, jak i pożytecznym obywatelem. Uznajemy wszystkie te korzyści. Przejęci najżywszą i najszczerszą wdzięcznością ośmielamy się prosić W. C. M. o pozwolenie, aby przynajmniej dwaj nasi współobywatele mogli bez kosztów dla Stanów zanieść do stóp tronu nasze serca przepełnione miłością, wiernością, przywiązaniem i najzupełniejszem poświęceniem. Ogłoszenie przywilejów, zawartych w ostatnim dyplomie, stanowić będzie w naszych annalach epokę na zawsze pamiętną. Pragniemy tego, aby akt ten, uwydatniający tak dobrze w naszych oczach podniosłość duchową W. C. M. i wnoszący fundamenta dla szczęśliwości nowego ludu W. C. M., został wydrukowany i opublikowany całemu narodowi w tym celu, aby każdy mógł nieustannie żywić w sercu swojem obowiązki wierności i pobudki wdzięczności«.

Jakiż to smutny obraz zgnębienia, upadku na duchu, jednem słowem, zupełnej prostracyi przedstawia się w tym adresie! O biedzie i potrzebach kraju niema ani słówka, a gęstą mgłą frazeologii adresowej osłonięto lakoniczną tylko wzmiankę o pierwszych rozporządzeniach rządu austryackiego w Galicyi, które wzbudziły »pewną trwogę, a nawet przestrach paniczny« i zaraz potem autorowie adresu, jak gdyby okazać chcieli, że ten przestrach jeszcze ich nie opuścił w chwili pisania adresu, nazywają to wszystko tylko »naturalnym i nieuniknionym skutkiem wszelkiej nowości« i rozpływają się w uwielbianiu całego postępowania Józefa II. Wprost już na śmieszność zakrawa ostatni ustęp, gdzie, jakby o jaką wielką łaskę, autorowie adresu proszą o pozwolenie, aby dwaj współobywatele mogli własnym kosztem pojechać do Wiednia i powtórzyć u stóp tronu całą w adresie zawartą frazeologię dziękczynną. Co stanowi obowiązek każdego rządu wogóle, t. j. jak najszersza publikacya wszystkich ustaw i rozporządzeń, a tem więcej takich aktów konstytucyjnych, jakim wrzekomo był nowy dyplom stanowy, to w adresie przedstawione jest jako pragnienie, którego spełnienie miałoby oczywiście być poczytane za nowy dowód monarszej łaskawości i w konsekwencyi może za pretekst do nowego adresu dziękczynnego.

W kilka lat później świeży prąd polityczny, który z sejmu war-

szawskiego, przygotowującego konstytucyę majową, pomimo czujności kordonowej dostał się do Galicyi, jakby cudowną siłą pokrzepił i ożywił ducha publicznego w całem polskiem społeczeństwie Galicyi. Z innego jeszcze powodu sytuacya uległa tutaj zupełnej zmianie. Do następcy zmarłego Józefa II, do cesarza Leopolda II, którego wstąpienie na tron poprzedziły wielką otuchę wzbudzające wiadomości o zapowiadającym się nowym systemie rządów, pospieszyła do Wiednia już bez poprzedniego błagania o pozwolenie i nie na własną rękę, lecz za zgodą całego obywatelstwa polskiego, nowa deputacya galicyjska z nowym adresem albo raczej memoryałem i z projektem nowej konstytucyi dla Galicyi, projektem szczegółowo opracowanym, oryginalnym i zupełnie odmiennym od szablonu stanowego, reklamującym dla Galicyi stanowisko odrębne, pod niejednym względem wybitniejsze od tego, jakie w monarchii Węgry zajmowały. Jakże odmiennie od adresu brzmi memoryał, wręczony w 1790 r. cesarzowi Leopoldowi II, a podpisany przez Stanisława ks. Jabłonowskiego, Mikołaja hr. Potockiego, Józefa Maxymiliana hr. Ossolińskiego, Jana hr. Bąkowskiego, Piotra Zabilskiego i Jana Batowskiego.

Dla zaznaczenia wielce charakterystycznego kontrastu między poprzednim a tym nowym adresem, przytoczymy tutaj tylko urywkowe ustępy, które stanowią formalne *desaveu* tego wszystkiego, co przedtem o rządach austryackich wypowiedziano w adresie józefińskim, które zatem jako tym razem szczere wynurzenie, uważać należy za wierny wyraz opinii całego obywatelstwa o całem dotychczasowem postępowaniu rządów austryackich w Galicyi.

»Bez przesady można powiedzieć — mówi nowy adres — że Galicya, która dawniej Wisłą, Bugiem i Sanem wywoziła wielką część swoich produktów na targi nad Bałtykiem, popadła obecnie w zależność od sąsiadów, nawet co do warunków egzystencyi, a pozbawiona zupełnie handlu wywozowego, sprowadza artykuły żywności z Polski, inne przedmioty zaś potrzebne do codziennego życia z innych prowincyi monarchii, wskutek czego znany jej jest tylko najgorszy rodzaj handlu, t. j. handel przywozowy. Rolnictwo, ta silna podstawa bogactwa krajowego w państwie, a jedyne źródło bogactwa w kraju rolniczym, zupełnie upadło w Galicyi. Jej ludność zmniejsza się widocznie z dnia na dzień, pieniądz odpływa z niej ku zagranicy, odsetki od kapitału idą w górę, wartość dóbr spada, a z tych, co w chwili rewindykacyi uchodzili za majętnych, dziś zaledwie niektó-

rzy dobrze się mają. Kapitaliści, którzy pragnęli zostać właścicielami ziemskimi, zaraz po nabyciu majątków ziemskich znaleźli się wobec grozy bankructwa. Wysokość podatków przewyższa czysty dochód opodatkowanych, a ciężary pośrednie pozbawiają ich nawet tego, co jest do życia potrzebnem. Wszystko jest obłożone ciężarami, nie wyjmując kapitałów ulokowanych po za krajem pod osłoną innego rządu. Narodowość polska unicestwiona, zamiast być częścią integralną monarchii, stała się poddaną narodu panującego. Obywatel, usunięty od wszelkiej funkcyi w administracyi, stał się obcym we własnej ojczyźnie, nie może ani dostąpić zaszczytu służenia krajowi, ani znaleźć sposobu dopełnienia najwyższych obowiązków wobec kraju i swojego monarchy. Nie wiele braknie, żeby interesa prywatne, tak samo jak publiczne, dostały się w ręce obcych przez zaprowadzenie w trybunałach sądowych języka, którego nie z własnej winy nie znamy. Stany są tylko cieniem, przedstawiającym faktycznie unicestwioną narodowość, a wskutek błędnej organizacyi nie są nawet w stanie u stóp tronu wyrazić żalów i zwątpienia całego narodu... Wolność naturalna i obywatelska, prawa nienaruszalne człowieka i obywatela, są skrępowane więzami wielu przepisów, które bądź to temu, kto w kraju rodzinnym popadł w niełaskę, uniemożliwiają szukanie lepszego losu po za jego granicami i opuszczenie społeczeństwa, w którem czuje się nieszczęśliwym, bądź krępują właściciela w rozporządzeniu mieniem, zdobytem w pocie czoła. Nawet notorycznie nieposzlakowani ludzie drżą na myśl prawa karnego, gdyż błędy, uchybienia i przestępstwa są pomieszane ze zbrodniami i dotknięte takim samym rodzajem kary, wcale nieustopniowanej według głosu opinii. W stosunkach domowych nie istnieje już ta łączność interesów, która niegdyś wzmacniała węzły rodzinne. Dziedzic widzi w włościaninie człowieka ciągnącego korzyści z jego strat, a włościanin upojony jest nadzieją, że zabierze resztę uprawnień dziedzica. Ów węzeł władzy, który utrzymywał wszystkich poddanych, jednych przez drugich, w zawisłości od władzy najwyższej, za pomocą którego szef ustroju politycznego silnie oddziaływał nawet na klasy najwięcej od centru akcyi oddalone, został zerwany. Niemniej smutnem jest to, że zaufanie, mające łączyć członków państwa z rządem, zostało od chwili, gdy on nie dopełnił wielu zobowiązań, zaciągniętych wobec poszczególnych obywateli, tak zachwiane, iż nawet najkorzystniejsze jego propozycye przyjmowane są z nieufnością. Ustawy dawne pozostają bez mocy, a ponieważ nowe

nie są wcale zastosowane do fizycznych i moralnych potrzeb kraju, ani nie zostały dotąd pod innymi względami skrupulatnie rozważone [1]); gdy za jednym zamachem obalono dawne urządzenia, jak wiele przyczyniać się musi do dowolności niższych organów brak ścisłości w rozporządzeniach, mnogość zakazów rozmaitych i niestałość systemów! Najlojalniejszy obywatel nie zdoła uniknąć tego, żeby się nie stał winnym jakiego przekroczenia. Władza wykonawcza nie jest wprawdzie dość silną, aby utrzymać w mocy ustawę szkodliwą dla całego kraju, ale aż nadto jest silną, gdy chodzi o jej przeparcie na udręczenie jednostki. Jest to niewątpliwie najsmutniejsze położenie społeczeństwa, jeżeli ustawa, mająca jak tarcza zasłaniać spokojnego obywatela, zostaje przeciw niemu skierowana, jakby broń zaczepna, jeżeli urzędnicy, powołani do wykonania najwyższej woli, przez interpretacyę ustaw uzurpują dla siebie niejako władzę ustawodawczą, gdy wreszcie sami urzędnicy mogą nadto jeszcze zaostrzać surowość rozporządzeń dokuczliwością osobistych charakterów. To też w takim stanie rzeczy, istotnie jesteśmy wystawieni na despotyzm urzędników cyrkularnych i wydani na pastwę tłumu komisarzy. Nawet sądownictwo powiększa brzemię ciężarów. Nie rozwija ono dostatecznej siły, aby zabezpieczyć własność i wolność obywateli, aby osłaniać i bronić niewinnych. Przemożna w kraju jurysdykcya polityczna przygniata powagę sądownictwa... Nasze dolegliwości wzrastają nieustannie, a sprawa pańszczyźniana doprowadziła je do szczytu... Taki jest smutny, ale prawdziwy obraz naszego położenia. Tylko mądrość Waszej Cesarskiej Mości może ustrzedz wiernych poddanych od ruiny, grożącej z anarchii, której na pastwę jesteśmy oddani«.

O galicyjskim projekcie konstytucyjnym z r. 1790, o obradach prowadzonych w tej sprawie w najwyższej warowni biurokratyzmu austryackiego, w kancelaryi nadwornej, częściowo i chwilowo przy udziale deputatów galicyjskich i o upadku projektu, z przedwczesnym zgonem cesarza Leopolda II, posiadamy monografię wyczerpującą co do żądań sformułowanych w poszczególnych punktach projektu [2]). Czy-

---

[1]) W oryginalnem brzmieniu: »...ni ne sont scrupuleusement pesées dans leurs autres rapports...« Por. rękopis Zakł. Nar. Ossolińskich. Nr. 525, cz. II, k. 616—617. (Przyp. wydawcy).

[2]) Prof. dr. Stanisław Starzyński: Projekt galicyjskiej konstytucyi 1790 r. Charta Leopoldina — Lwów, 1893 r.

telnika, chcącego poznać w całości ten bardzo ciekawy akt polityczny z doby porozbiorowej, musimy odesłać do tej monografii. Tutaj zaznaczymy tylko, że dzisiejsze pokolenie polityczne, które tak wiele rozprawia o planie wyodrębnienia Galicyi, a nie zdobyło się jeszcze dotąd na pozytywny, w szczegółowem sformułowaniu postulatów i sposobu ich wykonania wykończony projekt, powinno być oględne i pobłażliwe w wydawaniu sądów o tym akcie z przed zwyż 120 lat, mianowicie o jego nieskładności, do pewnego stopnia nawet naiwności ze stanowiska postulatów, które dzisiejsza nauka o państwie stawia co do stosunku władzy ustawodawczej do wykonawczej i t. p. Zresztą w całkowitą wykonalność tego projektu nie wierzyli zapewne sami twórcy. W każdym razie jednak mogli spodziewać się, że życzliwym dla Galicyi intencyom cesarza Leopolda II dostarczyli pożądanego substratu do takiego unormowania ustroju konstytucyjnego tej prowincyi, jakie w danych warunkach najlepiej odpowiedziałoby tak narodowym aspiracyom społeczeństwa polskiego, jak i interesowi państwa pod względem utrwalenia rządów w najświeższym nabytku terytoryalnym.

Akcya deputatów galicyjskich w Wiedniu ożywiła nadzwyczajnie polityczne życie w ówczesnem społeczeństwie polskiem Galicyi. Pozawiązywały się, pod okiem dość liberalnie na cały ten ruch patrzącego gubernatora hr. Brigida, komitety obywatelskie w stolicy i w kraju, toczyły się na nich ożywione obrady i prowadzona była między ich członkami obfita korespondencya, jednem słowem rozbudziło się chwilowo takie życie polityczne, jakiego nie było jeszcze w Galicyi od chwili jej przyłączenia do Austryi, jakiego nie można było nawet oczekiwać po martwocie józefińskiego okresu, kiedy to »powolna, uległa i ślepo posłuszna« szlachta streszczała swoje adresowe dezyderaty w błagalnej prośbie o — opublikowanie dyplomu stanowego! Z pism i listów, przechowanych z tej doby w rękopiśmiennych zbiorach lwowskiego Zakładu Ossolińskich, powziąć można nawet korzystne wyobrażenie o rozbudzonym, za wpływem jednoczesnej akcyi sejmu czteroletniego, zmyśle politycznym w nowowstępujących na widownię działaczach publicznych. Z wielką ostrożnością np. rozbierana jest myśl, poruszona wówczas nietylko w kraju lecz także i w Węgrzech, aby z tytułu rewindykacyjnego wysnuć żądanie przyłączenia Galicyi do królestwa węgierskiego. Późniejsze wypadki, nie mówiąc już o najświeższych, wykazały słuszność tej ostrożności i nieufności.

Deputaci galicyjscy w Wiedniu trafnie ocenili potęgę biurokracyi i dlatego z największą usilnością dążyli do tego, aby ona nie stanęła między nimi a cesarzem Leopoldem II, z którego ust na audyencyi usłyszeli wiele oświadczeń zachęcających. Z drugiej strony znowu, biurokracya, opierająca całą potęgę swoją na odgrodzeniu murem chińskim poddanych od monarchy, widziała, że gdyby co do Galicyi powiódł się zamach na tę podstawę jej wszechmocy, to z poniesionej klęski, albo wcale, albo nie rychło mogłaby się podźwignąć. Gdy cesarz zdawał się być skłonnym do uwzględnienia życzeń deputatów, aby dwaj z ich grona pozostali w Wiedniu i uczestniczyli w obradach komisyjnych kancelaryi nadwornej nad wniesionym projektem konstytucyjnym, jędza biurokratyczna rzuciła się z całą zaciekłością przeciw temu żądaniu. W ówczesnych protokołach wiedeńskiej kancelaryi nadwornej mieści się zjadliwe oświadczenie w tej mierze. Komisya uznaje w tem oświadczeniu »usunięcie galicyjskich deputatów od wszelkiego dalszego wpływu na załatwienie spraw krajowych, rzeczą jak najdobitniejszej konieczności i jak najwyższej wagi« i tak mówi dalej: »Nie można sobie wystawić nic więcej poniżającego dla tronu, nic zgubniejszego jako przykład dla innych prowincyi, jak samo wejście w rozprawę z deputatami galicyjskimi w sposób formalny... Propozycye ich są tego rodzaju, że dziwić się należy, iż one wogóle powstać mogły... Naród jest spokojny i spokojnie oczekuje decyzyi Waszej Cesarskiej Mości o przyszłej konstytucyi krajowej. Przyjmie ją też z uczuciem wdzięczności i uległości, jeżeli tylko rozmyślnie nie zostanie przeszkoda w tej mierze postawiona. A dopuszczenie deputatów do obrad niezawodnie wywołałoby ten skutek zgubny. Już w pierwszej chwili, zanim jeszcze co w znanej sprawie postanowiono, gdy dopiero toczyły się rozmowy między referentem galicyjskim a hr. Ossolińskim, korespondencya deputatów z różnemi osobami w Galicyi sprowadziła nieprzyjemności. Raz obiegała po kraju lista urzędników, których oddalenia deputaci wyjednać mieli, a z których wielu, zaniepokojonych o swoją przyszłą egzystencyę, popadło w bezczynność w służbie, drugi raz znowu rozsiewano inne baśnie, zawsze obliczone na rozluźnienie węzłów posłuszeństwa. Czegoż dopiero możnaby oczekiwać po legalnej interwencyi deputatów w obradach kancelaryi nadwornej? Każda poczta rozwozić będzie wiadomości o ich patryotycznej walce z ministerstwem. Wskutek tego wszystkie głowy na nowo się rozgorączkują, wzrośnie nieufność szla-

chty wobec rządu, a wreszcie według naturalnej dyspozycyi u ludzi, których oczekiwanie zwrócono w naprężeniu ku rzeczom nadzwyczajnym, uwaga powszechna zwróci się nie na przyznane, lecz na odrzucone żądania«.

Zaniepokojonej biurokracyi przyszły w pomoc wypadki dziejowego znaczenia: przedwczesny zgon cesarza Leopolda II, po dwuletniem zaledwie panowaniu, i zwrot niepomyślny konstytucyjno-regeneracyjnej akcyi sejmu warszawskiego. Z cesarzem Leopoldem II poszły do grobu nadzieje i szanse, że Galicya otrzyma jeżeli nie konstytucyę w zakroju, jaki jej deputaci lwowscy zakreślili, to przynajmniej w najgorszym razie takie udoskonalenie ustroju stanowego, aby społeczeństwu polskiemu dane były warunki normalnego życia i rozwoju pod względem narodowym i ekonomicznym. Cesarz Leopold II żywił dobre intencye dla Galicyi, a nadto liczył się z tem, że akcya sejmu czteroletniego mogłaby w danym razie zachwiać rządy austryackie w Galicyi. W jego następcy, cesarzu Franciszku I, motyw pierwszy był wykluczony, a motyw drugi, wobec wypadków, jakie się za kordonem rozgrywać zaczęły, wychodził z rachuby politycznej. Nadto od zachodu zachmurzył się widnokrąg, tak, że w przewidywaniu wielkiej i długiej zawieruchy wojennej, uwaga dotąd na sprawy wewnętrzne zwrócona, zupełnie osłabnąć musiała.

Rozwiały się wszystkie nadzieje Galicyi łączone z projektem konstytucyjnym z r. 1790, ale całkiem na marne nie poszła ta akcya. Związana genetycznie z akcyą sejmu czteroletniego, stanowiła ona, jak to już zaznaczyliśmy, ożywczy prąd polityczny, który omdlewające w dusznej atmosferze józefińskiego okresu społeczeństwo polskie w Galicyi pokrzepił w poczuciu narodowem i wzmocnił w świadomości i energii sił, a tem samem zahartował do znoszenia dalszych przejść i dolegliwości.

Im. F. Dan...

II.

Z historyi Stanów galicyjskich (II).

Po cesarzu skłonnym i zdolnym do traktowania spraw konstytucyjnych z szerszego widnokręgu politycznego, wstąpił na tron Habsburgów cesarz, który formalną czuł odrazę już nietylko do treści, lecz nawet do samego brzmienia wyrazu: konstytucya. Lekarz przyboczny cesarza Franciszka I, br. Stifft, opowiadał — a opowiadanie to dosłownie zapisali współcześni pamiętnikarze — że gdy raz w rozmowie z cesarzem podnosił jego zdrowie i wogóle silną konstytucyę organizmu, usłyszał z ust cesarskich te słowa, wypowiedziane z pewną indygnacyą: »Co też pan mówisz! Jesteśmy starzy znajomi i dobrze z sobą, ale panie Stifft, tego słowa nie chcę nigdy od ciebie słyszeć. Mów pan, że mam wytrwałą naturę, albo — niech już i tak będzie — dobrą kompleksyę, ale dobrej konstytucyi nigdzie niema. Żadnej konstytucyi nie mam i nigdy jej mieć nie będę«.

Po cesarzu, uczuwającym niemile nieznośne więzy biurokratycznej metody rządów i jej zapory na każdym kroku, a tem samem skłonnym do liberalnego wyemancypowania się z tradycyjnej martwoty, zasiadł na tronie austryackim monarcha, który w tej metodzie był rozmiłowany. Cesarz Franciszek I z wielką pasyą zagrzebywał się w aktach, jak skostniały biurokrata i nie mając świadomości, jak dalece opóźnia tem tok spraw i jak wiele tem szkody państwu i interesowanym poddanym wyrządza, chełpił się swoją drobiazgową pracowitością biurokratyczną; mówił często, wprawdzie żartobliwie, ale z pewnym odcieniem dumy, że mógłby być »bardzo użytecznym hofratem«.

Dla cesarza-hofrata nawet bez tych wypadków, które, jak powiedzieliśmy, ubiły galicyjski projekt konstytucyjny, nie miałby on żadnego znaczenia. Cesarz-hofrat byłby się nawet chętnie obszedł bez kusych Stanów kreacyi józefińskiej, gdyby chodziło było tylko o sam interes Galicyi. Nie było to jednak rzeczą obojętną dla państwa, żeby jedna tylko Galicya, pomiędzy wszystkiemi prowincyami, miała być Stanów pozbawiona. Mogłoby to bowiem było uchodzić za stan odrębności w tem znaczeniu, że Austrya nie ustaliła się jeszcze w najmłodszej prowincyi swojej i jest chwiejną co do sposobu rządzenia. Takiego pojmowania rzeczy nie należało nawet z pozorów dopuścić w porze tak burzliwej, gdy zmienne koleje wojenne miały się tak silnie odbijać na granicach państwa, zwłaszcza na granicach posiadłości polskich.

Brak sejmu stanowego, albo raczej brak wydziału stanowego, jako jego stale urzędującego organu wykonawczego, który sejm z łona swojego za zatwierdzeniem cesarskiem miał na sześć lat wybierać, a do którego nielicznych i niedoniosłych atrybucyi należało także »najuniżeńsze« czy »najposłuszniejsze« odpowiadanie na zapytania gubernialne co do zamierzonych w Wiedniu nowych projektów lub urządzeń — uczuwały niejednokrotnie władze centralne, niezłomne w szablonowej metodzie traktowania kwestyi tego rodzaju, a tem samem przywiązujące wagę nawet do takiej niejako dekoracyjnej instytucyi. Wydziały te mogły być piątem kołem u wozu, ale nic to nie znaczyło, jeżeli biurokracya przyzwyczaiła się do — jazdy wozem o pięciu kołach!

Kiedy z innych prowincyi otrzymywano na zawołanie takie opinie wydziałów stanowych i na nich dało się oprzeć fikcyę biurokratyczną, że się posiada substrat potrzebny do wszechstronnego uwzględnienia stosunków i potrzeb każdego kraju, z Galicyi nie można było wydobyć takiego materyału. A właśnie dla utrzymania fikcyi powyższej, materyał galicyjski był najpotrzebniejszy w takich razach z tego powodu, że referent, bez popełnienia krzyczącego absurdu, nie mógł co do Galicyi, jako najmłodszej prowincyi państwa, wysnuwać tak samo, jak to co do innych prowincyi byłoby możliwem, analogii z reszty materyału, np. z operatu czeskiego lub styryjskiego. Trzeba więc było polegać na samej relacyi gubernatora, a ponieważ w pierwszym okresie rządów austryackich w Galicyi gubernatorowie często się zmieniali i jako zupełnie obcy krajowi nie łatwo i nie prędko zdo-

łali się oryentować, przeto relacye ich opóźniały się i stanowiły kruchą podstawę.

Kiedy w r. 1802 rząd centralny pod naciskiem wszystkich tych okoliczności, zamierzył wreszcie zwołać galicyjski sejm stanowy, głównie dla wyboru wydziału stanowego, pokazało się, że zastosowanie patentu józefińskiego z r. 1782, wydanego dla ówczesnej, z pierwszego podziału Polski przyznanej Austryi — Galicyi, do prowincyi powiększonej nabytkami nowymi z trzeciego podziału, nie da się przeprowadzić, bez poprzedniego rozwiązania niektórych kwestyi wątpliwych, albo raczej bez wydania nowego dyplomu stanowego. Toczyły się nad tem obrady w kancelaryi nadwornej, a ponieważ zdania wypowiedziane w tej mierze przez gubernatora galicyjskiego i przez członków tej kancelaryi, nie były zgodne, przeto przedłożono rzecz całą do decyzyi cesarzowi, który na samym akcie takie napisał postanowienie: »Kancelarya nadworna ma mi najpóźniej do ośmiu dni oznajmić, czy nie byłoby to najstosowniejsze wyjście, jeżelibym zastrzegł sobie wskazanie sześciu deputatów wydziału po części z wschodniej, po części z zachodniej Galicyi i ustanowił ich z dożywotnią funkcyą. Jeżeliby przeciw takiemu postępowaniu przemawiały ważne względy, należy mi je dokładnie przedstawić«.

Z tej decyzyi cesarskiej jasno się okazuje, że najpierw cała konstytucya stanowa uważana była nawet tam, skąd wyszła, za czczą tylko formę, skoro najważniejsza atrybucya sejmu stanowego, wybór deputatów wydziałowych, mogła być tak łatwo zignorowana; że powtóre, w ciągu kilku lat zaginął już na dworze wiedeńskim wszelki ślad rokowań, wywołanych życzliwemi dla Galicyi dyspozycyami cesarza Leopolda II, skoro cesarz Franciszek I zamierzał wcale nie oglądać się na to, jakie wrażenie sprawi w społeczeństwie polskiem takie doraźne zeskamotowanie nawet tej, dotąd posiadanej odrobiny konstytucyi czyli iluzyi konstytucyjnej.

Kancelarya nadworna, odpowiadając na polecenie cesarskie, nad wszelkie spodziewanie zajęła stanowisko odporne, uznając niestosowność takiej nominacyi deputatów, jaką cesarz wybór ich przez sejm zastąpić zamierzał. Był to niezawodnie dowód przewagi skrupułów nad powolnością biurokratyczną dla skinień monarszych, ale nie skrupułów konstytucyjnych, ani skrupułów podyktowanych względami na opinię i interesa społeczeństwa polskiego. Kancelarya nadworna uginała się zawsze pod ciężarem tylu skrupułów czysto biurokratycznej

natury, że na takie, jak powyższe, już w jej sumieniu absolutnie miejsca nie było. W jej obecnych deliberacyach przeważył ten wzgląd formalistyczny, że przedewszystkiem należy nowym dyplomem rozciągnąć józefińską konstytucyę stanową na zachodnią Galicyę, świeżo do państwa przyłączoną, a dopiero potem, po formie zwołać sejm i pomyśleć o wyborze stałego wydziału. Skoro zaś raz stanęło na tem, że ma być wydany nowy dyplom, powstała zaraz dalsza kwestya, czy i jak w nowym dyplomie zmienić należy niektóre postanowienia dawnego. Na ten temat nawiązano korespondencyę z gubernatorem galicyjskim i po wysłuchaniu jego opinii rozpoczęto dalsze deliberacye. Wlokły się one całe lato, a ich rezultat archiwalny łącznie z ciągłą w tym czasie korespondencyą z gubernatorem galicyjskim, stanowi monumentalny okaz ociężałości biurokracyi austryackiej. Cesarz Franciszek I nie tylko nie starał się przełamać jej szybką decyzyą, lecz owszem sam niejako zachęcający przykład dawał swoją notoryczną skłonnością do zaprzątania się drobiazgowymi szczegółami, kosztem omijanych, lub ciągle odraczanych ważniejszych kwestyi.

W rozwlekłych obradach osobno do tej sprawy ustanowionej komisyi kancelaryi nadwornej nie chodziło oczywiście o to, jak należy uzupełnić lub zmienić józefińską konstytucyę stanową w tym celu, aby ona ile możności odpowiadała parlamentarnym tradycyom i aspiracyom społeczeństwa nowo nabytej prowincyi, lecz o to, aby zwiększoną Galicyę w jak najprostszy sposób i w jak najkrótszej drodze wcisnąć niewolniczo w kusy szablon konstytucyjny dziedzicznych krajów monarchii. Szeroko omawiano w tych obradach sposób, w jaki nowy galicyjski sejm ma być złożony. Postanowienie dyplomu józefińskiego, że o prawie zasiadania szlachty w sejmie rozstrzyga cenzus podatkowy (75 złr. podatku dominikalnego), wydało się obradującym niepodobnem do utrzymania w mocy, gdyż w takim razie nie byłoby w całym kraju sali tak przestronnej, aby w niej zasiąść mogli wszyscy uprawnieni z wschodniej i zachodniej Galicyi. Musiała się zatem nie z dobrej woli, lecz siłą konieczności wyłonić myśl, żeby uprawniona do sejmowania szlachta wybierała z każdego obwodu po kilku członków ze swojego grona, ale zaraz odezwał się zarzut, że podobne zjazdy wyborcze szlachty przypominałyby dawne sejmiki polskie. Widmo sejmików wystarczyło, żeby myśl tę uznano niewykonalną. A do tego i sama idea wyborów zastraszać musiała skostniałych biurokratów. Zaczęło się zatem przemyśliwanie nad biuro-

kratycznymi sposobami takiego określenia cenzusu podatkowego, aby on bez wyborów mógł wystarczać za tytuł do zasiadania w sejmie, bez obawy, że zbyt wielu będzie powołanych do sejmowania.

Wszystkim tym, lata trwającym deliberacyom i korespondencyom informacyjnym, kres położyła katastrofa wojenna z r. 1809, po której Galicya austryacka tak się skurczyła, że kancelarya nadworna mogła ochłonąć z obawy — o brak sali na pomieszczenie sejmu stanowego! Teraz już łatwiejszem stało się przystosowanie dyplomu józefińskiego do nowej, skurczonej Galicyi, ale na Europę i Austryę spadła wkrótce potem znowu taka zawierucha wojenna, że wszystkie sprawy wewnętrzne musiały zejść na plan ostatni.

Dopiero w r. 1815 weszła w Wiedniu znowu na porządek dzienny sprawa konstytucyi galicyjskiej, ale już wśród zupełnie zmienionej sytuacyi. W dobie tych wielkich wypadków dziejowych, które poprzedziły kongres wiedeński, rozszerzył się także widnokrąg polityczny austryackich mężów stanu w tej sprawie, a nadto zamysły cesarza Aleksandra I, co do utworzenia Królestwa Polskiego, obudziły niepokój. To też już w początku r. 1815 ówczesny gubernator galicyjski hr. Goess, z własnej inicyatywy wystąpił z memoryałem, w którym, przedstawiając swoje pomysły co do załatwienia tak długo przewlekanej galicyjskiej sprawy konstytucyjnej, nazwał dotychczasową politykę rządu w Galicyi »małymi środkami w porównaniu z wielkim celem«. Cel ten bowiem »polega nie na samem tylko przestrzeganiu porządku i spokoju, lecz głównie na tem, aby ta wielka i ważna część składowa monarchii austryackiej została z nią jak najściślej połączona i nierozerwalnymi węzłami, wśród możliwych wypadków w przyszłości, zjednoczona«.

Hr. Goess posiadał zmysł polityczny i miał wcale jasny pogląd na sytuacyę. Toteż w memoryale swoim trafnie zwrócił uwagę rządu wiedeńskiego na fakt, że w danej chwili po upadku Napoleona i wśród zachodów kongresu około rekonstrukcyi zachwianego w całej Europie ustroju stosunków państwowych i międzynarodowych, Austryi nadarza się, jak nigdy przedtem, dobra sposobność do trwałego pozyskania sympatyi Polaków i ustalenia swojego panowania w Galicyi. Dopóki świeciła gwiazda Napoleona, urok jego imienia i historyczne sympatye Polaków dla Francyi, zwracały ku niej wszystkie myśli, uczucia i nadzieje narodu. »Chociaż — pisze dalej hr. Goess — wśród zmienionych stosunków Rosya obecnie stara się objąć rolę Francyi

i przybrać pozory państwa opiekuńczego z myślą wskrzeszenia Polski, to jednak z codziennej obserwacyi i nadchodzących relacyi już dziś stwierdzić to można, że nigdy nie zostanie wzbudzone w Polakach tak stałe i ofiarne zaufanie, jak dotąd dla Francyi i cesarza Napoleona, jakby ono prawdopodobnie znowu odżyło w razie rozbudzenia nowej nadziei. Można powiedzieć, że i teraz jeszcze cesarz Napoleon posiada nierównie więcej serdecznych zwolenników, aniżeli cesarz Aleksander... Chodzi tedy przedewszystkiem o to, aby dzisiejszą chwilę odpowiednio wyzyskać, a przynajmniej nie pozostać w tyle za interesowanemi państwami sąsiedniemi«. To też hr. Goessowi wydaje się to »ważnem, aby przynajmniej zamiar wydania i wykonania konstytucyi w Galicyi objawiony został ze strony rządu austryackiego prędzej, aniżeli Rosya i Prusy uczynią to w swoich ziemiach polskich, wskutek czego zabiegi Austryi wydawałyby się tylko naśladownictwem sąsiednich mocarstw«.

Przestrogę, że Austrya w postępowaniu wobec Polaków nie powinna pozostać w tyle za Rosyą i Prusami, powtarza jeszcze raz hr Goess w swoim memoryale, dodając, że byłoby pożądanem wziąć zamiary tych państw »pod uwagę i starać się, aby do nich zastosowane były dyspozycye austryackie co do Galicyi, przynajmniej pod względem formy. Formy bowiem wywierają wogóle wpływ na ducha polskiego narodu, który do zewnętrznej formy przywiązuje wielkie znaczenie i daje się zadowolić nazwami i pozorami często łatwiej, aniżeli rzeczywiście przyznanemi prawami i dobrodziejstwami, jeżeli tylko przestrzega się przytem ściśle sprawiedliwości i postępowania nie obrażającego poczucia honoru«. Ta, nie pozbawiona uprzedzeń, charakterystyka społeczeństwa polskiego powtarza się jeszcze i później. Nazywa bowiem hr. Goess naród polski wprost »płochym i lekkomyślnym, choć zarazem żywym i intellektualnie uposażonym«.

Hr. Goess miał na myśli jakiś rodzaj »reprezentacyi narodowej«, gdyż używa tej nazwy, zaleca uwzględnienie uczuć i wogóle właściwości charakteru społeczeństwa polskiego, w którym »przywiązanie do narodowości stanowi rys najwybitniejszy«, a w końcu zaznacza, że plan »przekształcenia Polaków w krótkim czasie na Niemców i gorliwych patryotów austryackich byłby czczem a nawet niebezpiecznem urojeniem«. Należy najpierw przywiązać Polaków do Austryi tak, aby nie oglądali się na inne części Polski po za Galicyą, a potem dopiero będzie można pozyskać w nich takich dobrych poddanych au-

stryackich, jakimi są poddani innych narodowości od wieków z monarchią austryacką połączonych.

Projektu konstytucyjnego delegacyi galicyjskiej z r. 1790 hr. Goess nie myślał wznowić, chociaż po ogólnych wstępnych uwagach memoryału wniosek taki wydawałby się naturalnym i chociaż, sądząc z całego tonu tego memoryału, pewnie nie podzielał wszystkich wątpliwości, w swoim czasie przez kancelaryę nadworną przeciw temu projektowi podniesionych. Chodziło jednak o to, żeby z jednej strony Austrya nie zaangażowała się wobec Polaków zanadto, a z drugiej strony jeszcze przed ogłoszeniem urządzeń konstytucyjnych dla ziem polskich pod berłem pruskiem i rosyjskiem zamanifestowała swoje intencye dla Galicyi, w sposób, zapobiegający wyprzedzeniu jej przez ewentualne, petersburskie i berlińskie zabiegi o pozyskanie sympatyi polskich.

Zaproponował tedy hr. Goess, aby, skoro kongres wiedeński zamknie swoje obrady nad sprawami polskiemi i dokona »nowej arondacyi« Galicyi, cesarz Franciszek objawił to wyraźnie, że zamyśla »nadać krajowi temu konstytucyę, odpowiadającą jego stosunkom i potrzebom«, a tymczasem poleca zwołanie ciała reprezentacyjnego, wybranego w tym celu, w sposób prowizorycznie *ad hoc* oznaczać się mający. Wybory te proponował hr. Goess w ten sposób przeprowadzić, aby każdy właściciel dóbr dominikalnych z krajowej szlachty, opłacający najmniej 150 złr. podatku z posiadłości swojej, przesłał właściwemu staroście spis 24 obywateli z równą kwalifikacyą podatkową, jako kandydatów do tego ciała reprezentacyjnego. Starostowie mieli wszystkie te spisy przedłożyć gubernium, któremu, przy udziale ośmiu w tym celu umyślnie dobranych najznakomitszych obywateli (3 z duchowieństwa, 4 ze szlachty i jednego z honorowego mieszczaństwa), przypadałoby niejako zadanie krajowej komisyi wyborczej, t. j. obliczanie wszystkich głosów. Na podstawie tego obliczenia miała odejść do Wiednia propozycya z 108 kandydatami (po 6 na każdy z 18 obwodów), na których padła największa liczba głosów.

Cały ten oryginalny proceder wyborczy nie dawał pewnej rękojmi, że do reprezentacyi dostaną się istotnie najpopularniejsi obywatele, gdyż gubernator nie zapomniał o zastrzeżeniach, któreby w danym razie umożliwiły władzy eliminowanie osobistości niemiłych dla rządu. W każdym razie jednak już i taki wybór stanowiłby był wielki

postęp wobec pierwotnej organizacyi sejmu stanowego, w którego skład wchodzili obywatele nie z wyboru, lecz z samego tytułu podatkowego do sejmowania powołani. Tem więcej uderza ten postęp, że oprócz owych 108 wybranych, właścicieli dóbr dominikalnych, w nowym sejmie, według wniosku hr. Goessa, zasiąść mieli nadto jeszcze, także z wyboru, reprezentaci miast z ludnością powyżej 5.000, duchowieństwa, korporacyi duchownych i naukowych, wreszcie kupiectwa miast główniejszych (Lwowa, Brodów i Białej). O sposobie wybierania reprezentantów tej drugiej kategoryi niema w memoryale bliższych wskazówek. Wszyscy ci wybrańcy stanowić mieli według słów hr. Goessa »pierwszą galicyjską reprezentacyę narodową z takiemi prawami i obowiązkami, jakie cesarz zakreślić miał dopiero na osobny, w tej mierze przedstawić się mający, wniosek«.

Hr. Goess pragnął szczerze pozyskać sfery rządowe w Wiedniu dla swojego projektu i wiele sobie po nim obiecywał. Przebija to z końcowej uwagi: »Zalecone tutaj — mówi — kroki przygotowawcze co do galicyjskiej konstytucyi czyli reprezentacyi narodowej, już same dla siebie odwróciłyby, w sposób nadzwyczaj korzystny, uwagę społeczeństwa galicyjskiego od stosunków zewnętrznych ku wewnętrznym krajowym interesom. Pragnienie uczestnictwa w liberalnych konstytucyach, ziemiom polskim pod panowaniem pruskiem i rosyjskiem nadać się mających, zostałoby zrównoważone przez oczekiwanie zapowiedzianej dla Galicyi konstytucyi, a Austrya zyskałaby dość czasu, aby, stosownie do okoliczności danej chwili i własnych zasad, zaprowadzić lub zmodyfikować konstytucye państw sąsiednich«.

Tak seryo i gorliwie pojmował hr. Goess interes Austryi w przelicytowaniu lub przynajmniej dorównaniu Prusom i Rosyi w zabiegach około pozyskania sympatyi polskich, że równocześnie zalecał cały szereg środków administracyjnych, do tego celu zmierzających, mianowicie powoływanie znakomitych obywateli na stanowiska radców przy urzędach obwodowych i sędziów pokoju, zawiązanie towarzystwa rolniczego, poskromienie dowolności władz cywilnych i wojskowych, szerokie zastosowanie amnestyi do obywateli skompromitowanych w wypadkach świeżo zamkniętej burzliwej doby wojennej, wreszcie nakłonienie cesarza do odwiedzenia Galicyi.

Du sublime au ridicule il n'ya q'un pas! Dotąd hr. Goess przemawiał jako mąż stanu z szerszym poglądem na rzeczy, nagle odezwała się w nim żyłka biurokraty i popchnęła go do owego fatal-

nego kroku, który, według francuskiego przysłowia, wiedzie do ośmieszenia. Między środkami bowiem, które miałyby zjednać społeczeństwo polskie w Galicyi dla Austryi, zaleca także i to z naciskiem — zaprowadzenie uniformu stanowego! Hr. Goess tak tę swoją propozycyę zaleca, jak gdyby szlachta polska w Galicyi marzyła tylko o rychłej zamianie przestronnych i barwnych strojów narodowych na obcisłe i kuse fraki austryacko-stanowe.

Gubernator hr. Goess pisał swój memoryał przed sfinalizowaniem traktatowych stypulacyi kongresu wiedeńskiego w sprawie polskiej. Patrzał na sytuacyę ze zbyt odległego punktu obserwacyjnego, ze Lwowa, nie połączonego w tych czasach z Wiedniem ani drutem telegraficzno-telefonicznym, ani nawet szyną kolejową. Nie mógł więc ani widzieć na własne oczy, ani w porę dowiadywać się, jak za kulisami kongresowemi układają się pomysły i plany dyplomatów w sprawie polskiej. Kombinował więc na własną rękę tak, jak mu stosunki wskazywać się zdawały, a widząc rozbudzone oczekiwanie w społeczeństwie polskiem, sądził, że państwa rozbiorcze będą musiały współzawodniczyć w jednaniu sobie sympatyi polskich.

Memoryał hr. Goessa nadszedł do Wiednia w chwili, gdy jeszcze nie rozegrał się ostatni akt dramatu napoleońskiego, ale uczestnicy kongresu już nie wątpili, że Napoleon po powrocie z Elby nie zdoła zebrać sił potrzebnych do dłuższego niepokojenia zwycięskiej koalicyi. Sprawa polska była już rozstrzygnięta tak, że cesarz Franciszek mógł być spokojny o swoje posiadłości polskie i wcale nie myślał o takiem współzawodnictwie, jakie mu zalecał hr. Goess, co do jednania sobie Polaków. Toteż od razu skierował memoryał jego na manowce biurokratyczne, t. j. oddał go kancelaryi nadwornej, zapewne z poleceniem, aby się wcale nie oglądała na rozwinięte w nim pomysły polityczne, lecz tylko ułożyła projekt wznowienia dawnej konstytucyi stanowej w nowo odgraniczonej prowincyi galicyjskiej. Że takie polecenie wyjść musiało od cesarza, tego domyślać się każe sposób, w jaki referenci kancelaryi nadwornej wzięli się do dzieła. Żaden z nich bowiem ani słówkiem nie wspomniał o potrzebie wyprzedzania lub prześcigania Rosyi i Prus w nadaniu Polakom konstytucyjnych gwarancyi narodowego życia i rozwoju, a wszyscy natomiast rozpisywali się na jedną nutę, zupełnie tak, jak gdyby mieli dać odpowiedź na pytanie z góry postawione i ułożyć szczegóły wykonania nakazu z góry otrzymanego.

Zaczęła się znowu tak rozwlekła i czcza pisanina na ten temat, że naprawdę podziwiać należy tych nieprześcignionych w swoim kunszcie biurokratów, którzy w tej tak doniosłej i gorącej dla Europy chwili, wśród przekształcania się państw i stosunków europejskich, spisywali o tej stosunkowo małej wagi sprawie bez opamiętania całe folianty z flegmą i spokojem pozazdroszczenia godnym. O memoryale hr. Goessa rozpisał się najpierw sam kanclerz ówczesny nadworny, hr. Lazansky, o jego pokaźnym referacie szeroko wypowiedział swoją opinię sam najwyższy szef kancelaryi nadwornej, hr. Ugarte, a cesarz Franciszek otrzymawszy cały stos aktów wydał decyzyę, że mają jeszcze dalej o tem pisać, najpierw prezydent gubernialny we Lwowie, br. Hauer, który po odwołanym hr. Goessie objął ster rządów krajowych, a potem galicyjski referent kancelaryi nadwornej, Widmann. Pisano więc jeszcze niemal dwa lata, rosła cała góra aktów, z pod której wreszcie w r. 1817 wyleźć miała drobna myszka owej karykaturalnej konstytucyi stanowej, która dopiero epilogiem swoim w roku 1848 zapisała się z historyczną trwałością w pamięci społeczeństwa polskiego.

A o czemże tak zapamiętale pisano? Najpierw bardzo szeroko o tem, jak ma opiewać tytuł pisma z cesarską decyzyą, czy przywilej, czy reskrypt, potem czy można, ewentualnie czy należy przyznać Stanom galicyjskim mundury w innych prowincyach zaprowadzone, wreszcie jaką płacę pobierać mają członkowie i urzędnicy wydziału stanowego i t. d. — słowem rozpisywano się szeroko i rozwlekle o mnóstwie drobnych i podrzędnych szczegółów, a kwestye politycznej doniosłości, podniesione w memoryale hr. Goessa, nie wyjmując nawet kwestyi zakresu działania sejmu stanowego, pozostały na boku nietknięte, albo tylko mimochodem i zlekka poruszone, jako już milcząco ubite, albo raczej niegodne nawet merytorycznego rozpatrzenia.

Jest to rzecz godna uwagi, że w miarę, jak bieg wypadków, mianowicie podpisanie traktatów wiedeńskich, poręczających Polakom we wszystkich dzielnicach instytucye narodowego życia i rozwoju, a jeszcze więcej ustanowienie Królestwa Polskiego, wzbudzać musiały w społeczeństwie polskiem Galicyi coraz większe oczekiwania, iż Austrya, chociaż już nie wyprzedzi, ani nie prześcignie Prus i Rosyi, to przynajmniej nie pozostanie w tyle za niemi, co do dopełnienia stypulacyi traktatowych, sprawa konstytucyjna Galicyi w swojej ciężkiej

wędrówce od Annasza do Kaifasza biurokratycznego w Wiedniu coraz dalej odbiegała od impulsu danego jej w memoryale gubernatora hr. Goessa. W r. 1816 w referatach kancelaryi nadwornej sprawa ta postawiona została już bez wszelkich ogródek na tem stanowisku, jakie jej wytknął cesarz Józef II w r. 1782, wprowadzając w życie sejm stanowy. Nie było już tedy mowy o jakiemś odmiennem traktowaniu Galicyi pod tym względem; nowo projektowana konstytucya stanowa miała niezbędnemi dla zmiany stosunków, a małoznaczącemi modyfikacyami, stanowić tylko wznowienie kreacyi józefińskiej, więc stać się niejako klamrą, przytwierdzającą silniej nową prowincyę do całości państwowej.

Tak postawiona została sprawa w rozstrzygającym końcowym referacie galicyjskiego referenta kancelaryi nadwornej, Widmanna, który już tylko mimochodem dla ostatecznego ubicia projektu hr. Goessa dodał takie charakterystyczne uwagi: »Traktat z 3 maja 1815 r. pozostawia kontrahentom wolne ręce co do nadania swoim dzielnicom polskim takiej konstytucyi, jaką sami za stosowną uznają. Jeżeliby Austrya, zamiast zrobić najodpowiedniejszy dla siebie użytek z tego postanowienia traktatowego, zechciała naśladować przykłady zagranicy lub nadać Galicyi konstytucyę, odbiegającą w ważnych punktach od tej, jaką dotąd posiadała, albo od tej, jaką w innych niemieckich prowincyach zaprowadzono, to zmianę przypisywanoby nie dobroci monarchy, lecz tajnym układom z dworami w Petersburgu i Berlinie, a stąd wynikłby niewłaściwy wpływ na nastrój umysłów w społeczeństwie polskiem... Rosya dopiero teraz nabyła tę część Księstwa Warszawskiego, która obecnie nosi nazwę Królestwa Polskiego, a objęła ją ze stanu wprost rewolucyjnego. Zupełne zlanie z państwem rosyjskiem było niewykonalne. Musiała tedy Rosya nadać krajowi konstytucyę, któraby zadowoliła wszystkie klasy ludności, poprzednio do reprezentacyi uprawnione. Jednakże zawahała się rozszerzyć tę konstytucyę na prowincye, które się jej w poprzednich podziałach Polski dostały. Przykład Rosyi nie może zachęcać Austryi, lecz raczej powinien powstrzymać ją od tego, aby miała zaprowadzać szerszą reprezentacyę w prowincyi, którą już przeszło 40 lat posiada i w której wielka masa ludności nie jest do tego przygotowana. Wreszcie nawet przy nadto daleko sięgających przyrzeczeniach dwór rosyjski mniej ryzykuje, aniżeli dwór austryacki, gdyż od pierwszego dworu nie oczekują ta-

kiej ścisłości w dopełnieniu przyrzeczeń tego rodzaju, jak od drugiego dworu«.

Cesarz Franciszek, rozpatrzywszy wszystkie elaboraty referentów kancelaryi nadwornej, taką na akcie zapisał decyzyę: »Ponieważ chcę Królestwo Galicyi postawić co do przyznanych korzyści na równi z innemi prowincyami niemieckiemi, przeto nadać chcę także i temu Królestwu konstytucyę stanową według tego, co przez ś. p. cesarza Józefa II w r. 1782 przyznane zostało, z potrzebnemi obecnie zmianami i modyfikacyami. Ta stanowa konstytucya ma być ogłoszona osobnym reskryptem, który tak samo, jak w moich prowincyach niemieckich, należy wydać w niemieckim języku z dodaniem tłómaczenia na język łaciński«. Stanęła tedy Galicya już oficyalnie i formalnie na równi z prowincyami niemieckiemi, czego dotąd tak wyraźnie nawet cesarz Józef II wypowiedzieć nie chciał. A stało się to — rzecz godna uwagi — właśnie po tym kongresie, który na pozór tak zabezpieczył dzielnicom polskim warunki narodowego życia i rozwoju.

W kilka miesięcy po powyższej decyzyi cesarza Franciszka ogłoszony został reskrypt konstytucyjny, wskrzeszający józefińską kreacyę pseudokonstytucyjną ze zmianami nic nieznaczącemi. *Pro foro externo* konstytucya z r. 1817 uchodzić miała za akt lojalnego zastosowania się do stypulacyi kongresu wiedeńskiego, a w rzeczywistości była aktem zignorowania tych stypulacyi. Cesarz Franciszek był zbyt ostrożny, żeby postąpił w ten sposób, nie upewniwszy się poprzednio, że z tego powodu nie popadnie bynajmniej w nieporozumienie z państwami współinteresowanemi co do postępowania wobec Polaków. Pewności takiej nie wzbudzały oczywiście kongresowe *verba scripta,* lecz zapewne ważniejsze dlań, chociaż niewyjawione na zewnątrz, zapewnienia poufne w czasie kongresu. Snać dobrze o tem wiedziano w kancelaryi nadwornej, skoro referent galicyjski Widmann bez zastrzeżeń tak charakterystyczne wypowiedział uwagi o problematycznej stałości sytuacyi konstytucyjnej w Królestwie Polskiem. W słowach jego, powyżej przytoczonych, mieści się niemal prorocze twierdzenie, że cała ta kreacya kongresu wiedeńskiego nie posiada żadnej rękojmi trwałości. Widmann sam nie byłby się odważył puścić z referatem swoim na flukta wysokiej polityki i stawiać dalekie horoskopy, jeżeliby nie miał dobrych informacyi ze sfer wtajemniczonych we wszystko, co na kongresie wiedeńskim po za jawnością traktatową omawiano w sferach dyplomatycznych w formie bliższych lub dalszych

planów, zwierzeń i przewidywań. Wszakżeż taki biurokrata, zasklepiony w ciasnym obrębie spraw administracyjnych, nie mógł duchem dywinacyjnym odgadnąć tego, czego wówczas najprzenikliwsi nawet politycy przewidzieć nie mogli, t. j. wypadków, które zaszły w kilkanaście lat później i umożliwiły przerzucenie na samych tylko Polaków całej winy za zwichnięcie dzieła kongresowego.

III.

Epilog Stanów galicyjskich (I).

Ostatnie sesye sejmu stanowego [1]).

W chwili rozszerzenia swojego panowania na Galicyę monarchia Habsburgów znajdowała się w końcowej fazie procesu dziejowego, u kresu przekształcenia się na scentralizowane państwo absolutne, pochłaniające wszystkie urządzenia polityczne, w których poszczególne kraje tego wielkiego konglomeratu państwowego posiadały rękojmie pewnej odrębności. Padły ofiarą tego procesu przedewszystkiem główne czynniki dawnego ustroju stanowo-konstytucyjnego, dawne sejmy ziemskie, które odtąd utrzymały się już tylko »jako — mówiąc słowami prof. Balzera [2]) — szczątkowy zabytek średniowiecznych urządzeń państwa stanowego, bez istotnego wpływu na rozwój życia publicznego, bez powagi i znaczenia nie tylko wobec rządu, ale i w społeczeństwie samem, jako martwy kształt rzeczy niegdyś żywotnej, z której uleciał duch, dawniej ją ożywiający. Wobec tego zrozumieć łatwo, dlaczego w niektórych krajach, świeżo przez Habsburgów nabytych, lub w niektórych innych odzyskanych po chwilowej utracie

---

[1]) »...wskutek opuszczenia kilku wierszy z rękopisu wzmianka o rzadkiem zwoływaniu sejmów stanowych wyszła z druku w tej formie, jak gdyby odnosiła się nie do pierwszego lecz do drugiego okresu Stanów...« Por. *Br Łoziński*, Galicyjski sejm stanowy (1815—1845). Lwów 1905. Str. 112.

[2]) *Oswald Balzer* »Historya ustroju Austryi«. Lwów, 1899, str. 351.

w czasie wojen napoleońskich, ani rząd nie spieszył się z wprowadzeniem urządzeń sejmowych, ani też społeczeństwo tamtejsze zbytnio na to nie nastawało«. Najmniej zapewne zależało na tem społeczeństwu polskiemu świeżo nabytego kraju, chociaż dostawał się on właściwie królowi Węgier z tytułu »rewindykacyi«, a Węgry umiały do ostatka oprzeć się centralizacyjno-absolutnym aspiracyom Habsburgów i przetrwały ów na wstępie wspomniany proces dziejowy ze stosunkowo nieznacznym tylko uszczerbkiem dla swojej odrębności, a przedewszystkiem swojemu sejmu, z którym liczyć się musieli i liczyli Habsburgowie, nawet później za czasów cesarza Franciszka, kiedy ogólna martwota konstytucyjna zaległa wszystkie inne kraje, podległe herbu Habsburgów.

Mimo to jednak, niedługo czekała Galicya na wątpliwe uszczęśliwienie konstytucyą stanową nowego pokroju austryackiego, albo raczej na bolesne przypomnienie za pomocą tej konstytucyi, że między niedawną przeszłością a teraźniejszością rozwarła się przepaść niezmierzona. Już w r. 1775 bowiem nadano jej tę wrzekomą konstytucyę, którą potem pozornie rozwijano, a właściwie z nieznacznemi zmianami odnawiano dwa razy (w roku 1782 i 1817), a raz (1787 roku) terytoryalnie rozszerzono wskutek przyłączenia Bukowiny do Austryi i połączenia nowej prowincyi z Galicyą w jedną całość administracyjną.

Jeżeli dla innych krajów austryackich nowe sejmy stanowe miały tylko znaczenie szczątkowego zabytku dawnych urządzeń, słabej reminiscencyi dawnej świetności, to społeczeństwo polskie w Galicyi, jeszcze niedawno zażywające w całej pełni swobody życia publicznego, jeszcze niejako roznamiętnione gorączkowem życiem sejmikowem i sejmowem, uważać musiało nowy ustrój za formalną karykaturę urządzeń konstytucyjnych. Karykaturalnem było już samo zaprowadzenie w Galicyi tytułów urzędniczych z innych krajów koronnych (wielki mistrz sokolnictwa, strażnik sreber koronnych i t. p.), gdzie tytuły te, jako zabytek świetniejszej przeszłości, miały przynajmniej znaczenie historyczne i z tego powodu były zrozumiałe, kiedy tymczasem społeczeństwu polskiemu, nieznającemu nawet historycznej genezy całej tej tytulatury, wydać się ona musiała dziwaczną, wprost śmieszną. Także i sama gradacya stanów była dla społeczeństwa polskiego w Galicyi niezrozumiałą. Pierwotna terezyańska (cesarzowej Maryi Teresy) ordynacya przyznała udział w sejmie trzem stanom: magnatom (panom),



MUNDUR GALOWY STANÓW GALICYJSKICH.

do których zaliczali się wszyscy książęta, hrabiowie, baronowie, płacący z dóbr swoich roczny podatek 75 złr. oraz arcybiskupi, biskupi i prałaci, stanowi rycerskiemu, obejmującemu szlachtę z takim samym rocznym podatkiem oraz nienależących do pierwszego stanu prałatów i kanoników katedralnych, wreszcie posłom miejskim z większych miast, z których jednak na razie dopuszczony był sam Lwów tylko. Druga z rzędu, józefińska (cesarza Józefa II) ordynacya nie zmieniła tego podziału, lecz tylko ścieśniła udział duchowieństwa, które za to w trzeciej z kolei ordynacyi z r. 1817 (cesarza Franciszka I) wyniesione zostało na stanowisko osobnego pierwszego stanu i reprezentowane być miało w sejmie przez arcybiskupów, biskupów, opatów, infułatów, specyalnie przez cesarza powołanych i deputatów kapitulnych (dwóch z lwowskiej łacińskiej i po jednym z wszystkich innych kapituł). W bliższe szczegóły organizacyjne nie wchodzimy tutaj, bo temat nasz nie obejmuje monografii Stanów galicyjskich, lecz tylko ich epilog, a dla ścieśnionego w ten sposób tematu wystarczą już powyżej podane urywkowe daty. Chyba o jednej jeszcze dacie wspomnieć wypada dlatego, że niejako nasuwa ona najzwięźlejszą charakterystykę położenia społeczeństwa polskiego w austryackiej organizacyi stanowej. Cesarz Franciszek I zaprowadził kuso z austryacka przykrojone uniformy stanowe! Wyobraźmyż teraz sobie wojewodę lub kasztelana, przebranego z zamaszystego kontusza w kusy frak stanowy, a będziemy mieli wierny obraz położenia. Prężył się i trzeszczał we wszystkich szwach swoich ten kusy fraczek czy kubraczek niemiecki na barczystej postaci sarmackiej tak, że o ruchu swobodnym mowy nie było. Ależ bo organizacya sejmu stanowego obliczona była na nieruchomość, formalną martwotę, urozmaiconą chyba tylko czczym ceremoniałem otwarcia i zamknięcia sesyi z przemówieniami, w których napuszysty frazes zasłaniał brak treści, brak wszelkiej szczerości. Na szczęście w ów kusy kubraczek właziła barczysta postać sarmacka bardzo rzadko i na czas bardzo krótki. Sejm bowiem nie zgromadzał się corocznie, a sesye trwały zawsze krótko. Na cóż zresztą miano czas tracić, skoro rozprawiać wolno było tylko o drobiazgach, a rzecz główną, postulaty podatkowe rządu, należało wysłuchać z pokorną uległością, jako fakt dokonany. Nie było więc nad czem rozprawiać, a że nikomu nie zechce się śmielszą inicyatywą lub chociażby tylko śmielszem słowem przekroczyć ciasnego zakresu sejmowego, na to rękojmię pewną sta-

nowił fakt, że gubernator stał na czele sejmu i jego wydziału wykonawczego.

W całej historyi powstania i rozwoju Stanów galicyjskich była jednak chwila, kiedy zdawało się, że Galicya zdjęta zostanie z Prokrustowego łoża terezyańsko-józefińskich urządzeń konstytucyjnych i otrzyma ustrój, zbliżający ją pod względem stanowiska politycznego w rzędzie krajów habsburskich do Węgier, a nadto zapewniający społeczeństwu polskiemu warunki życia i rozwoju narodowego przez pewne wyrównanie tej przepaści, jaką pierwsze rządy austryackie wytworzyły między przeszłością i teraźniejszością. Nadzieje te powstały z chwilą wstąpienia na tron cesarza Leopolda II i przybrały wyraziste kształty w formalnym projekcie, przedłożonym przez deputacyę galicyjską nietylko za wiedzą, lecz nawet z upoważnienia tego monarchy (Charta Leopoldina [1]). Krótko trwały te nadzieje, bo ze śmiercią przedwczesną cesarza Leopolda rozwiały się wogóle wszystkie widoki, łączone z jego osobistemi intencyami, które co do Galicyi niezawodnie były przychylne. Memoryał deputacyi galicyjskiej, w którym istniejące wówczas Stany nazwane zostały »cieniem istoty w rzeczywistości unicestwionej t. j. narodu«, spoczął w archiwum państwowem bez pozostawienia jakiegokolwiek śladu w późniejszych zarządzeniach rządu wobec Galicyi. Tradycye terezyańsko-józefińskie zatrzymały nadal powagę, a rokowania deputacyi galicyjskiej z cesarzem Leopoldem pozostały epizodem bez wszelkich konsekwencyi. Epizod ten, ze względu na brak konsekwencyi, genezę swoją w Warszawie i związek ścisły z warszawskimi planami aliansowymi w czasie sejmu czteroletniego, o czem bliższe szczegóły czytelnik znajdzie w dziele ks. W. Kalinki, zajmuje w historyi Stanów galicyjskich stanowisko faktu zupełnie odosobnionego.

Historya Stanów galicyjskich właściwie dotąd nie jest napisana, chociaż, jak wogóle cała historya pierwszego okresu rządów austryackich w Galicyi, stanowi temat aktualny i zasługujący na osobne studyum, zwłaszcza teraz, gdy dostęp do źródeł archiwalnych nietylko jest możliwy, lecz w danej chwili nawet ułatwiony. Temat ten może po tem wszystkiem, cośmy powyżej zaznaczyli, wydać się nieponętnym, ale gdyby nawet tak było, pominięty być nie może, jeżeli o wy-

---

[1]) *Dr Stanisław Starzyński* »Projekt konstytucyi galicyjskiej z r. 1790«; »Charta Leopoldina«, Lwów, 1893.

borze tematów nie ma rozstrzygać predylekcya autorska, lecz rzeczywiste potrzeby nauki. A zresztą niema w naszej historyi ze schyłku XVIII i z całego XIX wieku tematu, któryby nazwać można nieponętnym, jeżeli się rzecz bierze ze stanowiska interesu historycznego, a przedewszystkiem ze stanowiska potrzeby ścisłego zebrania i ugrupowania wszystkich szczegółów, które w całości złożyć się mogą na pełny obraz życia i rozwoju społeczeństwa polskiego wśród zmienionych w tym okresie czasu warunków bytu i urządzeń politycznych. Takich szczegółów znajdzie się wiele w adresach i urzędowych protokołach galicyjskiego sejmu stanowego, gdyż, bądź co bądź, był to w długim okresie czasu jedyny organ reprezentacyjny kraju, była to jedyna droga, na której z kraju do tronu i do władz centralnych dobić się mogły życzenia, aspiracye i wnioski obywatelstwa galicyjskiego. I stać się to mogło nie we wszystkich sprawach i kwestyach, bo w sejmie i wydziale stanowym przewodniczącym, albo raczej, biorąc na uwagę ówczesne stosunki polityczne i cały sposób sejmowania, arbitralnym kierownikiem obrad i prac wogóle był każdoczesny gubernator, stać się to mogło nie w formie tak jasnej i otwartej, w jakiej występują enuncyacye tego rodzaju w dzisiejszych ciałach reprezentacyjnych; lecz tylko nieśmiało, w tonie na pozór dziękczynnym lub jawnie błagalnym, a czasem za pomocą domyślników, niejako za pomocą przemytnictwa politycznego, ale komu znane są stosunki danej chwili, ten i takie dokumenta odcyfrować potrafi.

W szkicu tym, nie roszczącym sobie pretensyi nawet do fragmentu takiej źródłowej i wyczerpującej pracy o Stanach galicyjskich, jaką powyżej mieliśmy na myśli, chodzi tylko o końcowe sesye galicyjskiego sejmu stanowego, tylko o epilog Stanów galicyjskich. Budzi on szczególny interes z dwóch powodów. Najpierw bowiem jest on bardzo ważny dla historyi uwłaszczenia włościan w Galicyi, a powtóre łączy się ściśle z historyą współczesną Galicyi nietylko dlatego, że uwłaszczenie to, zasadniczo orzeczone już w pierwszej połowie XIX stulecia, dokonało się, biorąc na uwagę przeprowadzenie całej indemnizacyi i wykupna służebności, dopiero w drugiej jego połowie, lecz także z tego powodu, że to samo pokolenie obywatelstwa galicyjskiego, które patrzało na epilog Stanów galicyjskich i w epilogu tym główną rolę odgrywało, w kilkanaście lat później w znacznej części położyło podwaliny pod dzisiejszy ustrój konstytucyjny kraju, a poniekąd i państwa. Zachodzi więc między tymi obu okresami zwią-

zek podwójny. W jednym i drugim spotykamy się z kilku sprawami wielkiej wagi dla kraju w dwóch odmiennych fazach ich rozwoju i rozwiązania, w jednym i drugim spotykamy się z nazwiskami tych samych działaczy w dwóch odmiennych konstellacyach i na dwóch odmiennych widowniach ich pracy publicznej. Toteż temat tak ujęty nietylko najwięcej budzi zajęcia, lecz, co ważniejsza, najlepiej służy tym ważnym zadaniom, jakie historya współczesna spełniać powinna w programie wykształcenia politycznego tam, gdzie, jak w Galicyi, istnieją warunki pełnego życia politycznego.

* * *

Skoro piszemy tylko o epilogu Stanów galicyjskich, to z porządku rzeczy wypada przedstawić czytelnikowi, jak wygląda sprawozdanie z ostatniej, epilogowej, w ścisłem tego słowa znaczeniu, sesyi sejmu stanowego (z r. 1845). Jest to broszura o 75 stronicach [1]), drukowana w swoim czasie w małej liczbie egzemplarzy, niejako tylko dla domowego użytku ściślejszej rodziny stanowej, więc obecnie stanowiąca już rzadkość bibliograficzną, nieznaną nikomu, kto nie zagląda do publicznych lub prywatnych zbiorów archiwalnych.

Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas! Tę dewizę możnaby dziś napisać na czele publikacyi, o której mowa. Szczegóły, które z niej przytoczymy dla uzasadnienia tego twierdzenia, posłużą zarazem za illustracyę uwag, któreśmy na wstępie o organizacyi Stanów wogóle wypowiedzieli.

Ponieważ sprawozdanie drukowane jest w dwóch tekstach, niemieckim i polskim, więc na streszczenie całej działalności prześwietnych, czy wysokich Stanów, która w r. 1845 była wydatniejszą niż w latach poprzednich, przypada połowa wszystkich stronic, czyli $37^1/_2$. Gdybyż przynajmniej sprawozdanie to było treściwe i zwięzłe! Tymczasem jest tam tyle szumu ceremonialnego, tyle rozwlekłości etykietalnej, tyle wreszcie napuszystości i amplifikacyi tytularnej, że na dobrą sprawę wystarczyłoby to może nawet dla — kortezów hiszpańskich! Że w takim składzie rzeczy na treść właściwą przypada tylko czwarta, a najwyżej trzecia część całego tekstu, to rzecz oczywista.

---

[1]) Czynności Sejmu w Królestwach Galicyi i Lodomeryi, w dniu 15 września 1845 r. zagajonego, a zamkniętego w dniu 27 tegoż miesiąca i roku.

W dzisiejszych czasach sprytny reporter parlamentarny, przyzwyczajony w sejmie do streszczania w jednym numerze dziennika rozpraw nad kilkunastu, lub, jak to bywa na schyłku sesyi, nad kilkudziesięciu sprawami krajowemi, mógłby całej takiej sesyi sejmu stanowego poświęcić zaledwie kilkadziesiąt wierszy.

Początek naszego sprawozdania ($11^1/_2$ stronic) wypełnia imienny spis członków sejmu. Na czele po osławionym w r. 1846 prezydencie gubernialnym, baronie Krieg-Hochfelden, wymienieni są dostojnicy koronni w takim porządku: Wielki strażnik sreber koronnych *(Obristlandsilberkämmerer)* [1]), Leon książe Sapieha, wicemarszałek koronny, Tadeusz Chochlik z Wasilewa Wasilewski, miecznik koronny *(Landesschwertträger)*, Alojzy Borkowski, krajczy koronny *(Landesvorschneider)*, Kazimierz Badeni. Mniejsza o dokładne przetłómaczenie tych tytułów, gdyż stanowią one oczywiście czczą formalistykę. Nie było przecież nigdy żadnych sreber koronnych, na których straży postawiony został Leon ks. Sapieha, Borkowskiemu nie przypadł do dźwigania żaden miecz koronny, Badeni byłby w wielkim kłopocie, gdyby wypadło mu odpowiedzieć na postawione z nienacka pytanie, jak się właściwie rzecz ma z imputowanem mu przykrawywaniem, wreszcie marszałkowstwo Wasilewskiego było także tylko frazesem od parady. Każdy z tych dygnitarzy musiałby był dopiero studyować austryackie prawo polityczne w jego historyczno-prowincyonalnym rozwoju, jeżeliby chciał był autentycznie dowiedzieć się, jakim, nie urządzeniom aktualnym, lecz już zamierzchłym tradycyom innych prowincyi austryackich odpowiada jego egzotyczne dostojeństwo.

Po urzędnikach koronnych idą członkowie ze stanu duchownego (arcybiskupi, biskupi i deputowani kapituł) razem z rektorem uniwersytetu lwowskiego, a potem członkowie ze stanu magnatów (panów), książęta, hrabiowie i baronowie. Spotyka się w tym drugim stanie szereg nazwisk dziś już historycznych, w dziejach Galicyi na zawsze dobrze zapisanych, lub nawet opromienionych aureolą niespożytych zasług obywatelskich. Wymieniamy kilku członków sejmu stanowego tej miary: Leona księcia Sapiehę, poprzednio już wymienionego pomiędzy wrzekomymi dostojnikami koronnymi, którego jednak nie to dostojeństwo, lecz późniejsze, kilkunastoletnie marszałkostwo w sejmie

---

[1]) Prof. Balzer tłómaczy ten wyraz (l. c.): wielki ziemski komornik argenteryi.

autonomicznym i twórcza, szeregiem wielkich a trwałych dzieł uwieńczona inicyatywa na polu ekonomicznego odrodzenia kraju, zapisały w wdzięcznej pamięci późniejszych pokoleń; dalej Agenora hr. Gołuchowskiego, późniejszego, a niedoścignionego w tej roli, Namiestnika Galicyi i ministra stanu, i na tem ostatniem stanowisku na zawsze w historyi konstytucyi austryackiej chlubnie zapisanego jej inicyatora przez wydanie t. zw. dyplomu październikowego (1860 r.); Aleksandra hr. Fredrę (komedyopisarza); Kazimierza hr. Krasickiego, późniejszego długoletniego, a zasłużonego prezesa Towarzystwa kredytowego ziemskiego i t. d.

Stan rycerski zastąpiony jest przez 93 członków, między którymi także wielu jest takich, którzy w późniejszej dobie życia autonomicznego zapisali się w pamięci kraju niepospolitemi zasługami, jak naprzykład Badeni Władysław, Batowski Aleksander, Borkowski Włodzimierz, Kraiński Maurycy, Krzeczunowicz Kornel, Podlewski Waleryan, Skrzyński Ludwik, Zaleski Wacław (późniejszy gubernator Galicyi i pierwszy Polak na tem stanowisku, znany nadto w historyi naszej literatury jako Wacław z Oleska) i t. d.

Zamyka się wreszcie poczet stanowych deputatów z roku 1845 niepolskiemi nazwiskami dwóch reprezentantów miasta Lwowa (Tomanek i Terenkoczy), w którego zarządzie municypalnym w owych czasach żywioł napływowy jeszcze przodującą odgrywał rolę.

Śladu oczywiście niema o tym milionowym stanie, który dziś w życiu publicznem Galicyi na przednie stanowisko się wysuwa, o stanie włościańskim, wówczas jeszcze wobec stosunku pańszczyźnianego upośledzonym społecznie, więc i politycznie.

A teraz przytoczymy z urzędowego sprawozdania dosłownie wstęp, brzmiący jakby żywy jeszcze odgłos tych czasów, kiedy Stany odgrywały swoją wielką rolę historyczną:

»Jego Królewiczowska Mość Najdostojniejszy Arcyksiążę Ferdynand Karol Austryacko-Esteński, c. k. Marszałek polny, cywilno-wojskowy generalny gubernator tych królestw, jako pierwszy królewski komisarz sejmowy w towarzystwie drugiego królewskiego komisarza sejmowego, Leona księcia Sapiehy, wielkiego strażnika sreber koronnych i trzeciego królewskiego sejmowego komisarza, Franciszka Niezabitowskiego, byłego deputata honorowego Stanów, odbył o $10^1/_2$ wjazd uroczysty, a powitany przy wejściu do sali przez Jego Ekscelencyę barona Krieg de Hochfelden, c. k. rzeczywistego tajnego radcę,

Prezydenta rządów krajowych i Prezesa Stanów oraz przez dygnitarzy koronnych, zasiadł na przygotowanem dla siebie miejscu, rozkazał odczytać po niemiecku i po polsku najwyższe reskrypta i miał mowę, po której wydane do królewskich komisarzy sejmowych najwyższe instrukcye w obudwóch językach były odczytane«. Wspomniane dopiero najwyższe reskrypta i instrukcye brzmiały, jak następuje:

»Ferdynand Pierwszy, z Bożej łaski Cesarz Austryi i tam dalej, i tam dalej.

Najdostojniejszy Królewiczu, miły Nam wierny! Z ważnych i dobra powszechnego tyczących się przyczyn uchwaliliśmy zwołać w Naszych Królestwach Galicyi i Lodomeryi Sejm powszechny, który dnia 15 września 1845 w Naszem królewskiem mieście Lwowie odprawiać się będzie. A gdy takiem jest najłaskawsze życzenie Nasze, aby Nasze królewskie propozycye przedłożone były przez osobnych od Nas mianowanych komisarzów sejmowych, na ten więc następujący Sejm przez szczególne zaufanie, które w Osobie Waszej pokładamy, postanowiliśmy Was pierwszym, Naszego Wielkiego strażnika sreber koronnych, Leona księcia Sapiehę, drugim, a Franciszka Niezabitowskiego trzecim komisarzem sejmowym mianować. Spodziewamy się więc po Waszej uległości ku Nam i po gorliwości Waszej o dobro powszechne, że wywiódłszy się niniejszym najłaskawszym reskryptem Naszym, jako dostojeństwo c. k. komisarza Naszego podczas następującego Sejmu piastujecie, postąpicie podług dalszych Naszych przepisów i usprawiedliwicie to zaufanie, którego niniejszem Wam dowód dajemy. Wreszcie zostajemy Wam z Naszą cesarsko-królewską łaską zawsze życzliwymi. Dan i t. d.«.

Wspomniana w reskrypcie cesarskim instrukcya dla komisarzy tak opiewa: »Naprzód wezmą pod dojrzałą rozwagę punkta niniejszą instrukcyą objęte, potem od wiernych i posłusznych Stanów Naszych w dniu oznaczonym zgromadzonych zwykłego wstępu żądać będą, a porozumiawszy się z nimi w tej mierze, do ich grona udadzą się i wręczą im Nasz list wierzytelny, oświadczając Naszą cesarsko-królewską łaskę i Nasze najwyższe upodobanie z powodu ich wiernego i posłusznego zebrania się na sejm zgromadzony. Nadto oznajmią c. k. komisarze Naszym wiernym i posłusznym Stanom, że najłaskawiej postanowiliśmy wierne Stany Królestw Galicyi i Lodomeryi, wraz z Bukowiną, podobnie, jak inne prowincye, uwiadomić o Naszych

królewskich postulatach. Nareszcie ci cesarsko-królewscy komisarze oznajmią Naszym wiernym i posłusznym Stanom Nasze najłaskawsze w tej mierze postanowienia, jak następuje: Kierowani życzeniem ulżenia poddanym Naszym w ciężarach tyle, ile się to tylko da pogodzić ze staraniem o zaspokojenie potrzeb państwa, jesteśmy spowodowani z początkiem następującego roku administracyjnego 1846 z kwoty dodatkowej tej dozwolić ulgi, jakąśmy już na lata administracyjne 1836—1845 dozwolili«. Następuje teraz cyfrowe oznaczenie przypisanego na Galicyę i Bukowinę podatku gruntowego i domowego, a kończy się instrukcya równie uroczystą, jak na wstępie, apostrofą do lojalności Stanów i wyrazem oczekiwania, że »nietylko chętnie za wykonaniem woli monarszej oświadczą się, ale nadto Sejm ten wcześnie ukończą, uchwały zaś swoje wprzód cesarzowi do zatwierdzenia prześlą«.

Po odczytaniu tej instrukcyi w Sejmie i po przemówieniu gr. kat. metropolity lwowskiego, ks. Lewickiego, Arcyksiążę, »oświadczywszy — tak mówi dalej sprawozdanie urzędowe — iż Sejm jest zagajony, podniósł się ze swego miejsca i przez Jego Ekscelencyę prezesa-zastępcę i dygnitarzy odprowadzony do drzwi sali, udał się w towarzystwie drugiego i trzeciego królewskiego komisarza sejmowego z powrotem do swego mieszkania, gdzie raczył przyjąć uroczyste odwiedziny Stanów«.

W dzisiejszych ciałach parlamentarnych preliminarze, wogóle przedłożenia podatkowe i finansowe, stanowią jedno z najważniejszych zadań, a zarazem obok rozprawy adresowej najwdzięczniejsze pole dla dyskusyi nad ogólnem położeniem państwa lub kraju, dla krytyki stosunków, administracyi i programów rządowych. Że o tem wszystkiem śladu niema w rozprawach sejmu stanowego nad postulatami (t. j. przedłożeniami podatkowemi) rządu, to się rozumie. Chyba naiwny, nieznający urządzeń państwa z doby przedparlamentarnej, mógłby gorszyć się tem, że Stany galicyjskie nie wyzyskały postulatów rządowych w sposób powyższy w czasie, gdy Galicya tyle miała powodów do żalu, narzekań i krytyki całego systemu rządowego epoki Metternichowskiej, systemu upamiętnionego na zawsze w historyi krwawym rokiem 1846, jako naturalną konsekwencyą poprzedniego postępowania władz administracyjnych w zakresie stosunków między gminą a dworem, między poddanymi a dziedzicami. Ale najskromniejsze nawet oczekiwania pod tym względem zawodzi sprawozdanie urzędowe

o sejmie stanowym z r. 1845. Zaraz bowiem nazajutrz po uroczystem otwarciu Sesyi załatwił Sejm owe postulaty podatkowe w sposób następujący. »Na posiedzeniu z 16 września — tak opiewa ten ustęp sprawozdania urzędowego — pod prezydencyą Jego Ekscelencyi Prezesa-Zastępcy zostały: I. Najwyższe postulaty ze czcią i należną gotowością przyjęte. II. Zostało odczytane sprawozdanie Wydziału stanowego z czynności upłynionego po ostatnim sejmie roku«.

Owo przyjęcie najwyższych postulatów »ze czcią i należną gotowością«, a bez wszelkiej krytyki, bez wszelkiej wogóle dyskusyi, przypomina sposób, w jaki niegdyś w jednej z prowincyi francuskich (Langwedocyi) za świadectwem źródłowem wotowano podatki rządowi: *debout et tête nue avec ces trois mots: Accordé sans conséquence* [1]).

Sprawozdanie Wydziału stanowego, przedstawione po udzieleniu postulatów podatkowych, możnaby powiedzieć — parafrazując poprzedni ustęp o przyjęciu postulatów podatkowych — że Stany galicyjskie wysłuchały i przyjęły do wiadomości, chłodno i z należną obojętnością. Zawierało ono bowiem szczegóły małej wagi o instytucyach krajowych (zakładzie Ossolińskich, fundacyi Skarbkowskiej i t. d.). Natomiast o sprawie krajowej pierwszorzędnego znaczenia, o budowie pierwszej kolei żelaznej w Galicyi, mówi to sprawozdanie, że »do prośby o pozwolenie na zawiązanie Towarzystwa akcyjnego w celu budowania kolei żelaznej w Galicyi, przez Leona ks. Sapiehę, Henryka hr. Dzieduszyckiego, Aleksandra hr. Fredrę i Tadeusza Wasilewskiego podanej, Najj. Pan najwyższem postanowieniem z dnia 18 grudnia 1844 r., przychylić się nie raczył«. Wprawdzie do tej odmownej decyzyi dodano, że cesarz »zastrzegł sobie wyraźnie budowę kolei żelaznej w Galicyi na koszt najwyższego skarbu«, ale dodatek ten znaczył tyle, co odroczenie sprawy *ad calendas graecas*. Dopiero po latach, już za rządów Namiestnika Agenora hr. Gołuchowskiego, Leon ks. Sapieha doczekał się przychylniejszej dyspozycyi dla swoich planów akcyjno-kolejowych.

W całem sprawozdaniu jest tylko jeden ślad uczestnictwa Stanów w akcyi ustawodawczej rządu. Rozumie się, że miano na myśli tylko uczestnictwo doradcze, objawienie zdania, które ustawodawcy

---

[1]) *A. Rembowski:* »Konfederacya i Rokosz«, Warszawa 1896, str. 164.

w niczem krępować nie miało. Chodziło tutaj o projekt ustawy co do zakładania i utrzymywania gościńców obwodowych. Przedstawił go Stanom wskutek »nakazu« kancelaryi nadwornej deputat Wacław Zaleski, ówczesny radca gubernialny, a późniejszy Namiestnik. Toczyła się w tej sprawie dyskusya, po której »Stany — jak mówi sprawozdanie urzędowe — oświadczyły, iż z udzielonym sobie projektem zgadzają się z niektóremi modyfikacyami, w protokóle sejmu zawartemi«.

Przebiegliśmy dotąd pobieżnie urzędowe sprawozdanie z sesyi sejmu stanowego za rok 1845, sesyi pamiętnej już z tego powodu, że była ostatnią. Dopiero ku końcowi sprawozdania czytelnik traci z oczu karykaturalność urządzenia i obrad »prześwietnych Stanów«, jako ciała reprezentacyjnego, i musi się cofnąć o ten krok, który mimowoli zrobił na początku *du sublime au ridicule.* Uwaga jego bowiem skupia się i wytęża wobec spraw, do których inicyatywa wyszła już z łona samych Stanów, które doprowadziły do uchwał pierwszorzędnej wagi dla stosunków krajowych i treścią swoją nadały wyjątkowe znaczenie końcowemu, z natury swojej banalnemu, jak inne ceremonialne sprawy, aktowi sesyi, to jest adresowi Stanów do cesarza. Uchwały te tyczą się sprawy włościańskiej. Chodziło najpierw o obmyślenie środków pomocy publicznej dla ludności, zagrożonej w tym czasie wielkim niedostatkiem z powodu klęsk elementarnych, a powtóre o historyczną już dziś kwestyę uwłaszczenia poddanych. Rzecz tę musimy poprzedzić przedstawieniem genezy i przebiegu sprawy przed krytycznym rokiem 1846.

* * *

Tragikę wypadków galicyjskich z lutego r. 1846, objętych w pierwszej chwili nazwą »rzezi«, która odtąd już zdobyła sobie prawo obywatelstwa we wszystkich późniejszych reminiscencyach i przedstawieniach historycznych, podnosi w wysokim stopniu fakt, że wypadki te zaszły właśnie w chwili, gdy szlachta szczerze, nawet z rozpędem przyspieszonym, podjęła na jedynie dla niej wówczas otwartej drodze reform, w sejmie stanowym, sprawę zniesienia pańszczyzny. O ile dziś w świetle historyi podnosi się z tego powodu tragika rzezi, o tyle z tego samego powodu potęgować się musi siła potępienia, rzuco-

nego zaraz w pierwszej chwili na sprawczynię katastrofy, staroaustryacką biurokracyę ery Metternichowskiej. A co do sejmu stanowego nazwać to już trzeba istną fatalnością, że ta właśnie akcya, którą po długiem bezpłodnem wegetowaniu Stany galicyjskie miały zamanifestować swoją żywotność i zapisać się nią, jako wielką reformą, na zawsze w pamięci kraju i historyi, spełzła na niczem, nie została nawet doprowadzona do takiej fazy przygotowawczej, żeby potem, gdy w r. 1848 reforma ta dokonana została przez rząd wiedeński z nienacka, w tempie i z charakterem niespodzianki rewolucyjnej, inicyatywa sejmu stanowego utkwiła przynajmniej we wdzięcznej pamięci tej klasy ludności, o której dobro chodziło.

Inicyatywa szlachty galicyjskiej w sprawie zniesienia pańszczyzny najczęściej łączona bywa dopiero z wnioskiem wicemarszałka sejmu stanowego, Tadeusza Wasilewskiego, z r. 1844 w sprawie wyboru komisyi, która za pozwoleniem cesarskiem miała wziąć pod rozwagę reformę stosunków włościańskich. Takie przedstawienie sprawy jest uzasadnione ze stanowiska, że tak powiemy, urzędowo-protokolarnego, gdyż rzeczywiście dopiero w r. 1844 zapisana została w protokole sejmu stanowego formalna uchwała z inicyatywą reformatorską. Należy jednak cofnąć się wstecz, jeżeli nie do dawno już przedtem z łona szlachty podnoszonych odosobnionych głosów za zniesieniem pańszczyzny, to przynajmniej do samej genezy powyższego wniosku, aby nie było nawet pozoru, że wniosek ten wypłynął nie z dobrej woli i czystej intencyi, lecz dopiero pod naciskiem stosunków, bo w przededniu zawieruchy i katastrofy r. 1846, w której myśl zniesienia pańszczyzny odegrała tak fatalną rolę, tak po stronie szaleńców spiskowych, którzy hasłem tem spodziewali się pobudzić masy ludu wiejskiego do zbrojnego wystąpienia przeciw rządowi austryackiemu, jak i po stronie wprost zbrodniczo w tym nieszczęsnym roku nastrojonej biurokracyi austryackiej, która broń tę skierowała przeciw samym inicyatorom.

O genezie wniosku Tadeusza Wasilewskiego i powziętej wskutek tego uchwale sejmu stanowego z r. 1844 w sprawie zniesienia pańszczyzny, nie znajdzie nikt autentycznych wyjaśnień w urzędowych protokołach sejmowych, lecz chyba w innych źródłach współczesnych i to rękopiśmiennych. Jednem z takich źródeł, i to pierwszorzędnego znaczenia, są papiery, pozostałe po Maurycym Kraińskim, a przez ro-

dzinę po jego śmierci ofiarowane Zakładowi Ossolińskich [1]). Maurycy Kraiński należał już w tej dobie do wybitnych działaczy publicznych, a głos jego, poparty nietylko wielką znajomością stosunków, lecz nadto — co wiele wtedy znaczyło — niezwykłą znajomością powikłanych w istny węzeł gordyjski ustaw, przepisów i rozporządzeń austryackich o stosunku pańszczyźnianym, ważył na szali uchwał stanowych, a później, gdy po r. 1848 indemnizacya miała być przeprowadzona, także na szali decyzyi rządowych, o ile one zapadały na podstawie uchwał komisyjnych, z udziałem Kraińskiego powziętych. Maurycy Kraiński, wierny towarzysz pracy Agenora hr. Gołuchowskiego od r. 1846 we wszystkich sprawach, złączonych z pańszczyzną i wogóle z reformą stosunków włościańskich, zasłużony pod tym względem jak niewielu z współczesnego pokolenia obywatelskiego, a mimo to tak cichy i skromny, że tylko najbliższe otoczenie znać mogło nadzwyczajny walor tego obywatela, zbierał starannie wszystkie druki, akta i pisma, własne i cudze, porządkował je i zaopatrywał w dopiski tak, jak gdyby sam myślał o napisaniu historyi reformy stosunków włościańskich w Galicyi, której niema dotąd, a do której napisania nikt nie był kompetentniejszy od Maurycego Kraińskiego. Można więc polegać na tem, co zawiera zbiór materyałów przez Kraińskiego pozostawiony, a według tego zbioru, inicyatywa szlachty galicyjskiej w sprawie zniesienia pańszczyzny, inicyatywa oficyalna w całem tego słowa znaczeniu, bo podniesiona wobec wydziału sejmu stanowego i w tym wydziale urzędownie traktowana, datuje się od 31 marca 1842. W tym dniu bowiem wniósł do protokołu stanowego, zapewne nie wyłącznie z własnego impulsu, lecz za wiedzą i w porozumieniu z szerszem kołem obywatelstwa, uwagi godny memoryał Kazimierz hr. Krasicki, już wówczas wybitniejszy obywatel, a później, jako prezes Towarzystwa kredytowego ziemskiego, pierwszorzędna powaga w obywatelstwie galicyjskiem.

Memoryał hr. Krasickiego obejmował cały szereg spraw publicznych, które leżały na jego sercu obywatelskiem i wymagały pilnie potrzebnego załatwienia. Na pierwszem miejscu stała sprawa pańszczyźniania. Nadając temu memoryałowi znaczenie dokumentu historycznego nie dla samej daty tylko lub dla nazwiska autora, lecz dla całej

---

[1]) Rękopis Nr. 2.945 (Zbiór materyałów do historyi zniesienia stosunku poddańczego w Galicyi).

treści jego, formy, w jakiej wniesiony został, i następstw, jakie za sobą pociągnął, uważamy za potrzebne przytoczyć z niego bodaj główniejsze ustępy w brzmieniu dosłownem. Przytoczenie to jednak poprzedzić musimy uwagą, ważną dla charakterystyki memoryału. Pisany on był dla wydziału stanowego, gdzie tak samo jak w sejmach stanowych przewodniczył gubernator. Pod jego adresem nie mógł więc hr. Krasicki otwarcie wypowiedzieć tego, co w klasyczny sposób przedstawił Kalinka w swojem dziele: »Galicya i Kraków pod panowaniem austryackiem« (w rozdziale: Stosunek poddańczy), t. j. nie mógł napiętnować fatalnej polityki staroaustryackiej biurokracyi, która za najlepszy środek utrwalenia panowania Austryi w Galicyi uważała forytowanie poddanych kosztem dziedzica, wzbudzanie w poddanych zawiści wobec dziedzica, jednem słowem wytworzenie przepaści między gminą a dworem. Czego jednak hr. Krasicki otwarcie wypowiedzieć nie mógł, to przebija z tonu jego memoryału, zwłaszcza z początkowych ustępów.

»Ośmielam się zwrócić uwagę — pisze hr. Krasicki — na bardzo ważny przedmiot, tyczący się różnych stosunków i urządzeń w naszym kraju, których odmiana lub modyfikacya mogłyby wywrzeć na stan jego najkorzystniejszy skutek. Zastanowiwszy się nad teraźniejszym stanem Galicyi, narzuca się nam myśl porównania jej z innemi prowincyami państwa austryackiego i wogóle z resztą cywilizowanego świata. Jakże to porównanie smutne wywrze uczucie w sercu każdego myślącego obywatela! Przekona się bowiem, że nam jeszcze wiele do działania pozostaje, zanim się na równi postawimy z innymi krajami. Nie zbywa nam na darach natury, których Bóg naszemu krajowi sowicie udzielił, ani na światłych i pracowitych ludziach, co wszelkiemi starają się siłami polepszenia w każdym wprowadzić zawodzie. Ale właśnie ci ostatni w swoich pochwały godnych usiłowaniach na silne natrafiają przeszkody, które, hamując ich działanie, najlepsze chęci bezowocnemi czynią. Widząc bezskuteczność swoich dążeń, nie mając znikąd pomocy ni podpory, zostają nakoniec zmuszeni wrócić wstecz, aby znowu dawną dążyć koleją.

»Najgłówniejszą przeszkodą, którą się napotyka w naszem gospodarstwie, jest niezawodnie brak robotnika. Nie pochodzi to bynajmniej z braku ludności, ponieważ większa część naszego kraju, zwłaszcza zachodnie obwody wcale dostateczną ludność mają. Ale nasz chłopek nie widzi potrzeby pracowania więcej nad to, co jest konie-

czną potrzebą i powinnością. Wypada to z natury rzeczy, ponieważ włościanin, nie mający żadnej własności, nie mogący jej nigdy nabyć, z drugiej strony, mając do życia potrzeb bardzo mało, a z natury skłonny do lenistwa, najwięcej tej ostatniej żądzy dogadzać się stara. Pochodzi ten stan rzeczy z daleka, jeszcze z pierwiastkowego patryarchalnego sposobu życia Słowian, odziedziczonego przez Polaków, gdzie dziedzic, jako ojciec swych kmiotków, wspomagał potrzebujących, ale też karcił występnych, ponieważ od dobrego bytu poddanych zależał i dobry byt dziedzica. Ten stosunek, w pierwiastkowych czasach bardzo chwalebny, musiał z czasem dla nadużyć uledz odmianie. Rządy krajowe, chcąc położyć tamę nadużyciom, podzieliły z dziedzicem opiekę nad włościanami. Ale tem samem obalona została podstawa patryarchalnego społeczeństwa. Wmieszanie się w interesa familijne trzeciej osoby nie zawsze wywiera pożądany skutek. Ustało nieograniczone zaufanie i wierność kmiotka do dziedzica; pomocy, którą dawniej z wdzięcznością od pana przyjmował, teraz już wymaga, i spuszczając się na nią, zaniedbuje gospodarstwa, nie myśli o jutrze, trwoni, co ma, żyjąc w jakimś szale krnąbrnego i zepsutego dziecka.

»Już też na czasie jest, aby to dziecko pełnoletniem uznać i oddać mu zarząd majątku i nadać kierunek początkowy działania, uważać jednak na jego prowadzenie się, pilnować sumiennego uiszczania się z powinności ku zwierzchności i społeczeństwu, zgoła postawić je w możności odpowiadania majątkiem za swe postępowanie. Majątek teraźniejszego gospodarza wiejskiego jest to użycie dożywotnie gruntu właściwie pańskiego. Cóż z tego, kiedy ten grunt, tak zwany rustykalny, do nikogo nie należy, jest rzeczą martwą, bez żadnej wartości realnej, bo czego nie można spieniężyć, zadłużyć lub darować, to żadnej realnej wartości nie ma. Wieśniak odpowiada za długi, podatek, powinności swoje, tylko ruchomym swym majątkiem; stara się więc, aby miał jak najmniej tego ruchomego majątku, lub też, jeżeli jakowy posiada, to go tai, aby się nikt o tem nie dowiedział, bo gdzie nic niema, tam i monarcha swoje prawo traci. Ale nietylko zwierzchności i wierzycielom ten stan rzeczy nie jest z korzyścią, lecz najbardziej dzieci na tem cierpią. Któryż syn włościanina odebrał gospodarstwo po ojcu w dobrym stanie? Cóż reszta dzieci dostaje z owego ruchomego majątku?

»Temu złemu możnaby zapobiedz, nadając wartość tabularną

gruntom rustykalnym, t. j. niech włościaninowi wolno będzie grunt, na którym siedzi, z obarczającymi go obowiązkami i ciężarami darować, sprzedać, zadłużyć, lub zastawić, tylko nie dzielić, przyczem ustanowić należy w każdem dominium, czyli obwodzie gminnym, książki gruntowe. W ten sposób uzyskanoby hypotekę na podatki, powinności, długi i t. d. W razie nieuiszczenia się z tego wszystkiego nie odsądzonoby złego gospodarza wraz z niewinnemi dziećmi od gruntu, lecz zlicytowanoby grunt, nie dając go człowiekowi obcemu, który przyszedłszy bez żadnego zabiegu do tego posiadania, nie umiałby go ocenić i po większej części uważałby takich nadanie prędzej za ciężar, aniżeli za dobrodziejstwo i za sposób dorobienia się majątku. Wierzyciel zostałby zaspokojony, dzieci nie byłyby całkiem ogołocone z majątku, a nabywca gruntu starałby się wszelkiemi siłami utrzymać się przy nim. Stąd wynikłoby polepszanie gospodarstwa pomiędzy wieśniakami, uznanie potrzeby uiszczania się z wszelkich obowiązków, dalej zachęcanie do pracy i zarobkowania włościan, aby przez nabywanie innych gruntów mogli rozprzestrzenić posiadłość i zapewnić los dzieci. U służebnych zaś komorników i t. p. powstałaby taż sama chęć do zarobkowania na widok możności przyjścia do posiadania, gdyż dotychczas każdy nieposiadający gruntu tylko tak dalece widział się zmuszonym do pracy, aby uczynić zadość swoim codziennym, bardzo małym potrzebom. Nie trwonionoby marnie czasu i sił na próżnowaniu, pijatykach i targach, nie byłoby braku robotnika, a każdy gospodarz byłby w możności udoskonalenia swego gospodarstwa i produkcyi. Wszelkie fabryki miałyby dużo łatwiejszy wstęp do naszego kraju.

»Zarzut, jakoby w tym wypadku dziedzice, korzystając z możności zakupywania gruntów rustykalnych, zaczęli je nabywać, nie ma miejsca, gdyż już i tak istniejące dominikalne grunta nie mogą być dostatecznie uprawiane dla braku robotnika. W takim razie powiększenie przestrzeni sprzeciwiałoby się własnemu interesowi i byłoby nierozsądnem. A zresztą grunt rustykalny pozostawałby takim w czyichkolwiek rękach. Wtedy dopiero byłby ustalony stan niezawisły wiejski, bo takim nie można uważać teraźniejszego, opierającego się li tylko na opiece i szczodrobliwości dziedzica, skoro wieśniak nie potrzebuje natężać sił, pracy i umysłu dla utrzymania swojego bytu.

»Na tej podstawie możnaby znaleźć sposób wspomagania wieśniaków daleko skuteczniejszy od dotychczasowego, ciążącego nad-

zwyczaj na majątku obywatelskim, gdyż włościanin, dostając z łatwością pomoc, nie umie jej ocenić. Po większej części przepada ona dla dziedzica, nie wywierając pożądanych skutków na byt wspomożonego, który, spuszczając się na tę zapomogę, trwoni, co ma, nie myśląc o jutrze. Nie dziw zatem, że dobry gospodarz jest pomiędzy chłopami tak rzadkiem zjawiskiem.

»W razie, gdyby własność gruntu pewną dawała hypotekę, mógłby każdy dziedzic przeznaczyć pewny kapitał na częściową zapomogę dla poddanych, pożyczać na przepisany procent z wypłatą ratami. Byłby to rodzaj instytutu kredytowego dla włościan, a oszczędności dla służebnych i nie posiadających gruntów, którzy, w nadziei nabycia jakiej własności, mogliby tamże składać na procent oszczędzoną część zasług i zarobku. Stąd wynikłyby niewypowiedzianie dobre skutki dla wszystkich. Wieśniak w przekonaniu, że trzeba się uiścić z powinności, lub, w razie zaciągnięcia długu, tenże spłacić, albo zostać z własności wyzutym, będzie chodził starannie około swego gospodarstwa; dziedzic w przekonaniu, że mu dana zapomoga nie przepadnie, lecz owszem, jeszcze ustalony procent przyniesie, łatwiej zapomoże, a wieśniak, przyciśniony potrzebą, nie będzie przymuszony, jak teraz, w razie nieuzyskania pomocy pańskiej, oddać się w ręce żydowskie i lichwiarskie, które pochłaniają cały jego majątek, jak tego mamy, niestety, bardzo częste przykłady.

»Zwróćmy teraz uwagę na wszelkie odpowiedzialności, które na właścicielu dóbr ciążą. Oprócz obowiązku utrzymania swej gromady w dobrym bycie, odpowiada on jeszcze za jej uiszczenie się z podatków, za porządek i policyę miejscową, za odstawienie i pobór rekrutów i t. d. Kto z nas nie cierpiał już za nieumiejętność, lenistwo lub nieuczciwość swojego mandataryusza? Przytem włościanin, od dawna przyzwyczajony uiszczać się tylko panu ze swoich powinności i obowiązków, zostaje dotychczas w przekonaniu, że wszelkie istniejące obowiązki są przez pana wymyślone i na jego korzyść się uskuteczniają. Dalej obowiązek utrzymywania policyi, poszukiwania złodziei, zbrodniarzy, włóczęgów, a w razie poszlaki jakiego zawinienia, karanie w pierwszej instancyi lub oddawanie do wyższych sądów — wszystko to budzi nienawiść w ciemnym ludzie i pociąga za sobą aż nadto często zemstę. Stąd tak częste w kraju naszym pożary, pochłaniające majątki obywatelskie i wywierające przez to samo najgorszy skutek na ogólny stan naszej prowincyi.

»Gdzie źle, tam radzić potrzeba. Zmieniwszy wszelkie błędne wyobrażenia i pochodzące z urojonej przewagi, którą nam daje prawo posiadania pierwszej instancyi, sądzę, iżby stosowniej było pozbyć się tego ogromnego ciężaru, zachowując sobie zwierzchność patrymonialną, dopóki nasz lud przez dalsze wykształcenie fizyczne i moralne nie dojdzie do stopnia, gdzie będzie w stanie spełnić zupełnie swoje obowiązki. Ten cel, do którego każdy dobrze myślący, o dobro swego kraju czuły obywatel, dążyć powinien, nie może być od razu skutecznie osiągnięty. Tylko wyżej wspomniany przygotowawczy środek, t. j. nadanie włościanom na własność posiadanych przez nich gruntów, może nam utorować drogę do dalszego postępu.

»Wszystkie siły w naturze działają nieustannie i niema stagnacyi na tym świecie, tem mniej w kształceniu się ludzkości i wzrastaniu jej materyalnych i moralnych potrzeb. Zadaniem jest światlejszych, nietylko nie zatrzymywać tego dążenia w naturalnym biegu, lecz, co ważniejsza, nadać mu taki kierunek, aby spokojnym trybem coraz dalej postępował. Strumień wezbrany, skoro w swoim biegu na przeszkody natrafi, przerywa je lub zmienia koryto. Należy więc przez stosowne zabezpieczenie zapobiedz wszelkim niepowetowanym szkodom i przymusić rozhukany żywioł, aby, nie przerywając swego łożyska, dosięgnął celu, do którego dąży. Już czas, abyśmy poszli torem naszych ojców, którzy postanowili za cel oswobodzenie stanu wiejskiego. Niechże ten piękny pomysł do skutku przyjdzie, przez nas, którzy w oczach ludzi zaślepionych uchodzimy za ciemiężycieli ludu, za największe przeszkody w polepszeniu jego bytu. Składając najpokorniejszą prośbę o pozwolenie działania w tym celu u stóp Najj. Pana, zostanie nam błogie przekonanie, żeśmy uczynili zadość żądaniom ludzkości, dając sposób i niejaką rękojmię do uszczęśliwienia i wykształcenia naszych współbraci«.

W ustępach memoryału, tutaj pominiętych, jako nie zostających w bezpośrednim związku ze sprawą uwłaszczenia, hr. Krasicki podniósł cały szereg dalszych postulatów ekonomicznego i społecznego znaczenia, postawił w ogóle program najpilniejszych prac publicznych, które dla dobra kraju spełnione być powinny.

W papierach M. Kraińskiego znajduje się zapisek, że referent wydziału stanowego, Tadeusz Wasilewski, ten sam, który zawsze wymieniany bywa jako inicyator zniesienia pańszczyzny w Galicyi, załatwił w charakterze referenta wydziału stanowego memoryał Kazi-

mierza hr. Krasickiego w ten sposób: »L. 268. Podanie to traktuje o ważnych kwestyach: zawiera niejedną słuszną uwagę, zasługującą na to, aby z niej przy sposobności skorzystano. Ponieważ jednak sprawy w tem podaniu omawiane są zbiorowo, ogólnie, w tonie konwersacyjnym, bez bliższego wskazania środków wiodących do zamierzonego celu, przeto nie nadaje się do osobnego traktowania i z tego powodu składa się *ad acta*. Lwów 17 października 1842«. Zbyt wyraźnie przebija z tego załatwienia historyczny formalizm austryacko-biurokratyczny, dla którego »tonem konwersacyjnym« było wszystko, co w wyrazach, a choćby tylko w ich uszykowaniu, odbiegało od sakramentalnej formułki prośby lub wniosku, żebyśmy załatwienie takie przypisać mieli osobistemu pomysłowi Tadeusza Wasilewskiego, obywatela o niewątpliwie szerszych poglądach. Gdybyśmy nawet mieli przed sobą nie zapisek — zresztą najzupełniej wiarygodny — lecz akt oryginalny, za którym dziś już niestety daremne byłyby wszelkie poszukiwania archiwalne, to jeszcze i w takim razie wolelibyśmy raczej postawić to — wobec ówczesnej najzupełniejszej zależności całego wydziału stanowego i jego referentów od gubernium z jednej, a niechęci tegoż gubernium wobec wniosków tego rodzaju, pochodzących nie z inspiracyi rządu, lecz z dobrej woli szlachty, z drugiej strony — zupełnie uprawnione przypuszczenie, że Wasilewski w załatwianiu sprawy nie działał z własnej myśli, lecz pod apodyktyczną inspiracyą gubernialną.

Ale hrabia Krasicki, widocznie rozgoryczony zwłoką w traktowaniu swojego wniosku, inaczej rzecz przedstawia w przypiskach do swojego memoryału. Można powątpiewać o trafności domysłu, w takiem rozgoryczeniu wypowiedzianego, ale przytoczyć go musimy już z tego powodu, że w tym samym dopisku przedstawione są dalsze koleje memoryału i spraw w nim poruszonych.

»Memoryał ten — pisze hrabia Krasicki — podany został zawczasu do wydziału stanowego, aby się tenże przygotował do przedłożenia sejmowi stosownych wniosków. Wszakże tu wyraźnie chodziło w ostatecznym celu o zniesienie stosunku poddańczego, a przeto i wszelkich obopólnych obowiązków z tego stosunku wynikających, jakoteż i wszelkich ciężarów gruntowych. Gdy jednakże w owych czasach absolutnych rządów i zastarzałych przesądów nie wypadało odrazu do ostatecznego celu przystąpić, przeto wskazano dobitnie przygotowawcze środki, a mianowicie nadanie włościanom własności użyt-

kowej gruntów i zaprowadzenie dla nich ksiąg gruntowych... Tak obojętne zbycie tej dla kraju tyle ważnej sprawy miało swoją przyczynę w osobistem usposobieniu p. referenta, który, mimo wszelkich dodatnich przymiotów, tyle miał miłości własnej, że nie mógł na sobie przenieść, iżby sprawa takiej doniosłości socyalnej nie z jego inicyatywy wyszła. W roku 1842 Sejm stanowy obradował od 19 do 27 września. Tegoż dnia wieczorem na moją prośbę zawezwani niektórzy sejmujący zebrali się u p. referenta, gdzie im odczytano mój memoryał jakoteż i podanie Józefa Lewickiego z Bonowa, wskazujące w krótkich słowach potrzebę uporządkowania stosownego spraw poddańczych. Memoryał zrobił między zebranymi wrażenie — spiących przebudził, myślących zadowolił, wszystkich zaś przekonał, że czy prędzej, czy później dotychczasowe stosunki zmienione być muszą. Ostatecznie postanowiono dotknąć tego przedmiotu na przyszłym sejmie. Znając słabą stronę p. referenta i mając dla niego szczere poważanie, oświadczyłem, że ze wszystkich względów jemu się należy orędownictwo tej sprawy. W r. 1843 rozpoczął sejm stanowy czynności swoje 18 września. Dnia 19 września wieczorem zeszło się wielu sejmujących do Stanisława hr. Skarbka w gmachu teatralnym, ażeby się poufnie porozumieć względem wniesienia tej tak bardzo delikatnej sprawy. P. referent Wasilewski, nie zważając na wskazane w memoryale przygotowawcze środki, wystąpił... z ostatecznym celem, to jest z potrzebą zniesienia pańszczyzny. Takie obcesowe wystąpienie nieprzyjazne wywołało wrażenie i niechęć przeciw p. referentowi. Wielu sprzeciwiło się całkowicie dotknięciu tego przedmiotu na sejmie, inni znów nie chcieli, aby to uczynił referent. Dopiero wskutek usilnych zabiegów kilku z nas i po wysłuchaniu następnego wieczora wystylizowanego wniosku postawiliśmy go na sejmie. To też w protokole urzędowym z dnia 22 września 1843 czytamy, co następuje: »Na wniosek JW. Wasilewskiego, Wice-Marszałka tych królestw i deputata stanowego, uchwalono po rozprawach rzecz wyjaśniających większością głosów 86 przeciw 15 zanieść pokorną prośbę do Najj. Pana, aby Stanom łaskawie dozwolić raczył wybrać na przyszłym sejmie ze swego grona komisyę, którejby zadaniem było: obopólne między właścicielami ziemskimi a włościanami tego kraju stosunki wziąć pod rozwagę, poznać je w drodze należytej z oględną roztropnością i względem zaprowadzenia ulepszeń i zmian w tychże, sejmowemu zgromadzeniu swego czasu takie podać wnioski, jakieby, odpowiadając celowi i jednocząc

dobro właścicieli ziemskich z dobrem włościan, były tem samem zgodne z dobrem pospolitem, ażeby na tej podstawie mogły Stany złożyć dalsze swe prośby u stóp tronu Najjaśniejszego Pana«.

Ani ogólnikowego brzmienia powyższej uchwały, ani tych trudności zakulisowych, o których opowiada hr. Krasicki, nie można tłómaczyć w ten sposób, jakoby inicyatywa w sprawie reformy stosunków włościańskich nie znalazła w gronie deputatów stanowych żywszego oddźwięku i z tego powodu nie doprowadziła do uchwały jaśniejszej i więcej stanowczej. Tak rzecz wyglądałaby istotnie, jeżeliby się ją oceniało ze stanowiska dzisiejszych regulaminów i praktyk parlamentarnych, które umożliwiają sfinalizowanie każdej sprawy na jednej sesyi przez wybór komisyi, mającej dość czasu, aby wniosek wszechstronnie rozpatrzeć i wystąpić przed pełnem ciałem ustawodawczem ze szczegółowo opracowanym projektem. Ale sejmy stanowe zgromadzały się na kilkodniowe sesye dla przyjmowania postulatów podatkowych bez dyskusyi, »z czcią i należną gotowością«, a o ustanowienie komisyi przygotowawczej trzeba było dopiero prosić osobno. Bez takiej komisyi niepodobna było załatwić sprawy, która wymagała bardzo starannego opracowania nie co do samej głównej idei, na którą zgodzono się już wyraźnie, lecz co do szczegółów całej indemnizacyi. A w dodatku miał ówczesny sejm do czynienia z rządem, który reformę powyższą wziął niejako w monopol polityczny i tak nią do końca pokierować pragnął, aby szlachta została skwitowana z praw swoich, a mimo to nie ona, lecz rząd zbierał owoce, to jest zaskarbił sobie wdzięczność włościan. Wśród takich stosunków największa ostrożność w postępowaniu, nawet w samej stylizacyi wniosków, była konieczna, żeby nie dać sposobności do wyzyskania ich w powyższym kierunku.

Że nieufność taka była uzasadniona, na to najlepszym dowodem jest decyzya cesarska, jaka zapadła 9 lipca 1844 roku na powyższą uchwałę. Była to decyzya, oczywiście, ze Lwowa podsunięta, a w Wiedniu tylko ubrana w formę postanowienia monarchy. Łatwo było wtedy biurokracyi nadawać takim decyzyom kierunek, odpowiadający jej tendencyi, bo na tronie austryackim zasiadał monarcha idealnej dobroci, dobrotliwym nazwany (Ferdynand I), ale ciężko chory (na epilepsyę) i wskutek tej choroby apatyczny, wprost niezdolny do rozbioru spraw, a choćby tylko do rozpatrzenia się w ich zasadach.

»Co do uchwały, tyczącej się stosunków między właścicielami dóbr a włościanami, — tak opiewa owa decyzya według protokołu sejmowego — rozkazał Najjaśniejszy Pan Stanom oświadczyć, że te stosunki i ich ulepszenia, ile bez naruszenia praw nabytych i uniknienia wszelkiego przymusu wykonać je można, zawsze były i nadal będą przedmiotem szczególnej ojcowskiej troskliwości Najjaśniejszego Pana, że przeto Najjaśniejszy Pan z upodobaniem powziął wiadomość, iż Stany ku temu ważnemu przedmiotowi zwróciły uwagę, że atoli, gdy uchwała sejmu jest niewyraźną i tylko ogólną, ustanowienie osobnej komisyi, której zadanie ani co do przedmiotu, ani co do kierunku jej działań dostatecznie nie jest określone, nie uważa Najjaśniejszy Pan za prawdziwy środek, któryby tę trudną sprawę bez nadwerężenia wszelkich względów, na ścisłą uwagę zasługujących, mógł do powyższego kresu doprowadzić, że wreszcie Stanom, gdyby tego chciały, nie zostaje wzbronione względem przedmiotu, który ściśle oznaczyć potrzeba, w drodze przepisanej podać wyraźny wniosek«.

Czyż może być dosadniejsza od tego załatwienia ilustracya do— że tak powiemy — mizeryi konstytucyjnej ówczesnych Stanów, a zarazem do przebiegłości — żeby nie powiedzieć przewrotności — biurokracyi, która nie chce wiedzieć o tem, co było jasnem, że Stanom galicyjskim zależy na reformie stosunków włościańskich, która przewleka na rok, albo raczej zabagnia sprawę pierwszorzędnej doniosłości ekonomiczno-społecznej dlatego, aby nie wypuścić z rąk źródła dalszego jątrzenia włościan przeciw dworom! I komu to była niejasna uchwała sejmu stanowego z roku 1843! Wiceprezydentowi gubernialnemu, baronowi Kriegowi, który doskonale był o wszystkiem poinformowany, co szlachta uradzała na poufnych zebraniach, który wprost dyktował urzędnikowi protokoły sejmu stanowego, i to tak arbitralnie, że zmieniał dowolnie stylizacyę wniosków i uchwał, raz nawet — jak Maurycy Kraiński w swoich zapiskach mówi — co do jego wniosku nawet wbrew uwadze arcyksięcia Ferdynanda, że nie powinno się w ten sposób postępować!

Sejm stanowy dał historyczny dowód szczerości swoich usiłowań około zainicyowania reformy stosunków włościańskich, skoro pomimo tak widocznej dążności rządu do zabagnienia sprawy, na tej samej sesyi, na której dowiedział się o powyższej wymijającej decyzyi rządu co do wyboru komisyi, powziął 20 września 1844 roku następującą uchwałę: »Na pełne mądrości i dobroci wyrazy najwyższego

postanowienia z dnia 9 lipca 1844 roku, Stany, przejęte najwyższą wdzięcznością, składają u stóp Tronu wyznanie, iż mocno czują zarówno potrzebę zaradzenia ubóstwu włościan, stojącemu na przeszkodzie podniesieniu się bogactwa całego kraju, jak i wprowadzenia we wzajemne właścicieli dóbr i włościan stosunki tych dogodności i ułatwień, któreby częstym sporom koniec położyć, przeszkody dobrego gospodarstwa usunąć, a przeto i spokojność publiczną utrwalić i do rozwinięcia sił produkcyjnych kraju przyczynić się mogły. Nie widzą jednak Stany możności wypracowania w ciągu dni kilku trwającego sejmu dokładnego, gruntownego i wszechstronnym względom dogadzającego projektu, a nie chcą z niedokładnie wyrobionymi wnioskami występować przed tron Jego cesarsko-królewskiej Mości. Że uczucie pomienionej potrzeby jest powszechne, to dowodzi uchwała przeszłego sejmu znaczną większością zapadła i podania pojedynczych obywateli, które do wiadomości Najjaśniejszego Pana Stany podają. Niemożność zaś uchwalenia stanowczych projektów na prędce spoczywa w ważności przedmiotu. Ośmielają się zatem wierne Stany powtórzyć pokorną prośbę, aby Najjaśniejszy Pan raczył zezwolić łaskawie wybranej z grona Stanów komisyi wziąć pod rozwagę przedmioty, wyżej wspomnianemi podaniami objęte, a mianowicie: zaprowadzenie ksiąg gruntowych, któreby na przyszłość mogły służyć za podstawę do rozstrzygnięcia sporów, wyraźne przyznanie *dominii utilis* włościańskich gruntów, uregulowanie serwitutów i wspólnych posiadań, oraz podać dokładnie opracowany projekt Stanom do dalszych narad i przedstawienia wyższym władzom. Zadaniem tej komisyi będzie, unikając wszelkich kwestyi przedwczesnych, zająć się tylko oznaczeniem najgwałtowniejszych potrzeb, których zaspokojenie, nie naruszając niczyjej własności, ani wolności, byłoby jednakże w stanie zbliżyć naszych włościan do kwitnącego stanu włościan w innych prowincyach Państwa«.

Teraz już nie można było odmówić prośbie Stanów bez narażenia się na zarzut, że nie szlachta, lecz rząd tamuje i utrudnia wszelkie zabiegi około polepszenia doli włościan. Jakoż istotnie zawiadomione zostały Stany, że najwyższem postanowieniem cesarskiem z 11 marca 1845 roku prośba o ustanowienie komisyi dla reformy stosunków włościańskich została wysłuchana.

Nadeszła wreszcie sesya sejmu stanowego, na której miała być wybrana owa, z takim trudem wybłagana, komisya, ostatnia sesya tego

sejmu wogóle, ostatni akt działalności Stanów galicyjskich. W chwili, gdy sesya ta się rozpoczynała, widoczne już były na politycznym widnokręgu kraju zawiązki tych ciężkich chmur, z których, w kilka miesięcy później (luty i marzec 1846 roku), padły tak ciężkie gromy na Galicyę, jakich ona nigdy przedtem nie doznała, jakie bodaj czy kiedy spadły z nienacka na społeczeństwo polskie.

»W roku 1845 — pisze hr. Krasicki w dopiskach do swojego znanego już nam memoryału — w którym powodzie ogromne klęski wyrządziły w zachodnich obwodach, sejm otwarty został 15 września przy bardzo licznym udziale członków. Obiegały pogłoski pomiędzy obywatelami o jakimś niepokoju między ludem na Zachodzie, a nawet o napadaniu przejeżdżających przed samą Wielkanocą po niektórych osadach i gościńcach przez zebrane koło karczem chłopstwo. Dominik Dąmbski między innemi opowiadał, że jadąc w Wielką Sobotę z Krakowa do swojego majątku, Drogini, pobocznią drogą przez wsie, gdzie włościanom dobrze był znany, był przez nich nagabywany, a nie mógł dojść, czego od niego chcieli. Podobne napadania przejeżdżających zdarzały się w tym czasie od Zachodu, aż ku Tarnowowi. Te pogłoski, wskazujące, że się coś niedobrego gotuje, przebrzmiały jednak niespostrzeżenie, u jednych przez lekkomyślność, u drugich zapewne w celu odwrócenia uwagi». Że pod tymi drugimi rozumieć należy koła (biurokracyę), które wtedy w podtrzymywaniu stosunków napiętych między dziedzicami a poddanymi upatrywały najpewniejszą rękojmię szachowania spiskowców po dworach szlacheckich, tego z zestawienia słów w powyższem zdaniu domyślać się należy.

Na drugiem zaraz posiedzeniu tej sesyi, 18 września, sejm stanowy wybrał komisyę dla sprawy włościańskiej. Wybrano po jednym członku i jednym zastępcy z każdego obwodu. Jaką wagę przywiązywano do prac tej komisyi, jak szczerze zajęto się sprawą, na to dowodem jest fakt, że między wybranymi znajdujemy najznakomitszych członków sejmu. Wybrani zostali między innymi: Leon książę Sapieha, Władysław książę Sanguszko, Karol książę Jabłonowski, Kazimierz hr. Krasicki, Ludwik hr. Jabłonowski, Leon hr. Stadnicki, Kazimierz Badeni, Aleksander hr. Stadnicki, Stanisław Aleksander hr. Dzieduszycki, Alfred hr. Potocki, Aleksander hr. Fredro, Edward hr. Stadnicki, Leopold hr. Starzeński i t. d. i t. d.

Po wyborze komisyi przyjęto jeszcze wniosek Maurycego Kra-

ińskiego, rozszerzający zadania komisyi, mianowicie polecający jej, aby zastanowiła się nad środkami, »jakby poddańcze powinności mogły być zmienione w osypy zbożowe, lub czynsze w gotowiźnie, albo zupełnie wykupione«. Dodatek ten do programu komisyi był koniecznym, gdyż bez niego poprzednia uchwała sejmowa nie określała tego wyraźnie, że Stanom chodzi istotnie o uwłaszczenie włościan. Samo przyznanie własności użytkowej *(dominii utilis)* nie byłoby jeszcze uchyliło świadczeń pańszczyźnianych. Istniało bowiem — jak to wnioskodawca, niedościgniony znawca powikłanego ustawodawstwa pańszczyźnianego, trafnie dostrzegł — deklaratoryum rządowe z roku 1804, według którego, w razie alienacyi gruntu rustykalnego, własność zwierzchnia *(dominium directum)* wraz z wszystkiemi, stąd wypływającemi a na gruncie poddańczym ciążącemi powinnościami pańszczyzny, robociznami i innemi daninami, które posiadacz dziedzicowi z tego gruntu uiszczać winien i których wartość część tabularną własności dziedzica stanowi, dziedzicowi tak po zakupnie, jak przedtem się należą i żadnej odmianie co do wartości nie podlegają. Toteż w roku 1846 pańszczyzna istniała prawie we wszystkich innych słowiańskich i niemieckich prowincyach Austryi, chociaż w słowiańskich największa część poddanych, a w niemieckich wszyscy bez wyjątku własność użytkową swoich gruntów od dawna posiadali i wszystkie prawa, do niej przywiązane, od dawna wykonywali.

Uchwałą tedy dodatkową, powziętą na wniosek Maurycego Krańskiego, sejm najwyraźniej i najformalniej zaznaczył, że nie ma na myśli zaprowadzenia stosunku wieczystej dzierżawy co do gruntów włościańskich, lecz uwłaszczenie po formie prawnej. Ponieważ prezydyum sejmu stanowego identyczne z prezydyum gubernialnem nie podniosło żadnej wątpliwości co do takiego rozszerzenia zakresu komisyi, przeto wypadało wnosić, że zaraz rozpocznie się jej praca. Tymczasem stało się inaczej. Rząd w sposób niedwuznaczny okazał, że nietylko nie zależy mu na forytowaniu inicyatywy sprawy w dziele uwłaszczenia włościan, lecz wprost zdecydowany jest powstrzymać przejście tej inicyatywy z okresu deliberacyi w okres pracy przygotowawczej. Już 29 września 1845 roku otrzymał bowiem Wydział stanowy od generał-gubernatora, arcyksięcia Ferdynanda d'Este, pismo, w którem on, jako przewodniczący komisyi, mianuje Karola księcia Jabłonowskiego swoim zastępcą w tej czynności, ale zarazem dodaje, że »gdy Stany, w tym roku na sejm zgromadzone, łącznie z wyborem

komisyi przedstawiły prośbę do Najjaśniejszego Pana o rozszerzenie jej zakresu działania, dopiero po załatwieniu tej prośby komisyę zwołać wypadnie«.

Nie przyszło już wcale do zwołania komisyi, bo tymczasem spadła na kraj katastrofa z lutego 1846 roku, w której sprawa oswobodzenia włościan odegrała rolę zatrutej broni, wydartej przez rząd z rąk szaleńców spiskowych i skierowanej nietylko przeciw nim samym, lecz także przeciw krajowi i społeczeństwu polskiemu w Galicyi w jego późniejszym normalnym rozwoju ekonomicznym i społecznym. »Do tak smutnego wyniku — pisze Kazimierz hr. Krasicki w zapiskach do swojego memoryału — doprowadziły niewątpliwie usiłowania dwóch ówczesnych wrogich sobie prądów, z których każdy, uważając oswobodzenie włościan za najskuteczniejszy środek do dopięcia dyametralnie przeciwnych sobie celów, nie chciał dopuścić, aby ta żywotna sprawa przeprowadzona została na legalnej drodze przez właściwie do tego powołanych właścicieli ziemskich. W tej walce, jak zwykle, silniejszy zwyciężył. Podobnie stało się później w ziemiach polskich pod panowaniem rosyjskiem, gdzie szlachta litewska zrobiła pierwszy krok do rządu w celu wyswobodzenia ludu, a wypadki z roku 1863 oddały przeprowadzenie oswobodzenia w ręce rządu«.

Urzędowe pogrzebanie inicyatywy szlachty galicyjskiej w dziele uwłaszczenia włościan nastąpiło w cesarskiem postanowieniu z 22 marca 1846 roku o uchwałach sejmowych z roku 1845. »Co do wniosków, — tak opiewa odnośny ustęp tego postanowienia — tyczących się komisyi dla prac przygotowawczych w celu uregulowania ksiąg gruntowych posiadłości włościańskich zachował sobie Najjaśniejszy Pan na później rozporządzenie, przyczem postanowił, aby ta komisya do działań swoich nie przystępowała, dopóki w tej mierze rozporządzenie nie nastąpi«.

* * *

O wspomnianych w zapiskach Kazimierza hr. Krasickiego niepokojących ruchach pomiędzy włościaństwem niema żadnej wzmianki w urzędowym protokole sejmu stanowego, chociaż widocznem było, że się ma do czynienia z symptomami groźnej sytuacyi. Widocznie tylko na poufnych zebraniach komunikowano sobie nawzajem niepokojące spostrzeżenia, a niepodobna nawet przypuścić, aby przytem nie

wprowadzono tych spostrzeżeń wprost w zatrważający związek z szaloną robotą skrajnych żywiołów, przygotowujących wybuch lutowy z roku 1846, z jednej, i z ukrytą demoniczną robotą zawistnej szlachcie biurokracyi około pogłębienia przepaści między gminą a dworem, między dziedzicami a poddanymi, z drugiej strony. Że tak było istotnie, o tem świadczą zwierzenia jednego z najgłówniejszych aktorów i autorów katastrofy w roku 1846, Franciszka hr. Wiesiołowskiego. »Dla odwrócenia wszelkich możliwych podejrzeń rządu — pisze ten świadek współczesny w swoim pamiętniku [1]) — wybrałem się, jako członek Stanów galicyjskich, w mundurze stanowym, przy szpadzie i w kapeluszu stosowanym, na sejm postulatowy do Lwowa. Był to ostatni sejm tego rodzaju. Lwów zastałem spokojny, a lubo dochodziły tam z naszych stron niepewne wieści o jakichś zaburzeniach, wkrótce nastąpić mających, lubo znaleźli się nawet tacy z pomiędzy obywateli, co czynili na to prezydenta gubernialnego, Kriega, uważnym, zapytując go, jakie rząd przedsięweźmie kroki, aby pokój w kraju utrzymać, — Krieg zapewnił ich, iż niema w tem nic strasznego, a w najgorszym nawet razie zaburzenia nie potrwają dłużej nad trzy dni, poczem będzie sto lat pokoju. Szlachta sejmowa powtarzała z zadowoleniem ten dowcip pana prezydenta, posiadając ślepe zaufanie w niezmierną mądrość rządu, który tak lekceważył sobie siły burzycieli porządku. Na ówczesnym sejmie lwowskim toczyła się kwestya o zniesienie pańszczyzny. Większość była za tem, aby na legalnej drodze z pomocą rządu zamienić ją na czynsze, lub na wykupno. Krieg sprzeciwił się temu i łudził obietnicami, wszelkich używając sprężyn, aby rzecz tę zniweczyć. Szlachta z całym zapałem rzuciła się pomiędzy sobą: jedni za, a drudzy przeciw projektowi temu. A nawet ci, co wiedzieli o robotach naszych, czy to przez niedowiarstwo, czy też rozmyślnie, chcąc przez to wydrzeć nam broń z ręki, popierali na seryo sejmowe projekty, jak gdyby nic innego wkrótce nastąpić nie miało«.

Gdyby owe poufne ostrzeżenia szlachty i lekkomyślne wynurzenia barona Kriega podniesione były jawnie i głośno na sejmie tak, żeby na ich autentyczność pozostał był protokolarny dokument, byłby dla historyi powstał niezbity dowód winy biurokracyi za przebieg

---

[1]) *Franciszek hr. Wiesiołowski:* »Pamiętnik z roku 1845—1846«. Lwów, 1868, str. 49—51.

i rozmiar katastrofy z roku 1846, winy, która wprawdzie dziś da się wobec sądu krytycznego historyi wykazać, ale początkowo była całkowicie spychana na społeczeństwo polskie, a nawet już w brzasku ery konstytucyjnej w Austryi, kiedy nastała wolność słowa, a z nią także wolność badań i sądów historycznych o grzechach dawnej biurokracyi austryackiej, w Galicyi i w ogóle w państwie popełnionych, została w znanem i za klasyczne uważanem dziele niemieckiem Maurycego br. Sali (byłego radcy gubernialnego we Lwowie w roku 1846) o wypadkach roku 1846 tak zamglona, że jeszcze podjęte być musi ważne zadanie rewizyi materyału i procesu historycznego w tej sprawie [1]).

Czy w gronie szlachty, zgromadzonej na sejm stanowy w jesieni roku 1845, nie było ludzi tak rozważnych i przenikliwych, żeby wbrew twierdzeniu Franciszka hr. Wiesiołowskiego uważali koncept br. Kriega o doniosłości spiskowej roboty za lekkomyślne, lub może nawet za przewrotne łudzenie zaniepokojonych i w konsekwencyi gotowi byli podnieść sprawę publicznie w sejmie dla zapobieżenia nieszczęściu? Z pewnością nie brakło takich członków w sejmie, a każdy z wymienionych przez nas powyżej uczestników jego niezawodnie gotów był do takiego wystąpienia. Ale trzeba pamiętać, że się ma tutaj do czynienia nie z sejmem dzisiejszego ustroju, sejmem wyposażonym wolnością słowa i nietykalnością poselską, sejmem, nietylko uprawnionym, lecz nawet powołanym do kontroli rządu, ale z sejmem postulatowym, skazanym z góry tylko na potakiwanie wszystkim postulatom i komunikatom rządowym, na co wyznaczono kilka krótkich posiedzeń i tak do połowy zaprzątniętych aktami śmiesznego ceremoniału. Jakżeż więc w takim sejmie mógł odezwać się głos śmielszy, bodaj z interpelacyą, zaznaczającą w samem pytaniu istnienie niepokojących symptomów i potrzebę wczesnego odwrócenia burzy,

---

[1]) Sposobność do takiej rewizyi, a nawet jej konieczność zajdzie w chwili, gdy profesor uniwersytetu w Grazu, dr. Jan Loserth, ogłosi drukiem znaleziony w styryjskiem archiwum krajowem pamiętnik Breinla, starosty Tarnowskiego z roku 1846, głośnego bohatera rzezi zachodnio-galicyjskiej. Dzięki uprzejmości profesora Losertha, piszący mógł z rękopisu, do druku przygotowanego, poznać ów pamiętnik i znalazł tam szczegóły, które, wraz z materyałami skądinąd uzyskanymi a dotąd nieznanymi, pozwolą mu co najmniej zainicyować wspomnianą rewizyę. *(Przyp. autora).* Por. dodatek do rozdz. IX. *(Przyp. wydawcy).*

zrywającej się dzięki biurokracyi, która tak długo przedtem wiatr siała? Popamiętałby był gniew br. Kriega śmiałek, występujący z takiem zapytaniem, a swoją drogą głos jego przebrzmiałby bez najmniejszego śladu w protokole urzędowym, który spisywał aktuaryusz, z ramienia rządu ustanowiony, a poprawiał br. Krieg w ten sam sposób arbitralny, jak naprzykład referaty podwładnych urzędników gubernialnych.

Wolno było jednak szlachcie prosić w roku 1845 rząd o ulgi i zapomogi dla poddanych, bo ulgi te i zapomogi dostawały się im za pośrednictwem biurokratów cyrkularnych w ten sposób, jak gdyby były dziełem biurokracyi, wymuszonem na nieludzkiej i opornej szlachcie. Z tej wolności korzystała szlachta w szerszym zakresie na sejmie stanowym z roku 1845. Widocznie przyświecała jej myśl, że może w ten sposób przez złagodzenie wyjątkowej, klęskami elementarnemi spowodowanej, nędzy włościan w zachodniej Galicyi, da się zatamować źródło owych niepokojących symptomów, o których hr. Krasicki w swoim memoryale wspomina. Smutna ironia losu sprawiła, że z tego, co na sejmie stanowym w roku 1845 dla poddanych uczyniono, czerpała w kilka miesięcy później niesumienna biurokracya środki przynęty i nagrody dla zbrodniczych bohaterów katastrofy z r. 1846.

Sprawę niesienia pomocy dla dotkniętych powodzią zachodnich i północnych okolic kraju, głównie w obwodzie Tarnowskim i Bocheńskim, podniósł według urzędowego protokołu na posiedzeniu sejmowem z 23 września 1845 roku Leon książę Sapieha, a obok niego Franciszek Wolański i Antoni Kraiński. Sama potrzeba takiej pomocy przez nikogo nie została zakwestyonowana, a tylko co do sposobu jej urzeczywistnienia prowadzona była rozprawa, zakończona ostatecznie przyjęciem wniosku Karola księcia Jabłonowskiego, według którego Stany proszą cesarza, aby: »1) do funduszu, przeznaczonego ku wsparciu zostających w potrzebie włościan galicyjskich, dodana została jak najrychlej suma 400.000 złr. m. k. z najwyższego skarbu, a Stany oświadczają swoją gotowość, przypadające od tej sumy prowizye po 4% przez lat dziesięć, w miarę zmniejszającej się co rok przez częściowe spłaty pożyczki, z funduszu domestykalnego ponosić. 2) Aby ta pomoc w razie potrzeby podwyższona była aż do sumy 1,500.000 złr. m. k., od której to przewyżki prowizye, także po 4% liczyć się mające, cały kraj ponosiłby w stosunku podatków stałych i czopowego, jaki istniał do roku 1825«.

Nadto Leon książę Sapieha podniósł potrzebę zakładania maga-

zynów zbożowych dla włościan, celem dostarczania im każdego czasu ziarna na żywność i zasiew po cenach stałych pod powagą rządu, a skoro prezydujący, br. Krieg, uznał to za niepodobne, ks. Jabłonowski proponował utworzenie w tym celu towarzystwa akcyonaryuszów, »któreby, ku ulżeniu nieszczęśliwym, wielkie straty, na jakie to przedsiębiorstwo byłoby narażone, ponieść było gotowe«. Tę ostatnią myśl usunął br. Krieg z obrad sejmowych, oświadczając, że »to dobrowolnemu porozumieniu się osób prywatnych musi być pozostawione«.

Powyższe uchwały sejmu stanowego zatwierdzone zostały przez cesarza 6 grudnia 1845 roku, a sumy potrzebne polecono asygnować z bukowińskiego grecko-nieunickiego funduszu religijnego. O przychylnej decyzyi cesarskiej zawiadomiło prezydyum gabinetowe wydział stanowy z tym, w urzędowym protokole obrad sejmowych zapisanym, dodatkiem, że »Najjaśniejszy Pan rozkazał Stanom galicyjskim oznajmić, jako o gotowości ich do niesienia pomocy z własną nawet ofiarą włościanom, w niedoli pogrążonym, z upodobaniem powziął wiadomość«.

* * *

Do ceremoniału sejmowego należało wtedy także uchwalanie adresu do tronu ku końcowi sesyi. Adresy te były w latach poprzednich krótkie, w tonie swoim urzędowo-dziękczynne, a tylko nieśmiało i krótko odzywały się w nich główne życzenia kraju, mianowicie co do większego uwzględniania języka polskiego w szkołach i urzędach. W roku 1845 adres, ułożony przez Tadeusza Wasilewskiego, wypadł odmiennie, bo pominąwszy okoliczność, że jest tak obszerny, jak żaden poprzedni, niemal zbliża się treścią i formą do nowoczesnych adresów parlamentarnych, a poniekąd nawet uderza śmiałością w zaakcentowaniu potrzeb krajowych, zwłaszcza pomocy publicznej dla włościan, reformy stosunków włościańskich i uwzględnienia języka krajowego. To karykaturalne z dzisiejszego punktu widzenia ciało reprezentacyjne znać dobrze było przejęte ważnością danej chwili pod względem politycznym, bo nasuwa się domysł, że aktem poważnym chciało, ile to w jego mocy było, stanąć w poprzek rozwojowi spiskowych planów. A i to jeszcze wpada w oko, że rząd, wodzący na pasku sejm stanowy, nie sprzeciwił się uchwaleniu adresu, odbiegającego od oschłego szablonu. Czy wobec gwałtownego prężenia atmo-

sfery spiskowej widział w tem wentyl bezpieczeństwa dla siebie, lub, co prawdopodobniejsze, chciał mieć na przyszłość pozory liberalnego traktowania politycznych aspiracyi Stanów, a więc i społeczeństwa polskiego? Bądź co bądź, ten ostatni adres ostatniego sejmu stanowego zasługuje dziś na przypomnienie, jako dokument historyczny, pochlebnie świadczący o tem pokoleniu szlachty polskiej w Galicyi, na które w kilka miesięcy później paść miały ciosy tak straszne. Oto brzmienie tego adresu:

»Najjaśniejszy Panie! Już przeszły rok słotny w całym kraju zawiódł pracę i nadzieję rolnika, a znaczne przestrzenie nad rzekami wodą zalane dobytek wraz z całorocznym plonem utraciły tak, że już wyżywienie części ludności, oraz uprawa ziemi na ten rok były trudne. W tym roku jeszcze mniejszy mamy urodzaj. Część zboża już w stanie dojrzałości na polu porosła, inna przy szczupłem ziarnie mały obiecuje wydatek; ziemniaków zbiór jeszcze niepewny, a klęski elementarne z większą odnowiły się srogością i rozleglejsze okolice zajęły. W wielu miejscach spadły grady, w innych sroży się zaraza na bydło, a w nizinach powodzią dotkniętych całe wsie zniszczone, cała ich ludność bez wyżywienia, bez dachu, ogołocona z bydła, z paszy dla pozostałego, ze sprzętów i odzieży, opuszcza potem ojców i swego czoła użyźnioną ziemię i rozchodzi się o żebranym chlebie za zarobkiem. Wyczerpane dawniejsze i przeszłoroczne zapasy, a niewielkie tegoroczne zbiory zapowiadają drożyznę i głód w tych stronach, które nic nie zebrały.

»W tak wielkiem i powszechnem nieszczęściu wierne Stany, przyjmując na siebie ze zwykłą gotowością ofiary, których Najjaśniejszy Panie w najwyższych postulatach na potrzeby ogólne państwa zażądałeś, nie dla siebie o ulgę, ale o pomoc skuteczną i spieszną dla poddanych tych okolic upraszają, które najwięcej od powodzi ucierpiały, a których dominia równą klęskę poniosły i dochodów pozbawione dopomódz nie mogą. Uchwałę Sejmu, tego przedmiotu dotyczącą, Waszej Ces. Król. Mości ośmielamy się w pokorze szczególnie polecić. Ofiary chwilowe, które skarb najwyższy dla zachowania znacznej części ludności i utrzymania żyzności ziemi poniesie, ofiary, do których i Stany według sił swoich chcą się przyłożyć, za powrotem zamożności do zniszczonych dziś okolic rychło się wynagrodzą, a Wasza Ces. Król. Mość dodasz jeszcze jedno dobrodziejstwo do tych, któremi serca wiernych poddanych swoich świeżo sobie zobowiązałeś.

Rok ten klęskami wsławiony równie pamiętnym będzie Twojemi, Miłościwy Panie, dobrodziejstwami.

»Wraz z całą monarchią składamy Waszej Ces. Król. Mości czułe dzięki za skrócenie służby wojskowej. Składamy również dzięki za łaskę, z jaką przebaczyć raczyłeś niektórym ziomkom naszym, za polityczne występki pod sąd pociągnionym. Dokończ, Miłościwy Panie, dzieła dobroci, zatrzyj pamięć łez, które niejedna rodzina jeszcze wylewa, aby i my i wnukowie nasi tylko dobrodziejstwa Twoje wspominali.

»Uznając ważność kolei żelaznej dla kraju, raczyłeś Wasza Ces. Król. Mość koszta tej budowy przyjąć na skarb najwyższy. Rozkaż Miłościwy Panie przyspieszyć to wielkie dzieło, konieczny przyszłej pomyślności naszej warunek. Wiele rąk pracowitych bez sposobu zatrudnienia wygląda zarobku z tej budowy. Przy takiem ubieganiu się robotników, nigdy ta budowa taniej nie będzie mogła być wykonana, a nigdy dozwolony zarobek tak wielkiem jak teraz nie stanie się dobrodziejstwem.

»W wyższym jeszcze stopniu niż kolej żelazna rokuje krajowi błogą przyszłość poprawa i uregulowanie stosunków włościańskich, któremi wybranej z grona Stanów komisyi zająć się Miłościwy Panie pozwoliłeś.

»Pokorną prośbę Stanów o rozszerzenie działań tej komisyi chciej Wasza Ces. Król. Mość przyjąć łaskawie. Nie jest bynajmniej zamiarem zgromadzonych Stanów naruszać czyją bądź własność, odejmować prawa dobrze nabyte, wzniecić obawy lub nadzieje, któreby bieg gospodarstwa krajowego tamować i produkcyę jego umniejszyć lub spokojność wewnątrz narazić mogły; owszem Stany chcą wszelkie prawo uświęcić, ale jego korzystnemu używaniu stojące na zawadzie przeszkody usunąć, otworzyć pole dobrowolnym układom i dać sposobność lepszego rozwinięcia sił tak właścicielom dóbr, jak włościanom, ku podniesieniu krajowego gospodarstwa i bogactwa, a odjęciem każdemu na przyszłość niespokojnemu poruszeniu powodu i pretekstu uczynić je niepodobnemi.

»W zbyt ciasnym zakresie ograniczona komisya, nie przyniesie oczekiwanych po niej owoców. Że potrzeba rozszerzenia jej działalności czuć się daje powszechnie, służyć może za dowód ta znaczna większość, z jaką Stany, po największej części złożone z właścicieli dóbr z różnych okolic, w większej nad zwyczaj liczbie zgromadzonych, zaniesienie tej pokornej prośby do stóp tronu uchwaliły.

»Nakoniec dzięki pokorne składamy Waszej Ces. Król. Mości, żeś łaskawie polecić raczył, aby c. k. władze wzięły pod rozwagę, czy nie mogą niektóre przynajmniej nauki w akademii realnej być w mowie polskiej wykładane. Co do wyboru przedmiotów zgadzamy się z oświadczonem wysokim rządom krajowym przez nasz wydział zdaniem. Skutek, Najjaśniejszy Panie, wkrótce okaże pożytki tej łaskawej Wasze Ces. Król. Mości decyzyi i przekona wysokie władze o potrzebie dania powoli coraz większej rozległości mowie krajowej we wszystkich naukowych instytutach, której po dobroci i sprawiedliwości Twojej, Miłościwy Panie, w przyszłości sobie obiecujemy. Mowę bowiem przodków uważamy za najdroższe nasze dziedzictwo, a jej używanie i uprawę za najświętszy nasz obowiązek i najświętsze prawo; o zachowanie i wspieranie tej mowy nigdy Waszej Ces. Król. Mości błagać nie przestaniemy. Mowa ta bogata, dźwięczna i wykształcona, większego jeszcze wykształcenia zdolna, posiadająca dzieła we wszystkich gałęziach nauk i literaturę, która już przestaje być nieznaną Europie, gdyby od nauk i szkół była na zawsze oddalona, zstąpićby musiała do rzędu mów prostego gminu, a i ten gmin cywilizacyi innych narodów przyjmowaćby nie zdołał, skoroby w mowie własnej ich wiadomości i wynalazków przyswajać sobie nie mógł.

»Jeżeliś na teraz, Najjaśniejszy Panie, nie widział się spowodowanym przychylić się do pokornej prośby Stanów o dozwolenie podań w tej mowie do sądów w sprawach spornych, nie tracimy nadziei, że przy ustanowieniu nowego kodeksu sądowego na usilne w imieniu blisko pięciu milionów wiernych poddanych Twoich zaniesione błagania nasze wzgląd łaskawy mieć będziesz raczył. Szanujemy wolę Twoją, Miłościwy Panie, i gdyś wyrzekł, że w sprawach spornych chcesz, aby przy używanej dotąd w sądach mowie pozostać, tą zaś mową z dawnego używania jest łacińska, domagamy się jedynie, aby tej woli Waszej Ces. Król. Mości stało się zadość, a ze smutkiem donieść musimy, że się jej zadość nie dzieje. Sądy bowiem w Galicyi, odrzucając nawet w sprawach niespornych podania polskie, niemieckie w spornych i niespornych przyjmują, wyroki i rezolucye po niemiecku stronom na ich łacińskie podania wydają. Gdyby w ten sposób język niemiecki wszedł w zwyczajne sądów używanie, jużby od tego zwyczaju, gdy raz się zadawni, trudno było później na korzyść mowy krajowej odstąpić.

»Gdyby zaś wspomniane powyżej postanowienie Waszej Ces.

Król. Mości ściągało się tylko do pism sądowych w sprawach spornych, śmiemy ponowić pokorną prośbę, abyś Najjaśniejszy Panie w sprawach niespornych, w sprawach *nobilis iudicis officii,* w sprawach spadkowych, opiekuńczych, tabularnych, podania polskie przyjmować rozkazał.

»Łączymy do tej prośby jeszcze tę drugą, aby jak od politycznych urzędników wymagana jest znajomość nie jakiegokolwiek słowiańskiego, lecz wyraźnie polskiego języka, przepis ten i na urzędników sądowych rozciągnął łaskawie i rozkazał przy egzaminie kandydatów z mowy polskiej zastosowywać tę formalność i tę surowość, które są przepisane przy innych egzaminach. Mowa polska bowiem nie jest dyalektem żadnej mowy słowiańskiej, lecz mową osobną. Między nią a pobratymczemi mowami przez wiek i różny stopień uprawy nastały różnice, które nieraz podobnemu brzmieniu nietylko inne, ale nawet przeciwne nadają znaczenie. Przy znajomości więc innej słowiańskiej mowy mógłby sędzia, nieumiejący po polsku, mając wyrokować nad dokumentami i zeznaniami polskiemi, być narażonym na szkodliwe i niepowetowane pomyłki«.

W niespełna pięć miesięcy później zaszła katastrofa z lutego 1846, szydercza odpowiedź losu na oczekiwanie, połączone z uchwałą ostatniego sejmu stanowego w sprawie włościańskiej i z adresem do tronu.

IV.

Epilog Stanów galicyjskich (II).

Abdykacya Stanów.

W tem nad wszelki wyraz ciężkiem położeniu, w jakie wtrąciły Galicyę krwawe wypadki z lutego i marca 1846 r., kiedy to w miejsce tak bezinteresownie przez sejm stanowy zainicyowanej reformy stosunków włościańskich na porządku dziennym stanęła sprawa pańszczyźniana, traktowana przez hajdamacką biurokracyę z jednej strony jako źródło nagród dla splamionego krwią alianta siermiężnego, a z drugiej strony jako taran do ekonomicznego i społecznego zmiażdżenia dworów, tego wrzekomego ogniska spiskującej polskości, a w zwoływanych dla tej sprawy ankietach gubernialnych, dwaj rzecznicy szlachty, Agenor hr. Gołuchowski i Maurycy Kraiński, ograniczać się musieli do samej tylko defenzywy, do wniesienia *votum separatum* [1]) — zwołanie sejmu stanowego, tego samego sejmu, którego niemoc w poprzednim rozdziale przedstawiliśmy, byłoby powitane w kraju jako pomyślny wypadek, jeżeli nie jako rękojmia lepszego zwrotu, to przynajmniej jako jaśniejszy promień nadziei, rozpraszający chwilowo straszną ciemnicę. Prosiła o to szlachta galicyjska w podaniu, wystosowanem do tronu na ręce prezydenta gubernialnego,

---

[1]) *Dr. Bronisław Łoziński:* »Agenor hr. Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859). Lwów, 1901, str. 7—43.

br. Kriega, który teraz, po wyjeździe generał-gubernatora, Arcyksięcia Ferdynanda d'Este, do Wiednia, albo raczej po jego delikatnem odwołaniu, ster rządów krajowych objął, prosiła przytem, aby, w razie niezwołania sejmu, pozwolono jej przynajmniej odbyć zjazd prywatny dla omówienia wiadomych już wówczas, fatalnych dla niej gubernialnych projektów uregulowania pańszczyzny. Za sprawą br. Kriega prośby te nie zostały w Wiedniu uwzględnione, a wskutek tego gubernium miało swobodne ręce w dalszych dyspozycyach swoich.

Kiedy w jesieni r. 1846 Rudolf hr. Stadion, brat późniejszego gubernatora Galicyi, hr. Franciszka, objeżdżał kraj i, na pozór w chęci życzliwego dlań poinformowania się o stosunkach, szukał zetknięcia się z wybitniejszemi osobistościami z grona szlachty, otrzymał od wielu osób przedstawienia i memoryały, w których zwołanie sejmu stanowego odzywa się w formie jednego z głównych dezyderatów. Nawet śmiały w swojej krytyce całego systemu rządowego memoryał Aleksandra hr. Fredry zaczyna sformułowanie życzeń i potrzeb kraju w ten sposób [1]):

»Aby reprezentacya stanowa, wolą cesarza Józefa urządzona, a rozszerzona i zapewniona aktem kongresu wiedeńskiego, weszła w odpowiednią celowi swojemu działalność. Tak na zgromadzeniach sejmowych wnioski, tyczące się wewnętrznych interesów kraju, wolne, a dyskusye nie na kilkunastu godzinach ograniczone będą. Natenczas wywinie się ze sporu zdań opinia większości, przeważna w kraju, pociągająca ku sobie i dyrygująca sobą podług zasad porządku i prawa, której niebytność opłaciliśmy drogo w ostatnich czasach. Stosunki miejscowe, potrzeby kraju, jego korzyści i szkody ewentualne przez nikogo gruntowniej i rzetelniej roztrząsane być nie mogą, jak przez tych, których tyczą się bezpośrednio. Jak protokóły obrad sejmowych będą nie ich treści wyciągiem, ale dokładnem powtarzaniem i staną się przez to u podnóża tronu wiernem zwierciadłem tak zbiorowych powodów wszelkiego postanowienia, jako i indywidualnej tendencyi i zdolności, natenczas naród z rządem łączyć się będzie związkami ufności i dobrze zrozumiałego wspólnego interesu. Wydział stanowy nie może być odgłosem rządu, przez to stałby się bowiem zupełnie nieużyte-

---

[1]) *Stanisław Schnür-Pepłowski:* »Z papierów po Fredrze«. Kraków, 1899, str. 83—4. (Memoryał ten znajduje się także w papierach M. Kraińskiego).

cznym. Powinien zatem mieć, aczkolwiek pod supremacyą rządu, ile możności niezawisłą działalność. Połączenie więc urzędów w tych dwóch instytucyach w jedną jakoby osobę nie zdaje się być odpowiedniem jego przeznaczeniem. Podług najwyższego postanowienia, dwóch doradców, wybranych z grona obywateli stanowych, miało zasiadać na obradach gubernialnych. Ci doradcy, zmienieni w konsyliarzy i zajęci specyalnym referatem, stali się dla kraju nieużytecznymi zupełnie«.

Wszystkie te przedstawienia były jednak daremne. Lata 1846 i 1847 minęły bez zwołania sesyi sejmu stanowego, chociaż właśnie w tych latach głos sejmu stanowego był tak potrzebny dla sprawy włościańskiej.

Dziwnem zrządzeniem losu wkrótce potem otrzyma Galicya stamtąd, dokąd słała daremne prośby o zwołanie sejmu stanowego, wezwanie i zaproszenie do odbycia tego sejmu, a sytuacya każe jej odpowiedzieć na to wezwanie odmownie. Stało się tak w r. 1848.

W pierwszej zaraz chwili rewolucyi wiedeńskiej (marzec 1848), po złamaniu systemu Metternichowskiego i wydaniu cesarskiego manifestu konstytucyjnego z nieokreślonemi jeszcze bliżej swobodami obywatelskiemi i politycznemi, uznano to w samym Burgu wiedeńskim, że instytucya stanowa jest już anachronizmem i w dotychczasowym ustroju utrzymać się nie da. Łudzono się jednak nadzieją, że, pomimo gwałtownie wzbierającej fali rewolucyjnej, powiedzie się ocalić albo raczej przekształcić instytucyę stanową w duchu zwycięskich prądów za pomocą niezbędnej reformy. Wymagała ona jednak poprzedniego utorowania drogi w samych Stanach, a tem samem w okresie tak burzliwym już poniekąd z góry skazana była na zwichnięcie. Bezradne w tej dobie do najwyższego stopnia centralne sfery rządowe chciały reformą tą objąć tylko Stany dziedzicznych prowincyi austryackich, ale marszałek Stanów dolno-austryackich w Wiedniu, Wojciech hr. Montecuccoli, wykonując cesarski reskrypt w tej mierze, wciągnął w akcyę także i Stany innych prowincyi, nie wyłączając Galicyi, której wydział stanowy otrzymał 1 kwietnia 1848 r. następujące zaproszenie do udziału: »Najj. Pan reskryptem z dnia 17 marca 1848 wezwał wszystkie Stany niemieckich krajów dziedzicznych, aby spiesznie wzięły pod rozwagę, w jaki sposób czwartemu stanowi należałoby przyznać szerszy wpływ na obrady stanowe i aby przedłożyły swoje wnioski co do odpowiadającego duchowi czasu przekształcenia

i ulepszenia urządzeń municypalnych i gminnych. Na konferencyi deputatów stanowych z kilku prowincyi powszechnie i głośno wyrażono życzenie, aby, celem gruntownego, jednolitego i spiesznego załatwienia tych dla wszystkich prowincyi zarówno ważnych i pilnych spraw na wszystkich sejmach prowincyonalnych, wnioski omówione były bezzwłocznie przez wspólny wydział wszystkich prowincyi. Na pomienionej konferencyi zgodzono się na to, że wydział centralny ma przeprowadzić tylko wstępne obrady nad dwoma punktami, mianowicie: 1) w sprawie rozszerzenia instytucyi stanowych i 2) w sprawie przekształcenia urządzeń municypalnych i gminnych, a rezultat obrad przedłożyć do uchwały poszczególnym sejmom prowincyonalnym; że dalej wydział centralny, celem umożliwienia wszechstronnych a szybkich obrad ma do grona swojego powołać po czterech członków z każdej prowincyi i jak najrychlej zebrać się w Wiedniu. Wreszcie zwrócono się do mnie z prośbą, abym z powodu nagłości sprawy bezzwłocznie wystosował do Stanów wszystkich prowincyi wezwanie o wybranie czterech członków i natychmiastowe wyprawienie ich do Wiednia. Przeświadczony o potrzebie takich obrad przedwstępnych, celem zgodnego i energicznego współdziałania wszystkich Stanów, przekonany, że sam rząd musi sobie życzyć takiego zjednoczenia, nie waham się uczynić zadość wyrażonemu życzeniu i upraszam Stany innych prowincyi, aby deputatów swoich wysłały na konferencyę, rozpocząć się mającą 10 kwietnia. Stany dolno-austryackie ustanowią zaraz po dwóch deputatów ze stanów wyższych i ze stanu miejskiego, i ażeby nie stracić ani jednego dnia z czasu tak drogiego, poruczyły dwom komitetom zajęcie się pracami wstępnemi do załatwienia dwóch powyższych kwestyi. Zawiadamiając o tem najuprzejmiej Stany innych prowincyi, wyrażam życzenie, aby w tych ważnych naradach wstępnych żadna prowincya nie była pozbawiona reprezentacyi. — Wiedeń, 28 marca 1848 r. — Wojciech hr. Montecuccoli«.

W papierach, pozostałych po Metternichu, a wydanych staraniem jego syna, znajdują się także zapiski pamiętnikarskie [1]), w których upadły kanclerz, pierwsza i główna ofiara wiedeńskiego ruchu rewolucyjnego z marca 1848 r., stara się upadek swój upiększyć w ten sposób, że jakkolwiek przewidywał nadciągającą burzę i starał się jej za-

[1]) »Aus Metternich's nachgelassenen Papieren«. Wien, 1883. (Część II, tom 5, rozdział końcowy).

pobiedz projektami reformy, danymi stosunkami wskazanej, a mianowicie projektem reorganizacyi Stanów, celem wytworzenia centralnego ciała reprezentacyjnego, to jednak planów swoich przeprowadzić nie mógł z powodu utrudnień, doznawanych w radzie stanu i wogóle w rządach swoich ze strony arcyksięcia Ludwika i ministra hr. Kolowrata, powołanych razem z nim, albo raczej obok niego, do sterowania nawą państwową pod chorym i apatycznym cesarzem Ferdynandem. Jeżeli tak było istotnie, to powyższy projekt hr. Montecuccolego uważać należy za spuściznę po Metternichu. W chwili ułożenia projekt ów mógłby był może stanowić, jeżeli nie wał ochronny wobec nadciągającej od zachodu ku Austryi wezbranej fali rewolucyjnej, to przynajmniej tamę, o którą fala ta złamałaby się była i osłabła tak, że byłoby możliwem przystąpienie do podtrzymania lub nawet rekonstrukcyi zachwianego do gruntu starego ustroju państwowego. W chwili jednak, gdy hr. Montecuccoli zainicyował akcyę celem wykonania tego projektu, zaciążyła już na nim owa historyczna fatalność większej części, jeżeli nie wszystkich, austryackich projektów reformatorskich, która streścić się daje w jednem słowie: zapóźno!

Zapóźno wzięto się w Wiedniu do reformy, a tem bardziej we Lwowie, gdzie od 18 marca 1848 istniał już sformułowany najpierw w historycznej petycyi do tronu przez Smolkę i Ziemiałkowskiego, a w kilkanaście dni później powtórzony w adresie, wysłanym przez deputacyę galicyjską do cesarza Ferdynanda, program polityczny, stanowczy i jasny, jak żaden inny z współcześnie w różnych punktach austryackiego ruchu rewolucyjnego układanych programów, program tak szeroko zakreślający miarę postulatów konstytucyjnych, że wobec tego zainicyowana z Wiednia reforma Stanów musiała się wydać drobnostką.

Ale ówczesny gubernator galicyjski, Franciszek hr. Stadion, stojący z tytułu urzędu swojego na czele Stanów i w tej chwili jeszcze nie wyzuty z popularności, zdobytej w społeczeństwie polskiem nietylko całem postępowaniem dotychczasowem, lecz, i to głównie, wolnomyślnem stanowiskiem wobec pierwszych symptomów całego ruchu, nie dał za wygraną, lecz owszem, podjął na seryo próbę pozyskania opinii kraju dla wiedeńskiego projektu. Wystosował tedy natychmiast do wszystkich we Lwowie i najbliższej okolicy bawiących członków sejmu stanowego zaproszenie na konferencyę, która odbyła się 5 kwietnia 1848 r. w pałacu Namiestnikowskim.

Zgromadzenie, w dniu tym rzeczywiście odbyte, było liczne, bo zjawiło się w pałacu Namiestnikowskim 94 członków sejmu stanowego. Maurycy Kraiński, który w całej tej sprawie, jak wogóle w ówczesnem życiu publicznem, odgrywał bardzo wybitną rolę, pozostawił w papierach swoich [1]) notatki, z których zestawić się daje tak przebieg obrad, jak i obraz dalszych losów sprawy. Według tego źródła gubernator hr. Stadion zagaił obrady krótką przemową, w której podziękował uczestnikom zebrania za jawienie się w tak pokaźnej liczbie, odczytał powyższe zaproszenie hr. Montecuccolego i zawiadomił zgromadzonych, że ze strony miasta Lwowa wybrani już zostali dwaj deputaci na projektowaną konferencyę stanową w Wiedniu, mianowicie: hurtownik Floryan Singer i adwokat Jan Czaykowski. W ówczesnej organizacyi gmin, stołecznego miasta Lwowa wcale nie wyjmując, nie można mówić o »wyborze« w znaczeniu dzisiejszem, autonomicznem. Wybór ów był tedy raczej odkomenderowaniem dwóch wpływowych obywateli miejskich przez rząd, a nastąpił tak pospiesznie, jeszcze przed zgromadzeniem się członków sejmu stanowego, widocznie dlatego, żeby niejako stworzyć *fait accompli*, zawiązek delegacyi, którą szlachta miałaby nie dopiero utworzyć, lecz już tylko członkami ze swojego grona uzupełnić.

Jeżeli taki miał plan gubernator Franciszek hr. Stadion, to zaszachował go odrazu pierwszy mowca z grona zgromadzonej szlachty, Aleksander hr. Fredro, wówczas nietylko głośny jako komedyopisarz, lecz także uznany w kołach szlachty jako powaga polityczna, wskutek znakomitego memoryału o stosunkach społecznych i politycznych Galicyi, napisanego dla Rudolfa hr. Stadiona, brata gubernatora, o czem już wyżej była mowa. Hr. Fredro postawił sprawę na stanowisku zasadniczem, podnosząc potrzebę jasnego określenia zasad, na których samo zgromadzenie się opiera i które też jego delegatom służyć miałyby za dyrektywę w obradach konferencyi wiedeńskiej [2]).

»Każdy z nas zapytał zapewne samego siebie — rzekł hr. Fredro według własnych zapisków — jak ma uważać zgromadzenie, którego członkiem się staje. Dostaliśmy wezwanie do złożenia rady, ale że mamy wybierać i delegowanych, więc z doradczego zgromadzenia

---

[1]) Rękopis Bibl. Ossolińskich we Lwowie Nr. 2.945 (j. w.).

[2]) *Stanisław Schnür-Pepłowski:* »Z papierów po Fredrze« (j. w., str. 93—4).

stajemy się decydującem; przywłaszczamy sobie poniekąd, czyli okoliczności przymuszają nas przywłaszczyć sobie reprezentacyę kraju, gdyż w jego imieniu działamy. Należy się więc choć tyle, ile się da, ulegalizować nasze zgromadzenie, a to przez oświadczenie, nim jeszcze wszelką dyskusyę rozpoczniemy, że obecne zgromadzenie ze stanowiska pryncypiów, wyłuszczonych w adresie z 18 marca, działać chce. Przez to zaspokoimy kraj, że nie jesteśmy wyłączną jaką partyą, ale tylko tymi, którzy, równie jak prawie cały kraj, przystąpili do adresu. Przez to nietylko zaspokoimy kraj, ale i naszym wybrańcom wskażemy drogę, z której zboczyć nie mają. Jeżeli to oświadczenie nastąpi jednogłośnie lub większością, natenczas rozumie się samo przez się, że kandydaci na delegowanych będą musieli być wybrani z pomiędzy tych, którzy adres z 18 marca podpisali. Gdyby, czego się nie spodziewam, nie nastąpiła większość za zasadami adresu z 18 marca, natenczas będę musiał się cofnąć i nie mieć udziału w dzisiejszych naradach«.

Dla zrozumienia dalszego przebiegu sprawy, musimy bodaj w zarysie poznać ten adres, albo raczej petycyę, dla odróżnienia od adresu, wręczonego cesarzowi przez deputacyę galicyjsko-krakowską dnia 6 kwietnia 1848 r. Otóż i petycya ta zaraz na wstępie podnosi potrzebę zwołania sejmu, ale sejmu na szerokiej podstawie konstytucyjnej zorganizowanego.

»Od dwu lat — tak opiewa wstęp petycyi lwowskiej z 18 marca 1848 r. — w Królestwie Galicyi nie zwołano sejmu. Pozbawieni jedynego organu, przez któryby kraj swoje zażalenia i życzenia przed tron Najjaśniejszego Pana zanieść mógł, są podpisani właściciele dóbr i mieszkańcy Lwowa spowodowani, a dzisiejszemi stosunkami znagleni w interesie pomyślności krajowej, w interesie utrzymania porządku i prawnego rozwijania się postępu, odpowiednego czasom dzisiejszym, udać się do Ciebie, Najjaśniejszy Panie, z ufnością po usunięcie przyczyn niedoli kraju, a wysłuchanie słusznych i dzisiejszym czasom odpowiednych życzeń... Dla niedostatecznej na sejmie reprezentacyi mieszkańców kraju, nie można poznać prawdziwych potrzeb krajowych...«

Następuje potem, oprócz kategorycznego żądania »zupełnego zniesienia pańszczyzny, z czego galicyjscy właściciele dóbr swoim poddanym dar uczynić chcą«, cały szereg żądań (13 punktów), wyczerpujących program liberalno-narodowy ówczesnego stronnictwa konstytu-

cyjnego (samorząd administracyjny, zniesienie cenzury, powszechne zaprowadzenie szkół ludowych, sądy przysięgłych, równość wobec prawa i t. d.), które ze Smolką i Ziemiałkowskim na czele zaczęło w kraju nadawać ton polityczny. Czwarty punkt tego programu opiewał: »Rewizya konstytucyi stanowej i reprezentacya wszystkich klas mieszkańców na sejmie, który jak najrychlej zwołany być ma«.

To samo żądanie zostało powtórzone w późniejszym adresie kwietniowym jako punkt piąty w następującej formie. »Zwołanie jak najrychlejsze Sejmu, czyli zgromadzenia narodowego, wedle zasad konstytucyjnych, wyrobionych przez komitet. Główną i konieczną jego podstawą ma być reprezentacya narodu bez różnicy klas i wyznań, przeto składać się będzie z duchowieństwa, posiadaczy ziemskich, obywateli miejskich, włościan i wszelkich inteligencyi, chociażby nie mających własności«.

Oświadczenie hr. Fredry było bardzo niewygodne dla gubernatora, hr. Stadiona, nietylko ze względu na daleko idące postulata petycyi lwowskiej, lecz nadto i dlatego, że nadawało zgromadzeniu *ex improviso* charakter reprezentacyi kraju, do czego rząd, nie zwoławszy od r. 1845 nawet potulnego sejmu stanowego, w tej chwili z pewnością przyczynić się nie zamierzał. Zaczął tedy hr. Stadion przedstawiać zgromadzonym, że hr. Montecuccoli wystosował swoje zaproszenie w tem błędnem mniemaniu, iż tak samo jak w Dolnej Austryi, także i w Galicyi Stany zgromadzają się w porze wiosennej na sesyę doroczną. Skoro tak nie jest i zgromadzeniu nie może być przyznana powaga legalnej korporacyi, rząd uważa je tylko za »w nagłym razie poufnie zebrane grono osób, nikogo nie reprezentujących, oprócz samych siebie, a zatem nie może mu przyznać prawa dawania wysłannikom swoim jakiegokolwiek mandatu lub upoważnienia w imieniu kraju, ani też prawa ostatecznego orzeczenia, czy żądania, wyrażone w petycyi z 18 marca, są życzeniami kraju«. Żeby jednak salwować jako tako cel zwołanego zgromadzenia, hr. Stadion dodał uwagę, że powyższe zastrzeżenie »nie przeszkadza wynurzeniu w tej mierze osobistej opinii przez poszczególnych członków«, a w końcu ponownie wezwał zgromadzonych do wyboru delegatów, których liczbę sam »dla skuteczniejszego działania«, z dwóch, jak sobie życzył hr. Montecuccoli, na trzech podwyższył. Zakończył hr. Stadion przedstawieniem 12 kandydatów do wyboru, zastrzegając i pod tym względem zgromadzeniu wszelką swobodę.

Po hr. Stadionie zabrał głos jeden z najznakomitszych członków zebrania, znany nam już z udziału swojego w sprawie zniesienia pańszczyzny, Tadeusz Wasilewski. Głos jego miał tem większe znaczenie, ile że mowca piastował godność wicemarszałka Stanów. Wasilewski przyznał hr. Stadionowi, że »zgromadzenie nie może sobie uzurpować ani władzy, ani charakteru reprezentacyi, wskutek czego wybrać się mający wysłańcy będą reprezentantami nie kraju, stanów lub jednego stanu, lecz tylko tych stu osób, które ich wysyłają«. Do oświadczenia tego dodał jednak Wasilewski zaraz ten znaczący dodatek, że »osoby te, przystępując do wyboru, okazać powinny krajowi, iż nie działają w kierunku duchowi jego przeciwnym«. Wezwał więc mowca obecnych, aby przez powstanie z miejsc swoich oświadczyli, że stoją przy programowej petycyi z 18 marca. Na to wezwanie powstali niemal wszyscy uczestnicy zgromadzenia.

Z dalszych zapisków Maurycego Kraińskiego, mianowicie z lakonicznej uwagi, że »po przemówieniu kilku jeszcze członków zgromadzenia, kilku innych, nie chcąc mieć udziału w nastąpić mających wyborach, opuściło posiedzenie«, wnosić można, że hr. Stadion nie chciał się pogodzić z powziętą uchwałą co do łączenia sprawy na porządku dziennym zgromadzenia postawionej z lwowską petycyą z 18 marca. Potwierdza to S. Pepłowski w swojej zacytowanej już monografii o Fredrze, która, jako oparta na papierach rodzinnych, ma charakter źródłowego świadectwa w tej mierze. »Gdy przewodniczący — mówi ten autor — nie chciał stwierdzić ważności dopiero co powziętej uchwały, Fredro, Jabłonowski oraz ośmiu innych opuściło salę obrad«. Niezawodnie przeważna większość tych nawet członków zgromadzenia, którzy za Fredrą nie wyszli z sali, podzielała zupełnie jego zapatrywania co do misyi politycznej wybrać się mających delegatów, a jeżeli opinii swojej nie zamanifestowała tak samo, jak Fredro, secesyą, to chyba przypuścić należy, że miała na myśli inną drogę, do tego samego celu wiodącą, np. otwarte odmówienie wyboru delegatów. W każdym razie sytuacya po wyjściu Fredry musiała być niepomyślna dla hr. Stadiona, skoro w dalszej zaraz dyskusyi dokonał się zwrot znaczący. Wykonał go nie sam gubernator, lecz najbliżsi mu członkowie zgromadzenia, mianowicie dwaj radcy gubernialni: Maurycy hr. Dzieduszycki (znany historyk) i Agenor hr. Gołuchowski, który wówczas był już w przededniu swojej historycznej karyery i w oczach hr. Stadiona uchodził za najodpowied-

niejszego kandydata na gubernatora Galicyi w razie, gdyby rząd centralny zdecydował się na powołanie jednego z obywateli kraju na to stanowisko. Agenor hr. Gołuchowski — tak streszcza jego przemówienie Maurycy Kraiński, zgodnie z współczesnem sprawozdaniem urzędowego organu — wykazał, że chociaż wzmiankowana petycya, która, ściśle rzecz biorąc, jest tylko odgłosem opinii znamienitej części mieszkańców miasta Lwowa, odgadła powszechną opinię i ducha narodowego, jak to ciągle przybywające podpisy wykazują, jednakże osoby, które ją podpisały, równie jak to zgromadzenie, uwzględniając dawne urządzenia, nie stanowią ciała legalnego. Wychodząc z tego stanowiska, nie mogłoby obecne zgromadzenie szukać w petycyi podstawy wyborów dzisiejszych. Potrzeba tych wyborów wynika po prostu z konieczności dania objaśnień monarsze i tym, którzy nad ukonstytuowaniem państwa pracować mają, co do stosunków i położenia kraju naszego. Uchylając się od takiego wezwania, utrudnilibyśmy tylko wypracowanie obiecanej nam konstytucyi narodowej, której z upragnieniem wyglądamy.

Po tem oświadczeniu notorycznego wówczas męża zaufania hr. Stadiona, zgromadzenie, mając pewność, że rząd już nie jest w stanie utrzymać się w pozycyi odpornej u tego wyłomu, jaki powstał po mowie Fredry w zacieśnionym stanowymi poglądami programie konferencyi wiedeńskiej, że przeciwnie, delegacya galicyjska na tej konferencyi będzie miała już otwarte pole do obrony i poparcia postulatów autonomicznych, w petycyi lwowskiej z 18 marca 1848 r. sformułowanych, przystąpiła do wyboru swoich wysłanników. Z urny wyszli trzej już w tej dobie głośni z zasług publicznych i wielkiej powagi w kraju zażywający obywatele: Leon książę Sapieha, późniejszy pierwszy marszałek autonomicznego sejmu galicyjskiego (1861—1875), Tytus hr. Dzieduszycki i Maurycy Kraiński.

Jako poważni, świadomi swojej odpowiedzialności obywatele, delegaci lwowskiego zgromadzenia musieli, wobec niejasności sytuacyi, sami zakreślić sobie cele i zadania poruczonej im misyi politycznej, wogóle mandatu w ich ręce złożonego. Uczynili to w formie deklaracyi, przechowanej w papierach Maurycego Kraińskiego. »Niżej podpisani — tak opiewa ta deklaracya — Leon Sapieha, Tytus Dzieduszycki i Maurycy Kraiński, zaszczyceni zaufaniem obywateli stanowych na poufnem posiedzeniu dnia 5 kwietnia zgromadzonych i wybrani do udziału w obradach przygotowawczych nad ustawami orga-

nizacyjnemi w Wiedniu, mają sobie za obowiązek najwyraźniej oświadczyć, że nie mogąc poufnego obywatelskiego zebrania uważać za ciało legalne, kraj reprezentujące, nie przypisują sobie żadnej legalnej powagi, ani prawa reprezentowania kogokolwiek, oprócz 84 członków stanowych, którzy ich wybrali. Dalej oświadczają, łącznie z podpisanym, przez wydział miasta Lwowa wybranym, Janem Czaykowskim. że nie uważają się być powołanymi do żadnego stanowczego rozstrzygania pytań, nad któremi toczyć się mają wspólne w Wiedniu obrady, a jako zadanie swoje uważają: nie przesądzając w niczem ostatecznego postanowienia zebrać się mającego sejmu, przygotować tylko projekty ustaw, które sejmowi do roztrząśnienia i uchwalenia, zmienienia lub odrzucenia, przedłożone być mają; że nakoniec, położywszy raz podpisy swoje na petycyi z dnia 18 marca b. r., podzielają zupełnie wyrażone w niej zasady, punkta tą petycyą objęte uważają jako stanowisko, którego w żadnym razie nie odstąpią i że ta petycya stanowić będzie punkt wyjścia całej ich działalności. — Lwów, 6 kwietnia 1848 r.«. Drugi delegat miasta Lwowa, Floryan Singer, nie przyłączył się do tej deklaracyi, chociaż potem w Wiedniu nie odstrychnął się od swoich kolegów. Delegat miejski miasta Lwowa, adwokat Jan Czaykowski, należał tak ze swojego stanowiska społecznego, jak i z zasad politycznych, właściwie do tego grona obywatelskiego, z którego hr. Stadion zaprosił do siebie zaimprowizowaną na prędce reprezentacyę kraju.

Kiedy deputaci lwowscy stanęli w Wiedniu, zastali tam sytuacyę, utwierdzającą ich w przeświadczeniu, że mandat swój dobrze pojęli i przy złożonej w tym celu deklaracyi wytrwać powinni. Właśnie bowiem wtedy adresowa deputacya galicyjska, bawiąca w Wiedniu, znajdowała się pod wrażeniem przyjęcia, jakie ich spotkało w Burgu wiedeńskim przy wręczaniu adresu cesarzowi Ferdynandowi przez przewódcę deputacyi, Jerzego ks. Lubomirskiego. Przyjęcie to było łaskawe, nawet wiele obiecujące, a ponieważ ludność Wiednia, który nadawał ton całemu ruchowi z r. 1848, była tak deputacyą polską z Galicyi, jak i sprawą przez nią forytowaną, w wysokim stopniu zajęta, niemal rozentuzyazmowana, przeto najśmielsze oczekiwania zdawały się mieć silnie ugruntowaną podstawę. Późniejszych wypadków, rozpętania skrajnych żywiołów i spowodowanej ich ekscesami ucieczki dworu cesarskiego do Innsbrucka, co było prologiem ostatecznej przewagi tych żywiołów, a tem samem niejako i srogiej reakcyi później-

szej, nikt jeszcze wtedy nie przewidywał, chociaż rozważniejsi i trzeźwiejsi kierownicy ruchu przejęci już byli obawami i złemi przeczuciami.

Stany dolno-austryackie mogły były w tej chwili może jeszcze wywrzeć wpływ uśmierzający na rozwój wypadków, gdyby się w nich było rozbudziło poczucie historycznej doniosłości zadania, gdyby mianowicie otrzymane od rządu wezwanie do przygotowania reform stanowych i urządzeń gminnych pojęły były tak samo, jak owo zgromadzenie w lwowskim pałacu Namiestnikowskim, tylko za punkt wyjścia do jasnego określenia konstytucyjnej rekonstrukcyi państwa. Miały do tego formalny mandat od rządu, były więc do tego powołane i obowiązane, ale nie posiadały w łonie swojem ludzi ze zmysłem politycznym, zdolnych do inicyatywy u góry, a przytem wyposażonych taką powagą obywatelską, żeby zdołali wywrzeć wpływ kierujący i uśmierzający u dołu. O ile wyższem pod tym względem było lwowskie zgromadzenie za hr. Stadiona! Wobec takiej różnicy rola delegatów tego zgromadzenia, utwierdzonych, jak powiedzieliśmy, na bruku wiedeńskim w postanowieniach we Lwowie powziętych, była niewdzięczna, a ich działalność nie mogła doprowadzić do żadnych dodatnich rezultatów. Ale misyi swojej pozostali delegaci galicyjscy wierni od początku do końca, a z zabiegów i kroków, zgodnie z tą misyą podjętych, spisali 15 kwietnia 1848 r. w Wiedniu protokół, który przytaczamy z papierów Maurycego Kraińskiego.

»Dnia 11 kwietnia 1848 r. — tak opiewa protokolarne sprawozdanie — delegowani, stanąwszy w Wiedniu, udali się do marszałka Stanów austryackich, hr. Montecuccolego, i zawiadomili go, że do obrad, do których powołani zostali, tak długo nie przystąpią, dopóki nie nadejdzie przyrzeczona przez Cesarza odpowiedź na adres, podany mu przez deputacyę galicyjską i krakowską. Na to hr. Montecuccoli wezwał delegowanych, aby, jeśli nie jako głosujący, to przynajmniej jako słuchacze tymczasem wzięli udział w obradach stanowych, celem dokładniejszego poznania przedmiotu obrad. Delegowani jednak, nie widząc powodu zastosowania się do tego wezwania i trzymając się ściśle manifestacyi i oświadczeń wyborców swoich, aby nie inaczej, jak tylko w duchu petycyi z 18 marca działali, pozostali przy pierwszem oświadczeniu swojem. Gdy dnia 14 kwietnia deputacya galicyjska otrzymała od ministra Pillersdorffa oznajmienie, że tenże, zażądawszy od gubernatora hr. Stadiona opinii co do niektórych pun-

któw owej petycyi, po otrzymaniu relacyi zniesie się z członkami deputacyi i na podstawie objaśnień otrzymanych da odpowiedź, ile możności życzeniom petentów odpowiadającą, delegowani przystąpili do wspólnej narady, celem postanowienia dalszych kroków w sprawie, dla której do Wiednia wysłani zostali. Większością głosów, Leona Sapiehy, Maurycego Kraińskiego i Jana Czaykowskiego [1]), uchwalono, aby się wszyscy delegowani udali do hr. Montecuccolego, oznajmili mu osnowę odpowiedzi ministra Pillersdorffa i oświadczyli, że skoro objaśnienia w sprawach, dla których do Wiednia powołani są, samemu ministrowi na jego żądanie przez członków deputacyi galicyjskiej udzielone i wspólnie z nim roztrząsane były, a odpowiedź rządu bezpośrednio ma być wydana, delegowani działalność swoją wskutek tego za bezprzedmiotową uważają, a nie mając w takim odmiennym składzie rzeczy dalszej kompetencyi do udziału w obradach Stanów austryackich, do obrad tych przystąpić nie mogą i nie przystąpią. Powody, które w tem postępowaniu kierowały delegowanymi, są następujące: 1) Obywatele z Galicyi i Krakowa, bawiący w Wiedniu, celem poparcia petycyi i podziękowania za udzieloną konstytucyę, tak w przyjęciu, jak i w odpowiedzi Najj. Pana, innych członków rodziny cesarskiej i ministrów byli wyraźnie jako deputowani, naród reprezentujący, uznani i tytułowani. Ten charakter deputowanych, a jeszcze więcej wyraźne wezwanie ministra Pillersdorffa, nadaje im właściwość prawdziwszego organu w dawaniu objaśnień o stanie i potrzebach kraju, aniżeli charakter, który nam służy. Przystąpienie nasze zatem do obrad stanowych już dla tego samego powinno być zaniechane, a to tem więcej, ile że jednoczesna narada nad tym samym przedmiotem w dwóch oddzielnych zgromadzeniach nietylko sama przez się żadnego celu nie ma, lecz nadto mogłaby osłabić i sparaliżować działanie tych, którzy, jako uznani reprezentanci narodu, zostaną w Wiedniu celem uzyskania pomyślnego skutku wniesionych petycyi. 2) Potrzeba udziału naszego w obradach Stanów austryackich ustaje także dlatego, że objaśnienia, jakie w zgromadzeniu stanowem przedmiot obrad stanowić mają, już bezpośrednio ministrowi przez członków deputacyi udzielone i wspólnie roztrząsane będą, a na tej drodze sprowadzą w daleko krótszym czasie ten sam, a może i pomyślniejszy rezultat. 3) Od dnia naszego wyjazdu do dnia przybycia

[1]) Tytus hr. Dzieduszycki nie brał udziału w tych obradach.

do Wiednia, stosunki polityczne i zasady w rządzie dotychczas przyjęte znacznej uległy zmianie. Wywieszenie chorągwi byłego cesarstwa niemieckiego na Burgu wiedeńskim oraz na wszystkich rządowych i publicznych budynkach, wysłanie delegowanych z Austryi do zgromadzenia konstytucyjnego w Frankfurcie, wysłanie uroczyste insygniów cesarskich niemieckich z Wiednia do Frankfurtu są uderzającym dowodem kierunku, jaki Austrya sprawie niemieckiej pragnie nadać i że do niej widocznie przystąpić chce. Ta okoliczność i odgłos w całych Niemczech ku wskrzeszeniu Polski wzbudzają wszelką nadzieję, że Austrya, chociażby nawet tego na teraz jeszcze za stosowne nie uznała, zawsze jednak, działając w duchu powszechnej opinii, nada Galicyi administracyę odrębną, z żywiołów czysto narodowych złożoną, czego tem pewniej spodziewać się możemy, ile że Czechy w reskrypcie cesarskim z dnia 8 b. m. już to dla siebie uzyskały. W takim składzie rzeczy naradzać się nad przedmiotami, któreby miały na celu zaprowadzenie, ile możności, jednostajnej organizacyi Galicyi z innemi prowincyami, co do narodowości i wszystkich innych stosunków od Galicyi się różniącemi, byłoby zupełnie bez celu i dałoby powód do mniemania, jakobyśmy, podając objaśnienia do ułożenia projektu dla tej jednostajnej organizacyi, stawiali przeszkody odrębnej narodowej administracyi naszego kraju i opierali się życzeniom narodu, w petycyi z 18 marca wyrażonym. Dodać jeszcze należy, że deputowani z Galicyi i Krakowa dnia 6 b. m., zatem przed naszem do Wiednia przybyciem, do tronu podanie wnieśli, w którem prosili, aby narodowy komitet, przez rząd sankcyonować się mający, zajął się wewnętrzną organizacyą kraju, ustanowił prawidła wyboru do przyszłego zgromadzenia narodowego i nowych ustaw gminnych dla miast i włości. Żądaniem ich zatem jest, aby obrady nad przedmiotami, dla których tutaj powołani jesteśmy, przez krajowców w komitet zebranych w samym kraju i bez wspólnego innych prowincyi udziału przedsiębrane były. Działalibyśmy więc wbrew temu żądaniu, gdybyśmy do obrad w pomienionym przedmiocie w Wiedniu przystąpili, a pomijając inne, stąd wyniknąć mogące, skutki, nie uniknęlibyśmy zarzutu, że stajemy tym sposobem w opozycyi z życzeniami deputacyi, uroczyście do tronu zaniesionemi i przez pisma publiczne ogłoszonemi. 4) Nakoniec obrady nad rozszerzeniem instytucyi stanowych w pomienionem piśmie hr. Montecuccolego, jako przedmiot naszej tutaj działalności wskazane, wobec zaszłej tymczasem zmiany polityki, wobec dzisiej-

szych dążności ku zniesieniu wszelkich uprzywilejowanych stanów, wobec nadania Czechom reprezentacyi narodowej dla wszystkich klas bez dawnego ich podziału i wobec wyraźnego domagania się równej reprezentacyi narodowej w petycyi naszej, — byłyby sprzeczne nietylko z dawniejszem życiem narodowem i naszą historyą, nietylko nie odpowiadałyby duchowi i potrzebom czasu, lecz nawet postawiłyby nas w sprzeczności z zasadami w petycyi przez nas podpisanej i z wyznaniem naszem politycznem tylekroć publicznie powtarzanem. Zresztą i sam hr. Montecuccoli uznał wyraźnie niemożność utrzymania instytucyi feudalnych nawet w dawniejszych prowincyach austryackich i nie uznał za stosowne przystąpić do obrad nad instytucyą, która dzisiejszym stosunkom nie odpowiada. — Wiedeń dnia 15-go kwietnia 1848 roku«.

Właśnie wtedy, gdy delegaci galicyjscy spisywali ten protokół, hr. Montecuccoli, widząc udaremniony projekt zebrania się wspólnej konferencyi stanowej w Wiedniu, wystąpił z własnej inicyatywy, czy za wskazówkami sfer rządowych, w każdym razie jednak w porozumieniu z ówczesnem bezradnem i chwiejnem ministeryum, z pomysłem zwołania sejmu stanowego z przybraniem nowych członków inteligencyi, rektora uniwersytetu (delegatów poszczególnych wydziałów uniwersyteckich i t. p.), a przedewszystkiem nowych posłów z miast i gmin wiejskich, jako reprezentantów stanu dotąd pozbawionego zastępstwa w sejmie stanowym. Imieniem wydziału stanowego wydał tedy hr. Montecuccoli obwieszczenie, w którem wydane zostały prowizoryczne przepisy o sposobie, w jaki ci nowi członkowie mają być wybierani. Ale jak spóźniona była pierwotnie proponowana konferencya wiedeńska, tak i to zwołanie sejmu stanowego z zaimprowizowaną na prędce reformą nie mogło stanowić tamy, która wstrzymałaby lub przynajmniej złamała, a tem samem osłabiła falę tego potężnego ruchu rewolucyjnego, jaki zapanował na bruku wiedeńskim w drugiej połowie kwietnia i w pierwszej maja. Fala ta zaczęła już uderzać o podwaliny całej budowy państwowej i wdzierać się w jej najgłębsze fundamenta. Już i konstytucya liberalna, wydana w kwietniu a rozszerzona co do prawa wyborczego w maju, nie wystarczyła skrajnym żywiołom, przed którymi ostatecznie dwór cesarski schronić się musiał formalnie ucieczką do najsilniejszej przystani wierności dynastycznej, do Tyrolu. Zwołanie sejmu stanowego w Wiedniu było wśród takich stosunków anachronizmem nawet w razie przyjścia do

skutku proponowanego wyboru posłów z miast i z gmin wiejskich. W Wiedniu nikt się już nie oglądał na przeżytą instytucyę stanową i oczywiście nikt jej nie żałował, a historya, zapisując ostatnie jej znaki życia wśród zrywającej się nad Austryą burzy rewolucyjnej, musi ograniczyć się do suchego zaregestrowania faktów bez żadnej ornamentyki nekrologowej.

Równocześnie ze zwołaniem Stanów austryackich, także w innych prowincyach rząd, zagrożony do głębi w swojej egzystencyi politycznej, próbował tym środkiem powstrzymać lub przynajmniej zmitygować dobywający się zewsząd prąd rewolucyjny.

We Lwowie dziennik urzędowy w połowie kwietnia 1848 r. obwieścił zarządzone cesarskiem postanowieniem zwołanie »Stanów Królestwa Galicyi i Lodomeryi na sejm nadzwyczajny, dla naradzenia się nad propozycyami względem większego udziału, następnie względem zmiany i polepszenia urządzeń municypalnych i kameralnych«. Niema w tym komunikacie urzędowym wzmianki o ludzie wiejskim, bo zapowiedziane rozszerzenie »ograniczonego tych poddanych, którzy dotychczas w czynnościach stanowych mieli ograniczony udział, udziału« odnosiło się tylko do żywiołu miejskiego a nie włościańskiego, który w Stanach żadnego nie miał udziału. Na ten ostatni żywioł rząd liczył bezwarunkowo bez względu na to, czy udział w Stanach zostanie mu w małym tylko zakresie przyznany lub wcale odmówiony. W danych stosunkach rachuba ta była niezawodnie trafna, bo w świeżej pamięci tkwiły jeszcze wypadki z r. 1846, a biurokracya galicyjska składała się w tej dobie jeszcze z tych samych, obcych, wrogich nawet krajowi, żywiołów, które umiały przed dwoma laty rozbudzić u włościan najdzikse instynkta przeciw szlachcie. Natomiast porywczy żywioł miejski, zwłaszcza we Lwowie, sprawiał troskę rządowi, więc trzeba było przymilić się doń już w chwili zwołania sejmu stanowego. To też powyższe urzędowe obwieszczenie o zwołaniu galicyjskiego sejmu stanowego zawiera jeszcze następujący dodatek: »Sejm, który na mocy tego rozporządzenia w duchu najwyższej woli Najj. Pana będzie już teraz pomnożony dodaniem większej liczby deputowanych, obranych przez miejskich obywateli z ich grona, zagai dnia 26 kwietnia we Lwowie Jego Ekscelencya Gubernator krajowy«. Wyborem albo raczej powołaniem tych deputowanych zajął się lwowski wydział miejski, zastępujący w ówczesnym ustroju dzisiejszą radę miejską. Powołano najpierw według dotychczasowej prak-

tyki dwóch z grona samego wydziału, a nadto jeszcze z szerokiego grona obywateli, nie należących do wydziału, dziesięciu zastępców, którzy zajmowali wybitniejsze stanowiska społeczne i mogli liczyć na to, że chociaż nie wyszli z urny wyborczej z mocy swobodnego głosowania, mimo to poparci są zaufaniem i sympatyą ludności.

Cały organ wykonawczy sejmu, wydział stanowy, uznał bardzo trafnie, że na nim cięży obowiązek przedłożenia Stanom gotowego już substratu do obrad nad organizacyą sejmu konstytucyjnego. Przygotował też wcześnie projekt ordynacyi wyborczej dla przyszłego sejmu Galicyi i złączonej z nią wówczas jako jeden z obwodów Bukowiny. Projekt ten jest elaboratem Kazimierza hr. Stadnickiego, znanego z wielu prac historycznych, wówczas członka wydziału stanowego i radcy gubernialnego. Ponieważ sejm, jak wnet zobaczymy, nie przyszedł do skutku, więc elaborat hr. Stadnickiego pozostał materyałem archiwalnym, zasługującym na przypomnienie jako dowód, że ówczesne do kierującej roli powołane koła obywatelskie przejęte były zdrową myślą polityczną i poważnymi planami rekonstrukcyi ustroju społecznego, a tylko zawierucha polityczna swoją elementarną, ani powstrzymać ani nawet złagodzić się nie dającą siłą, zmiotła wszystkie zdrowe zawiązki nowej organizacyi.

Chociażby nawet dzisiejszą miarę przyłożono do elaboratu Kazimierza hr. Stadnickiego, to uderzyłby on jednym szczegółem znamiennym, zasługującym na wymienienie, mianowicie tym, że żywiołowi miejskiemu przyznaje reprezentacyę liczniejszą, aniżeli on dziś posiada, dziś, po 40-letniej, częściowemi zwycięstwami nagrodzonej walce tego żywiołu o powiększenie mandatów poselskich w obecnym sejmie. Znamiennym nazwaliśmy ten szczegół, bo działacze z r. 1848 trafnie odgadli, że w tym żywiole właśnie tkwi główna siła polskości, krępowanej przedtem pół wieku przez absolutyzm austryacki. Kiedy przed pięćdziesięciu laty Schmerling, podtrzymujący ducha staroaustryackiej biurokracyi pod maską konstytucyjną, organizował dzisiejszy ustrój konstytucyjny Austryi, albo raczej dezorganizował i do biurokratyczno-centralistycznych aspiracyi swoich dostrajał fundamenta konstytucyjne, położone przez Agenora hr. Gołuchowskiego w dyplomie październikowym z r. 1860, możliwe ograniczenie żywiołu miejskiego Galicyi w systemie reprezentacyjnym i wyborczym stanowiło jeden z wybitnych punktów tej akcyi.

Ciasne więzy stanowego ustroju przełamywał elaborat Kazimierza

hr. Stadnickiego zaraz w pierwszym paragrafie, stanowiącym, że sejm składać się ma z reprezentantów: duchowieństwa wszystkich wyznań, korporacyi naukowych, właścicieli dóbr tabularnych, miast posiadających zorganizowane magistraty i gmin wiejskich łącznie z pomniejszemi miastami i nie posiadającemi takich magistratów. W pierwszej kategoryi reprezentantów mieścili się członkowie z głosem wirylnym (arcybiskupi, biskupi, superintendent ewangielicki i rabin) i reprezentanci wybierani przez kapituły biskupie ze swojego grona; do drugiej kategoryi należeli, oprócz rektorów uniwersyteckich, reprezentanci poszczególnych wydziałów uniwersytetów we Lwowie i Krakowie oraz akademii technicznej, wybrani z grona profesorów. Trzy dalsze kategorye (wielka własność ziemska, miasta i gminy wiejskie) odpowiadają kuryom dzisiejszego prawa wyborczego w Austryi i poszczególnych krajach koronnych w skład jej wchodzących. Nietylko miejska kurya, lecz także i obie inne miały według eleboratu hr. Stadnickiego otrzymać więcej mandatów, aniżeli ich dziś posiadają. Co do kuryi miejskiej zasadnicze postanowienie opiewało, że »jeden poseł przypada na 50.000 mieszkańców«, co przy dzisiejszym nadzwyczajnym wzroście ludności w Galicyi oznaczałoby stanowczą przewagę tej kuryi nad innemi. Wybory miały się odbywać pośrednio w ten sposób, że po wsiach na 1.000 prawyborców przypadał jeden wyborca powołany do oddania głosu na posła, a w miastach liczba wyborców miała wynosić 5% ogólnej liczby prawyborców. Zresztą warunki prawa wyborczego i obieralności były bardzo liberalnie zakreślone.

Tymczasem bieg wypadków poza sferami gubernialno-stanowemi wytworzył sytuacyę, wśród której wszystkie plany i rachuby ze zwołaniem sejmu stanowego połączone zupełnie pokrzyżowane być mogły. Rada narodowa we Lwowie nie chciała słyszeć o zwołaniu anachronistycznego sejmu stanowego, chociażby z rozszerzonym programem obrad, a głos jej był o tej porze już rozstrzygający. To wyniesienie się Lwowskiej Rady narodowej z niepokaźnego zawiązku, bo z pierwotnego komitetu redakcyjnego dziennika tej samej nazwy, na stanowisko poważnej korporacyi albo raczej organizacyi obywatelskiej, liczącej w swojem gronie obok inteligencyi miejskiej także wybitnych reprezentantów ziemiaństwa (np. Aleksandra hr. Fredrę) i duchowieństwa z wyższych szczebli hierarchicznych, na stanowisko tak wpływowe, że w końcu mogła nawet udaremnić akcyę konstytucyjną rządu, stanowi jeden z najwięcej charakterystycznych symptomów tej burzli-

wej doby. Kiedy w Wiedniu rząd centralny w swojej bezradności i niemocy cofał się w ustępstwach konstytucyjnych krok za krokiem przed naporem ulicy, a jeżeli kiedy próbował oprzeć się naciskowi i postawić na swojem, to na to tylko, aby zaraz potem tem spieszniej cofnąć się i tem samem ośmielić radykalne żywioły polityczne do podwojenia natarczywości, szefowie rządów krajowych postawieni zostali w sytuacyi prawdziwie rozpaczliwej, bo przy ówczesnej powolnej komunikacyi nie mogli w porę dowiedzieć się, na czem stanęło ostatecznie w Wiedniu i jak się zachować mają wobec takiego samego nacisku w stolicach prowincyonalnych. W najtrudniejszej pod tym względem pozycyi znajdował się gubernator galicyjski, Fr. hr. Stadion, urzędnik niewątpliwie wyższej miary, pierwszego rzędu, a nawet najwybitniejsza inteligencya w całym ówczesnym biurokratycznym świecie Austryi, liberalny w swoich poglądach, a w początkowym okresie swoich rządów w Galicyi za życzliwe dla kraju intencye tak sympatyczny w kołach polskich, jak żaden z jego poprzedników, z wyjątkiem chyba jednego księcia Lobkowitza, który w r. 1831 okazał wiele życzliwości dla społeczeństwa polskiego w Galicyi i znany jest nawet z wizerunków w polskim stroju narodowym.

Franciszek hr. Stadion w pierwszych tygodniach ruchu z r. 1848 niemal zentuzyazmował Lwów wczesnem i na własną rękę dokonanem obwieszczeniem pierwszego patentu konstytucyjnego, wypuszczeniem więźniów stanu na wolność i zniesieniem cenzury prasowej. Także wobec petycyi lwowskiej z 18 marca zajął hr. Stadion w swoich relacyach do ministra i cesarza Ferdynanda stanowisko przychylne, popierając poszczególne punkta tej petycyi w tonie, który każdemu rozpatrującemu się dziś w tych aktach wydaje się nieprawdopodobnym po tak odmiennych a świeżych jeszcze wówczas wspomnieniach z r. 1846. Później dopiero, na widok coraz więcej wzbierającej fali ruchu w Wiedniu i na prowincyach, na widok słabej odporności centralnej tamy rządowej wobec tej fali, hr. Stadion w wrażliwem poczuciu swojego patryotyzmu austryackiego czuł się coraz bardziej zaniepokojonym i w braku informacyi, daremnie od bezradnego ministeryum oczekiwanych, na własną rękę próbował ująć ruch w karby. Hr. Stadion już wtedy podlegał początkom ciężkiej choroby nerwowej, której w kilka lat później uległ w sile wieku, więc był też chorobliwie drażliwym, szczególnie na rzucone nań podejrzenia, że wraca do tradycyi i taktyki z r. 1846, że więc chce być kontynuatorem tej

polityki, którą on w nieznanej jeszcze dotąd ale już dostępnej dla historyka informującego się u źródła archiwalnego relacyi z r. 1847, więc zaraz po zajęciu stanowiska gubernatorskiego, stanowczo i bezwzględnie zganił, niemal napiętnował. Jeżeliż tedy taka wygórowana wrażliwość i drażliwość spotykały się z jednej strony z bezradnością centralnego rządu, otwierającą w Wiedniu radykalnym tłumom drogę do Burgu cesarskiego dla wymuszenia coraz dalej idących ustępstw politycznych, a z drugiej strony z tak naturalnym w tym pamiętnym roku rozpędem burzliwych żywiołów lwowskich, które nie chciały pozostać w tyle za ogólnym prądem, to starcie stawało się nieuniknionem. Wybuchło ono, bo wybuchnąć musiało, najdobitniej właśnie w sprawie zamierzonego zwołania sejmu stanowego.

W pierwszych dniach ruchu lwowskiego hr. Stadion mógł mniemać, że, broniąc wobec ministeryum zapoznawanej przez nie prawnej egzystencyi Stanów galicyjskich i przemawiając za rychłem zwołaniem ich sesyi, działa poniekąd po myśli życzeń wyrażonych w petycyi lwowskiej z 18 marca i zgodnego z nią w głównej treści adresu galicyjskiego, przez osobną deputacyę do Wiednia zawiezionego. Relacya hr. Stadiona z 23 marca 1848 r. w tej sprawie, stanowiąca odpowiedź na zapytanie ministeryum, czy zainicyowane przez hr. Montecuccolego wskutek reskryptu cesarskiego z 17 marca zwołanie Stanów dla ułożenia konstytucyi ma być zakomunikowane także Stanom galicyjskim, zasługuje na przytoczenie, jako dokument historyczny, stwierdzający prawdziwość powyższych uwag o stosunku gubernatora galicyjskiego.

»Zawarta — pisze Franciszek hr. Stadion — w wysokim reskrypcie uwaga, że ściśle rzeczy biorąc, w Galicyi nie istnieje sięgająca do najdawniejszych czasów konstytucya stanowa, nie powstrzymałaby mnie od wydania Stanom galicyjskim najwyższego reskryptu z 17 marca, gdyż Stany te są formalnie zorganizowane i nie stanowią instytucyi najświeższych czasów, lecz istnieją prawie już od roku 1785, a wszelkie wyjątkowe traktowanie Galicyi, wskutek czego ona uważałaby się za upośledzoną wobec innych prowincyi, mogłoby wśród wywołanego najświeższemi wypadkami i do najwyższego stopnia posuniętego wzburzenia pociągnąć za sobą najsmutniejsze następstwa i stać się najbliższym powodem do bardzo niebezpiecznych demonstracyi, a to tem więcej, ile że wobec istniejącej obecnie wolności prasowej nie możnaby zapobiedz omawianiu tej sprawy, co by-

łoby oczywiście dolewaniem oliwy do ognia. Mimo to, nie mogę najwyższego reskryptu wydać Stanom galicyjskim, gdyż nie są zgromadzone, a zwołać ich nie mogę bez wyraźnego rozkazu Jego Ces. Mości. Jak najrychlejsze zwołanie Stanów jest tedy przedewszystkiem pilnie potrzebne i o to też jak najusilniej upraszam. Co do treści tego najwyższego reskryptu pozwalam sobie przedewszystkiem zauważyć, że w drodze urzędowej nie otrzymałem powołanej tamże najwyższej proklamacyi z 14 marca, że treść jej wcale nie jest mi znana, że zatem nietylko nie mogę jej obwieścić, lecz nadto nie umiałbym dać Stanom informacyi na ich żądanie. Wogóle pozostawiony jestem co do zasad, według których prowadzona być ma administracya polityczna i jaki w niej przestrzegany być winien kierunek przeze mnie jako gubernatora tak wielkiej i tak nadzwyczajnie wzburzonej prowincyi, w takiej niepewności i tak dalece bez wszelkich wyższych wskazówek, iż znajduję się w największem zakłopotaniu, nie mogąc na wszelkie zapytania wydziału stanowego i w ciągle wzrastającej liczbie występujących deputacyi dać innej odpowiedzi, jak tylko wymijające oświadczenia z ograniczeniem się do ogólnikowych frazesów. Żebym w takim stanie rzeczy zdołał dłuższy czas utrzymać niezachwiane zaufanie ludności w szczerość poczynionych koncesyi, to, niestety, wydaje mi się bardzo wątpliwem, jeżeli się zważy, jak głęboko od lat zakorzeniona jest w kraju nieufność wobec wszystkiego, co od rządu pochodzi. Jeżeli przez zwlekanie z otwartem przedstawieniem kierunku, którego rząd odtąd przestrzegać postanowił, ludność wprowadzona została w mniemanie, że rząd nie bierze całkiem na seryo uczynionych ustępstw, to nie mógłbym ręczyć za następstwa, a zapobieżenie wybuchowi powstania w Galicyi byłoby prawie niemożliwem. Sądzę, że jestem obowiązany odezwać się z taką otwartością do Waszej Ekscellencyi, gdyż chodzi tutaj o spokój, może nawet o zatrzymanie całej prowincyi. Nie mogę także i tego pominąć, że w najwyższym patencie z 15 marca powiedziano, iż wydano potrzebne zarządzenia celem zwołania w jak najkrótszym czasie deputatów wszystkich Stanów prowincyonalnych i centralnych kongregacyi lombardzko-weneckiego królestwa z wzmocnioną reprezentacyą stanu mieszczańskiego oraz z uwzględnieniem istniejących konstytucyi prowincyonalnych dla postanowionego przez Jego Ces. Mość wydania konstytucyi państwowej. Takiego zarządzenia jednak do tej chwili nie otrzymałem, a także w powyżej powołanym najwyższym reskrypcie niema o tem wzmianki.

Jest to zatem niezbędnie potrzebnem, abym pod tym względem otrzymał jak najrychlej rozkazy co do postępowania i aby także Stany zostały w tej mierze stosownie poinformowane. W interesie rządu i publicznego spokoju muszę upraszać o wszelkie możliwe przyspieszenie rozwiązania tej kwestyi, gdyż nie upłynie jeden dzień, nawet godzina, żebym nie był nagabywany o wyjaśnienia w tej mierze, a jest to rzecz zarówno niemiła dla mnie jak niebezpieczna dla rządu, jeżeli muszę dawać odpowiedzi, z których najskromniejsza nawet inteligencya wysnuć może wniosek, że sam nie wiem. Nie chcę nagabywać Waszej Ekscelencyi wątpliwościami co do dalszej treści najwyższego reskryptu ani pytaniami co do łączności stanów prowincyonalnych z ich zjednoczoną deputacyą, ale natomiast prosić muszę o łaskawą informacyę, czy projekty co do silniejszej reprezentacyi stanu mieszczańskiego oraz co do przekształcenia i poprawienia urządzeń municypalnych i gminnych mają stanowić przedmiot obrad zjednoczonej deputacyi, lub będą w poszczególnych prowincyach osobno traktowane, a potem przez Jego Ces. Mość zadecydowane, czy zatem przy kierowaniu obrad stanowych należy mieć na uwadze tylko stosunki prowincyi jako odrębnej całości, lub też z uwzględnieniem innych prowincyi i całej monarchii, a w ostatnim wypadku jakie zasady służyć mają za normy celem utrzymania jedności całego organizmu państwowego«.

W trzy tygodnie po tej relacyi hr. Stadiona pojawiło się w urzędowym organie obwieszczenie, zwołujące sesyę sejmu stanowego na 26 kwietnia, a stosunki tymczasem tak się zmieniły, jak gdyby obie daty przedzielał długi okres czasu. W ciągu tej przerwy bowiem rozbił się, jeżeli nie głównie, to w znacznej mierze, za przyczynieniem się deputatów galicyjskich, projekt centralnej konferencyi stanowej w Wiedniu pod przewodnictwem hr. Montecuccolego, we Lwowie nikt już nie myślał o sesyi sejmu stanowego, o Stanach w ogóle; między gubernatorem hr. Stadionem a społeczeństwem polskiem stanęła wytworzona z inicyatywy ostatniego organizacya obywatelska, Rada narodowa, z każdym dniem rozszerzająca zakres swoich kierujących wpływów tak we Lwowie, jak i w całym wreszcie kraju; sam hr. Stadion z jednej strony pozostawiony przez rząd centralny bez wszelkich wskazówek informacyjnych, a z drugiej drażniony i niepokojony mnożącymi się symptomami wzrastającego ruchu, popadł w pesymizm, niemal zwątpienie i przewidywał najsmutniejsze rozwiązanie

zagadnień politycznych bieżącej chwili, za które odpowiedzialność z góry składał na niesforne żywioły ruchu i bezwiednie dla nich w swojej bezradności pracujący rząd centralny. Wszystkie te znamienne cechy zmienionej sytuacyi przebijają dobitnie z relacyi hr. Stadiona do ministeryum z 12 kwietnia 1848 r., godnej także wydobycia na jaw z pomroki archiwalnej.

»Stosunki w Galicyi — pisze hr. Stadion w tej relacyi — przedstawiają się coraz posępniej. Wypadki w Poznańskiem, gdzie rząd pruski zaniedbał wczesnego poskromienia wybryków stronnictwa, które w zamiarze wywalczenia niepodległości Polski opanowało publiczną administracyę i obecnie podjąć będzie musiał ciężką walkę, aby napowrót ująć w swoje ręce straconą władzę; ukonstytuowanie się tak zwanego komitetu narodowego w Krakowie dla obrad nad sprawami publicznemi: wszystko to podniosło do najwyższego stopnia nadzieje stronnictwa narodowego w Galicyi i zachęciło je do spotęgowanej działalności celem osiągnięcia równych rezultatów. Coraz głośniej i jednomyślniej odzywa się żądanie jak najrychlejszego ustanowienia gwardyi narodowej, a w poszczególnych miastach obwodowych, jak np. w Stanisławowie i w Złoczowie, nie obeszło się bez prób ukonstytuowania gwardyi narodowej wbrew wyraźnemu zakazowi rządu. W każdym obwodzie szlachta oświadcza się za utworzeniem komitetów narodowych, a wszędzie przytaczane bywa Poznańskie, szczególnie Kraków, jako przykład, aby żądać równego prawa dla Galicyi. Lekkomyślna i nieoględna jak zawsze szlachta nie ukrywa swoich aspiracyi do niepodległości, niechęci do austryackiej administracyi i jej organów, nie zaniedbując żadnego środka, aby chłopa dla siebie pozyskać i wzbudzić w nim nieufność wobec władz oraz wiarę w to, że został przez rząd austryacki opuszczony, a Polacy, t. j. szlachta znowu krajem owładnęła. Dla zupełnego obałamucenia chłopa nie braknie emisaryuszy, którzy podburzają go przeciw szlachcie i rządowi, zwracając jego uwagę na własną siłę fizyczną, która może go za jednym zachodem uwolnić od szlachty i rządu, a zarazem uczynić panem kraju. Włościanin jest jeszcze spokojny, ale śledzi każdy krok znienawidzonej szlachty, okazuje się oddanym rządowi, ale na pomoc jego nigdy liczyć nie należy. Skoroby jej bowiem zażądano, nie możnaby myśleć o kierowaniu tą dziką siłą. Nienawiść obejmie kierownictwo, a zwróci się przeciw właścicielom dóbr i szlachcie. Hasłem chłopów będzie nie popieranie rządu, przywrócenie spokoju i po-

rządku, lecz mord i zniszczenie. Ten ponury obraz politycznych stosunków stanie się jeszcze ciemniejszy, horoskop najbliższej przyszłości jeszcze rozpaczliwszy, jeżeli się zważy, w jakim stanie rozbicia i widocznego rozstroju znajduje się administracya kraju. Oficyaliści, właściciele dóbr zajmują się tylko polityką [1]); kto należy do stronnictwa przewrotu, pracuje tylko nad tem, aby burzyć i niemożliwą uczynić administracyę uporządkowaną według zasad austryackich, aby przygotować rychłe obalenie istniejącego stanu rzeczy. Nieliczni ludzie rozważni, jeszcze nieliczniejsi szczerzy zwolennicy rządu austryackiego milczą, z obawy o swoją egzystencyę i zwątpiwszy o dodatniej działalności, niczego nie podejmują. Cała działalność urzędów obwodowych jest skierowana ku utrzymaniu porządku. Im mniej szlachta zważa na upomnienia i ostrzeżenia organów rządowych, z tem większą usilnością muszą one starać się o to, aby szlachtę utrzymać w karbach, nie robiąc użytku z władzy. Im butniejszą i więcej wyzywającą staje się szlachta, z tem większą lękliwością muszą starać się o to, aby lud pouczać, do spokoju nakłaniać i jego zaufanie utrzymać. To też urzędnicy ciągle są poza urzędem, a sprawy zalegają.

»Nadto odwaga urzędników nadzwyczajnie upadła, a większa ich część wcale straciła odwagę i zachwiała się wobec otwartych napaści, które w prasie i na wszystkich zebraniach odzywają się przeciw stanowi urzędniczemu, wobec dążności proskrypcyjnej, która objawia się we wszystkich kołach i głośno upomina się o ofiary. Podatki wpływają nadzwyczaj skąpo, środki przymusowe są zaniechane po części z obawy, aby wzburzenie nie spotęgowało się jeszcze więcej, po części z braku środków do wywarcia przymusu, gdyż siła zbrojna zaledwie wystarcza na utrzymanie spokoju i porządku, a wskutek tego nie można wysłać egzekutorów podatkowych. Czynię, co tylko leży w zakresie sił moich, aby przesuwać się pomiędzy gęsto zastawionemi zaporami, ale z każdym dniem wzrasta moja troska, czy szczęśliwie wybrnę. Potrzeba tylko najlżejszego impulsu, a za nic nie mógłbym

---

[1]) W ówczesnym ustroju władz przed zniesieniem pańszczyzny najniższe organa (dominikalne), mianowicie mandataryaty, w których zakres wchodziły funkcye: policyjna, podatkowa, wojskowa, w ogóle administracyjne, zależne były od właścicieli dóbr dominikalnych i najczęściej spoczywały w rękach oficyalistów prywatnych. Stąd taki nacisk położony na usposobienie tych oficyalistów. *(Przypisek autora).*

więcej zaręczyć. Przyjąłem zasadę i przestrzegać jej będę z całą energią, abym ani sam nie zboczył z drogi prawa, ani nie scierpiał nieprawnego postępowania jakiejkolwiek partyi. Nie szczędzę żadnego trudu celem przekonania wszystkich o konieczności panowania prawa. Co do gwardyi narodowej nie ograniczyłem się tedy do wzbronienia jej organizacyi przed wydaniem ustawy w tej mierze, lecz nadto w obwieszczeniu przytoczyłem powody tego zakazu, a w artykule urzędowego dziennika wykazałem publiczności nielegalność komitetu dla obrad nad sprawami publicznemi. W okólniku gubernialnym do urzędów obwodowych wystąpiłem przeciw niepowołanemu obwieszczeniu uwolnienia od pańszczyzny. Dopóki to jest możliwem, wytężać będę moje starania, aby wpływem moralnym zapobiedz użyciu siły fizycznej. Jednakże nadzieja, że wszystko to wystarczy, zmniejsza się z każdym dniem, gdyż nieustannie potęguje się fanatyzm, nieprzystępny dla przestróg rozumu, a wobec niezmiernego nagromadzenia się materyału palnego, który za lada iskrą wszędzie w kraju zniszczenie rozpocznie, nie mogę ani dzień jeden zaręczyć za spokój. Do tego otwartego przedstawienia stosunków galicyjskich widzę się zobowiązanym, gdyż chodzi o obronę honoru Austryi w jej stosunku do Galicyi, a ja mogę wprawdzie zwrócić uwagę najwyższej władzy państwowej na stosunki tego kraju, ale z własnej woli, bez wyraźnego rozkazu działać nie mogę już z tego powodu, że skoro od wszystkich wymagam niezbaczania z drogi prawa, to muszę przyświecać przykładem ścisłego przestrzegania ustaw i utrzymywać się w tej pozycyi, abym każdy krok jako legalny mógł usprawiedliwić«.

Na to rozpaczliwe wołanie gubernatora, którego możnaby nazwać biurokratycznym Hamletem, odpowiedział rząd centralny nie żądaną dyrektywą, na którą w ówczesnym bezradnym gabinecie wiedeńskim zresztą nikt nawet nie byłby się zdobył, lecz odwlekaniem decyzyi w jednej aktualnej sprawie, która właśnie w przededniu zwołania sejmu wymagała przyspieszenia, a porywczością i dorywczością w drugiej aktualnej sprawie, której załatwienie w przededniu zwołania sejmu było właśnie niestosownem, a dla dalszego kształtowania się stosunków w Galicyi, wobec drażliwości, jaka zapanowała między gubernatorem a społeczeństwem polskiem, nawet fatalnem. Mamy tu na myśli najpierw sprawę petycyi lwowskiej z 18 marca i kwietniowego adresu deputacyi galicyjskiej, a powtóre sprawę pańszczyźnianą.

Żeby owa petycya i zgodny z nią w treści adres miały być całkowicie przez rząd centralny przyjęte za podstawę dalszego postępowania wobec Galicyi, tego pomimo na pozór przychylnego przyjęcia deputacyi galicyjskiej w Burgu wiedeńskim trzeźwiejsi jej członkowie przypuszczać nie mogli. Ale skoro już wydana być miała odpowiedź, odmowna w treści, chociaż co do formy wymijająca i właściwie nie zawierająca takiej kategorycznej odmowy, jaką rząd pewny siebie i pewny swoich celów na żądania polityczne tak daleko idące, a nie od powołanej do tego korporacyi politycznej, lecz niejako z inicyatywy rozentuzyazmowanej ulicy postawione, wszędzie zwykł dawać, to należało to uczynić nie, jak się rzeczywiście stało, dopiero w maju, kiedy wzburzenie umysłów, nieufność i zniecierpliwienie niezmiernie wzrosły, a tem samem nawet taka wymijająca odmowa była już niejako oliwą do ognia dolewaną, lecz w połowie kwietnia, kiedy wobec blizkiej sesyi sejmu stanowego można było odmowę jeszcze więcej osłodzić przez zasłonięcie się potrzebą wysłuchania reprezentacyi kraju, chociaż tak niewystarczającej jak stanowa. Byłby może w takim razie sejm stanowy urósł w powadze wobec opinii kraju, byłby może w swojej sesyi skoncentrował całą uwagę kraju, a tem samem stał się bodaj chwilowo niejako gromochronem wśród zbierających się gęstych chmur rewolucyjnych.

Sprawa pańszczyźniana natomiast nie wymagała pospiechu, bo skoro jej uregulowanie w innych prowincyach odłożone zostało do sesyi konstytuanty wiedeńskiej, to dorywcze dokonanie tego dzieła w samej tylko Galicyi i to w chwili właśnie, kiedy samo obywatelstwo w myśl postulatów petycyi i adresu przystępowało do dobrowolnego zrzekania się danin pańszczyźnianych, miało charakter ubiegania się o fawor polityczny ludności włościańskiej, o utwierdzenie jej w przekonaniu, że tylko rządowi zawdzięcza zniesienie pańszczyzny, tak samo jak dawniej tylko rządowi zawdzięczała opiekę wobec wrzekomych nadużyć dziedziców w wykonywaniu uprawnień pańszczyźnianych. Była to gra bardzo niebezpieczna, bo przypominająca politykę biurokracyi niemiecko-galicyjskiej z przed r. 1846, odświeżająca krwawe wspomnienia tegoż roku, a tem samem wzbudzająca obawy w dworach szlacheckich. Wprawdzie gubernator hr. Stadion w swoich okólnikach do starostów, nadmieniając o ewentualnej potrzebie zaprowadzenia w kraju straży chłopskich celem udaremnienia wędrownej propagandy radykalnych żywiołów po wsiach, dobitnie zalecał uży-

wanie do takich straży tylko poważnych gospodarzy i pod kierunkiem żandarmeryi lub wojska, aby nie ponowiły się ekscesa z r. 1846, »których — własne słowa hr. Stadiona — za wszelką cenę uniknąć należy«; ale w kraju już opinia tak była podrażniona i rozgoryczona, że przypuszczano najgorsze zamiary rządu, więc wprost nawet powrót do taktyki z r. 1846. Kto zresztą nawet przychylnie oceniał charakter hr. Stadiona i uważał go za niezdolnego do popełnienia niegodziwości, ten mimo to miał powód do obawy, iż wobec faktu, że w urzędach nie zaszły zmiany, że mianowicie personal administracyjny z czasów rzezi ciągle jeszcze stoi najbliżej chłopa i w danym razie najprędzej wpłynąć zdoła, pożar mógłby być wzniecony nawet wbrew woli i wiedzy gubernatora, wprost poza jego plecami. To też niechęć ogólna objawiła się w kołach obywatelskich, niechęć, głośno, czasem nawet demonstracyjnie objawiana. I tak np. 57 obywateli obwodu Przemyskiego wystosowało do urzędu i w dziennikach ogłosiło protest, w którym oświadcza, że rozporządzenie rządowe »nietylko nosi pod każdym względem wszystkie cechy gwałtu (jako sprzeciwiające się zasadom konstytucyjnym), lecz nadto jest środkiem ku podkopaniu ufności i braterstwa pomiędzy ludem a właścicielami ziemi, którzy w adresach swoich do tronu podanych sami się oświadczyli jeszcze 18 marca z żądaniem zniesienia poddańczych stosunków, co w wielu miejscach, nie czekając na odpowiedź z Wiednia, już nawet w wykonanie wprowadzili«.

* * *

Wśród takich stosunków los zwołanej na 26 kwietnia 1848 r. sesyi sejmu stanowego był z góry zadecydowany. »Niema sejmu« — to hasło, które w przededniu sesyi na poufnem zebraniu deputatów przez jednego z nich głośno wypowiedziane i przez wszystkich potem dotrzymane zostało, już długo przedtem obiegało wszystkie koła inteligencyi patryotycznej i obywatelskiej w ogóle. Lwowska Rada narodowa, której wpływ wzrastał niezmiernie, w miarę jak drażliwość hr. Stadiona podkopywała jego pierwotną popularność, stanęła na czele akcyi przeciw zebraniu się sejmu rozwiniętej i oczywiście od razu znalazła odgłos w całym kraju. Odezwa, wydana w tej mierze do kraju 20 kwietnia 1848, nosi podpis jednego z najznakomitszych posłów autonomicznego sejmu galicyjskiego i Rady państwa, Seweryna

Smarzewskiego. Podpisał on jako »prezydujący z kolei«, ale uważany był powszechnie jeżeli nie za wyłącznego, to jednego z głównych autorów tego dokumentu. Odezwa opiera się na petycyi z 18 marca i adresie z 6 kwietnia, jako dwóch objawach opinii kraju, wobec których cały dawny ustrój polityczny, nie wyłączając sejmu stanowego, jako instytucyi, nieodpowiadającej warunkom konstytucyjnej reprezentacyi kraju, ostać się nie może. »Ktokolwiek — mówi odezwa — do obu adresów przystąpił, tem samem sejm zwołany za nieważny i *de facto* rozwiązany uważać musi. Wszedłby w oczywistą sprzeczność ze samym sobą, ktoby powołanym obywatelom w takim nieważnym sejmie jakikolwiek udział mieć radził. Samo nawet zebranie i ukonstytuowanie się jako sejm, choćby w tym celu tylko, żeby uchwałą sejmową uznać niekompetencyę sejmu do przedsiębrania jakiejkolwiek czynności, sprzeciwia się zasadom adresów, które uznały sejm za *de facto* rozwiązany, więc nie istniejący, zatem nietylko do żadnej czynności, ale nawet do zebrania się nieupoważniony. Były sejm nie reprezentował ani narodu, ani nawet średniowiecznych kast stanowych, które w Europie rzeczywiście już od dawna nie istnieją. Dowolny skład, w jakim były sejm do zebrania się na dzień 26 kwietnia wezwany został, w tej mierze nic nie zmienia. Wola narodu w państwie konstytucyjnem objawia się rzetelnie tylko przez zgromadzenie reprezentacyjne, składające się z niezawisłych obywateli kraju, obieranych przez ziomków swoich na podstawie ogólnego prawa wyborczego, które li pewien wiek i dobrą sławę uwzględnić powinno... Samo już zebranie się obywateli na sejm wskutek wydanego ogłoszenia w jakimkolwiek celu mogłoby wzniecić pozór, że nie przychylają się do zasad i próśb obu adresami objętych. Pozór taki mógłby niekorzystnie wpłynąć na ostateczne w tym względzie Najjaśn. Pana postanowienie, którego z niezachwianą ufnością acz niecierpliwie cały naród wygląda... Już przy zawiązaniu sejmu Rada narodowa postanowiła i nie odstępuje dotąd od postanowienia swego unikać każdego czynu, któryby był istniejącym ustawom i woli Najjaśn. Pana w konstytucyjnej drodze objawionej przeciwny. Zważywszy jednak, że wezwanie do udziału w obradach stanowych nie jest rozkazem, ale raczej zaproszeniem, że więc nieprzyjęcie, niedopełnienie takiego wezwania nie jest wcale oporem przeciw woli Najjaśn. Pana, Rada narodowa nie widzi żadnej przeszkody, którąby współobywateli, na sejm wezwanych, od takiego zachowania się wstrzymać mogła, jakie im Rada narodowa,

jako z obu adresami, z wyrazem woli narodowej i z obowiązkiem każdego prawego obywatela jedynie zgodne, przedstawia. Rada narodowa uważa, że byłoby położeniu naszemu najodpowiedniejszem i dla sprawy naszej najkorzystniejszem postępowaniem, gdyby obywatele wszyscy, do zebrania się na sejm na dzień 26 kwietnia b. r. wezwani, każdy z osobna, lub też w mniejszych albo większych kółkach pisemnie oświadczyli i to oświadczenie tam podali, skąd wezwanie na sejm odebrali, że po adresach z dnia 18 marca i 6 kwietnia b. r. nie czują się umocowanymi wezwaniu na sejm zadość uczynić, ale nadto za najświętszy obowiązek wszystkich razem i każdego z osobna uważają, wystrzegać się najtroskliwiej wszystkiego, coby nawet pozór odszczepieństwa od zasad i próśb w obu adresach zawartych rzucić mogło. Z powyższych powodów pochlebia sobie Rada narodowa, że jej zdanie znajdzie poparcie i że jej wniosek jednomyślnie przyjęty i wykonany zostanie«.

Teraz sprawa publiczna weszła już nieodwołalnie na pochyłą drogę, po której stoczyć się miała tak samo, jak później sprawa konstytucyjna całej Austryi, w przepaść — nie rewolucyi formalnej, której sztandar dopiero w październiku Wiedeń jawnie wywiesił — lecz anarchii. Ta tylko nazwa bowiem odpowiada ówczesnej fazie wielkiego przesilenia, w której dwór już się przygotował do ucieczki (do Innsbrucka), rząd centralny, jak trzcina chwiejny, codziennie niemal ulegał nowym naciskom i prądom, jego reprezentanci w poszczególnych prowincyach pozostawieni zostali własnemu sprytowi, albo raczej własnej nieporadności, a gorące żywioły korzystały z tego stanu i, rwąc się do samodzielnej organizacyi i akcyi obywatelskiej, jak lwowska Rada narodowa, usiłowały, w braku formalnej konstytucyi, utworzyć *via facti* stan konstytucyjny.

Powyższa odezwa Rady narodowej znalazła odgłos powszechny i akces tak liczny, że umiarkowane żywioły, które w kilka tygodni później próbowały zorganizować się w samodzielne stowarzyszenie (ziemiańskie) z własnym organem, w tej chwili głosu wcale nie podniosły. Ziemia Przemyska, która najpierw wystąpiła z drukowanym protestem przeciw inicyatywie rządu w sprawie zniesienia pańszczyzny, także i co do zwołania sejmu najgłośniej się ozwała w ogłoszonej drukiem, a przez 88 obywateli podpisanej protestacyi. Na tę drogę wstąpił i gubernator hr. Stadion, rozsyłając pisma i odezwy do »deputowanych sejmu galicyjskiego« i zaklinając ich niemal najpierw na in-

teres konstytucyjny, a potem i materyalny, aby, nie oglądając się na agitacyę, odbyli sesyę sejmu stanowego, który jest także organem nadzorczym ziemskiego instytutu kredytowego i w tym charakterze zająć się ma sprawdzeniem jego rachunków, uzupełnieniem dyrekcyi i t. p.

Odezwa hr. Stadiona sytuacyi zmienić już nie mogła, ale byłaby może w innym składzie rzeczy wywarła silniejszą refleksyę w kołach umiarkowanych deputatów, pobudziła ich do akcyi w chwili stanowczej i w ostatecznym razie zapobiegła przynajmniej drażliwemu przebiegowi całego przesilenia, jaki faktycznie zaszedł. Ale tymczasem zaszły okoliczności, które w normalnym stanie byłyby uchodziły za epizod mniej lub więcej rażący, ale w chwili takiego napięcia aspiracyi i oczekiwań z jednej, a obaw i czarnych przewidywań z drugiej strony odegrały rolę iskier, padających na materyał wybuchowy.

W wilię zamierzonego otwarcia sesyi sejmu stanowego, 25 kwietnia 1848, odbyło się uroczyste nabożeństwo z okazyi urodzin cesarza Ferdynanda. Gubernator hr. Stadion zajął w kościele należne mu pierwsze miejsce, a zaraz za nim stanęła Rada narodowa *in corpore*. Postąpiła ona w ten sposób dlatego, żeby — jak opiewa jej jednomyślnie dniem wprzód powstała umowa — »jako ciało wolą narodu powstałe i jako wyraz jego opinii stała się tego dnia solennem zaświadczeniem uczuć, któremiby kraj ten rad zawsze swojego dobrotliwego króla otaczać«. W oczach gubernatora jednak, rozdrażnionego wszystkiem, co przedtem zaszło i przewidującego lada chwila wybuch rewolucyjny, postępek Rady narodowej przybrał charakter formalnej uzurpacyi buntowniczej, stanowił dowód, że rada narodowa wystąpiła — jak to później hr. Stadion sam wypowiedział w urzędowym akcie — »samowolnie i w sposób najwięcej w oczy bijący, jakoby była prawnie ustanowioną korporacyą«. Hr. Stadion zostawał jeszcze pod drażniącem go wrażeniem tej sceny kościelnej, kiedy dowiedział się, że deputaci, zjeżdżający się na jego wezwanie, odbyli w zakładzie Ossolińskich wstępne narady przy udziale delegatów Rady narodowej i za ich przyczynieniem się postanowili nie uznawać prawowitości sejmu stanowego. Przebrała się już teraz w hr. Stadionie miara cierpliwości, albo raczej drażliwości, więc zerwał się do czynu, po którym już żadna siła ludzka nie mogła powstrzymać gwałtownego rozpędu akcyi demonstracyjnej. O świcie 26 kwietnia policya wtargnęła do lokalu Rady narodowej i opieczętowała go, zabrawszy wszystkie papiery i ustanowiwszy straż wojskową u wejścia do lokalu,

a w kilka godzin potem już podane było do powszechnej wiadomości rozwiązanie Rady narodowej i zakaz odbywania posiedzeń w jakimkolwiek innym prywatnym lokalu pod surową odpowiedzialnością właścicieli domów i lokatorów, ułatwiających takie posiedzenia.

Opinia całego Lwowa, nie wyłączając i opinii zgromadzonych we Lwowie deputatów stanowych, została tym czynem hr. Stadiona tak podniecona, jak gdyby to był zamach, wymierzony przez obalony formalnie, ale jeszcze niezupełnie zgnieciony system absolutny, nie przeciw samemu tylko towarzystwu popularnemu, jakiem była Rada narodowa, lecz zarazem przeciw wszystkim zdobyczom konstytucyjnym ostatniej doby. To też w poczuciu swojej spotęgowanej wskutek tego siły moralnej Rada narodowa, nie uginając się przed surowym zakazem gubernatora, który na domiar zamieszania zaraz po tym wysiłku energii wpadł napowrót w nastrój hamletowski i nie był w stanie przy groźbie swojej wytrwać, odbyła posiedzenie w domu prywatnym. Zjawił się na niem także, świeżo z Wiednia do Lwowa przybyły, członek deputacyi galicyjskiej do cesarza wysłanej, biskup przemyski ks. Wierzchlejski, a oprócz niego wielu innych wybitnych wysłanników z kraju. Było to posiedzenie niezwykle uroczyste, wprost tryumfalne. »Rada narodowa — tak posiedzenie to przedstawia jej protokół — w chwili, gdy nad nią zawisła ciężarna chmura zaciekłości dawnego systemu absolutnego, grożąc gromami, w uroczystym spokoju do obrady zasiadłszy, rosła w potęgę i siłę, bo ze wszystkich stron kraju przystępowali wysłannicy. Przemawiał wiarą widok w Radzie członków duchowieństwa, mających na czele świętobliwego biskupa Przemyskiego. Przemówili wyrazem miłości właściciele ziemscy, gdy około godziny 12 tłumnie przybyli do izby obrad i głosem braterstwa z serc płynącym zawołali: »Niemasz niezgody! Widzimy, że Rada narodowa ma opinię publiczną, że ją ku sobie jakby w jedno ognisko zgarnęła, że jest wyrazem woli narodu. A zatem my, zebrani na wezwanie gubernatora na sejm formy dawnej, postulatowej, uznając, że ten jako sejm stanowy, gdyśmy orzekli w adresach i podaniach do tronu braterstwo w narodzie całym, miejsca nie ma, przystępujemy do Rady narodowej, wzywając, aby przypuściła nas do udziału w pracach, dla dobra ojczyzny przedsięwziętych«. Rada narodowa przyjęła równie z uczuciem braterstwa, które jest jej hasłem, oświadczenie właścicieli ziemskich i zaprosiła ich, aby, wybrawszy bez zwłoki z pomiędzy swego, do 200 osób liczącego, grona kilku-

nastu do Rady narodowej, tychże Radzie narodowej przedstawili. I w myśl tego 20 wybranych z grona właścicieli ziemskich przedstawiono i przez Radę narodową jednogłośnie przyjęto«.

Był to już faktyczny akt abdykacyi sejmu stanowego na rzecz prądu konstytucyjnego. Zaraz potem nastąpiło niejako sformułowanie tej abdykacyi. Tegoż dnia (25 kwietnia 1848) bowiem gubernator hr. Stadion otrzymał »od obywateli na sejm do Lwowa wezwanych« dwa pisma z przeszło 90 podpisami, mianowicie »adres« i »protestacyę«. Adres, stanowiący historyczny już teraz akt abdykacyi Stanów, tak opiewa: »Excellencyo! Niżej podpisani obywatele, właściciele dóbr wraz z duchowieństwem i delegowanymi od obwodów i miast na sejm wezwani, dzieląc to przekonanie, że Sejm postulatowy jako instytu[illegible] a systemu absolutnego już wskutek najwyższego patentu z dnia marca b. r., którym Najj. Pan wszystkim swoim ludom swobody konstytucyjne, na narodowości oparte, najuroczyściej zapewnił, za nieistniejący uważany być powinien, oświadczamy niniejszem, iż na sejmie obecnie ani być, ani żadnej czynności jako sejm przedsiębrać za upoważnionych się nie uważamy«.

Drugi akt, wręczony równocześnie gubernatorowi hr. Stadionowi, »protestacya«, również przeszło 90 podpisami opatrzona, zwraca się przeciw podniesionemu ze strony rządu zarzutowi, jakoby Rada narodowa w sposób terrorystyczny wpłynęła na zerwanie sejmu. »Przeciw wszelkim fałszywym wieściom — mówi ta protestacya — o wpływie Rady narodowej lub pojedyńczych jej członków na niedojście zwołanego sejmu niniejszą protestacyę w ręce Waszej Excellencyi składamy, czego najmocniejszym dowodem ta okoliczność, żeśmy zgodnie z Radą narodową złączyli się, takową uznać pragniemy i w tym celu z grona naszego dwudziestu obywateli wybrali, którzy Radę narodową wzmocnić mają«.

Hr. Stadion odpowiedział na ten akt w sposób, który po poprzedniem tak drastycznem wystąpieniu przeciw Radzie narodowej nazwać można niespodzianką. Nietylko bowiem nie spełnił groźby, wyrażonej w urzędowem obwieszczeniu na wypadek, gdyby Rada narodowa dalej zbierać się miała na posiedzenia, lecz nadto, jakby dla jak najdobitniejszego zaznaczenia, że zarzucone mu z okazyi zwołania sejmu stanowego reakcyjne aspiracye są mu wstrętne, »uczynił — jak ogłosił ówczesny organ urzędowy z 2 maja 1848 — krok w przywiedzeniu do skutku już dawno powziętego planu otoczenia się mę-

żami, którzy przez inteligencyę i zacność charakteru posiadają publiczne zaufanie i na nie zasługują«, dla doradczych funkcyi a nawet dla inicyatywy w sprawach krajowych. Tę radę przyboczną *(Beirath)* chciał hr. Stadion wyposażyć atrybucyami, które wśród ówczesnych stosunków nazwać można znacznemi, a które w każdym razie świadczą o dobrych intencyach twórcy. Oświadczył bowiem hr. Stadion, »że — tak opiewa dalej ów komunikat urzędowy z 2 maja 1848 — radę przyboczną ciągle będzie zawiadamiał o wszystkich ważnych sprawach i mających się wydać rozporządzeniach, że wyrzeczone na posiedzeniach zdania z zastrzeżeniem odczytania i podpisania na przyszłem posiedzeniu protokołów będą natychmiast podawane do wiadomości publicznej, że pojedynczym członkom wolno wnosić mocye i że gdy po jakiej debacie większość oświadczy się za uchwałą, do której gubernator uzna za rzecz stosowną nie przystąpić, zdanie rady przybocznej, jeżeli tego zażąda, należy przedłożyć ministrowi spraw wewnętrznych, jednakże bez ujmy dla rozporządzeń, które gubernator prowizorycznie wyda«. Pierwszy porządek dzienny rady przybocznej zdawał się dobrze wróżyć o działalności nowej instytucyi. Obejmował bowiem sprawy wówczas najważniejsze w zakresie administracyi publicznej, mianowicie: uregulowanie stosunków kameralnych, zaprowadzenie pierwszych instancyi, szkoły i środki utrzymania kredytu w kraju. Mniej szczęśliwym był hr. Stadion w wyborze członków zaimprowizowanego parlamenciku swojego. Weszli bowiem w skład rady przybocznej z polskiej strony mężowie wprawdzie dzielni, jak Agenor hr. Gołuchowski, Maurycy hr. Dzieduszycki, Kazimierz hr. Stadnicki, Karol ks. Jabłonowski, Aleksander hr. Krasicki, Gwalbert Pawlikowski i inni; ale były to same żywioły umiarkowane, najwięcej umiarkowane w tej dobie, więc już z tego powodu pozbawione popularności w wzburzonej wypadkami opinii publicznej. Byłaby ona niezawodnie więcej ceniła ustępstwa hr. Stadiona i wstrzymała się od powitania rady przybocznej szyderstwem, gdyby w jej skład obok tych żywiołów umiarkowanych powołani byli także bodaj w nierównym stosunku reprezentanci przemagającego kierunku. A nie brakło pewnie w tym obozie osobistości, w których popularność łączyła się z dojrzałą rozwagą i wielkiem znawstwem spraw krajowych. Jeżeli już za skrajnym wydał się gubernatorowi Aleksander hr. Fredro, to mógł np. przez powołanie Leona ks. Sapiehy wpłynąć korzystnie na opinię. Natomiast ze strony ruskiej powołał hr. Stadion w skład rady przy-

bocznej nie umiarkowane i pojednawcze żywioły, lecz właśnie tych, którzy w historyi Galicyi zapisani są jako skrajni inicyatorowie separatystycznego ruchu świętojurskiego (kanonicy: Michał Kuziemski, który potem był ostatnim unickim biskupem chełmskim i Michał Malinowski). Toteż potem już na zawsze sprzęgła się w tradycyach politycznych tej doby pamięć Stadionowskiej rady przybocznej z tą ciężką plagą wewnętrzną, jaką po dziś dzień stanowi stronnictwo, żyjące tradycyami inicyatorów ruchu świętojurskiego z czasów Stadionowskich [1]).

Ale na wszystkie takie połowiczne kreacye polityczne, jak rada przyboczna, a nawet rozszerzony sejm stanowy, pora była już spóźniona. W Wiedniu bowiem zerwał się taki huragan rewolucyjny, że przed nim dwór cesarski uchodzić musiał i ukryć się w stolicy wiernego Tyrolu (w Innsbrucku), dokąd także, cichaczem, w całem tego słowa znaczeniu, podążył w pierwszych dniach czerwca gubernator galicyjski, Franciszek hr. Stadion, wezwany do objęcia teki ministeryalnej po przywróceniu porządku, a na razie do udziału w naradach nad sposobami przywrócenia porządku. Ale w tych naradach na dworze w Innsbrucku już wtedy wyłaniał się plan reakcyi wojskowej, a z nim i program rządów absolutnych. Tej zmianie historycznej torował drogę radykalizm wiedeński, pogłębiając w gorączkowo przyspieszonem tempie przepaść między stolicą państwa a dworem. W przepaść tę w kilka miesięcy później stoczyć się miała cała konstytuanta austryacka z wszystkiemi aspiracyami i nadziejami konstytucyjnemi, które odżyć miały dopiero w dwanaście lat później po takich katastrofach wojennych, jak Magenta i Solferino, i pod firmą polityczną jednego z wybitniejszych członków ostatniego galicyjskiego sejmu stanowego, pod firmą Agenora hr. Gołuchowskiego, jako twórcy dyplomu październikowego z r. 1860.

* * *

Dobiegliśmy do najdalszej granicy, jaką nam temat tej pracy zakreślał. Poza tę granicę już tylko krok jeden zrobić można bez obawy, że się wkroczy na teren wykluczonej tutaj z gry polityki. Zrobimy ten krok, nawiązując epilog Stanów galicyjskich do prologu autonomicznego sejmu galicyjskiego, abdykacyę Stanów galicyjskich w ka-

---

[1]) *Dr. Bronisław Łoziński:* Agenor hr. Gołuchowski (j. w. str. 125—194).

stowo-politycznej roli — do inauguracyi ery konstytucyjnej w Galicyi. Kiedy po dwunastu latach od daty tej abdykacyi Galicya przystępowała do wyboru pierwszego sejmu autonomicznego, epigonowie dawnych Stanów stali jeszcze na widowni publicznej, a ówczesne pokolenie szlachty galicyjskiej, przystępujące do konstytucyjnie rozszerzonej akcyi publicznej, liczyło w gronie swojem jeszcze wielu działaczy z lat 1846—1848, którzy wnieśli do pracy cały bogaty zapas doświadczeń, rozczarowań i ostrzeżeń politycznych z niedawnej przeszłości. Toteż silne ogniwo tradycyi sprzęga obie te doby. To samo pokolenie, które abdykowało z swojej kastowo-politycznej roli na rzecz idei konstytucyjnej, przykłada rękę do jej wcielenia i utrwalenia, a czyni to rozumnie i z wielkiem powodzeniem, jak świadczy cała dotychczasowa rola posłów polskich z Galicyi na wiedeńskiej widowni parlamentarnej od pierwszej aż do dzisiejszej Rady państwa. To samo pokolenie, które w latach 1842—1845 żyło w pięknych planach i marzeniach o uwłaszczeniu włościan, rozpoczyna, pomimo bolesnych rozczarowań, zgotowanych mu przez dawną biurokracyę austryacką, nowy okres konstytucyjno-obywatelskiej pracy od solennego, na pierwszym zaraz sejmie złożonego oświadczenia, że uważa pańszczyznę za niepowrotnie już przebytą przeszłość i wiąże niejako z tem oświadczeniem pracę nad podniesieniem oświaty ludowej, pracę pełną trudu i ofiarności, a uwieńczoną po upływie jednej ćwierci wieku rezultatem wprost wspaniałym, bo takim rozwojem szkolnictwa ludowego, o jakim na schyłku pierwszej połowy XIX w. nawet idealiści z pewnością nie myśleli.

Ale kończymy, bo do dalszych refleksyi w tej mierze, które już koniecznie musiałyby się łączyć w dzisiejszem życiu politycznem Galicyi niemal z bieżącymi wypadkami, autor nie mógłby otrzymać głosu w piśmie naukowem nietylko z tytułu, lecz także i z treści swojej.



KAROL SZAJNOCHA.

V.

Proces kryminalny Karola Szajnochy.

Lwowskie Archiwum aktów grodzkich i ziemskich otrzymało przed kilku miesiącami za zezwoleniem austryackiego ministerstwa sprawiedliwości z lwowskiego archiwum kryminalnego olbrzymi stos aktów procesowych z tej ciężkiej dla Galicyi epoki spiskowej, która zaczęła się wkrótce po upadku powstania listopadowego i wyprawy Zaliwskiego za sprawą emisaryuszy emigracyjnych i od r. 1833 w ciągu lat 15 wypełniła ofiarami swojemi lochy Spielberga, Kufsteinu i innych historycznych więzień austryackich. Akta te obejmują także i procesy epigonów tej epoki, którzy jeszcze po r. 1848 prowadzili dalej dzieło spiskowe. Chociaż niemal wszystkie te sprawy są co do głównych bohaterów i zarysów znane, a właśnie do tych spraw kryminalnych, które w szczegółach mogłyby rzucić światło na tajniki r. 1846, nie dostarczają materyału autentycznego, widocznie wraz z sprawą Jakóba Szeli dawno już do Wiednia przeniesionego i bodaj czy tam jeszcze w całości przechowanego, mimo to i za ten dar należy się ministerstwu sprawiedliwości wdzięczność ze strony tych, którzy się oddają poszukiwaniom i badaniom źródeł z powyższej doby. Przy pomocy bowiem tego świeżo dla badań otwartego materyału da się pod niejednym względem rozszerzyć lub sprostować, a w każdym razie uzupełnić obraz historyczny tej doby.

Mozolne wertowanie tych aktów opłaci się z pewnością nietylko historykowi, lecz także i prawnikowi. Znajdzie się on bowiem

w świecie całkiem odmiennym i tak niepodobnym do dzisiejszego pod każdym względem, że wśród czytania ocknie się nieraz, jakby ze snu strasznemi zmorami wypełnionego i zapytać musi, czy to ta sama Austrya i ta sama Galicya, w której przed laty osiemdziesięciu podobne działy się rzeczy? Prawnikowi przerwie może lekturę jeszcze jedna refleksya; obudzi się w nim wątpliwość, czy naprawdę tortura zniesiona została w Austryi już w XVIII wieku za rządów cesarzowej Maryi Teresy? Tak było niezawodnie co do pospolitych zbrodniarzy, ale politycznych przestępców torturowano jeszcze i w pierwszej połowie XIX stulecia nie średniowiecznemi, co prawda, narzędziami, lecz za to w wyrafinowany sposób moralnymi środkami.

W indeksie tego świeżo pozyskanego materyału historycznego przednie niezawodnie miejsce należy się sprawie Karola Szajnochy, w którego krótkiem a tak wielką dla naszej historyografii spuścizną upamiętnionem życiu, ciężki, niemal dwuletni epizod kryminalny na samym wstępie do studyów uniwersyteckich, odegrał rolę rozstrzygającą o całym losie.

W zbiorowem, ale niekompletnem warszawskiem wydaniu dzieł Karola Szajnochy, znajduje się przy końcu dziesiątego tomu jego obszerny życiorys, opracowany starannie przez Klemensa Kanteckiego, a oparty na datach autentycznych. Także i w sprawie polityczno-kryminalnej Karola Szajnochy zawiera praca K. Kanteckiego daty autentyczne, gdyż co do samego więzienia, autor czerpał szczegóły z autobiograficznych zapisków samego Karola Szajnochy, a o samej istocie czynu, tylko w ogólnym zarysie przedstawionego, posiadał także informacye pochodzące widocznie ze sfer rządowych, dla których już wtedy, przed 40 laty, dostępne były tajne akta lwowskiego archiwum kryminalnego. Mimo to jednak ogromny, około 500 arkuszy pisma obejmujący, stos aktów z procesu Karola Szajnochy i dziś jeszcze zasługuje na przejrzenie.

Z ponurego obrazu procesowego, w którym w roli prześladowczej występują figury z przekleństwem zapisane w historyi tej doby i w bolesnej tradycyi wielu rodzin polskich, jak sędzia śledczy Wittmann i jego aktuaryusz Sellyey, obaj znani z późniejszego procesu Teofila Wiśniowskiego, jak osławiony z swojego brutalstwa i za to niejednokrotnie wypoliczkowany i przetrzepany komisarz policyjny Kamienobrodzki, wreszcie również osławiony dyrektor policyi Sacher-Masoch z całym sztabem ajentów, — wychylają się w roli

bądź to wprost podejrzanych o uczestnictwo, bądź świadków, zagrożonych każdej chwili przejściem w stan oskarżenia, osobistości później chlubnie zapisane na kartach literatury i historyi krajowej, jak Żegota Pauli, Lucyan Siemieński, Henryk Suchecki, późniejszy biskup krakowski kardynał ks. Albin Dunajewski i inni.

Z aktów procesowych, które tutaj omawiamy, z tej ponurej otchłani donosów, podsłuchiwań, podejrzeń i podstępnych pytań inkwizycyjnych, wychyla się okazale pełen moralnego hartu i gotowej do ofiar abnegacyi koleżeńskiej, a przytem niezmiernie tkliwy w uczuciach rodzinnych charakter Karola Szajnochy. Całe zachowanie się jego podczas procesu, wśród sytuacyi nad wyraz przykrej i bardzo groźnej dla całej przyszłości 17-letniego więźnia, zaimponowało w swoim czasie jego dręczycielom śledczym. Toteż już sam pietyzm dla pamięci wielkiego pisarza każe odświeżyć w pamięci dzisiejszego pokolenia wybitniejsze a dotąd nieznane szczegóły i sceny procesowe.

* * *

Wstępem do procesu kryminalnego, zakończonego kryminalną kondemnatą Karola Szajnochy, było śledztwo policyjno-dyscyplinarne, w które on popadł r. 1834, jako 16-letni uczeń szóstej, a wówczas już najwyższej klasy gimnazyalnej. Po powrocie z wakacyi, ze wsi, gdzie oglądał ruiny starego zamku, Karol Szajnocha czujący już od lat dziecięcych pociąg do historyi, postanowił zawiązać w gronie kolegów »towarzystwo starożytności«, którego członkowie mieli zbierać i przedstawiać na wspólnych zebraniach szczegóły znane sobie o znajdujących się w kraju ruinach historycznych. Ułożył statut dla tego towarzystwa, przygotował dla pierwszych posiedzeń obfity materyał, spisawszy z dzieł przeczytanych miejscowości, w których za wskazówkami historycznemi powinneby znajdować się jakie zabytki przeszłości. W gronie kolegów Karol Szajnocha wywierał urok, jaki wywierać musi na młodzieńczych umysłach serdeczne uczucie koleżeńskie w połączeniu z uznaną przez wszystkich rówieśników wyższością pod względem zdolności i wiedzy, zdobytej mozolnie poza sferą szkolnej nauki. To też chętnie zapisywali się koledzy Karola Szajnochy do zaprojektowanego towarzystwa, wybrawszy go oczywiście na prezesa. Rzecz godna uwagi, że w spisie członków znajdujemy większość nazwisk niemieckich lub takich, które dziś często przypominają

się na wiecach separatystów ruskich w Galicyi. Byli to synowie urzędników austryackich i księży ruskich, jedni i drudzy podbici zupełnie duchową i moralną wyższością Karola Szajnochy, gotowi do każdej wspólnej pracy pod takim sympatycznym przewodnikiem.

Towarzystwo starożytności miało zbierać się peryodycznie na sekretne posiedzenia w porach wolnych od nauki szkolnej, mianowicie po przepisanej egzorcie. Jeszcze towarzystwo nie rozpoczęło swojej działalności na dobre, a już rzecz cała wyszła na jaw przez to, że jeden z profesorów pochwycił u ucznia, do niego na stancyę oddanego, odpis statutów i spis członków towarzystwa. Rzecz to charakterystyczna dla smutnych stosunków szkolnych tej doby, że dyrektor gimnazyum, oczywiście Niemiec, któremu ów profesor z swojego odkrycia zaraz zdał sprawę, nie wglądnąwszy bliżej w rzecz całą i nie przekonawszy się przedtem, czy nie chodzi tu tylko o sprawkę studencką, którą swoją naganą mógłby załatwić, pobiegł zaraz do prezydyum gubernialnego, którego prezydent, tak smutnie zapisany w historyi Galicyi, Franciszek br. Krieg, uznał za stosowne przekazać całą sprawę urzędownie dyrektorowi policyi Sacher-Masochowi do przeprowadzenia formalnego śledztwa policyjnego z wszystkimi chłopakami na spisie członków wymienionymi, i to przy asystencyi wydelegowanego w tym celu urzędnika z prezydyum gubernialnego. Cytowano tedy wszystkich uczniów, jakby urwisów ulicznych, na policyę i spisywano z nimi długie protokoły z taką drobiazgową ścisłością, jak gdyby chodziło o spisek z celami zbrodnię stanu stanowiącymi. Szajnocha z wszelką otwartością przyznał się do inicyatywy w zawiązaniu towarzystwa starożytności i tem odrazu uniewinnił swoich kolegów. Pomimo podejrzliwości policyjnej, szczere zeznania Szajnochy zrobiły tak korzystne wrażenie i nadały sprawie całej charakter tak daleki od kwalifikacyi polityczno-kryminalnej, że nawet surowy dyrektor policyi Sacher-Masoch został rozbrojony. Jako człowiek inteligentny poznał odrazu w młodziutkim Szajnosze zdolność nadzwyczajną i niezwykle piękny charakter, ujawniający się w zeznaniach. Sacher-Masoch zamknąwszy indagacyę i przedkładając o rezultacie relacyę prezydyum gubernialnemu, uniósł się, co pewnie stanowiło bardzo rzadki epizod w jego policyjnej działalności, taką szlachetnością, że przedstawił całą sprawę jako w motywach i cechach swoich pozbawioną wszelkiej cechy zdrożności moralnej lub politycznej. Tylko tajny charakter towarzystwa nie mógł ujść płazem w porze, kiedy

tajne związki i spiski polityczne zaprzątały policyę i sądy kryminalne. Zaproponował więc Sacher-Masoch dyscyplinarne tylko skarcenie Szajnochy i jego towarzyszy. Wniosek utrzymał się w prezydyum gubernialnem, które wszystkie akta odesłało do dyrekcyi gimnazyum, jako instancyi kompetentnej do wydania orzeczenia dyscyplinarnego. Skończyło się zapewne wszystko na naganie lub karcerze, bo cała sprawa nie wywarła szkodliwego wpływu nawet na celującą promocyę Szajnochy przy najbliższej klasyfikacyi semestralnej.

Ukończywszy studya gimnazyalne z celującym postępem w roku 1835, zapisał się Karol Szajnocha na wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego, gdzie na samym zaraz wstępie studya i wszystkie połączone z niemi plany i nadzieje miały być na zawsze przerwane.

* * *

Dnia 28 listopada 1835 r. rano służba uniwersytetu lwowskiego znalazła częścią rozrzucone, częścią nalepione, na korytarzach i na ścianach, kartki w kształcie druku zapisane z wierszem odświeżającym w pamięci rocznicę powstania listopadowego. Wiersz ten krótki, zaczynający się od słów: »Święćmy dzień ten przyjaciele, świętą pamięć tego dnia« — w gorącej treści swojej i w formie dostrojonej do celu agitacyjnego, zdradzał młodzieńczy umysł autora, więc wskazywał na to, że szukać go należy w murach uniwersytetu. Nie było w treści nic takiego, coby podciągnąć się dało pod kryterya prawne zdrady stanu lub obrazy majestatu, ale za to aż nadto wiele takich wyrażeń, które w połączeniu z faktem rozlepienia, więc rozpowszechniania, wobec postanowień ówczesnego kodeksu karnego uznane być musiały za wzbudzenie nienawiści do rządu, więc za zbrodnię zaburzenia spokoju wewnętrznego. Równocześnie z tym wierszem znaleziono na korytarzu uniwersyteckim kilka ćwiartek papieru, krótką charakterystykę pod względem politycznym 37 słuchaczy uniwersytetu i 15 osób z młodego świata urzędniczego, między któremi ówczesny młody praktykant Agenor hr. Gołuchowski figurował, jako przejęty patryotyzmem austryackim. W kilka dni później, kiedy jeszcze policya zajęta była wyśledzeniem autora owego wiersza i charakterystyk, znaleziono w ławkach kościoła bernardyńskiego, zajmowanych podczas mszy szkolnej przez uczniów najwyższej klasy gimnazyalnej, inny wiersz z napisem: »Wiwaty«, treści o wiele drażliwszej od wiersza

uniwersyteckiego. Były bowiem w tych ostatnich wierszykach bardzo drastyczne wzmianki nietylko o najwybitniejszych figurach ówczesnego lwowskiego świata urzędniczego, lecz także o kanclerzu Metternichu, o cesarzu Franciszku i monarchach z nim sprzymierzonych.

Podwojono wskutek tego zabiegi śledcze nietylko w dyrekcyi policyi, lecz także wprost w prezydyum gubernialnem, bardzo tą sprawą zaalarmowanem. Tam snać odrazu podejrzenie paść musiało na Karola Szajnochę, gdyż zaczęto wertować akta zeszłorocznej sprawy towarzystwa starożytności. Z porównania znalezionego w tych aktach własnoręcznego pisma Szajnochy z pismem ćwiartek papieru, wypełnionych charakterystykami młodzieży uniwersyteckiej, okazało się niewątpliwie, że oba pisma z jednej pochodziły ręki. Ale świstki te nie zawierały znamion zbrodni, a wiersz inkryminowany pisany był w formie druku. Skoro jednak policya wprowadzona była na trop sprawcy, odkrycie jego było już tylko kwestyą krótkiego czasu. Zarządzono rewizyę domową u Karola Szajnochy i jego kolegów, tak znanych już z zeszłorocznej sprawy towarzystwa starożytności, jak i świeżych z uniwersytetu. Połów był obfity. U Szajnochy znaleziono wiele książek niemieckich i polskich wówczas zakazanych, a już sam fakt, że między temi książkami znajdowały się rzeczy historyczne o powstaniu listopadowem, broszury i odezwy emigracyjne Komitetu lelewelowskiego, musiał utwierdzić w domyśle, że Szajnocha jest autorem podburzającego wiersza. Zabrano wtedy Szajnosze także papiery, nie stanowiące właściwie *corpus delicti*. Między tymi papierami znajdowały się luźne zapiski o Jagielle i o Jadwidze, świadczące o tem, że już chłopięcy umysł Karola Szajnochy zostawał pod urokiem obu tych postaci, które w 20 lat później wypełnić miały jego arcydzieło historyczne.

Rewizya, przeprowadzona u kolegów Szajnochy, dostarczyła policyi obfitego materyału na poparcie żywionych podejrzeń. U syna urzędnika J. Bolberitza znaleziono przepisaną biografię Zana i różne zapiski po niemiecku pisane. Jedna zapiska tak opiewała: »Najcięższym dla rządu jest zarzut, że swoim poddanym największą okazuje nieufność. To najwięcej wzbudza we mnie oburzenie wobec ustroju rządu austryackiego«. Dalsza zapiska wyraźnie wskazywała na to, że Bolberitz pozostawał pod wpływem Karola Szajnochy. Tak bowiem mówi w niej Bolberitz: »Wyznać muszę, że poza Karolem Szajnochą

nikt nie wywarł na mnie silniejszego wrażenia i nie wzbudził we mnie w takim stopniu serdecznego przywiązania«.

Najfatalniej dla Szajnochy wypadła rewizya u jego najbliższego mu myślami, uczuciami i aspiracyami przyjaciela Eustachego Rylskiego. Znaleziono bowiem u niego ręką Szajnochy pisany oryginał wiersza w uniwersytecie rozpowszechnionego, a nadto jeszcze dwa inne wiersze ręką Szajnochy pisane. Jeden z nich wyszydzał władze z powodu prześladowania lwowskich akademików (»Przyjaciele, Bóg niecnocie jasny odjął wzrok i t. d.«), a drugi (»Święćmy bracia ten dzień chwały i t. d.«) odświeżał tak samo jak główny wiersz inkryminowany, pamięć rocznicy listopadowej, ale w tonie bez porównania żywszym, ostrzejszym i dla władzy drażliwszym. W aktach śledczych powiedziano o tym drugim wierszu, że wieje z niego »duch najdzikszego jakobinizmu«. O wiele gorszą byłaby dola Szajnochy, gdyby policya zdołała była wykazać, że wiersz ten nie był pisany, jak autor twierdził, dla samego Rylskiego, lecz przeznaczony był także do rozpowszechnienia, bądź to w jakikolwiek sposób już dokonanego, bądź przynajmniej usiłowanego.

Policyi nie dość było ofiar, już z powodu jednej sprawy ujętych w jej sidła. W papierach Szajnochy znaleziono luźne zapiski, z których domyślano się, że koledzy pożyczali u niego książki zakazane. Chciano koniecznie wydobyć, kto i kiedy pożyczał. Całą indagacyę o to przerwał Szajnocha na samym wstępie takiem stanowczo wypowiedzianem oświadczeniem: »Nie chcę na nikogo nieprzyjemności ściągnąć i z tego powodu nie myślę wypowiadać moich domysłów co do owych zapisek«.

* * *

Obszerny policyjny referat śledczy przesłało prezydyum gubernialne lwowskiemu sądowi kryminalnemu, a tam przydzielono sprawę najprzebieglejszemu referentowi, radcy Wittmannowi, który już przedtem w procesach politycznych złożył liczne próby swojej dzielności inkwizycyjnej, a potem jeszcze więcej zasłynął jako referent najważniejszych procesów o zdradę stanu, po których legion ofiar poszedł na Spielberg lub do Kufsteinu, a dwie na rusztowanie (Kapuściński i Wiśniowski).

Wittmann zestawił wyniki dochodzenia policyjnego i na radzie sądu kryminalnego z 12 stycznia 1836 r. przedstawił przyjęty oczywiście bez opozycyi wniosek, aby Karola Szajnochę zakwalifikowano (jak opiewał owoczesny termin kryminalno-proceduralny) do postępowania kryminalnego o zbrodnię zaburzenia spokoju wewnętrznego, jego najbliższego przyjaciela Eustachego Rylskiego o uczestnictwo w tej zbrodni, a co do czterech innych słuchaczy uniwersytetu, między tymi Henryka Sucheckiego i Żegoty Paulego, pozostawiono na razie decyzyę w zawieszeniu. Zapadła przytem uchwała, że Szajnocha, jako »szczególnie niebezpieczny«, ma być osadzony w więzieniu śledczem, oczywiście w kajdanach.

Dnia 21 stycznia 1836 r. rano komisya sądowo-policyjna uwięziła Szajnochę i odstawiła go do więzienia śledczego. Relacya tej komisyi wylicza przedmioty, które z ubogiego pomieszkania studenckiego Szajnochy razem z nim do depozytu zabrano. Była to nad wyraz ubożuchna garderoba studencka, gdyż książki i papiery już przedtem policya zabrała. Jako gotówkę znalezioną przy Szajnosze podaje relacya komisyi: dziewięć krajcarów waluty wiedeńskiej i jeden krajcar monety konwencyjnej, co na dzisiejszą monetę wynosi — 10 halerzy z ułamkiem! Urzędowy rysopis inkwizyta tak opiewa w relacyi: Karol Szajnocha liczy lat 18, jest wzrostu średniego, dobrze zbudowany, jednakże z postawą naprzód pochyloną, ma twarz okrągłą, zdrową cerę, ciemne, głęboko osadzone oczy, nos średniej miary, usta proporcyonalne, ciemne włosy i cokolwiek jaśniejszy zarost na brodzie.

Na wstępie do więzienia śledczego odbyła się zwyczajna w tych czasach rewizya lekarska dla stwierdzenia, czy inkwizyt ewentualnie może być — chłoście poddany. Wittmann zapisał na akcie, że co do Szajnochy rewizya wypadła pomyślnie.

Jakie moralne i fizyczne katusze przebył Karol Szajnocha w swojej norze więziennej, w przygnębiającej ducha samotności i na zabójczym dla fizycznego zdrowia, wprost odrażającym wikcie więziennym, jak z rozpaczliwego nastroju pierwotnego ocaliła go refleksya religijna, jakby promień cudownego światła, to wszystko znane jest z autobiograficznych zapisek samego Karola Szajnochy, które Kl. Kantecki w swojej pracy biograficznej wyzyskał i w ważniejszych ustępach dosłownie przytoczył.

Ówczesna austryacka procedura karna, oparta na zasadzie inkwi-

zycyjnej, zaostrzona co do przestępstw politycznych wielu dodatkowemi postanowieniami, otwierała bezwzględnemu sędziemu śledczemu taki rozległy zakres działania, że, jak to na wstępie zaznaczyliśmy, dobę ówczesną możnaby uważać za okres tortury, zmodyfikowanej co do narzędzi męki fizycznej, ale za to wyrafinowanej w moralnem dręczeniu inkwizytów. O takich środkach obrony, jakimi dziś najnikczemniejszy zbrodniarz walczyć może z oskarżeniem we wszystkich fazach procesu, a w końcu jeszcze wśród rozprawy głównej, wtedy nawet mowy nie było. Sędzia śledczy był wszechwładny od początku do końca procesu. Co wydobył z inkwizyta czy to perswazyą, czy groźbą, namową lub nawet podstępną obietnicą, to potem zestawiał jako referent i przedstawiał radzie. W referacie po formie przytaczał sędzia śledczy obok okoliczności obciążających, także i łagodzące winę i w ten sposób łączył w swojej osobie rolę oskarżyciela z rolą obrońcy, którego inkwizyt ani z wyboru swojego, ani z urzędu nie posiadał. Referaty Wittmanna w sprawie Karola Szajnochy stanowią klasyczny okaz takiego śledztwa, od początku do końca prowadzonego z myślą, że chodzi o kondemnatę dla odstraszającego przykładu surową, ale formalnie upozorowaną.

Śledztwo wlokło się do 30 czerwca, więc sześć miesięcy z okładem i w tym czasie ośm razy przywoływano Karola Szajnochę przed radcę Wittmanna do protokolarnego przesłuchania. Sprawa stanęła odrazu tak, że można było sformułować wniosek karny, bo Szajnocha nie wykręcał się, lecz owszem odrazu przyznał się do autorstwa dwóch wierszy znalezionych w rękopisie u Eustachego Rylskiego i do rozpowszechnienia jednego wiersza w gmachu uniwersyteckim. Ale Wittmannowi chodziło widocznie nietylko o wplątanie więcej ofiar w zastawione sieci kryminalne, lecz nadto o zaostrzenie kwalifikacyi karnej. Widocznie mniemał, że powiedzie mu się wprowadzić postępek Szajnochy w jakikolwiek związek z całą spiskową robotą ówczesnej doby, może nawet uchwycić wątek odrębnego, między młodzieżą za sprawą emisaryuszy emigracyjnych rozgałęzionego sprzysiężenia. Zmierzał w tym celu do wydobycia z Szajnochy wskazówek sięgających poza ramy samego faktu inkryminowanego i dlatego przesłuchując w ciągu tych sześciu miesięcy wszystkich akademików, którzy bądź to jako świadkowie, bądź jako zagrożeni oskarżeniem do protokołu wzywani byli, za każdem stawieniem się Szajnochy tak go indagował, jak gdyby z poprzedniego przesłuchania innych osób wyszły

na jaw szczegóły, podające w wątpliwość jego pierwotne zeznania. W ten sposób manewrował Wittmann szczególnie zeznaniami uwięzionego również Eustachego Rylskiego, który w pierwszej chwili, przejęty grozą położenia, okazał się wobec sędziego śledczego, umiejącego w każdej chwili wyzyskać nastrój przesłuchiwanego inkwizyta, skruszonym do głębi i stąd skłonnym do zeznań. Rylski tą skruchą na wstępie okazaną pomógł sobie do późniejszego uwolnienia, a Szajnosze nie zaszkodził wiele tem, że przyznał się do ulegania jego wpływom i do wsłuchiwania się w jego wynurzenia demokratyczne. Szajnocha bowiem nie ukrywał się przed Wittmannem z zapatrywaniami swojemi.

Przy pierwszem zaraz przesłuchaniu Szajnocha przyznał się, że znalezione u Rylskiego dwa wiersze są jego ręką pisane i że je sam Rylskiemu wręczył. W śledczej podejrzliwości swojej Wittmann usiłował sprawę wierszy inkryminowanych wprowadzić w związek z dawną sprawą towarzystwa starożytności, a tem samem rozszerzyć znacznie koło obwinionych. Szajnocha zaprzeczył temu domysłowi z całą stanowczością, chociaż Wittmann nalegał bardzo, przedstawiając inkwizytowi, że przemawia za tem wszelkie prawdopodobieństwo i że przyznając istnienie takiego związku, może za prawdomowność ulgi doznać w swojem położeniu.

Bedel uniwersytetu zeznał, że widział, jak w dniu znalezienia wierszy w uniwersytecie, dwaj nieznajomi o świcie szybkim krokiem oddalali się od bramy uniwersyteckiej ku bocznej ulicy. Wittmannowi zależało na tem, aby Szajnocha, który nie zapierał się bynajmniej rozrzucania wierszy w obrębie uniwersytetu, przyznał się także do nalepienia kartki z wierszem na bramie uniwersytetu. Wmawiał więc w niego, że on i Rylski byli owymi nieznajomymi, których bedel uniwersytecki spostrzegł. Chodziło widocznie o podniesienie stopnia karygodności czynu, której główne kryteryum polegało nie na samem autorstwie podburzającego wiersza, lecz na jego rozpowszechnieniu. Nalegał tedy Wittmann na Szajnochę w taki sposób, że możnaby tę scenę porównać z dawnem postępowaniem kryminalnem, kiedy najpierw widokiem tortury, a potem samą torturą zmuszano inkwizyta do przyznania się, chociażby to przyznanie miało być nieprawdą. Oto pytanie inkwizytora i odpowiedź inkwizyta:

Wittmann: Upomina się pana, abyś zaniechał kłamliwego twierdzenia i wyznał prawdę, a to tem pewniej, ile że wobec kłamli-

wego zeznania musianoby pana poddać chłoście, kiedy tymczasem przez wyznanie prawdy możesz dać sądowi dowód skruchy i w następstwie oczekiwać łagodniejszego losu.

Szajnocha: Mimo to wszystko pozostaję przy mojem twierdzeniu, że oprócz mnie nikt inny nie przyczynił się do rozpowszechnienia wierszy.

Czy zapowiedź chłosty nie mogła ambitnego akademika przejąć większą grozą, aniżeli widok dawnej tortury prostego zbrodniarza? Z taką stanowczością wytrwał Szajnocha do końca indagacyi, że Wittmann nie posunął się do zapowiedzianej niegodziwości. A jednak mógł Szajnocha wymienieniem nazwisk pozyskać dla siebie względy Wittmanna. Sam o tem napomknął, ale tylko napomknął w autobiograficznych zapiskach, jak gdyby taki hart moralny był rzeczą zwyczajną.

Dalsze przesłuchania Szajnochy nie miały już właściwie celu, jeśliby było chodziło tylko o sam czyn inkryminowany. Ale Wittmannowi chodziło o to, aby w ponawianych z różnemi zmianami pytaniach wplątało się jak najwięcej ofiar. Takie wrażenie sprawia szczególnie protokół z 6 lutego, który tutaj w części przytoczymy jako próbkę inkwizytorskiej zdolności Wittmanna i otwartej stanowczości Szajnochy.

Wittmann: Jaki zamiar miałeś pan przy układaniu i rozpowszechnieniu paszkwilu: »Święćmy dzień ten przyjaciele«?

Szajnocha: Chciałem zwrócić uwagę moich kolegów i wogóle akademików na rocznicę 29 listopada, a przeto pobudzić ich przeciw rządowi.

Wittmann: Co panu dało powód do tak nieprzyjaznego usposobienia wobec rządu i jakie cele miałeś pan przy wzbudzeniu w młodzieży akademickiej niechęci do rządu?

Szajnocha: Pobudkę do niechęci, która odnosiła się nietylko do tutejszego, lecz w ogóle do wszelkiego rządu monarchicznego, dała mi lektura. Czytałem różne dzieła rewolucyjne i wchłonąłem z nich zasady w ułożonych przezemnie wierszach. Te zasady starałem się także w innych wszczepić i dlatego rozpowszechniałem wiersze. O innym celu, mianowicie o jawnem powstaniu przeciw rządowi nie myślałem. A muszę tutaj dodać, że z nikim nie pozostawałem w takich stosunkach, żebym stąd mógł sobie te zasady przyswoić.

Gdy Szajnocha szczegółowo wymienił czytane książki rewolu-

cyjne, Wittmann zapytał, skąd je wziął, podsuwając niejako w pytaniu odpowiedź, że pożyczył je w zakładzie Ossolińskich lub kupił w księgarni Wilda. Inkwizyt był na najlepszej drodze do skompromitowania instytucyi publicznej i popularnej a zasłużonej księgarni, ale Szajnocha przypominając poprzednie zeznania, że książki te dał mu zmarły kolega Settmayer przed śmiercią, odpowiedział stanowczo, że »ani z zakładu Ossolińskich, ani z którejkolwiek księgarni lwowskiej nie otrzymał, ani nie pożyczał książek zakazanych«.

Wittmann: Ależ Rylskiemu powiedziałeś Pan, że najlepiej można takie książki kupować w księgarni Wilda?

Szajnocha: Tak wprawdzie mówiono, ja jednakże dzieł zakazanych ani u Wilda nie kupowałem, ani tam nigdy nie widziałem.

Po próbach wydobycia zeznań, inne osoby lub zakłady kompromitujących, następowały kolejno próby wydobycia zeznań, na których potem możnaby oprzeć ostrzejszą kwalifikacyę kryminalną, obwinienie o spisek. Pozory spiskowych znaków miały mianowicie rozrzucone w uniwersytecie kartki z charakterystycznemi uwagami o wielu akademikach i innych osobach. Jak do wierszy inkryminowanych, tak i do tych kartek przyznał się Szajnocha bez wahania, a na pytanie Wittmanna, w jakim celu to czynił, odpowiedział:

»Chodziło mi o to, aby akademicy poznali patryotyczny charakter każdego i aby ci, którzy podzielali moje zasady, usunęli się od innych niepatryotycznych. W ten sposób chciałem zgodnych ze mną ostrzedz, ażeby nie wchodzili w rozmowę o zasady z tymi, którzyby ich potem skompromitować mogli«.

Wittmann: Ze względu na pański wiek młody nasuwa się przypuszczenie, że niechęć do rządu nie mogła się jeszcze w panu głęboko zakorzenić, że zatem zostałeś pan przez kogo innego nakłoniony do napisania i rozpowszechnienia inkryminowanych wierszy. Upomina się pana, abyś w tej mierze prawdę zeznał.

Szajnocha: Jak już zeznałem, pobudkę do napisania tych wierszy zaczerpnąłem z książek rewolucyjnych. Że to źle się stało, to dziś widzę, niestety, zapóźno. Nikt jednakże nie nakłaniał mnie do tego kroku.

Wittmann: W ostatnich czasach pojawili się w Galicyi emisaryusze z Francyi usiłujący utworzyć w kraju związki rewolucyjne. Czy nie miałeś pan stosunków z jednym z takich emisaryuszy i czy nie nakłonił on pana do tego czynu?

Szajnocha: Nie miałem żadnych stosunków z emisaryuszami, nie znałem wogóle żadnego emisaryusza, więc żaden emisaryusz nie nakłonił mnie do rozpowszechniania wierszy.

Wittmann: W rozpowszechnionym wierszu są wyrazy: »nasze cele«. Zdaje się więc, że należałeś pan do towarzystwa rewolucyjnego, gdyż słowa te wskazują na zamiar powzięty przez większą liczbę osób. Zdaje się, że w ten sposób chciałeś pan pobudzić uczącą się młodzież do kroku nierozważnego a spokój wewnętrzny zakłócającego?

Pytanie to poparł Wittmann wydobytem od Rylskiego zeznaniem, że Szajnocha w pogadankach zapowiadał blizkie demokratyczne przekształcenie się obecnego ustroju społecznego, gdyż w miarę, jak oświata szerzy się w niższych warstwach, przywileje będą obalone. Wysunął tedy Wittmann słowa Rylskiego w ten sposób, żeby Szajnochę zastraszyć, a w każdym razie zmieszać obawą, że Rylski jeszcze więcej zeznał i obciążył kolegę swojego.

Szajnocha odpowiedział na pytanie spokojnie: »Rozpowszechniając wiersze, nie zamierzałem pobudzić kolegów do kroku, zakłócającego spokój wewnętrzny, gdyż dobrze wiedziałem, jak smutne stąd wynikłyby następstwa. Nie należałem do żadnego związku z celami rewolucyjnymi, a słowa: »nasze cele« w wierszu moim wypływają z lektury książek, w których zawarte było wezwanie do niechęci wobec rządów. Zdanie wobec Rylskiego wypowiedziane nie jest bynajmniej wynikiem należenia do tajnego związku, lecz odgłosem idei, które z czytanych książek poznałem«.

Teraz dopiero, gdy już rzucone zostało podejrzenie, że Rylski za wiele zeznał i kolegę swojego obciążył, rzucił Wittmann pytanie, czy Rylski brał udział w rozpowszechnianiu inkryminowanego wiersza.

Szajnocha: Jak poprzednio zeznałem, tak i obecnie oświadczam, że o moim zamiarze rozpowszechnienia wiersza Rylskiemu nic nie powiedziałem i że wiersz ten dałem mu dopiero wtedy, gdy już rozpowszechnienie nastąpiło.

Skończywszy przesłuchanie, powstał Wittmann i wydobył z ukrycia sztylet, a okazując go Szajnosze, zapytał, czy mu ta broń jest znana? Oczekiwał Wittmann wrażenia, przygniatającego inkwizyta, a ten tymczasem oglądnąwszy sztylet, oświadczył najspokojniej, że nigdy go w ręku nie miał.

W przykrej, przygniatającej lekturze aktów procesowych Karola Szajnochy, ten epizod z sztyletem stanowi przerwę zabawną. Pokazało się bowiem z dalszych dochodzeń i badań, że ojciec Karola Szajnochy, Wacław, będąc podczas procesu we Lwowie, szukał po sklepach noża myśliwskiego i kupiwszy u nożownika ów wrzekomy sztylet, w chwili odjazdu z hotelu zapomniał go wziąć z sobą. Właściciel hotelu znalazł po odjeździe Wacława Szajnochy ów fatalny nóż myśliwski, a przestraszony rozgłosem procesu syna, dopatrzył się w niewinnym nożu strasznej broni spiskowej, pobiegł do policyi, zaalarmował ją i Wittmanna, w którego wyobraźni sprawa urosła do wielkich rozmiarów kryminalnych. Rzecz cała została tak dokładnie zbadana i wyjaśniona, że nawet podejrzliwość Wittmanna musiała zamilknąć.

Po ukończeniu przesłuchiwań i zamknięciu śledztwa, dano Karolowi Szajnosze, według przepisu owoczesnej procedury kryminalnej, trzy dni do namysłu, co miało znaczyć, że w tym czasie sam, bez doradcy prawnego, miał się przygotować do przytoczenia wszystkich okoliczności na swoją obronę. W procesie inkwizycyjnym była to ostatnia próba skruszenia inkwizyta i pobudzenia go do nowych zeznań, ewentualnie do rewelacyi, była to wtedy — zwłaszcza w procesach politycznych — niejako faza legalnej tortury w moralnem tego słowa znaczeniu. Inkwizyt bowiem w przededniu wydania wyroku, w braku otwartego i formalnego aktu oskarżenia nie wiedział, jaką kryminalną kwalifikacyę nadano jego czynowi i jak zestawiono zebrany przeciw niemu materyał śledczy. Nie znał nawet tego materyału w całości, lecz tylko o tyle, o ile służył on za wątek pytań śledczych. O poradzie, o pomocy i obronie prawnej, chociażby takiej, narzuconej z urzędu, jaką dzisiejsze prawo karne w Austryi najnikczemniejszemu zbrodniarzowi zapewnia — nie było mowy. Krótko mówiąc, owa trzydniowa pauza zakrawała raczej na pułapkę, zastawioną na inkwizyta. Stając bowiem po pauzie, oplątany i omotany siecią poszlak, podejrzeń i uprzedzeń wobec sędziego śledczego, już w ciągu dochodzeń zdeterminowanego co do winy i stopnia karygodności, inkwizyt dodatkiem do spisanych protokołów częściej mógł pogorszyć, niż poprawić swoją sytuacyę.

Dla Karola Szajnochy szczególnie ciężką musiała być ta trzydniowa pauza. Z całego sposobu prowadzenia śledztwa widział to dobrze, że czyn jego jest surowo traktowany i że nie może liczyć na

wyrozumiałość sędziego śledczego. O doniosłości nagromadzonego przeciw niemu materyału śledczego mógł co najgorszego przypuszczać, zwłaszcza po ostatnich przesłuchaniach, w których sędzia śledczy, powołując się na zeznania jego kolegów, dopytywał się o szczegóły wrzekomej akcyi spiskowej. Nawet ów epizod z sztyletem mógł tylko powiększyć obawy, bo sędzia śledczy nie uwiadomił go o wyświeceniu tej sprawy.

A do tego w stosunkach rodzinnych Karola Szajnochy zaszły zmiany, które położenie jego czyniły już wprost tragicznem. Wiadomość dobra była wtedy przed więźniami politycznymi dobrze ukrywana, wiadomości złej pozwalano natomiast przeciskać się przez grube mury więzienia. Szajnocha, który po wyjściu z więzienia zastał już matkę wdową, obarczoną trojgiem młodszego odeń a niezaopatrzonego rodzeństwa, w więzieniu śledczem dowiedział się o utracie posady przez ojca i wynikłej stąd ruinie materyalnej. Był to dla niego cios okropny. W całem późniejszem życiu Karola Szajnochy tkliwe przywiązanie do dalszej nawet rodziny stanowiło wybitny, w oczy bijący rys jego charakteru. Miłość synowska i braterska łączyła się w młodzieńczem sercu więźnia z bezgraniczną gotowością do ofiar dla swoich. Posada urzędowa, los zapewniająca, nie miała pewnie uroku dla młodzieńca, już siłą wielkiego talentu popychanego na drogę tak ciężkiej wówczas naukowej i literackiej karyery, a do tego zapewne i wzdrygającego się na myśl służenia w jakiejkolwiek, chociażby najniewinniejszej roli, ówczesnemu prześladowczemu systemowi rządowemu. A jednak Szajnocha myślał tylko o tem, żeby jak najprędzej po ukończeniu studyów mógł się stać podporą rodziny. W więzieniu śledczem, zwłaszcza podczas fatalnej pauzy końcowej, musiał się już rozstać z tą nadzieją, bo, przewidując surową kryminalną kwalifikacyę czynu, wiedział, że ta droga do zdobycia chleba dla siebie i dla rodziny, zostanie dlań niezawodnie i na zawsze zamknięta.

Toteż gdy po upływie trzydniowej pauzy, dnia 11 czerwca 1836 r., Karol Szajnocha stanął przed sędzią śledczym, Wittmannem, na pytanie jego, co ma jeszcze przytoczyć na swoje usprawiedliwienie i na obronę, nie mógł już zapanować nad sobą, wybuchnął długo tłumionym, rzewnym płaczem i mówiąc o tych zniszczonych planach swoich, wniósł prośbę, aby rząd, uwzględniając okoliczność, że młodzieńcza krewkość popchnęła go do czynu,

za który dostał się do więzienia, pozwolił mu, po przebyciu nałożonej kary, ukończyć studya i tem umożliwić przyjście w pomoc biednej rodzinie.

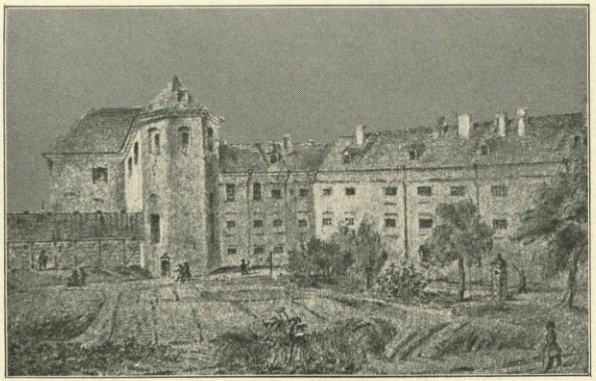
»Na tem — tak zapisał, może w tej bodaj chwili wzruszony Wittmann, całą tę scenę w protokole — skończono przesłuchanie z tą uwagą, że inkwizyt głośnem łkaniem okazał skruchę, że dalej przy dawaniu odpowiedzi objawił bystre pojmowanie stawianych mu pytań, a tem samem wykazał zdolności swoje, które także w świadectwach szkolnych uznano znakomitemi, że wreszcie podczas śledztwa zachowywał się w więzieniu śledczem tak spokojnie i przyzwoicie, iż nigdy na niego skarga nie wpłynęła. Wreszcie posiada Karol Szajnocha zdrowy organizm«.

Ostatnia uwaga, w połączeniu z dalszą, w końcowym referacie wypowiedzianą, że »oskarżony jest według poświadczenia lekarskiego zdolny do chłosty rózgami«, wygląda jakby żałosne spojrzenie tygrysa na wymykającą mu się ofiarę!

* * *

Rozstrzygający wywód Wittmanna, obejmujący 37 arkuszy bitego pisma, kończy się wnioskiem kondemnaty co do samego tylko Szajnochy. Co do Rylskiego, wniósł Wittmann uwolnienie go dla braku dostatecznych dowodów, a co do reszty akademików (między nimi Henryka Sucheckiego i Żegoty Paulego) zaniechanie dalszego kryminalnego dochodzenia. Ten ostatni wniosek nie był aktem łagodności Wittmanna. Byłby on pewnie wszystkich objął wnioskiem kondemnaty, ale w r. 1834 wyszło cesarskie postanowienie, aby w przestępstwach politycznych na razie ograniczono się do »przewodźców i uczestników szczególnie skompromitowanych«.

Według ówczesnego prawa karnego austryackiego, za zbrodnię, zarzuconą Karolowi Szajnosze (zaburzenie pokoju wewnętrznego), nałożona była kara ciężkiego więzienia od jednego roku do pięciu lat. Wittmann nie mógł nie przyznać, że za Szajnochą przemawiają okoliczności łagodzące, jak młodzieńczy wiek, nienaganne zachowanie się, celujący postęp w szkołach i t. p., ale za to zakwalifikował jego wiersze, jako tchnące duchem karbonaryzmu i »zaprawione wściekłym jadem jakobinizmu«, a zawierające wyrazy »krwiożerczej« tendencyi.



WIĘZIENIE KARMELICKIE WE LWOWIE.

Wniósł tedy Wittmann karę dwuletniego ciężkiego więzienia, jako »dostateczną, tem więcej, że Szajnocha już pięć miesięcy przesiedział w więzieniu śledczem«.

Dnia 13 czerwca 1836 r. weszła sprawa Karola Szajnochy na posiedzenie gremialne lwowskiego sądu kryminalnego. Przewodniczył prezydent Pressen, referował Wittmann, wotowali radcy: Kulicki, Kuryłowicz, Woytowicz, Sembratowicz, Czaderski, Tinz i Dąbczański. Wittmann został o tyle przegłosowany, że sąd wymierzył karę jednorocznego więzienia ciężkiego.

O wyroku Szajnocha nie zaraz się dowiedział, gdyż według ówczesnej procedury kryminalnej, uzupełnionej co do przestępstw politycznych osobnymi dodatkami, sprawa z urzędu musiała w drodze rewizyi przejść wyższe instancye. Siedział tedy Szajnocha jeszcze dalej w więzieniu śledczem, aż do stycznia 1837 r. W najwyższym trybunale wyrokiem z 21 stycznia 1837 r. zniżono karę na sześć miesięcy ciężkiego więzienia, licząc dopiero od 27 grudnia 1836 r. Aby więc doczekać się zniżenia kary o sześć miesięcy, musiał Szajnocha przebywać o sześć miesięcy dłużej w więzieniu śledczem, które sam w autobiograficznych zapiskach swoich nazwał daleko dotkliwszem, niż późniejsze więzienie w domu kary. A właśnie w ciągu tych ostatnich sześciu miesięcy więzienia śledczego, srogi dozorca, Streitt, dał mu uczuć całą niedolę; jako już osądzonego, czujnie śledził na każdym kroku, w każdym ruchu i o wszystkiem donosił. W celi Szajnochy był wydrążony już dawniej w murze, zlekka zaklejony i dlatego niepostrzeżony dotąd otwór, przez który można było porozumiewać się z celą sąsiednią. Streitt, spostrzegłszy, że Szajnocha korzysta z tego otworu, a znalazłszy nadto w jego celi gęsie pióro i deszczułkę z figurami szachowemi, z chleba ulepionemi, wniósł do Wittmanna denuncyacyę. Zabrano pióro i szachy, zalepiono otwór i zagrożono Szajnosze karą dyscyplinarną. W kilkanaście dni później, Streitt, zdając Wittmannowi raport o wykonaniu zadekretowanej przezeń kary chłosty na dwóch innych więźniach, w których celi znaleziono przedmioty przemycone, dołączył do raportu gwóźdź, w celi Szajnochy znaleziony, dodając, że gwóźdź ten musiał być używany do pisania. Wittmann zadekretował Szajnosze post jednorazowy, jako karę dyscyplinarną, z dodatkiem, że »za drugim razem za podobne postępowanie będzie chłostą ukarany«. Ze szponów Wittmanna i Streitta wydo-

był się Szajnocha dopiero w styczniu 1837 r., gdy po ogłoszeniu wyroku odwieziono go do domu kary.

Gdy po upływie dalszych sześciu miesięcy Szajnocha opuszczał mury więzienne już jako wolny, wręczono mu 39 złr. 34 kr., »jako kwotę, złożoną dla niego podczas śledztwa na lepsze żywienie, a na ten cel nieużytą«. Więc Szajnochę karmiono wstrętnym wiktem więziennym, o którym odrażające szczegóły przytoczył w swoich zapiskach autobiograficznych, a w kancelaryi trzymano w depozycie pieniądze, które biedna matka, od ust sobie odejmując, na lepsze pożywienie dla syna wysyłała.

* * *

Proces kryminalny Karola Szajnochy zasługiwałby na omówienie, jako wypadek charakteryzujący tę smutną dobę, nawet w takim razie, gdyby jego bohater nie był urósł na wielkiego pisarza, na chlubę naszej historyografii. Zważmy tylko szczegóły wybitniejsze tej sprawy. W więzieniu dwuletniem trzymano początkowo nawet w kajdanach chłopaka, który zdolnościami i celującym postępem w naukach nad rówieśnikami górował, wzorowem moralnem zachowaniem się zdobył sobie sympatyę nauczycieli, a współuczniów formalnie podbił wiedzą i podniosłemi aspiracyami — za czyn, posiadający, co prawda, znamiona ciężkiej zbrodni, według paragrafowo-kryminalnej kwalifikacyi, ale w ludzkiem pojmowaniu rzeczy stanowiący właściwie tylko wybryk młodzieńczej porywczości, godny kary, nawet kary surowej, lecz — dyscyplinarnej, nie zamykającej drogi do dalszego kształcenia szkolnego. W tem więzieniu dręczono ofiarę fizycznie i moralnie, a w końcu puszczono ją z nabytym w wilgotnej norze zarodem nieuleczalnej choroby, poddano ją potem pod ścisły dozór policyjny i zatarasowano jej drogę do jakiegokolwiek zawodu, chleb zabezpieczającego. Dlaczegoż tak wyjątkowo srogi wymiar kary spadł na Karola Szajnochę, dlaczego Wittmann nazwał go »szczególnie niebezpiecznym« i ta charakterystyka krótka przeważyła wszystkie okoliczności łagodzące, których przemilczeć sam surowy sędzia nie śmiał?

Na to pytanie odpowiedź najlepszą stanowi szczegół, znany w rodzinie Karola Szajnochy z opowiadań osób, które o tem wprost od jego matki słyszały. Kiedy ta nieszczęśliwa kobieta, pragnąc wybłagać

ulgę dla więzionego syna, dotarła wreszcie do wszechwładnego wówczas prezydenta gubernialnego, bar. Kriega, usłyszała z ust jego brutalne słowa: *Solche Köpfe muss man drücken!* (Takie głowy trzeba zgniatać!).

Toteż zgniatano w tych smutnych czasach młode głowy, w których badawczy wzrok policyi widział blask geniuszu, a chociażby tylko iskrę wyższego talentu, rwącego się do idealnych celów i porywającego za sobą młode otoczenie. Ileż takich głów padło ofiarą systemu, który spokojność publiczną identyfikował z cmentarną ciszą i jako jej zaburzenie kryminalnie piętnował już każdy śmielszy poryw ku ideałom i wiedzy! Ocalały w tej najsmutniejszej dobie historyi Galicyi XIX wieku tylko głowy, których nadzwyczajnej zawartości duchowej strzegły, jak w Karolu Szajnosze, heroiczny hart moralny i ofiarna abnegacya dla idealnych celów.

Mówiliśmy o systemie, bo faktycznie był system w tem »ugniataniu głów« niezwykłych. Bar. Krieg nie z własnej inicyatywy ujął ten system w powyższą, tak krótką a wyrazistą formułkę. Inicyatywa wychodziła ze szczytu państwowego. Mamy na to dowód autentyczny, pochodzący od inteligentnego biurokraty, któremu cudem tylko wtedy powiodło się z niezgniecioną w młodości głową dostąpić wysokiej rangi w morawskiem sądownictwie. Dr. Ignacy Beidtel, radca sądu apelacyjnego w Bernie, przytoczył w swoich autobiograficznych zapiskach, na których osnuty został wstęp do jego znakomitego dzieła, następujące zdanie, wypowiedziane w r. 1836 do prezydenta Bubny przez cesarza Franciszka: »Tak zwani geniusze i uczeni są do niczego. Zawsze tylko chcą wszystko lepiej znać i zatrzymują sprawy, albo się one im niepodobają. Najlepszy jest zdrowy rozum ludzki i wytrwałość w siedzeniu« *(Sitzfleisch!)* [1]). Wprawdzie zdanie to było wypowiedziane pod adresem biurokracyi, ale biurokracya uchodziła w tych czasach za kwiat inteligencyi, a głównem zadaniem szkolnictwa od dołu aż do szczytu uniwersyteckiego, było zasilanie biurokracyi — należycie ugniecionemi głowami i *Sitzfleisch*'em! Karol Szajnocha posiadał jeden przymiot, kwalifikujący na tęgiego biurokratę, nawet na hofrata, posiadał fenomenalny *Sitzfleisch*, jak tego dowiódł w później-

[1]) Obacz przedmowę do dzieła Ignacego Beidtla: »Geschichte der oesterreichischen Staatsverwaltung« (t. I, str. XXIX, w przypisku).

szej działalności naukowej. Cóż z tego, kiedy głowa genialna nie dała się ugnieść na hofratowską miazgę!

Wielkość Karola Szajnochy, jako pisarza i człowieka, sprawiedliwie zmierzona być może tylko na tle ówczesnych stosunków, których rysy znamienne dobitnie występują w przypomnianym tutaj procesie.

VI.

Z czasów i aktów dominikalnych.

(Przyczynek do historyi administracyi w Galicyi).

Na historyczną miarę czasy ustroju patrymonialnego nie są tak bardzo odległe od dzisiejszych. Rok 1848 stanowi prawny kres tego ustroju, ale przy faktycznem dokonaniu reformy państwo z urządzeniami swojemi prawnemi w ogóle a administracyjnemi w szczególności było wtedy tak nieprzygotowane na zupełny przewrót w stosunkach, że musiało jeszcze cały szereg lat posługiwać się urzędami dominikalnymi, biorąc je niejako w arendę, t. j. zwracając dominiom koszta, połączone z utrzymaniem lokalności urzędowych, personalu kancelaryjnego i t. p. W Galicyi dopiero w r. 1856 znikły zupełnie urzędy dominikalne z wejściem w życie urzędów powiatowych jako pierwszych instancyi, znikli mandataryusze, typowi reprezentanci czasów dominikalnych z ich urządzeniami i tradycyami. Właściwie tedy pół wieku dzieli nas od czasów dominikalnych. Mogły więc one zachować się jeszcze w młodzieńczych wspomnieniach ludzi dziś stojących u kresu, ale jeszcze żyjących. Toteż mogą czasem przypomnieć się w refleksyi starczej dogasającego pokolenia, już zobojętniałego na całą doniosłość przeżytej reformy, tak samo, jak na tyle innych przewrotów, które dokonały się za jego życia, tak na wielkiej widowni światowej, jak i w zakresie stosunków codziennego życia. Ci ostatni mohikani dawnego ustroju państwowego i społecznego Austryi oswoili się z jej dzisiejszym ustrojem i aparatem administracyjnym tak samo,

jak oswoili się z kilkugodzinną jazdą wygodną w restauracyjnym wagonie błyskawicznego pociągu na tej samej przestrzeni, którą w chłopięcym wieku odbywali może kołową drogą kilka dni w ociężałych wehikułach, z niewygodnymi noclegami i z rozmaitemi dziś nieznanemi utrudnieniami.

Ale dla pokolenia, wzrastającego w dzisiejszych stosunkach nowożytnej administracyi, przedział między pierwszą połową a schyłkiem XIX i początkiem XX wieku wydawać się musi olbrzymim. Wszakżeż było to pod pewnym względem przejście z resztek średniowiecznych urządzeń w nowoczesne, przejście w innych krajach Austryi daleko więcej utorowane, niż w Galicyi, gdzie w r. 1848 ze względów politycznych za jednym zamachem przecinano to, co gdzieindziej starano się jako tako rozwikłać.

Jak dawne budy żydowskie, — że wrócimy tutaj do analogii lokomocyjnej — utrzymujące w kraju naszym regularną komunikacyę pasażerską tam, gdzie nie kursowały szybkowozy pocztowe, dzisiejszemu pokoleniu, podróżującemu błyskawicznymi pociągami, znane są chyba ze starych powieści i opisów, tak samo dawny urząd dominikalny i jego typowy przedstawiciel, mandataryusz, przypomni się dziś chyba z karykaturalnych po większej części figur powieściowych i scenicznych. Mieszanina ekonomskiej brutalności i szorstkiej urzędowej samowoli, służalczej pokory wobec dziedzica jako chlebodawcy i cyrkułu z ordynarną butą wobec podwładnych i podległych, wilczej a świadomej bezprawia zachłanności na daremszczyzny wszelkiego rodzaju z wyrafinowaną umiejętnością upozorowania wszystkiego jakim tytułem prawnym, wydobytym z ówczesnego chaosu przepisów administracyjnych, — oto główne rysy takiego typu mandataryusza, jaki u nas przechował się w powieści i na scenie. Tak się ten typ ustalił w tradycyi, że dziś służy za straszydło. Kiedy tylko bowiem dziś pojawi się jaki projekt reformy gminnej z wysuniętym na pierwszy plan pomysłem utworzenia silnego zbiorowego organu wykonawczego, zaraz opozycyjna krytyka występuje z alarmem, że chodzi o wskrzeszenie mandataryatu, a alarm ten wystarcza do zdyskredytowania całego projektu nawet w oczach ludzi, którzy uznają potrzebę takiej reformy, ale poza karykaturą powieściowego mandataryusza nie mają zresztą dobrego wyobrażenia o funkcyach, które mu z prawa służyły.

Że taki właśnie niepoczesny typ mandataryusza przypadał do

upodobania komedyo- i powieściopisarzom, to łatwo zrozumieć i usprawiedliwić, ale że tak się on utrwalił także i w tradycyach w ogóle, jak gdyby mandataryusz takiego pokroju stanowił regułę, a człowiek porządny był w tej klasie tylko wyjątkiem, to już chyba położyć trzeba na karb tak częstego w ludzkich sądach a niesprawiedliwego uogólniania rzeczy z rysów więcej w oko wpadających. A przecież w otwartych dziś dla historyków archiwach kryminalnych z naszej doby spiskowej tak często spotkać się można z postaciami odmiennego charakteru, z mandataryuszami ludzkimi i między ludem popularnymi, a do tego przejętymi patryotyzmem, największą ofiarnością dla sprawy narodowej i gorącą chęcią służenia jej na polu pracy obywatelskiej. Było wtedy wielu mandataryuszy, którzy nietylko utratą chleba, lecz także długiem a ciężkiem więzieniem zapisali się w rocznikach polskiej martyrologii. Rok 1848 na barykadach lwowskich i w komitetach dla popierania rewolucyi węgierskiej powiększył znacznie szereg ofiarnych mandataryuszy z poprzedniej doby spiskowej. Toteż gdy po r. 1848 w organizacyi nowych władz administracyjnych obsadzano niższe posady kandydatami z personalu dominikalnego, kryminalna i policyjna registratura, zapytywana o konduitę polityczną kandydatów tej kategoryi, usuwała wielu z nich, nawet wybornie w praktyce ukwalifikowanych, od kompetencyi ową fatalną w tych czasach notą: *politisch verdächtig* lub *bedenklich!*

Zarzut chciwości i przystępności, zgeneralizowany co do mandataryuszy w ten sposób, jak gdyby instytucya dominikalna stanowiła po prostu istną kulturę łapownictwa, jakiej niema już i nie będzie nigdy, znacznie stracić musi na swej bezwzględności już w takim razie, jeżeli się zważy, że w urzędowaniu mandataryuszy zbiegały się funkcye różnorodne, spełniane dziś przez szereg osobnych organów, w których zakres wchodzą sprawy policyjne, podatkowe, rekrutacyjne i t. p. Zbiegały się zatem w jednym urzędzie dominikalnym pokusy i słabości, rozdzielone dziś na całe legiony urzędników i funkcyonaryuszy rozmaitego autoramentu. A zresztą wtedy przyświecał przykład urzędników cyrkularnych. W tych czasach zaś podarunki i daremszczyzny stanowiły poniekąd tolerowaną z góry melioracyę nędznych płac i emolumentów urzędniczych. Niezbitych dowodów na to dostarcza historya administracyi austryackiej I. Beidtla, który sam w tych czasach przebywał długą karyerę urzędniczą, mógł wiele sły-

szeć i obserwować, a przytaczając fakta na poparcie twierdzeń swoich, pewnie nie miał na celu zdyskredytowania państwa i jego rządu.

To samo powiedzieć można o samowoli, której inkarnacyą miał być urząd dominikalny w ogóle, a mandataryusz przedewszystkiem. Dziś w Austryi, która się mieni państwem praworządnem, więc w państwie z ścisłem rozgraniczeniem praw i obowiązków władzy i obywateli, z trybunałami w zakresie prawa publicznego, postawionymi na straży tego rozgraniczenia w administracyi, organom jej z natury rzeczy otwarty jest taki szeroki zakres swobody w decyzyach, że skargi na ich arbitralność są zjawiskiem codziennem. Cóż dopiero mówić o czasach systemu policyjnego, kiedy arbitralność wprost usankcyonowana była normami józefińskiemi o zakresie działania cyrkułów i komisarzy cyrkularnych, a obca krajowi biurokracya w poczuciu swojej nieograniczonej władzy nie była mitygowana tem obywatelskiem poczuciem obowiązków wobec społeczeństwa, jakie dziś ożywia organa państwowe. Samowolę józefińskiej biurokracyi cyrkularnej napiętnował dosadnie gubernator galicyjski hr. Brigido w swojej relacyi z 12 lutego 1791 [1]), przytaczając ją jako jeden z głównych powodów ówczesnego niezadowolenia i wrzenia w kraju. A w pierwszej połowie XIX stulecia duch józefiński jeszcze zupełnie przenikał urzędy i biurokratów austryackich w Galicyi.

Zaznaczamy to tylko w formie dygresyi dla uspokojenia skrupułu sprawiedliwości, bo nie piszemy historyi mandataryatu i nie chodzi nam o jego rehabilitacyę. Celem niniejszych zapisków jest tylko wydobycie z niewyzyskanego dotąd materyału rękopiśmiennego szczegółów i wskazówek, rzucających światło na stosunki administracyjne Galicyi w czasach dominikalnych, mianowicie na współdziałanie mandataryatu jako ogniwa w ówczesnym ustroju administracyjnym.

Gdyby się gdzie jakim cudem zachowało było archiwum jednego z urzędów dominikalnych, stanowiłoby ono dziś nieoceniony materyał do historyi administracyi kraju naszego, do jego historyi polityczno-społecznej w ogóle. Ale na akta kancelaryi dominikalnych po r. 1848 rząd położył rękę swoją, gdyż wtedy po zniesieniu pańszczyzny dominia pozostawione zostały w swoich funkcyach organów administracyjnych pierwszej instancyi, ze skarbu państwa opłacanych,

---

[1]) Oryginał tej relacyi znajduje się w rękopisie Zakładu Ossolińskich nr. 525. (Ob. t. II, str. 689).

albo raczej kompensowanych dziedzicom dalej ciężar utrzymania ponoszącym. W r. 1855 akta dominikalne weszły w registratury nowych pierwszych instancyi, urzędów powiatowych i z czasem uledz musiały losowi wszystkich aktów tego rodzaju, t. j. szkartowaniu, co się najczęściej równało zagładzie. Ocalały z tych czasów i przechowywane są dotąd w publicznych i prywatnych zbiorach tylko fragmenty, mianowicie księgi cyrkularnych cyrkularzy z różnych lat. Są to okólnikowe rozporządzenia, wydawane przez urzędy cyrkularne, a przepisywane w kancelaryach dominikalnych po części dosłownie, po części tylko w streszczeniu. Wtedy bowiem drukiem i litografią posługiwała się manipulacya urzędowa tylko w wyjątkowych wypadkach. Najczęściej jeden egzemplarz cyrkularza, doręczony pocztą lub przez *Kreis-dragonów*, których po kilku miał każdy cyrkuł do posyłek, jednemu dominium, obiegał po kolei dalsze, przekazywany w sąsiedzkim porządku za potwierdzeniem na akcie. W takich razach cyrkularz pilny zawierał dodatkowe polecenie, że ma być po przepisaniu wysyłany z miejsca na miejsce »dniem i nocą« pod karą pieniężną, która nieraz była dość wysoka i spadała zaraz na dominia wykazane na akcie ze spóźnieniem.

Oczywiście nie można takich cyrkularzy nawet porównywać co do znaczenia z okólnikami, które dziś wychodzą ze starostw do zwierzchności gminnych i przełożeństw obszarów dworskich. Dzisiejsze okólniki bowiem zawsze trzymane są w ramach informacyjnej lub wykonawczej dyspozycyi. W czasach zaś, o których tutaj mowa, granica między rozporządzeniami z charakterem dzisiejszych ustaw a zarządzeniami poszczególnych organów kierujących była jeszcze zamglona, a cyrkularz wydany przez pana *Kreishauptmanna* uchodzić musiał w kancelaryach dominikalnych poniekąd za uzupełnienie lub nawet kontynuacyę chudego zbioru rozporządzeń prowincyonalnych *(Provinzialgesetzsammlung)*.

Zakład Ossolińskich posiada w swoich zbiorach rękopiśmiennych kilkanaście tomów takich cyrkularnych cyrkularzy z różnych dominiów i z różnych lat. Podzielić je można na dwie grupy, z których jedna obejmuje niejako czasy nowicyatu, jaki Galicya w patrymonialnym ustroju przebywała w pierwszym okresie rządów austryackich. Jak cały kraj, tak w pierwszym rzędzie urzędy dominikalne odbywały wtedy przykry kurs nowożytnej administracyi, opartej na obcej dotąd społeczeństwu polskiemu zasadzie wszechwładztwa państwowego

Cyrkularne cyrkularze z tych czasów, zwłaszcza z czasów józefińskich, zawierają wiele ciekawych wskazówek, uzupełniających pod niejednym względem znany w ogólnych rysach obraz ówczesnego stanu kraju i nadają się do oddzielnego omówienia już z tego powodu, że obejmują okres czasu, w którym Galicya przebywała przewroty i zmiany tak w terytoryalnem, jak i społecznem znaczeniu [1]). Druga grupa cyrkularnych cyrkularzy pochodzi z czasów cesarzy Franciszka i Ferdynanda, więc z okresu już ustalonych stosunków. Zawierają one tedy szczegóły do obrazu normalnych funkcyi urzędów cyrkularnych i dominikalnych, oczywiście obrazu niekompletnego co do czasu i obszaru. Jest to lektura arcynudna i z pierwszego wrażenia niewdzięczna, ale ostatecznie dostarcza tyle materyału nie tylko do historyi administracyi, lecz w ogóle do historyi stosunków politycznych i społecznych kraju, że w końcu nie żałuje się czasu i trudu [2]).

I. Przed r. 1846.

Na zbiorach cyrkularnych cyrkularzy z czasów cesarzy Franciszka i Ferdynanda odbija się tak samo, jak na ówczesnych przez gubernium drukiem wydawanych zbiorach ustaw i rozporządzeń, cecha charakterystyczna całej administracyi z tej doby. Były to czasy prostracyi ustawodawczej i administracyjnej, braku jakiejkolwiek żywotnej inicyatywy, poniekąd lęku przed każdą śmielszą inicyatywą w zakresie stosunków ekonomicznych i społecznych w ogóle. Przepisy tyczące się ścisłego wykonywania dokuczliwego nadzoru policyjnego, ściągania podatków i w ogóle wszelkich wpływów fiskalnych, poboru rekruta, kwaterunku i t. p. przeważają w tych zbiorach tak, jak gdyby kraj szczęśliwy i zaspokojony w swoich potrzebach nie wymagał od państwa niczego więcej, jak tylko zakonserwowania tej smutnej stagnacyi, w której za długich rządów cesarza Franciszka upatrywano

---

[1]) Rękopisy nr. 2850—2852 i 2864.

[2]) Rękopisy: nr. 2854 (Dominium Kolędziany w cyrkule czortkowskim), nr. 2855 (Dominium Rozdziałów w cyrkule żółkiewskim), nr. 4299—4303 (Dominia Sienków, Baryłów, Wolica baryłowa i Rudeńko lackie w cyrkule złoczowskim).

najlepszy środek zagojenia ran, poniesionych przez państwo w okresie wojen z Napoleonem.

A właśnie w tych czasach letargu administracyjnego Galicya była wycieńczona ekonomicznie i nie widziała kresu swojej niedoli z ucisku fiskalnego. Każdy sejm stanowy z tej doby uchwalał adresy do tronu, pełne wprawdzie wiernopoddańczych wynurzeń lojalności i wdzięczności za ojcowską pieczołowitość monarchy o dobro kraju, ale przytem tak dobitne w przedstawieniu niedoli i w błaganiu o ulżenie ciężaru podatkowego, że ostatecznie przeważał zawsze ton remonstracyjno-żebraczy. Adresy te posyłano do gubernium, gdzie były traktowane jak natrętne petycye, które potem zbywano biurokratycznie sformułowanemi odpowiedziami kancelaryi nadwornej. Kancelarya ta zaś polegała na opinii gubernium, które nigdy nie zadawało sobie nawet tyle trudu, żeby przez cyrkuły a pośrednio przez dominia próbowało zebrać nagie daty informacyjne i na nich oprzeć swoje odpowiedzi z merytorycznemi, poza wykrętny frazes sięgającemi konkluzyami.

Chcąc w tym ciemnym obrazie znaleźć bodaj jeden rys jaśniejszy, przyznajemy, że pod jednym względem troskliwość ówczesnej administracyi stanowi wyjątek, godny podniesienia z tego powodu, że od tej doby nie wzrosła ona w takim stosunku, w jakim rozwinęły się potrzeby i wydoskonalił się cały aparat administracyjny. Troskliwość ta obejmowała zakres stosunków sanitarnych. Tak ówczesne dzienniki ustaw i rozporządzeń, jak i zbiory cyrkularnych cyrkularzy zawierają co krok zarządzenia, pouczenia i ostrzeżenia, wydawane nietylko w chwili stwierdzonego już niebezpieczeństwa, jak np. w r. 1831 wobec wybuchu cholery i innych chorób epidemicznych, lecz za samem zbliżaniem się niebezpieczeństwa. Postępowano pod tym względem według tradycyi józefińskiej administracyi, kiedy to na stosunki populacyjne w ogóle położony został taki nacisk, że pomnożenie ludności uchodziło za jedno z najgłówniejszych zadań administracyi państwowej, a cel ten forytowano wszelkimi sposobami, niekiedy nawet, jak np. w postanowieniach prawnych o dzieciach nieślubnych, z uszczerbkiem dla wchodzących w grę interesów moralności publicznej.

Pod jednym jeszcze, ale już nie tak jak w poprzednim wypadku, uznania godnym, względem okazywała ówczesna administracya wielką troskliwość. Gubernium przez cyrkuły, a cyrkuły przez dominia cią-

gle zbierały różne daty statystyczne i żądały sporządzania wykazów peryodycznych w różnych kierunkach. Wprawdzie wykazy te tyczyły się głównie celów policyjnych, rekrutacyjnych, w ogóle wojskowych i fiskalnych, ale obejmowały przytem także i sprawy ekonomiczne, np. o zbiorach, ich wydatności, o cenach zboża i t. p. Najbliższego praktycznego celu wielu takich wykazów dziś już nawet odgadnąć nie można, ale to pewna, że ich ciężar przygniatał kancelarye dominikalne kosztem innych spraw aktualnych i bieżących. Cyrkuł bowiem nalegał na dotrzymanie terminów, a za uchybienia pod tym względem nakładał kary pieniężne. Zapewne już wtedy zrodził się w jakiej dowcipnej głowie mandataryackiej wygodny, a długo jeszcze potem nawet przez pierwszych starostów nowego autoramentu praktykowany pomysł, że w wykazach peryodycznych tego rodzaju zmieniano także peryodycznie a nieznacznie daty statystyczne z fantazyi. Uchodziło to zawsze, gdy wykazy nie miały wybitnego celu praktycznego, lecz służyły chyba za materyał do statystyki oficyalnej. Toteż wiemy, jak wyglądały wszystkie te oficyalne elaboraty statystyczne z dawnych czasów!

W latach, z których pochodzi druga grupa naszych cyrkularzy, kraj był przygnieciony powojennym ciężarem podatkowym, a sejm stanowy, jak już wspomnieliśmy, na każdej sesyi swojej błagał monarchę o ulgi, szczególnie w wymiarze podatku gruntowego i w ściąganiu zaległości podatkowych. To też ówczesne cyrkularne cyrkularze, z których wielka część przypada na sprawy podatkowe obok wojskowych, pełne są przypomnień i upomnień, aby ściągano bieżące i zaległe podatki. A były to upomnienia w tonie swoim bardzo stanowcze. Z tym tonem mandataryusz, jako poborca i egzekutor podatkowy w jednej osobie, dobrze musiał się liczyć, bez względu na to, że jego chlebodawca, dziedzic, równocześnie w sejmie żali się na ucisk podatkowy, co gorsza, bez względu na to, że poddani, czując dotkliwy nacisk śruby podatkowej z urzędu dominikalnego, a nie widząc właściwego jej motora, cyrkułu, na dziedzica zwalali winę za swoją niedolę. Wydany bowiem według rozporządzenia gubernialnego cyrkularz z 31 marca 1830 zarządził, żeby komisarze cyrkularni objeżdżali peryodycznie dominia i osobiście kontrolowali czynności egzekucyjne. Rzecz to charakterystyczna, że cyrkularz ten wyszedł w miesiąc zaledwie po innym (z 23 lutego), w którym w przewidywaniu niedostatku a nawet głodu na przednowku i wobec nadciągającej

cholery, cyrkuł złoczowski usilnie zalecił dominiom staranie o obfitszy zarobek dla ludności wiejskiej, z tym znamiennym dodatkiem, że »gdzie zwierzchności gruntowe (dominia) z powodu nieurodzaju lub innych klęsk elementarnych nie będą w stanie wspierać swoich poddannych, powinny w tym celu użyć swojego majątku i kredytu dla uczynienia zadość obowiązkom«.

W latach 1830—31 obowiązkowa pomoc dziedziców musiała być tak zupełnie wyczerpana, że nawet w niewyrozumiałych pod tym względem cyrkułach, uznano niepodobieństwo dalszego ogałacania dworów ze zboża. Wnosić to można z cyrkularza złoczowskiego z 26 kwietnia 1831, w którym pouczono dominia a przez nie gromady, że »perz dobrze spłukany, pokrajany i wysuszony, a potem zmielony daje dobry i smaczny chleb, więc zdrowe pożywienie!« Swoją drogą jednak w dwa miesiące później (19 czerwca) ten sam cyrkuł (złoczowski) przypomina dominiom w kategorycznym tonie obowiązek ściągania bieżących podatków, a odracza tylko egzekucyę zaległości. Daremnie jednak szukamy w tym roku cholery i nieurodzaju cyrkularza, przyznającego opust podatków. Pozwolono tylko prosić o taki opust w wyjątkowych wypadkach, przyczem przepisano dominiom sporządzenie różnych wykazów jako substratu, potrzebnego do powzięcia decyzyi. Opusty musiały być rzadkie, a zaległości mnożyły się pomimo rygoru egzekucyjnego w taki sposób, że w końcu rząd zgodzić się musiał na ryczałtowe odpisywanie. Że jednak zachłanność egzekucyjną posunięto do najdalszej granicy, o tem świadczy cyrkularz z 13 sierpnia 1835. Rozdzielano wtedy między gminy w obligacyach fundusz szpichlerzowy w myśl rozporządzenia gubernialnego z r. 1829. Na gromady cyrkułu złoczowskiego przypadło z tego rozdziału 96.106 złr. 43 krajcarów, a do tego tytułem odsetek 11.533 złr. 41 k. Całą tę kwotę przeznaczono na umorzenie zaległości podatkowych, albo raczej tylko, jak mówi cyrkularz, »znacznej części zaległości«.

Nietylko co do podatku gruntowego urzędy dominikalne były pobudzane do egzekucyjnej energii. Także i podatek zarobkowy zaprzątał ciągle te urzędy. Podnieść tu wypada cyrkularz złoczowski z 13 lutego 1834, zaznaczający spostrzeżony w ostatnich latach ubytek w tym podatku, »chociaż przypuścić można«, że liczba interesów podlegających podatkowi zarobkowemu nie zmniejszyła się w tym czasie. Z tego »przypuszczenia« wysnuł cyrkuł złoczowski nie wnio-

sek, że należy zbadać stosunki, lecz — powód do nowego naciśnięcia śruby podatkowo-egzekucyjnej! Przebijający stąd wprost swawolny brak ścisłości w traktowaniu wszelkiego ubytku w podatkach, jako zaległości, bez sprawdzenia, od kogo, za co i za jaki okres czasu ta zaległość przypada, dziwnie wygląda obok drugiego niemal równoczesnego cyrkularza (z 11 stycznia), w którym z biurokratyczną pedanteryą oznaczono, że na r. 1834 na 1 złr. podatku dominikalnego przypada jako dodatek domestykalny 2 $\frac{3 \cdot 326}{10 \cdot 000}$ krajcara!

Pod względem natarczywości cyrkularne cyrkularze w sprawach wojskowych idą w zawody z pismami podatkowemi. Ciężką i tutaj była dla ludności poddańczej ręka mandataryacka, cyrkuł i tutaj stał w ukryciu, a złorzeczenia zwracały się nie do niego, lecz do »pańskiego« (dominikalnego) urzędu. Odstawienie przypadającego na dominium kontyngentu rekrutów stanowiło główną agendę, ale obok niej urząd dominikalny spełniać musiał mnóstwo innych, które cały rok zaprzątały go pisaniną i wykazami peryodycznymi. Trzeba bowiem było utrzymywać wykazy konskrypcyjne i ewidencyjne co do popisowych i urlopników w takim stanie, aby wpadający znienacka komisarz cyrkularny nie dostrzegł jakiej niedokładności, za którą spadała kara pieniężna bez apelacyi. Urządzano wtedy formalne obławy za zbiegłymi rekrutami i urlopnikami, a przytem i za włóczęgami w ogóle, jak np. cyrkularzem złoczowskim z 5 kwietnia 1829. Była to obława, zarządzona przez gubernium »w całym kraju o świcie dnia na 22 kwietnia«, przyczem dla pobudzenia dominiów do energicznej akcyi postanowiono, że włóczęgów schwytanych każde dominium może oddać w rekruty na rachunek wymierzonego sobie kontygentu. Otwierało się przytem szerokie pole do szykany, szczególnie co do żydów, a na tem polu każde liche indywiduum z kancelaryi dominikalnej mogło się na własny rachunek dopuszczać samowoli i zdzierstwa. W cyrkularzu złoczowskim z 20 listopada 1828 szczególnie surowo polecono dominiom, aby śledziły, chwytały i do cyrkułu odstawiały żydów, uciekających przed służbą wojskową. W dwa tygodnie później (4 grudnia) ten sam cyrkuł zakomunikował dominiom, że rząd rosyjski chłopców żydowskich powyżej 8 lat zabiera w głąb Rosyi do zakładów wojskowo-wychowawczych, wskutek czego wielu takich żydów przekrada się do Galicyi. Polecono tedy dominiom chwytać takich zbiegów i odstawiać do cyrkułu, więc spełniać funkcyę wojskowo-policyjną dla obcego państwa! Spryt żydów galicyjskich w uchy-

laniu się od rekrutacyi musiał być już wtedy niezwykły, skoro cyrkularze w tej mierze ciągle się powtarzają, a jeden z nich (z 23 marca 1831) wprowadza środek nadzwyczajny, bo z surową groźbą poleca mandataryuszom, aby »z przybraniem służby dworskiej i mężów zaufania gminy w jednym dniu znienacka dokonali rewizyi domów« i przytrzymywali żydów ukrywających się, a przytem także i inne indywidua bez legitymacyi.

Dominia, sprawujące agendy policyjne w rozległym zakresie pierwszych instancyi politycznych, z natury rzeczy musiały także uczestniczyć w każdej akcyi policyjnej cyrkułów, o ile chodziło o wykonanie wydanych zarządzeń. Nie mogło tedy obejść się bez udziału urzędów dominikalnych w agendach, jakie na polityczne organa Galicyi spadły w następstwie powstania listopadowego. Dopóki gubernatorem Galicyi był książę August Longin Lobkowitz, gubernium lwowskie nie wydawało cyrkułom poleceń, któreby mogły paraliżować wszelką pomoc dla powstania w Królestwie Polskiem. Ogłoszono tylko 31 grudnia 1830 zakaz wywożenia broni, kos, wideł, pik i amunicyi do Królestwa Polskiego, a 4 stycznia opublikowano nie bardzo groźnie brzmiące ostrzeżenie, aby mieszkańcy Galicyi nie brali udziału w powstaniu, a ci, którzy już tam pospieszyli, powracali do kraju. Gdy korpus generała Dwernickiego po przekroczeniu granicy złożył broń, generalna komenda we Lwowie uwiadomiła gubernium, że z polskich żołnierzy, którzy mieli być odstawieni do Siedmiogrodu, zbiegło między Stanisławowem a Śniatynem 890 ludzi. »Ponieważ obawiać się należy, — tak napisała wtedy generalna komenda do gubernium, a na jego polecenie znowu cyrkuły (złoczowski 8 czerwca 1831) w cyrkularzach do dominiów wschodnio-galicyjskich, — że ludzie ci w wędrówce do swoich miejsc rodzinnych dopuszczą się rabunków i plądrowania, przeto poleca się wszystkim dominiom jak najściślej czuwać nad tymi polskimi zbiegami, a schwytane indywidua tej kategoryi odstawiać do najbliższej komendy wojskowej«. Władza polityczna powtórzyła tylko w tym cyrkularzu słowa władzy wojskowej, w której wyobrażeniu rabunek i plądrowanie wydawały się najbliższem następstwem takiej zbiorowej ucieczki jeńców i ze swojej strony nie dodała dalszej instygacyi, chociaż daleko bliższem było przypuszczenie, że zbiegli jeńcy polscy wniosą do kraju ruch agitacyjny na rzecz powstania.

Po odwołaniu księcia Lobkowitza sytuacya zmieniła się zupeł-

nie. W maju 1832 na polecenie gubernialne wyszły dwa cyrkularne cyrkularze, w których ze względu na amnestyę, wydaną przez rząd rosyjski, wezwano dominia w tonie surowym i z zagrożeniem kar za opieszałość lub niedbałość w spełnieniu otrzymanego nakazu, aby przedłożyły wykazy znajdujących się w Galicyi zbiegów wojskowych i cywilnych z Królestwa Polskiego z oznajmieniem, czy będą korzystać z amnestyi. Zagrożono przytem wydaleniem opornych. Jakoż istotnie wkrótce potem wyszły nowe cyrkularze, polecające wyśledzenie i odstawienie kilkunastu polskich żołnierzy do komendy wojskowej. Dalszy zwrot ku surowszej aplikacyi wydanych przepisów gubernialnych zaszedł w r. 1833, gdy na czele rządów krajowych stanęli arcyksiążę Ferdynand i prezydent br. Krieg. Zaraz opublikowano konwencyę między Austryą, Rosyą i Prusami »względem wzajemnego wydawania osób, które staną się winne zbrodni stanu, obrazy majestatu lub zbrojnego powstania, albo wdadzą się w związek przeciwko bezpieczeństwu tronu i rządu zamierzony«. W ślad za tą przestrogą ogłoszono ostrzeżenie »względem uczestniczenia w tajnych stowarzyszeniach i kar na to oznaczonych«.

Zaczął się teraz pościg za emigrantami i emisaryuszami. Cyrkularzem z 4 maja 1833 polecono dominiom cyrkułu złoczowskiego jak najostrzej, aby »wszystkie osoby, które nie są austryackimi poddanymi, natychmiast stawiły się do cyrkułu, gdzie względem przyszłego postępowania wydane zostaną potrzebne rozporządzenia. W przeciwnym razie każdy, kto tylko niemeldowanym osobom mieszkać pozwala, lub w terytoryum sobie podległem takie osoby cierpi, miejski lub wiejski urzędnik, właściciel lub dzierżawca dóbr, aresztem od 14 dni do 6 tygodni, a za powtórzeniem się do 3 miesięcy ukarany zostanie. Dominikalni reprezentanci (mandataryusze) zaś podług okoliczności od sprawowania urzędu na zawsze zostaną usunięci«. Miały także dominia donosić »co pół roku o miejscu pobytu poddanych tutejszych, którzy z Polski powrócili, oraz o ich przesiedleniu się«. Na paszportach takich osób kazano zapisywać wyraźnie, że należą do powyższej kategoryi. W kilka miesięcy po powyższym cyrkularzu zaczęły przychodzić cyrkularze, wskazujące wyraźnie osoby, które »pod pewną i ścisłą strażą« należało do cyrkułu odstawić.

Na jednym takim cyrkularzu pościgowym polecono dominiom, aby go podały »do najszerszej wiadomości przez duszpasterzy i gminy«. Właśnie bowiem wtedy, gdy cyrkuły zaczęły rozwijać energiczną akcyę

w śledzeniu emigrantów, urzędy dominikalne znajdowały się w stanie wielkiego zaniedbania. Był w kraju wielki brak nietylko justycyaryuszy egzaminowanych i ukwalifikowanych do wykonywania jurysdykcyi patrymonialnej, lecz także i mandataryuszy uzdolnionych do sprawowania funkcyi administracyjnych w ogóle a policyjnych w szczególności. Do cyrkułu wpływały pisma z podpisami indywiduów, które nie znajdowały się w rejestrze uznanych ze strony władzy i zaprzysiężonych mandataryuszy. Zaraz na wstępie swoich rządów br. Krieg wezwał cyrkuły do zrobienia porządku, a cyrkuły, nie oglądając się na brak ludzi ukwalifikowanych, wyznaczały dominiom krótkie terminy do zgodnego z przepisami obsadzenia posad opróżnionych pod grozą dotkliwych kar pieniężnych i ustanowienia ukwalifikowanych mandataryuszy z urzędu. Najwięcej takich poleceń znajdujemy w naszych zbiorach, właśnie w porze, gdy w Galicyi za sprawą emisaryuszy zaczęły się tworzyć tajne związki i spiski, a sąd karny we Lwowie wśród rozpoczętych procesów kryminalnych zwracał się co chwila do władz politycznych z swojemi rekwizycyami. Były one coraz częstsze, a około r. 1838 dosięgły punktu kulminacyjnego, bo wtedy już przepełnione były więzienia lwowskie, a w sądzie kryminalnym we Lwowie rozpoczął się cały szereg inkwizycyjnych procesów o zdradę stanu.

Omawiany tutaj zbiór cyrkularzy nie obejmuje całej doby spiskowej, a co ważniejsza nie pochodzi z cyrkułów z głównemi ogniskami spiskowemi. Jednakże i z tego materyału, jaki mamy przed sobą, widać, jak co do liczby rekwizycyi i ich tonu wzrasta o tej porze energia władz w pościgu za emisaryuszami i spiskowcami. W zbiorze cyrkularzy dominium Kolędzian (w cyrkule czortkowskim) z r. 1838 znajduje się kilka takich na poleceniu prezydyum gubernialnego opartych rekwizycyi. Jedna z nich obejmuje dłuższy »urzędowy wykaz niebezpiecznych emisaryuszy i z ich sprawą złączonych Galicyan« z nakazem, aby »wykaz ten przepisano i w terytoryum dominikalnem jak najwięcej rozpowszechniono, tak, ażeby w ten sposób każdemu był wiadomy«. Kończy się ten cyrkularz włożeniem na mandataryuszy »surowego obowiązku, aby na pojawienie się tych dla ogólnego spokoju wielce niebezpiecznych ludzi, zwracali jak największą uwagę i skoro się kto z nich pokaże, natychmiast go przytrzymali i wraz z ewentualnie przy nich znalezionemi, starannie opieczętować się mającemi, pismami pod bardzo dokładną i ścisłą strażą

odstawili do cyrkułu«. W spisie tym znajdujemy nazwiska kilku osób bardzo skompromitowanych, przeciw którym w tym czasie prowadzono śledztwo o zdradę stanu w lwowskim sądzie kryminalnym (Franciszek Bobiński, Ignacy Kulczyński, Kasper Cięglewicz, St. Malinowski i t. d.).

W podwójnej zależności swojej od dziedzica i cyrkułu mandataryusze wystawieni byli na ciężką kolizyę, bo tych samych ludzi, którzy w dworach się ukrywali, jako goście mile widziani, trzeba było z nakazu cyrkułu jako wielce niebezpiecznych śledzić, ścigać i więzić. Ponieważ nazwiska podane w takich spisach policyjno-pościgowych znajdują się w dostępnych już dziś dla poszukiwań aktach śledczych i wyrokach lwowskiego sądu kryminalnego, przeto zdawaćby się mogło, że mandataryusze w kolizyach tego rodzaju słuchali zawsze cyrkułu. Z pomienionych aktów jednak nie mogliśmy przyjść do tego przekonania, lecz przeciwnie pokazuje się, że przy schwytaniu i uwięzieniu najgłośniejszych w swoim czasie emisaryuszy z emigracyi polskiej najczęściej występowali komisarze, w ogóle urzędnicy cyrkularni, delegowani specyalnie do takiej misyi policyjnej i znienacka wpadający do dworów na rewizye. W sprawie np. Roberta Chmielewskiego, którego osławiony prezydent lwowskiego sądu kryminalnego, Maurycy Wittmann, w kwalifikacyi kryminalnej stawiał obok Teofila Wiśniowskiego i który istotnie należał do najruchliwszych i najśmielszych emisaryuszy, znaleźliśmy w fascykule procesowym nawet akt, świadczący pochlebnie o mandataryuszach. Kiedy bowiem Robert Chmielewski długo i szczęśliwie ukrywał się przed wszelkim pościgiem policyjnym, Wittmann osobnem pismem zwrócił się do prezydyum gubernialnego z prośbą o dołożenie starań celem jak najrychlejszego wyśledzenia i aresztowania tego niebezpiecznego spiskowca, przyczem z naciskiem dodał, że nie należałoby w tym celu używać interwencyi urzędów dominikalnych, jako nie wiodącej do zamierzonego celu. Szczegół ten rzuca zarazem charakterystyczne światło na ówczesne stosunki prawne i administracyjne w Galicyi. Sąd kryminalny bowiem, stawiając takie żądanie, tem samem niejako ostrzegał władzę krajową przed jej najniższymi organami wykonawczymi. Wiele ten szczegół mówi i bardzo przyczynia się do wytłómaczenia faktu, że emisaryusze mogli tak być ruchliwi a mimo to nieuchwytni w czasach, gdy na przejazd z jednego cyrkułu do drugiego potrze-

bna była urzędownie wystawiona legitymacya, a przepisy paszportowe były pedantyczne i surowe.

Wśród pościgu za emisaryuszami przypomniano sobie patent z 8 marca 1805, nadający się doskonale jako środek kontroli w danej sytuacyi. Patent ten zabraniał żydom dzierżawienia dóbr ziemskich i gruntów w ogóle, a dla ścisłej kontroli zobowiązywał dominia, aby tam, gdzie sam dziedzic dobrami nie zawiaduje, wymieniały urzędowi cyrkularnemu dzierżawców lub oficyalistów zarząd sprawujących i donosiły zawsze o zmianach w tej mierze zachodzących. Wskutek polecenia gubernialnego cyrkularnym cyrkularzem z 28 lutego 1837 przypomniano ten patent wszystkim dominiom »z tym dodatkiem, że w razie zaniedbania doniesień surowo się postępować będzie z odnośnemi dominiami, a dotychczasowi dzierżawcy i oficyaliści tej kategoryi mają być zaraz dodatkowo zgłoszeni do cyrkułów pod karą 20 zł. m. k.«. Zaszachowano w ten sposób emigrantów, ukrywanych po dworach i folwarkach w charakterze oficyalistów.

W stosunku do liczby aresztowań, śledztw i kondemnat w latach 1835—1841 liczba cyrkularzy, wzywających urzędy dominikalne do akcyi policyjno-śledczej, jest ostatecznie zbyt mała. Snać ta nieufność wobec dominiów, którą Wittmann tak dobitnie wyraził przy wyśledzeniu Roberta Chmielewskiego, już i przedtem objawiać się zaczęła tak w prezydyum gubernialnem, jak i w cyrkułach. Jakiż organ spełniał w tych wypadkach po wsiach funkcye, które z porządku rzeczy przypadały urzędom dominikalnym? Niewątpliwie komisarze cyrkularni, którzy pomijając specyalne misye polityczno-policyjne już w swoich peryodycznych objazdach, podejmowanych obowiązkowo dla kontrolowania kancelaryi dominikalnych co do agend konskrypcyjnych, wojskowych w ogóle i podatkowych, nie pomijali pewnie także i gmin wiejskich. Nie mogli nawet gmin tych pomijać, bo w myśl polityki w sprawach włościańskich przez cesarza Józefa II zainicyowanej, a pod następnymi monarchami nie cofniętej, lecz tylko chwilowo w przestrzeganiu zwalnianej i w myśl instrukcyi józefińskiej dla cyrkułów, były one obowiązane spełniać wobec poddanych misyę adwokacko-opiekuńczą w ich stosunku do dworów.

Polityka józefińska w sprawach włościańskich, wciskająca się swoją tendencyą protekcyjną jakby klinem między dwory a gromady, była w czasach spiskowych oczywiście kultywowana z pełną świadomością, że stanowi dla państwa i rządu gwarancyę bezpieczeństwa

wobec zamierzonych zamachów. To też w kolędziańskiej księdze cyrkularzy z r. 1838 znajdujemy cyrkularz z 8 kwietnia, przypominający dominiom z polecenia gubernialnego patenty józefińskie z 1 września 1781 i z 16 czerwca 1786, określające powinności poddanych i postępowanie karne z poddanymi. Przypomniano te patenty w formie urzędowej republikacyi ważniejszych postanowień, przyczem niektóre z nich drogą interpretacyi zaostrzono, a przynajmniej dobitniej określono (np. obelżywe traktowanie poddanych). Mandataryuszom zapowiedział ten cyrkularz za mniejsze przekroczenia patentów kary pieniężne, za cięższe zaś kary, ustanowione w ówczesnem prawie karnem za przekroczenia obowiązków publicznego urzędu, a w pewnych wypadkach nawet zakwalifikowanie czynu jako zbrodni nadużycia władzy urzędowej. Groźbę odjęcia dekretu uzdolnienia, więc odebrania chleba, zawieszono nad mandataryuszem tak, że mogła ona być wykonana nawet w razie lżejszych uchybień. W końcowym ustępie cyrkularza dobitnie zaznaczono, że dzierżawcy, dyrektorowie dóbr i w ogóle oficyaliści są uchyleni od wszelkiej jurysdykcyi w sprawach poddańczych. Taki nacisk położono na tę republikacyę przepisów józefińskich, że równocześnie wezwano dominia, aby każdy mandataryusz powyższy cyrkularz »przepisał, podał do wiadomości dziedzica, ewentualnie dzierżawcy dóbr, wszystkich rządców, komisarzy i oficyalistów ekonomicznych«. Wszyscy mieli podpisami swoimi stwierdzić przyjęcie cyrkularza do wiadomości, a egzemplarz z tymi podpisami miał być przechowany w aktach, aby zjeżdżający na kontrolę komisarz cyrkularny mógł sprawdzić, czy polecenie powyższe zostało ściśle dopełnione.

Wszystkie te przypomnienia i groźby nie raziłyby może, gdyby to stało się było tylko w formie urzędowej korespondencyi między cyrkułem a urzędem dominikalnym, jako podwładnym organem wykonawczym. Tymczasem wkrótce potem (4 sierpnia) wyszedł drugi cyrkularz, podobny w treści do pierwszego a uzupełniony objaśnieniem, w jaki sposób mają być wnoszone i traktowane skargi poddanych. W tym drugim cyrkularzu władza przełożona, nie bacząc wcale na ewentualność mylnego tłómaczenia takiej republikacyi przepisów józefińskich przez poddanych i łatwych do przewidzenia nadużyć, wprost poleciła dominiom, aby oba cyrkularze obwieściły »w każdej gminie w obecności duszpasterzy obu obrządków i z wykonania tego polecenia wykazały się najpóźniej do 8 dni protokołem

publikacyjnym, podpisanym przez duszpasterzy oraz pełnomocników i najstarszych członków gminy«.

Poza robocizną inwentaryalną poddani obowiązani byli w tych czasach w porze żniwa oraz zbioru siana i ziemiopłodów wyruszać na łany dworskie za osobną zapłatą. Były to tak zwane dni pomocne, zniesione zaraz po rzezi tarnowskiej patentem z 13 kwietnia 1846. Zapłata za dni pomocne wynosiła w r. 1838 w cyrkule czortkowskim: za dzień lekkiej roboty ręcznej 15 krajcarów waluty wiedeńskiej, za dzień ciężkiej roboty ręcznej 22 kr. w. w., za dzień ciągłej roboty parą koni 50 kr. w. w., czterma końmi z jednym poganiaczem 1 złr. 18 kr. w. w., z dwoma ludźmi 1 złr. 30 kr. w. w. Waluta konwencyjna stała w takim stosunku do waluty wiedeńskiej, jak $1:2\frac{1}{2}$. Gdyby tedy owe ceny, w porównaniu z dzisiejszemi wprost bajecznie nizkie, wydobył kto z współczesnych rejestrów gospodarczych i na nich niekrytycznie oparł wnioski, miałby podstawę do zarzucenia dziedzicom niegodziwego wyzysku. Ale ceny te układane były na wniosek każdego urzędu cyrkularnego corocznie przez gubernium, które, jak widzieliśmy, właśnie w tych czasach podwoiło troskliwość swoją o dolę poddanych. Cyfry powyższe wyjęliśmy z cyrkularza czortkowskiego z 8 czerwca 1838, wydanego na mocy rozporządzenia gubernialnego z 19 czerwca tegoż roku. Ceny robocizny nie są tam wyjątkowo nizkie, bo w księdze dominium Baryłowa (w cyrkule złoczowskim) znajdują się jeszcze niższe, jak np. za jeden dzień z sierpem 10 kr., z kosą 14 kr., jeden dzień z parą koni 30 kr., z czterma końmi i jednym poganiaczem 50 kr., a z dwoma ludźmi 1 złr. Ceny kolędziańskie tedy, przez cyrkuł czortkowski oznaczone, można uważać za przecięcie, za normalną zapłatę.

W ślad za cyrkularzem, ustanawiającym te ostatnie ceny robocizny w dni pomocne, wyszedł z cyrkułu czortkowskiego drugi cyrkularz (z 27 lipca 1838), ostrzegający wszystkie dominia, że zapłatę za dni pomocne uiszczać należy zaraz gotówką i że niewolno z tej zapłaty potrącać tytułem dawnych długów, gdyż w przeciwnym razie »na wniesioną skargę zaraz będzie wysłana komisya i poddanym zostanie wymierzona sprawiedliwość, a dominia poniosą dotkliwą karę«. Jeżeliby zaś dominia wniosły skargi z powodu odmówienia robocizny w dni pomocne przez poddanych, »to musiałyby one dostarczyć dowodu, że poddani mimo natychmiastowej zapłaty w gotowiźnie nie chcą stanąć do roboty«. Oczywiście pora dni pomocnych upłynęła,

a siano i zboże dworskie zmarniało w polu, zanim cyrkuł w biurokratycznej pedanteryi »wydał decyzyę, że dowód potrzebny został dostarczony, a opór poddanych nie ma żadnej podstawy«! Stronniczość cyrkułu była tedy widoczną, a podnosi ją jeszcze więcej ten szczegół charakterystyczny, że tylko ten ostatni cyrkularz polecono dominium kolędziańskiemu »dobrze opieczętować i pod kopertą dniem i nocą za recepisem wysyłać innym dominiom, według arkusza obiegowego!«

Po cyrkularzach dopiero co przytoczonych, z których mogłoby powstać mniemanie, że co najmniej w cyrkule czortkowskim dziedzice byli tyranami i zdziercami, a poddani potulnemi ofiarami, spotykamy się w tym samym zbiorze z cyrkularzem (z 18 lipca 1838), który wiedzie do wprost przeciwnej konkluzyi. »Duch oporu i nieposłuszeństwa poddanych — tak opiewa ten cyrkularz — zaczyna się w całym cyrkule rozszerzać. Dominiom więc niniejszem najdobitniej poleca się, aby z jednej strony przeciw nieposłusznym przeprowadzały prawnie przepisane postępowanie z wszelką prawną surowością i oględnością, a z drugiej strony wstrzymywały się od wszelkiego drażnienia i uciskania« i t. d. Jakiż więc właściwie wniosek wysnuć należy z ówczesnej polityki cyrkularnej, przestrzeganej wobec dziedziców i poddanych? Chyba powtórzyć należy słowa, któremi gubernator galicyjski hr. Brigido w raz już tutaj powołanej relacyi swojej z 12 kwietnia 1791 scharakteryzował postępowanie władz w sprawach poddańczych [1]): »Pozwolono sobie ścieśniać prawa dziedziców z nieograniczoną samowolą. Chodziło widocznie o podniesienie stanu włościańskiego kosztem zwierzchności gruntowych na korzyść państwa i korzystano w tym celu z każdej sposobności, aż wreszcie regulacya urbaryalna wypełniła miarę udręczenia dziedziców«. A jednak biurokracya dolewała odtąd jeszcze dalej do tej pełnej miary!

II. W latach 1846—1848.

Biurokracya gubernialna i cyrkularna nie zawiodła się w rachubie swojej, o ile chodziło jej o takie nastrojenie ludności wiejskiej,

---

[1]) Rękopis Zakładu Ossolińskich nr. 525, t. II, str. 678.

aby ona, uważając dwór za źródło wszelkich na nią spadających ciężarów i utrapień a cyrkuł za swojego pewnego orędownika, nie tylko oparła się pokusom spiskowym, lecz nawet w danym razie stanęła otwarcie po stronie rządu. Zawiodła się jednak w tej rachubie, o ile powagę swoją przeceniała do tego stopnia, że uważała ją za wystarczającą do powstrzymania na jedno skinienie raz rozpętanych, dzikich instynktów i pożądań. Dla reżyserów posiłkowej akcyi chłopskiej byłoby wystarczyło już samo przytrzymanie i odstawienie do cyrkułu garstki powstańców z Lisiej góry pod Tarnowem. Mogłaby bowiem była w takim razie z niczem niezamąconym tryumfem wynosić lojalność ludności wiejskiej, pozyskanej dla rządu jego ludzkiem postępowaniem. Gdyby nawet wreszcie nie mogło się było obejść bez rozlewu krwi, to jeszcze tryumf biurokracyi mógł być niezamącony, jeżeliby wszystko skończyło się było na kilku ofiarach zabitych z bronią w ręku. Zyskałby był owszem na tem efekt akcyi wobec zagranicy, bo byłby dla niej dowód, że rząd miał do czynienia z rzeczywistym groźnym wybuchem powstańczym.

Ale rzeź tarnowska, wśród której mordowano bezbronnych starców i rabowano dwory z wyrafinowanym planem w rozkładzie i operacyach band hajdamackich, musiała ostatecznie przerazić nawet najtwardszych reżyserów biurokratycznych. Gdyby bowiem nawet obojętni byli na kompromitujące państwo głosy oburzenia w całej Europie, to zawsze przerażać musiała świadomość, że Galicya przepełniona była materyałem wybuchowym, którego eksplozya rabacyjna od Tarnowa coraz szersze zataczała kręgi. Za silniejszym podmuchem rabacyjnej swawoli mogły krwawe wypadki ogarnąć nawet wschodnie cyrkuły, bo wszędzie władza była podcięta u dołu, na najniższym dominikalnym szczeblu, kiedy równocześnie cyrkuły nie rozporządzały ani dostatecznemi siłami biurowemi, ani taką siłą zbrojną, żeby można było pożar ugasić. A pożar ogarnąwszy Galicyę, mógł się stąd przenosić w dalsze strony, bo w innych prowincyach Austryi, jak to w dwa lata później wykazały rozprawy parlamentu konstytucyjnego w Wiedniu, stosunki pańszczyźniane wcale nie były tak pomyślne, żeby poddani nie mieli poczuć chęci naśladowania chłopów galicyjskich.

Chodziło tedy przedewszystkiem o zlokalizowanie pożaru, o zapobieżenie, aby duch anarchii rabacyjnej nie przedarł się do Galicyi wschodniej. W bezradności swojej wysilała się przytem biurokracya

na środki tak naiwne, że dziś chyba tylko uważać je można za miarę ówczesnej paniki. Takim naiwnym środkiem a przytem aktem strusiej polityki było np. rozporządzenie gubernialne z 10 kwietnia 1846, opublikowane dominiom, a tak opiewające według cyrkularza żółkiewskiego z 17 kwietnia tegoż roku: »Z zachodnich cyrkułów każdego roku o tej porze ciągną ku Bukowinie ludzie, którzy szukają zarobku w zajęciach przy odbywającem się w lecie pędzeniu wołów. Wszystkim dominiom poleca się, ażeby tym indywiduom przy wizowaniu certyfikatów do podróży nakazały jak najsurowiej i z zagrożeniem wyszupasowania do gminy przynależności, aby nie wdawały się w żadne rozmowy i opowiadania o wypadkach zaszłych w ostatnich czasach w zachodnich cyrkułach i ażeby wykraczające przeciw nakazowi indywidua odstawiały pod strażą do cyrkułu. To samo stosować należy do pochodzących z zachodniej Galicyi ludzi sprzedających płótno, zajmujących się kastrowaniem, pędzących świnie i t. p., wreszcie do honoratiorów (inteligencyi), jeżeli ich paszporty nie są tutaj wizowane dla miejscowości, gdzie ich przytrzymano«. Z paszportami zaś, i to oczywiście wewnętrznymi, zaostrzono postępowanie tak, że w tej dobie prymitywnej komunikacyi wprost niemożliwem stało się przejście z jednego cyrkułu do drugiego. W maju 1846 obwieszczono dominiom cyrkularnymi cyrkularzami następujące rozporządzenie prezydyum gubernialnego z 13 maja: »Dominia i magistraty mogą odtąd tylko indywiduom z klasy włościańskiej i mieszczańskiej wystawiać paszporty i to tylko na obręb cyrkułu, do którego te indywidua należą. Do ważności takich paszportów w innych cyrkułach potrzebna jest wiza urzędu cyrkularnego. Wystawianie paszportów właścicielom dóbr, dzierżawcom, urzędnikom dominikalnym, studentom, duchownym i wogóle honoratiorom, tak w obrębie cyrkułu ich zamieszkania, jak i do innych cyrkułów, należy wyłącznie do urzędu cyrkularnego«.

Zaostrzono zarazem przepisy meldunkowe nawet co do osób znajomych, jak to wypływa z następującego cyrkularza żółkiewskiego z 21 maja 1846: »Zarządza się, aby surowo wykonywano przepisy policyi miejscowej. Do cyrkułu meldować należy przejezdnych, szczególnie indywidua, szukające służby i bez służby, oraz przyjętych do służby oficyalistów gospodarczych, pisarzy i t. p., chociażby nawet byli znajomi i posiadali świadectwa służbowe«.

Ale mimo to wszystko długo nie zdołały władze odzyskać własnego spokoju, ani zapobiedz niepokojącemu wrzeniu w Galicyi wscho-

dniej, skoro jeszcze w jesieni r. 1846 zarządzić musiano wskutek rozporządzenia urzędującej wtedy we Lwowie nadzwyczajnej i pełnomocnej komisyi nadwornej (Rudolfa hr. Stadiona) w całym kraju pościg za wieściami niepokojącemi. W księdze dominium Baryłowa znajdujemy następujący cyrkularz złoczowski z 8 października 1846: »W ostatnich czasach znowu obiegać zaczęły wieści o blizkich niepokojach i nieporządkach. Ponieważ rozsiewanie takich wieści, czy to z łatwowierności, czy ze swawoli i zdrożnych motywów, powiększa wzburzenie umysłów i utrzymuje wszystkie klasy ludności w trwożliwem naprężeniu, przeto postanawia się, że każdy, kto takie wieści głosi lub rozpowszechnia, ukarany zostanie aresztem od 2 do 8 dni lub grzywną 5 do 20 złr., o ile nie musiałoby nastąpić postępowanie według prawa karnego. Dominia mają zatem natychmiast zbadać źródło takich wieści i rozsiewaczy pociągnąć do odpowiedzialności, a przeciw winnym bez najmniejszej zwłoki postąpić według tego rozporządzenia«.

Najwięcej oczywiście obawiano się napływu emisaryuszy i zbiegów powstańczych z zachodnich cyrkułów. Zaraz po rzezi wyszedł z polecenia gubernialnego cyrkularz (według księgi dominium w Rozdziałowie) nakazujący »jak najściślej wykonywać przepisy policyjne, podwoić straże nocne, ustawić straże w dzień, zatrzymywać każdego przejeżdżającego bez legitymacyi, szczególnie każdego uzbrojonego i odstawiać do urzędu cyrkularnego pod całkiem pewną eskortą«. Zdaje się, że mandataryusz w Rozdziałowie nie zadowolił urzędu cyrkularnego, bo tamtejsza księga cyrkularzy zawiera lukę, wypełnioną 20 kwietnia odmiennem pismem w ten sposób: »Po usunięciu reprezentanta dominikalnego Bełdowskiego zamknięto 20 kwietnia 1846«.

Ale pomimo ciągłego ponawiania takich nakazów inwigilacyjnych długo zdołali ścigani ukrywać się po dworach w roli wrzekomych domowników. Wypływa to z cyrkularza żółkiewskiego, z 16 grudnia 1846, którym z rozkazu gubernialnego polecono dominiom zgłaszać w urzędzie cyrkularnym »każdego obcego zaraz po przybyciu, bez względu na to, czy on z dziedzicem jest spokrewniony lub znajomością połączony«. Mandataryusz miał przytem wskazać, »czy obcy posiada paszport, jak długo zamyśla bawić i czem się zajmuje. Paszport ma być cyrkułowi do wizowania przedłożony«.

Łatwo teraz wyobrazić sobie trudne położenie prawego manda-

taryusza wobec dziedzica, jako swojego chlebodawcy, a z drugiej strony położenie dziedzica, który nieraz miał nawet naprawdę w mandataryuszu szpiega domowego, przez cyrkuł urzędownie nadstawionego, jeżeli dotychczasowy mandataryusz wydał się podejrzanym. Ale i położenie cyrkułów było fatalne, bo nie posiadały tylu komisarzy, żeby mogły poza dominiami bezpośrednio wykonywać swoje zarządzenia, a dominia zostały już przedtem jako ogniska spiskowych knowań w swojej powadze wobec gromad do gruntu zachwiane. Otworzyły się zapewne oczy inteligentniejszej części biurokracyi na fatalny rezultat jej długo, zarówno konsekwentnie jak nieopatrznie prowadzonej akcyi około podkopania kredytu i powagi szlachty wobec gromad. W ustroju patrymonialnym taka akcya z konieczności doprowadzić musiała do poniżenia i zdyskredytowania władzy publicznej, na najniższym, ale dla spokoju publicznego najważniejszym szczeblu. Co dla zaślepionej biurokracyi stało się może teraz dopiero widocznem, to szlachta od dawna już przewidywała, podnosząc w sejmach stanowych kilkakrotnie głos ostrzegający. W adresie swoim do tronu z r. 1822 sejm użył wprost takiego dobitnego zwrotu: »Wyższe względy jawnie zalecają potrzebę utrzymania ludu wiejskiego w spokoju, gdyż dominia są pierwszem narzędziem rządu i władzy wykonawczej. Zatem węzeł, łączący gminy z ich dominiami, wzmacniać a nie osłabiać należy«. Że podobnych a nawet dobitniejszych ostrzeżeń nie znajdujemy w adresach sejmu stanowego z doby spiskowej, poprzedzającej r. 1846, to nie uprawnia bynajmniej do wniosku, iż zmieniło się pod tym względem postępowanie biurokracyi. Było ono owszem jeszcze gorsze, ale sejm stanowy, zależny w adresowych enuncyacyach swoich od aprobaty gubernialnej, za rządów br. Kriega musiał być powściągliwy i wstrzymać się od krytyki postępowania administracyjnego, za którem ukrywała się już tendencya polityczna rządu.

Po rzezi tarnowskiej szczególnie generał-gubernator arcyksiążę Ferdynand d'Este znalazł się w trudnem położeniu. Z jednej strony bowiem widział, że cały dotychczasowy aparat administracyjny kraju po dezorganizacyi u samej podstawy nie zdoła już w czasach tak anormalnych zabezpieczyć spokoju i porządku wewnętrznego, a z drugiej strony znowu jako konserwatysta w politycznych i społecznych poglądach nie wyobrażał sobie państwa bez zachowania ustroju patrymonialnego. Przed wyjazdem do Wiednia, skąd już nie miał powrócić, albo raczej skąd go już wypuścić nie chciano na dawne sta-

nowisko, zaraz po zmierzeniu ogromu katastrofy w zachodnich cyrkułach Galicyi próbował arcyksiążę Ferdynand *via facti* tak przekształcić mandataryaty, aby dominia bez nadwerężenia ustroju patrymonialnego przybrały charakter zależnych od władzy rządowej pierwszych instancyi administracyjnych. Drogą do tego celu wiodącą wydało mu się rozległe korzystanie z obowiązującego od czasów józefińskich przepisu, który w pewnych wypadkach pozwalał władzy cyrkularnej usunąć nieodpowiedniego mandataryusza i ustanowić innego z własnego ramienia, oczywiście na koszt dominium. Mieli tedy powstać w kraju według arcyksiążęcego pomysłu i arcyksiążęcej nomenklatury tak zwani *exoffo* — mandataryusze, kreatury rządowe, rekrutowane ze zwichniętych egzystencyi biurowych, po części poza krajem. Prezydyalno-gubernialny protokół podawczy z r. 1846/7 wykazuje wiele podań, które wpłynęły w tej mierze z Czech, Moraw i Śląska.

W Wiedniu na konferencyach nad sprawami galicyjskiemi arcyksiążę w obronie ustroju patrymonialnego w Galicyi miał po swojej stronie sfery biurokratyczne, które w tej mierze nie krępowały się pewnie względami na szlachtę galicyjską, lecz tą rozstrzygającą refleksyą, że zamach na ustrój patrymonialny nie mógłby się ograniczyć do samej Galicyi, a o takim przewrocie ogólnym, jaki sprowadził dopiero rewolucyjny r. 1848, wtedy jeszcze oczywiście nikt nie myślał. Wysłany w lecie r. 1846 do Galicyi w roli nadzwyczajnego pełnomocnego komisarza rządowego Rudolf hr. Stadion otrzymał zatem misyę w podwójnym kierunku. Miał najpierw uregulować pańszczyznę tak, aby poddani otrzymali dalsze ulgi, zapowiedziane w patencie z 13 kwietnia 1846, a powtóre zorganizować administracyę u dołu tak, aby ostał się na pozór nietknięty ustrój patrymonialny z urzędami dominikalnymi, a w rzeczywistości główny zakres administracyi publicznej kosztem materyalnym i moralnym dominiów przeszedł w ręce organów rządowych.

Jak Rudolf hr. Stadion wywiązał się z pierwszej części misyi, tego tutaj przedstawiać nie będziemy. Jest to oddzielny, godny osobnego omówienia, rozdział niedoli galicyjskiej z r. 1846. Wystarczy tutaj samo zaznaczenie, że regulacya ta stworzyła chaos, za co w pół roku później poniekąd pokutować wypadło bratu autora, gubernatorowi Franciszkowi hr. Stadionowi, który dobrze to wi-

dział, że brat jego zrujnował tylko szlachtę, a wcale nie zadowolił poddanych.

Szczęśliwszym, ale tylko w pojęciu ówczesnej biurokracyi, był Rudolf hr. Stadion przy wywiązaniu się z drugiej części swojej misyi. Wydał bowiem w sierpniu 1846 r. szereg dekretów reformatorskich, które cel swój, o ile chodziło o unicestwienie patrymonialnej powagi szlachty, pewnie osiągnęły. Chodziło przedewszystkiem o jak największe zbliżenie urzędów cyrkularnych do poddanych. W tym celu, oprócz pomnożenia etatu komisarzy cyrkularnych ustanowiono ekspozytury po mniejszych miastach, niejako filie urzędów cyrkularnych z małym personalem biurowym, mianowicie z jednym komisarzem i jednym kancelistą.

Samo założenie tej reformy było racyonalne, gdyby chodziło było o przyspieszenie i uproszczenie agend administracyjnych w ogóle, gdyby przynajmniej szczerze był pojmowany wstęp rozporządzenia zaprowadzającego ekspozytury: »Aby umożliwić przyspieszone załatwianie spraw cyrkularnych w ogóle, a w szczególności szybkie postępowanie co do zażaleń poddanych, które patentem z 13 kwietnia 1846 przekazane zostały bezpośrednio urzędom cyrkularnym i t. d.«. Tymczasem nie tylko późniejsza praktyka, lecz już sama instrukcya dla ekspozytur wydana wskazywała, że miały one przedewszystkiem na celu jednostronną opiekuńczą misyę wobec poddanych. Wielce charakterystycznym jest komentarz do zadań nowych urzędów, zakomunikowany dominiom cyrkularnymi cyrkularzami według polecenia Stadionowskiej komisyi nadwornej. Mamy jeden taki cyrkularz (w księdze dominium rozdziałowskiego), wydany 4 września 1846 przez żółkiewski urząd cyrkularny. Zasługuje on na to, żeby go tutaj przytoczyć bodaj w głównych ustępach, które tak opiewają: »Wskutek pomnożenia sił cyrkularnych, ustanowienia ekspozytur, dokonywującej się organizacyi straży bezpieczeństwa, oraz innych zarządzeń c. k. nadzwyczajnego pełnomocnego komisarza nadwornego dostarczone zostały urzędowi cyrkularnemu środki potrzebne do energiczniejszego niż dotąd występowania, do nadania większego nacisku urzędowym decyzyom i do ich ścisłego wykonywania. Jak z jednej strony cyrkuł potrafi utrzymać powagę zwierzchności gruntowych (dominiów) i ich mandataryuszy, a ewentualnie krnąbrnych poddanych zniewolić do posłuszeństwa i należytego spełniania prawnych powinności, tak z drugiej strony nie zniesie żadnego

uciskania, krzywdzenia i drażnienia *(Neckerei)* poddanych i postara się o zjednanie ustawom należnego posłuchu, do czego w razie potrzeby dana będzie imponująca siła wojskowa *(imposante Militärmacht)*. Wszelkie pregrawacye będą według prawa surowo karcone, a arbitralne kary pieniężne *(arbiträre Geldstrafen)* będą nakładane tak za niesprawiedliwe i nieprawne wymagania ze strony zwierzchności gruntowych, jak i za każdą sekaturę i drażnienie *(Sekatur und Neckerei)* poddanych, o ile one nie kwalifikują się jako pregrawacye. Przytem nadmienia się, że według reskryptu nadzwyczajnego pełnomocnego komisarza nadwornego rekursy przeciw takim karom pieniężnym odtąd nie mają mocy wstrzymującej«. Następuje wreszcie groźba, że także mandataryusze karani będą pieniężnie, a w danym razie utratą dekretów kwalifikacyjnych.

Niepodobna wstrzymać się od kilku uwag do powyższego komunikatu cyrkularnego. Upokarzająca świadomość, że wszelka powaga władzy na najniższym szczeblu została zniszczona, a cyrkuł dotąd nie zdołał zastąpić tego organu, przebija zaraz z pierwszego ustępu, zapowiadającego, że odtąd dopiero w administracyi wszystko zmieni się na lepsze. Obawa przed rozpętaną furyą hajdamacką poddanych przebija wstydliwie z zapowiedzi rozwinięcia »imponującej siły wojskowej«. Zapowiedź ta jednak nie jest wyraźnie adresowana do poddanych, lecz owszem sformułowana została z wyrachowaną niezawodnie dwuznacznością tak, jak gdyby miała się zwrócić głównie przeciw mandataryuszom. Z tego komunikatu cyrkularnego, który oczywiście, jak w ogóle owe ówczesne cyrkularne cyrkularze, kazano dominiom po wsiach ogłaszać, poddani mogli wysnuć wniosek, że owa »imponująca siła wojskowa«, której w Tarnowskiem w lutym nie wyprowadzono przeciw mordercom i rabusiom wśród ich krwawej akcyi, w wrześniu z pewnością nie zwróci się przecim nim, lecz owszem zasłaniać ich będzie wobec dominiów już nietylko przed krzywdą, lecz nawet przed »sekaturą i drażnieniem«. A czegoż nie mógł pod te pojęcia podciągnąć ówczesny poddany nietylko w zachodnich, ale i w wschodnich cyrkułach Galicyi, skoro patent porabacyjny z 13 kwietnia 1846 przyniósł mu już ulgi w powinnościach pańszczyźnianych i zapowiadał dalsze, skoro na hersztów rabacyi nie spadły kary kryminalne, lecz owszem wyrazy uznania rządowego!

Ekspozytury Rudolfa hr. Stadiona na szczęście niedługo speł-

niały swoją misyę. Znikły w rok po ustanowieniu za nowego gubernatora Galicyi, Franciszka hr. Stadiona.

Straż bezpieczeństwa, o której powyższy cyrkularz wspomina, zorganizowana została przez Rudolfa hr. Stadiona równocześnie z ekspozyturami. Utworzono ją z żołnierzy i ze straży skarbowej, a koszta połączone z tą nową instytucyą, włożono na dominia i uzasadniono to z posuniętą do szczytu perfidyą biurokratyczną tem, że dominia, podkopane przedtem w całej powadze swojej przez organa rządowe, są odpowiedzialne za panujący w danej chwili stan anarchii. »Utrzymywanie bezpieczeństwa w kraju — mówi cyrkularz żółkiewski (zapisany w księdze rozdziałowskiej) z 1 grudnia 1846 — stanowi jeden z najoczywistszych obowiązków dominiów, mających sobie poruczoną jurysdykcyę patrymonialną. Ścisłe dopełnienie tego obowiązku stanowi warunek bezpieczeństwa życia i mienia, publicznego spokoju i porządku. Wypadki ostatnich czasów i rzut oka na obecne położenie kraju dostarcza dowodu, że dominia wcale nie czynią zadość temu ciężącemu na nich obowiązkowi i że ta gałęź jurysdykcyi patrymonialnej wcale nie jest sprawowana«.

Straż bezpieczeństwa zostawała pod dyrekcyą cyrkułów, z których każdy posiadał oddział złożony z kilkudziesięciu ludzi. Bezpieczeństwo publiczne niezawodnie zyskało na ustanowieniu tej straży, chociaż w znacznej mierze była ona używana do roli polityczno-policyjnej. W rok później przystąpiono do przekształcenia tej straży na żandarmeryę, która w czasach reakcyi po r. 1848 wierną pozostawała tradycyom polityczno-policyjnym swej macierzy, dawnej straży bezpieczeństwa.

Powyżej scharakteryzowany, przeciw powadze szlachty skierowany kierunek reformatorskiej działalności Rudolfa hr. Stadiona wyraźnie ujawnił się w powołaniu wójtów do roli organów policyjnych. W czasach ustroju patrymonialnego nie było gminy w znaczeniu dzisiejszem, gminy w roli czynnika administracyi publicznej, więc nie było i zwierzchników gminnych w roli najniższych instancyi i organów administracyjnych. Wójtów ustanawiały dominia z grona trzech kandydatów, przedstawianych przez każdą gminę poddańczą, a tacy wójtowie spełniali pod kierunkiem urzędu dominikalnego funkcye informacyjno-wykonawcze. Reforma Stadionowska stanowi wyłom w ustroju patrymonialnym, a zakomunikowana została w taki sposób, jak gdyby chodziło tylko o pozbawioną zasadniczego znacze-

nia modyfikacyę formalnych przepisów. Cyrkularz złoczowski z 7 września 1846 (z księgi dominium baryłowskiego) tak przedstawia tę reformę: »C. k. nadzwyczajna pełnomocna komisya nadworna widziała się spowodowaną wprowadzić w przepisy o wyborze i zatwierdzeniu wójtów w gminach poddańczych tę modyfikacyę, że wprawdzie gmina ma jak dotąd przedstawiać dominium trzech zdolnych kandydatów, samo dominium jednak nie ma bezpośrednio zatwierdzać aktu wyborczego, lecz winno przedłożyć go z opinią urzędowi cyrkularnemu, który wójta ma zatwierdzić a potem zaprzysiądz. Co do ustanowionych już wójtów ma to nastąpić dodatkowo, jeżeli przeciw ich osobom nie zachodzą wątpliwości«. W cyrkularzach żółkiewskich (dominium rozdziałowskiego) z tej pory znajdujemy dalsze szczegóły tej reformy. Dominiom polecono zaopatrzyć wójtów w rzemienne przepaski przez piersi z blachą z napisem »wójt« i naturalnie z orłem cesarskim, który w tych czasach jako symbol władzy stokroć większe, niż dzisiaj, miał znaczenie. Oprócz tej przepaski miały dominia dostarczyć wójtom jako dalszego symbolu władzy lasek z dużemi gałkami blaszanemi. Dla tak udekorowanych wójtów wydało prezydyum gubernialne osobną instrukcyę służbową, co ich już stawiało formalnie w rzędzie organów, powołanych do współdziałania w zakresie policyjnym. Miały przytem dominia czuwać nad wyposażeniem wójtów w należne emolumenta, przedewszystkiem przez częściowe lub całkowite uwolnienie od pańszczyzny i podatków. W cyrkule przy zaprzysiężaniu pouczano zapewne wójtów ustnie w cztery oczy, że w danym razie nie potrzebują oglądać się na mandataryuszów. Na ten domysł naprowadza cyrkularz żółkiewski z 23 kwietnia 1847. Kiedy bowiem w jednym specyalnym wypadku wójt, zawezwany przez straż bezpieczeństwa do asystencyi dla przytrzymania podejrzanego indywiduum, uczynił to zależnem od poprzedniego zezwolenia mandataryusza, urząd cyrkularny zganił takie zastrzeżenie, a komunikując to innym dominiom podwładnym, tem samem postawił co do kompetencyi wójtów obok mandataryuszy, a ponad nich straż bezpieczeństwa.

Tak tedy mandataryat został pośrednio powyższemi zarządzeniami zredukowany co do władzy, a natomiast pozostał w całej pełni dawnych atrybucyi, o ile chodziło o funkcye uciążliwe dla poddanych, jak np. sprawy rekrutacyjne i podatkowe. Leżało to przecież w planie Rudolfa hr. Stadiona, aby mandataryusz uważany był przez

poddanych za nadstawionego ze strony dworu dręczyciela ludu. Żeby jednak mandataryusz nawet w tak okrojonej roli urzędowej nie grawitował ku dziedzicowi, jako chlebodawcy swojemu, lecz raczej uważał siebie po prostu za pachołka cyrkularnego, wydał Rudolf hr. Stadion ułożoną *ad hoc* instrukcyę dla cyrkułów o kwalifikacyi, ustanawianiu i opłacaniu mandataryuszy. Instrukcya ta stanowiła uzupełnione potrzebami rządu w danej chwili przypomnienie rozporządzeń józefińskich (z 17 września 1784) i późniejszych (z 7 lipca 1838). W świeżej instrukcyi, zakomunikowanej z cyrkułów dominiom w wrześniu 1846, a w naszym zbiorze najdokładniej powtórzonej w cyrkularzu żółkiewskim z 9 września 1846, położono nacisk na to, że mandataryusz musi się wykazać egzaminem, złożonym w urzędzie cyrkularnym, który przy zatwierdzeniu funkcyonaryuszy tej kategoryi postępować ma »z wszelką ścisłością«. Było to wcale niedwuznaczne ostrzeżenie dla mandataryuszy, że w swojej dotychczasowej dwoistej zależności od dziedzica i od cyrkułu, odtąd głównie na ostatni czynnik oglądać się powinni. Ostrzeżenie to przebija także z dalszych postanowień dekretu. Postanowiono mianowicie w następnym punkcie, że »nie może być ustanowiony żaden mandataryusz, którego pobory częścią w gotówce, częścią w naturaliach (nie wliczając w to pomieszkania bezpłatnie się należącego) nie wynosiłyby najmniej 250 złr. m. k., z czego połowa w gotówce ma być płacona«. Dodano zaraz, że jest to minimum, a w większych dominiach płaca musi być wyższa. Minimum to było złudne nawet w małych dominiach, o ile chodziło o faktyczny ciężar, przez dziedzica ponoszony. Ciężył bowiem na nim nietylko obowiązek dostarczania lokalu na kancelaryę dominikalną z potrzebnem urządzeniem i z personalem pomocniczym (pisarzy, policyantów i t. d.), lecz nadto obowiązek pokrywania wszystkich wydatków kancelaryjnych, kosztów podróży i dyet w sprawach rekrutacyjnych i podatkowych, w ogóle urzędowych. A wiadomo przecież, że ówczesna biurokracya cyrkularna, licho zresztą płatna, dyetami i kosztami podróży komisyjnych uzupełniała swoje pobory. Jakżeżby tedy mandataryusz nie miał iść za przykładem panów komisarzy cyrkulanych, zwłaszcza teraz, gdy nowa instrukcya pozwalała mu nie oglądać się na dziedzica, więc i na kieszeń jego. Z kieszeni tej czerpali odtąd coraz więcej i poddani, którym teraz za wszelkie usługi w sprawach urzędowych dobrze trzeba

było się opłacać. W takim składzie rzeczy wiele dominiów nie było w stanie utrzymywać osobnego aparatu administracyi dominikalnej. Dlatego pozwolono kilku dominiom łączyć się w celu ustanowienia wspólnego mandataryusza, ale do tego znowu potrzebne było osobne pozwolenie urzędu cyrkularnego. Potrzebne było to pozwolenie także do zmiany mandataryusza, bo nowa instrukcya postanawiała, że »dominia nie są uprawnione swoich mandataryuszy z własnej mocy i dowolnie oddalać, lecz może to nastąpić tylko za wiedzą i zezwoleniem urzędu cyrkularnego«. Był już tedy dziedzic zdany na łaskę i lojalność mandataryusza, zabezpieczonego w swoich poborach końcowym ustępem instrukcyi, który postanawiał, że »jeżeliby w należytej i punktualnej wypłacie poborów mandataryusza zajść miały trudności, cyrkuł jest uprawniony pobory w gotówce należne zaliczyć z kasy cyrkularnej za zwrotem z dochodów dominium«. Żeby wreszcie zapobiedz jakiemukolwiek ominięciu nowej instrukcyi, polecono dominiom osobnym cyrkularzem (z września 1846), aby odtąd przy przedstawieniu kandydata mandataryackiego cyrkułowi do przepisanego zatwierdzenia przedkładały zarazem zawrzeć się mający kontrakt służbowy.

Było to prawdziwe szczęście dla kraju a dla szlachty w pierwszym rzędzie, że zawichrzeniu stosunków polityczno-społecznych przez reformy Rudolfa hr. Stadiona nie dał rozwinąć się w całej pełni brat jego Franciszek, mianowany gubernatorem Galicyi w połowie r. 1847. Franciszek hr. Stadion ożywiony był na wstępie do Galicyi dobremi dla kraju intencyami i pozostał wierny tym intencyom w pierwszym okresie rządów swoich, zanim wśród wypadków burzliwego r. 1848, atakowany z jednej strony przez skrajne żywioły polskie, a pociągany z drugiej strony obleśnemi pochwałami i zachętami ku ruskiej radzie narodowej, nie wypadł z równowagi, zmieniając w chorobliwem podrażnieniu swoje sympatye i kierunek polityczny. Toteż z początku starał się naprawić niejedno złe, które kładł na karb biurokracyi. Świadczą o tem jego rozporządzenia i relacye do ministerstwa z tego okresu [1]), a zbiory cyrkularnych cyrkularzy, z których tutaj szczegóły czerpiemy, także posłużyć mogą na poparcie

[1]) Podałem je w monografii o Agenorze hr. Gołuchowskim. *(Przypisek autora).*

zdania powyżej wypowiedzianego. Nie znajdujemy w tym zbiorze zarządzeń, skierowanych według dotychczasowej tradycyi biurokratycznej jednostronnie przeciw szlachcie dla utrzymania poddanych w nastroju, którego rezultatem był r. 1846. Na działalność Franciszka hr. Stadiona z tej doby najwięcej korzystnego światła rzucają te cyrkularze, które z gubernium wychodziły do cyrkułów z naganami, upomnieniami i wezwaniem do odmiennego postępowania. Nie były one przeznaczone do szerszego rozpowszechniania, więc oczywiście niema ich w aktach dominikalnych.

Jako symptom zmienionej w gubernium metody postępowania w sprawach poddańczych uważać można cyrkularz żółkiewski z 13 września 1847 (w księdze dominium rozdziałowskiego), przypominający dominiom, że wobec nieurodzaju i przewidywanego ciężkiego przednowku mają »surowo« zapobiegać trwonieniu zboża przez poddanych, gdyż w razie zaniedbania tej przezorności musiałyby potem w myśl obowiązujących przepisów wspomagać dotkniętych niedostatkiem ze swoich zapasów. Było to zarządzenie niezawodnie odpowiadające rozkładowi praw i obowiązków w ustroju patrymonialnym i oparte na prawnej podstawie. Skoro bowiem na dziedzicu ciężył obowiązek wspierania poddanych na przednowku, w ogóle w niedostatku, to powinno mu było służyć także prawo czuwania nad tem, aby poddani lekkomyślnie nie marnowali swoich zasobów, polegając na zapasach dworskich jakby na własnej rezerwie. Ale kiedy w innych prowincyach władze cyrkularne zawsze przestrzegały równowagi praw i obowiązków w tej mierze, w Galicyi od czasów józefińskich kładły one większy nacisk na obowiązkowy ciężar, niż na prawo kontroli dziedzica.

Tem godniejszy podniesienia wydaje się nam powyższy cyrkularz, ile że hr. Franciszek Stadion spowodował jego wydanie po rabacyi r. 1846, która mogła utwierdzić poddanych w mniemaniu, że wolno im wszystko zabierać, nietylko ze spichlerzy dworskich, lecz także i z samych dworów, zwłaszcza wobec faktu, że istniało wydane przez Rudolfa hr. Stadiona rozporządzenie, grożące mandataryuszom surowemi karami za wszelkie »sekatury i drażnienia« poddanych. Kontrola dziedzica nad poddanymi w powyższym kierunku mogła być tedy łatwo zakwalifikowaną jako »sekatura i drażnienie«.

Cyrkularne cyrkularze z pierwszych miesięcy r. 1848 nietylko

nie potwierdzają zarzutów, podnoszonych wówczas przeciw Franciszkowi hr. Stadionowi pod względem politycznym i społecznym, lecz owszem każą to po słuszności zaznaczyć, że postępował on legalnie i wobec kraju lojalnie. Patenty konstytucyjne z 15 marca 1848 podano z jego rozkazu do wiadomości dominiów już 22 marca, a zaraz potem prezydyum gubernialne zganiło to starostom cyrkularnym, że nie dość pospiesznie zarządzili promulgacyę tych patentów po gminach z przepisanem odpowiedniem pouczeniem ludności wiejskiej. Polecono to uczynić natychmiast i rozesłano formularz takiego pouczenia. Na dowód tego, cośmy powyżej powiedzieli o postępowaniu Franciszka hr. Stadiona, przytaczamy to przepisane pouczenie według cyrkularza żółkiewskiego z 1 kwietnia 1848. Tak ono opiewało: »W odczytanym patencie raczył Najj. Pan *a)* znieść dotychczasowe ustawy o cenzurze, *b)* zezwolić na utworzenie gwardyi narodowej i *c)* zapewnić nadanie konstytucyi. Wolność prasowa polega na tem, że w gazetach i książkach wolno drukować, co się podoba, a co nie wykracza przeciw religii lub publicznej spokojności, że swobodnie i otwarcie wolno objawiać drukiem swoją opinię o tem, co potrzebnem jest dla kraju, lub dla poszczególnej klasy ludu, jak to lub owo należałoby zmienić dla dobra powszechnego, przez co ci, których czytanie zrobi uważnymi na jakie niedostatki, łatwiej mogliby swoje zapatrywania sprostować i przyczynić się do dobra powszechnego. Gwardya narodowa jest uzbrojeniem narodu dla utrzymania spokoju, porządku i bezpieczeństwa, do czego bez różnicy stanu i rangi należą ci wszyscy, którzy mają stałe posiadłości, albo inteligencyą na zaufanie zasługują, więc właściciele gruntów, mieszczanie, rzemieślnicy, studenci, uczeni i urzędnicy. Na razie uzbrojenie to ma miejsce tylko w miastach głównych. Co do innych miejscowości wyczekiwane być musi wyższe zarządzenie. W sprawie konstytucyi, najwyższego z trzech dobrodziejstw, nastąpi unormowanie prawnego ustroju państwowego, do czego mężowie ze wszystkich stanów powołani będą. Każdy ma przytem prawo powiedzieć, co dla jego stanu byłoby najlepszem. Wszystkie te wskazówki wzięte będą pod obrady i według tego zostaną ustawy rządowe postanowione, tudzież dochody i wydatki państwa ułożone. Każdy będzie wiedział, jak użyte są płacone przezeń podatki i opłaty. Prawo obradowania nad naszemi potrzebami jest tedy wynikiem konstytucyi«.

Także i rozporządzenie o gwardyi narodowej starostowie cyrkularni zakomunikowali z rozkazu Franciszka hr. Stadiona dominiom w sposób lojalny, nazywając gwardyę »jedną z najsilniejszych podpór urządzeń konstytucyjnych« i zarządzając »natychmiastowe wprowadzenie w życie« w miastach i miejscowościach z ludnością powyżej 1.000. Tak opiewa zarządzenie prezydyum gubernialnego według cyrkularza żółkiewskiego z 18 kwietnia 1848, w którym dominiom polecono zaraz ustanowić komitety organizacyjne, do których w gminach wiejskich należeć mieli oprócz delegowanego urzędnika cyrkularnego, »dziedzic lub jego zastępca i wójt z dwoma deputatami, a w ich braku z dwoma członkami gminy przez dziedzica wybranymi«.

Chociaż Franciszek hr. Stadion w pierwszych chwilach rozbudzonego ruchu konstytucyjnego wprost drżał na myśl, że ekstrawagancye radykalnych żywiołów mogłyby doprowadzić do podobnego wrzenia po wsiach, jak w r. 1846, chociaż ewentualność taką uważał za katastrofę dla siebie jako powołanego do pacyfikacyjnej misyi gubernatora i tak też rzecz przedstawiał tam, gdzie z obowiązku szczerym być musiał, t. j. w relacyach swoich do bezradnego i bezwładnego ministerstwa ówczesnego, mimo to w naszych popularnych obrazach historycznych r. 1848 ustaliło stę twierdzenie, że ówcześni starostowie cyrkularni nie bez wiedzy gubernatora próbowali pod formą gwardyi narodowej zorganizować chłopstwo w bandy, przeznaczone do stłumienia ewentualnych porywów rewolucyjnych. W naszym zbiorze cyrkularzy znaleźliśmy jedno zarządzenie gubernialne, które w braku krytycznego oświetlenia mogłoby uchodzić za poparcie powyższego posądzenia. Zarządzenie to tak jest sformułowane w cyrkularzu złoczowskim z 25 kwietnia 1848: »Z powodu zapytań co do uzbrojenia gwardyi przy obecnym braku broni i objawiającej się tu i owdzie niechęci ludności wiejskiej przeciw wstępowaniu do gwardyi, dalej co do jej uniformowania, oznajmia się wskutek reskryptu prezydyum krajowego z 21 kwietnia b. r., że ponieważ ustanowienie gwardyi narodowej jak najrychlej ma być przeprowadzone, zachodzący na razie brak broni nie powinien wstrzymywać sprawy, a dalszej organizacyi gwardyi po skończonej konskrypcyi tem mniej nie należy odwlekać aż do sprowadzenia broni w zwyczajny sposób, ile że brak jej u ludności wiejskiej może być kosami dostatecznie zastąpiony. W ogóle nie należy, mianowicie po

wsiach, stawiać większych wymagań, aniżeli cel tej straży ludowej nieodzownie potrzebnem czyni. Nie potrzeba tutaj ani zwyczajnej broni, ani uniformów, ani ćwiczeń czas zajmujących i nużącej służby. Najrychlejsze zorganizowanie gwardyi stanowi pilną potrzebę. Ludność wiejską pouczyć należy, że gwardya narodowa nie jest niczem innem, jak tylko jednakowo w całym kraju zorganizowaną strażą gminną, a jej celem nie jest nic innego, jak tylko utrzymanie spokoju i porządku, zabezpieczenie własności przed uszkodzeniem w obrębie własnej gminy, wreszcie ewentualne wspieranie rządu. Komenda odbywać się będzie w języku krajowym, a bliższe postanowienia w tej mierze zostaną wydane. Ponieważ gwardya narodowa po wsiach, a na razie po części także i w miastach pozostanie bez uniformu, a potrzebna jest dla niej odznaka w służbie, aby każdy ją poznać mógł, przeto, zanim naczelna komenda wyda dalsze w tej mierze postanowienia, za odznakę służyć ma biała wstęga, którą gwardzista nosić będzie na lewem ramieniu, gdy jest w czynnej służbie«.

Niepodobna tego zaprzeczyć, że wzmianka o uzbrojeniu gwardyi w kosy w połączeniu z dalszą wzmianką o ewentualnem wspieraniu rządu stanowiła niezręczność, nawet niezręczność fatalną, zwłaszcza wobec faktu, iż po cyrkułach przeważała jeszcze stara biurokracya, o której przypuścić było można, że w danym razie znowu gotowa będzie do wyświadczenia rządowi podobnej przysługi niedźwiedziej, jak w r. 1846. Jednakże stąd jeszcze niepodobna wysnuwać podejrzenia, że Franciszek hr. Stadion, o tyle wyższy od współczesnej biurokracyi, nietylko galicyjskiej lecz w ogóle austryackiej, miał *à la* Breinl na myśli ewentualne powołanie posiłków hajdamackich.

W chwili, kiedy Franciszek hr. Stadion był z jednej strony do żywego podrażniony przez radykalne żywioły lwowskie, a z drugiej strony oplątany sidłami obleśnej rady świętojurskiej, kiedy wreszcie, według ówczesnych relacyi swoich do ministerstwa był do głębi przekonany, że we Lwowie wkrótce przyjdzie do zbrojnego wybuchu, wysłał do urzędów cyrkularnych, a przez nie do dominiów ostry, nawet gwałtowny w formie cyrkularz (z 18 maja 1848 r.) przeciw emigrantom. Skoro przytoczyliśmy powyżej cyrkularze, świadczące o początkowo dobrych intencyach Franciszka hr. Stadiona, podamy tutaj z naszego zbioru także i ten ostatni akt, który jako

początek fatalnego zwrotu w politycznem postępowaniu gubernatora może najwięcej przyczynił się do wydania nań w opinii polskiej wyroku nieodwołalnie potępiającego. Według cyrkularza żółkiewskiego (w księdze dominium rozdziałowskiego) tak ten akt opiewa: »Istnieje w Galicyi stronnictwo, które swobód krajowi konstytucyą nadanych tylko do tego używa, aby tem nieroztropniej i gorliwiej zmierzać do obalenia istniejącego porządku, a emigranci, czy to dlatego, że knowanie stało się ich naturą, czy to przynętami tego stronnictwa uwiedzeni, — odpłacają wspaniałomyślność i łagodność, z jaką przyjęci zostali, najczarniejszą niewdzięcznością, gdyż usiłują w połączeniu z tutejszymi burzycielami mieszczaństwo i lud wiejski podburzyć przeciw rządowi, pobudzić do nieposłuszeństwa ustawom i zarządzeniom władzy, a nawet do gwałtownego oporu i w swojej bezwstydności tak daleko się posuwają, że szydzą z organów rządowych spełniających swe obowiązki i występują przeciw nim z buntowniczymi protestami, pewni poparcia, jakiego im użycza wyuzdana prasa, tylko z oszczerstwa i lżenia rządu i jego organów haniebny żywot swój wiodąca. Dalsze spokojne znoszenie tego zgubnego działania nie byłoby już wspaniałomyślnością i łagodnością, lecz słabością, nawet więcej, niż słabością, byłoby zdradą wobec obowiązku, w myśl którego władze o utrzymanie publicznego spokoju i porządku starać się mają i wobec każdego obywatela państwa obowiązane są popierać dążenia do tego celu. Biorąc na uwagę ten święty obowiązek, polecam wszystkim panom starostom cyrkularnym, aby bezzwłocznie zwrócili uwagę wszystkich dominiów i wszystkich gmin na knowania tego stronnictwa przewrotu i wyraźnie nakazali tak dominiom jak i zwierzchnościom gminnym, aby każdego, ktoby się poważył publicznie lżyć władzę rządową i jej organa, wzywać lud do nieposłuszeństwa zarządzeniom władz, do niesłuchania otrzymanych rozkazów lub nawet nakłaniać do powstania przeciw rządowi austryackiemu i werbować do udziału w zamierzonym przewrocie obecnego porządku rzeczy, natychmiast aresztowały i do cyrkułu odstawiały. W każdej gminie jednak należy zarazem obwieścić, aby nikt pod zagrożeniem postępowania według całej surowości prawa karnego nie ważył się popełniać na aresztowanym nadużycia lub znieważenia. Zaraz po odstawieniu takiego indywiduum cyrkuł ma dochodzić zarzuconego mu przestępstwa i jeżeli czyn kwalifikuje się do kryminalno-sądowego postępowania, akta przesłać sądowi kry-

minalnemu i obwinionego tamże odstawić, w innym zaś wypadku postąpić w własnym zakresie. Obcokrajowi, którzy staną się winni takiego przestępstwa i w ten sposób haniebny gościnności nadużyli, mają być z krajów austryackich wydaleni i rządowi tego kraju wydani, do którego z urodzenia lub zamieszkania należą. Ilekroć zajdzie wypadek urzędowego postępowania w cyrkule, należy zaraz donieść prezydyum krajowemu«.

Nie kreślimy tutaj ogólnej charakterystyki Franciszka hr. Stadiona, więc nie potrzebujemy bliżej komentować powyższego aktu, ale na wszelki sposób dziś przynajmniej godzi się miarę potępienia dostosować do ówczesnej fatalnej sytuacyi gubernatora cesarskiego wobec roli, odgrywanej w r. 1848 we Lwowie przez radykalne żywioły i wysłanników emigracyjnych, a sąd o tej roli wydawać według takiego klasycznego świadectwa, jakie stanowią pamiętniki ówczesnego komendanta gwardyi narodowej, generała Romana Wybranowskiego.

Wkrótce po wydaniu powyższego cyrkularza znikł Franciszek hr. Stadion z widowni lwowskiej, a gdy w kilka miesięcy później wypłynął na widowni wiedeńskiej w roli ministra spraw wewnętrznych, smutną akcyą swoją tak czarno zapisał się w historyi Galicyi, że w zupełne zapomnienie poszedł jasny epizod jego życia i pracy w pierwszym okresie gubernatorstwa galicyjskiego.

*
* *

Stanęliśmy u kresu naszych zapisków z czasów i aktów dominikalnych, bo z chwilą zniesienia pańszczyzny najpierw w Galicyi, a potem w całem państwie austryackiem, znikł ustrój patrymonialny. Kancelarye dominikalne z mandataryuszami pozostały w funkcyach swoich jeszcze kilka lat aż do zaprowadzenia urzędów powiatowych, ale odtąd już na koszt państwa, więc i w charakterze organów rządowych. Kiedy zmiany tej dokonywano, przysłano z Wiednia do opublikowania pouczenie dla ludności wiejskiej o nowym ustroju władz z uroczystem upomnieniem, aby »bez żadnego oporu posłuszna była zarządzeniom i decyzyom« dotychczasowych organów patrymonialnych. W Galicyi po r. 1846 i reformach administracyjnych pełnomocnego komisarza nadwornego, Ru-

dolfa hr. Stadiona, dla ludności wiejskiej nie byłoby dostatecznem samo takie wezwanie, chociażby ujęte w formę uroczystą i groźną, gdyby naczelna władza w kraju nie była równocześnie przeszła w ręce Agenora hr. Gołuchowskiego, który umiał w praktyce urzędowej położyć kres dawnej polityce cyrkularnej w stosunku do dworów i gmin wiejskich.



MAURYCY KRAIŃSKI.

VII.

Z teki Maurycego Kraińskiego.

W umieszczonem w »Przewodniku naukowo-literackim« z r. 1900 studyum historycznem p. t. »Agenor hr. Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859)« podniesiona została wybitna rola obywatelska Maurycego Kraińskiego w tych smutnych czasach prostracyi politycznej kraju, kiedy pole obywatelskiej pracy było jeżeli nie zamknięte, to najeżone dokoła przeszkodami i trudnościami, z któremi do walki stanąć mogły tylko osobistości wyposażone wyższą miarą energii i abnegacyi obywatelskiej, a nadto świadome tej doniosłości, jaką w tym okresie wielkich reform i przekształceń w stosunkach ekonomiczno-społecznych miało już samo zapobieganie, odwracanie a przynajmniej łagodzenie ciosów, grożących krajowi od ówczesnego systemu administracyjnego.

Maurycy Kraiński należał do rzędu nielicznych osobistości tego rodzaju, stał w ich pierwszym rzędzie, a ceniony wysoko przez Namiestnika Agenora hr. Gołuchowskiego, był przezeń wciągany do każdej akcyi, w której znajomość prawnych stosunków, potrzeb kraju i chęć służenia jego interesom łączyć się musiały z wytrwałością i abnegacyą, nieoglądającą się na rozgłos i popularność, nie zrażającą się ani trudnościami ani widokiem bezsilności wobec nieprzyjaznych prądów i żywiołów, lecz owszem szukającą w tych trudnościach tylko podniety do dalszych wysiłań.

Wierny towarzysz hr. Gołuchowskiego we wszystkich pracach

i zabiegach obywatelskich tej doby, Maurycy Kraiński oddał krajowi niespożyte usługi, włożył we wszystkie wówczas traktowane a tak ważne sprawy krajowe tyle trudu i pracy, że kto to bliżej poznać mógł ze źródeł do historyi tych czasów, musi być podziwem przejęty.

Maurycego Kraińskiego cechowała niezwykła skromność, uderzająca i godna wyniesienia w dzisiejszych czasach, kiedy wobec łatwości zdobywania rozgłosu i reklamowania prac i zasług w życiu publicznem, ta właśnie cnota jest na najcięższe próby wystawiona i niestety zbyt często im ulega. Maurycy Kraiński był w pierwszym okresie rządów hr. Agenora Gołuchowskiego uczestnikiem wszystkich ankiet i komisyi, w których rozstrzygały się najważniejsze sprawy krajowe, był uczestnikiem wybitnym, ale zawsze tak skromnym, że o nim może najmniej mówiono.

Po śmierci Maurycego Kraińskiego rodzina złożyła wszystkie pisma przez niego zebrane i uporządkowane w Bibliotece Ossolińskich [1]). Zbiór ten, obejmujący sześć fascykułów, zawiera nietylko memoryały pisane przez Maurycego Kraińskiego na wezwanie Namiestnika hr. Gołuchowskiego, Ministerstwa lub w roli referenta Wydziału stanowego, lecz nadto także prace innych współczesnych uczestników różnych ankiet i komisyi, dla sprawy pańszczyźnianej zwoływanych, wreszcie różne druki, odnoszące się do czasów, w których dokonywała się wielka reforma agrarna w kraju naszym. Zbiór ten naprowadza na domysł, że Maurycy Kraiński zamierzał napisać historyę zniesienia stosunku poddańczego w Galicyi, a może nawet historyę stosunku poddańczego w ogóle od czasu przyłączenia Galicyi do Austryi. Na podjęcie takiej pracy brakło czasu a potem sił. Maurycy Kraiński bowiem nie schodził z widowni publicznej aż do późnego wieku i był zawsze niezmordowanie czynnym, zwłaszcza w pierwszych latach ery konstytucyjnej, kiedy powstawał Wydział krajowy, do którego organizacyi najwięcej się przyczynił. Kiedy wreszcie usunął się z Wydziału krajowego i ze służby publicznej w ogóle, aby osiąść na wsi, wiek zgrzybiały nie pozwolił wziąć się do pracy zamierzonej. Jest to strata niepowetowana, bo takiej monografii historycznej, o jakiej wyżej wspomniano, dotąd nie posiadamy, a do jej napisania nikt nie był tak kompetentny, jak Maurycy Kraiński.

---

[1]) Rękopis Bibl. Ossolińskich Nr. 2.945. (Zbiór materyałów do historyi zniesienia stosunku poddańczego w Galicyi).

Zbiór aktów, pism i druków, które ze spuścizny Maurycego Kraińskiego dostały się Bibliotece Ossolińskich, stanowi materyał pierwszorzędnego znaczenia dla każdego, kto kiedykolwiek podejmie się napisania historyi zniesienia stosunku poddańczego w Galicyi, historyi tego stosunku w ogóle. Z materyału tego tylko małą cząstkę wyzyskaliśmy w poniższych szkicach, odnoszących się do spraw, które nawet w fragmentarycznem opracowaniu stanowią całość, a rzucają światło na stosunki i położenie kraju w jednym z najważniejszych okresów jego historyi od czasu przyłączenia do Austryi.

I.

Chwiejność przepisów prawnych o stosunku poddańczym i dowolność biurokracyi w ich zastosowywaniu.

Jakkolwiek już w dawnych czasach zachodziły różnice w rodzaju i ilości ciążących na poddanych powinności dworskich, to jednak zawsze stały w pewnym stosunku do posiadanych przez włościan gruntów. Ustawodawstwo austryackie nie miało na uwadze owego stosunku. Patenty, uchwały, dekrety, rozporządzenia i przepisy regulowały, zmniejszały, znosiły powinności bez żadnej pewnej zasady. Często stały one w sprzeczności z sobą, niektóre chwilową tylko miały mieć prawomocność. Największą część przepisów, odnoszących się do poddaństwa, publikowano za rządów cesarza Józefa II, a we wszystkich przebijała dążność do zamierzonej przez niego radykalnej regulacyi powinności poddańczych i stosunku między dziedzicem a chłopem. Na schyłku panowania cesarza Józefa nastąpił zwrot w tym radykalizmie, ale zresztą kierunek, wytknięty ustawodawstwem w tej sprawie, nawet po dokonanych modyfikacyach utrzymał się niemal do r. 1848.

Wydane za panowania cesarza Franciszka ustawy policzyć należy do kazuistyki. Chodziło najczęściej o wyjaśnienie, jak patenty cesarza Józefa mają być rozumiane i stosowane w poszczególnych wypadkach. Stąd wywiązał się chaos w przepisach poddańczych, przez które trudno było przebić się nawet najbieglejszym prawnikom austryackim. I nie mogło być inaczej, jeżeli zważymy, że w hierarchii ówczesnych urzędów administracyjnych, w których zakres sprawy pod-

dańcze po największej części wchodziły, zacierały się granice kompetencyjne. Często gubernium wydawało dekrety i przepisy, które obowiązywały dotąd, dopóki przy jakiej przypadkowej sposobności, dostawszy się do wiadomości kancelaryi nadwornej, nie zostały zmienione lub nawet zupełnie uchylone. Patenty, najwyższe uchwały i rezolucye przez monarchę wydane objaśniała, tłumaczyła a przytem oczywiście i naciągała kancelarya nadworna swoimi dekretami, a że objaśnienia takie często bywały wyrazem tylko indywidualnego pojmowania rzeczy, nie było nic dziwnego w tem, jeżeli niejeden dekret kancelaryi nadwornej uchylał to, co inny, powołując się na tę samą decyzyę cesarską, nakazywał.

Już samo dochodzenie podstawy prawnej do oznaczenia wymiaru obowiązków poddańczych połączone było z niemałemi trudnościami, a chwiejność i elastyczność wydanych w tej mierze przepisów powiększały owe trudności. Do oznaczenia należności, jakości i wymiaru powinności poddańczych służyły następujące źródła: 1) starodawne inwentarze; 2) lustracye przedsiębrane jeszcze za czasów Rzeczypospolitej; 3) inwentarze zarządzone zaraz po zajęciu Galicyi przez Austryę patentem z 22 grudnia 1772 (t. z. *Stock-Inventare)*, oparte na włożonym na dziedziców obowiązku wykazania powinności poddańczych według dawnych inwentarzy lub według przestrzeganego wówczas zwyczaju; 4) inwentarze sporządzane sądownie przy sposobności detaksacyi lub zmiany właścicieli dóbr ziemskich; 5) inwentarze sporządzane lub sprawdzane przy różnych sposobnościach przez urzędy cyrkularne; 6) inwentarze spisywane w r. 1785 i 1789 dla zamierzonej przez cesarza Józefa regulacyi (tak zwane urbaryusze); 7) fasye przedkładane przez dziedziców dla opodatkowania wszystkich dochodów (w r. 1774), a potem dochodów urbaryalnych, t. j. z powinności poddańczych w szczególności (w r. 1819).

Mało było w kraju wsi, w których zgadzałyby się przynajmniej dwa dokumenta co do wymiaru należnych dziedzicom powinności, chociaż wszystkie spisywane były pod rygorem zaprzysiężenia, z zagrożeniem kary a nawet pod utratą prawa do poboru zatajonych powinności. Niezgodność ta wzmagała się w miarę, jak z biegiem czasu powstawały zmiany w wymiarze powinności poddańczych, wskutek zniesienia niektórych powinności i powstawania nowych gospodarstw inwentarzami nieobjętych (z karczunków, z osuszonych gruntów, z wydzielenia gruntów dominikalnych przez dziedziców i t. p.). Nadto

moc dowodowa tych dokumentów była w wielu wypadkach wątpliwa, gdyż nie wszystkie były spisywane wobec obowiązanych i zaopatrzone ich podpisami, a włościanom pozostawiono możność składania dowodu przez niezaprzysiężonych świadków, że w dawniejszych czasach odrabiali powinność mniejszą od tej, jaką inwentarze lub fasye wykazywały.

Rozporządzenia, określające ważność poszczególnych dokumentów tej kategoryi przy rozstrzyganiu sporów, były niejasne; kolidowały z sobą, więc sprawiały urzędom trudności przy stosowaniu w danych wypadkach. Decyzya zależała w takim razie częstokroć od większej lub mniejszej biegłości urzędnika lub broniącego się dziedzica w naciąganiu faktów do postanowień tego lub owego rozporządzenia.

Spory, w których strony opierały się na dowodach z dokumentów, należały właściwie do kompetencyi sądowej, a tymczasem faktycznie załatwiane były przez władze administracyjne.

W rozstrzyganiu sporów władze administracyjne przestrzegały normy, że już samo posiadanie gruntu nadawało włościaninowi prawo do niejakiej własności z wszystkiemi ze stosunku poddańczego wypływającemi, a przez szczegółowe przepisy określonemi, dobrodziejstwami. Tak niesprawiedliwa norma nietylko wytwarzała nowe źródło sporów i waśni między dworem a poddanymi, lecz nadto w nieuniknionej konsekwencyi musiała jak najzgubniej wpływać na stosunki gospodarcze. Dziedzice bowiem, widząc się zagrożonymi w prawach swoich, pozostawiali odleglejsze obszary odłogiem, aby nie wystawiać się na niebezpieczeństwo utraty własności gruntowej z mocy powyższej normy. Ale nawet i ta przezorność nie zabezpieczała dostatecznie własności dziedziców. Włościanie bowiem zwolna ale wytrwale wciskali się w ich grunta, a skoro raz weszli w takie nieprawne ale faktyczne posiadanie, już windykacya własności była trudną dla dziedzica.

Całe ustawodawstwo józefińskie i pojózefińskie o stosunkach poddańczych, pełne luk i sprzeczności co do zasad prawnych, a jasne i konsekwentne tylko w dążności do wytwarzania przepaści między dworem a gminą, musiało stać się w ręku obcej a wrogiej krajowi biurokracyi istną plagą społeczną i ekonomiczną dla Galicyi. Wytwarzał się z biegiem czasu stan nieznośny rozstroju i niepewności jutra, bo każdy nowy system rządowy w sposobie wykonywania przepisów o stosunkach poddańczych, znajdował najlepsze narzędzie

do uwydatnienia swoich tendencyi. W pierwszych latach XIX stulecia stosunkowo najmniej uczuwać się dawała dziedzicom dowolność i dokuczliwość biurokracyi, bo był to okres nieustannych zawikłań wojennych, wśród których rządowi zależeć musiało na utrzymaniu wewnętrznego spokoju. Skoro jednak okres ten zamknął się wiedeńskim traktatem pokojowym, zaczęły się wichrzenia biurokracyi galicyjskiej na tle stosunków pańszczyźnianych, gdyż polityka wymagała tego, aby po klęskach wojennych lud wiejski został przywiązany do rządu rekompensatą za wszystkie uciążliwości czasów wojennych, za krew przelewaną na dalekich pobojowiskach, za zwiększone ciężary podatkowe i za utratę bydła pociągowego w dalekich podwodach. Nagle tedy za widoczną inspiracyą biurokracyi zaczęły jak grzyby po deszczu wyłazić wszędzie różne pretensye i skargi poddanych, a za niemi spadały na dziedziców z cyrkułów komisye, dochodzenia i t. p. z takiemi dotkliwemi następstwami, jak przysądzanie włościanom gruntów, które nieprawnie zabrali, ale faktycznie posiadali, wymierzanie kar w podwójnej wartości rzeczywistych lub mniemanych przekroczeń dziedziców przy wymiarze powinności poddańczych i t. p. Urzędnikowi, który załatwił wiele t. zw. spraw pregrawacyjnych na korzyść poddanych, poczytywano to za zasługę, więc każdy karyerowicz starał się o to, aby poddani dali jak najwięcej sposobności do zdobycia takiej zasługi przez wnoszenie skarg i pretensyi przeciw dziedzicom. Na wielką skalę odbywało się to w r. 1817 z powodu zapowiedzianego przyjazdu cesarza Franciszka do Galicyi. Za staraniem gorliwych agentów po wsiach, pokątnych pisarzy, wpływały wtedy skargi na dziedziców z wszystkich gmin oczywiście na ręce cesarza Franciszka, który też istotnie tysiące takich pism zabrał ze sobą do Wiednia. Ale i ze strony dziedziców wpływały także skargi do tronu z powodu nietaktownego i samowolnego postępowania organów administracyjnych w sprawie pańszczyźnianej. Cesarz Franciszek nie myślał o kontynuacyi radykalnej polityki józefińskiej w sprawie pańszczyźnianej, więc może nie tyle z łaskawości dla szlachty galicyjskiej ile z względów na spokój społeczny, którego zamącenie na jednym punkcie monarchii mogło łatwo odbić się także dotkliwie na innych uprzywilejowanych prowincyach, skłonił się do wydania w r. 1821 instrukcyi, w której w energicznych wyrazach zgromione zostało samowładne i nieoględne postępowanie niższych organów administracyjnych a szcze-

gólnie komisarzy obwodowych. Instrukcya ta surowo nakazywała, aby prawo własności dziedziców było szanowane.

Początkowo biurokracya galicyjska nie bardzo wzięła sobie do serca to upomnienie cesarskie, bo w r. 1823, kiedy cesarz Franciszek przejeżdżał przez Galicyę do Czerniowiec na spotkanie z cesarzem rosyjskim, znowu wpłynęły tysiące skarg od poddanych. Ale tym razem i dziedzice już daleko śmielej występowali ze swojemi skargami na postępowanie władz w sprawie pańszczyźnianej. Musiano zastosować zalecony przez cesarza rygor w szanowaniu praw własności dziedziców, wskutek czego niejedna gmina, polegająca na otrzymanych już niesłusznie, przychylnych sobie decyzyach niższych organów administracyjnych, wystawiona została na ciężkie przejścia, mianowicie na kary i egzekucye wojskowe w razie oporu co do dopełnienia powinności poddańczych według późniejszych, w sprzecznym duchu wydanych orzeczeń wyższych instancyi. W ówczesnem ustawodawstwie austryackiem bowiem istniało co do spraw poddańczych to wyjątkowe rozporządzenie, że rekursy nie wstrzymywały doraźnej egzekucyi dekretów której bądź instancyi. Wiele w najwyższych instancyach zakończonych spraw wznawiali wówczas już i dziedzice, a niezbyt rzadko zachodziły wypadki, że taką sprawę wznowioną załatwiano w duchu zupełnie przeciwnym pierwotnej decyzyi. Było to mianowicie w czasie, gdy na sąsiednim Śląsku chłopi podburzani w podobny sposób jak w Galicyi, stawiać zaczęli opór tak zuchwały, że dla wymuszenia posłuszeństwa ówczesny komisarz obwodowy książę Lobkowitz musiał ściągnąć wojsko, które z broni palnej użytek zrobiło. Zachodziły wtedy także i w Galicyi wypadki krwawej egzekucyi.

Po upadku powstania w Królestwie Polskiem w r. 1831 zawiał w Austryi, mianowicie w Galicyi, chwilowo silny prąd, dotąd w tym kraju nieznany. Szlachta polska nietylko przestała być uciskaną, lecz nawet zdawała się wchodzić w łaskę u rządu centralnego. Cesarz Franciszek wydał ogólną amnestyę dla galicyjskich uczestników powstania, zezwolił na pobyt emigrantów z Królestwa Polskiego w Galicyi i zarządził odpisanie zaległości podatkowych, a przedewszystkiem szlachtę obciążających. Ówczesny gubernator Galicyi książę Lobkowitz manifestował ten zwrot w polityce rządu wiedeńskiego tak dalece, że nawet sam pokazywał się w stroju polskim, w którym widzieć go też można na jednym z współczesnych wizerunków.

Prąd ten jednak trwał niedługo, a niestety do zmiany dostar-

czano powodów także i z kraju. Goręt̨sze jednostki ze szlachty pomimo świeżego pogromu dawały się wplątać w tajne związki spiskowe, wskutek czego nastąpiły rewizye, aresztowania, a w końcu wydalanie emigrantów, uważanych za główny czynnik ruchu. Nie brakło w ówczesnej emigracyi, w Galicyi przebywającej, żywiołów demagogicznych, które już wówczas zainicyowały ową nieszczęsną, później przez emigracyę polską z Paryża ze zdecydowanym planem szerzoną agitacyę, mającą na celu pozyskanie chłopa dla sprawy spiskowo-narodowej przez przyrzeczenie zniesienia pańszczyzny. Na razie agitacya ta osiągała jeden cel, nieprzewidywany może a tem mniej zamierzony przez jej inicyatorów, t. j. sprowadzała wodę na młyn tej zawistnej krajowi biurokracyi, która w podtrzymywaniu i ustawicznem podsycaniu waśni pomiędzy dworem a gminą, pomiędzy dziedzicami a poddanymi widziała szczyt mądrości politycznej, najlepszy i najpewniejszy środek utrwalenia własnej i rządu powagi w Galicyi. Zaczęły się napowrót dawne praktyki biurokratyczne z wywoływaniem skarg chłopskich na dziedziców, a w skargach wznawiano oczywiście wszystkie grawamina, w których poprzednio powiodło się dziedzicom uzyskać decyzye korzystne dla siebie a zgodne z prawem i słusznością. Zaczęło się także dawne odmawianie powinności poddańczych pod okiem władz, odmawiających egzekucyi, a natomiast popierających wszelkie żądania ulg w wymiarze powinności poddańczych, zapomóg nadzwyczajnych i t. p. obciążeń szlachty.

Wytworzył się ostatecznie stan tak nieznośny dla szlachty, że ogół dziedziców gotów był dla wyjścia z tego stanu ponieść wszelkie ofiary. Ale chodziło tutaj o stosunek, niedający się jednostronną decyzyą ani uchylić ani zmienić. Trzeba było pierwej prosić o to, aby wolno było zreformować ten stosunek lub całkowicie uchylić, chociażby kosztem samej tylko uprawnionej strony. W r. 1844 sejm stanowy wszedł na tę drogę, a na wniosek deputata Wydziału stanowego Tadeusza Wasilewskiego zapadła uchwała zawierająca prośbę do tronu w sprawie uregulowania stosunków poddańczych. Chodziło na razie o ustanowienie komisyi dla prac przygotowawczych w tej mierze, na co zgodził się cesarz najw. postanowieniem z 11 marca 1845 r. Sejm stanowy na sesyi swojej z tego roku wybrał członków zamierzonej komisyi, ale zanim ona skompletowana została delegatami rządowi zastrzeżonymi, krwawe wypadki r. 1846 zepchnęły sprawę

pańszczyźnianą z wytkniętej właśnie drogi spokojnego i prawnego rozwikłania w przepaść anarchicznego zamętu.

W obwodach zachodnio-galicyjskich, szczególnie w tarnowskim, anarchiczny posiew biurokracyi na gruncie pańszczyźnianym wydał plon tak bujny, że go się sami sprawcy zlękli. Chłop uważał pańszczyznę za zniesioną *ipso facto* rzezi, a ponieważ do wniosku tego doprowadzony został przez całe dotychczasowe postępowanie biurokracyi w tej sprawie, więc nie słuchał ani wezwań do odrabiania pańszczyzny, ani poważnych upomnień, popartych czasem nawet drastycznymi środkami egzekucyjnymi. Do szczytu doszła wtedy anarchia administracyjna, bo władza obwodowa, skompromitowana i zaangażowana wobec chłopa wypadkami lutowymi, nie miała żadnej powagi ani prawnej ani moralnej. Z Szelą trzeba było nawet paktować, ażeby go zjednać dla zarządzeń władzy w sprawie pańszczyźnianej przynajmniej o tyle, iżby nie nadużywał swojej krwawo zdobytej a znacznej powagi u chłopstwa w kierunku wprost zachęcającym do wytrwania w uporze. Miary anarchii dopełniała dwoista rola biurokracyi, bo widocznem było, że zachęca i skłania włościan do dopełnienia powinności poddańczych nie z szczerej intencyi osłaniania prawnych stosunków, lecz tylko pod naciskiem władzy centralnej w Wiedniu, która z swojej strony nalegała na władze galicyjskie także nie z szczerej troski o ciężko naruszony stan prawny w Galicyi i o los na każdym kroku uciskanej, nękanej i rujnowanej szlachty, lecz z obawy, aby ruch antipańszczyźniany nie przeniósł się do innych prowincyi austryackich, a widok wynagradzania chłopów galicyjskich za krwawe wybryki przeciw dworom nie wywarł wpływu demoralizującego. Jak dalece w motywa akcyi władz galicyjskich około poskromienia ruchu antipańszczyźnianego nie wchodziła troska o los szlachty, na to dowodem ówczesne wystąpienie niektórych biurokratów. N. p. komisarz Tobiaszek, który nie był w tej mierze odosobnionym i pełnił służbę w obwodzie, niezapisanym krwawo w historyi r. 1846 (w Przemyskiem), tak się odzywał do chłopów: »Nie dam spokoju tym dumnym panom, dopóki ostatnia hrabina nie będzie służyć za kucharkę u mojej żony, dopóki dziedzic jeżdżący czterma końmi o lasce chodzić nie będzie«.

W cyrkułach galicyjskich było wtedy wiele takich Tobiaszków, niezdolnych do ocenienia społecznej strony sprawy pańszczyźnianej i wchodzących w grę interesów nietylko kraju lecz także i państwa,

zaślepionych nienawiścią ku szlachcie i własnym interesem w podtrzymywaniu stanu, który co chwila dawał pretekst do zyskownych komisyi po gminach i dworach.

W gubernium miano już wtedy świadomość całej grozy sytuacyi, ale źródło złego widziano nie w systemie administracyjnym, nie w postępowaniu biurokracyi, lecz w agitacyi wrogów państwa i porządku społecznego. Ówczesny gubernialny referent sprawy pańszczyźnianej, radca Eminger (późniejszy namiestnik Dolnej Austryi) tak rzecz przedstawiał w swoich relacyach do kancelaryi nadwornej w r. 1846. Na przykład przytaczamy jeden ustęp z tych relacyi:

»Ostatnie smutne wydarzenia — pisze ten referent do Wiednia— jasno wykazały, że między ludem wiejskim panuje głęboka niechęć do pańszczyzny, z którą niestety łączą się częste nadużycia. Niechęć ta wskutek ostatnich wypadków wzrosła aż do jawnego oporu. Usiłowaniom władz, popartym przez liczne wojskowe asystencye, powiodło się wprawdzie na razie przywrócić posłuszeństwo gmin, ale niechęć ludności trwa dalej i obawiać się należy, że będzie ona ciągle wywoływać starcia między dziedzicami a poddanymi, spotęguje rozgoryczenie drugich a niezadowolenie pierwszych, nadweręży tem samem socyalny ustrój kraju, a nawet zagrażałaby publicznemu bezpieczeństwu, zwłaszcza wobec faktu, że wrogowie porządku socyalnego nie przestają wyzyskiwać tego materyału palnego dla swoich celów przewrotnych. Taki stan rzeczy, niebezpieczny dla wewnętrznego pokoju prowincyi i państwa, jest dla rządu aż nadto wystarczającym motywem, aby wziął pod rozwagę zniesienie pańszczyzny i zaprowadzenie ekwiwalentu w jej miejsce«.

II.

Ostatnia faza sprawy pańszczyźnianej.

Sprawa pańszczyźniana uznana została w wiedeńskich sferach rządowych za naglącą w chwili, kiedy tam przez gęstą mgłę fałszywych raportów gubernium galicyjskiego docierać zaczął bodaj słaby refleks jaskrawej prawdy o sytuacyi Galicyi, mianowicie zachodnich obwodów, po krwawych wypadkach z lutego 1846 r., kiedy już niemożna było dłużej łudzić się pierwotnem mniemaniem, że owe zbrojne

bandy chłopskie mordujące wszystko, co z dworów pochodzi i rabujące te dwory doszczętnie, stanowią legiony północnych Tyrolczyków, odpierających tylko zamachy na ich lojalność wobec państwa i dynastyi. Samo gubernium galicyjskie nie mogło ukryć tego przed Wiedniem, że owe bandy nie poprzestają na premii rabunkowej, samodzielnie sobie wymierzonej, lecz uważają to tylko za zaliczkę należnej im wyższej nagrody, za wstęp do zniesienia pańszczyzny. Generał-gubernator galicyjski arcyksiążę Ferdynand d'Este bawił już wtedy w Wiedniu, odwołany z krwawej widowni rabacyjnej z mnóstwem komplementów, z pod których jednak przebijało niezadowolenie z jego rządów. Br. Krieg mając teraz wolne ręce, jako prezydent gubernialny, przypuszczał zapewne, że powiedzie mu się kilku przykładami surowej represyi wobec gmin odmawiających krnąbrnie wszelkich świadczeń pańszczyźnianych, uśmierzyć rewoltę chłopską i stanąć wobec Wiednia jako tryumfator. Rachuba ta zawieść musiała, bo owa rewolta była tylko dojrzałym owocem Kriegowskiego posiewu, prostem następstwem całego postępowania biurokracyi cyrkularnej, która długie lata krzewiła waśń społeczną między dworem a gminą i w przededniu wybuchu szalonych zamiarów powstańczych w instrukcyach dawanych chłopstwu niemal wystawiła rewers na całkowite zniesienie świadczeń pańszczyźnianych.

Objawem trwożliwej refleksyi wiedeńskich sfer rządowych i trafniejszego poglądu na sytuacyę był już patent z 13 kwietnia 1846, zaprowadzający ulgi dla poddanych (zniesienie dalekich podwód i dni pomocnych z równoczesnem poddaniem zażaleń poddańczych pod bezpośrednią judykaturę administracyjną cyrkułów). W wstępie bowiem tego patentu wzywane, niemal zaklinane są gminy, aby zaniechały oporu w sprawie odrabiania pańszczyzny i spuściły się na troskliwość rządu o polepszenie ich doli. Co więcej, już w reskrypcie kancelaryi nadwornej, komunikującym ten patent, gubernium galicyjskie zostało wezwane do zwołania ankiety dla sprawy pańszczyźnianej. Przewidywano więc, że ulgi przyznane w powołanym patencie nie wystarczą na uśmierzenie rewolty chłopskiej, że trzeba pójść dalej na tej drodze, zawsze jednak tak ostrożnie, aby ustępstwa nie stanowiły niekorzystnego prejudykatu dla innych prowincyi i nie wyglądały tak, jak gdyby na rządzie wymuszone zostały. Dano to Kriegowi wyraźnie do zrozumienia, a przytem odezwano się do jego ambicyi i wyrażono oczekiwanie, że odpowiedniemi dyspozycyami administracyjnemi zara-

dzi »kłopotliwym« dla rządu symptomom jawnej anarchii w obwodzie Tarnowskim.

Na innem miejscu [1]) przedstawiliśmy rezultat tej ankiety, mianowicie jej uchwałę według projektu referenta Emingera i *votum separatum*, złożone przez Agenora hr. Gołuchowskiego wspólnie z Maurycym Kraińskim, a zawierające szeroko zakrojony projekt uwłaszczenia za indemnizacyą, obejmującą tak pańszczyznę jak i służebności. Cały ten elaborat gubernialny ugrzązł w ociężałym centralnym organie administracyi (w kancelaryi nadwornej), a ponieważ postawa zawiedzionego w oczekiwaniach swoich włościaństwa nagliła do bezzwłocznego przyznania dalszych ustępstw, przeto wysłano do Galicyi nadzwyczajnego komisarza, Rudolfa hr. Stadiona, który miał przeprowadzić tak zwaną regulacyę pańszczyzny. O całej misyi tego niefortunnego pacyfikatora i jej rezultacie pisaliśmy w powyżej przytoczonem dziele, ograniczając się jednak tylko do szczegółów potrzebnych na wypełnienie obrazu ówczesnego położenia Galicyi, jako tła historycznego dla uwydatnienia działalności Agenora hr. Gołuchowskiego. Obecnie uzupełniamy z teki Maurycego Kraińskiego te szczegóły tak, aby ten pamiętny epizod w historyi pańszczyźnianej a więc i w historyi kraju dokładniejsze przybrał kształty.

W sposób niezwykle uroczysty, prawie demonstracyjny, ogłoszono w kraju trzy okólniki gubernialne z 25 listopada 1846, wydane z mocy rozkazu »nadzwyczajnie upełnomocnionego komisarza nadwornego Rudolfa hr. Stadiona« — tak opiewał jego tytuł urzędowy — a oparte na najwyższem postanowieniu z 12 listopada 1846. Pierwszy okólnik ogłasza przyznanie własności użytkowej na gruntach rustykalnych ich »teraźniejszym prawym posiadaczom« i tłumaczy praktyczną doniosłość tej zmiany w ten sposób, że przepisy w patentach z 26 lipca 1784 i z 26 maja 1789 zawarte, według których poddani nie mogą ani gruntami swoimi za życia i na wypadek śmierci rozporządzać, ani bez zezwolenia dominium zaciągać długów 5 złr. przenoszących, »na przyszłość ustać mają i dozwala się poddanym wolne zarządzenie posiadłością swoją jednakże z tem wyraźnem zastrzeżeniem, iż niewolno im posiadłości tej obciążać długami ponad $^2/_3$ wartości«. Zwalnia dalej ten pierwszy okólnik poddanych

---

[1]) W dziele: Agenor hr. Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859). Rozdział I.

opuszczających grunta od obowiązku poprzedniego dostawiania dominiom zdatnych gospodarzy na swoje miejsce, a potem stanowi, co następuje: »Za to nawzajem uwolnione zostają dominia jako główni właściciele od dotychczasowej prawnie trwającej powinności dawania poddanym w razie potrzeby zapomogi w chlebie i nasieniu«. Kiedy jednak własność użytkowa dla poddanych została bezwarunkowo ogłoszona, co do owej rekompensaty dla dominiów mówi okólnik, że »wchodzi w wykonanie dopiero w trzy lata po zaprowadzeniu ksiąg gruntowych dla posiadłości poddańczych«.

Drugi okólnik gubernialny krótko a węzłowato orzeka, że jako czas normalny dla oznaczenia prawnej własności gruntów w Galicyi (czy są rustykalne lub dominikalne), służyć ma już nie jak dawniej r. 1786, lecz r. 1820. Widocznie przewidywano, że w ten sposób mnóstwo gruntów dominikalnych znajdujących się z łaski dziedziców *(praecario modo)* w posiadaniu włościan, stanie się odrazu ich własnością użytkową, więc dla złagodzenia tak jaskrawej dowolności administracyjnej w rozporządzaniu cudzą własnością dodano zastrzeżenie, że »w sporach o posiadanie i własność udowodnienie w drodze prawa wszelkich specyalnych stosunków prawnych nie jest wykluczone«.

Koronę całej tej reformy stanowi trzeci okólnik »o regulacyi pańszczyzny i innych powinności poddańczych«, regulacyi obmyślanej bez oglądania się na faktyczne stosunki w Galicyi, jak się zdaje, wzorowanej na stosunkach innej, Rudolfowi hr. Stadionowi lepiej znanej prowincyi (Moraw). Główne postanowienie tego okólnika, wypowiadającego we wstępie wyraźnie, że chodzi tutaj o »ostateczne dopełnienie zarządzeń zapewnionych najłaskawiej najwyższym patentem z 13 kwietnia 1846«, tak opiewa: »Połowa dochodu ze wszystkich posiadłości poddańczych, przez kataster prowizoryczny oznaczonego, ma po strąceniu kosztów uprawy służyć za miarę powinności dominiom odbywać się mających. Pozostającą po odtrąceniu wyrachowanej podług katastru wartości drobniejszych danin, które bez odmiany pozostać mają, resztę na pańszczyznę policzyć i tak na gruntową posiadłość włościańską podług teraźniejszej stopy podatkowej rozłożyć i podług klas każdemu posiadaczowi z osobna na powinność zapisać należy«.

Zasada ta łącznie z równocześnie ogłoszoną taryfą klas dla pańszczyzny pieszej i ciągłej nadawała reformie w oczach obywateli, sto-

sunki aktualne dobrze znających, charakter eksperymentu o niepojętej dowolności administracyjnej, z jednej strony wprost wyzuwającego dominia niektórych okolic z dochodu pańszczyźnianego, a z drugiej strony sprowadzającego co do poddanych w wymiarze pańszczyzny rażący brak równomierności.

Poniżej znajdzie czytelnik bliższe szczegóły o ujemnych stronach tej reformy. Tutaj to tylko na razie zaznaczyć wypada, że podczas gdy szlachta od razu spostrzegła grożące jej niebezpieczeństwo, lud wiejski obałamucony uroczystem ogłoszeniem reformy i zresztą w ogóle niezdolny do szybkiego zoryentowania się w praktycznej doniosłości ustanowionej taryfy pańszczyźnianej mniemał, że na prawdę doczekał się kresu wszystkich swoich dolegliwości pańszczyźnianych. Toteż remonstracya szlachty przybierała w oczach biurokracyi, tylko na włościan się oglądającej, charakter oporu podyktowanego jedynie względami na własne korzyści i zmierzającego ku udaremnieniu wszelkiej reformy. Takie też stanowisko zajął br. Krieg wobec pokornej prośby szlachty, aby u cesarza wyjednano jej pozwolenie na zjazd lub wysłanie delegacyi do tronu celem przedstawienia ujemnych stron narzuconej reformy. Prośbę tę przedstawił Krieg kanclerzowi Inzaghiemu w tem świetle i postawił wniosek, aby szlachty pod żadnym warunkiem nie dopuszczono do zabrania głosu w sposób powyższy. Tak dalece zależało br. Kriegowi na tem, że osobnem pismem zaklinał wszechwładnego w Wiedniu szefa policyi hr. Sedlnitzkyego, aby stanął po stronie jego wniosku. Cel ten został osiągnięty, a br. Krieg uważał niejako za punkt honoru jak najrychlejsze przeprowadzenie fatalnej reformy, gdyż już w grudniu 1846 r. wydane zostały w gubernium obszerne, całe folianty stanowiące, instrukcye do dominiów i cyrkułów z szczegółowem określeniem sposobu, w jaki mają być potrzebne do regulacyi daty zebrane, sprawdzone i następnie w jednolite operaty ułożone.

Z komisarzami cyrkułowymi, publikującymi po wsiach Stadionowską reformę i zbierającymi daty do operatu regulacyjnego oczywiście w sposób odpowiadający duchowi tradycyi biurokratycznej, więc w sposób podsycający niechęć i waśń między dziedzicem a gromadą, ruszyła się równocześnie w całym kraju cała zgraja pokątnych pisarzy i doradców chłopskich, przedstawiających poddanym, że skoro krok za krokiem zdobywają ustępstwa ze strony rządu, to powinni wytrwać w postawie groźnych malkontentów, dopóki nie dostanie się

im oczekiwana od lutego 1846 r. całkowita premia za lojalne postępowanie, t. j. zupełne darowanie pańszczyzny, gruntów, łąk, lasów i t. d. Pod wpływem takich podżegań z jednej, a dwuznacznego postępowania organów cyrkularnych z drugiej strony powstała w kraju sytuacya, wśród której szlachta obawiać się mogła nietylko ruiny majątkowej, lecz także ponowienia się wybryków samowoli chłopskiej. W kilku obwodach zachodniej i wschodniej Galicyi (Bochnia, Jasło, Sambor i Kołomyja) włościanie zamanifestowali swoje niezadowolenie z połowicznego i niesprawiedliwego, ich zdaniem, załatwienia sprawy pańszczyźnianej ordonansami Rudolfa hr. Stadiona już przy uroczystej publikacyi a także i później w sposób tak dobitny a nawet niepokojący, że gdy o tem doszły wiadomości do Wiednia, wezwano br. Kriega do zdania sprawy z stanu rzeczy, przyczem polecono zaniechać ile możności sprawdzania operatów pańszczyźniano-regulacyjnych na miejscu przez komisarzy cyrkularnych i ograniczyć się do biurowego traktowania tej sprawy. Czy miałby to być dowód, że wreszcie w Wiedniu otworzyły się oczy centralnym organom i spostrzeżono zgubny dla porządku i spokoju społecznego skutek bezpośredniego stykania się cyrkularnych biurokratów z poddanymi? Inaczej wytłumaczyć niepodobna tego polecenia.

Br. Krieg zdał sprawę z przebiegu sprawy pańszczyźniano-regulacyjnej i z powyżej wskazanych rozruchów chłopskich w ten sposób, że sytuacya nie jest tak niepokojąca, jakby się na pozór zdawało, że wszędzie, gdzie włościanom należycie wytłumaczono dobrodziejstwa, z zamierzonej regulacyi pańszczyzny na nich spłynąć mające, zapanował spokój, że wreszcie wszędzie poddani przejęci są wdzięcznością dla rządu, a sporadyczne wypadki niezadowolenia, objawionego w sposób na eksces zakrawający przez obałamuconych lub niedostatecznie objaśnionych poddanych nie powtórzą się pewnie, jeżeli tylko rozpoczęte dzieło regulacyi będzie z pospiechem prowadzone i jak najrychlej wejdzie w życie.

Taki horoskop stawiał br. Krieg reformie, która należy do najprzykrzejszych epizodów w historyi zniesienia pańszczyzny i która w razie zupełnego wprowadzenia w życie przed wichrowatym r. 1848 musiałaby była niezmiernie utrudnić i tak już wielce trudne rozwikłanie stosunków poddańczych, jakie rok ów przyniósł Galicyi. Taki horoskop mógł stawiać tylko br. Krieg, któremu niechęć do szlachty zamącała trzeźwy pogląd na stosunki aktualne, taki horoskop musiał on

zresztą postawić, skoro na krótki czas przed wysłaniem powyższej relacyi tak zapamiętale i jak widzieliśmy z skutkiem zamierzonym oparł się prośbie szlachty o wyjednanie u tronu zezwolenia na jej informacyjne i doradcze tylko a nie uchwalające zebranie się we Lwowie.

Wielką, godną zapisania w historyi kraju zasługę położył wtedy Maurycy Kraiński, że zręcznie umiał wyzyskać sposobność, nadarzającą się do powstrzymania fatalnej reformy w jej przyspieszonym rozpędzie ku wywołaniu rozstroju społecznego w kraju. Sposobność tę nastręczała uwaga, niejako mimochodem uczyniona w reskrypcie ministeryalnym z 27 listopada 1846, komunikującym wydziałowi stanowemu decyzye cesarskie co do projektu reformy Rudolfa hr. Stadiona. Uwaga ta tak opiewała: »Za ubytek powinności pańszczyźnianych w żadnym razie skarb państwa nie przyzna wynagrodzenia. Najj. Pan zezwolił jednak, aby kwestya, czy i pod jakimi warunkami poszczególnym dziedzicom w razie niestosunkowo znacznego uszczerbku w dotychczasowych powinnościach pańszczyźnianych wypadałoby przyznać słuszne odszkodowania ze środków krajowych, wzięta została pod rozwagę przez Stany, których wnioski następnie wraz z opinią przedłożyć należy Najj. Panu«.

Uwaga ta właściwie nie miała żadnego praktycznego znaczenia, gdyż najpierw miałaby wejść w praktyczne zastosowanie dopiero po cyfrowem stwierdzeniu uszczerbku, więc po zupełnem przeprowadzeniu reformy, a powtóre wobec niedostateczności funduszów krajowych, wnioski indemnizacyjne Stanów na wydatności tego źródła oparte, równałyby się w danym razie asygnacie na dobra — księżycowe. Ale Maurycy Kraiński, jako referent Wydziału stanowego, umiał wybornie wyzyskać sytuacyę. Zanim bowiem jeszcze zdołał br. Krieg uspokoić sfery rządowe w Wiedniu co do powyżej wspomnianych ekscesów chłopskich przy publikacyi reformy Stadionowskiej, wpłynął tam już memoryał Wydziału stanowego, opracowany przez Maurycego Kraińskiego. Memoryał, tak co do rozmiarów jak i treści swojej, możnaby nazwać poważnem studyum historyczno-prawno-społecznem o stosunkach agrarnych Galicyi od czasu wcielenia jej do monarchii austryackiej. Z ścisłem przedstawieniem wszystkich zamysłów reformatorskich i urządzeń prawnych rządu austryackiego na tle pańszczyźnianem począwszy od cesarza Józefa, łączy się tam wyrazisty obraz sytuacyi aktualnej i dobitna krytyka najświeższego, Stadionowskiego, planu

regulacyjnego. Na silnej zatem, niewzruszonej podstawie oparł Kraiński wniosek, który stanowił właściwie wznowienie raz już stanowczo, niemal szorstko uchylonej prośby szlachty, aby pozwolono jej zabrać głos w sprawie tego planu. »Po sprawiedliwości Waszej Ces. Mości — tak kończy się ten memoryał — spodziewa się najwierniejszy Wydział, że raczysz Najj. Panie w Swojej troskliwości o dobro najwierniejszych poddanych uwzględnić niejednokrotnie najłaskawiej wyrażony zamiar uszanowania praw dobrze nabytych, teraz przy przeprowadzeniu zarządzonej najw. postanowieniem z 12 listopada 1846 regulacyi pańszczyzny. Utwierdzony w tej nadziei jeszcze więcej najłaskawszą decyzyą co do kwestyi odszkodowania dziedziców ze środków krajowych oraz uwagą, że według tego, co powyżej przedstawiono, majątek prywatny wielu rodzin zostałby zachwiany w razie, jeżeliby odszkodowanie za poniesione straty w powinnościach poddańczych nie nastąpiło równocześnie z ich regulacyą, ośmiela się najwierniejszy Wydział w myśl najuniżeńszej prośby dziedziców i § 10 statutu organizacyjnego, złożyć u stóp Tronu najuniżeńszą prośbę, ażeby Wasza Ces. Mość wobec tak ważnego powodu najłaskawiej zarządzić raczył zwołanie Stanów«.

Wpływ br. Kriega wówczas wystarczał jeszcze na udaremnienie wszelkich planów gremialnego traktowania sprawy pańszczyźnianej przez szlachtę. Jeżeli nie pozwolono jej zebrać się dla złożenia u stóp tronu najpokorniejszych uwag informacyjnych o narzuconej przez Rudolfa hr. Stadiona regulacyi pańszczyzny, to oczywiście mowy nie było o zwołaniu Stanów, które miałyby daleko więcej do powiedzenia i mogłyby to uczynić w formie adresu do cesarza. Każda sesya Stanów kończyła się takim adresem, więc niepodobna byłoby nakazać odstąpienie od tego długoletnią praktyką uświęconego a w założeniu swojem arcylojalnego zwyczaju i to właśnie w rok po wypadkach lutowych 1846 r., kiedy głos deputatów miał szczególną doniosłość. W ówczesnym składzie Stanów nie brakło pewnie głów politycznych, z których wyszedłby był projekt adresu, odsłaniającego przed tronem winę biurokracyi i jej odpowiedzialność za owe wypadki. Pierwszy Maurycy Kraiński byłby wystąpił z takim projektem.

Nie przyszło do zwołania Stanów ani do zebrania szlachty, ale snać w Wiedniu zaczęto już niedowierzać uspokajającym relacyom br. Kriega, skoro nie postąpiono według jego rady, t. j. nie przyspieszono ostatecznego przeprowadzenia Stadionowskiej regulacyi pańszczy-

zny, lecz przeciwnie zwolniono tempo w tej mierze tak, że już nie było jej danem uszczęśliwić Galicyę. Zanim bowiem zdołano uporać się z nowemi pertraktacyami, przyszedł nowy gubernator Franciszek hr. Stadion, bynajmniej nie polegający ślepo na pomysłach swojego brata, a zanim nowy gubernator zdołał poprawić przedtem przygotowany projekt, rok 1848 położył kres wszystkim tym wysiłkom.

Nietylko nie dowierzano, jak powiedzieliśmy, w Wiedniu uspokajającym relacyom br. Kriega, lecz wprost zaczęto się liczyć z grawaminami szlachty. Dnia 17 kwietnia 1847 bowiem wydane zostało najwyższe postanowienie, według którego dla projektu Stadionowskiego względnie dla tych grawaminów zwołana być miała ankieta, złożona z delegatów Wydziału stanowego, »doświadczonych« radców gubernialnych, »wypróbowanych starostów« i delegatów prokuratoryi. »Rozumie się — tak opiewa końcowy ustęp tego najwyższego postanowienia — że wszelka publikacya rezultatów regulacyi powinności pańszczyźnianych w kołach poddańczych dotąd ma być wstrzymana, dopóki nie zapadnie najwyższa decyzya co do wniosków, które po zarządzonych obradach jak najrychlej przedłożyć należy«.

W czerwcu 1847 r. zebrała się ta ankieta pod przewodnictwem br. Kriega. Należeli do niej Agenor hr. Gołuchowski i Maurycy Kraiński, powołani jak rok przedtem przez br. Kriega jako delegaci czy mężowie zaufania Wydziału stanowego. Tak samo jak przed rokiem wystąpili i teraz obaj ci delegaci z *votum separatum*, w którem ostrej ale rzeczowej krytyce poddali tak projekt Stadionowski, jak i poprawki w ankiecie uchwalone. Są w tem piśmie nawet śmiałe — jak na ówczesną sytuacyę — przymówki do rządu. I tak n. p. pismo to zawiera na wstępie takie znaczące zastrzeżenie: »Ponieważ podpisani powołani zostali do obrad jako członkowie kollegium stanowego, przeto uważają za swój obowiązek przedewszystkiem złożyć oświadczenie, że nie zostali delegowani przez kollegium Wydziału stanowego, a wskutek tego opinia ich nie może być uważana za wynik zapatrywań tego Wydziału. W wytkniętem bowiem postępowaniu Wydział stanowy pomijany był przy wszystkich obradach tyczących się regulacyi powinności poddańczych, więc odjęto mu tem samem sposobność poznania zapatrywań już nie samych Stanów, lecz poszczególnych członków swojego kollegium«. Dalszą przymówkę stanowi uwaga, że Rudolf hr. Stadion przy układaniu swojego projektu miał na myśli stosunki Moraw i nie liczył się z tem, że między Morawami a Galicyą zacho-

dzi pod tym względem znaczna różnica. Wreszcie owa uroczysta, niemal demonstracyjna publikacya Stadionowskiego projektu w gminach, publikacya, którą potem przytaczano jako główny argument przeciw wszelkiemu zwlekaniu lub przerabianiu projektu, nazwana została w piśmie hr. Gołuchowskiego i Kraińskiego krokiem dla nich niezrozumiałym, który »ze względu na wywołane w ten sposób niekorzystne wrażenie uważany być musi za godny ubolewania pospiech *(unliebsame Uebereilung)*«.

Zaraz po objęciu urzędu gubernatora w sierpniu 1847 r., Franciszek hr. Stadion poznawszy sytuacyę wśród obywatelstwa w sprawie pańszczyźnianej, a mianowicie uznawszy słuszność skarg na schemat podatkowy, według którego poddani mieliby odrabiać pańszczyznę, schemat po doktrynersku założony i sprowadzający w praktyce nierównomierny rozkład powinności, postanowił chybiony projekt swojego brata ile możności przykroić do stosunków. W tym celu zwołał na konferencyę kilku starostów i radców gubernialnych, a oprócz tego także właścicieli dóbr ziemskich. Obie konferencye odbywały się oddzielnie, najpierw konferencya urzędników, z której wyłonił się szereg wniosków, tyczących się więcej formy niż samej rzeczy. Wnioski te Fr. hr. Stadion wręczył powołanym do narad obywatelom, ostrzegając ich jednak, że wszelkie życzenia i żądania, wychodzące po za ramy głównej zasady okólnika gubernialnego z 25 listopada 1846, t. j. najwyższego postanowienia z 12 listopada tegoż roku (przyjęcie połowy dochodu z wszystkich posiadłości poddańczych z potrąceniem kosztów uprawy za miarę powinności poddańczych), nie mogłyby absolutnie liczyć na uwzględnienie. W skład tej ankiety obywatelskiej weszli: Stanisław Bochdan, Aleksander hr. Cetner, Karol książę Jabłonowski, Jan Jaruntowski, Maurycy Kraiński, Karol i Kazimierz hr. Krasiccy, Karol br. Larisch, Antoni Mysłowski, Piotr br. Romaszkan, Leon hr. Rzewuski, Leon książę Sapieha, Władysław Skrzyński i hr. Wit Żeleński.

Ankieta odbyła trzy posiedzenia, a główną rolę w niej odgrywał Maurycy Kraiński, obrany referentem sprawy. Przekonawszy się albo raczej utwierdziwszy się w dawno już powziętem przekonaniu, że jeżeli główna zasada reformy hr. Rudolfa Stadiona ma być nietknięta, jak tego wymagał gubernator Fr. hr. Stadion, to reforma ta poprawkami podrzędnego znaczenia nie da się pogodzić z wymaganiami sprawiedliwości i słuszności, tak co do dziedziców jak i co do

poddanych, ankieta postanowiła imieniem szlachty wręczyć gubernatorowi własny projekt z memoryałem i prosić go, aby rzecz tę cesarzowi przedstawił. Z zadania tego wywiązał się referent Maurycy Kraiński, a elaborat jego podajemy tutaj jako dokument już historyczny, odpierający najwymowniej podnoszone w rok później (1848) w sferach rządowych a nawet i obywatelskich przeciw szlachcie zarzuty, jakoby ona pragnęła udaremnić dzieło uwłaszczenia, a skoro to było niemożliwem, przynajmniej przewlec tę wielką reformę.

»Przekonani jesteśmy — tak opiewa teu dokument — że regulacya pańszczyzny, okólnikiem gubernialnym z 25 listopada 1846 nakazana, a przeprowadzona stosownie do pierwotnego szematu podatkowego albo z niektóremi modyfikacyami zasad w pomienionym okólniku orzeczonych, celowi przez Jego Ces. Mość najłaskawiej zamierzonemu odpowiedzieć nie może. Z jednej bowiem strony zatrzymując na dziedzicu gruntowym powinności, wynikające ze związku poddańczego i władzy opiekuńczej równie jak i liczne wydatki ponoszone przez zwierzchności gruntowe w zastępstwie najwyższej państwowej władzy, zwierzchności te wystawioneby były na znaczne a przez Jego Ces. Mość niezamierzone straty. Pańszczyzna bowiem przynależy im nietylko jako odpłata za grunta w używaniu poddanych zostające, lecz także jako wynagrodzenie za dopiero co wymienione ciężary. Z drugiej strony utrzymanie tak szkodliwego dla obu stron związku poddańczego wraz z pańszczyzną, więcej niż kiedykolwiek znienawidzoną przez poddanych, wyglądających w chwili obecnej z gorączkowem upragnieniem reformy wszelkich istniejących stosunków, przyczyniłoby się tylko do spotęgowania panującego przeciw dziedzicom gruntowym, a coraz zuchwalej i jawniej występującego rozjątrzenia i oporu poddanych.

»Wskutek wyrażonego tutaj przekonania mamy sobie za obowiązek korzystać ze sposobności przedstawienia Jego Ces. Mości nowych wniosków w przedmiocie regulacyi stosunków poddańczych i z naszej strony przedkładamy projekt, który przestrzegając ściśle zasady wyżej powołanego okólnika cyrkularnego i uwzględniając przytem interes tak poddanych jak i gruntowego dziedzica, zdołałby obok pożądanej dziedziców z poddanymi zgody przywrócić w kraju także wewnętrzne z tak błogiemi następstwami połączone bezpieczeństwo.

»Tylko zupełne rozwiązanie poddańczego węzła, tylko całkowite zniesienie pańszczyzny i wszelkich inwentaryalnych powinności może

naszem, niczem niezachwianem zdaniem, ukoić rozjątrzenie i nienawiść poddanych przeciw dziedzicom i między obiema stronami przyjazne zawiązać sąsiedztwo.

»Jeżeli jednak ma być postawiona tama niechybnemu zniszczeniu tysiąca rodzin, jeżeli zapobiedz chcemy całkowitemu upadkowi kultury krajowej, to zniesienie pańszczyzny tylko za wynagrodzeniem dziedziców przeprowadzić można. Należałoby więc: I. Posiadaczom gruntów poddańczych nadać ich wolną własność, a zarazem uwolnić zwierzchności gruntowe od wszelkich powinności bezpłatnego dostarczania poddanym środków na *fundus instructus* i *sarta tecta* oraz zapomogi w latach nieurodzaju. II. Z przeistoczeniem gruntów poddańczych na grunta wolnej, nieograniczonej własności, należałoby znieść wszelkie jakiejbądź nazwy naturalne służebności, daniny i powinności, a zarazem z ogółu dóbr gruntowej zwierzchności znieść ciężar oktawy [1]). III. W duchu zasady głównej, okólnikiem cyrkularnym z 25 listopada 1846 orzeczonej, należałoby wynagrodzenie zwierzchnościom gruntowym należne wybadać i rodzaj uiszczenia w sposób wszechstronnym interesom odpowiadający oznaczyć.

»W tym celu należałoby wszelkie prestacye poddańcze według fasyonowanej w r. 1820 ceny gromadami *in concreto* oznaczyć i tak osiągniętą sumę dochodów zwierzchności gruntowej porównać z kwotą przypadającą za uwolnienie dziedzica gruntowego od połączonych ze związkiem poddańczym ciężarów, których ewaluacya nastąpiłaby podług zasad prawem określonych.

»Przewyżkę dochodów zwierzchności gruntowej z porównania tych dwóch kwot wynikającą należałoby wynagrodzić do wysokości połowy oznaczonego w katastrze prowizorycznym czystego dochodu z gruntów poddańczych kosztem gromady, a kosztem państwa co do kwoty tę połowę czystego dochodu przenoszącej. W takim układzie daniny poddanych nie odciągają się od połowy czystego dochodu z gruntu. Stosownie bowiem do naszego projektu ustają razem z pańszczyzną, kiedy przeciwnie w duchu okólnika z 26 listopada 1846 miałyby pozostać nie naruszone. W jaki sposób wynagrodzenie wypadałoby uskutecznić na koszt kraju, czy to w drodze opodatkowa-

[1]) Tak się nazywała prawna, do ósmej części wartości (stąd nazwa) obciążająca dobra dziedziców gwarancya za ich powinności wobec poddanych.

nia, czy przez kreowanie papierów procentowych, tę kwestyę pomijamy tutaj jako przedmiot osobnej pertraktacyi podlegający.

»Co do zdeterminowania wynagrodzenia, należącego się dziedzicowi od poddanych, wypada zachować następujące zasady: 1) Wyrachowanie odbywa się gromadami *(gemeindeweise)*. 2) Zasada główna w okólniku z 25 listopada 1846 wyrażona, ściśle ma być zachowana. 3) Za ogół wynagrodzenia na gromadę przypadającego, odpowiada cała gromada solidarnie.

»Sposób, w jakiby gromada z przypadającego na nią wynagrodzenia dziedzicowi uiszczać się miała, podajemy następujący: Kwota wynagrodzenia przypadająca rocznie na gromadę, ma być uważana jako kapitał $5^0/_0$ i na taki kapitał wystawi gromada *in concreto* oblig. Od tego kapitału wypłaca gromada *in solidum* rocznie $5^0/_0$, z czego $4^0/_0$ na czynsz dziedzicowi gruntu a $1^0/_0$ na umorzenie kapitału przypada. Z funduszu umorzenia w ten sposób powstałego, wykupywane być mają wylosowane obligacye, a tak z czasem umorzony będzie cały kapitał wynagrodzenia przypadającego od gromad całego kraju. Niezbędny przy operacyach tego rodzaju fundusz rezerwowy da się utworzyć przez zwleczenie o 2 lub 3 lata losowania obligów. Po ukończeniu operacyi fundusz ten zwróconoby gromadom jako ich własność«.

Po przedstawieniu wniosków co do postępowania przy wydawaniu, winkulowaniu i losowaniu obligów, w ogóle co do finansowo-technicznej strony wykonania projektu powyższego, memoryał Maurycego Kraińskiego w ten sposób dalej objaśnia i uzasadnia przedstawione wnioski:

»Przy zaprowadzeniu przedłożonego tutaj systematu uważać należy, że z jednej strony możeby poddani napotykali trudności w uiszczeniu się z procentów od przypadającego na nich kapitału wynagrodzenia, że z drugiej strony znana posiadaczy rustykalnych, oswobodzonych z węzła poddańczego niechęć do najmywania się choćby i po podwyższonych cenach do roboty na gruntach dworskich, niechęć niestety i dzisiaj już jawnie występująca, przyprawiłaby główną gałęź kultury krajowej o upadek, że więc ostateczności takiej należałoby zapobiedz. Sądzimy, że najskuteczniejszym do tego środkiem byłoby rozporządzenie, aby gromady *in concreto* z pewnej ilości robocizny pracą w oznaczonym czasie i podług cen oznaczonych wykonaną, a to aż do wysokości procentów od kapitału wynagrodzenia przypa-

dającego dziedzicowi gruntowemu uiszczać się były obowiązane. Rozporządzenie takie oprócz powyż dotkniętych korzyści przyniosłoby nadto pożądany środek obudzenia w włościaństwie popędu do zarobkowania i oszczędziłoby krajowi gwałtownych wstrząśnień w obiegu gotówki, nieuchronnych w razie, gdyby procenta od kapitału naraz gotówką wypłacone być miały.

»Dla podźwignięcia kultury krajowej, dla uporządkowania majątkowych stosunków dziedziców gruntowych pożądanem byłoby najrychlejsze puszczenie w obieg obligów, wydanych dla właścicieli dóbr niezadłużonych. Gdyby to jednak ze względów finansowych albo może dla ustalenia potrzebnej gwarancyi obligów nie prędko nastąpić mogło, wypadałoby zapewnić ich wolny obieg przynajmniej na przyszłość zaraz po usunięciu obecnych przeszkód. Gdyby nakoniec zaprojektowane zupełne rozwiązanie węzła poddańczego dla względów stanu uskutecznić się nie dało, możnaby go nadal utrzymać, zachowując gruntowym zwierzchnościom wykonywanie sądownictwa patrymonialnego, którego koszta przy oznaczeniu sumy wynagrodzenia nie z niej strącane, ale przez poddanych w sposobie taksy lub innej jakiej do ilości dusz zastosowanej stałej opłaty zwierzchnościom gruntowym zwróconeby zostały.

»W celu dokładnego utwierdzenia naszego projektu, pozostaje nam na koniec uprzedzić i zbijać zarzuty, któreby go spotkać mogły.

»1) Zarzuconoby może, że uregulowanie stosunków poddańczych, tak już upragnione, w razie przeprowadzenia w sposób projektem oznaczony, wymagałoby dłuższego czasu. Gdzie jednak idzie o wyrobienie i przeprowadzenie stosunku tyczącego się tak różnorodnych interesów, gdzie idzie o dobro kraju i szczęście tylu milionów ludzi, zarzut podobny miejsca nie ma, upada zaś zupełnie, jeżeli się zważy, że zaprojektowanym sposobem regulacyę stosunków poddańczych możnaby uskutecznić w rok a najdalej w dwa lata, że więc obawa niebezpiecznych skutków z jej przeciągania, obawa oporu i burzenia się włościan ustałaby zupełnie już po roku a najdalej po dwóch latach. Natomiast wykonanie regulacyjnego okólnika bądź według pierwotnego podatkowego szematu, bądź według zaprowadzić się mających modyfikacyi musiałoby właśnie te przerażające skutki przedłużyć, zatem powiększyć jawny już teraz opór i rozjątrzenie włościan, szczególnie w tych licznych gminach, które nie doznają zmniejszenia prestacyi przez regulacyę okólnikiem zamierzonego.

»Nie podlega bowiem żadnej wątpliwości, że poddani, oczekując od spodziewanego prawa regulacyjnego zupełnej reformy dotychczasowych stosunków, uiszczaliby się z pozostawionej na nich okólnikiem regulacyjnym pańszczyzny i niezniesionych innych powinności z większym jeszcze niż dotąd oporem i odrazą. Zresztą w celu przyrzeczonego doraźnego ulżenia poddanym w pańszczyźnie, możnaby pewną część n. p. 25% natychmiast uchylić, co jednak przy obliczeniu wynagrodzenia należałoby uwzględnić i również natychmiast uwolnić dziedziców gruntowych od obowiązku zapomogi. W ten sposób uśmierzonoby niecierpliwość poddanych z tą jeszcze dla nich korzyścią, że z pomienionego zmniejszenia pańszczyzny wszystkim włościanom zarówno przyznanego, mieliby opłacać prowizyę dziedzicom gruntowym dopiero od dnia zamknięcia operatu regulacyjnego.

»2) Zarzut, jakoby oszacowanie ciężących na dziedzicu gruntowym a z węzła poddańczego wynikających powinności dla braku ściśle określonych zasad wielu podlegało trudnościom, jest tylko pozornym. Jak bowiem zdeterminowane są te powinności i ciężary, jak utrzymanie sądownictwa, politycznej i policyjnej administracyi, poboru podatków, dostarczania poddanym opału i pastwiska, przepisami politycznymi oznaczonego, tak też wiadomo, ile oficyaliści, pełniący te powinności, kosztów wymagają, jakiej wartości może być roczny opał i pastwisko. Oszacowanie zaś będzie daleko łatwiejsze, jeżeli nie z każdym poddanym osobno, lecz z całą gromadą razem przeprowadzone zostanie. Nie zaprzeczając wszakże w poszczególnych wypadkach niejakich trudności, winniśmy w celu zachęty do ich przełamania zwrócić uwagę na ogromne i najzbawienniejsze dla kraju skutki z przeprowadzenia całego projektu.

»3) Zarzut, że, gdy okólnikiem z 25 listopada 1846, tak uroczyście obwieszczonym, w włościaństwie tak żywe obudzono nadzieje zmniejszenia powinności, teraz może nie na czasie byłoby uchylać okólnik, tą zbijany uwagą, że, jak powszechnie wiadomo, okólnik powyższy bynajmniej nie zadowolił poddanych. Przy jego obwieszczeniu oznajmili włościanie bez ogródek, że przyrzeczone i w tem obwieszczeniu wskazane ulgi nie są dla nich dostateczne. Próżną zatem jest obawa, aby zmodyfikowanie okólnika w ten sposób, że zamiast ulżenia w powinnościach, całkowite ich zniesienie nastąpi, nie dało powodu do nowych niechęci. Przeciwnie, pewni jesteśmy, że podobna modyfikacya przyjętą będzie z najserdeczniejszą radością.

»Nakoniec niech nam wolno jeszcze będzie poprzeć nasz projekt następującemi uwagami. Przedsięwzięta regulacya w duchu okólnika z 25 listopada 1846 i dołączonego podatkowego szematu pozbawiłaby wiele zwierzchności gruntowych powyżej 80% z posiadanej dotąd pańszczyzny a modyfikacye szematu zaledwieby przyniosły nieznaczne zmniejszenie tej straty. Przy oczekiwanem i nastąpić mającem w takich stosunkach zupełnem zniesieniu pozostałej jeszcze pańszczyzny, zwłaszcza jeżeliby to według zasad w innych prowincyach niedawnymi czasy podniesionych dokonane być miało, nietrudno o to, aby w wielu miejscach zaszedł ten niepodobny do wiary a przecież rzeczywisty wypadek, że zwierzchność gruntowa w zamiarze uwolnienia się od powinności względem gromady przez kompensacyę pańszczyzny pozostałej, musiałaby gromadzie tej jeszcze dopłacić albo, co na jedno wychodzi, byłaby jej winna wynagrodzenie z powodu, że pańszczyzna po regulacyi pozostała o wiele niższą miałaby wartość, aniżeli wynikające z węzła poddańczego a okólnikiem nadal utrzymane ciężary.

»Przez regulacyę pańszczyzny według szematu podatkowego opuszczonoby poddanym 27% z całorocznej dotąd w Galicyi odrabianej pańszczyzny. Dar więc Najj. Pana dla poddanych najłaskawiej przeznaczony wynosiłby 27% dziś istniejącej pańszczyzny. Przyjąwszy zaś nasz projekt z wyłuszczonemi w nim zasadami, według których pańszczyzna miałaby być całkowicie zniesiona, ulgi i korzyści dla poddanych byłyby o wiele znaczniejsze. Otrzymałby bowiem poddany grunt na wolną własność a okoliczność ta wielkiej jest wagi, gdyż z własnością zupełną zyskałby poddany do wolnej dyspozycyi daleko większy kapitał, aniżeli ze służącem mu dotąd prawem do własności użytkowej. Nie podlega przytem wątpliwości, że wolna własność wyżej stoi w cenie od własności użytkowej, która tem mniejszą ma wartość, ile że z nią połączone zostają według okólnika z 25 listopada 1846 prestacye osobiste. Według naszego projektu poddany obowiązany jest wynagrodzić co do pańszczyzny i innych danin tylko ilość, odpowiadającą połowie czystego dochodu ze swojej gruntowej posiadłości, zatem opuszcza mu się bezpłatnie wartość pańszczyzny, połowę czystego dochodu z gruntu przynoszącej, a gdy zwykłym w kraju naszym procentem od umiarkowanej kwoty indemnizacyjnej także i kapitał umarza, przeto zyskuje tem samem 20%, które na umorzenie kapitału przeznaczono. Krótko mówiąc, poddany umarzałby kapitał

indemnizacyjny kwotą, któraby dziedzicom właściwie jako roczna renta powinna być spłacana. Tem się też dzieje, że najłaskawsze zamiary Najj. Pana co do zniesienia ulgi poddanym rozwiniętym tutaj projektem osiągnąć można w daleko wyższym stopniu, aniżeli przez wykonanie regulacyjnego okólnika i uniknie się przytem tak rażących nierówności, na jakie zamierzona regulacya co do strat i zysków naraża obie interesowane strony. Przemilczeć też nie godzi się, że zmniejszanie pańszczyzny bez wszelkiego wynagrodzenia, jak to zamierzono uczynić regulacyą według okólnika z 25 listopada 1846, podkopałoby zasady moralności u włościan. Wskutek takiej zmiany bowiem poddany albo przejąłby się przekonaniem, że pańszczyzna była prestacyą dziedzicowi gruntowemu nieprzynależną, a takie przekonanie w razie zmuszonego wykonywania pozostawionej po regulacyi pańszczyzny wzbudziłoby w nim podejrzenie i niechęć ku samemu rządowi, albo znowu skłoniony do uważania pańszczyzny za własność prawną gruntowego dziedzica straciłby musiał wszelkie dla cudzej własności poszanowanie.

»Jedyny środek uniknienia wszystkich powyżej nadmienionych niedogodności i smutnych następstw widzimy tylko w zupełnem zniesieniu pańszczyzny i wszelkich urbaryalnych powinności za wynagrodzeniem, odpowiadającem zasadom orzeczonym przez Najj. Pana i w rozwiązaniu węzła poddańczego z jego wszystkiemi znienawidzonemi powinnościami. Powtarzamy więc jako najsilniejsze i najszczersze przekonanie nasze, że w ten tylko sposób rozjątrzenie włościan przeciwko dziedzicom gruntowym ukoić a spokój i bezpieczeństwo w prowincyi naszej na przyszłość upewnić można. Nie wiemy, czy projekt niniejszy przy wypracowaniu zapowiedzianej ustawy regulacyjnej uwzględniony będzie lub nie, uważalibyśmy jednak zawsze za wielką dla kraju korzyść, aby zarys ustawy regulacyjnej przedłożony został Stanom krajowym na najbliższym sejmie dla wzięcia go pod obrady i osądzenia. Zgromadzeni na sejmie właściciele ziemscy znajdą zapewne w doświadczeniu swojem niejedno do tak ważnego przedmiotu objaśnienie i niejeden środek do łatwiejszego rozstrzygnięcia trudności regulacyjnego operatu. Tym sposobem zostałyby dotrzymane najłaskawsze przyrzeczenia co do regulacyi stosunków poddańczych przez Najj. Pana i jego przodków Stanom galicyjskim udzielone, zostałyby uwzględnione wszelakie stosunki, które przy wypracowaniu

ustawy regulacyjnej ocenione być powinny, jeżeli ustawa ta ma wzbudzić ufność w kraju i osiągnąć zamierzone nią dobroczynne skutki«.

Gubernator Fr. hr. Stadion o tyle uwzględnił ten memoryał szlachty, że powstrzymał wykonanie okólnika z 25 listopada 1846 co do schematu podatkowego, na którym oprzeć się miał nowy wymiar powinności poddańczych, a swoją drogą zajął się opracowaniem nowego projektu w obrębie zasad tego okólnika.

Zupełnie bezcelowem byłoby zapuszczanie się w domysły, jaki obrót byłaby wzięła sprawa pańszczyźniana w razie, gdyby ruch marcowy z r. 1848 i wynikłe stąd hasło dobrowolnego darowania pańszczyzny nie były zniewoliły rządu do dorywczego jej zniesienia. To jednak dla ścisłości historycznej zaznaczyć wypada, że w tece Maurycego Krainskiego znajdują się odpisy relacyi Stadionowskich i dwóch projektów patentów pańszczyźnianych, z których wynika, że we Lwowie i we Wiedniu myślano o znacznem ulżeniu warunków, pod jakimi regulacya pańszczyzny zadekretowana została okólnikiem gubernialnym z 25 listopada 1846. W jednym projekcie patentu dzień 15 lipca 1848 oznaczono jako termin wprowadzenia w życie regulacyjnej normy pańszczyźnianej z tem postanowieniem, że dziedzicom tracącym na regulacyi więcej niż $^1/_3$ dotychczasowego dochodu z pańszczyzny, ubytek wynagrodzony zostanie ze skarbu państwa, w drugim projekcie zaś umieszczono szereg postanowień, mających umożliwić i ułatwić umowy między dziedzicami a poddanymi o wykupno pańszczyzny lub o jej zamianę na czynsze.

III.

Sprawa indemnizacyjna i serwitutowa.

Przeprowadzenie indemnizacyi było w Galicyi o wiele trudniejsze, niż w każdej innej prowincyi austryackiej. Z chaotycznością ustaw, przepisów, normaliów i t. d. pańszczyźnianych z przed r. 1848 łączyła się jak wiadomo zmienna i kapryśna, bo zawsze tendencyjna praktyka władz administracyjnych przy stosowaniu norm prawnych. Z chwilowemi przerwami, jak n. p. za rządów gubernatora ks. Lobkowitza, tendencya ta zawsze skierowana była ku stopniowemu wyzuwaniu szlachty »administracyjnym porządkiem« z praw na rzecz ko-

kietowanego ludu wiejskiego. Kiedy 17 kwietnia 1848 wydany został znienacka dla samej tylko Galicyi patent znoszący powinności poddańcze, zdawało się rządowi, że w ten sposób nietylko sparaliżuje akcyę patryotyczną rozwiniętą za dobrowolnem darowaniem pańszczyzny, lecz nadto rozetnie za jednym zamachem i ostatecznie cały ten gordyjski węzeł trudności, wątpliwości i sprzeczności prawnych, ekonomicznych i społecznych, jakim dotychczasowa praktyka oplatała stosunek włościan do dziedziców. Kiedy później konstytucyjny sejm wiedeński uchwalił dla całego państwa ustawę (z 7 września 1848) o całkowitem zniesieniu węzła poddańczego i uwolnieniu gruntu od ciężarów, pokazało się zaraz, że trzeba będzie wrócić znowu do galicyjskiej sprawy pańszczyźnianej, gdyż między powyższym patentem dla Galicyi, a ustawą dla całego państwa wydaną zachodziły doniosłe różnice. Wyświecił je szczegółowo M. Kraiński w referacie przedstawionym w r. 1848 Towarzystwu ziemiańskiemu i wydrukowanym w organie tego towarzystwa p. t. »Polska«. Główną różnicę stanowiło naczelne, zasadnicze postanowienie. Według ustawy państwowej włościanin stawał się zupełnym właścicielem gruntu i pod tym względem ustawała wszelka różnica prawna między gruntami dominikalnymi i rustykalnymi, kiedy tymczasem patent galicyjski pozostawiał dziedzicom własność zwierzchnią co do gruntów rustykalnych, a włościanom służyć miała tylko własność użytkowa. Dalsza ważna różnica zachodziła co do sprawy wynagrodzenia. W patencie galicyjskim powiedziano wyraźnie, że państwo wypłaci uprawnionym wynagrodzenie, a w ustawie z 7 września 1848 sprawa wynagrodzenia zastrzeżona została osobnej komisyi, która miała wnioski swoje w tej mierze przedstawić parlamentowi, ale jak wiadomo nie została wcale wybrana z powodu, że sam parlament wchodził już wtedy w burzliwy, rewolucyjny okres swojej działalności. Dalsze różnice obejmują szczegóły, które nie dotykały samych podwalin reformy i mogły być przy dobrej woli w rozporządzeniu wykonawczem wyrównane bez uszczerbku dla jednej a krzywdy dla drugiej strony. Ale ów warunek — dobra wola — był w tych czasach jeżeli nie wprost niemożliwy, to co najmniej nieuchwytny. Minister Bach, któremu przypadła wielka rola przeprowadzenia najważniejszej w nowożytnych dziejach państwa i kraju reformy agrarnej i społecznej, zasklepił się zupełnie w tradycyach dawnej biurokracyi niemiecko-galicyjskiej i wskutek tego uważał przeprowadzenie indemnizacyi niejako tylko za epilog dzieła tej biurokracyi.

Do przeprowadzenia sprawy indemnizacyjnej powoływano z krajów koronnych rzeczoznawców i zarazem mężów zaufania. Z Galicyi przedstawił namiestnik (hr. Gołuchowski) w pierwszym rzędzie oczywiście Maurycego Kraińskiego, jako swojego wiernego towarzysza w ankietach pańszczyźnianych z r. 1846—7 i niewątpliwie najlepszego w danej chwili znawcę sprawy indemnizacyjnej, tak ze strony prawnej jak i ekonomicznej i społecznej. Obok M. Kraińskiego desygnował namiestnik jako rzeczoznawców Kazimierza hr. Krasickiego i adwokata dr. Michała Tustanowskiego. Jak później zobaczymy, rzeczoznawcy polscy znaleźli się w komisyi ministeryalnej w mniejszości wobec prowodyrów świętojurskich, ściągniętych przez ministra Bacha jako wrzekomo najkompetentniejszych rzeczników drugiej strony interesowanej t. j. włościan.

Polscy rzeczoznawcy wystąpili wobec ministra Bacha z wielkim elaboratem, opracowanym zapewne głównie przez M. Kraińskiego. Jest to podziwu godne dzieło gruntownej znajomości rzeczy, bystrej przenikliwości w ocenieniu wszystkich ekonomicznych i społecznych akcesoryów prawnej reformy, a w końcu i niepospolitej bystrości kodyfikacyjnej. Zawierał bowiem ten elaborat gotowy projekt rozporządzenia, w którym wszystkie wątpliwości były przewidziane i rozwiązane. W elaboracie swoim rzeczoznawcy polscy położyli nacisk na rozwikłanie zawiłej kwestyi własności gruntów, która w Galicyi wskutek braku ksiąg gruntowych, katastru i niejasności przepisów prawnych w zakresie stosunków pomiędzy dziedzicami a poddanymi, wreszcie wskutek dowolności tak długo praktykowanej przez władze administracyjne w sprawach pańszczyźnianych, wymagała nadzwyczaj oględnego traktowania, aby nie stała się niewyczerpanem źródłem sporów na przyszłość. Szczególnie służebnościom, których niepodobna było traktować w Galicyi w ten sam sposób, jak w innych prowincyach, już z powodu odmienności natury prawnej, rzeczoznawcy polscy poświęcili tak w uzasadnieniu swojego projektu jak i w samym projekcie baczną uwagę. Nie zapomnieli także i o arondacyi gruntów, na którą chwila przeprowadzenia indemnizacyi była najwłaściwszą porą. Krótko mówiąc, projekt rzeczoznawców polskich był tak opracowany, że gdyby rząd był go przyjął w całości lub przynajmniej w głównych zarysach, byłby Galicyi oszczędził wielu w przyszłości doznanych przykrości i szkód pod względem ekonomicznym i społecznym, byłby jej

rozwój ekonomiczny o cały okres jednego pokolenia przyspieszył i ułatwił.

Ale minister Bach, wierny tradycyom biurokratycznym, spoglądał ze z góry powziętem uprzedzeniem na wszelkie elaboraty szlacheckie. Memoryał polskich rzeczoznawców nazwał »cennym materyałem« dla przyszłych obrad nad rozporządzeniem wykonawczem, a tymczasem wywołał patent z 15 sierpnia 1849, który w sposób niejako mechaniczny nagiął patent galicyjski z 17 kwietnia 1848 do ustawy z 7 września 1848 i jednym zamachem pióra zakwestyonował albo raczej skreślił solenne przyrzeczenie uiszczenia indemnizacyi ze skarbu państwa. Tą zmianą Bach bardzo wzbogacił swoją smutną dla Galicyi i Austryi spuściznę polityczną, stwarzając znany, długoletni, dopiero przez konstytucyjnie odrodzone państwo załatwiony spór o fundusz indemnizacyjny.

Komisya zwołana do ministerstwa rozpoczęła obrady 27 września 1849, a zamknęła je 25 października 1849. Przewodniczył szef sekcyjny Eminger, w r. 1846 jako radca gubernialny we Lwowie referent komisyi, która dla sprawy pańszczyźnianej zwołana została przez br. Kriega, a w której Maurycy Kraiński wybitną odegrał rolę, wnosząc razem z hr. Agenorem Gołuchowskim, także członkiem tej ostatniej komisyi, szczegółowo opracowany projekt indemnizacyjny. Referentem wiedeńskiej komisyi był radca sekcyjny Bayer, oczywiście biurokrata, dla którego szablon i dyrektywa »z góry« stanowiły niewzruszoną podstawę. Jako wotanci zasiedli: radca ministeryalny Kalchberg, głośny później prezydent komisyi indemnizacyjnej we Lwowie i antagonista Agenora hr. Gołuchowskiego, któremu jako wiceprezydent Namiestnictwa podlegał, a pod którym w pierwszym charakterze swoim jako samodzielny dygnitarz dołki kopał i intrygi knuł w kraju po myśli swojego mocodawcy i protektora ministra Bacha, dalej koryfeusze ruchu świętojurskiego: kanonik Michał Kuziemski, ks. Litwinowicz, wówczas jeszcze proboszcz, kanonik i radca ministeryalny w ministerstwie oświecenia ks. Grzegorz Szaszkiewicz, były poseł świeżo zamkniętego czy rozpędzonego parlamentu austryackiego Prokopczyc, który tam już dał się poznać z poglądów swoich na sprawę pańszczyźnianą, radca ministeryalny Stroynowski z ramienia ministerstwa sprawiedliwości, wreszcie trzej polscy reprezentanci kraju: Maurycy Kraiński, Kazimierz hr. Krasicki i adwokat dr. Michał Tustanowski.

Dla polskich członków komisyi od razu jasną było rzeczą, że

wobec trzech świętojurców i głosującego razem z nimi Prokopczyca stanowić będą w każdej drażliwszej sprawie mniejszość, chociażby reszta członków była nawet nieuprzedzoną. Tymczasem rzecz miała się przeciwnie, bo przewodniczący już z czasów swojego pobytu we Lwowie dał się poznać jako zwolennik wszelkich pomysłów uregulowania lub zniesienia pańszczyzny, w duchu premiowania chłopów za lojalność kosztem szlachty, a radcy Kalchberg i Bayer stanowili tylko odgłos Bacha, który wtedy tak w sprawie indemnizacyjnej, jak w ogóle we wszystkich sprawach bieżących, podejmował już śmiało tradycye starej, wrogiej naszemu krajowi biurokracyi. Nawet na radcę Stroynowskiego nie mogli liczyć polscy członkowie komisyi, bo jak późniejsze obrady wykazały, stał on w jednym szeregu z delegatami ministerstwa spraw wewnętrznych, więc przechylał się na stronę większości, a jeżeli w jakiej kwestyi sformułował osobny wniosek, to zawsze tak on opiewał, że polscy członkowie przeciw niemu występować musieli, pozostając oczywiście w mniejszości wobec sojuszu ruskich głosów z głosami biurokratów.

O przebiegu obrad komisyi znajdują się w papierach pozostałych po M. Kraińskim szczegóły autentyczne, bo odpis całego protokołu, wprawdzie tak streszczony w rzeczy a skrócony w formie, że chyba on sam mógłby był wszystko bliżej rozwinąć i odcyfrować, ale zawsze mimo to tak dokładny, że komu znaną jest bliżej sprawa pańszczyźniana i indemnizacyjna, ten z najwyższem uwielbieniem dla zasług obywatelskich M. Kraińskiego i jego towarzyszy komisyjnych wyrobi sobie jasny obraz ówczesnej sytuacyi.

Zaraz na pierwszem posiedzeniu komisyi wiedeńskiej, przed rozpoczęciem obrad merytorycznych M. Kraiński z towarzyszami swoimi złożył oświadczenie, że przybyli oni na wezwanie otrzymane od rządu, ale bez mandatu ze strony kraju do zastępowania jego interesów, że zatem wyrażone przez nich poglądy mogą być uważane za opinię osobistą a nie za objaw woli i przekonań czynników interesowanych. Jeżeliby zatem w komisyi zapaść miały uchwały z mocą obowiązującą, to delegaci musieliby się zastrzedz przeciw wszelkim stąd płynącym konsekwencyom, a to tem więcej, ile że w tem pierwszem zebraniu nabyto przeświadczenia, iż powołani zostali nie jako zastępcy kraju, lecz jako reprezentaci uprawnionych, skoro oprócz nich powołani zostali jeszcze czterej inni członkowie (Kuziemski, Szaszkiewicz, Litwinowicz i Prokopczyc), którzy udział brać mogą w żadnym in-

nym charakterze, jak tylko w roli zastępców strony obowiązanej. Na to zastrzeżenie przewodniczący oświadczył wprawdzie, że chodzi tylko o pozyskanie informacyi, a uchwały powzięte w komisyi nie będą przesądzać o decyzyi rządowej, późniejszy przebieg sprawy jednak wykazał aż nadto dobitnie, że to zapewnienie nie było na seryo pojmowane, a obawy polskich członków miały wszelką podstawę.

Nie możemy zapuszczać się w szczegóły kwestyi spornych, które wyłoniły się w obradach komisyi nad poszczególnemi postanowieniami projektu ministeryalnego, a w których poprawki i dodatki Kraińskiego, oparte na gruntownej znajomości stosunków krajowych i poparte równie gruntowną znajomością prawnej strony sprawy, ze stałą aż do znużenia powtarzającą się jednostajnością upadały większością głosów wszystkich członków komisyi przeciw trzem polskim (Kraińskiego, Krasickiego i Tustanowskiego). Kto zajmie się historyą zniesienia pańszczyzny w Galicyi i późniejszej indemnizacyi, nad którą zamknęły się już całkowicie księgi rachunkowe ale nie badania ekonomiczno-historyczne, ten znajdzie w papierach pozostałych po Kraińskim a głównie w jego własnych elaboratach, między którymi jedno z pierwszych miejsc zajmuje materyał dla komisyi wiedeńskiej zgromadzony, źródło obfite informacyi i objaśnień.

Tutaj ograniczymy się tylko do podniesienia najważniejszych szczegółów a przedewszystkiem do wyrażenia podziwu dla niezwykłej skromności M. Kraińskiego, który mógł zabłysnąć w opinii kraju, gdyby był ogłosił swoje wnioski z przemówienia w komisyi wiedeńskiej w toku akcyi indemnizacyjnej i serwitutowej, a nie uczynił tego wcale. Byłoby się bowiem wtedy pokazało, że owa przykrość i krzywdy, na które wśród owej akcyi narzekała opinia kraju, M. Kraiński już wtedy nietylko dobrze odgadywał, przewidywał i obliczał, lecz także trafnymi wnioskami uchylić pragnął. Odnosi się to przedewszystkiem do nieszczęsnej sprawy służebności, którą wbrew ostrzeżeniom Kraińskiego oddzielono od sprawy indemnizacyjnej, przewleczono lata całe na szkodę społecznych stosunków i z krzywdą uprawnionych, którzy opłacać się musieli za to, co w swoim czasie poddanym z łaski *(praecario modo)* poprzyznawali, a co później jako służebności zakwalifikowano. A sprawa t. zw. pustek, t. j. gruntów opuszczonych przez poddanych i sprawa t. zw. dominikalistów, t. j. poddanych osiadłych na gruntach niewątpliwie dworskich za pewne usługi wzajemne ale bez prawnego stworzenia węzła poddańczego! Wszystko to w zała-

twieniu komisyi poszło taką drogą, jak gdyby komisya ta wytknęła sobie za cel nie stworzenie sytuacyi prawnej, nie owo już przez Rzymian za główne *praeceptum iuris* wskazane: *suum cuique tribuere*, lecz przysporzenie pod osłoną formalistyki prawnej, i to formalistyki lichej, jak największych korzyści poddanym z ujmą dla prawa dziedziców. Nieszczęsna maksyma rządowa z r. 1846, maksyma, polegająca na premiowaniu poddanych za lojalność kosztem buntowniczej szlachty, odżyła w całej pełni w wiedeńskiej komisyi indemnizacyjnej. Kraiński i jego dwaj wierni towarzysze czuli się od pierwszej chwili, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, w mniejszości zdeklarowanej, więc byli niejako bezbronni wobec powyższej maksymy. Jeżeli mimo to nie usunęli się z komisyi, lecz owszem wytrwali do końca, nie pomijając żadnego postanowienia projektu, które wymagało zmiany, a przytem nie zrażając się upadkiem stawianych poprawek, to poczytać im to należy niejako za akt heroizmu obywatelskiego, za abnegacyę dla obowiązku obywatelskiego, który w tych ciężkich czasach kazał im za przykładem Agenora hr. Gołuchowskiego wytrwać w pracy publicznej, chociaż na razie nie można było myśleć o zdobyczach, a całą nagrodę wytrwałości stanowiła tylko świadomość moralna, że się może powiedzie niejeden cios odwrócić od kraju lub przynajmniej złagodzić.

Protokół z obrad komisyi wiedeńskiej służył za podstawę drugiej redakcyi ministeryalnego projektu indemnizacyjnego. Wypadła ona tak, jak tego z góry oczekiwać należało, t. j. nie uwzględniono w niej przedstawień polskich członków. Była nadzieja, że namiestnik hr. Gołuchowski zjeżdżając do Wiednia w r. 1850 w czasie obrad komitetu ministeryalnego zdoła niejedno zmienić. Dla niego więc przygotował Maurycy Kraiński zachowany w jego tece egzemplarz projektu ministeryalnego, w którym przy odnośnych paragrafach sformułował ściśle wszystkie swoje uwagi, objekcye i poprawki poprzednio przez komisyę nieuwzględnione. Ale minister Bach umiał zażegnać niebezpieczeństwo osobistej interwencyi hr. Gołuchowskiego, który wtedy był dopiero na dorobku politycznym, więc z pierwszym ministrem walki na ostrze jeszcze podjąć nie mógł. Gdy później w czasie podróży cesarskiej szlachta galicyjska wniosła podanie do tronu z zażaleniem na różne ujemne strony akcyi indemnizacyjnej, hr. Gołuchowski w przychylnej konkomitacyi tego podania użalił się już śmiało na postępowanie Bacha przy układaniu rozporządzenia. »Byłem wprawdzie — pisze hr. Gołuchowski — podczas zeszłorocznej dłuższej obecności

mojej w Wiedniu wezwany przez ministra spraw wewnętrznych do udziału w obradach komitetu pod jego przewodnictwem odbytych. Jednakże odbywało się już wtedy tylko drugie czytanie projektu ministeryalnego, a nie chodziło o obrady nad zasadami, które już zamknięto. Oznajmiono mi, że pod tym względem sprawa jest już załatwiona. Odjęto mi tedy sposobność do objawienia zdania o tych zasadach« [1]).

W komisyi indemnizacyjnej Kraiński nie utrzymał się ze swoimi wnioskami, na co zresztą wobec powyżej przedstawionego składu tej komisyi z góry mógł być przygotowany, ale powaga jego głosu, oparta na gruntownej znajomości prawnej i społecznej strony wszystkich kwestyi stosunku poddańczego, nietylko nie ucierpiała na tem, lecz owszem właśnie po tej komisyi zdobyła sobie nawet w centralnych sferach biurokratycznych takie uznanie, że chociaż stał się niewygodnym dla tych sfer, mimo to zawsze powoływany był przez nie do objawienia opinii w sprawach, w których za zasadę przyjęto wzywanie rzeczoznawców. Z drugiej strony znowu Kraińskiego cechowała rzadka a w owych czasach podwójnie cenna dla dobra kraju wytrwałość w podejmowaniu walki o obronę jego interesów pomimo zniechęcającej świadomości, że walka ta wobec z góry zakreślonego szablonu i niechęci sfer biurokratycznych nie wiedzie do zwycięstw. Pokazało się to najlepiej w sprawie serwitutowej. Gdy przyszła kolej na tę sprawę, minister Bach zwrócił się do Kraińskiego z wezwaniem, aby wypowiedział opinię swoją na 12 pytań, w piśmie ministeryalnem szczegółowo sformułowanych, a tyczących się tak prawnej strony służebności jak i sposobu przeprowadzenia ich wykupna lub regulacyi.

Po odłączeniu sprawy serwitutowej od indemnizacyjnej wbrew wnioskom i przestrogom Kraińskiego i namiestnika hr. Gołuchowskiego można było już z góry przewidzieć, że w pierwszej z obu tych spraw zwycięży szablon biurokratyczny, dla wszystkich krajów koronnych przyjęty, a dla Galicyi z niepowetowaną szkodą dla jej interesów ekonomicznych i społecznych nie da się wywalczyć takich zmian w tym szablonie, jakich wymagała odrębność stosunków. Mimo to wszystko Kraiński wygotował w odpowiedzi na pytania Bacha formalne studyum, w którem z wielką ścisłością historyczną i prawną

---

[1]) *Dr. B. Łoziński:* Agenor hr. Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859). Lwów 1901, str. 220.

wykazał odrębną genezę i odrębny charakter prawny służebności w Galicyi i potrzebę uwzględnienia tej odrębności w szczegółowych postanowieniach wydać się mającego rozporządzenia wykonawczego oraz w postępowaniu organów powołanych do przeprowadzenia akcyi prawnej. Bach i tym razem oczywiście nie odstąpił od szablonu w duchu opinii Kraińskiego, dla którego nagrodą moralną za trudy daremne był fakt, że skoro tylko zebrał się sejm w obecnym ustroju swoim, zaraz sprawa serwitutowa wypłynęła aż w sześciu wnioskach postawionych tak przez uprawnionych (posłów włościańskich) jak i obowiązanych, a zgodnych z sobą w utyskiwaniu na dotychczasowy tok spraw i w żądaniu zmian w postępowaniu organów wykonawczych.

VIII.

Galicya w roku 1846 (I).

W przededniu katastrofy.

Literatura polityczna, nietylko polska, lecz w ogóle austryacka, w najszerszem tego wyrazu znaczeniu, obejmującem wszystkie narodowości, w skład Austryi wchodzące, wzniosła w ciągu obecnej ery konstytucyjnej staro-austryackiej biurokracyi taki pomnik historyczny, jakiego pewnie nie posiada biurokracya innych krajów. Pomnik ten składa się z ciężkich głazów potępienia i przekleństwa, rzuconych na jej grób, da Bóg, na zawsze zamknięty. Nie skończyło się jeszcze to kamienowanie pamięci staro-austryackiej biurokracyi, bo na jej rachunek zapisała już i dalej zapisuje historya współczesna wszystkie katastrofy, jakie w drugiej połowie XIX wieku dotknęły Austryę, wraz z wszystkiemi, jeszcze nieprzebytemi całkowicie, następstwami tych katastrof, bo, co ważniejsza, upiór tej dawnej biurokracyi przywiduje się dotąd ludom austryackim w każdem cięższem przesileniu konstytucyjnem i niejako wyzywa do powtarzania wszystkich złorzeczeń i przekleństw. Może dopiero przyszłe pokolenie, które nie będzie już słyszało głosów naocznych świadków staro-austryackiego systemu rządowego i przekona się o niemożliwości jego wskrzeszenia, zamknie ostatecznie rachunek polityczny z staro-austryacką biurokracyą według maksymy: *De mortuis nil,* skoro *bene* nikt pewnie odezwać się nie może.

Katastrofa galicyjska z roku 1846 idzie także na historyczny rachunek staro-austryackiej biurokracyi, która wtedy zapuściła swoje gęste sieci w mętne wody anarchii, wywołanej w niemałej części całem jej postępowaniem. Że bowiem anarchia odgrywała tutaj główną rolę, na to wymowną wskazówką jest fakt, iż w najdrastyczniejszych nawet przedstawieniach całej grozy rzezi galicyjskiej i odpowiedzialności wszystkich czynników, które zawiniły bądź to bezpośrednio, bądź pośrednio, z góry bywają wypuszczane, lub w najgorszym razie traktowane tylko jako w błąd wprowadzone ofiary perfidyi biurokratycznej dwie osobistości historyczne, przeciw którym, jako dzierżycielom całej władzy w państwie i w Galicyi, z natury rzeczy głównie przecież powinnaby się zwracać cała gorycz, to jest cesarz Ferdynand, »dobrotliwym« przez Wiedeńczyków nazwany i za takiego wszędzie uważany, a obok niego arcyksiążę Ferdynand d'Este, generał-gubernator Galicyi, również dobrotliwy, a przytem przejęty duchem szczerej pobożności. Historya nie zmieniła bynajmniej tej opinii współczesnej o powyższych osobistościach, lecz, owszem, utwierdza ją jeszcze więcej najświeższemi źródłowemi publikacyami o stosunkach w Austryi przed rokiem 1848. W obrazie tych stosunków, oświetlonym już dziś dokumentami, zupełnie zrozumiałem jest to, co w pierwszej chwili po lutym 1846 roku wydawać się mogło trudnem do zrozumienia, nawet wprost niepojętem, to jest fakt, że poza plecami monarchy, jeżeli nie zupełnie bez jego wiedzy, to już z pewnością bez świadomości prawdziwego stanu rzeczy i stanowczo wbrew jego dobrotliwemu charakterowi, wzdrygającemu się na samą myśl rozlewu krwi, nawet w chwili tak krytycznej, jak 13 marca 1848 roku, gdy zrewoltowany tłum wiedeński wyruszał ku pałacowi wiedeńskiemu, z zamiarem wymuszenia swobód konstytucyjnych, — w Wiedniu książę Metternich, do spółki z szefem policyi, hr. Sedlnitzkym i najwyższym kanclerzem (szefem kancelaryi nadwornej), hr. Inzaghim, a w Galicyi starostowie, jak Breinl w Tarnowie, Bernd w Bochni i t. p., pod faktycznymi rządami prezydenta gubernialnego, Kriega, wywołali, lub co najmniej tolerowali krwawą orgię, na której wspomnienie, jeszcze po upływie lat sześćdziesięciu z okładem, krew się w żyłach ścina.

Dziś trudno pojąć, jak w połowie XIX wieku, w cywilizowanem państwie europejskiem urość mogła do takiej potęgi kasta ludzi (biurokratów), nie przodujących bynajmniej otoczeniu swojemu wyższemi pojęciami o zadaniach państwa i potrzebach społeczeństwa,

uważających, owszem, państwo tylko za szeroką arenę dla pościgu za osobistą karyerą, wreszcie nie przyświecających wyższą siłą moralną, lecz tylko dbających o własny interes i dla tego interesu o wszystkiem zresztą zapominających. W polskich publikacyach o roku 1846 i w ogóle o przedkonstytucyjnych rządach austryackich, kwestya powyższa traktowana bywa tylko mimochodem, jako niewymagająca bliższego objaśnienia. Najczęściej sprawa ta bywa tak przedstawiana, jak gdyby to położyć należało na karb faktu, że w owych czasach w Galicyi między służbą rządową a świadomością obowiązków obywatelskich zachodziła sprzeczność rażąca, wskutek czego urzędy galicyjskie wypełniać się musiały zbieraniną z innych prowincyi i to zbieraniną najpośledniejszą, wrogą, albo w najlepszym razie obojętną dla kraju. W takiem objaśnieniu niezawodnie wiele jest racyi, bo było to właśnie nieszczęście dla Galicyi, że nie przynęcała do siebie lepszych żywiołów świata biurokratycznego, a wskutek tego otrzymywała i znosić musiała u siebie wybiórki z innych prowincyi. Ale właśnie fakt, że nawet w ręku tak poślednich reprezentantów staro-austryackiej biurokracyi leżała taka potęga, taka siła demoniczna, jaka się w roku 1846 w Galicyi ujawniła, naprowadza na wniosek, iż źródła tego stanu szukać należy głębiej, mianowicie w całym ustroju państwa i kraju w tej dobie. Przypatrzmy się bliżej temu ustrojowi, a to, cośmy powyżej nazwali trudnem do pojęcia, przedstawi się jako naturalne następstwo stosunków.

Cała austryacka maszynerya rządowa, cały system absolutny rządów był już zupełnie rozstrojony i blizki bankructwa na długi czas przed katastrofą roku 1846. System ten bowiem nie posiadał w Austryi ówczesnej żadnego z tych dwóch czynników, które w innych państwach stanowiły jego podporę, to jest ani monarchy, któryby umiał i zdołał działać pod wyniosłem hasłem *l'état c'est moi,* ani dobrze i jednolicie zorganizowanego aparatu administracyjnego, wykonawczego w ogóle. Cesarz Józef II, przedstawiany przez historyków i publicystów austryacko-niemieckich jako typ takiego monarchy absolutnego, który nietylko mógł podtrzymać system absolutny, lecz nadto uczynić go nawet do pewnego stopnia popularnym, posiadał niezawodnie wiele przymiotów, uprawniających go do takiej roli; ale działalność jego, kierowana głównie dążnością centralizacyjno-germanizatorską i wysilająca się przytem na awanturniczą w całym przebiegu swoim misyę reformatorską, była raczej tylko jedną fazą w rozstroju pań-

stwowym. Jak po jego misyi reformatorskiej na polu społecznem, tak i po organizacyjnych zabiegach około machiny rządowej pozostało zamieszanie. Organa administracyi przedstawiały razem taką chaotyczną w rozdziale agend strukturę, że częstokroć przypadek rozstrzygał, do której czeluści biurokratycznej pewna sprawa wpaść miała. Bardzo często sprawy pokrewne z treści i z wszystkich akcesoryów bywały rozmaicie traktowane i załatwiane z powodu ich rozrzucenia pomiędzy różne władze centralne. Za rządów następnych próbowano niejedno zmienić i naprawić, ale próby te nie osiągnęły celu pożądanego.

W takim składzie rzeczy, system absolutny w Austryi potrzebował do utrwalenia swojego wobec nowych prądów politycznych, coraz śmielej docierających od zachodu ku środkowej Europie, już nietylko monarchy, któryby w wyższym umyśle umiał objąć i samodzielną inicyatywą forytować całość zadań państwowych, niedostępną dla scieśnionego widnokręgu biurokracyi, lecz nadto centralnego organu przybocznego, któryby z jednej strony był motorem i regulatorem wszystkich funkcyi skomplikowanego aparatu administracyjnego, a z drugiej strony czuwał bacznie nad utrzymaniem tego aparatu w stanie dobrym, zabezpieczonym przed osadzaniem się rdzy przedajności i śniedzi bezmyślnej pedanteryi na poszczególnych kołach i kółkach. Tych warunków nie posiadała Austrya absolutna w okresie, poprzedzającym wypadki lat 1846—1848. W tych czasach bowiem cesarz Franciszek ograniczał swoją ambicyę do ześrodkowania w swojej gabinetowej kancelaryi spraw administracyi wewnętrznej tak, ażeby w tym zakresie zachować sobie wszystkie pozory samodzielności i niezależności. Sam lubił chwalić się tem, że mógłby być bardzo użytecznym »hofratem« i niezawodnie należał mu się tytuł najwyższego i najpracowitszego »hofrata« w całej Austryi. Rzecz naturalna, że taki monarcha-biurokrata musiał nietylko opaźniać w nieskończoność ostateczne załatwienie wielu spraw, sobie zastrzeżonych, lecz nadto, wobec fizycznej niemożności wglądania we wszystkie szczegóły, pozostawić wkońcu biurokracyi szerokie pole, na którem ona czuła się już zupełnie wyjętą z pod kontroli. Doniosłość tej konsekwencyi maleje w oczach dzisiejszego pokolenia społeczeństwa polskiego w Galicyi, oswojonego już z widokiem urzędników-obywateli, stojących poza sferą hierarchicznej odpowiedzialności pod podwójną ścisłą kontrolą własnego sumienia obywatelskiego i opinii współobywateli. Ale takie wyjęcie biurokracyi z pod kontroli, o jakiem powyżej mówiliśmy, zna-

czyło dla pokolenia polskiego ze schyłku pierwszej połowy XIX stulecia niemal tyle, co wyjęcie z pod prawa i wydanie na łup samowoli licznej, ale wspólnością interesów ściśle z sobą połączonej i przewrotnym *esprit du corps* na tle tych interesów od dołu do góry ożywionej armii indywiduów obcych krajowi i przejętych zawistnemi uprzedzeniami.

Jedynie dobrą — ale nie w znaczeniu bezwzględnem, lecz tylko w porównaniu ze stanem późniejszym — stroną rządów cesarza Franciszka było to, że książę Metternich trzymany był zdala od spraw administracyi wewnętrznej, nie tyle z zasadniczych powodów, jak raczej dzięki tej zazdrości, z jaką cesarz warował wszystkie pozory samodzielności monarszej w tym właśnie zakresie agend.

Wszystko zmieniło się na gorsze z chwilą wstąpienia na tron cesarza Ferdynanda. W niedołężnie skombinowanym, a bardzo skomplikowanym aparacie biurokratycznym absolutnej Austryi główny czynnik, ten właśnie, który wszystko jednoczyć i do jednego tonu dostrajać winien, był ubezwładniony. Cesarz Ferdynand, z przymiotów serca jako dobrotliwy znany i tak już stale w historyi nazywany, dotkięty był ciężką a nieuleczalną chorobą nerwową, epilepsyą. Często ponawiające się silne ataki epileptyczne nietylko czyniły go niezdolnym do takiej systematycznej pracy, jaką cesarz Franciszek, pomimo drobiazgowego pedantyzmu, jeszcze jako tako zapewniał regularne funkcyonowanie machiny rządowej, lecz nadto, wskutek ujemnego wpływu na funkcye intellektualne monarchy, mianowicie wskutek postępującego słabnięcia jego pamięci i siły woli, nasuwały sferom dworskim coraz więcej potrzebę ustanowienia bodaj cichej regencyi, któraby zapobiegała zupełnemu zastojowi w rządach przez zanik tej siły rozpędowej, jaką za poprzednich monarchów stanowiła ich indywidualność wybitna i zdeklarowana wola.

Była to sytuacya, świetna dla wybitnego męża stanu, który w roli wszechwładnego ministra mógłby był ustrój państwowy zreformować na trwałej podstawie i okryć się w historyi Austryi niespożytą sławą. Ale równie świetną była ta sytuacya dla takiego demona politycznego, jakim był w tej dobie książę Metternich, już nie młody pod względem wieku, ale pełen młodzieńczej siły woli i pomysłowości w tem, co sobie jako zadanie główne postawił: w tamowaniu, a jeżeli można, nawet w brutalnem krępowaniu wszelkich aspiracyi wolnościowych, wszelkich porywów reformatorskich, w ogóle wszelkiego odstą-

pienia od maksymy ówczesnego systemu absolutnego, według której »ograniczony rozum poddanych« skazany jest wobec powagi i przewagi »ojcowskiego rządu« na wieczne milczenie i ślepą potulność. Że aż do śmieszności posuwano przestrzeganie tej maksymy, na to najlepszem świadectwem fakt historyczny, na pozór małej wagi, ale co do istoty swojej wielce charakterystyczny. Kiedy raz deputacya ze świata literacko-naukowego i księgarskiego zdobyła się na krok śmiały na ówczesne stosunki i wręczyła kanclerzowi bardzo pokorną petycyę o złagodzenie nieznośnego a niedorzecznego przytem ucisku cenzuralnego, tamującego wszelki rozwój, w ogóle wszelki ruch w zakresie pracy duchowej, Metternich odprawił ją oświadczeniem, że deputacya tym krokiem właśnie uniemożliwiła oddawna już przezeń z własnej inicyatywy zamierzoną reformę cenzury, gdyż rząd nie może teraz tego uczynić, aby uniknąć wszelkiego pozoru ulegania naciskowi od dołu.

Siła wypadków i całej sytuacyi ówczesnej wciskała niejako całą władzę w ręce Metternicha. Toteż na dworze cesarskim powstała obawa, żeby ten potentat nie urósł wszystkim ponad głowy. Skoro niemożliwem było zepchnięcie Metternicha ze stanowiska przewagi, niemożliwem najpierw z powodu jego niezaprzeczonej wyższości nad całem otoczeniem politycznem i dworskiem, a powtóre z powodu jego wielkiej powagi wobec całej Europy, nie pozostawało czynnikom, dbałym o powagę dynastyczną, a tem samem poniekąd zawistnym Metternichowi, nic innego, jak tylko utworzenie pewnego kollegium regencyjnego, w którem kanclerz państwa odgrywałby, bo odgrywać musiał, główną rolę, które jednak ścieśniałoby, przynajmniej na pozór, jego wszechwładztwo. W ten sposób powstała konferencya stanu, która miała zastępować cesarza w razie choroby, a w rzeczywistości wyręczała go stale. Członkami stałymi tej konferencyi byli: arcyksiążę Franciszek Karol, ojciec dzisiejszego cesarza Franciszka Józefa I, arcyksiążę Ludwik, oraz ministrowie: ks. Metternich i hr. Kolowrat. Do udziału w obradach, ale nie stale, lecz tylko w miarę potrzeby, jeżeli mianowicie tego prawne sprawy wymagały, mogli być powoływani także inni ministrowie, prezydenci najwyższych dykasteryi, oraz szefowie sekcyi i rady stanu. Ponieważ członkowie ostatniej kategoryi byli tylko referentami, a arcyksiążę Franciszek Karol pozostał w ogóle w całej działalności swojej biernym, więc ostatecznie

rządy spoczęły w rękach tryumwiratu, to jest arcyksięcia Ludwika, ks. Metternicha i hr. Kolowrata. Taka organizacya naczelnego i centralnego kierownictwa machiny rządowej nie mogła oczywiście dawać rękojmi jednolitej i sprężystej akcyi, zwłaszcza w chwili nacisku nadzwyczajnych wypadków i wśród wyjątkowej sytuacyi. Jeżeliż tedy z taką organizacyą łączyła się jeszcze niezgoda w łonie tryumwiratu, to nic dziwnego, że w danym razie brak harmonii u góry musiał pociągnąć za sobą na niższych szczeblach administracyi formalny rozstrój, a wśród takich nadzwyczajnych wydarzeń, jakie zaszły na początku roku 1846, nawet anarchiczne rozprzężenie.

Że w łonie tego tryumwiratu panowała istotnie niezgoda, tego domyślano się w swoim czasie, a dziś są już na to niezbite dowody, zawarte w wielkim zbiorze pism pozostałych po ks. Metternichu i ogłoszonych przed trzydziestu laty [1]). Takim dowodem jest najpierw memoryał, znaleziony pomiędzy temi pismami, a napisany, jeżeli nie przez samego kanclerza Metternicha, to w każdym razie przez osobistość, nietylko wtajemniczoną w cały tok spraw rządowych, lecz nadto postawioną tak blisko kanclerza, że wiadome jej były jego skryte żale i dławione podejrzenia. »Niezgoda i sprzeczność między zapatrywaniami i dążeniami obu kierujących ministrów (t. j. ks. Metternicha i hr. Kolowrata) z każdym dniem staje się coraz więcej publiczną tajemnicą. Ani w postępowaniu z ludźmi, ani w załatwianiu spraw nie widać stałego kierunku. Opóźnienia, wywoływane nie ścisłością, lecz niejasnością zamiaru, albo brakiem decyzyi, doprowadzają najczęściej do zaniechania koniecznych kroków lub do połowicznych zarządzeń, a nieraz do przedwczesnych dyspozycyi. Instytucye w najwyższej sferze tracą na sile i kredycie... Dla jasno patrzących nie jest to żadna tajemnica, że absolutyzmem ministerstwa gabinetowego (t. j. hr. Kolowrata) nie kieruje pewna konsekwentna i stanowcza dążność ku jasno pojętemu wielkiemu celowi państwowemu, lecz kapryśne starania o zaspokojenie drobiazgowych aspiracyi i próżności, że opiera się nie na samodzielnej, silnej i imponującej indywidualności, lecz raczej na najzupełniejszej zależności od kilku intrygantów i egoistów«. W dalszym ciągu memoryału już bez wszelkich ogródek i bez oszczędzania osób (hr. Kolowrata i arcyksięcia Ludwika) przedstawiony jest stan rzeczy

---

[1]) »Aus Metternich's nachgelassenen Papieren«. — Wien, 1883. — Część II, tom 5.

w taki sposób, że ton memoryałowy zmienia się wprost w oskarżycielski.

Jeszcze jaśniej określił anarchiczny ustrój machiny rządowej ówczesnej Austryi sam ks. Metternich, już po upadku swoim, w piśmie do swojego następcy w ministerstwie spraw zagranicznych, hr. Ficquelmonta z 30 marca 1848. »Znasz pan przeszłość — pisze były kanclerz austryacki — i wiesz, czego pożądałem, nie mogąc celu osiągnąć. W ciągu lat, które upłynęły od nastania ogólnego pokoju, żądałem przedewszystkiem stworzenia władzy rządowej *(création d'une force gouvernementale),* bez której niema państwa. Moje usiłowania były daremne; nie zrozumiano mnie, a stąd wyniknąć musiały następstwa, które uważać należy za konsekwencyę tego faktu. Moje ministerstwo, a także moja indywidualność reprezentowała potęgę Austryi na zewnątrz, a tymczasem wewnątrz powstała próżnia. W ten sposób stałem się (na co wzdryga się moja świadomość moralna) fantasmagoryą, istotą fantastyczną, duchem bez ciała, przedstawicielem tego, co powinno było istnieć, a czego wcale nie było. Oto historya a nie powieść«. A na innem znowu miejscu w autobiograficznych zapiskach mówi były kanclerz: »O ile rozległym był mój osobisty za kres działania na polu politycznem, o tyle ograniczonym był on w zakresie wewnętrznych stosunków rządu. W leniwym toku spraw środki rządowe wtedy dopiero dochodziły do mojej wiadomości, gdy przeszły już wszystkie niższe stadya i dojrzały do ostatecznej decyzyi i wymagały jej z powodu swojej nagłości lub ważności. Najpłodniejszym w skutki błędem w sytuacyi cesarstwa austryackiego przed r. 1848 było wciągnięcie w zakres rządu spraw, które należały do zakresu administracyi. Przez to maszyna państwowa była w swoim ruchu tamowana, najwyższe sfery zaprzątano rozmaitemi sprawami, a odpowiedzialność niższych władz została uchylona«.

To ostatnie otwarte przyznanie, że w funkcyach władzy państwowej panował rozstrój anarchiczny, wyjaśnia trudną do pojęcia ospałość, prawie bierność centralnych organów wobec Galicyi w r. 1846, mianowicie w chwili, gdy z całego ruchu powstańczego śladu już nie było, a bandy chłopskie w zachodnich obwodach długi jeszcze czas w sposób rozbójniczy grasowały po dworach pod okiem organów cyrkularnych, z jednej strony już wtedy bezsilnych wskutek poprzednio z temi bandami milcząco zawartego sojuszu, a z drugiej strony zasłonionych przed odpowiedzialnością przez to, że pospolite mordy

i rozboje chłopskie wyjęto w Wiedniu z zakresu administracyi i przeniesiono w zakres rządu, t. j. traktowano nie jako zbrodnie, lecz jako akta lojalnej kontr-rewolucyi, a więc jako akta polityczne.

W takich sprawach polityki wewnętrznej, w których interesa polityki zagranicznej w grę wcale nie wchodziły, hr. Kolowrat czasem zdołał wobec kanclerza utrzymać się ze swojemi odmiennemi zapatrywaniami. Faktem jest n. p., że kierunek germanizacyjny, wytknięty przez cesarza Józefa, za wpływem hr. Kolowrata zwolniał w czasie, gdy przewaga ks. Metternicha na pozór wydawała się nienaruszalną. M. Bach, którego najświeższa historya rewolucyi wiedeńskiej z roku 1848 [1]) napisana została już widocznie pod wrażeniem współczesnych zawikłań i przesileń politycznych w Austryi, na tle antagonizmów narodowych i sporów językowych, wprost obwinia hr. Kolowrata, że, sam będąc Czechem, zwolennikiem dążności czeskich, pod wielu względami popierał Czechów, forytował ich w służbie państwowej, a przedewszystkiem zapewnił im spokój i wolność w pracy narodowej.

Być może, że także żywioł polski posiadał w hr. Kolowracie, jeżeli nie takiego przyjaciela, jak żywioł czeski, to przynajmniej wyrozumiałego świadka swojej niedoli ówczesnej i wysileń ku wydobyciu się z tej niedoli. S. Barzykowski wymienia w swojej »Historyi powstania listopadowego« hr. Kolowrata obok ówczesnego gubernatora, księcia Lobkowitza, jako jedynie w ówczesnym urzędowym świecie austryackim życzliwych mężów stanu, którzy wysłannikom rządu warszawskiego okazali wiele współczucia i gotowości do życzliwej interwencyi, jak wiadomo, daremnej wśród danych stosunków politycznych. W samej Galicyi zaszedł właśnie w tych czasach widoczny, choć krótko trwający, zwrot w wrogim dotąd dla polskości systemie rządowym. Zwrot ten objawił się w najdrażliwszej właśnie sprawie, w traktowaniu stosunków pańszczyźnianych z mniejszem uprzedzeniem ku szlachcie, z większą dbałością o jej prawa wobec poddanych, którzy uzuchwaleni poprzedniem jednostronnem forytowaniem swoich pretensyi i zachceń, posuwali się aż do napastliwości. Namiestnik, ks. Lobkowitz, okazywał na zewnątrz w sposób ostentacyjny swoją przychylność dla polskiej szlachty.

---

[1]) *Maksymilian Bach:* »Geschichte der Wiener Revolution im Jahre 1848«, Wien 1893.

W r. 1846 jednak w Wiedniu, w łonie rządu centralnego, nie mógł się żaden głos ująć za Galicyą. Kierunek germanizacyjny bowiem w sojuszu z rygorem systemu absolutnego zaciężył właśnie na Galicyi z całą siłą, tak, jak gdyby sobie tutaj powetować miał osłabienie rozpędu w innych krajach koronnych, mianowicie w Czechach, zasłanianych przez hr. Kolowrata. Było nieuniknioną konsekwencyą tego fatalnego zbiegu okoliczności, że właśnie wtedy, gdy ks. Metternich uważany był w całej środkowej Europie za strażnika jej cmentarnej ciszy politycznej wobec dobywających się z zachodu prądów wolnościowych, Galicya za sprawą spiskowców, a przedewszystkiem paryskich emisaryuszy i wersalskich związków konspiracyjnych, uchodzących za najniebezpieczniejszą inkarnacyę tych prądów, uchodziła obok włoskich prowincyi Austryi za klasyczne pole knowań i przygotowań rewolucyjnych europejskiej doniosłości, więc za niepodzielną domenę wszechwładztwa Metternichowskiego.

Rzecz naturalna, że na tępienie tych knowań i na śledzenie emisaryuszy wysilała się administracya państwowa tak, jak gdyby w tem koncentrowały się w danej chwili wszystkie jej zadania. Akcya organów rządowych w tym zakresie stanowiła niejako generalne pole wyścigowe dla wszystkich karyerowiczów a zarazem i dla wszystkich bandytów biurokratycznych ówczesnej epoki, którzy urząd swój i władzę z niego czerpaną uważali zarazem za środek przysporzenia sobie ubocznych dochodów, polepszenia bytu, wreszcie nawet wzbogacenia się kosztem ofiar teroryzowanych i wyzyskiwanych. Kiedy takie twierdzenie ozwie się ze strony polskiej, niemieccy publicysci w Austryi i dziś jeszcze mają na to gotową odpowiedź, że jest to oszczercza przesada. Niechżeż więc rozprawią się teraz z własnym kolegą, M. Bachem, który, kreśląc w dziele powyżej przytoczonem charakterystykę świata urzędniczego z epoki Metternichowskiej, jego zwartą organizacyę kastową, niski poziom inteligencyi i nędzne położenie materyalne, kończy temi słowy: »Ten świat urzędniczy jest przedewszystkiem przedajny, możnaby nawet powiedzieć: słusznie przedajny«. A Bach brał miarę oczywiście z innych prowincyi austryackich, najmniej może myśląc o Galicyi, gdzie było najgorzej!

W takim składzie rzeczy na Galicyi szczególniej zaciążyć musiała w tej dobie prawa ręka Metternicha w tropieniu i gnębieniu wszelkich związków z aspiracyami wolnościowemi, szef najwyższej władzy policyjnej, faktyczny minister policyi hr. Sedlnitzky. Jako ge-

neralissimus całej armii tajnych agentów, szpiegów i tak zwanych konfidentów różnego stanu i zawodu, po całej zachodniej Europie zajętych tropieniem planów spiskowych, był on wtajemniczony we wszystkie zamysły swojego ministra i nawzajem wtajemniczając go we wszystkie tajniki swoich zdobyczy informacyjnych, mógł się uważać za współkierownika polityki i rządów Austryi. Za wpływem Sedlnitzkyego i wskutek istotnego związku pomiędzy akcyą polskich emisaryuszy a ogniskami rewolucyjnemi zachodniej Europy, władze austryackie w ogóle, a szczególnie galicyjskie, stały się niejako międzynarodowemi agencyami policyjnemi. Między Sedlnitzkym a władzami pruskiemi istniał rodzaj konwencyi policyjnej, której celem była wzajemna wymiana wszystkich zdobyczy śledczych. W miarę, jak akcya spiskowa we wszystkich dzielnicach polskich ożywiała się i rozgałęziała, wypadło uprościć i przyspieszyć tę wymianę. Toteż na wniosek Sedlnitzkyego zapadło 16 stycznia 1846 postanowienie cesarskie, że władze galicyjskie mają wprost władzom pruskim komunikować wszystkie znane sobie daty i fakta o spiskowych związkach polskich, a za to także wprost od władz pruskich odbierać będą podobne komunikaty. Odtąd toczy się już bez przerwy aż do r. 1848 taka serdeczna, otwarta korespondencya między szefem policyi poznańskiej, br. Minutolim, a lwowskiem gubernium, jak gdyby chodziło o interesa jednego i tego samego państwa. Br. Minutoli zasypuje gubernium galicyjskie nieustannie donosami i w bogactwie szczegółów ma taką przewagę nad tem gubernium, że krzyżacka wyższość już w tej ponurej epoce święci tryumfy. W gorliwości swojej posunął się br. Minutoli tak daleko, że władzy galicyjskiej zakomunikował nawet tajny memoryał słynnego Flottwella o środkach przyspieszenia germanizacyi W. Ks. Poznańskiego.

Trzeci uczestnik powyżej wspomnianej trójcy wiedeńskiej, która tak krwawo zapisała się w r. 1846 w historyi Galicyi, hr. Inzaghi, najwyższy kanclerz, to jest szef zjednoczonej kancelaryi nadwornej w Wiedniu, powinienby, jako naczelnik władzy z agendami dzisiejszego ministra spraw wewnętrznych, zajmować miejsce naczelne. Że jednak tak nie jest, że należy mu się dopiero miejsce trzecie, bo wysuwa się na pierwszy plan i to z najmniejszym stosunkowo, chociaż zawsze złowrogim dla Galicyi wpływem dopiero wtedy, gdy przyszła kolej na konsekwencye chybionego ruchu, mianowicie na uregulowanie albo raczej na fatalne dla szlachty powikłanie nieszczęsnej

sprawy pańszczyźnianej, to świadczy wprawdzie przedewszystkiem o małem znaczeniu osobistem hr. Inzaghiego w ówczesnych kołach kierujących, ale stanowi przytem także szczegół charakterystyczny dla obrazu ówczesnych stosunków. Ponad wszystkiem górowała polityczno-policyjna strona akcyi rządowej, a cała administracya wewnętrzna z wszystkimi dla dobra ludności najżywotniejszymi interesami leżała odłogiem, upośledzona, lekceważona, w danej chwili niemal ignorowana.

Kiedy w Wiedniu grono faktycznych chociaż nie autoryzowanych regentów tak opanowało sytuacyę, że na chorego cesarza Ferdynanda oglądano się tylko o tyle, o ile dla sfinalizowania danej kwestyi potrzebne było ujęcie przygotowanej już decyzyi w sakramentalną formułę »najwyższego postanowienia« i opatrzenie aktu podpisem cesarskim, we Lwowie poza plecyma wprawdzie nie tak apatycznego, jak cesarz Ferdynand, ale wcale nieprzenikliwego, ani bystrego, a poza sferą aktów religijności i dobroczynności ani zdolnego, ani skorego do inicyatywy lub samodzielności generał-gubernatora, arcyksięcia Ferdynanda d'Este, rozpanoszyła się zgraja biurokratów-karyerowiczów, dla których administracya była najlepszem polem, a Galicya najwięcej obiecującą placówką w dążeniu do egoistycznych celów promocyjnych i do zaspokojenia prostej chciwości. Właściwym kierownikiem administracyjnym był prezydent gubernialny, Franciszek baron Krieg von Hochfelden, przybłęda z Wirtembergii, którego skrytem marzeniem było zajęcie pozycyi gubernatorskiej po arcyksięciu Ferdynandzie. Br. Krieg za młodu kolegował i łobuzował po koleżeńsku z br. Hauerem, który został gubernatorem Galicyi i karyerą swoją wzbudził w dawnym towarzyszu wesołego życia tę skrytą ambicyjkę. Była ona już zresztą dość bliską urzeczywistnienia, gdyby nie fakt, że w chwili, gdy arcyksiążę Ferdynad ustąpił ze swojego stanowiska zaraz po krwawem stłumieniu ruchu w r. 1846, postępowanie gubernium galicyjskiego i w ogóle biurokratów galicyjskich rzuciło, pomimo wszelkich wysileń rehabilitacyjnych w organach rządowych i półurzędowych, krajowych i zagranicznych, taki cień na rząd austryacki w oczach zachodniej Europy, że o podobnem wywyższeniu barona Kriega bez prowokacyi opinii już nie można było myśleć.

Dobranym towarzyszem br. Kriega był wiceprezydent gubernialny, Leopold baron Lazansky, dla którego także samo tropienie każdego ruchu wolnościowego i żywszego poczucia narodowego

w społeczeństwie polskiem stanowiło główne zadanie administracyi, a zarazem pole popisowe w zabiegach o karyerę. Był on o tyle szczęśliwszym od br. Kriega, że działalnością swoją w Galicyi dobił się wysokiego stanowiska w państwowej hierarchii biurokratycznej, mianowicie został w rok po krwawych przejściach galicyjskich naczelnikiem rządu krajowego na Morawach. Jak głęboko przejęty był swoją misyą galicyjską, świadczy fakt, że nawet później, na nowem stanowisku swojem poza Galicyą, nie przestał z amatorstwem tropić wszelkich podejrzanych objawów w społeczeństwie polskiem. Nieproszony, niewzywany, a nawet ze stanowiska formalności kompetencyjnych wcale niepowołany, narzucał się w trzy lata później ówczesnemu gubernatorowi Galicyi, Agenorowi hr. Gołuchowskiemu, w listach prywatnych i w pismach urzędowych, z doniesieniami o wrzekomych związkach tajnych, rozszerzających swoją akcyę z Poznańskiego na Kraków, Warszawę i Lwów.

Poza temi głównemi figurami pozostawało w cieniu całe ówczesne gremium radców gubernialnych. Jeden z nich, Agenor hr. Gołuchowski, który w trzy lata później miał stanąć na czele rządu krajowego jako gubernator, znosić musiał wtedy wprost upokarzające lekceważenie, na co w aktach ówczesnych znajduje się dowód wielce charakterystyczny. Już po rzezi tarnowskiej wdowa po jednej z najtragiczniejszych jej ofiar, obywatelu ziemskim Karolu Kotarskim, pragnęła wyjechać do Wiednia, aby stracić z oczu widownię swojego nieszczęścia. Celem uzyskania paszportu zwróciła się za pośrednictwem swojej krewnej, br. Konopkowej, do hr. Gołuchowskiego o pośrednictwo. W normalnych stosunkach powinnoby było wystarczyć ustne wstawienie się radcy gubernialnego. Hr. Gołuchowski, przewidując trudności, zwrócił się do tej władzy, której był radcą, z pisemną, umotywowaną prośbą i otrzymał rezolucyę odmowną na referacie, przez samego br. Kriega w tym duchu poprawionym.

Za to prawdziwymi potentatami byli starostowie ówcześni, to jest naczelnicy obwodów, na które we współczesnej urzędowej i późniejszej historycznej nomenklaturze utarła się nazwa cyrkułów. Galicya z dzisiejszymi 82 powiatami i tyluż starostwami, podzielona była w r. 1846 na 18 cyrkułów. Sprawował tedy starosta cyrkułowy administracyę na terytoryum przeszło cztery razy rozleglejszem, aniżeli starosta dzisiejszy, a wyższość jego co do zakresu władzy nad dzisiejszym starostą prześcigała nieskończenie nawet powyższy stosunek tery-

toryalny. W tych 18 urzędach cyrkularnych, któreby nazwać można blokhauzami pozakładanymi dla osaczenia i poskromienia żywiołu polskiego w kraju, panowała najgorsza kategorya biurokracyi, właśnie ta, która przygotowała najpierw anarchię w stosunkach społecznych i administracyjnych, a później, gdy na tem tle rozwinęła się krwawa akcya czerni chłopskiej, ujrzała się bezsilną, popadła nawet w zupełną zależność od swoich występnych narzędzi.

O szykanach, podstępach, krętactwach, zdzierstwach i t. p. biurokracyi, która z takich blokhauzów cyrkularnych rozwijała działalność swoją po całym kraju, a przedewszystkiem po dworach szlacheckich, współczesne pamiętniki i późniejsze prace historyczne o wypadkach w r. 1846 zawierają mnóstwo szczegółów tak drastycznych, że już dzisiejsze pokolenia polskie w Galicyi mogłyby je uważać za nieprawdopodobne, lub co najmniej bardzo zaprawione przesadą, gdyby powaga obywatelska pamiętnikarzy i autentyczność innych źródeł nie uchylały wszelkiej wątpliwości pod tym względem. Nie myślimy z tej kolekcyi szczegółów przytaczać nawet najdrastyczniejszych, ani wzbogacać jej nowymi, coby dziś jeszcze było możliwem. Jak w całem traktowaniu rzezi galicyjskiej z r. 1846 w tych szkicach nie chodzi nam o wypełnianie obrazu krwawych scen nowymi rysami i szczegółami, lecz o przedstawienie tła wypadków, głównych czynników katastrofy i przyczyn tego anarchicznego zamętu, jaki w Galicyi w r. 1846 zapanował, tak też i w określeniu roli biurokracyi cyrkułowej z r. 1846 nie zależy nam na ilustracyi tej roli w sposób anegdotyczny, lecz głównie na wyjaśnieniu tego, bądź co bądź, trudnego już dziś do pojęcia faktu, że jeszcze przed niespełna siedmdziesięciu laty w Austryi cały kraj koronny, i to jeden z największych, mógł być oddany na pastwę kaście, pojmującej zadanie swoje, zadanie administracyi w ogóle, w sposób najezdniczy.

Przedewszystkiem weźmy na uwagę materyał, z jakiego powstała ówczesna biurokracya w Galicyi. W urzędowych schematyzmach tej smutnej doby nie braknie wprawdzie nazwisk polskich, ale fakt ten nie ma znaczenia, bo najpierw nazwiska takie gubią się w tłumie obcych, a powtóre, indywidua, noszące te nazwiska, nie poczuwały się do łączności ze społeczeństwem polskiem w jego aspiracyach narodowych, umiały dostrajać się i istotnie zupełnie dostrajały się do onu w urzędach panującego. Największego kontyngentu biurokratów dostarczały Galicyi prowincye niemiecko-słowiańskie, bo kandydaci,

stamtąd pochodzący, nadawali się najlepiej do roli, jaka ich czekała. Z jednej strony od biedy pokonać mogli trudności językowe, skoro władali jednem z narzeczy słowiańskich, a z drugiej strony można było zaufać im zupełnie, że w Galicyi wierni pozostaną niemieckości i służyć będą dążnościom germanizacyjnym rządu. W tych czasach bowiem poczucie narodowe, więc i poczucie tej wspólności plemiennej, które wydobyło się z żywiołową siłą dopiero w dwa lata później (1848) z pod gruzów obalonego systemu Metternichowskiego, a po przebyciu późniejszej porewolucyjnej represyi wzmogło się i dziś rozstrzygającą odgrywa rolę w wewnętrznej polityce Austryi, znajdowało się w jej niemiecko-słowiańskich prowincyach w stanie zupełnego odrętwienia, w prawdziwym letargu. W dwóch tylko prowincyach Austryi, we Włoszech (Lombardyi i Wenecyi) i w Galicyi poczucie narodowe było żywe, ale uchodziło w ówczesnych pojęciach rządowych i w politycznej nomenklaturze systemu Metternichowskiego za synonim antypaństwowej spiskowej dążności, której tępienie wszelkimi środkami prewencyjnymi i represyjnymi poczytywano za pierwszy artykuł racyi stanu. Z tym mandatem wysyłano do obu prowincyi legiony biurokratów, a najgorszych nie do Włoch, lecz właśnie do Galicyi, która uchodziła za kraj kulturalnie najniższy w państwie, za teren jałowy, który dopiero pod kulturę austryacko-niemiecką uprawić należało. Ponieważ inkarnacyę spiskowej polskości widziano w szlachcie, a zatem w dworach szlacheckich ogniska antypaństwowych knowań, przeto mandat powyższy łączył się najściślej ze starą, jak Austrya absolutna, maksymą rządową: *divide et impera!* Wytworzyć między dworem a ludem wiejskim przepaść na tle pańszczyźnianem, pogłębiać przepaść tę coraz więcej na ogólnem tle stosunków społecznych, a potem wyzyskać ją politycznie przez wpojenie w lud wiejski przekonania, że szlachcic polski, uciskający go pańszczyzną, jest zarazem niepoprawnym spiskowcem przeciw państwu i cesarzowi, że zatem ucisk pańszczyźniany i spiskowość idą w parze, a wobec obu tych dążności jedynie w biurokracyi znaleźć można siłę odporną i obronną — oto dyrektywa, z którą już jechał do Galicyi każdy, świeżo tam odkomenderowany biurokrata.

Że tak przedstawiała się ówczesna sytuacya nietylko w kołach polskich, lecz także przebywającym w kraju naszym Niemcom, którzy z bliska i bez uprzedzeń patrzyli na stosunki, a z lękliwości, lub serwilizmu, zdania swojego nie ukrywali, na to kiedyś pewnie znajdą

się dowody w niedostępnych dziś jeszcze dla historyka aktach centralnych władz wiedeńskich z roku 1846. Na jeden taki dowód natrafiliśmy w zbiorach Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich we Lwowie. Są to autentyczne odpisy memoryałów, które na wiosnę roku 1846, zaraz po rzezi, wystosował do centralnej władzy policyjnej, do ministra hr. Kolowrata, do kanclerza hr. Inzaghiego i nawet do arcyksięcia Ludwika Niemiec, w Galicyi osiadły od lat kilkunastu, Ferdynand Hosch, właściciel dóbr ziemskich a zarazem poczmistrz w Grybowie [1]).

Hosch musiał posiadać opinię bardzo dobrego patryoty austryackiego, skoro wprost z Wiednia i do tego z centralnej władzy policyjnej otrzymał wezwanie do przedstawienia swoich spostrzeżeń i uwag o wypadkach współczesnych. Na opinię tę Hosch niezawodnie zasługiwał, gdyż jego memoryały stanowią niemal entuzyastyczną affirmacyę tego patryotyzmu, poczucia niemieckości i uwielbienia dla dynastyi habsburskiej. Ale Hosch był człowiekiem prawym i wrażliwym na niegodziwość. Toteż w memoryałach swoich, a jak się z luźnych uwag pokazuje, także i w rozmowie z arcyksięciem Ludwikiem na wyznaczonej sobie audyencyi, oparty na własnej kilkunastoletniej obserwacyi i na własnych smutnych przejściach, gdy 21 lutego 1846 roku wśród zamieci śnieżnej uciekać musiał z całą rodziną z Galicyi ku granicy węgierskiej, wystąpił z formalnem oskarżeniem władz cywilnych i wojskowych, których postępowanie przed wybuchem i wśród rzezi wprost niepojętem mu się wydało. Hosch z godną podziwu odwagą nietylko wystąpił przytem w obronie szlachty, lecz nadto oskarżył Breinla o forytowanie rzezi, na co przytoczył szereg bardzo ciężkich poszlak. Tak stanowczem było wystąpienie Hoscha w tym kierunku, że, jak sam zaznacza w jednym z memoryałów, popadł w posądzenie, iż, ujęty przez szlachtę polską, stał się jej stronniczym rzecznikiem i propagatorem jej wrzekomo oszczerczych zarzutów.

Nie chcemy odbiegać od tematu, więc po tej ogólnej uwadze o memoryałach Hoscha, jako klasycznego świadka z r. 1846, ograniczymy się tylko przytoczeniem ustępu, specyalnie biurokracyi poświęconego, a bardzo trafnie objaśniającego jej wrogie dla kraju stanowisko.

»Więcej i ciężej — pisze Hosch — niż szlachta innych prowin-

[1]) Por. rozdział X.

cyi, uczuwa szlachta galicyjska nieustannie podsycane uprzedzenie, zazdrość i nienawiść ze strony poszczególnych urzędników. Nie ujmuję się za szlachtą, do której sam nie należę, ale mam na uwadze prawo i wiem, że co dla jednego jest prawem, to i dla drugiego jest słusznem. Jeżeli głos zabieram, to czynię to z najgłębszem przekonaniem, że prawdę mówię... Było to i pozostanie urojeniem, doktryną szkół niemieckich, że szlachta polska żyje głównie ze zdzierstwa poddanych, że ich uciska i gnębi, aby wydusić środki dla swoich potrzeb wykwintnych. To urojenie nabrało w niemieckim narodzie przysłowiowej pewności; ciągle jest podtrzymywane. Ja sam nawet, wychowany w niemieckich zakładach szkolnych, przyswoiłem sobie to urojenie i uważałem je za fakt tak samo, jak Niemcy po największej części jeszcze niedawno Galicyę i w ogóle Polskę błędnie uważali za niezmierzony obszar moczarów, lasów i bagien, na którym wilki i niedźwiedzie całemi stadami się snują i drogi niebezpiecznemi czynią. Dziś jeszcze niejeden niemiecki urzędnik rozpoczyna praktykę w Galicyi z tem urojeniem, i znajduje je zazwyczaj zakorzenionem w największej części personelu rozmaitych urzędów. Urojenie takie zmienia się w przesąd, którego wyplenić nie można, a przesąd ten znowu staje się dyrektywą dla wszystkich urzędowych rozpraw i zarządzeń. Przesąd taki staje się nawet zabarwieniem ogólnem, tłem dla relacyi i opinii, wskutek czego najwyższe władze, nie mając tak potrzebnego dla ścisłości bezstronnego przedstawienia stanu, często muszą być w błąd wprowadzone. Przesąd ten wreszcie wytworzył wzajemną nieufność między czynnikami, w grę wchodzącymi, podsyca i podnieca zazdrość i nienawiść«.

Powtarzamy, że jest to głos Niemca, zaznaczającego na samym wstępie memoryału w sposób demonstracyjny swoje poczucie narodowe i swój gorący patryotyzm austryacki, głos, oparty na kilkunastoletniej własnej obserwacyi i w dalszym toku memoryału objaśniony całym szeregiem wymownych, częstokroć nawet drastycznych faktów. W swoim czasie sfery wiedeńskie uważały głos ten za wynurzenia ekscentryka, którego sobie szlachta polska ująć zdołała. Ale wtedy w tych sferach także o rozbójniczych bandach chłopskich panowała opinia, że są to przejęte duchem patryotycznym rzesze dobrowolnych bojowników za sprawę państwa i cesarza. Dziś sumienny historyk niemiecki nie podejmie się pewnie obrony tej ostatniej opinii,

a natomiast w Hoschu widzieć musi nie ekscentryka, lecz świadka klasycznego.

Sposób, w jaki wysłani do Galicyi obcy biurokraci postępować mieli, aby dokonać misyi sobie wytkniętej, był już poprzednią długą praktyką tak utorowany, że każdy nowy przybłęda odrazu mógł się w sytuacyi zoryentować.

Ks. Waleryan Kalinka wykazał (w dziele: »Galicya i Kraków pod panowaniem austryackiem«) z wszelką ścisłością historyczną i jak najdokładniejszą znajomością stosunków prawnych i administracyjnych, że sprawa pańszczyźniana była od zaboru Galicyi osią polityki, obliczonej na zgładzenie polskości w jej głównych ogniskach, w dworach szlacheckich. W tym celu patenty i dekrety wiedeńskie stopniowo a konsekwentnie zmierzały do zmiany pierwotnej, patryarchalnej, na wzajemności świadczeń i korzyści opartej natury stosunku poddańczego przez nadanie mu wszelkich pozorów arbitralnego władztwa, wobec którego lud przed bezwzględnością i uciskiem tylko w cyrkułach znaleźć może sprawiedliwość i opiekę. Przy takiej dążności i dyrektywie administracyjnej, systematyczne podkopywanie materyalnej siły i moralnej powagi szlachty obok równie systematycznego rozgoryczenia ludności wiejskiej ku »panom«, stanowiło zadanie łatwe i wdzięczne dla aspiracyi karyerowiczowskiej. A spełniano je z tem większą skwapliwością, ile że w ten sposób każdy taki przybłęda biurokratyczny zaspokajał także głęboką zawiść, jaką zwykle przejmował się ku szlachcie, nie z samych tylko politycznych, lecz także i ze społecznych pobudek. Taki przybłęda bowiem miał wygórowane poczucie swojej władzy arbitralnej i swojej urojonej misyi cywilizatorskiej wobec zacofanej w jego wyobrażeniu Galicyi, a tymczasem przy bliższem zetknięciu się ze szlachtą dotkliwie uczuwał na każdym kroku swoją niższość kulturalną pod każdym względem, zacząwszy od wykształcenia, a skończywszy na formach towarzyskiego pożycla. Starał się więc tę upokarzającą niższość powetować sobie prostacką, wprost brutalną wyniosłością w zakresie czynności urzędowych, zwłaszcza wtedy, gdy miał przed sobą szlachcica w roli strony, szukającej wymiaru sprawiedliwości wobec poddanych, występujących chociażby z najdzikszemi uroszczeniami.

Z tą zawiścią do szlachty nie kryli się biurokraci, lecz owszem, jawnie przyznawali się do niej, niemal w sposób chełpliwy, jak gdyby w tem koncentrować się miał cały rozum stanu, cały patryotyzm au-

stryacki. I tak na przykład komisarz cyrkularny w Przemyślu, Tobiaszek, tak perorował do chłopów: »Nie dam spokoju tym dumnym panom, dopóki ostatnia hrabina nie będzie służyć za kucharkę u mojej żony, dopóki dziedzic jeżdżący czterma końmi o lasce chodzić nie będzie«.

Jak rzadkimi były dobre wyjątki, o tem świadczy fakt, aktami urzędowemi stwierdzony. Wkrótce po rzezi tarnowskiej umarł w Jaśle tamtejszy komisarz cyrkularny, Banhölzel, którego nazwisko chłopi powszechnie przekręcali, niewiadomo, czy bezmyślnie lub złośliwie, na Panhycel. Podczas pogrzebu Banhölzla, szlachta z okolicy, licznie zgromadzona, wzięła trumnę na barki i niosła ją aż do grobu. Fakt ten sprawił tak wielką sensacyę w świecie biurokratycznym, że gubernium lwowskie, dowiedziawszy się o nim, zarządziło dochodzenie i pewnem było, iż wyjdą na jaw dowody, jeżeli nie wprost zbrodniczego zachowania się Banhölzla w niedawnych wypadkach, to przynajmniej nielojalnego zasłaniania przestępców politycznych z grona szlachty. Badano więc urzędownie wszystko i wszystkich, zbierano zewsząd informacye o działalności urzędowej zmarłego komisarza i pokazało się, że wszystkie powyższe przypuszczenia i posądzenia nie miały najmniejszej podstawy. Banhölzel był urzędnikiem nietylko lojalnym, lecz nawet gorliwym, ale przytem i — sprawiedliwym, pełniącym swoje funkcye bez uprzedzeń i szykany. Jeżeli zaś Banhölzel był osobliwością w świecie urzędniczym, jeżeli sama uczciwość, okazana nie wśród wyjątkowych stosunków w sposób heroiczny, lecz w codziennym toku spraw i w sposób tak normalny, że za regułę uchodzić powinna, wywołała aż demonstracyjne objawy czci i żalu, to sytuacya musiała być nad wyraz smutną. Ten jeden fakt charakteryzuje ją może lepiej, aniżeli cały szereg nadużyć.

Postępując w ten sposób wobec szlachty przed rokiem 1846, system rządowy w Galicyi tem samem formalnie propagował anarchię, podkopując wszelką powagę władzy u dołu, w gminach, więc wobec całej masy ludności. W ówczesnym bowiem patrymonialnym ustroju dominia sprawowały administracyę na jej najniższym szczeblu, a jakąż powagę mogła mieć ta władza, jeżeli dziedzica, od którego zależnym był jako oficyalista widomy organ tej władzy, mandataryusz, lada jaki urzędnik cyrkularny, traktował w sposób tak zawistny i lekceważący, jak to powyżej wskazaliśmy? A do tego w ciągłym pościgu za rzeczywistymi i urojonymi emisaryuszami i spiskowcami

władza rządowa, zwracając się bezpośrednio do chłopów o pomoc w czuwaniu i zapobieganiu, przedstawiała nie samych tylko dziedziców i zależnych od nich mandataryuszy, lecz także proboszczów, w ogóle księży, więc także czynniki ładu i porządku, jako wrogów państwa i rządu, spiskujących na jego zgubę, przygotowujących rzeź urzędników cesarskich po miastach, a chłopów po wsiach, o ileby w danej chwili nie chcieli połączyć się ze spiskowcami. Ponieważ równocześnie skrajne żywioły, mianowicie emisaryusze, z samobójczem zaślepieniem wyjawiali swoje szalone plany bezpośrednio przed chłopem, już poprzednio w cyrkułach do roli hajdamackiej nastrojonym, przyrzekając mu za uczestnictwo w planach spiskowych to samo, co mu przedtem komisarze cyrkułowi przyrzekali jako nagrodę za wierność dla rządu, to jest ulżenie, a nawet zdjęcie całego ciężaru pańszczyźnianego — przeto z dwóch stron równocześnie podsycane było tlejące w duszy ciemnego ludu zarzewie instynktów anarchicznych, żądz, pokus i nienawiści klasowej. Podsycały to zarzewie jeszcze i inne fatalne okoliczności, mianowicie wyjątkowy niedostatek po wsiach jako następstwo nieurodzaju i ciężkich klęsk elementarnych, oraz rozchodzące się wszędzie potworne wieści o krwiożerczych wobec ludu zamysłach spiskowców, wieści tak alarmujące, że już samym ich wpływem nawet bez zbrojnego wybuchu owo zarzewie musiałoby wystrzelić słupem piekielnych płomieni mordu i pożogi. Jeżeli przed kilkunastu laty, więc w pół wieku po tej smutnej dobie, w kilku powiatach zachodnio-galicyjskich, chłop, za wpływem wieści niedorzecznych, w oczach władzy i wojska aż do zaprowadzenia sądów doraźnych rzucał się na żydów, plądrował karczmy i kramy żydowskie, święcie o tem przekonany, że według rozpowszechnionych wieści jest na to pozwolenie cesarskie z aprobatą papieską — to jakżeż dziwić się, że w r. 1846 chłop, nieskończenie niższy od dzisiejszego pod względem ogólnej oświaty, a do tego społecznie i politycznie zdemoralizowany przez niegodziwych podżegaczy z firmą cyrkularną, przebrał wszelką miarę w pofolgowaniu swoim dzikim instynktom?

Że zaś przed katastrofą r. 1846, bądź to wprost z cyrkułów wychodziły, bądź tam milcząco tolerowane były wieści o bliskiem wkroczeniu zbrojnych oddziałów powstańczych dla wymordowania urzędników cesarskich i chłopów z nimi trzymających, o zniesieniu dziesięciorga przykazań boskich i t. p., to wszędzie w swoim czasie uchodziło za fakt niewątpliwy, a władze wcale nie starały się dochodzić

źródła tych wieści, chociaż w rok później z oskarżeniem śmiałem wystąpili w tej mierze niektórzy obywatele (Aleksander Fredro, Franciszek Trzecieski i inni) przed objeżdżającym Galicyę, nadzwyczajnym komisarzem cesarskim Rudolfem hr. Stadionem, bratem późniejszego gubernatora galicyjskiego, Franciszka hr. Stadiona. Jeden z tych oskarżycieli, Franciszek Trzecieski, nie wahał się pisemnie, w memoryale wręczonym temu komisarzowi cesarskiemu, obwinić funkcyonaruszy cyrkułowych o rozpowszechnianie powyższych wieści, żądając śledztwa i surowego ukarania winnych. Memoryał ten ugrzązł w aktach, a jego autora nie ścigano wcale za oszczerstwo.

Jeżeli się skombinuje wszystkie te czynniki rozstroju, które w przededniu katastrofy z r. 1846 zawichrzyły sytuacyę w Galicyi, to trzebaby cofnąć się daleko wstecz, a w każdym razie poza wiek XIX, aby znaleźć równie podatny grunt dla anarchicznego posiewu. Jeszcze dalej wstecz wypadłoby się cofnąć, żeby znaleźć taki straszny plon, jaki z posiewu tego urósł na gruncie galicyjskim w 1846 roku, taki dziki tłum, zbrojny w cepy, widły i kosy, żądny krwi i rabunku, świadomy swojej bezkarności, liczący nawet na nagrodę za swoje krwawe dzieło. Dzisiejsi socyologowie, kreślący fizyologię i psychologię tłumu, zgodni są w tem, tak na analizie rzeczowej, jak i na historycznej obserwacyi opartem twierdzeniu, że tłum wiejski jest daleko groźniejszy od miejskiego. Kiedy bowiem tłum miejski szybko się tworzy, ale i szybko rozprzęga, jakby tuman kurzu wzbijający się za silniejszym podmuchem wiatru na ulicy i razem z tym podmuchem znikający, tłum wiejski zbiera się powoli i trudniej, ale skoro raz się zbierze, nabiera zaraz takiej siły odpornej, że nie rozbije się wobec pierwszej lepszej zapory, jak kapryśny z natury swojej tłum miejski, lecz łamie i druzgocze, jakby nieokiełzana siła żywiołowa, wszystko, co mu w drodze stanie. Jak w sile swojej, tak i w srogości tłum wiejski prześciga tłum miejski, bo kapryśna natura drugiego jest przystępniejsza dla refleksyi i uczuć, kiedy tymczasem pierwszy upija się poczuciem brutalnej siły swojej i ślepo za nią idzie.

A siła zbrojna? Była ona w r. 1846 w Galicyi wcale wystarczająca, aby nie tylko stłumić w zarodzie wszelki wybuch zbrojny, lecz nadto w razie wybuchu nie dopuścić band chłopskich do krwawego rozgospodarowania się po dworach. Ale na czele tej siły stali w zachodniej Galicyi niedołężni wodzowie, jak generałowie Collin i Csollich, z których pierwszy po chwilowem zajęciu Krakowa, za-

alarmowany wieścią o zbliżaniu się wielkich oddziałów powstańczych, drapnął jakby pobity i rozbity aż ku Wadowicom, a drugi zamknął się w Tarnowie i tak drżał na fałszywą wieść o zbliżaniu się wielkich oddziałów powstańczych, że nawet wśród najstraszniejszych rzezi nie chciał wysłać asystencyi zbrojnej do wsi okolicznych. Nic lepiej nie charakteryzuje bezradności i niedołęstwa tych generałów, jak fakt, że kiedy w pierwszych dniach rzezi przybył na miejsce ze Lwowa podpułkownik Benedek, mógł chwilowo zauzurpować sobie komendę naczelną nad garstką żołnierzy i wielką czernią chłopską, z którą zmasakrował pod Gdowem nieliczny oddział powstańców. I takie zwycięstwo wystarczyło, aby opromienić smutnego bohatera aureolą, nietylko w swoim czasie przez sfery wojskowe z poklaskiem uznaną, lecz i później ciągle odświeżaną przez autorów oszczerczych niemieckich pamfletów o wypadkach galicyjskich z r. 1846.

Siłę zbrojną to tylko do pewnego stopnia tłómaczy, że pozostawiona była bez potrzebnych dyspozycyi. Nie wydano ich we Lwowie w porę, bo istny fatalizm zrządził, że tam w otoczeniu gubernatora, arcyksięcia Ferdynanda i w gubernium zapanowało niepojęte optymistyczne zaślepienie właśnie w chwili krytycznej, gdy sytuacya wymagała przyspieszenia środków zaradczych. Optymiści powoływali się na prezydenta gubernialnego, br. Kriega, który na sesyi jesiennej sejmu stanowego w r. 1845 obywateli poważnych, zwracających jego uwagę na niepokojące zachowanie się chłopstwa wobec szlachty z powodu obiegających wieści spiskowych i innych, uspokajał mniej więcej temi słowy, że chociażby przyjść miało do jakiegoś rozruchu, to skończy się on po kilku dniach, a potem kraj będzie kilkadziesiąt lat zażywał zupełnego spokoju! Od jesieni r. 1845 niepokojące symptomy stawały się coraz liczniejsze i dobitniejsze, tak, że może optymizm br. Kriega byłby się zachwiał, zwłaszcza wobec faktu, iż relacye, otrzymane w styczniu 1846 roku od niektórych starostów cyrkułowych, ujawniały niepokój nawet w prowincyonalnych kołach biurokratycznych. Że jeszcze mimo to i wtedy optymizm przeważał w otoczeniu br. Kriega, tego dziś pojąć nie można. Prawie narzuca się podejrzenie, że br. Krieg, marzący o zajęciu stanowiska gubernatorskiego, w duchu chętnie przyczyniał się do wszystkiego, co mogło arcyksięcia Ferdynanda utrzymać w złudzeniu, a potem sprowadzić na drogę, wiodącą do skompromitowania się, więc w dalszej niechybnej konsekwencyi do ustąpienia ze stanowiska gubernatorskiego. Jak dalece łu-

dził się arcyksiążę Ferdynand co do stanu kraju, najlepszym dowodem fakt, że 18 stycznia 1846 r., a więc na miesiąc przed rzezią, odeszła ze Lwowa do Wiednia jego relacya, której treść temi słowy została zapisana w protokole prezydyalnym: »Przypomnienie[1]), że zbrodnicze plany rewolucyjnej propagandy, zmierzające do zakłócenia spokoju publicznego w Galicyi przez powstanie ludowe, na teraz spełzły na niczem i że co do spokoju i porządku w tej prowincyi obecnie nie zachodzi żadna obawa«. W Wiedniu relacyi tej uwierzono zapewne z tych samych powodów, które we Lwowie, zamiast pobudzić do środków prewencyjnych, podsyciły tylko gnuśny optymizm. Rząd pruski bowiem, który wpadł na trop akcyi spiskowej w Poznańskiem i wczesnem uwięzieniem osób podejrzanych pokrzyżował jej plany, o wszystkiem doniósł zaraz rządowi austryackiemu. Widocznie uważano akcyę galicyjską za tak nierozdzielnie połączoną z akcyą poznańską, że udaremnienie ostatniej uchodziło za rękojmię spokoju.

Tak więc w chwili, gdy na widnokręgu krajowym zbierały się dokoła czarne chmury, zwiastujące niechybną burzę, a na powierzchni życia publicznego już gołem okiem dopatrzyć się dawały niepokojące zmarszczki i fałdy, które niebawem spiętrzyć się miały w straszne fale anarchii, sterownicy nawy krajowej wydali niejako hasło: *vogue la galère!*

---

[1]) Wyraz stanowi w języku biurokratycznym sygnaturę dla akt z własnej inicyatywy władzy wychodzących. *(Przypisek autora).*

IX.

Galicya w roku 1846 (II).

DWA UPIORY HISTORYCZNE:

Generał Benedek i starosta Breinl.

Spuścizną pamiętnikarską przypominają się społeczeństwu polskiemu w Galicyi dwa upiory historyczne, dwaj przedstawiciele tej starej żołniersko-biurokratycznej Austryi, w której opinii polskość uchodziła za synonim spisku, Polak za zdrajcę stanu z urodzenia, a sama Galicya za przytułek dla wszelkiej zbieraniny urzędniczej, dla biurokratów obcych krajowi, a uznanych za niewygodnych lub niegodnych, aby w innej prowincyi piastowali posady administracyjne. Pierwszy z tych upiorów, europejskiej sławy czy niesławy wojskowy, generał Benedek, w Galicyi jako podpułkownik, zapisał się krwawo w kronice r. 1846; drugi mniej głośny, ale za to wprost potworny, starosta tarnowski Breinl, w tymże roku sprawował rządy w obwodzie osławionym rzezią i w ogóle zbrodniami, którym równe, nawet zdaniem niemieckiego historyka (Maurycego br. Sali), znaleźćby można w dziejach, cofnąwszy się chyba wstecz o całe wieki.

Spuściznę pamiętnikarską, głównie listowną, po generale Benedeku wydał niemiecki historyk Henryk Friedjung [1]) w opracowaniu,

[1]) Benedek's nachgelassene Papiere, herausgegeben und zu einer Biographie bearbeitet von Heinrich Friedjung — Leipzig 1901.

mającem według tytułu stanowić biografię, a w rzeczywistości stanowiącem apologię, dla której wydawca w niektórych ustępach, a szczególnie w wstępie do galicyjskiej części spuścizny, poświęcił nawet wszelki krytycyzm historyczny, nie mówiąc już o objektywności w dzisiejszych czasach prawie nieznanej historykom niemieckim, o polskich rzeczach piszącym.

Spuścizna pamiętnikarska po Breinlu stanowi dotąd jeszcze rękopis, przygotowywany do druku przez profesora uniwersytetu w Grazu, dr. J. Losertha, a udzielony piszącemu to w brulionie na czas krótki do dowolnego użytku, za co zaraz tutaj godzi się wyrazić szczere podziękowanie. Profesor dr. Loserth, ogłaszając drukiem pamiętnik Breinla [1]), nie omieszka zapewne wyjaśnić, dlaczego pamiętnik ten leżał tak długo niezużytkowany, a nawet niespostrzeżony w archiwum krajowem w Grazu. Z niniejszem zużytkowaniem pamiętnika Breinla, a właściwie pracy prof. Losertha, w której tylko część pamiętnika podana jest dosłownie, a reszta, mniejszej wagi, w streszczeniu, wstrzymywać się nie potrzebujemy aż do wyjaśnienia powyższej kwestyi, bo sama autentyczność pamiętnika wytrzymuje wszelką próbę krytyczną tak, że uważana być może za niepodlegającą wątpliwości.

A tout seigneur tout honneur! Zaczynamy od spuścizny generała Benedeka.

* * *

Generał Benedek rozpoczął swoją karyerę w r. 1846 w Galicyi pod Gdowem, gdzie na czele małego oddziału wojska, a wielkiego tłumu chłopów, rozbestwionych ówczesną rzezią szlachty, pobił albo raczej zmasakrował garstkę młodzieży powstańczej, która od Wieliczki posuwała się ku Bochni.

W dwadzieścia lat później skończył generał Benedek karyerę swoją pod Sadową, gdzie na czele krociowej armii austryackiej, z którą, jak tego był pewnym w chwili rozpoczęcia kampanii, wkroczyć miał do Berlina, tak sromotną poniósł klęskę, że rozbitej i zdezorganizowanej armii nie potrafił nawet zaprowadzić pod przerażony Wiedeń najkrótszą i najmniej niebezpieczną linią odwrotową.

---

[1]) Por. dodatek do niniejszego rozdziału. *(Przypisek wydawcy).*

Między tymi krańcowymi punktami karyery wojskowej generała Benedeka leży głośna służba wojenna najpierw w r. 1848/9 pod marszałkiem Radetzkym we Włoszech, potem w Węgrzech pod generałem Haynauem, który we Włoszech jako okrutnik zdobył sobie epitet »hyeny z Brescii«, w Węgrzech sławę okrutnika usprawiedliwił i pomnożył, a na jednym i drugim teatrze wojny Benedeka jako swojego faworyta traktował, — wreszcie kampania włoska z r. 1859, w której Benedek jako dowódca ósmego korpusu armii austryackiej, jedyny z pomiędzy jej wszystkich generałów, mógł się poszczycić niewątpliwie zwycięskim epizodem w fatalnej zresztą bitwie pod Solferino, odpierając szczęśliwie wszystkie ataki armii sardyńskiej (pod San Martino). Ale wszystkie sukcesy włoskie generała Benedeka były tylko dziełem metody Gdowskiej, owej impetycznej brawury, której tak samo jak powstańcza młodzież krakowska, także i żołnierz włoski oprzeć się nie mógł. Generał Benedek należał bowiem jeszcze do tej starej armii austryackiej, w której rębajło *(Haudegen)* odgrywał główną rolę. Taki rębajło ówczesnej doby nie posiadał szerszej wiedzy strategicznej, nie szukał jej nawet, jak się do tego sam Benedek w ogłoszonych drukiem listach otwarcie, a nawet z pewną satysfakcyą przyznaje. W oczach Benedeka, jako najświetniejszego a typowego zarazem przedstawiciela wszystkich rębajłów austryackich z przedkonstytucyjnej doby, cały sekret zwyciężania polegał na tem, aby rzucić się impetycznie na przeciwnika, zachwiać go od razu, a potem rozgromić. Była to za czasów starej broni niezrównana metoda zwyciężania we Włoszech, gdzie liczyć można było niemal zawsze na pierwszy warunek jej powodzenia — na słabą siłę odporną przeciwnika i jego niewytrzymałość na takie impetyczne natarcia.

Istny fatalizm zrządził, że taki typowy staroaustryacki rębajło, że taki, osobiście wprawdzie waleczny, ale zdeklarowany ignorant w strategii, jak generał Benedek, który, jak się sam w swoich listach przyznaje, dopiero przed samym wyjazdem z Włoch na czeski teatr wojny, już jako mianowany *generalissimus*, wziął u jednego z sztabowych oficerów trzy lekcye jednogodzinne o wojskowej geografii Niemiec, — stanął w r. 1866 do zapasów wojennych z tym wielkim kwartetem pruskim (Wilhelm I, Bismarck, Roon, Moltke), który po długiem, staranem i umiejętnem przygotowaniu i po doskonale odbytej szlezwickoholsztyńskiej próbie generalnej, właśnie pod Sadową zaintonować miał hejnał dziejowy, zwiastujący Europie erę supremacyi krzyżackiej! Wła-

ściwie bowiem nie Sedan, lecz już Sadowa była kolebką tej supremacyi, nie nazwisko Napoleona III lecz generała Benedeka jej inicyałem historycznym.

A miała wtedy Austrya wodza z wyższym talentem i wyższą miarą wiedzy strategicznej, miała arcyksięcia Albrechta, którego w pierwszej chwili postawić zamierzano na czele armii północnej przeciw Prusom, pozostawiając Benedeka tam, gdzie zawsze kwitły laury dla takich jak on rębajłów, t. j. we Włoszech. Przeważył jednak wzgląd na wojskową popularność Benedeka. Obawiano się, aby w razie jakich niepowodzeń na północnym teatrze wojny, które w Wiedniu uważano za możliwą wprawdzie ale nieprawdopodobną ewentualność, opinia nie gorszyła się tem, że dla wywyższenia arcyksięcia Albrechta ponad popularnego generała poświęcono główne szanse zwycięstwa. Pod Custozzą byłby pewnie i Benedek, tak samo jak arcyksiążę Albrecht, rozgromił Włochów, ale ten drugi wódz nie byłby pewnie zaprowadził armii północnej w matnię pod Sadową, a jeżeli i jemu wypadłoby było uledz umiejętnej przewadze pruskiej komendy i pruskiej broni, to w każdym razie nie byłoby to połączone z takim pogromem, który jak ów pod Sadową zdawał w danej chwili pierwsze dotąd mocarstwo środkowej Europy na łaskę parweniusza pruskiego, wydobywającego się dopiero z drugorzędnej dotąd roli.

Po Sadowie generał Benedek stanąć miał przed sądem wojennym, ale cesarz Franciszek Józef zarządził zaniechanie śledztwa. Ministeryum wojny do publikacyi decyzyi cesarskiej dodało komentarz, z którego wypływało, że wina wodza z pod Sadowy, uważana za niewątpliwą, zasługiwałaby właściwie na inne postępowanie, ale godzi się mieć litość dla generała Benedeka, skoro jest już ukarany nietylko utratą zaufania u swojego monarchy, lecz nadto zniweczeniem całej sławy wojskowej wobec współczesnego świata i wobec potomności. Tego komentarza do śmierci nie mógł darować generał Benedek, szczególnie arcyksięciu Albrechtowi, przed którym zaraz po Sadowie zobowiązał się honorowo i pisemnie do zaniechania wszelkich rewelacyi w ogóle, a szczególnie o bitwie pod Sadową. W testamencie wyraża jeszcze swój żal z tego powodu, dodając, że poniszczył wszystkie papiery tyczące się kampanii z r. 1866. Być może, że generał Benedek mógł wiele osób skompromitować rewelacyami swojemi, ale siebie samego nie zdołałby był tem ocalić, bo jak się z papierów przez Friedjunga obecnie ogłoszonych pokazuje, miał on na obronę

tylko ten jeden argument, że się wypraszał od naczelnej komendy nad armią północną, czując swoją niezdolność do takiej roli, a przyjmując wreszcie tę komendę, uległ tylko woli monarchy.

Po klęsce generał Benedek usunął się do Grazu, pięknej a słynnej z kolekcyi pensyonistów wszelkiego autoramentu stolicy styryjskiej i tam w zaciszu, niemal w zupełnem zapomnieniu, spędził resztki swojego życia, resztki wcale długie, bo dosięgające piętnastej rocznicy bitwy pod Sadową. W dwadzieścia lat po śmierci generała Benedeka rodzina jego postanowiła ogłosić drukiem pozostałe po nim papiery, których większą część stanowią listy, pisane do żony w czasie wszystkich odbytych kampanii. Wydaniem zajął się historyk, Henryk Friedjung, po którym, biorąc miarę z jego poprzednich dzieł historycznych, oczekiwać należało ciekawej publikacyi. Ale autorem kierował tym razem głównie pietyzm dla pamięci nieszczęśliwego generała z ujmą dla względów należnych historyi. Gdyby przynajmniej efekt pisarski tego wydawnictwa dorównał pietyzmowi autora, generał Benedek po ogłoszeniu tych papierów stanąłby w obrazie historycznym z taką aureolą męczeńskiej ofiary fatalizmu dziejowego, jaką Francuzi opromienili Mac Mahona po Sedanie za jego przeszłość żołnierską. Ale o tem mowy niema. Nie wdzięczność, lecz raczej żal należy się autorowi ze strony rodziny generała Benedeka i tych, którzy radziby pamięć jego odświeżyć w współczesnem pokoleniu.

Wiele zyskałaby na tem pamięć generała Benedeka, gdyby Friedjung cały epizod Gdowski opuścił był w dziele swojem. Byłaby to co prawda krzywda dla historyi, bo, jak się później przekonamy, podany w dziele autentyczny raport Benedeka o »bitwie« pod Gdowem rzuca wiele światła na ówczesne wypadki i stosunki, ale zyskałaby na tem pamięć zwycięzcy z pod Gdowa. Kiedy się dziś czyta ten raport i listy odnoszące się do tego epizodu, oczom własnym wierzyć się nie chce, że taka donkiszoterya mogła w swoim czasie, a nawet i później jeszcze, tyle sławy przysporzyć jej bohaterowi. Pod pióro ciśnie się humoreska o nowym Don Kiszocie, walczącym wprawdzie nie z wiatrakami, lecz z garstką młodzieńców źle uzbrojonych, z tem najgłębszem przekonaniem, iż chodzi tu o odwrócenie wielkiego zamachu na Austryę, o ocalenie prowincyi odrywającej się od monarchii. Tylko wspomnienie krwi przelanej pod Gdowem czyni niepodobnem takie traktowanie rzeczy. Ale w tych czasach panowały w ogóle w Austryi stosunki sprzyjające takiej donkiszoteryi. Zaraz bowiem po powrocie

z pod Gdowa do Lwowa, generał, a wówczas jeszcze podpułkownik Benedek, wprost wystąpił z żądaniem, aby mu za odniesione zwycięstwo przyznano najwyższą nagrodę wojskową, order Maryi Teresy, a gdy aspiracya ta, popierana w lwowskich i wiedeńskich sferach wojskowych, spotkała się z niepodobnym do przezwyciężenia oporem kanclerza Metternicha i »zwycięzcę« udekorowano tylko — jak na rangę jego zbyt jeszcze wysokim — orderem Leopolda, podpułkownik Benedek tak się z tego powodu rozżalił, że nie chciał przyjąć przyznanej mu dekoracyi. Od tego, wobec wojskowej karności wprost niepojętego oporu, odwiedziony został podpułkownik Benedek dopiero — rzecz dziś trudna do uwierzenia — łagodnemi a przytem pochlebnemi przedstawieniami wiceprezydenta najwyższej rady wojennej w Wiedniu, który niemal prosił malkontenta, aby »nie robił procesu« cesarzowi. Długo nie zapomniał Benedek o tej wrzekomej krzywdzie swojej, bo wzmianka o niej często powtarza się w listach do żony, a gdy wreszcie zdobył sobie na prawdę upragniony order Maryi Teresy, wyraźnie zaznacza to w jednym z listów swoich, że mu się to już dawno, po Gdowie, należało.

Już tedy po Gdowskiej masakrze mógł sobie Benedek uroić, że jest przeznaczony na wielkiego wojownika, a gdy potem Gdowska metoda wojowania okazała się skuteczną także i we Włoszech, zarozumiałość oczywiście nie znała już granic, a Benedek był święcie przekonany, że odwaga osobista, zamaszystość i impetyczność w uderzeniu na przeciwnika wystarczają na tytuł do nazwy wielkiego wodza. Ale jakże dziwić się samemu Benedekowi, skoro historyk jego karyery albo raczej apologeta dziś jeszcze Gdowskie zwycięstwo traktuje na seryo. Drukuje bowiem w przedmowie do dzieła swojego bez wszelkich zastrzeżeń list siostrzenicy generała Benedeka, w którym wyrażono żal, że »zwycięzcy z pod Gdowa i Curtatone dotąd nie postawiono pomnika!« Siostrzenicy, która uważa wuja za godnego pomnika i dając jego listy do ogłoszenia mniema, że zastąpią one pomnik kamienny, można to wszystko darować jako chwalebny wyraz pietyzmu, ale wydziwić się nie można historykowi, który milcząco podziela żal z powodu niewystawienia pomnika i mniemanie, że listy obecnie wydrukowane, jak pomnik utrwalą pamięć nieszczęśliwego generała. Gdyby listy pisane przez generałów do żon wśród kampanii i ogłoszone potem drukiem z apologetyczną przyprawą, miały zastępować pomniki, toby w każdej armii było więcej nieśmiertelnych

bohaterów, aniżeli zwyczajnych żołnierzy. Zresztą gdyby te listy Benedeka dziś tak pretensyonalnie ogłoszone stanowiły przynajmniej lekturę ciekawą. Nie przebija z nich jednak żaden błysk wyższego umysłu, żaden dźwięk podnioślejszego nastroju lub uczucia. Natomiast pełno w nich banalnych wyrazów pieszczotliwości żołnierskiej i sentymentalizmu obozowego. W życiu generał Benedek nie był bynajmniej tak ckliwym i delikatnym, jakby się to z tonu jego listów do żony wydawać mogło. Sam Friedjung przytacza w książce swojej niejeden dowód na to, że jego bohater był aż nadto często szorstkim i rubasznym aż do granic prostej nieprzyzwoitości, co zwłaszcza w wystąpieniach publicznych bardzo raziło, że nawet uderzał w ton srogi i groźny, gdy w czasie wojny odzywał się do swoich żołnierzy lub do ludności.

Wszelką przesadę w ocenieniu zasług Benedeka możnaby do pewnego stopnia usprawiedliwić współczuciem i pietyzmem autora dla nieszczęśliwego bohatera. Ale tego już krytyka ani darować, ani nawet łagodnie traktować nie może, że w rozdziale »Powstanie w zachodniej Galicyi w r. 1846«, po części z nieznajomości poważniejszych prac źródłowych poza współczesną niemiecką literaturą pamfletową, a po części, i to może głównie, dla wyśrubowania »zwycięstwa« pod Gdowem i wyniesienia jego bohatera, Benedeka, na śmiesznie wyniosłą wyżynę, postąpił sobie nie jak historyk, lecz jak pamflecista. W przedstawieniu Friedjunga ówczesne hajdamackie wystąpienie chłopów, cała rzeź szlachty, była samorodnym aktem odwetu ludowego za ucisk doznawany »pod panowaniem szlachty w ciągu stuleci«. Ówczesna biurokracya austryacka w Galicyi, której działalność siejąca rozterkę między ludem a dworem z jawną stronniczością dla najdziwaczniejszych, nawet urojonych pretensyi chłopa, była notoryczną i stanowiła główną maksymę rządową, a w ciasnych głowach swych wykonawców uchodziła za najlepszy i najpewniejszy środek utrwalenia rządów austryackich w podminowanej spiskami Galicyi, występuje w książce Friedjunga »jako jedyna, chociaż często słaba ochrona ludu wobec naruszeń prawa ze strony dziedziców«.

Tak dalece chodziło Friedjungowi o wywyższenie Benedeka chociażby nawet kosztem prawdy historycznej, że w opisaniu akcesoryów jego wyprawy pod Gdów popadł nawet w rażącą niezgodę z datami faktycznemi. Ale polemizować z całym tym wywodem Friedjunga nie potrzeba i nie warto, bo chodzi nam tutaj głównie o do-

kumenty historyczne w tym rozdziale zawarte, a szczególnie o napisane przez samego Benedeka dla przełożonej władzy wojskowej sprawozdanie urzędowe z całej wyprawy Gdowskiej. Jest ono tak obszerne, że więcej miejsca nie potrzebowałby był generał Benedek na raport z pod Sadowy, gdyby mu tam było powiodło się rozgromić Prusaków i wziąć do niewoli króla Wilhelma wraz z Moltkem i Bismarckiem. Poprzestaniemy zatem tylko na częściowem przytoczeniu tego sprawozdania, mianowicie ustępów, w których zawarte są szczegóły, godne zapisania jako autentyczne objaśnienie bodaj niektórych części tak ciemnego dotąd obrazu rzezi w r. 1846.

Apologeta Benedeka, Friedjung, tak snać jest przekonany o doskonałości wszystkiego, co wyszło nietylko z pod komendy, lecz także z pod pióra jego bohatera, że główny raport Benedeka o wyprawie Gdowskiej poprzedził niebacznie krótkiem sprawozdaniem, wysłanem przez niego nazajutrz po »zwycięstwie« do Lwowa dla ówczesnego generał-gubernatora galicyjskiego, arcyksięcia Ferdynanda d'Este. W sprawozdaniu tem Benedek jest więcej szczery, więc bez ogródek mówi o uderzeniu »dzikiej hordy chłopskiej na nieszczęśliwe ofiary« i »rozpoczęciu najstraszliwszej sceny dzikiej wojny, w której chłop udział bierze«, przyznając w końcu wyraźnie, że skończyło się »na krótkiem masakrowaniu, którego walką nazwać nie można«, i ubolewając nad tem, że wojsko, pałające żądzą walki, »nie miało godnego siebie przeciwnika«.

Główny raport, pisany niemal w trzy tygodnie po tej bitwie (14 marca 1846 r.) i zatytułowany »Obszerne opisanie ekspedycyi i t. d.«, przedstawia szczegółowo sytuacyę, jaką Benedek zastał w Bochni w chwili przyjazdu i dyspozycye, jakie wydał dla swojej wyprawy. Oto urywki z tego raportu, które dla powodu powyżej wskazanego wydają się nam godnymi przytoczenia:

»Przez bardzo czynnego i zdeterminowanego starostę Bernda w Bochni wydane zostały do gmin, w kierunku Wieliczki położonych, odezwy, w których z zapewnieniem, iż otrzymają przywódców wojskowych, wezwane zostały do pochodu na Wieliczkę i do wypędzenia powstańców. Każdemu włościaninowi biorącemu udział w wyprawie przyznano cetnar soli, a za każdego żywcem i zdrowo odstawionego powstańca po 5 złr. Niektóre w pobliżu Bochni położone gminy wezwano do strzeżenia miasta. Z załogi bocheńskiej przeznaczyłem na wyprawę przeciw powstańcom 327 żołnierzy pie-

choty i 155 żołnierzy kawaleryi. W nocy wysłałem jednego oficera, pięciu podoficerów i 36 żołnierzy (szwoleżerów) czterema rozmaitemi drogami ku Wieliczce, aby wykonali powyżej wspomniane odezwy starościńskie do wójtów gmin, a chłopów idących za temi odezwami i uzbrojonych w kosy, cepy i żelazne widły, stopniowo wysyłali ku Wieliczce i kierowali nimi. Dnia 26 lutego o godzinie $6^1/_2$ rano wyruszyłem z Bochni z 326 żołnierzami piechoty i 114 szwoleżerami... Na 400 kroków przed Gdowem rozkazałem pierwszej kompanii pułku Nugent (kapitan Greschke i nadporucznik Kuciejewski) sformować łańcuch i uderzyć na wieś najpierw tyralierką. Żołnierze posunęli się tak blisko ku płotom, że słyszeć mogli, jak przywódcy nieprzyjacielscy zachęcali swoich ludzi do celnego strzelania i dzielnego oporu. Gdy porucznik Hoffmann posunął się dość daleko ku linii odwrotowej nieprzyjaciela, kazałem go zaatakować. Wkrótce jednak po pierwszych strzałach już zdaleka spostrzeżono, jak jeźdzcy ze wsi zaczęli w wielkim nieładzie umykać pojedynczo ku Wieliczce i Myślenicom. Pierwszych 4—5 uciekających jeźdzców powaliły strzały piechoty porucznika Hoffmanna, innych zarąbali szwoleżerzy. Teraz nadbiegli chłopi jak sępy, spierali się o opuszczone konie, rzucili się na zastrzelonych jeźdzców i obstąpili dokoła dobrze w wąwozie ustawiony oddział porucznika Hoffmanna, przez co ułatwiono ucieczkę jeźdzcom, którzy się ku Wieliczce zwrócili. Tymczasem tyralierzy kapitana Greschke spędzili powstańców ustawionych za płotami, zabili i ranili wielu z nich, a w końcu wtargnęli do wsi. Teraz uciekać zaczęła także i piechota powstańców, ale we wsi powitał nas żywy ogień z domów. Tyralierzy z oddziałem posiłkowym kapitana Greschke z furyą zdobywali domy, a stary kapitan Wurzinger sciągnięty został do pomocy. Z jednego domu, do którego i z którego strzały padały, pojmany przez powstańców szwoleżer Fürst wychylił nagle swój hełm przez okno. Powstańcy chcieli go na krótki czas przedtem powiesić za to, że nie dał im dostatecznej informacyi. Byliśmy jego zbawcami, ale omal sami go nie zastrzeliliśmy, gdyż tak wielką była wrzawa i furya idących do szturmu żołnierzy z pułku Nugent. Szturmem przebieżono przez wieś, przetrząsając wszystkie domy. Chłopi za nami zabijali wszystkich, którzy byli ranni lub trwożliwie broń złożyli. Tylko z trudem, dobrem słowem i pieniądzmi zdołałem kilku młodym chłopakom życie ocalić. Nie było jednak czasu, aby się tem wiele zaprzątać! Podczas tej gorącej walki we wsi, — która właściwie więcej na

rzeź wyglądała — poddało się porucznikowi Hoffmannowi i jego oddziałowi około 50 powstańców, którzy schronili się byli na cmentarzu i w lasku. Ale chłopi uderzyli z tyłu, podzielili jeńców na trzy części, pozabijali i obrabowali wszystkich z okrucieństwem opisać się niedającem. Ze wsi przyprowadził mój pisarz ze Lwowa, wachmistrz Krausz, do naszego lewego skrzydła około 60—80 chłopów, z których wielu było na koniach. Ten dzielny, 12 lat w służbie zostający wachmistrz bardzo roztropnie kierował swoimi chłopami, posuwał się ciągle odważnie naprzód, wziął około 38 jeńców, których jednak chłopi po większej części zabili i obrabowali i zasłaniał odtąd z przetrząsającymi wszystko i gubiącymi się po drodze chłopami moje lewe skrzydło aż do Wieliczki. Gdy wojsko przeciągało przez wieś szturmem zajętą, kazałem mu zatrzymać się, a moja tylna straż wzięła jeszcze wielu jeńców, z których jednak tylko około 20 ocalić zdołano przed wściekłością podążających za nami chłopów. Cała walka we wsi trwała co najwięcej trzy kwadranse, a rezultatem jej było 154 zabitych, z czego może połowę chłopi zabili... Na wozach powstańców, zawierających medykamenta i inne przedmioty, wszyscy jadący zostali przez nadciągających chłopów obrabowani i w okropny sposób pozabijani. W ogóle na zwłokach powstańców, leżących jakby w jakiej rzeźni, chłopi po największej części dopuszczali się straszliwego pastwienia. Nasze tak zwane wojska posiłkowe pod Gdowem, t. j. chłopi, którzy ostatecznie nic więcej nie zdziałali ponad zabijanie i obrabowywanie naszych jeńców, rozbiegli się powoli z zabraną zdobyczą. W towarzystwie już tylko około 50 chłopów, wszystkie domy i podwórza wzdłuż drogi przetrząsających, posuwaliśmy się wśród chłodu i deszczu, ale mimo to w dobrym porządku ku Wieliczce. Wojsko wkroczyło do Wieliczki o godz. 3 po południu w najpiękniejszym porządku. U wejścia do miasta powitała mię muzyka górników, którą natychmiast kazałem zamknąć w pierwszej lepszej stajni, gdyż przed dwoma dniami wyszła ona była radośnie naprzeciw powstańców. Kazałem wojsku ustawić się na rynku i zacytowałem burmistrza, który nie wyszedł naprzeciw mnie. Po prawej i lewej stronie ustawiły się setki chłopów Niepołomickich, którzy zabrali już skład kos dla powstańców w Wieliczce... Nagle padły strzały, a gdy szybko siadłszy na konia, stanąłem na miejscu zbiegowiska, zdobywano właśnie szturmem dom, z którego strzelali ukryci, prawdopodobnie pijani powstańcy. Podczas gdy szwoleżerzy strzelali do domu, porucznik Hoff-

mann sam wtargnął do jego wnętrza z szaloną odwagą. Zastrzelono czterech powstańców. Wypadek ten spotęgował wzburzenie obecnych chłopów w groźny sposób. Trzeba było zasłonić miasto przed plądrowaniem. Zgromadziłem dokoła siebie wojsko, przysiężnych i przywódców chłopskich, upomniałem ich, aby spokojnie do domów odeszli i nazajutrz zgłosili się z gminami do starosty w Bochni celem podniesienia za konsygnacyą po cwancygierze od głowy i asygnaty na sól przyrzeczoną. W tem działaniu poparli mię bardzo energicznie i skutecznie starszy komisarz skarbowy Janiszewski, drogomistrz (oficer pensyonowany) Stankiewicz i przywódca chłopów (kwieskowany urzędnik) Krynicki. W ten sposób powiodło się — tu i owdzie nadrabiając pieniądzmi — całą dziko wzburzoną hordę uspokoić i powoli w ciągu 1½ godziny z miasta usunąć, bez dopuszczenia do plądrowania i ekscesów, chociaż wiarołomne miasto Wieliczka zupełnie zasługiwało na to, aby wystawione było na kilkogodzinne plądrowanie... Dwaj szeregowcy z pułku Nugent zaginęli, ale znaleźli się nazajutrz. Szwoleżer Fürst otrzymał nieznaczny postrzał w tylny policzek, ale za to ocalony został od powieszenia. Koń jednego szwoleżera otrzymał postrzał w kolano, a koń szeregowca Fürsta w tylną nogę. Jedna kula nieprzyjacielska ugrzęzła w kolbie żołnierza z pułku Nugent. Noc minęła spokojnie, a nazajutrz rano w całem wojsku nie było ani jednego chorego«.

Więc nie było ani jednego poległego w zwycięskiej armii? A może był jeden zabity, ale Benedek ukrył to, aby nie odstąpić od niewzruszonej tradycyi wszystkich biuletynów wojennych, która święcie przykazuje każdemu wodzowi zmniejszać własne a powiększać nieprzyjacielskie straty. Tak czy owak, biuletyn mówiący o szturmie, o furyi w natarciu na nieprzyjaciela, a zamykający się stwierdzeniem, że skończyło się na lekkiem postrzeleniu jednego żołnierza, dwóch koni i — jednej kolby, wygląda na farsę. Byłby tutaj znowu temat do humoreski, ale nie godzi się wejść na tę drogę, skoro narzuca się szereg smutnych refleksyi, na które uważnego czytelnika wcale naprowadzać nie potrzebujemy, a to tem mniej, ile że chodzi nam nie o komentarz do tego dokumentu, lecz o podniesienie szczegółów, rzucających światło na ciemną dotąd historyę wypadków z r. 1846.

Niezmiernej wagi jest przedewszystkiem przyznanie się Benedeka do tego, że za jego wiedzą starosta Bernd wezwał chłopów do niesienia pomocy wojsku, że dalej chłopom tym przyrzeczono i po-

tem uiszczono nagrodę w pieniądzach i soli, że wreszcie ustanowiono premie za pojmanych i odstawionych powstańców. Czyż da się pomyśleć dosadniejsze i autentyczniejsze odparcie twierdzenia, postawionego przez niemieckich pamflecistów z r. 1846, a za nimi powtórzonego przez apologetę Benedeka, H. Friedjunga, że krwawa działalność band chłopskich w r. 1846 była samorodnym wybuchem, płynącym z dwóch źródeł, z patryotycznego wobec Austryi nastroju ludu wiejskiego w Galicyi i — co właściwie na pierwszem miejscu podnoszone bywa — z jego głębokiej nienawiści do szlachty za ucisk wiekowy?

Premie wyznaczone za powstańców »żywcem i zdrowo odstawionych« rzucają refleks na słynne krwawe premie starosty tarnowskiego Breinla, z którego działalnością poznamy się bliżej zaraz po zakończeniu tego ustępu o wyprawie Benedeka.

Słowa »żywcem i zdrowo« w zdaniu o premiach są wydrukowane rozstrzelonemi czcionkami, z czego wnosić wypada, że wydawca H. Friedjung znalazł te wyrazy podkreślone w rękopisie raportu Benedeka. Za tem przemawia także uwaga wydawcy we wstępie poprzedzającym rozdział o wyprawie Gdowskiej. »Przyrzeczono chłopom — mówi Friedjung — 5 złr. za każdego powstańca żywcem i zdrowo odstawionego, o czem Benedek wspomina z naciskiem w swojem sprawozdaniu, aby nie dopuścić do podejrzenia, że rozpisał premie za mordowanie szlachty«.

Sprawa krwawych premii tarnowskiego starosty Breinla stała się głośną w Europie całej za pośrednictwem prasy i parlamentów dopiero w kilka tygodni po powrocie Benedeka z pod Gdowa do Lwowa. Rzecz więc naturalna, że nie ten rozgłos premii tarnowskich skłonić mógł Benedeka do takiej przezorności, lecz tylko widok tego, co się działo w Tarnowie. Benedek bowiem, jadąc ze Lwowa do Bochni, zatrzymał się w Tarnowie, widział się tam ze starostą Breinlem i informował się u niego o sytuacyi. Musiał więc z ust samego Breinla słyszeć o tem, że pobudził on chłopów pod warunkami pieniężnymi do wystąpienia w obronie rządu przeciw powstańcom i spiskującej szlachcie. O rezultacie tego kroku Benedek już nie potrzebował informować się u samego Breinla, bo widział zapewne w Tarnowie tłumy chłopstwa, zwożącego zabitych i okropnie pokaleczonych jeńców, a przechwalającego się przytem, że starosta Breinl płaci za każdego buntownika zabitego 10 złr., a za rannego 5 złr. Jako żoł-

nierz bezwzględny i nie przebierający w środkach do celu wiodących, Benedek nie zawahał się skorzystać z piekielnego pomysłu Breinla co do zmobilizowania chłopstwa za pomocą nagród pieniężnych, ale — trzeba to przyznać po słuszności — był przytem dość sumienny, żeby przynajmniej formalnie zapobiedz takim straszliwym następstwom, jakie pomysł Breinla pociągnął za sobą w obwodzie Tarnowskim.

Jeżeli Benedek szczerze zapobiedz pragnął powtórzeniu się pod jego firmą takiej rzezi, jaką widział w Tarnowie, to, jak świadczy cały jego raport o bitwie, czy rzezi Gdowskiej, zrezygnować musiał z tego zaraz w pierwszej chwili, bo pomysł piekielny, który na gruncie tarnowskim tak rychło wydał plon krwawy, nie mógł w sąsiednim obwodzie Bocheńskim innego wydać owocu. Chłopi nie oglądali się na warunek premii, lecz mordowali wszystkich, którzy im pod rękę wpadli, a Benedek tak samo jak Breinl widział się wnet bezsilnym wobec niebacznie rozpętanych namiętności hajdamackich. Ocalił, jak mówi, z rąk chłopskich kilku młodych powstańców, ale na dalsze ocalenie — jak dalej mówi — już »nie miał czasu!« Jest to wymówka wprost śmieszna. Na wydanie energicznego rozkazu z zagrożeniem surowej kary za mordowanie jeńców potrzeba było kilku minut. Ale żeby wydać taki rozkaz z skutkiem zamierzonym, trzeba było być prawdziwym dowódcą, kiedy tymczasem Benedek z garstką żołnierzy gubił się w tłumie chłopstwa i zamiast rozkazywać, musiał niemal błagać. Tak przecież było, według jego własnego przyznania w raporcie, na rynku Wielickim, gdy na odgłos strzałów padających z jednego domu tłum chłopów przybrał tak groźną postawę, iż zanosiło się na plądrowanie miasta.

Nieocenionem dla historyi r. 1846 jest dalsze przyznanie Benedeka, że w tem ostatniem usiłowaniu bardzo pomocnym był mu »przywódca chłopów, kwieskowany urzędnik, Krynicki«. Dotąd bowiem z niemieckiej strony wprost oszczerstwem nazywano powtarzane przez wielu pamiętnikarzy i kronikarzy z r. 1846 twierdzenie, że w bandach chłopskich mordujących i rabujących widziano tu i owdzie figury, które, pomimo chłopskiego ubrania czy przebrania, całą postawą swoją i rolą kierującą naprowadzały na domysł, że są urzędnikami lub funkcyonaryuszami rządowymi. Jeżeliż teraz w jednym wypadku sam raport urzędowy wyraźnie nazywa urzędnika przywódcą chłopów, to wszystkie gołosłowne zaprzeczenia w tej mierze są do głębi zachwiane. Że Krynicki był kwieskowanym a nie czynnym urzę-

dnikiem, to nie obniża bynajmniej doniosłości przyznania, lecz może je nawet podnosi. Kwieskowany bowiem, t. j. czasowo z połową płacy w stan spoczynku przeniesiony, Krynicki, może tą drogą właśnie, jako za najlepszą uznaną, dążył do przywrócenia mu całej płacy z charakterem czynnym. O takim Krynickim bowiem, pełniącym funkcye przywódcy chłopów w krwawej akcyi, prędzej przypuścić można, że został skwieskowany za jakąś przewinę, aniżeli tę ewentualność, że ma się do czynienia z urzędnikiem, który z kaprysu lub dla użycia złotej wolności od nudnych zajęć biurowych sam prosił o przeniesienie w chwilowy stan spoczynku.

Benedek widział na własne oczy okropną sytuacyę w Tarnowie, przekonał się osobiście pod Gdowem o rozbestwieniu tłumów chłopskich i ich nienasyconej żądzy mordu i rabunku, a jednak po powrocie do Lwowa nie miał nic pilniejszego do uczynienia, jak rozpoczęcie zabiegów o uzyskanie orderu Maryi Teresy. Gdyby w tem żołnierskiem upojeniu serce nie było skazane na milczenie, Benedek byłby mógł przez podniesienie alarmu wobec generał-gubernatora, arcyksięcia Ferdynanda i wobec gubernium zapobiedz jeszcze wielu mordom i pożogom, bo owe bandy chłopstwa, którym sam w raporcie o przeprawie Gdowskiej wystawił świadectwo tchórzostwa, można było przez szybkie wzmocnienie załóg w Tarnowie i w Bochni wziąć w karby. Ale we Lwowie powitały Benedeka sfery rządzące, wojskowe i cywilne, jak bohatera, który dokazał nadzwyczajnego czynu i zasłużył sobie tem rzeczywiście na najwyższą odznakę wojskową. Fakt ten najlepiej charakteryzuje niedołęstwo owych sfer. Nie umiały one nawet zapewnić sobie dokładnych informacyi, chociaż wypadki lutowe były od dawna przewidywane. Polegano tam na relacyach starosty Breinla, o którego trwożliwej kłamliwości i perfidyi wkrótce z jego własnego pamiętnika się przekonamy. Breinl donosił niestworzone rzeczy o masach powstańców, zagrażających rządowi, a postawa komendantów wojskowych w zachodniej Galicyi zdawała się w zupełności potwierdzać panikę przez Breinla szerzoną. Komendant tarnowski bowiem, stary i nieudolny generał Csollich, drżał o własną skórę i trzymał całą załogę w pogotowiu w Tarnowie, chociaż przez wysłanie kilku drobnych oddziałów poza miasto mógł całą ruchawkę powstańczą stłumić w samym zarodzie i nie dopuścić nawet do zebrania się tych band hajdamackich, któremi potem kierował cywilny *generalissimus*, starosta Breinl. Równie niedołężnym był generał Collin,

który najpierw wkroczył śmiało do Krakowa, a zaraz nazajutrz, zaalarmowany fałszywą wiadomością o zbliżaniu się wielkich wojsk powstańczych, drapnął stamtąd na Podgórze i umykał dalej aż pod Wadowice, szerząc pospiesznym odwrotem popłoch w całej okolicy. Wobec takich dwóch ślepców jednooki Benedek, który wieściom przesadnym nie wierzył, śmiało wyruszył przeciw powstańcom i rozgromił ich pod Gdowem bez żadnych strat, mógł urość na bohatera i wszystkim zaimponować. Dziś jednak zgroza zbiera na myśl, jakim rozlewem krwi, jaką masą zbrodni o pomstę wołających musiała Galicya, jaką kompromitacyą wobec Europy musiała Austrya opłacić niedołęstwo zarządu wojskowego w r. 1846, a właściwie niedołęstwo dwóch powyżej wymienionych generałów.

Ale Gdów nie daje jeszcze miary tych ofiar, znika prawie wobec tego, co się jednocześnie w obwodzie Tarnowskim stało. Opisywać tego nie będziemy, bo są to rzeczy znane, opowiedziane przez wielu naocznych świadków i ofiar, a przypomniane niedawno w szeregu publikacyi, wydanych w r. 1896, jako w pięćdziesiątą rocznicę wypadków. Dajemy tylko przyczynek do tych opisów, przyczynek ważny, bo oparty na pamiętniku samego bohatera wypadków, drugiego upiora historycznego z r. 1846, starosty Breinla.

* * *

W bogatej galeryi demonów, których zbiorowem dziełem była katastrofa z r. 1846, w długim szeregu tych — mówiąc słowami poety — szatanów czynnych, w których ręku lud wiejski był wtedy tylko ślepym mieczem, starosta tarnowski, Józef Breinl von Wallerstern, naczelne zajmuje stanowisko. W współczesnych opisach rzezi, w pamiętnikach świadków i ofiar katastrofy, w ogóle w całej tradycyi występuje starosta Breinl jako wyrafinowany jej inspirator i sojusznik osławionego herszta band hajdamackich, Jakóba Szeli. Jak w pierwszej chwili po rzezi, tak i w jej pięćdziesiątą rocznicę, więc w porze, gdy już wszyscy świadkowie i ofiary legli w grobie, a namiętności z biegiem czasu zupełnie ucichłe umożliwiły spokojne traktowanie tematu, Breinl we wszystkich z okazyi tej rocznicy wydanych reminiscencyjnych publikacyach polskich obwiniony jest o to, że nie starał się zapobiedz wybuchowi szalonego pomysłu powstańczego, o którym naprzód dobrze wiedział i którego przywódców znał doskonale,

a po wybuchu nie użył środków, godnej powagi rządu represyi, aby z jednej strony stłumić ruch powstańczy, a z drugiej poskromić swawolę rozbestwionych band chłopskich — lecz owszem rozbestwienie to poniekąd sam wywołał i popierał, najpierw premiami za ofiary zabite lub żywcem odstawione do cyrkułu, a potem takiem traktowaniem Szeli, jak gdyby on był ustanowionym z ramienia władzy naczelnikiem pospolitego ruszenia, plądrującego dwory i mordującego każdego, kto się tam nawinął.

Współcześni obrońcy Breinla, niemieccy pamfleciści w Austryi i w Niemczech, mieli łatwe zadanie w odpieraniu tych ciężkich oskarżeń, bo mogli je położyć na karb bezsilnej złości kierowników ruchu powstańczego, wrzekomo zmyślających niestworzone rzeczy z świadomością, że wszystko znajdzie wiarę w społeczeństwie polskiem, tak boleśnie dotkniętem, a do tego żądnem takiego objaśnienia hajdamaczyzny galicyjskiej, aby chłop przelewający krew szlachty uchodzić mógł za obałamucone i zaślepione narzędzie obcej a wrogiej krajowi biurokracyi. I z tego powodu jeszcze mieli niemieccy pamfleciści zadanie ułatwione, że w Galicyi ówczesnej, pod okiem surowej cenzury, z przeciwnej strony nikt w tej sprawie głosu zabrać nie mógł, za granicę zaś drukowane rewelacye polskie nie docierały i zresztą nawet jako niezrozumiałe nie mogły być tam czytane, gdzie czytano każdy pamflet niemiecki, że wreszcie pierwsza ówczesna figura świata dyplomatycznego, kanclerz austryacki, książę Metternich, powagą swoją zasłaniał wobec Europy bohaterów katastrofy. Jedynym głosem, który wtedy mógł sprawić wrażenie za granicą i wywołać tam pewną refleksyę, był słynny, po francusku napisany i w Brukseli wydany list otwarty Aleksandra hr. Wielopolskiego do ks. Metternicha [1]). Ale i ten głos mógł być ostatecznie zagłuszony zarzutem, że stanowi tylko wyraz rozpaczliwego żalu i bezsilnej złości.

Dopiero w r. 1848, wśród burzy szalejącej nad głową staroaustryackiej biurokracyi, na którą zewsząd pierwsze padały gromy, opinia, swobodnie głos zabierająca, ocknęła się pomiędzy Niemcami i pochwyciła katastrofę galicyjską z r. 1846 jako jeden z najdosadniejszych punktów w akcie oskarżenia przeciw systemowi Metternichow-

---

[1]) Lettre d'un gentilhomme polonais sur les massacres de Gallicie adressée au prince de Metternich à l'occasion de sa dépêche circulaire du 7 mars 1846 — Bruxelles 1846.

skiemu. Pamflecistom niemieckim z r. 1846, broniącym Breinla i w ogóle całej biurokracyi, możnaby przeciwstawić cały szereg artykułów, broszur i książek niemieckich z r. 1848, w których rzeź galicyjska przedstawiona jest już w świetle odmiennem, zbliżonem do prawdy. Mimo to jednak jeszcze w kilkanaście lat później, już w brzasku ery konstytucyjnej w Austryi, zrywającej raz na zawsze tradycye dawnej biurokracyi, odezwał się głos podobny do tych, jakie w roku 1846 niemal gloryfikowały Breinla i Szelę. Autorem był jeden z ostatnich Mohikanów biurokratycznych, lwowski dyrektor policyi z r. 1846, osławiony Leopold Sacher-Masoch, ojciec owego Sacher-Masocha, który przed kilkunastu laty chwilowo zasłynął w Niemczech przecenionemi powieściami i nowelami, na tle galicyjskich stosunków, po cudacku przedstawionych. Stary Sacher-Masoch nie podpisał się na swojej książce [1]), ale nazwisko autora nie mogło się utrzymać w tajemnicy. Pomiędzy żyjącymi bowiem jeszcze wtedy nielicznymi Mohikanami starej biurokracyi były lwowski dyrektor policyi był jednym z tych, którzy patrzyli z bliska na opisane wypadki i brali udział w sprawach rządowych. Posiadał przytem Sacher-Masoch talent pisarski, więc dar wyjątkowy w szarej rzeszy biurokratów.

W cztery lata po Sacher-Masochu wydał dzieło o powstaniu z r. 1846 drugi biurokrata z talentem pisarskim, Maurycy baron Sala [2]), w r. 1846 radca gubernialny we Lwowie, a potem wysoki urzędnik ministeryalny w Wiedniu. Chociaż obaj autorowie należeli w tym pamiętnym na zawsze dla Galicyi roku do naczelnych kół urzędniczych we Lwowie i obaj z bliska patrzyli na rozwój i tok wypadków okiem świadków obcych społeczeństwu polskiemu, to jednak obu dzieli przepaść co do wyrażonych poglądów i w ogóle co do całego przedstawienia sprawy. Najpierw bowiem Sala wzniósł się z tego poziomu pamfleciarskiego, na którym Sacher-Masoch pozostał, na wyżynę historycznego traktowania rzeczy, więc jako poważny pisarz nie obryzgał jak ostatni autor społeczeństwa polskiego nikczemnemi zniewagami i kłamstwami, lecz owszem, pomimo surowego sądu o jego ciągłych porywach spiskowo-powstańczych, odzywa się zawsze z należnym respektem dla przeszłości i z niewątpliwem, chociaż dalekiem

---

[1]) Polnische Revolutionen. — Erinnerungen aus Galizien. Prag 1863.

[2]) Geschichte des polnischen Aufstandes vom Jahre 1846. Nach authentischen Quellen dargestellt von Moritz Freiherrn von Sala. Wien 1867.

od sentymentalizmu współczuciem dla następstw tych porywów w ogóle, a ostatniego w szczególności. Jak pod względem szlachetniejszego nastroju, tak i pod względem talentu pisarskiego, Sala o całe niebo przewyższa Sacher-Masocha. Toteż cały przebieg wypadków z roku 1846 przedstawiony jest w jego dziele przejrzyście, na szerzej zakrojonem tle historycznem, mianowicie w historycznym związku z poprzedniemi powstaniami. Wreszcie co dla Sacher-Masocha było niedostępnem, czego jego umysł, biurokratycznie zacieśniony, a policyjnie skrzywiony, nawet z narzucającego się związku między wypadkami ani odgadnąć ani skombinować nie zdołał, to dla Sali było jasnem i widocznem. Był bowiem prezydyalnym sekretarzem generał-gubernatora, arcyksięcia Ferdynanda d'Este, posiadał jego zupełne zaufanie, nawet szczególną sympatyę i z jego polecenia w samym przededniu wybuchu ruchów powstańczych objeżdżał zachodnie obwody Galicyi, aby sprawdzić na miejscu otrzymane ze Lwowa doniesienia o przygotowaniach powstańczych i w miarę potrzeby wydać ustnie organom rządowym odpowiedne wskazówki i dyspozycye. Miał tedy Sala dostęp do wszystkich ówczesnych tajników prezydyalnych, a później jako wysoki dygnitarz w Wiedniu otrzymał, jak to sam w przedmowie zaznacza, wszystkie materyały, potrzebne do napisania dzieła, tak z tamtejszych archiwów ministeryalnych i sądowych, jak i z lwowskich.

Jedna główna tendencya przebija z dzieła Sali. Chodzi mu o takie przedstawienie przebiegu wypadków, aby ich okropne, kompromitujące administracyę państwową akcesorya nie szły na karb srogości lub chociażby tylko nieoględności generał-gubernatora, arcyksięcia Ferdynanda, lecz uważane były za fatalną konsekwencyę lekkomyślności ofiar z jednej, a niedość jednolitego i stanowczego wystąpienia władz wojskowych i cywilnych z drugiej strony.

Tendencyę tę mógł sobie Sala wytknąć bez obawy, żeby się spotkał z protestem lub zastrzeżeniem z którejkolwiek strony, nie wyłączając polskiej. We wszystkich bowiem publikacyach o r. 1846, tak arcyksiążę Ferdynand d'Este, jak i ówczesny cesarz Ferdynand, słusznie »dobrotliwym« zwany, stoją poza sferą tej odpowiedzialności, jaką obciążono wojskowe i cywilne organa rządowe w Galicyi, poza ich plecyma na własną rękę działające.

Cel powyższy byłby Sala w zupełności osiągnął, a przytem podniósł nieskończenie wartość swojego dzieła pod względem ścisłości

historycznej, gdyby był z całą bezwzględnością napiętnował ówczesną biurokracyę galicyjską, jako główną sprawczynię katastrofy. A niewątpliwie wymagała tego ścisłość historyczna — nie mówiąc już o względach dla »kochanej ściślejszej ojczyzny«, jak Galicya w przedmowie nazwana została przez Salę — od autora, który należał do najbliższych świadków katastrofy, a potem mógł, jak to sam przyznaje, przejrzeć nawet tajne akta ministerstw spraw zagranicznych i stanu, oraz najwyższego trybunału sądowego w Wiedniu. Że Sala nie postąpił w ten sposób, że pokrył milczeniem nadużycia, nawet *horrenda*, o których wiedzieć mógł a poniekąd nawet wiedzieć musiał, to, oparci na dokumentach, które nam szczęśliwy przypadek niejako w ręce wsunął, w XII rozdziale wykażemy.

Jakież tedy motywa skłoniły Salę do zasłaniania staro-austryackiej biurokracyi? Może względy patryotyczne na dynastyę i państwo? Ależ nawet w r. 1846 nikt w Galicyi nie przypuszczał, żeby nadużycia, zbrodnie ówczesnej biurokracyi popełnione były z wyraźnego rozkazu lub chociażby tylko za wiedzą generał-gubernatora, arcyksięcia Ferdynanda d'Este, lub cesarza Ferdynanda. Kiedy Sala pisał swoje dzieło, Austrya z inicyatywy jej opatrznościowego monarchy, cesarza Franciszka Józefa I, już się tak przekształcać zaczęła, a w części tak przekształciła, że na stosunki państwowe z r. 1846 spoglądać można było jakby na mroczne resztki średniowiecza. Kiedy tę przeszłość ponurą przedzieliły od nowej ery w Austryi takie niewzruszone baryery historyczne, jak Magenta i Solferino, skrupuły austryacko-patryotyczne, z którymi Sala chwilowo mógł walczyć, tem mniej mogą w grę wchodzić, ile że w wielkim chórze złorzeczeń i przekleństw ciskanych na biurokracyę z przed r. 1846, jako na demona Austryi, głosy austryacko-niemieckie już dawno połączyły się z odosobnionymi dawniej w tej mierze głosami polskimi, węgierskimi i włoskimi. Jeżeli zaś Sala miał na myśli głównie Galicyę i odsłonieniem ran, z biegiem czasu zabliźnionych, nie chciał zamącić dzisiejszego jej stosunku do państwa, to skrupuł ten nazwać można płonnym. Właśnie bowiem w jednomyślnem potępieniu tego, co w dawnej Austryi wytwarzało przepaść pomiędzy jej narodowościami a tronem, tkwi rękojmia trwałości i stałości obecnego ustroju. Pozostaje wreszcie jeszcze argument ostatni, ale z pewnością nie najmniejszej wagi. Prawda historyczna mogła wcale nie obchodzić pamflecistów à la Sacher-Masoch, ale dla Sali, traktującego w swojem dziele pamflet Sacher-Ma-

socha z pogardliwem lekceważeniem i wypowiadającego aspiracye do roli poważnego historyka, prawda, cała i czysta prawda, powinna była stanowić pierwszą i główną dyrektywę.

Pozostaje więc na wytłómaczenie milkliwości i pobłażliwości Sali w traktowaniu biurokracyi galicyjskiej z r. 1846 chyba tylko za daleko posunięty *esprit de corps,* bo ostatecznie Sala był — tylko nominalnie co prawda — członkiem tej biurokracyi.

Co do Breinla jednak już i Salę nawet opuściła pobłażliwość. Wprawdzie nie nazywa go wprost sprawcą rzezi, nawet zasłonić go usiłuje przed najskrajniejszemi obwinieniami, ale w całem przedstawieniu składa nań wielką odpowiedzialność za tak krwawy przebieg wypadków w obwodzie Tarnowskim. Uznawszy najpierw zdolność i inne przymioty Breinla jako biurokraty, zarzuca mu Sala w sposób delikatny ale stanowczy, że w zbytniem poleganiu na swojej powadze długo zapoznawał niebezpieczeństwo, pomimo wczesnych ostrzeżeń, ze Lwowa od gubernatora otrzymanych; że z początku składał arcyksięciu Ferdynandowi uspokajające relacye, wbrew oczywistym symptomom zbliżającego się ruchu powstańczego; że poleceń arcyksięcia co do wczesnego aresztowania przywódców ruchu w Tarnowie (dwóch braci hr. Wiesiołowskich) nie wykonał należycie, a potem, gdy już wybuch nastąpił, popadł nagle w trwożliwość przesadną i poza plecyma gubernatora przedstawiał bezpośrednio kancelaryi nadwornej stan Galicyi jako zagrożony w najwyższym stopniu i wymagający wysłania osobnego korpusu. Relacye takie odchodziły z Tarnowa do Wiednia już po rozprószeniu powstańców przez Benedeka pod Gdowem i po zajęciu Krakowa przez generała Collina, a połączone były z denuncyacyą, że gubernium lwowskie w błąd wprowadza sfery wiedeńskie, ukrywając niebezpieczeństwo.

Sala nie wysnuł z tych ostatnich relacyi takich wniosków, jakie się poniekąd same narzucają. Zanadto rozsądnym był Breinl, żeby sytuacyę mógł uważać za tak groźną, jak to w relacyach swoich do Wiednia przedstawiał. Ale trzeba było straszyć sfery wiedeńskie, bo wtedy właśnie bandy chłopskie pod kierunkiem Szeli, a za wiedzą Breinla, krążyły w obwodzie Tarnowskim po dworach, mordując i rabując dokoła. Breinl wyprzedzał zatem w Wiedniu relacyami swojemi wiadomości o hajdamaczyźnie mazurskiej, zasłaniał temi relacyami siebie i swojego sprzymierzeńca Szelę. Możnaby przypuścić, że Sala tak samo rzecz pojmował, a tylko wyraźnie wypowiedzieć tego nie



MEDAL WŁADYSŁAWA OLESZCZYŃSKIEGO NA PAMIĄTKĘ RZEZI R. 1846.

chciał. Ostatecznie bowiem Sala zarzuca Breinlowi — mówiąc bez ogródek, w dziele użytych — zarozumiałość zwykłą u karyerowiczów, chęć wyniesienia się ponad otoczenie, kłamstwo i przewrotność, wreszcie tchórzostwo w chwili, gdy mężna stanowczość była potrzebna, za czem w danych warunkach pójść miało szukanie oparcia i osłony w bandach chłopskich, które sam Sala niejednokrotnie nazwał hordami rozbójniczemi.

Która z dwóch wersyi o Breinlu, polska, piętnująca go wprost jako skrytego inspiratora rzezi, czy ostatnia niemiecka (Sali), składająca nań nieśmiało tylko pośrednią odpowiedzialność za rozmiar rzezi, ostoi się wobec pamiętnika Breinla, czy też obie zostaną odparte i jaki pamflecista *à la* Sacher-Masoch znajdzie po wydrukowaniu tego pamiętnika punkt oparcia do nowej próby rehabilitacyjnej, może nawet do nowej gloryfikacyi?

Dla pamięci Breinla byłoby to najlepiej, gdyby pamiętnik jego wcale nie został wydrukowany, a tem samem rola jego, w r. 1846 odegrana, otoczona była nadal pewnemi, chociaż wątłemi wątpliwościami. Dopóki bowiem pamiętnik ten leży schowany w styryjskiem archiwum krajowem jako rękopis, wydawać się może, że są tam jakie rewelacye, które odpowiedzialność Breinla za rzeź tarnowską bodaj złagodzą, skoro już po tem, co Sala napisał, o całkowitem zdjęciu tej odpowiedzialności mowy niema. Po wydrukowaniu pamiętnik ten w szczegółach swoich dostarczy każdemu, kto zna inne źródłowe przedstawienia, klasycznego materyału i niezbitego dowodu nietylko na nieśmiało wypowiedziane, a przytem umiarkowane zarzuty Sali, lecz także i na te, które z polskiej strony podniesiono.

Przedewszystkiem Breinl jest w pamiętniku swoim takim przewrotnym kłamcą i samochwalcą zarozumiałym, jakim się przedstawia w książce Sali. Umieścił bowiem i w tekście pamiętnika i pomiędzy załącznikami wszystkie swoje rewelacye, przemawiające za trafnością jego *ex post* wypowiedzianego ocenienia sytuacyi, a nie wspomniał o tych ostrzeżeniach i poleceniach, które otrzymał od generał-gubernatora, arcyksięcia Ferdynanda przed wybuchem ruchu powstańczego, a z których niejedno, jak np. wczesne aresztowanie przywódców ruchu (braci hr. Wiesiołowskich), byłoby może sparaliżowało cały wysiłek powstańczy, a już co najmniej zmniejszyło rozmiar katastrofy.

Jak się z serdecznych i przyjacielskich wynurzeń Breinla o takim skończonym łotrze, jak Jakób Szela, pokazuje, Breinl pisał swój

pamiętnik zaraz po katastrofie r. 1846, prawdopodobnie w r. 1847, gdy był radcą namiestnictwa morawskiego w Bernie. Zapowiada bowiem w pamiętniku, że śledztwo sądowe, jeszcze nie ukończone, wykaże niesłuszność oskarżenia Szeli. Tymczasem przyszła zawierucha polityczna r. 1848, a jak już powiedzieliśmy, z niemieckiej strony napiętnowano sprawców i bohaterów rzezi galicyjskiej, Breinla i Szelę w pierwszym rzędzie, tak dosadnie i z przytoczeniem całego szeregu okrutnych zbrodni (np. wymordowanie całej rodziny Boguszów), że Breinlowi odejść musiała ochota do ogłoszenia pamiętnika. Że rękopisu nie zniszczył, to stanowi jego mimowoli dla historyi położoną zasługę. Chodzi nam bowiem o Breinla takiego, jakim on był w Galicyi w r. 1846, a takim on jest właśnie w pamiętniku swoim, napisanym za świeżej pamięci.

W później napisanym lub przerobionym pamiętniku byłby się prawdopodobnie zatarł jeden wybitny rys charakteru Breinla, który w zwierzeniach, spisanych wkrótce po przebytych opałach, wyraźnie na jaw wystąpił. Rysem takim np. jest tchórzowstwo, graniczące w ludziach tego rodzaju, jak Breinl, o miedzę z mściwą srogością, nawet okrucieństwem, które po przebytej trwodze wybucha w spotęgowanej sile dla powetowania tej trwogi. W pamiętniku swoim Breinl jest takim tchórzem, jakim go Sala w dziele swojem przedstawił, z mniejszą nawet oględnością w wyborze określeń, aniżeli to miało miejsce co do innych zarzutów. Z wielkiej pewności siebie i z zarozumiałego przekonania, że osobista powaga wystarcza do trzymania całego obwodu w karbach, Breinl popadł na pierwszy widok niebezpieczeństwa w strach paniczny, który wpoić umiał także w niedołężnego i już z natury lękliwego dowódcę garnizonu tarnowskiego, generała Csollicha. W tej panice, nie oglądając się na najbliższe nawet i najłatwiejsze do przewidzenia konsekwencye, mając na myśli przedewszystkiem własne bezpieczeństwo, Breinl zaapelował do lojalności chłopów w sposób, jak później zobaczymy, wprost rozbudzający ich chciwość i wszystkie dzikie instynkta. Wszedłszy zaś raz na tę pochyłą drogę, już się na niej zatrzymać najpierw nie chciał, a potem nie mógł, lecz popadł w zależność od rozbestwionych band hajdamackich, zwłaszcza od ich generalnego herszta, Jakóba Szeli. Może w końcu naprawdę w siebie to wmówił, ale z początku z pewnością tylko dla dogodzenia swojej chełpliwości i chęci wywyższenia się, głosił w relacyach, do Lwowa i do Wiednia wysyłanych, że niebez-

pieczeństwo dla rządu i państwa wzrasta z dniem każdym i że tylko swojem osobistem poświęceniem się ratuje sytuacyę, że wreszcie straszna anarchia, wywołana wprowadzeniem band hajdamackich na widownię wypadków, stanowi tylko dzielnie zorganizowaną kontrrewolucyę.

Jak wytłómaczyć to nagłe przejście z pewności siebie w strach paniczny? Widocznie Breinl, zawiódłszy się na urojonej powadze swojej, zaczął wierzyć w prawdziwość wszystkich baśni, które wtedy obiegały o strasznych planach powstańców, o przygotowanych na urzędników i oficerów Nieszporach Sycylijskich i t. p. Baśni te są przytoczone w współczesnych pamfletach niemieckich, a brzmią tak potwornie, że Sala je wprost śmiesznemi nazwał. Według jednej z tych baśni powstańcy mieli postanowić, że po wkroczeniu do Tarnowa wykonają gwałt na żonie Breinla i to w obecności męża. Widocznie pani Starościna musiała być ponętną kobietą, a sam Breinl bardzo zazdrosnym małżonkiem, którego myśl taka przejąć musiała zgrozą i przerażeniem, zamącającem wszelką rozsądną refleksyę. Nie mówi tego Breinl w swoim pamiętniku, ale wnosić to można stąd, że w pierwszej chwili po wybuchu rzezi, kiedy każda chwila energicznej interwencyi starosty mogła wiele złego uchylić, może niejedno życie jeszcze ocalić, pierwszą myślą Breinla było umieszczenie żony w bezpiecznem miejscu u biskupa Wojtarowicza. Kiedy potem Benedek, jadąc na wyprawę gdowską, zatrzymał się w Tarnowie, widocznie Breinl, pomimo całej grozy sytuacyi, sprawę żony swojej, chociaż dobrze ukrytej przed urojonymi zamachami, traktował jako ważną, jeżeli nie główną. W pamiętniku Breinla niema relacyi z rozmowy z Benedekiem o sytuacyi i środkach uśmierzenia katastrofy, a natomiast znajduje się taki ustęp w sprawie Breinlowej:

»Dnia 24 lutego przybył ze Lwowa adjutant komendy generalnej, podpułkownik Benedek, którego arcyksiążę wysłał z wszelkiem pełnomocnictwem, aby się rozpatrzył w położeniu wojsk i, gdzie zachodzi potrzeba, samodzielnie wystąpił. Benedek, poznawszy bardzo niepewną w tej chwili sytuacyę, wymógł na mnie, abym żonę moją, która wprawdzie przez biskupa w domu jego bardzo uprzejme znalazła przyjęcie, ale wśród jego podejrzanego otoczenia trudne miała stanowisko, wysłał natychmiast pod osłoną wojskową do Lwowa, a w ten sposób sam był swobodny i bez oglądania się na cokolwiek zmierzyć się mógł z wszelkimi wypadkami. W godzinę pó-

źniej żona moja w towarzystwie jednego tylko wiernego służącego i z dwoma żołnierzami osłony wojskowej była już w drodze do Lwowa. Benedek wystawił sam dla mojej żony wojskowy paszport na nazwisko »majorowa Elger«, oraz list otwarty i przyjacielską interwencyą starał się jej ułatwić rozdział ze mną. Przezorność taka była potrzebna, gdyż nadzieje stronnictwa rewolucyjnego odżyły na nowo wskutek sukcesów, pod Krakowem odniesionych; rozbici powstańcy usiłowali na kilku punktach połączyć się; moja żona łatwo mogła być zatrzymana, aby w ten sposób złamać moją silną wolę. Żona moja stanęła drugiego dnia wieczorem szczęśliwie we Lwowie po podróży bardzo uciążliwej i po przezwyciężeniu wielu przeszkód, stawianych nie przez narodowców, lecz przez pewną osobę służbistą«.

Tyle zabiegów zbytecznych o panią Breinlową, zupełnie zabezpieczoną przed wszelkim zamachem w domu biskupa! A wszystko to dzieje się w chwili, gdy już w całym obwodzie bandy hajdamackie mordują i rabują dwory, gdy krwawa łuna już weszła na widnokrąg sąsiednich obwodów i stała się tam także hasłem do podobnych ruchów. Ci dwaj żołnierze, którzy towarzyszyli pani Breinlowej aż do Lwowa całkiem niepotrzebnie, mogli wtedy pod kierunkiem jakiegokolwiek, chociażby najniższego urzędnika zagrodzić bandom hajdamaków drogę do wielu dworów w okolicy, a tem samem zapobiedz szeregowi mordów i okrucieństw. Faktem jest bowiem, że bandy te, tak skore do mordowania i rabowania, jak to Benedek obserwował pod Gdowem, tak rozjuszone, że błagania i zaklęcia ofiar, nawet kobiet, zamiast je wzruszyć, wywoływały tylko urągania i zachętę do dalszego pastwienia się, korzyły się wszędzie przed każdym urzędnikiem z jaką taką asystencyą wojskową.

* * *

Przystępujemy do najsmutniejszego epizodu z smutnej historyi r. 1846, do krwawych premii Breinla za zabitych i żywych jeńców, których chłopi zwozili do Tarnowa w pierwszych dniach po wybuchu zamachu spiskowego. Nie w Tarnowie i nie w Galicyi tylko, lecz w całej Europie sprawa ta w swoim czasie wielkiego nabrała rozgłosu. Gdyby nawet zaginęły wszystkie pamiętniki i współczesne opisy rzezi, krwawe premie Breinla utrzymałyby się mimo to na zawsze w tradycyi społeczeństwa polskiego w Galicyi i przechodziłyby

z jednego pokolenia na drugie, nie tylko po dworach szlacheckich, lecz i w chatach włościańskich całego dawnego obwodu Tarnowskiego tak samo, jak w pierwszej zaraz chwili mówiono o tem po dworach i po chatach, jako o faktach notorycznych. Rząd nie wystąpił z opartem na śledztwie autoryzowanem zaprzeczeniem, a inspirowani ze sfer rządowych dziennikarze i pamfleciści niemieccy zbywali całą sprawę tak łatwym w owych czasach i, niestety, tak trafiającym do przekonania argumentem, że chodzi tutaj o jedno z tych licznych oszczerstw, któremi pokonane stronnictwo ruchu zemścić się chciało na głównych sprawcach jego pogromu. Starosta Breinl zajmował pod tym ostatnim względem wybitne stanowisko, więc tem prawdopodobniejszą wydawała się trafność powyższego argumentu co do krwawych premii tarnowskich.

W kołach nieuprzedzonych za granicą, nawet w Niemczech, nie wystarczały takie ogólnikowe zaprzeczenia, skoro nawet w najzjadliwszych współczesnych publikacyach niemieckich znaleźć można np. pamiętnik »oficera zachodnio-galicyjskiej armii«, nie wymienionego na książce, ale, jak z całej treści widać, dobrze za ówczesnemi kulisami wojskowo-biurokratycznemi zoryentowanego, a nawet wprowadzonego do akcyi w czynnej roli [1]). Owóż ten klasyczny świadek i uczestnik represaliów w obwodzie Tarnowskim, wymieniający otwarcie Jakóba Szelę jako jednego z informatorów swoich, przyznaje obok wielu innych, negowanych nawet przez Salę szczegółów, że n. p. »wysłani żołnierze i urlopnicy tłumy chłopskie wojskowo zorganizowali, nad nimi komendę objęli i nakazali im sumaryczny wymiar sprawiedliwości« (!), że dalej rząd krajowy, zaskoczony wypadkami, »musiał zaapelować do rewolty chłopskiej i forytować ją przez urzędników swoich« i t. p. — także i to, że chłopom płacono nagrody pieniężne. Ów oficer-autor mówi wprawdzie, że premie płacono za donosy, ale po tem wszystkiem, co sam poprzednio powiedział o organizacyi band chłopskich, forytowanej przez urzędników, zwłaszcza o sumarycznym wymiarze sprawiedliwości i t. d., chyba na żart zakrawa ten dodatek. Jakżeż bowiem mówić można o donosach w chwili, gdy władza niejako abdykowała na rzecz »sumarycznie« działających band chłopskich, a te ze zwierzęcą furyą pędziły od dworu do dworu,

[1]) »Das Polen-Attentat im Jahre 1846«. Aus dem Tagebuche eines Offiziers der westgalizischen Armee. — Grimma, 1846.

szerząc mord i pożogę, nie oglądając się nietylko na donosy, lecz nawet na notoryczną bierność ofiar wobec wszczętego ruchu!

Rok 1848 wywołał, jak już powiedzieliśmy, nawet w świecie niemieckim reakcyę na rzecz ofiar r. 1846. Po upływie kilkunastu lat od tego czasu, a więc już w porze, gdy można było pomyśleć o spokojnem historyczem traktowaniu owych wypadków, wystąpił poważny pisarz niemiecki, A. Springer, z orzeczeniem, które, jak się wydawać mogło, zamknie już dyskusyę o premiach Breinlowskich na rzecz świadectw polskich. »Nawet ci — mówi Springer [1]) — którzy uznawali rząd niewinnym wobec strasznego podejrzenia, że w stosownej chwili puścił chłopów jakby jaką dziką sforę na powstańców, musieli przecież uwierzyć w rozdawanie premii. O tym fakcie dowiedziano się najpierw nie od zbiegłych Polaków, nie od wrogów Austryi, lecz z organu rządu pruskiego; wiadomości tej nie wyśrubowały liberalne żywioły do miary przesadnej, lecz potwierdzały ją w całej rozciągłości nawet sfery ultramontańskie, które przecież zawsze Austryi bronić zwykły. Właśnie ultramontanie występowali w pierwszym rzędzie oskarżycieli i zasypali gabinet wiedeński najgwałtowniejszymi wyrzutami. Napróżno organa rządowe przedstawiały plany powstańców w najczarniejszych barwach i zapewniały przytem, że w Tarnowie i w innych miastach zamierzono wymordować wszystkich oficerów i urzędników, że w tym celu zapowiadano bale, a tancerki zaopatrywano w sznury druciane, celem uduszenia bezbronnych oficerów. Także trucizna miała za broń służyć, a w oznaczonym dniu miały się rozpocząć Sycylijskie Nieszpory przeciw wszystkim Austryakom i Niemcom. Te oskarżenia zakrawały tylko na upiększenie własnych zbrodni; dowodzenie, że przyjaciele Polaków dopuścili się przesady, utrzymując, że ze szlachty ośmiu tylko przeżyło dni rzezi, że setki dworów zburzono, a tysiące ze szlachty wymordowano, na nic się nie zdało, dopóki tego nie wykazano, że wrzekome rozdawanie premii jest kłamstwem. Ale rząd nie mógł faktu zaprzeczyć, lecz owszem, musiał przyznać, że chłopi otrzymali pieniądze, że starosta tarnowski wypłacał później regularnie premie za żywcem odstawionych powstańców. Rząd mógł zaprzeczyć słuszności oskarżeń co do poszczególnych drobnych okoliczności, ale nie zdołał odeprzeć zarzutu moralnej współwiny w rzezi galicyjskiej. Bezpośrednia odpowiedzial-

[1]) *Anton Springer:* »Geschichte Oesterreichs seit dem Wiener Frieden 1809«. Leipzig, 1863, część I, str. 588 i in.

ność spadała oczywiście tylko na niższych urzędników, którzy byli nadto tchórzliwi i bezradni, nadto przytem nienawidzili polskich dziedziców, aby ze stanowczą siłą wystąpić mogli przeciw chłopom, którzy dalej patrzyli obojętnie na wszystko, co chociażby z pewnem niebezpieczeństwem powstrzymać mogli, a potem uciekli się do tak fałszywych środków uśmierzających, że wobec dalej stojących mogli uchodzić za współwinnych. Skoro jednak rząd od tak dawna nie znosił innych, lepszych urzędników, lecz wykształcił tak złych i niezdolnych, jakich wtedy posiadał, to musiał poddać się następstwom, znosić powszechną niechęć opinii europejskiej i wytrwać dalej w nieszczęsnym sojuszu z chłopami«.

Jeżeli w cztery lata po takim stanowczym werdykcie poważnego historyka niemieckiego, Sala w swojem, jak sam mówi, na autentycznych źródłach urzędowych opartem dziele o r. 1846, wystąpił, pomimo nietajonej niechęci ku Breinlowi, z zaprzeczeniem oskarżeń co do jego premii, to oczekiwać należało, że przytoczy niezbite na to dowody, a to tem bardziej, że, nie poprzestając na samem zaprzeczeniu oskarżeń, nazwał je wyraźnie oszczerstwem. Tymczasem dowodów takich Sala bynajmniej nie przytoczył. O głównym dowodzie, wrzekomej niedostateczności funduszów, jakimi Breinl rozporządzał na wypłatę premii, będzie mowa poniżej, gdy przytoczymy odnośny ustęp z pamiętnika Breinlowskiego. Dalszy dowód, przytoczenie zdania z relacyi Wacława Zaleskiego, późniejszego gubernatora Galicyi, który w r. 1846, jako radca dworu, wysłany był z Wiednia na teatr rzezi dla zbadania i opisania sytuacyi, nie ma znaczenia już z tego powodu, że Wacław Zaleski wysłany był nie dla przeprowadzenia śledztwa, w ogóle dochodzeń, lecz z misyą informacyjną. A zresztą odnośny ustęp tej relacyi wcale nie rozstrzyga kwestyi, gdyż tak on opiewa: »Starałem się pogłoskę tę (o premiach) gruntownie zbadać, muszę jednak wyznać, że wobec całkiem sprzecznych ze sobą twierdzeń, niemożliwem było zbadanie prawdziwego stanu rzeczy«. Z tych słów przecież nic innego wnosić nie można, jak tylko to, że Zaleski chciał tę całą sprawę pozostawić w stanie kwestyi otwartej, wymagającej jeszcze bliższych dochodzeń. Dalsze zaś cytaty Sali z relacyi Zaleskiego już tylko uzasadniają powyższe zdanie przez przytoczenie argumentów *pro* i *contra*.

Sala jednak postąpił sobie dyplomatycznie. Czując, że przytoczone przezeń dowody są niedostateczne, odwołuje się wprost do za-

ufania czytelników, które, jak mniema, zaskarbił sobie spokojnem, bezstronnem traktowaniem sprawy spiskowców i również bezstronnem, a wskutek tego niejednokrotnie na naganę zakrawającem traktowaniem całej działalności Breinla. Mówi tedy Sala w tonie więcej na prośbę o zaufanie, aniżeli na wyraz głębokiego przekonania zakrawającym: »Jeżeli temi wyjaśnieniami zdejmujemy ze skroni starosty Breinla cierniową koronę oszczerstwa, to łaskawy czytelnik po tem wszystkiem, cośmy już o nim, głównie na podstawie jego własnych relacyi, powiedzieli, chętnie nam uwierzy, że w ten sposób spełnić chcemy tylko obowiązek bezstronnego historyka, nie zamierzając wcale ozdobić skroni Breinla wieńcem sławy, na który on, zdaniem naszem, tak samo nie zasłużył, jak na cierniową koronę oszczerstwa«.

Zanim przytoczymy z pamiętnika Breinla ustęp, w którym on sam oburza się na posądzanie go o płacenie krwawych premii, posłuchajmy, co nam mówi o pierwszych swoich zarządzeniach co do stłumienia powstania przez chłopów.

»Dnia 18 lutego o godzinie 11 rano — pisze Breinl — przybyli do mnie do urzędu wysłańcy gmin poddańczych, bliżej Tarnowa położonych. Pierwszy przybył wójt z Lisiej góry, Józef Stelmach. Wszyscy ci wysłańcy donosili, że od dziedziców, księży lub urzędników dominikalnych otrzymali rozkaz, aby gminy, uzbrojone w kosy, widły i t. p., zgromadziły się wieczorem celem wzięcia udziału w ogólnem powstaniu, po północy (z 18 na 19) wybuchnąć mającem i w projektowanej wyprawie na Tarnów, które to miasto miało być zajęte, po wymordowaniu wszystkich, nie zaliczających się do Polaków. Przytem obiecywano im bogatą zdobycz z plądrowania. Wójt z Lisiej góry, Józef Stelmach, nadto jeszcze doniósł, że miejscowość ta wybrana została za główny punkt zborny powstańców i że według oznajmienia ich proboszcza, ks. Morgensterna, który jedenastu, do parafii należącym gminom tamże udać się polecił, wieś Lisia góra, położona na wzgórzu, panującem nad całą okolicą, ma być równocześnie, jako sygnał dla powstańców, na kilku punktach podpalona. Wysłańcy około 60—70 gmin, nawet z odleglejszych okolic, cisnęli się do mnie przez całą resztę dnia 18 i przez noc na 19 lutego, wszyscy z jednakowemi zapewnieniami, że nie myślą słuchać żadnych buntowniczych wezwań, ani dawanych im przez buntowników przyrzeczeń co do wolności od pańszczyzny, zniesienia wszelkich innych

powinności poddańczych, ogólnego podziału dóbr i zupełnej równości, że jednak, na wypadek oporu słusznie obawiać się muszą zagrożonego im niegodziwego traktowania. Wszyscy wysłańcy zatem prosili o wysłanie oddziałów wojska, za których pomocą chcieliby zdrajców pochwytać. Wobec absolutnej niemożliwości wysłania wojska z zagrożonego miasta i rozbicia w ten sposób i tak już słabej siły wojskowej, nie pozostało nic innego, jak wszystkie te liczne deputacye, w miarę ważności ich doniesień, wynagrodzić małymi datkami pieniężnymi i wezwać je w sposób najuroczystszy, aby pod żadnym warunkiem nie przyłączały się do spiskowców, lecz wytrwały w swojej wierności i w przywiązaniu do rządu, który jak zawsze poddanymi się opiekował, tak niezawodnie i teraz ochronną nad nimi rozwinie opiekę. Tym, którzy wyrazili obawy, że będą siłą zbrojną do uczestnictwa zmuszeni, objaśniłem prawo obrony koniecznej, z wyraźną przestrogą, aby korzystali z tego środka tylko w granicach najniezbędniejszej potrzeby. Tylko wójtowi z Lisiej góry, Józefowi Stelmachowi, wydałem instrukcyę, jak on sam i jego gmina zachować się mają, ażeby spiskowcom uniemożliwić podpalenie tej miejscowości, gdyż wiele zależało na tem, aby powstrzymany został umówiony ogień sygnałowy«.

Owe »małe datki pieniężne«, do których Breinl przyznaje się w pamiętniku już po rzezi i po rozejściu się po Europie wieści o krwawych premiach, zakrawają na zaliczki na te premie, a w każdym razie stwierdzają już niewątpliwie ten fakt, że Breinl zaapelował brzęczącą pokusą do chciwości chłopów w chwili, gdy całej zawierusze jeszcze można było zapobiedz kilku oddziałami wojska, gdy sama powaga urzędu wymagała tego, aby, skoro już chłopi odrazu wezwani zostali do akcyi, kierunek jej na miejscu złożony został w ręce urzędników lub wojskowych osób, dających rękojmię utrzymania dzikiej siły w karbach porządku. Zamiast pomyśleć o tej rękojmi, Breinl daje chłopom generalną absolucyę prawną, bo każe im w danym razie korzystać z obrony koniecznej. Jak wyglądała ta lekcya o obronie koniecznej, tego domyśleć się można z tego dzikiego zaprawdę spokoju, z jakim potem w ciągu całej rzezi Breinl wydawał swoje dyspozycye i zapisywał szczegóły w relacyach do gubernium i kancelaryi nadwornej w Wiedniu. Breinl nie był tuzinkowym bezmyślnym biurokratą, lecz posiadał już wtedy ustaloną we Lwowie i w Wiedniu opinię znamienitego referenta i sprytnego działacza.

Jeżeli tedy urzędnik tej miary, znający dobrze prawo karne, a więc i to, że obrona konieczna co do swoich kryteryów stanowi w tem prawie jedną z najtrudniejszych kwestyi, pozostawia te kryterya na dyskrecyę chłopstwu, już poprzednio agitacyą spiskową i w przeciwnym kierunku prowadzoną agitacyą biurokratyczną obałamuconemu, a małymi datkami pieniężnymi z rąk starosty upojonemu — to wypadki, które w ciągu kilkunastu godzin potem rozegrały się pod Tarnowem i w Tarnowie, uważać należy tylko za plon szatańskiego posiewu Breinla. Wypadki te tak są opisane w pamiętniku: »Poranek 19 lutego zaczął się ze zmroku wychylać... Całe gromady poddanych wtargnęły z różnych stron do miasta i przyprowadziły powstańców, pojmanych przez nie po ciężkich walkach, wielu rannych, a także i zabitych... Pierwsze transporty nadeszły z Partynia. Urlopnicy przywieźli ofiary z jeńcami, leżącymi na wozach w nieładzie, przyczem posunięte do rozwścieklenia namiętności usiłowały pofolgować sobie biciem ofiar wobec żołnierzy, przed których szeregami wozy się posuwały. Nawet żołnierze, do najwyższego stopnia rozdrażnieni nadzwyczajnemi wysileniami w ciągu kilku dni i nocy, zimnem i prywacyą, musieli być przez oficerów często za pomocą broni powstrzymywani od bicia odstawionych powstańców. Masy, a nawet jednostki opanowało takie wzburzenie, że na seryo obawiałem się ogólnego chaosu, wśród którego popęd do mordowania i rabowania tak łatwo zyskuje przewagę«.

Oprócz »małych datków pieniężnych«, wypłacanych przez Breinla chłopom w przededniu rzezi, były jeszcze inne podobne »datki«, o których Breinl wspomina dopiero w tym ustępie swojego pamiętnika, który poświęcony jest specyalnie odparciu wieści krwawych. Przytoczę najpierw ten ustęp w całości, aby potem już na podstawie dat pozytywnych wypowiedzieć zdanie o wartości obrony samego Breinla, a zarazem i o całej tej smutnej i ciemnej sprawie, w której obecnie po wysłuchaniu oskarżonego, werdykt historyczny zapaść już może z wszelkiem, jak mniemamy, prawdopodobieństwem, że go już więcej rewizyi historycznej nie będzie potrzeba poddawać.

»Opinia publiczna — tak opiewa obrona Breinla — przez dłuższy czas była obałamucona twierdzeniem, że w chwili wybuchu powstania, w braku dostatecznej siły wojskowej, wyznaczyłem premie za dostawienie żywych i zabitych powstańców, że nawet za ostatnich wypłacałem wyższe premie, czem spowodowany został ubolewania

godny rozlew krwi. Było to nikczemne, samo w sobie niedorzeczne zmyślenie, w którem złość stronnictwa radykalnego, z powodu haniebnego niepowodzenia jego nierozważnych zamysłów, szukała wyrazu i zemsty przeciw temu, kogo uważała za największą zaporę. Jakkolwiek moje uczucia wzdrygają się na to, aby temu najniegodziwszemu ze wszystkich oszczerstw, zamiast zasłużonej pogardy, poświęcił kilka słów odprawy, to jednak sądzę, że wobec czytelnika tego pamiętnika obowiązany jestem do osobnego wspomnienia o tej sprawie, gdyż wieści takie namiętnie rozpowszechniane były po całym świecie, prasa wszystkich państw omawiała je, a zasadnicze milczenie rządu austryackiego mogło być przez kogo błędnie rozumiane i przynajmniej tu i owdzie wzbudzić wątpliwości.

»Już wczesnym rankiem 20 lutego doniesiono mi, że nienawiść buntowników zmyśliła owo twierdzenie i rozpowszechniała je listownie, że ks. Serwatowski wieść tę publicznie, na ulicy, wobec otaczających go osób głośno powtórzył, że kilka po nazwisku wskazanych mi osób, między niemi także funkcyonaryusz cywilnej władzy sądowej, twierdzenie to powtarzało, że wreszcie także przez chłopów, a nawet przez żołnierzy wiadomości tego rodzaju komunikowane były chłopom, tłumnie w Tarnowie przebywającym.

»Nie chodzi o zachowanie mojej reputacyi. Przyjaciele i nieprzyjaciele moi niech powiedzą, czy w tych ciężkich dniach i nocach choćby na chwilę myślałem o własnej osobie, czy mogłem o tem myśleć, gdy tak wiele na mnie ciężyło i miałem rzeczy niepodobne do spełnienia. Jedynie z obawy, żeby takiemi wieściami rozjuszenie ludzi nie zostało jeszcze więcej spotęgowane i życie wielu nie było wystawione na większe niebezpieczeństwo, zarządziłem zaraz postępowanie urzędowe, w którem świadków przez komisyę kryminalną przesłuchano pod przysięgą, a ks. Serwatowski został na rekwizycyę komisyi kryminalnej wobec biskupa przez tegoż na razie w klasztorze OO. Bernardynów zamknięty. Sam zaś za jednym zachodem, a to jeszcze 20 lutego rano, zaprosiłem do siebie adwokata, przezemnie i przez wszystkie stronnictwa poważanego, prosząc go, aby dla zapobieżenia większemu nieszczęściu, wpłynął na opinię wspomnianych osób, zalecił im zaniechanie takich opowiadań i powyższą wieść natychmiast odparł. Charakter tego adwokata dawał mi rękojmię, że rzeczywiście to uczynił. Skutek potwierdził moje przypuszczenia, gdyż publicznie nikt już nie wystąpił w Tarnowie z takiem twierdzeniem.

Natomiast polskie damy odbywały formalne posiedzenia, na których oprócz tego oszczerstwa jeszcze inne uchwalone zostały. Najpierw utrzymywały one, że płacono 100 złr. za każdego zabitego powstańca, później mówiły o 50 złr., a w końcu o 10 i 5 złr. Ponieważ suma ostatecznie wypadłaby nadto wysoka, ażeby wieści, że za każdego powstańca premię płacono, jeszcze dłużej obiegać mogły, przeto pewien dziennik zagraniczny wystąpił z twierdzeniem, że tylko pierwszych chłopów, którzy zabitych powstańców 19 lutego rano do urzędu obwodowego przywieźli, mianowicie urlopników z Partynia, wynagrodzono premiami tego rodzaju. Otóż rzeczywiście, urlopnicy ci, ku mojemu przerażeniu, pierwsi stanęli przed urzędem obwodowym z ofiarami wypadków poprzedniej nocy, istotnie zgłosili się do mnie po napitek, ale, jak to wie każdy świadek naoczny, odprawieni zostali temi słowami: Mordercom napitku nie daję! Słowa te powtarzali później często przedemną świadkowie naoczni, kilku poważnych mężów, gdy wieści owe dostały się do dzienników. Także sam dowiedziałem się, że ci sami urlopnicy z Partynia zaraz na głównej strażnicy wojskowej na rynku żalili się, iż nic im nie dano, chociaż kilka nocy spędzili w polu i teraz koniom żywności dać nie mogli, poczem oficerowie przed strażnicą złożyli trochę pieniędzy i wsparli urlopników.

»Jak w mojej pierwszej relacyi z 19 lutego o wybuchu katastrofy doniosłem arcyksięciu, zaraz od początku starałem się o to, aby wyradzającą się w rozjuszenie gorliwość chłopów zmienić na roztropną demonstracyę i czujność. Co tylko można było zrobić, tego z pewnością nie zaniechano. Jakżeż zresztą wobec przedstawionych stosunków można było sprawić to, żeby krwawym scenom w kilku dniach kres był położony? Jakiej siły, jakiego wytężenia wymagało to, ten tylko ocenić może, kto w dniach tych stał obok mnie. Komukolwiek innemu trudno przyszłoby wyrobić sobie wyobrażenie o tem położeniu. Mnie samemu często wydawało się to niemożliwem, żebym zapanował nad położeniem. Nie 5 lub 10 złr., lecz setki ofiarowały w wielu miejscowościach ofiary wściekłości ludu za ich oszczędzenie, a pieniądze zostały odrzucone. Jaką powagę, jakie zaufanie mogłaby jeszcze władza wzbudzać w ludzie, gdyby za zabójstwo bliźniego wyznaczała cenę i do tego jeszcze tak mizerną? Że zaś władza utrzymała się w zupełnem zaufaniu, to jasnem musiało być dla każdego z wszystkich przejść i zdarzeń.

»Wydatki były rzeczywiście nieuniknione. I tak wielu poddanym musiano na ich żądanie wypłacić, równającą się zwyczajowej należności podwodowej, zapłatę furmańską, z powodu dostawienia broni i amunicyi na pełno wyładowanych wozach, oraz taką samą zapłatę za odstawienie rannych, tak ze strony powstańców, jak i chłopów, w wysokości kilku cwancygierów w miarę odległości. Gdyby bowiem tego nie uczyniono, to broń byłaby pozostała w rękach tłumów chłopskich, a ranni byliby pozostawieni bez pomocy w polu wśród mrozu i wiatru. Dla stwierdzenia istoty czynu i uzyskania podstawy do dalszego dochodzenia karno-sądowego potrzeba było krótko i sumarycznie do protokołu przesłuchać poszczególne partye gromad chłopskich, które odstawiły do Tarnowa swoich jeńców, rannych i zabitych, nadto broń, amunicyę i t. d., a to celem poznania, wśród jakich okoliczności i wydarzeń nastąpiło przytrzymanie, aby potem zarządzić dalsze przytrzymanie lub uwolnienie. Setki chłopów tej kategoryi zatrzymywali po pół dnia lub całymi dniami urzędnicy, spisujący protokoły, pod dozorem i kierownictwem delegowanego ze Lwowa radcy kryminalnego. Wszyscy ci chłopi pozostawali bez pożywienia i bez środków nabycia żywności, a już kilka dni przedtem nie mieli co zjeść. Nie można było i nie należało pozostawić ich w głodzie, aby w samym Tarnowie gwałtów nie wywołać. Po przesłuchaniu tych chłopów, ów radca kryminalny zazwyczaj żądał dla nich wsparcia, które składałem na jego ręce w wysokości jednego, a najwyżej dwóch cwancygierów od głowy. Pieniądze te wręczał chłopom sam radca kryminalny. Poszczególnym poddanym wypłaciłem, według wyraźnego polecenia arcyksięcia, wydanego w listopadzie 1845 r., odpowiednie wynagrodzenie za ujęcie, ale zarazem i bezpieczne odstawienie niebezpiecznych podżegaczy i ważnych przywódców powstania, z tem wyraźnem nadmienieniem, iż dostają za to, że odstawili ich nietkniętych i po ludzku z nimi postępowali. Stało się tak jednakże tylko w rzadkich wypadkach. Z drugiej strony obdarowałem także i poddanych, którzy indywidua bezbronne, napastowane przez inne gminy, wzięli w ochronę i w bezpieczne schronienie do Tarnowa odstawili.

»Najlepszą miarę jednak daje wykaz wszystkich w ciągu kilku tygodni poniesionych i wypłaconych wydatków. Będąc upoważnionym do asygnowania sobie środków pieniężnych, w miarę potrzeby, z kasy obwodowej, otrzymałem razem w czterech ratach zaliczkowo kwotę 1.600 złr., z której w rachunku wykazano: 1) jako datki dla deputa-

cyi gmin poddańczych w dniu 18 lutego i w następnej nocy 500 złr., 2) jako zasiłek dla gmin przedmiejskich pod Tarnowem, mianowicie dla Strusiny, Pogwizdowa, Grabówki i Terlikówki za dostarczenie kilkuset strażników, oraz jako zasiłek dla żołnierzy, pełniących służbę w patrolowaniu, z powodu poniesionych przytem wydatków 445 złr., razem tedy 945 złr. Reszty w kwocie 655 złr. użyłem na wszystkie tak zwane tajne wydatki, na powyżej wspomniane wynagrodzenia za podwody i zasiłki na pożywienie, na wynagrodzenia pieniężne za szczególne usługi, na podwody dla wysłanych małych asystencyi żołnierzy piechoty, na konnych posłańców, chłopów i żydów, przez których wszystkie moje polecenia i każde zarządzenie musiało być zakomunikowane zwierzchnościom gminnym, dla donosicieli wzdłuż Wisły i Dunajca za wiadomości stamtąd otrzymane, wreszcie na utrzymanie czterokonnych wozów, które dzień i noc dla wywiezienia trzymanej w pogotowiu kasy obwodowej do dyspozycyi pozostawać musiały. Wykaz tych, pewnie bardzo umiarkowanie zaliczonych wydatków, został przez prezydyum krajowe natychmiast uznany. Miałem wprawdzie jeszcze fundusze składkowe, przysłane mi na wsparcia dla dotkniętych klęską powodzi poddanych nad Wisłą, ale fundusze te uważałem w chwili wybuchu niepokojów za zagrożone w moich rękach i wysłałem je przez moją żonę napowrót do Lwowa. Stosownie do mojego życzenia, żona złożyła ten fundusz w kwocie 9.668 złr. dnia 27 lutego w prezydyum krajowem. Arcyksiążę generał-gubernator przysłał mi pokwitowanie, a potem i pieniądze te, celem rozdzielenia pomiędzy włościan, dotkniętych niedostatkiem. Innemi pieniądzmi nie rozporządzałem. Z funduszów zapomogowych zaś żadna premia lub jakikolwiek wydatek nie mógł być pokryty z tego powodu, że tych pieniędzy wcale nie miałem przy sobie. Nie chciałem bowiem, w razie nieszczęścia, ściągnąć odpowiedzialności na moje nazwisko, więc zaraz o tem pomyślałem, aby pieniądze, niedoli poświęcone, w bezpieczne dostały się miejsce. Tem samem dobitnie odparta zostaje wszelka insynuacya, jakobym pieniędzy zapomogowych użył na premie. Złożyłem z tych pieniędzy udokumentowany rachunek, w którym zupełnie usprawiedliwiony jest każdy złr. potwierdzeniem komisarza urzędu obwodowego i wezwanych do udziału miejscowych księży, mandataryuszy i naczelników gminnych.

»Jakkolwiek liczne oszczercze artykuły dziennikarskie, omawiające namiętnie owe historye o premiach, bardzo mnie dotknąć mu-

siały, to jednak początkowo nie przywiązywałem do nich żadnej wagi, w pełnej świadomości mojego honorowego postępowania i w nadziei, że mój wysoki rząd, który z wielu stron musiał się przekonać o bezpodstawności tych wieści, stanowczo przeciw nim wystąpi. Gdy jednak wycieczki i kalumnie stawały się coraz jaskrawszemi, a moja działalność urzędowa nie wymagała już ofiary i nie pochłaniała czasu w całości, zwróciłem się 23 maja 1846 do wysokiego prezydyum krajowego z prośbą, aby w drodze ścisłego dochodzenia dało mi zupełne uspokojenie i taką satysfakcyę, jakiej każdy człowiek honorowy żądać jest uprawniony. Mój wysoki rząd jednak uznał takie dochodzenie, które zresztą byłoby tylko stwierdziło znane mu i wszechstronnie zbadane daty, niepotrzebnem, a tem dał mi przykład, jak wycieczki takie oceniać należy. O ile twierdzenia o premiach rozszerzone były na sąsiadujący z Tarnowem obwód Bocheński, tyle tylko mi wiadomo, że wysoki rząd, po dłuższem zastanowieniu, postanowił w kilka miesięcy później wypłacić kwotę 35.000 złr. tym poddanym (po 5 złr. każdemu), którzy przy posuwaniu się wojsk pod dowództwem podpułkownika Benedeka przez Gdów i Wieliczkę, jako pospolite ruszenie z pomocą pospieszyli. Byli oni do tego wezwani przez urząd obwodowy w Bochni z przyrzeczeniem soli kamiennej (po cetnarze na głowę)«.

Po tej właśnie obronie Breinla żadnych już więcej rewelacyi oczekiwać nie można na jego korzyść. Wszystko to bowiem, co Breinl w swojej obronie mówi o spowodowanem przez niego dochodzeniu ze strony komisyi kryminalnej w Tarnowie, o interwencyi tamtejszego adwokata dla odparcia wieści o premiach, o postawieniu świadków na dowód, że mordercom zapłaty wprost odmówił i t. d., albo zakrawa na kłamliwą przechwałkę, co wobec zarzuconej Breinlowi, nawet przez samego Salę, skłonności do rozmijania się z prawdą, z wszelką racyą przypuścićby można, albo skończyło się takim ujemnym rezultatem, że go ani w pamiętniku przechowywać, ani gubernium lwowskiemu przedkładać nie wypadało. Jeżeliby gdziekolwiek, w aktach gubernialnych lub ministeryalnych znajdował się ślad tych wrzekomych dochodzeń i stwierdzeń, to Sala, przejęty tak szczerą chęcią »zdjęcia cierniowej korony oszczerstwa« ze skroni Breinla, byłby niezawodnie bodaj wspomniał o tem. I to także zmyślił sobie Breinl, jakoby na jego prośbę o zarządzenie dochodzenia w sprawie krwawych premii prezydyum krajowe nie wydało żadnych zarządzeń, wrze-

komo w przekonaniu, że takie dochodzenia są niepotrzebne. Sam Sala bowiem mówi w swojem dziele, że ówczesny prezydent gubernialny, br. Krieg, przydając Breinlowi do pomocy byłego dyrektora policyi w Krakowie, Wolfartha, polecił mu poufnie, aby rzecz całą ściśle zbadał. Wolfarth wywiązał się z tego polecenia w ten sposób, że przedstawił Kriegowi bezpodstawność wieści o krwawych premiach jedynie w sposób rachunkowy. Mówi bowiem Wolfarth w swojej relacyi, że skoro Breinl miał do dyspozycyi na tajne wydatki tylko 1.600 złr., to nie mógł płacić, jak mówiono, po 10 złr. za zabitych, a po 5 złr. za żywcem dostawionych powstańców, gdyż pierwszych było około 140, a drugich około 600, więc wydatek ogólny byłby wynosił 4.400 złr.! Wolfarth widocznie w porozumieniu z Breinlem informował br. Kriega, gdyż w przytoczonym ustępie z pamiętnika także nacisk położony został na ową wrzekomo niewystarczającą kwotę tajnych funduszów dyspozycyjnych.

O całej zresztą obronie Breinla bez skrupułu powiedzieć można, że ułożona jest według prawideł, przestrzeganych przez wyrafinowanych zbrodniarzy. Najpierw idzie zaprzeczenie istoty czynu *(si fecisti nega)*, a potem twierdzenie, że nie było narzędzia, niezbędnego do popełnienia zbrodni.

Breinl przeczy solennie, jakoby wyznaczał premie krwawe i wyraz premie podkreślił w swoim pamiętniku. Kto się zna na sztuczkach i kruczkach biurokratycznych, dla tego nie będzie w tem nic dziwnego, że Breinl mógł niejako za jednym tchem i zaprzeczyć wieściom o krwawych premiach i zarazem przyznać, że płacił chłopom przed rzezią i podczas rzezi napitki, datki, różnorodne wynagrodzenia i t. p. Rzecz główna, wprowadzenie w grę srebrników dla zachęcenia chłopów do akcyi i podtrzymywanie tej akcyi pieniądzmi, jest wyraźnie przyznana, a zaprzeczenie opiera się na subtelnej racyi formalnej. Podkreślenie słowa »premie« utwierdza nas tylko w przypuszczeniu, które już nam nasunęło dzieło Sali. Chodzi o biurokratyczne pojmowanie rzeczy. Premii w tem znaczeniu, żeby je aktem urzędowym przyrzeczono i pewną taryfą z góry określono, nie było w Tarnowie i takim premiom mógł tak Sala, jak i sam Breinl, stanowczo zaprzeczyć. Jest to poprostu nie tyle sprytne, ile wykrętne wyzyskiwanie nieścisłej, nawet niezręcznej formy, w którą oskarżenie ubrali tak pierwsi jego propagatorowie w Tarnowie, jak i wszyscy autorowie pamiętników i opisów później wydanych. Zmieńmy tylko formę oskarżenia, wy-

rzućmy słowo »premie« i odrzućmy taryfę, a wtedy rzecz sama, fakt, że Breinl chłopom płacił za ich krwawą akcyę, że, co więcej, pieniężnymi datkami przed wybuchem niepokojów do tej akcyi nietylko ośmielił, lecz i pobudził, stanie się niewątpliwym raz na zawsze, bo przyznanym przez samego sprawcę.

Postawienie sprawy na tem stanowisku nie jest naciągnięte. Wszakżeż dziś jeszcze w oficyalnych zaprzeczeniach tak często przestrzegana bywa ta metoda, że się chwyta nieścisłych lub dwuznacznych wyrażeń, a na nich, z pominięciem istoty rzeczy, opiera całą argumentacyę przeczącą lub prostującą. Breinlowi bardzo łatwo było pójść tą drogą i przytem jeszcze udawać oburzonego, bo z pewnością nie wydał urzędowego obwieszczenia z oznaczeniem premii i ich taryfy.

Do rachunkowego, że tak powiemy, dowodu niewinności Breinla można zastosować przysłowie *qui s'excuse s'accuse* nawet z tem zaostrzeniem, że się nietylko sam oskarżył, lecz wprost nawet potępił. Wykazał bowiem tylko kwotę otrzymaną z prezydyum gubernialnego na tajne wydatki, a nie wspomina o tem, jakimi funduszami ponadto rozporządzał. Nie potrzeba być wtajemniczonym we wszystkie tajniki urzędów administracyjnych w Austryi, żeby wiedzieć o tem, że szef urzędu tej kategoryi posiada zawsze pewien fundusz ryczałtowy, przeznaczony na rozmaite wydatki. Tak jest dziś w urzędach powiatowych z bez porównania mniejszym okręgiem terytoryalnym, niż dawne obwody, i to w czasach, kiedy się nikomu nie śni o jakichkolwiek spiskach, a owi emisaryusze emigracyi, którzy przed rokiem 1846 gęsto snuli się po kraju i zmuszali władze do nieustannej czujności, do ciągłego pościgu, żyją już nawet nie w pamięci najstarszych ludzi, lecz tylko — w dziełach historycznych.

Rok 1845 był rokiem klęsk elementarnych, zwłaszcza w zachodniej Galicyi, a r. 1846, wskutek tych klęsk, zapowiadał się głodem przednówkowym. Dla zapobieżenia głodowi sejm stanowy w r. 1845 uchwalił milionową pożyczkę krajową, a wszędzie zbierano składki dla ludności niedostatkiem dotkniętej. Breinl zapewnia uroczyście, że nie tknął funduszów zapomogowych z gubernium otrzymanych na cele polityczne i wyrachował się z nich sumiennie. Przypuśćmy, uważajmy to nawet za pewne, że w tych rachunkach żadna pozycya nie była zamaskowaną nagrodą dla chłopów wezwanych do krwawego dzieła represyjnego. Któż jednak sprawdził w swoim czasie, ile pieniędzy zapomogowych wpłynęło do rąk Breinla poza kwotą z gubernium,

otrzymanych ze składek, wprost do urzędu obwodowego wysyłanych? Wyjaśnienia do powyższych kwestyi mogłyby dostarczyć chyba akta ówczesnej, samoistnie zorganizowanej buchalteryi rządowej, po których dziś oczywiście śladu już niema.

Ale na cóż przytaczać wszystkie te wątpliwości, jeżeli datami pozytywnemi stwierdzić można fakt, że Breinl w rachunku swoim wykazał na tajne wydatki mniejszą kwotę, aniżeli od prezydyum krajowego rzeczywiście otrzymał. Daty te dostały się autorowi z źródła autentycznego, z protokołu podawczego tego prezydyum za r. 1846, przy studyach archiwalnych do monografii o Agenorze hr. Gołuchowskim, więc niejako przypadkowo. Owoż według tego źródła Breinl już w pierwszej połowie lutego 1846 r. zwrócił się do prezydyum krajowego z prośbą o »zaliczkę« w kwocie 200 zł. »na wynagrodzenie poddanych, którzy donosić mu będą o ruchu rewolucyjnym«. Żądana zaliczka wysłana została ze Lwowa 19 lutego 1846 r., więc przyszła do Tarnowa, gdy Breinl rozdawał chłopom owe datki pieniężne, wynagrodzenia i t. p. Zaraz w kilka dni później Breinl opowiada się przed prezydyum krajowem, że sam sobie zaasygnował w kasie obwodowej 200 złr. na »tajne wydatki służbowe«. W ciągu drugiej połowy lutego Breinl co kilka dni odnosi się do prezydyum krajowego z podobnemi oznajmieniami i w ten sposób wybiera z kasy 200 złr., 1.000 złr. i 200 złr. Do tych 1.800 złr., pobranych w lutym 1846 r., przybywa w pierwszej połowie marca 1846 r. znowu pod tytułem funduszu na tajne wydatki kwota 200 złr., a w kwietniu 1846 r. kwota 1600 złr., która zapewne już przedtem z innego źródła zaliczkowo została wydana. Mamy tedy jasny rachunek z krytycznego okresu działalności Breinla. Otrzymał on bądź to wprost z prezydyum krajowego, bądź za jego wiedzą na mocy własnej asygnaty, razem 3.600 złr., więc tylko o 800 złr. mniej od kwoty, która według powyższego rachunku potrzebna była na wypłacanie premii, czy datków pieniężnych za wszystkie trupy i za wszystkich jeńców powstańczych! O wyrównanie tej różnicy po tem wszystkiem, cośmy powyżej powiedzieli, Breinl ani na chwilę nie mógł być w kłopocie. Wśród ówczesnej zawieruchy starostowie szafowali funduszami dowolnie i nie potrzebowali wyrachowywać się z nich tak ściśle, jak w czasach normalnych. Dowodem na to sprawa starosty Bernda z Bochni, który nie zasłynął z premii krwawych tak, jak jego kolega z Tarnowa, nie zostawił po sobie w protokole prezydyum tyle śladów tajno-zaliczko-

wych co Breinl, a jednak, jak się potem pokazało, odchodząc na emeryturę, zapomniał wyrachować się z kwoty 6.000 złr., otrzymanej w r. 1846 na tajne wydatki. Trzeba mu było przypomnieć ten obowiązek i dopiero po tem przypomnieniu, czy po kilkakrotnych przypomnieniach, w maju 1847 wpłynął do prezydyum krajowego rachunek za pośrednictwem gubernium dolno-austryackiego, w którego okręgu zapewne Bernd wypoczywał na emeryturze po krwawych trudach poprzedniego roku.

Chcąc wydać sąd o krwawych premiach Breinlowskich spokojnie i bez wszelkich uprzedzeń, musimy jeszcze podnieść kwestyę, czy, po ludzku rzecz biorąc, jest dość silna podstawa do uważania Breinla za tak potwornie srogiego, okrutnego i w wyborze środków bezwzględnego człowieka? Jednym wielkim chórem potwierdzają to wszyscy współcześni świadkowie jego działalności w opisach rzezi i w pamiętnikach. Może i taka jednomyślność jeszcze nie wystarcza, może wszystkie te głosy są tylko wyrazem ówczesnej grozy i oburzenia? Gdyby nawet kto podniósł tę wątpliwość, to sam Breinl pamiętnikiem swoim, mianowicie ustępem o Jakóbie Szeli, usuwa ją w zupełności.

Jakób Szela nawet w dziele Sali, tak oględnego i skłonnego do łagodzenia potępień, prezentuje się jako potwór, łotr nad łotrami, kierujący czernią hajdamacką w najstraszniejszych scenach ówczesnej doby. Lecz Sala uważa to za rzecz ubolewania godną, że Jakób Szela za zbrodnie swoje nie dostał się pod ostrze prawa karnego. Musiano go oszczędzać, bo mógł najwięcej skompromitować sfery biurokratyczne, a gdy potem r. 1848 pokrył zasłoną amnestyjną wszystkie spiskowe i hajdamackie sprawy kryminalne z r. 1846, rząd austryacki formalnie wywiózł go na Bukowinę, gdzie miał stale przebywać, gdzie też umarł, wzgardzony, a nawet tak znieważany za życia przez swoich sąsiadów, kolonistów niemieckich, że w początkach rządów Agenora hr. Gołuchowskiego, jako szefa Galicyi i Bukowiny, zwracał się doń z pisemną błagalną prośbą o zasłonięcie przed prześladowaniem. Jeżeli tedy Breinl z takim Jakóbem Szelą wchodził w stosunek, jakby z aliantem, to krzywdy mu się nie robi, uważając go za zdolnego do wszelkiej niegodziwości.

Breinl pisał swój pamiętnik widocznie zaraz po rzezi, kiedy pierwsza sprawa Szeli była w pierwszem stadyum dochodzeń karnosądowych. Był pewny, że Szela wyjdzie cało z tych dochodzeń,

więc jest szczery w swoich wynurzeniach. Tak one opiewają w pamiętniku:

»Większa część poddanych wyraziła życzenie, aby każdy poddany od każdego posiadanego gruntu odrabiał dworowi rocznie jeden dzień pańszczyzny *in natura* z zaprzęgiem, jeżeli go posiada i uiszczał od morga czynsz oznaczyć się mający. Pobudkę do tego pomysłu dał poddany z Smarzowej, Jakób Szela, w którego całkiem prostych, z doświadczenia czerpanych zapatrywaniach, wiele gmin poddańczych obwodu Tarnowskiego i sąsiednich obwodów ślepe pokładało zaufanie i który imieniem tych gmin wnosił do wysokich i najwyższych władz prośby o zmianę stosunku poddańczego na sposób powyższy. Jest to ten sam Szela, który w wielu dziennikach wymieniany był jako wielki przywódca uzbrojonych chłopów i główną odgrywa rolę w ogłoszonej skardze Henryka Bogusza w sprawie pożałowania godnych wypadków, jakie rodzinę jego dotknęły. Wielkie zaufanie w okolicy zawdzięcza Szela nie swojej osobistości, gdyż wprawdzie zjednał sobie pewną znajomość ustaw o stosunkach poddańczych w zastępowanych przezeń sporach gminy z dworem w Smarzowej, ale pozostał mimo to prostym chłopem, przytem zabobonnym i niezdolnym do wyższego poglądu — lecz przystępnemu sposobowi, w jaki chłopom do niego po radę się zgłaszającym wskazywał drogę, której trzymać się mogą i powinni. To też wszyscy chłopi zwrócili się naturalnie w tak krytycznej chwili po 19 lutego 1846 do Szeli, gdyż nie było nikogo w okolicy, komuby mogli i chcieli zaufać. Szela, którego w pierwszej chwili wzburzenia nie było w domu, udzielił potem wszystkim gminom radę, aby silnie stały przy rządzie, któremu sam ślepo był oddany. Powstał pewien rodzaj mobilizacyi, gdyż Szela, skoro tylko mniemał, że okolicy grozi niebezpieczeństwo, prędko zawiadamiał o tem wszystkie gminy okoliczne, a te złączyły się z sobą celem stawiania oporu. Szela słuchał każdego rozkazu i rozwiązał złączone gminy na moje polecenie, gdy już nad bezpieczeństwem wojsko czuwać mogło. Przyrzekł on jak najuroczyściej, że skorzysta z swojego wpływu na gminy, aby nakłonić je do spokoju i do uiszczania się z powinności poddańczych. To też gmina Smarzowa pierwsza zaczęła odrabiać pańszczyznę. Jednakże w wpływie Szeli spostrzegłem pewne zaostrzenie, gdyż obowiązek pańszczyźniany zdawał się on jedynie w ten sposób tłómaczyć, że poddani na razie tylko mają uprawiać łany dworskie, a potem miarę i kres oznaczą

decyzye co do zmian przezeń oczekiwanych. Uznałem zatem usunięcie Szeli z tej okolicy za wskazane i wziąłem go pod nadzór w Tarnowie, gdzie też pozostał. W ten sposób został także ten cel osiągnięty, że umilkły mnogie, w dziennikach omawiane twierdzenia o wrzekomo wielkiem znaczeniu Szeli. W ubolewania godnych gwałtach, w tej okolicy popełnionych, Szela nie miał bezpośredniego udziału. Czy jednak doradzaniem zabicia niektórych w rewolucyi uczestniczących osób nie brał skrytego udziału, tego z pewnością powiedzieć nie można. To pewna, że poddanym, na których wpływ wywierał, odbierał cudze mienie, zwracał je właścicielom lub oddawał władzy w Tarnowie i że w jego skromnej chacie w owych czasach nieszczęsnych szukała schronienia dziedziczka wraz z swojemi dziećmi i została przez Szelę przyjęta. Kierowana przez narodowców opinia publiczna występowała wprawdzie bardzo gwałtownie przeciw Szeli, ale lepiej poinformowana władza umiała wpływ jego w pierwszem zamieszaniu w braku sił potrzebnych do wyłącznego czuwania na wszystkich punktach pokierować i na dobre wyzyskać, nie dając się w żaden sposób przedwcześnie popchnąć do żadnego gwałtownego środka przeciw jego osobie, co przy ślepem przywiązaniu przeszło stu gmin do tego człowieka byłoby pociągnęło za sobą najsmutniejsze następstwa. Wskutek skarg rodziny Boguszów, ustanowiona została na rozkaz Najj. Pana osobna sądowa komisya śledcza, która kilka miesięcy badała wszystkie doniesienia i dotarła do prawdy. Szela nie mógł na żadne zeznania wpływu wywierać, był on bowiem w Tarnowie i sam o to prosił, aby nie miał żadnej styczności z osobami przesłuchać się mającemi, aby według jego życzenia ominięty został wszelki pozór wpływania i sprawiedliwości w pełnej mierze stało się zadość. Orzeczenie w tem wielkiem śledztwie przeciw Szeli jeszcze nie zapadło, mniemam jednak, że nie zostanie mu żadna wina przypisana«.

Skoro Breinl w pamiętniku swoim tak ściśle połączył sprawę własnej rehabilitacyi z oczyszczeniem Szeli z współczesnych zarzutów, to teraz oba te nazwiska już razem wypisane być muszą na wielkim pręgierzu, wzniesionym przez historyę dla bezpośrednich i moralnych sprawców i winowajców rzezi galicyjskiej z r. 1846.

Musimy podnieść jeszcze jeden znamienny szczegół z pamiętnika Breinla. W rozprawach karnych często się to zdarza, że nawet wyrafinowany i do wykrętnej obrony wprawiony zbrodniarz za wiele

mówi i za wiele chce dowieść, że przez to nietylko nie powiększa szans swojej obrony, lecz owszem sam dorzuca materyału do przygniatającego go ciężaru poszlak. W błąd ten popadł także i Breinl, mówiąc w obronie swojej: »Jaką powagę, jakie zaufanie mogłaby jeszcze władza wzbudzać w ludzie, gdyby za zabójstwo bliźniego wyznaczała cenę i do tego jeszcze tak mizerną?« Tę bardzo trafną refleksyę najlepiej ilustruje sytuacya w obwodzie Tarnowskim wśród rzezi i po rzezi r. 1846. W chwili, gdy starosta obwodowy, więc najwyższy szef władzy administracyjnej, zaczął pieniądzmi werbować i zachęcać rozjuszone chłopstwo do akcyi represyjnej, władza jego upadła całkowicie, a w jej miejsce urosła do niezwykłych rozmiarów powaga takiego pospolitego opryszka, jakim był Jakób Szela, jako przywódca band hajdamackich. To też zapanowała w obwodzie Tarnowskim straszliwa anarchia, na którą rady szukał Breinl w kłamliwych relacyach o wielkiem niebezpieczeństwie i w błagalnych reklamacyach znacznej siły zbrojnej. Obraz tej anarchii zawiera dodana do pamiętnika relacya samego Breinla do władz wyższych.

»W obwodzie Tarnowskim — tak pisze Breinl w relacyi z 23 lutego 1846 do prezydyum krajowego — w części obwodu Bocheńskiego i Jasielskiego już wszelkie węzły społeczne są zerwane. Dziedzice, urzędnicy dominikalni, księża i służący dworscy pozabijani, aresztowani lub zbiegli, a poddani znajdują się w najdzikszym stanie natury, sami sobie pozostawieni, przejęci urojeniem, że skoro dziedzice, używając ich do powstania, zwolnili ich z pańszczyzny i poddaństwa, to mogą teraz dowolnie używać pozostawionych gruntów z wszelkiemi przynależytościami. W wielu miejscowościach gminy zebrały się, wpadły na obce terytorya, plądrowały, dopuszczały się wszelkich wybryków i roztrwoniły małe zapasy w dworach pozostawione, a nawet zapasy sąsiednich poddanych, które w części byłyby służyły na nędzne utrzymanie ludności i tak już w tej okolicy w największym niedostatku pogrążonej. Wydałem odezwę, do której przyłączył się komendant załogi. Musiałem odezwę tę rozesłać przez chłopów, żydów, wojskowe oddziały i inne okazye, gdyż wszelki związek służbowy z dominiami jest zerwany, a dzicy poddani tylko słabym węzłem połączeni są bezpośrednio ze mną. Z wszystkimi, którzy tutaj przybywają, — a jest ich codziennie kilkaset — muszę sam rozmawiać, pouczać ich, miarkować, wpływać na nich, a z drugiej strony — dobrze to zważyć należy — nie odpychać ich od siebie,

gdyż w razie przeciwnym zmienią się ich uczucia wobec rządu i zwrócą się przeciw niemu. Wskutek tego w wielu miejscowościach wściekłość poddanych już się rzeczywiście uśmierzyła. Ale nie wszędzie tak się stało, szczególnie powiedzieć to można o odleglejszych punktach obwodu... Chciałem zagrozić sądem doraźnym, ale wypadki tak szybko po sobie następowały, że odezwę, znajdującą się już pod prasą, musiałem zmienić, gdyż brak mi wszelkich środków do urzeczywistnienia takiego zarządzenia... Znajdujemy się tutaj w stanie oblężenia, bez dostatecznych sił do obrony, a wykonanie sądu doraźnego zależnem jest od możności otwartego wystąpienia na zewnątrz. Nieszczęściu kres położyć może tylko spieszne sciągnięcie imponujących sił wojskowych, których zaopatrzenie postawione być musi na stopie wojennej, gdyż postępowanie w zabezpieczeniu potrzeb w drodze dostawy jest niewykonalne«.

W dwa dni później, 25 lutego 1846 r., wysyła Breinl nową relacyę, w której pisze: »Zupełne prawie rozpasanie stanu chłopskiego spotęgowało się w niektórych miejscowościach, a w punktach bliżej miasta obwodowego położonych uśmierzyło się o tyle, że przynajmniej przez wysyłanie asystencyi w miarę, jak chwilowo bez nich tutaj obejść się można, wpływ wywierać się daje. We wsiach tutejszego obwodu niema po największej części ani dziedzica, ani dominikalnego urzędnika lub oficyalisty, ani księdza, któryby bandy w karbach utrzymać zdołał. Pozbawione wszelkiego rozsądnego kierownictwa, oddane namiętnościom, które w całkiem nieoświeconym stanie ludu wiejskiego nie znają żadnej miary, snują się poszczególne gminy po sąsiednich okolicach, rabują, plądrują i napadają inne gminy«.

Do bezsilności swojej wśród anarchii wywołanej własnem postępowaniem, więc do zupełnej kapitulacyi władzy wobec band chłopskich, przyznał się Breinl nawet w swojej relacyi do wiedeńskiej kancelaryi nadwornej z 1 marca 1846 r. Mówi tam bowiem, że może tylko »pouczaniem, ostrzeganiem i poufnem przedstawieniem« wpływać przeciw wybrykom chłopskim i dodaje przytem tę wielce charakterystyczną uwagę: »Jedno nieostrożne słowo mogłoby sprowadzić największe nieszczęście, mianowicie to, że chłopi zwróciliby się przeciw rządowi, a wtedy nie możnaby myśleć o tem, żeby rząd utrzymał się w kraju. W ogóle stosunki obwodu Tarnowskiego są odmienne od stosunków innych obwodów, gdyż tutaj najpierw nastał

stan wojenny między powstańcami a rządem i jego zwolennikami, chłopami, którzy w pierwszej potyczce pobili nieprzyjaciela, podczas gdy nadzwyczaj słaba siła zbrojna zaledwie byłaby w stanie zmierzyć się z nieprzyjacielem wewnętrznym w Tarnowie«.

Odmienność sytuacyi w Tarnowie wobec innych obwodów wynikała nie z przyczyn, które Breinl powyżej przytoczył, lecz stąd, że poza obwodem Tarnowskim — żaden inny nie miał drugiego Breinla!

Rozstając się z pamiętnikiem Breinla, przytoczymy jeszcze tylko jeden ustęp z zawartej między anneksami relacyi z d. 31 marca 1846 r., która w wyobraźni autora pamiętnika zapewne miała świadczyć o jego skrupulatności w szafowaniu tajnymi funduszami, a w rzeczywistości stanowi tylko dowód, że umiał dobrze zamaskować krwawe premie swoje. W relacyi tej Breinl, tłómacząc się, że w gorących dniach lutego »nie był w stanie prowadzić rachunku z każdej pozycyi, lecz tylko z oddzielnie w biurku leżącej kasy uskuteczniał najpilniejsze wypłaty«, wylicza te wydatki ryczałtowo w ten sposób, jak w tekście pamiętnika i kończy temi słowy: »Ponieważ zaasygnowane mi kwoty całkowicie użyte zostały, a nadto jeszcze i teraz żądane są małe nagrody, przeto upraszam wysokie prezydyum kraju, aby to sumaryczne przedstawienie zamiast formalnego wyrachowania, którego przedłożyć nie jestem w stanie, uznało za dostateczne i wydało kasie obwodowej ostateczne uznanie rachunków. Pochlebiam sobie bowiem, że wysokie prezydyum okaże mi w tej mierze zupełne zaufanie«.

* * *

Listy Benedeka i pamiętnik Breinla stanowią niewątpliwe a cenne wzbogacenie materyału do historyi r. 1846, dla której w ostatnich czasach obudził się żywszy interes z powodu pięćdziesiątej rocznicy rzezi. Wyrazem tego interesu było równoczesne pojawienie się trzech publikacyi historycznych: dr. K. Ostaszewskiego-Barańskiego [1]), St. Schnür-

---

[1]) *Dr. K. Ostaszewski-Barański:* »Krwawy rok«. — Opowiadanie historyczne. — Złoczów 1896.

Pepłowskiego [1]) i ks. St. Dembińskiego [2]). Pokazało się przytem, że daleko nam jeszcze do prawdziwie historycznego obrazu tej doby, objaśniającego na wyrazistem tle współczesnych stosunków i urządzeń wszystkie czynniki w grę wprowadzone, a przytem oświetlającego ciemne od początku aż do tej chwili granice winy i odpowiedzialności za wypadki, w których właściwie nie było walki, a więc ani zwycięzców, ani zwyciężonych, lecz tylko anarchia z przewagą najdzikszych, krwiożerczych instynktów tłumu, chwilowo z karbów prawa się wyłamującego. I w tych najświeższych bowiem publikacyach historycznych, niepozbawionych zresztą wielu nowych szczegółów, co przedewszystkiem powiedzieć można o książce ks. Stefana Dembińskiego, poprzedzonej szeregiem trafnych ogólnych uwag o ówczesnej biurokracyi austryackiej, o emisaryuszach, o szlachcie i t. p., przeważa ostatecznie kierunek pamiętnikowo-kronikarski, polegający na regestrowaniu jaskrawszych scen rzezi, z wielką, nieraz aż do udręczenia czytelnika posuniętą ścisłością w opisywaniu szczegółów barbarzyńskiego znęcania się zbrodniarzy nad ofiarami. Natomiast za mało uwagi zwrócono na ogólną charakterystykę sytuacyi i stosunków tak politycznych, jak społecznych i administracyjnych kraju i państwa, a w braku takiego oświetlenia szczegóły rzezi przedstawiają się czytelnikowi jako niewytłómaczone dzieło demonicznego obłędu i opętania, jakby huragan zbrodniczych instynktów i namiętności, podobny do cyklonu, który, nieprzewidywany i przewidzieć się nie dający, spada na całą okolicę z elementarną siłą niszczycielską. W takiem przedstawieniu wypadków r. 1846 nietylko zacierają się ścisłe granice odpowiedzialności i winy, lecz, co gorsza, katastrofa nie przedstawia się jako już zamknięty w sobie epizod historyczny, który wobec ustania przyczyn i zupełnej zmiany stosunków więcej powtórzyć się nie może, lecz jako nieszczęście, które, jak każde nieszczęście, spadło znienacka i w danym razie znowu jako dzieło fatalnej komplikacyi przypadków powtórzyć się może, jeżeli nie w takiej samej, to zmienionej formie, zawsze jednak z charakterem tragicznym.

---

[1]) *Stanisław Schnür-Pepłowski:* »Krwawa karta«. — Opowieść z przeszłości Galicyi. — Lwów 1896.

[2]) *Ks. Stefan Dembiński:* »Rok 1846«. — Kronika dworów szlacheckich, zebrana w 50-letnią rocznicę smutnych wypadków z lutego 1846. — Jasło 1896.

Zdawałoby się, że o r. 1846 sam materyał surowy jest już w komplecie nagromadzony i przygotowany dla przyszłego historyka. Tymczasem autor, zbierając przed dwoma laty z aktów urzędowych materyał do monografii o Agenorze hr. Gołuchowskim, przyczem z konieczności wypadło w niejednej sprawie cofnąć się do r. 1846, a tem samem niejako z brzegu rzucić okiem w otchłań archiwalną z tej doby, odniósł w poszukiwaniach swoich to przekonanie, że w chwili, gdy akta z r. 1846, administracyjne i sądowe, będą dostępne dla historyka, wyjdzie na jaw jeszcze mnóstwo szczegółów, zupełnie dotąd nieznanych a niezmiernie ciekawych.

Już tem, co piszącemu dostało się pod rękę mimochodem, dzięki szczęśliwemu przypadkowi przy wertowaniu aktów o pańszczyźnie, serwitutach, pożyczkach głodowych, organizacyi władz i t. d., można zachwiać powagę dzieła Sali, o którem wyżej była mowa. A jest to rzecz ważna dla dalszych badań historycznych z tego powodu, że Sala uchodzi za urzędowego historyka. Nie jest on wprawdzie w tej roli autoryzowany, ale wielką powagę jedna mu fakt, że najpierw był w r. 1846 prezydyalnym sekretarzem generał-gubernatora Galicyi, arcyksięcia Ferdynanda d'Este, a powtóre, pisząc dzieło swoje, mógł korzystać z niedostępnych aktów urzędowych. Toteż nawet w ostatnich polskich publikacych historycznych o r. 1846 dzieło Sali przytoczone jest jako źródło autentyczne.

Jeżeli mówimy o zachwianiu powagi dzieła Sali, jako o rzeczy pożądanej, to nie mamy na myśli ani kwestyonowania autentyczności źródeł urzędowych przez tego autora przytoczonych, ani rzucania cienia na jego staranność w wyzyskaniu tych źródeł. Ustalającą się, czy już nawet ustaloną powagę dzieła Sali nawet w polskich kołach historycznych uważamy z tego powodu za nieusprawiedliwioną i niepożądaną, że Sala oświetla jaskrawo — chociaż, jak już zaznaczyliśmy, bez wywodzeń i złośliwości innych pamflecistów niemieckich, owszem nawet z rzadkiem w niemieckich dziełach współczuciem dla nieszczęść społeczeństwa polskiego — jedną tylko stronę obrazu: niezmierną lekkomyślność wszystkich, którzy spiskowemi pracami swojemi przygotowali wielką katastrofę. Dalsza część obrazu, działalność sfer biurokratycznych, jest w dziele Sali tak traktowana, jak gdyby działalność ta nie przyczyniła się do wywołania katastrofy, lecz tylko brakiem jednolitości i zresztą niezręcznością w wyborze środków nie wpłynęła na zmniejszenie rozmiarów katastrofy tak, jak to było mo-

żliwem, a według przekonania autora, o którego szczerości nie wątpimy, nawet pożądanem. Z dzieła Sali czytelnik wynosi przekonanie, że społeczeństwo polskie w r. 1846 poniosło zbyt ciężką, a nawet straszliwą karę za niepoprawną lekkomyślność w swoich szalonych wysiłkach spiskowych i — mówiąc mniej więcej słowami autora, a w każdym razie w duchu zakończenia jego dzieła — powinno teraz, doczekawszy się w Austryi życia konstytucyjnego, z wszelką gwarancyą dla bytu i rozwoju narodowego, spuścić zasłonę na cały ten krwawy epizod dziejowy.

Ze stanowiska oportunizmu politycznego za takiem zamknięciem rachunków z r. 1846, nie dorównywającem nawet krakowskiemu targowi, bo zwalającem całą winę na jedną stronę, mógł się oświadczyć Sala, który, jako Niemiec i były radca gubernialny w Galicyi, wie o tem bardzo dobrze, że wyszłaby na tem doskonale druga strona, winna i odpowiedzialna za katastrofę historyczną, t. j. staro-austryacka biurokracya. Rzecz dziwna jednak, że i po polskiej stronie nie braknie głosów przychylnych takiemu oportunizmowi politycznemu, wskutek czego historya r. 1846 nie stała się dotąd tematem tak ponętnym, jak na to niewątpliwie zasługuje. Ta wstrzemięźliwość, albo raczej lękliwość w omawianiu tego tematu pochodzi głównie z obawy, żeby odświeżanie bolesnych wspomnień w pamięci dzisiejszego pokolenia polskiego w Galicyi nie rzuciło cienia na jej obecny stosunek do Austryi i na pracę społeczeństwa nad obywatelskiem podniesieniem ludu.

Obawa ta w pierwszej części swojej może być wytłómaczona chyba niedostatecznością wykształcenia politycznego. Komu bowiem znaną jest historya Austryi od r. 1846 do chwili obecnej, ten nietylko uznać to musi, że Austrya dzisiejsza jest zupełnie niepodobna do ówczesnej, że między ówczesną a dzisiejszą Austryą jest taki niemal przedział, jak między mrocznem średniowieczem a czasami dzisiejszymi lecz nadto jeszcze, co ważniejsza, że gdyby nawet Austrya przestała być państwem konstytucyjnem i wskutek nieobliczalnej zmienności losów popchnięta została znowu na zabójcze dla niej tory absolutyzmu, nowy ten system rządów musiałby być z natury rzeczy w formie swojej zupełnie odmiennym od tego, jaki istniał w r. 1846 i, co za tem idzie, odmiennym także w całem postępowaniu wobec zmienionych do gruntu stosunków społecznych i urządzeń publicznych. Demon biurokracyi, na którego rachunek idzie głównie przebieg rzezi

galicyjskiej z r. 1846, wypłynąłby może znowu z mętów takowej zmiany systemu, ale musiałby już zastosować się do zmienionej sytuacyi, w której, po zwietrzeniu całej struktury społeczno-administracyjnej państwa z r. 1846, nie miałby ani punktu oparcia, ani środków, potrzebnych do wznowienia dawnej metody postępowania.

Jeżeliby taki skrupuł, jak powyższy, miał racyę, to w Węgrzech powinnaby panować jeszcze większa lękliwość w traktowaniu krwawego epizodu historycznego z r. 1848. Rozegrał się on bowiem w pierwszych chwilach panowania tego samego monarchy, pod którego rządami dzisiejsze królestwo węgierskie wzniosło się na taką wyżynę siły politycznej, o jakiej nie myśleli pewnie inicyatorowie ruchu z r. 1848. A jednak Węgrzy nietylko nie lękają się żadnych rewelacyi do historyi r. 1848, lecz nawet tak dalece nie oglądają się na oportunizm polityczny, że usuwają pomniki, przypominające ich ówczesne klęski (np. pomnik generała Hentzego w Budapeszcie), a wznoszą pomniki bohaterom i męczennikom swoim z tej doby (np. Bemowi w Siedmiogrodzie i generałom powieszonym przez Haynaua w Aradzie). W ten sposób społeczeństwo węgierskie, górujące nad innemi swojem wykształceniem politycznem, rzuca najlepszą zasłonę na smutne wspomnienie czasów, kiedy demon biurokratyczno-militarny usiłował wykopać przepaść między narodem a dynastyą.

A względy na lud wiejski? Jakąkolwiek miałby kto opinię o czystości źródła, z którego w Galicyi silną falą wytrysnął dzisiejszy ruch ludowy i jakikolwiek horoskop stawiałby kto najbliższym wpływom tego ruchu na społeczny i polityczny ustrój społeczeństwa polskiego, w każdym razie nawet zdeklarowany pesymista nie odważyłby się zaprzeczyć, że jeżeli już nie przebijający z tego ruchu grunt świadomości obywatelskiej, to w każdym razie jego ogólny charakter kulturalny zabezpiecza raz na zawsze przed chwilową nawet recydywą takiego barbarzyństwa i zdziczenia, jakie wybuchło w r. 1846.

Ale dla prawdy historycznej, więc dla głównej dyrektywy i wyłącznego celu historyka, obojętne są skrupuły oportunistyczne w powyższym rodzaju. Zresztą cała i niezamaskowana takimi skrupułami prawda historyczna z r. 1846 przynieść musi korzyść, co najmniej jako wielkie, krwią wypisane ostrzeżenie dla wszystkich w grę wchodzących czynników, jeżeli tylko w przedstawieniu tak samego tła, jak i wypadków zostanie pochwycony i należycie uwydatniony główny rys charakterystyczny tej doby, t. j. anarchia i to anarchia we wszyst-

kich stosunkach politycznych, społecznych i administracyjnych, anarchia w całym ówczesnym ustroju państwowym Austryi i w funkcyach wszystkich organów od góry do dołu.

W dziełach historycznych o Austryi przedkonstytucyjnej nazwa anarchii datuje się dopiero po zawierusze z r. 1848. Była to niewątpliwie najburzliwsza, ale nie pierwsza faza anarchii, faza już jej zdeklarowanego zwycięstwa nad starym ustrojem społeczno-administracyjnym państwa bez równoczesnego ujęcia ruchu w karby nowych urządzeń prawnych. Ale tę zapalną fazę anarchii poprzedziło stadyum ukrytej czy zamaskowanej anarchii. Jeżeli bowiem anarchii nie weźmiemy w znaczeniu przewrotu rewolucyjnego, lecz za kryteryum uważać będziemy rozstrój w urządzeniach prawnych i działaniu organów publicznych, rozluźnienie karbów prawnych, krótko mówiąc — faktyczną stagnacyę w funkcyach aparatu prawnego, to anarchia taka panowała w Austryi już na lata całe przed r. 1848. Społeczeństwo polskie w Galicyi najpierw i najboleśniej ją uczuło w r. 1846.

Dodatek do rozdziału IX.

(Pamiętnik Breinla, na który powoływał się ś. p. autor, pisząc powyższą rozprawę, został w rok później ogłoszony przez prof. Losertha. Ob. *Loserth:* Zur vormärzlichen Polenpolitik. Preussische Jahrbücher, t. 112, 1903. Po ukazaniu się pamiętnika Breinla z przedmową prof. Losertha, umieścił ś. p. autor w »Kwartalniku historycznym« recenzyę, którą poniżej przytaczamy. *Przypisek wydawcy).*

Geneza artykułu prof. J. Losertha jest ciekawa a zarazem i charakterystyczna dla rzeczy samej. Przed czteru laty autor znalazł przypadkowo w styryjskiem archiwum krajowem w Gracu pamiętnik osławionego starosty tarnowskiego z r. 1846, Józefa Breinla v. Wallerstern. Przekonany o autentyczności pamiętnika — o której stwierdzeniu w artykule nie wspomniano, którą jednak z treści na pewne przypuścić można — ofiarował go prof. Loserth cesarskiej Akademii Umiejętności w Wiedniu do umieszczenia w jej peryodycznych publikacyach historycznych. Wydział historyczny Akademii po dłuższej zwłoce zwrócił prof. J. Loserthowi rękopis z odpowiedzią, że — o czem dowiedziałem się z uprzejmego listu autora do mnie pisanego — rzecz ta jest nadto obszerna i dopiero w odpowiedniem skróceniu nadawałaby się do przyjęcia w poczet publikacyi Akademii. Stosując się do tej uwagi, prof. Loserth

skrócił pamiętnik, streszczając ogólne historyozoficzne wywody Breinla, w całości zaś przytoczył tylko ustęp tyczący się rzezi tarnowskiej z tem wszystkiem, co ją bezpośrednio poprzedziło i co po niej bezpośrednio nastąpiło. Akademia wiedeńska z tym skróconym pamiętnikiem Breinlowskim postąpiła tak samo jak z oryginałem, t. j. zaniechała druku, ale już bez usprawiedliwienia decyzyi swojej i bez dalszej inwitacyi do przerabiania rękopisu.

Sam fakt znalezienia pamiętnika Breinlowskiego doszedł do mojej wiadomości z biuletynów historycznego wydziału Akademii wiedeńskiej właśnie w czasie, gdy zamierzałem opracować materyał archiwalny o r. 1846, który przypadkowo tylko dostał się do rąk moich przy wertowaniu aktów Namiestnictwa lwowskiego, potrzebnych do monografii o Agenorze hr. Gołuchowskim. Rzecz naturalna, że wiele zależeć mi musiało na poznaniu pamiętnika Breinlowskiego przed rozpoczęciem zamierzonej pracy. Gdy moje starania w tej mierze poczynione nie osiągnęły pożądanego skutku w samej dyrekcyi styryjskiego archiwum krajowego, zwróciłem się listownie do prof. Losertha i dzięki jego uprzejmości otrzymałem do zamierzonego użytku pamiętnik Breinla, ale nie w całości, lecz w owem późniejszem dla wiedeńskiej Akademii dokonanem, a obecnie via Berlin do powszechnej wiadomości podanem skróceniu.

W pamiętniku Breinla znalazłem tylko wykrętne, motywami patryotycznymi i przesadnem skreśleniem grozy całej sytuacyi w Tarnowie w r. 1846 upozorowane upiększenie potwornej roli, jaką on wtedy odegrał. Na krwawe premie położył Breinl nacisk — podkreślając nawet ten wyraz — w swojej pamiętnikowej obronie, a właśnie ten ustęp utwierdził mię w przekonaniu, że cała obrona jest tylko obliczoną na nieświadomych krętactwa biurokratycznego czytelników próbą odparcia ciężkich oskarżeń, które w swoim czasie głośnem echem odbiły się po całej Europie i nie spotkały się z kategorycznem urzędowem zaprzeczeniem, a od tego czasu wzmocnione zostały ogłoszonemi wspomnieniami i zapiskami współczesnych świadków katastrofy z r. 1846.

Dla obrony Breinla, nazywającego w pamiętniku swoim owe premie z uroczystem oburzeniem polskiem oszczerstwem, było to dogodnem, że w pierwotnych a nawet i w późniejszych oskarżeniach z polskiej strony mówiono i pisano zawsze o »premiach« z pozytywnie określonemi kwotami za zabitych i rannych. Wskutek tego Breinl w swojej biurokratycznej rabulistyce znalazł punkt oparcia i mógł nazwać »premie« — oczywiście w biurokratycznem tego słowa znaczeniu — oszczerczym wymysłem dotkniętych przezeń buntowników. Nie było bowiem rzeczywiście »premii« w tem znaczeniu, jakie temu wyrazowi ówczesne rozporządzenia gubernialne o »premiach« za tępienie wilków, dzików, za chwytanie zbiegów wojskowych i t. p. nadawały, nie było tedy nagród, urzędowem pismem cyrkularnem według pewnej taryfy z góry ustanowionych za powstańców żywcem pojmanych lub rannych, ewentualnie zabitych. Ale że pieniądze w grę wchodziły, że niemi rozbudzano i podsycano, a następnie i zaspokajać musiano dzikie instynkty czerni pod formą wrzekomych należności za podwody, za stratę czasu, za żywność i t. p., to pewna, to stwierdza także pamiętnik Breinla, jeżeli się rdzeń jego wyłu-

szczy ze skorupy frazeologii biurokratyczno-rabulistycznej. Nie poprzestając jednak na samej negacyi, Breinl w pamiętniku swoim chciał dowieść za wiele i przytem sam zapędził się w matnię. W osobnym ustępie bowiem starał się wykazać do krajcara, ile pieniędzy miał w krytycznej chwili do dyspozycyi i ile wydał na cele pozorami legalności osłonięte, z czego miałoby wypływać, że na wynagrodzenie czerni rabacyjnej za wszystkich zabitych i rannych nie miał w ogóle kwoty potrzebnej. Z zapisków tajnego protokołu gubernium galicyjskiego z r. 1846 wykazałem, że Breinl posiadał w kwotach asygnowanych mu i samodzielnie pobranych na tajne wydatki oraz w innych funduszach, z których czerpać mógł w danym razie, aż nadto wiele pieniędzy, aby suto opłacać się swoim siermiężnym sprzymierzeńcom w rzezi. Po bliższe szczegóły w tej mierze odesłać muszę czytelnika do moich szkiców o r. 1846, z których pierwszy znany był prof. J. Loserthowi, jak to wynika z jego zgryźliwej wzmianki mimochodem rzuconej.

Z godną lepszej sprawy wytrwałością lata całe starał się prof. J. Loserth koniecznie drukiem ogłosić pamiętnik Breinla bodaj w skróconym dla wiedeńskiej Akademii tekscie. Że nie szukał, lub szukał ale nie znalazł dla tej pracy pomieszczenia w jakiem austryackiem czasopiśmie, to łatwo zrozumieć. Czasopismo austryackie dziś pewnie zawahałoby się, — chociażby dla zasady *quieta non movere* — odświeżać krwawą pamięć Breinla w roli bohaterskiego patryoty austryackiego, jaką on w pamiętniku swoim przybrał. Dla takiej rzeczy łatwiej znaleźć miejsce w Berlinie, gdzie próba rehabilitacyi Breinla nie stanowi tematu drażliwego nawet dla znanego ze spokojnego traktowania spraw polskich wydawcy *Preussische Jahrbücher*, prof. Delbrücka. Zresztą prof. J. Loserth zaopatrzył skrócony pamiętnik Breinla tytułem niewinnym, nie zdradzającym nawet takiej próby rehabilitacyjnej.

Za to treść przedmowy prof. Losertha wywołuje co najmniej niemiłe zdziwienie. Przypuszczać należało, że w przedmowie tej prof. Loserth spełni przedewszystkiem obowiązek wydawcy nieznanego dotąd a bądź co bądź ciekawego rękopisu, podając o nim bliższe szczegóły i wyjaśniając jego zagadkowe ukrywanie w styryjskiem archiwum krajowem od chwili napisania (rok 1847), więc przez lat kilkadziesiąt, pomimo wielkiej aktualności, jaką właśnie w chwili napisania niewątpliwie posiadał nietylko dla tych, którym specyalnie zależało na zasłonięciu Breinla przed oburzeniem całego świata współczesnego, lecz także dla tych, którzy bardzo zresztą obojętni na pamięć Breinla, jak Maurycy br. Sala i Maurycy Ostrow (Drdacki), w pracach swoich, w interesie rządu austryackiego podejmowanych, chcieli krytycznie ze swojego stanowiska objąć całość wypadków galicyjskich z r. 1846. Obok tej zagadki wymagałaby omówienia w przedmowie także kwestya, dlaczego Akademia wiedeńska okazała się tak obojętną, nawet wprost niechętną dla pamiętnika, w którym główny bohater rzezi z r. 1846 broni siebie w roli przedstawiciela ówczesnego systemu rządowego. Gdyby prof. Loserth zajął się był tą kwestyą, zapewne nie mógłby był wysnuć innego wniosku, jak tylko ten, że Akademia cesarska nie uważa tego za stosowne, aby jej firma świeciła na takiej publikacyi. Zastanawiając się nad tem, dlaczego tak się rzecz ma, byłby może

wydawca znalazł związek między tą niechęcią a faktem, że wydane w r. 1846 najwyższe postanowienie, według którego miało być ogłoszone urzędowe przedstawienie wypadków galicyjskich z r. 1846, poszło zupełnie w zapomnienie. Czyż fakt ten w połączeniu z formalnem zapadnięciem się Breinla i Kriega w otchłań odstawki biurokratycznej zaraz po tych wypadkach nie naprowadza na domysł, że w Wiedniu po rzezi z przerażeniem poznano, jakie orgie pod osłoną panującego systemu wyprawiali wtedy na własną rękę działacze *à la* Breinl?

Jeżeliby prof. Loserth mimo to wszystko uznał był za stosowne wydać pamiętnik Breinla, to w takim razie przedmowa jego musiałaby była przybrać charakter historyczno-krytycznej rewizyi całej sprawy r. 1846, rewizyi opartej na przestudyowaniu całego materyału, a nie jedynie współczesnych broszur, jak to się stało w dzisiejszej przedmowie autora. Wtedy dopiero próba rehabilitacyi, czy instancya za historyczną amnestyą dla Breinla, mogłaby liczyć na to, że się z nią na seryo rozprawiać będzie krytyka historyczna.

Tymczasem prof. Loserth w przedmowie swojej postąpił sobie — żeby rzecz scharakteryzować krótko a węzłowato — po dziennikarsku! Gdybyż przynajmniej to dziennikarskie traktowanie rzeczy odbyło się z uprzywilejowaną w prasie niepretensyonalną powierzchownością, bez uprzedzenia i bez tendencyi z góry powziętej. Ale prof. Loserth połączył z dziennikarską pobieżnością w traktowaniu źródeł i z tendencyą do formalnej gloryfikacyi Breinla także pretensyę do ferowania historycznego wyroku o przeciwnikach Breinla. A wyrok ten brzmi apodyktycznie i surowo. Bajkami krwawemi *(Blutmärchen)* i siecią kłamstw *(Lügengewebe)* nazwał prof. Loserth wszystko, co mówiono, pisano o pieniężnem wynagrodzeniu czerni tarnowskiej przez Breinla, a postać jego wysunął w blasku aureoli męczeńskiej. Breinl jest w przedstawieniu prof. Losertha godną współczucia ofiarą oszczerstw rewolucyjnych i niewdzięczności rządu!

Mimochodem, niemal lekceważąco, wspomniał przytem prof. Loserth o moim szkicu *Dwa upiory historyczne (generał Benedek i starosta Breinl)*, jako o najświeższej próbie podtrzymywania krwawych bajek. Rzecz dziwna jednak, że pomimo tego prof. Loserth uznał za stosowne wyrzucić z pierwotnego rękopisu swojego właśnie ten ustęp pamiętnika, w którym Breinl usiłuje z biurokratyczno-rabulistyczną ścisłością wykazać cyfrowo, że nie posiadał w krytycznej chwili funduszów, dostatecznych na wypłacenie siepaczom tarnowskim takich nagród, o jakie go opinia powszechna obwiniała. A przecież na ten ustęp sam Breinl położył nacisk, jako wrzekomo klasyczny dowód swojej niewinności, a przecież w inkryminowanym przez prof. Losertha szkicu moim na tym właśnie ustępie pamiętnika Breinlowskiego w zestawieniu z urzędowemi datami głównie oparłem moją argumentacyę!

W formalnej gloryfikacyi Breinla, na co nie odważył się ani M. br. Sala ani M. Ostrow, chociaż obaj ci autorowie w koleżeńskiej wyrozumiałości dla Breinla posunęli się do granic możliwości, znalazł się prof. Loserth w najbliższem sąsiedztwie z Sacher-Masochem, o którym nie wie, że jest

identyczny z osobno na świadectwo powoływanym autorem bezimiennie wydanego dzieła *Polnische Revolutionen*. Sprzymierzywszy się z Sacher-Masochem, połączył prof. Loserth tak samo, jak jego historyczny sprzymierzeniec, obronę Breinla z gloryfikacyą zdeklarowanego opryszka — Jakóba Szeli! A jako tytuł do tej gloryfikacyi wystarcza prof. Loserthowi już sam obrazek belletrystyczny Maryi Ebner-Eschenbach, która tej »osobistości(!) wzniosła trwały pomnik«.

Odzywając się w ten sposób o Szeli, prof. Loserth już stanowczo zdegradował swoją pracę na tendencyjny produkt dziennikarski. Przecież sam br. Sala mówi o Szeli z odrazą, słabo tłumioną względami na główne założenie dzieła, a powoływany przez prof. Losertha obok br. Sali na świadectwo M. Ostrow nazywa Szelę wprost »potwornym pokraką« *(eine spuckhafte Missgestalt — Der Bauernkrieg vom Jahre 1846*, str. 63), mającym na swojem sumieniu »morderstwo lub zabójstwo przeszło 40 osób«. Ale prof. Loserth, znający dobrze dzieła Sali i Ostrowa, przeniósł nad ich klasyczne, niejako urzędowe świadectwo — fantazyę »naszej — jak się sam wyraża — wielkiej poetki Maryi Ebner-Eschenbach«. Iluż innych łotrów i zbrodniarzy historycznych należałoby wynieść na piedestał bohaterstwa, jeżeliby za sprawą fantazyi poetów i poetek historya miała prostować swoje wyroki! Byłoby to curiosum naukowe. Takie curiosum pojawiło się w ostatnich czasach we Włoszech, gdzie dr. Bruto Amante wydał dzieło, przedstawiające słynnego na cały świat opryszka Frà-Diavolo (Michele Pezza) jako bohaterskiego rojalistę w walce z najazdem francuskim.

Prof. Loserth wspomniał zaledwie w kilku słowach o moim powyżej przytoczonym szkicu, dodając, że powinien się z nim rozprawić historyk Benedeka (dr. Henryk Friedjung), przyczem i pamiętnik Breinla oddałby mu wielką usługę. Historyk Benedeka znajdzie w tym szkicu moim szczegóły o »bitwie« pod Gdowem, oparte na raporcie urzędowym samego zwycięskiego bohatera tej rzezi, więc pretensyę mógłby mieć chyba o to, że tej »bitwy« nie wyniosłem tak wysoko, jak sam Benedek, który w swoim czasie dąsał się na ministra wojny za to, iż mu już wtedy nie przyznano orderu Maryi Teresy. Jeżeli zaś historyk Benedeka miałby pójść za radą prof. Losertha i podjąć się prawdziwie historycznej rehabilitacyi Breinla, to powinien przedewszystkiem rozpatrzeć się w wiedeńskich materyałach archiwalnych, mianowicie najpierw w aktach kryminalnych Szeli i tych wszystkich siepaczy siermiężnych, których zbrodnie w r. 1848 tak skwapliwie naciągnięto i podciągnięto pod amnestyę dla przestępców politycznych, a potem w memoryałach Ferdynanda Hoscha, który, chociaż Niemiec z rodu i gorący patryota austryacki, w lutym r. 1846 zaledwie ocalał wśród rabacyi ucieczką z Grybowa do Bardyowa na Węgrzech, skąd pospieszył do Wiednia i w obszernych memoryałach przedstawił nie tylko ministerstwu, lecz także wszechwładnemu wówczas arcyksięciu Ludwikowi grozę zbrodni tarnowskich, obwiniając Breinla o sojusz z mordercami. Hoscha uważano wskutek tego w Wiedniu za szaleńca, a arcyksiążę Ludwik wprost niełaskawie wysłuchał jego rewelacyi, żądając dowodów. Hosch wskutek tego przedłożył drugi memoryał z po-

wtórzeniem ciężkich zarzutów przeciw Breinlowi i z allegatami, zawierającymi dowody. W Zakładzie Ossolińskich znajdują się odpisy tych memoryałów, autoryzowane przez samego Hoscha [1]), ale niestety bez odpisu allegatów. Gdyby prof. Loserthowi znane były te memoryały, może nie byłby się tak spieszył z ogłoszeniem pamiętnika Breinlowskiego, a już z pewnością nie byłby tego pamiętnika zaopatrywał przedmową gloryfikacyjną dla Breinla, napisaną, jak powiedzieliśmy, po dziennikarsku.

---

[1]) Rękp. Nr. 1483. — Por. rozdz. X.

X.

Głos niemiecki z roku i o roku 1846.

W prywatnych i publicznych zbiorach znajduje się niezawodnie materyał rękopiśmienny do historyi Galicyi w pamiętnym roku 1846, dotąd zupełnie nie wydobyty, lub w ostatnich, w pięćdziesiątą rocznicę wypadków wydanych publikacyach historycznych o tyle tylko wyzyskany, o ile w nim zawierały się nowe szczegóły lub uzupełnienia co do poszczególnych tragicznych epizodów ówczesnego ruchu. Wszystko, coby jeszcze posłużyć mogło do dalszego wypełnienia tych krwawych obrazów nowymi rysami i szczegółami, posiada niewątpliwie wartość historyczną i powinnoby być wydobyte ze zbiorów rękopiśmiennych. Ważniejszem jednak od tego tak bolesnego odświeżania krwawych szczegółów jest wyzyskanie materyału, który wprawdzie nie wzbogaca obrazu samej rzezi, ale za to rzuca światło na najciemniejszą stronę jej historyi, t. j. na rolę, jaką odegrały główne czynniki na widownię wprowadzone i na motywa, jakimi się one kierowały. Cała prawda w tej mierze o pełnem oświetleniu historycznem znana będzie dopiero pokoleniu, które doczeka się historyi r. 1846, napisanej na podstawie materyału, leżącego w niedostępnych jeszcze dotąd dla naukowych poszukiwań tajnych archiwach rządowych z tej doby. Ale i pod tym względem poszukiwania w dostępnych dla każdego zbiorach mogą doprowadzić do bardzo cennych rezultatów.

Materyałem historycznym w powyżej wskazanym rodzaju, materyałem wielce ciekawym i cennym jest rękopis Biblioteki Ossoliń-

skich Nr. 1.483, zawierający w wiernych, przez samego ich autora skolacyonowanych odpisach trzy memoryały, opracowane dla najwyższych sfer rządowych w Wiedniu. Autorem tych memoryałów jest Ferdynand Hosch, którego szematyzm urzędowy z r. 1846 wymienia jako właściciela dóbr dominikalnych w Grybowie i Wojnarowej, a zarazem poczmistrza w Grybowie. Mamy tedy o r. 1846 głos Niemca, który patrzał zbliska na wypadki lutowe i sam poniekąd padł ich ofiarą. Hosch akcentuje na każdym kroku swoją niemiecką narodowość, gorący patryotyzm austryacki i posunięte niemal do ekstazy poczucie dynastyczne, a ponieważ pisał memoryały swoje, jak już wspomnieliśmy, dla najwyższych sfer ówczesnego rządu centralnego, więc musiał być ostrożny i wstrzemięźliwy w swoich domysłach, obwinieniach i podejrzeniach, kompromitujących biurokracyę galicyjską. Ale Hosch był przytem człowiekiem prawym, sprawiedliwym i szczerym, więc memoryały jego są zupełnie niepodobne do tego, co pisali o r. 1846 galicyjscy biurokraci-pamfleciści *à la* Sacher-Masoch.

Poniżej podajemy te memoryały po części w dosłownym przekładzie, a po części w dokładnem streszczeniu z uwagami, które się nam wydały niezbędnemi dla objaśnienia.

I.

Pierwszy memoryał Hoscha, który poniżej w całości przytaczamy, zawiera, jak wskazuje sam napis («Przedstawienie stosunków galicyjskich w r. 1846«), ogólne uwagi. Według zapisku Hoscha, na przechowanej kopii umieszczonego, memoryał został napisany »na usilne wezwanie«, otrzymane od jednego z radców dworu (niewymienionego) najwyższej władzy policyjnej w Wiedniu i wysłany w czterech egzemplarzach równobrzmiących do ministra stanu i konferencyjnego Franciszka hr. Kolowrata, do gabinetu arcyksięcia Ludwika, który wówczas obok kanclerza ks. Metternicha najwybitniejszą odgrywał rolę, do ministra policyi hr. Sedlnitzkyego, wreszcie do pierwszego kanclerza (naczelnika ówczesnej kancelaryi nadwornej) hr. Inzaghiego. Fakt, że Hosch pisał memoryał swój na »usilne wezwanie« z Wiednia otrzymane i to dopiero w kwietniu 1846, naprowadza na domysł, że już owo wezwanie było oznaką zwrotu, jaki zaszedł w drugiej połowie marca 1846 r. w opinii najwyższych sfer wiedeń-

skich o właściwym charakterze wypadków tarnowskich, o ich głównych bohaterach i o roli odegranej przez biurokracyę. Relacye starosty tarnowskiego Breinla, w których on przedstawiał przedewszystkiem siebie samego jako filar rządu, podkopanego do głębi przez wybuch powstańczy, potem rozjuszone bandy chłopskie jako rzesze patryotyczne, idące w ogień za Austryę przeciw buntowniczej szlachcie, tej wrzekomo nieprzebłaganej dręczycielce ludu, wreszcie Jakóba Szelę jako opatrznościowego sternika tych rzesz, poskramiającego w miarę możności dzikie wybuchy namiętności — te relacye już z końcem lutego straciły kredyt w oczach generał-gubernatora arcyksięcia Ferdynanda, który z bolesnem przerażeniem spostrzegł, jak ten smutnej pamięci starosta zawiódł jego zaufanie w całej akcyi przeciw przewidywanemu ruchowi i sprowadził nieszczęście nietylko na kraj, lecz i na państwo.

W Wiedniu jednak, dokąd Breinl wysyłał bezpośrednio podobne relacye do kancelaryi nadwornej, kredyt ich trwał cokolwiek dłużej, a w ówczesnym stanie komunikacyi mógł niestety trwać tak długo, że do chwili ocknienia się dzikie bandy tarnowskie miały aż nadto wiele czasu, aby spełnić wszystkie swoje piekielne zamiary.

Chociaż, jak wspomnieliśmy, samo wezwanie Hoscha do napisania memoryału świadczyło już o pewnym zwrocie w poglądach najwyższych sfer wiedeńskich na wypadki galicyjskie, to jednak memoryał ten musiał tam w pierwszej chwili wywołać osłupienie, albo podejrzenie, że Hosch sam padł ofiarą mistyfikacyi i w dobrej wierze podsuwa ją rządowi centralnemu. W tym memoryale bowiem Hosch przedstawił stosunki galicyjskie śmiało w sposób dyametralnie sprzeczny z relacyami Breinla i podobnych jemu biurokratów, a zarazem w sposób potępiający biurokracyę galicyjską tak, jak to wówczas czytać można było chyba w polskich publikacyach, za granicą ogłaszanych, ale do Austryi przez cenzurę nie dopuszczanych.

Nie będziemy bliżej objaśniać tej uwagi przytaczaniem albo podkreślaniem poszczególnych ustępów memoryału, bo jest on pisany nie w sposób — że tak powiemy — biurokratyczno-dyplomatyczny, pozostawiający zbyt wiele domyślności czytelnika pomiędzy wierszami, lecz w tonie takim, w jakim zwykł przemawiać człowiek prawy i szczery, a do głębi dotknięty widokiem bezprawia i przytem nie umiejący ostrego sądu swojego obwijać w bawełnę frazesową.

To tylko nadmienić musimy, że ustęp powołujący się na list

barona Scholtena, którego urzędowy szematyzm z r. 1846 wymienia jako właściciela dóbr Cieklina w obwodzie Jasielskim, jest niejasny i w braku bliższych wskazówek o treści tego listu nie może być objaśniony. Z tego jednak, co sam Hosch mówi o zachowaniu się pułkownika br. Moltkego i rotmistrza hr. Thurna wśród katastrofy r. 1846 oraz z całej rozmowy z generałem Bechtoldem wypływa w każdym razie, że autor memoryału nie uważał postępowania sfer wojskowych za odpowiednie grozie całej sytuacyi.

A teraz oddajmy głos samemu Hoschowi. Oto jego memoryał w dosłownym przekładzie:

»Dla mnie, Niemca w najściślejszem tego słowa znaczeniu, obcego wszelkim robotom demagogicznym, pamiętającego tylko o obowiązkach domowych, nie idącego za wskazówkami spekulacyi teoretycznej, lecz zapatrywania praktycznego, trudnem jest w każdym razie zadanie, które sobie jako najwyższy obowiązek wytknąłem. Kto niema czystych intencyi, ten mógłby zadanie to nawet niebezpiecznem nazwać. Ze mną rzecz ma się inaczej. Pozostawiłem żonę i dzieci w ich schronisku, aby uczynić zadość poczuciu obowiązku. Do głębi przejęty niemieckiem poczuciem prawa, którem nikt więcej nie jest przejęty i którego nikt lepiej cenić nie umie, aniżeli mój wysoki, drogi dom monarszy, nie liczę się z żadnem niebezpieczeństwem, a natomiast oczekuję uznania mojej dobrej woli, mojej otwartej uczciwej dążności.

»Spuścizna, którą ś. p. cesarz Franciszek swojemu ludowi pozostawił, jego miłość, nie jest czczą rzeczą. Ta miłość żyje jeszcze w jego ustawach, powinna nas w jedności utrzymać, jego pamięć ożywiać i w ten sposób dalsze pokolenia uszczęśliwiać. Ustawy te, które mogły najrozmaitszym ludom błogosławieństwo przynieść, w ostatnich czasach miały nawet służyć za wzory dla innych państw, jak n. p. teraz dla Saksonii, ustawy te, w których obrębie reszta ludów wielkiego związku państwowego dojrzewa, czyż miałyby być niewystarczające do ustalenia i utrzymania także szczęścia i dobrobytu Galicyi?

»Skąd więc pochodzi upadek, skąd pochodzą obecne, w całym toku historyi austryackiej niesłychane stosunki w wielkiej części tego nieszczęśliwego a przecież przez naturę tak wysoko uposażonego kraju? Przyczyna jego nieszczęścia i dalszej niemocy po krótkiem podźwignięciu się leży nie w ustawach, lecz w długo żywionej i gorliwie

podtrzymywanej nienawiści narodowej i w anarchii, która w ostatnich, nad wyraz smutnych wydarzeniach dosięgła najwyższego stopnia.

»Nie do mnie należy rozpoznanie i wskazanie sprężyn takich stosunków, nie w moich rękach zbiegają się nici misternej tkaniny wyższej administracyi. To tylko, co spokojna i nieuprzedzona obserwacya w ciągu 19-letnich doświadczeń wskazuje mi przy pomocy niezamąconego poczucia prawa i co stało się mojem najgłębszem przekonaniem, muszę i chcę tutaj wypowiedzieć, a zarazem przedłożyć do łaskawego zbadania najwyższej sferze, która przejęta tem samem uczuciem bez uprzedzeń pragnie i umie wszystko sprowadzić na drogę szczęścia i dobrobytu.

»W ciągu 19 lat na mojem stanowisku jako obywatel ziemski poznałem dokładnie i oceniłem tak szlachtę i lud, jak niemniej reprezentantów mojego rządu, do których nadto przyciągały mię wspólna narodowość i moje studya prawnicze. Mniej niż inne stany znane mi było duchowieństwo.

»Z rezultatu wydarzeń z ostatnich czasów obecny stan Galicyi przedstawia mi się jako pierwsze wielkie zwycięstwo komunizmu, za którem w najbliższej przyszłości nastąpić muszą dalsze zwycięstwa, jeżeliby mój drogi rząd w najwyższej sferze, tak samo jak przedtem rząd prowincyonalny, relacyami w błąd wprowadzony, uważać miał obecny stan Galicyi jako stan spokoju. Reprezentanci rządu prowincyonalnego zostali wraz z lepszą częścią szlachty chytrością komunizmu w błąd wprowadzeni (albo mówiąc po austryacku — okpieni), uwieńczyli i uzupełnili to zwycięstwo komunizmu, a nawet starannie przygotowali pole dla jego przyszłych zwycięstw i wprowadzili mój drogi ojcowski rząd w nieobliczalne kolizye.

»Dotąd chłop działał jako ślepe narzędzie. Nie natrafiwszy na opór w swoich rabunkowych i rozbójniczych wyprawach, przyszedł on do świadomości swojej siły zbiorowej i przeceniać będzie tę siłę. Urzędowe uznanie zasługi, położonej rabunkiem i mordem, pieniężna nagroda a już co najmniej pieniężne odszkodowanie za trudy i koszta, jak n. p. już całkowicie lub w części strwoniona wartość zrabowanych przedmiotów, które lepsi po części zwracają, nigdy nie zaspokoją wymagań chłopa, jeżeli imponujące i energiczne rozwinięcie siły ze strony rządu, powaga i surowość władz rządowych (jednakże bez srogości) nie zdołają wprowadzić go w jak najkrótszym czasie w karby prawa i obowiązku. Bez tej poważnej surowości przypisywałby chłop

rządowi nie pobłażliwość, lecz słabość, tak samo, jak w dopuszczeniu do popełnionych przezeń okrucieństw upatrywał ich uznanie ze strony rządu, mówiąc w swojem zaślepieniu: Cesarz tak każe!

»W tych nielicznych słowach wypowiedziałem moje zapatrywanie. Uczyniłem to nie jak zwyczajny czytelnik gazet, który opinię powziął z ich szpalt lub ze słychu i dalej ją szerzy. Moje zdanie, powzięte z trwogą i wypowiedziane w pierwszej chwili niebezpieczeństwa, t. j. dnia 21 lutego, wzmocniło się i zmieniło w niezłomne przekonanie podczas ostatniego 12-dniowego pobytu w moich dobrach Grybowskich, w obrębie nieszczęśliwego, najżywszego ruchu.

»Moje przekonanie nie jest niestety powszechne, ani nawet przez mój rząd prowincyonalny podzielane. Nie mogę też tego przekonania na dowodach oprzeć. Nigdy nie zajmowałem się politycznemi spekulacyami, polegając z pełną ufnością na opiece rządu, nigdy nie obracałem się w towarzystwie demagogicznem, ani nie przyłączałem się do jego zabiegów. Szukałem owszem towarzystwa w przodujących kołach każdej klasy i znalazłem je wszędzie. Tylko w jednym stanie daremnie szukałem towarzystwa, t. j. wśród galicyjskiego duchowieństwa katolickiego.

»Gdzie niema bezpośrednich dowodów, tam słusznie wymagać można uzasadnienia przez obserwacyę i doświadczenia oraz wysnucia stąd słusznych wniosków.

»Zasady komunizmu i socyalizmu, wyrażone w proklamacyach do prostego ludu, do żołnierzy a wreszcie do klas wykształconych, (które to proklamacye pokazał mi dopiero mój przyjaciel major Fejérváry podczas mojego ostatniego pobytu w Nowym Sączu dnia 21 marca, a których, chociaż o ich istnieniu przedtem wcale nie wiedziałem, wrzekomo przeszło 100 egzemplarzy znaleziono u skompromitowanych) — wykluczają przypuszczenie, jakoby pochodziły od szlachty lub od arystokracyi w ogóle. Wszystkie te proklamacye (3) jednak zapewniają tych, do których są zwrócone, o przystąpieniu szlachty do wspólnego celu. Czyż można ten cel, a jeszcze więcej wskazane tam zdrożne środki uważać za doktrynę światłej i posiadającej szlachty? Niepodobna! Czyż szlachta galicyjska nie ma tak samo, jak każdy człowiek wykształcony, prawa do tego, aby uznano jej zdrowy rozum, czy nie ma ona tak samo, jak każdy posiadacz majątku i uprawnień, pretensyi do uznania swojego posiadania i do utrzymania się w posiadaniu? Tak jest niezawodnie.

»Jedno tylko uczuwa szlachta galicyjska więcej i ciężej, aniżeli szlachta innych prowincyi, t. j. nieustannie podsycane uprzedzenie, zazdrość i nienawiść ze strony poszczególnych urzędników.

»Nie ujmuję się za szlachtą, do której sam nie należę, ale mam na uwadze prawo i wiem, że co dla jednego jest prawem, to dla drugiego jest słusznem. Jeżeli głos zabieram, to czynię to z najgłębszem przekonaniem, że prawdę mówię. Nie znam kłamstwa, ani oszczerstwa, ani pochlebstwa, zwłaszcza w tej chwili, gdy dostąpiłem tego szczęścia, że zwrócić się mogę do najbliższego otoczenia, do podpory tronu mojej drogiej ojczyzny, do podpory ustaw, prawa i porządku społecznego.

»Było to i pozostanie urojeniem, doktryną szkół niemieckich, że szlachta polska żyje głównie ze zdzierstwa poddanych, że ich uciska i gnębi, aby dla swoich wykwintnych potrzeb wydusić środki potrzebne. To urojenie nabrało w niemieckim narodzie przysłowiowej pewności i ciągle jest podtrzymywane. Sam nawet, wychowany w niemieckich zakładach szkolnych, przyswoiłem sobie to urojenie i uważałem je za fakt tak samo, jak Niemcy po największej części jeszcze niedawno Galicyę i w ogóle Polskę błędnie uważali za niezmierzony obszar moczarów, lasów i bagien, na którym wilki i niedźwiedzie całemi stadami się snują i drogi niebezpiecznemi czynią.

»Dziś jeszcze niejeden niemiecki urzędnik rozpoczyna praktykę w Galicyi z tem urojeniem i znajduje je zazwyczaj zakorzenionem w największej części personalu rozmaitych urzędów. Urojenie takie zmienia się w przesąd, którego wyplenić nie można, a przesąd ten znowu staje się dyrektywą dla wszystkich urzędowych rozpraw i zarządzeń. Przesąd ten staje się nawet zabarwieniem, ogólnem tłem dla relacyi i opinii, wskutek czego najwyższe władze, nie mając tak potrzebnego dla ścisłości bezstronnego przedstawienia, często muszą być w błąd wprowadzane. Przesąd ten wreszcie wytworzył wzajemną nieufność między czynnikami w grę wchodzącymi, podsyca i ożywia zazdrość i nienawiść.

»Rzecz naturalna, że wskutek takiego przesądu wrodzone każdemu Niemcowi, a tutaj w błąd wprowadzone poczucie prawa wzburzone zostaje przeciw powyższemu, faktycznie nieistniejącemu postępowaniu szlachty galicyjskiej, a każdy urzędnik niemiecki, podzielający ten przesąd, uważa za swój obowiązek występowanie przeciw takiemu postępowaniu. Z takiemi samemi zapatrywaniami objąłem dobra Grybow-

skie i uważałem się za szczęśliwego, że znalazłem się w możności uszczęśliwienia tylu poddanych, jak tego tylko zapragnę. Wnet jednak zrobiłem to doświadczenie, że słabością w wykonaniu praw swoich wyrządzić muszę szkodę tak poddanym, jak i sobie samemu. Tylko przez poważne, surowe, ale przytem jak najsprawiedliwsze kierownictwo bez najmniejszej pobłażliwości co do powinności inwentaryalnych, przez częste, osobiste wchodzenie w sprawy gospodarcze poddanych, przez wspieranie w porę posłusznych a pracowitych gospodarzy małymi zasiłkami pieniężnymi, bydłem lub narzędziami, wreszcie zapomocą premii, które niekiedy dawałem pracowitym gospodarzom i ich czeladzi za odszczególniającą się we wsi lepszą uprawę własnych gruntów, zdołałem zawiść niedbalszych gospodarzy uśmierzyć, zachęcić ich do pilności i zdobyłem sobie więcej zaufania i przywiązania, aniżeli przedtem pobłażliwością przy odrabianiu powinności. Że mi się powiodło poznać galicyjskiego poddanego i nim pokierować, o tem przekonać się można nietylko w cyrkule Nowosądeckim, gdzie podczas całej mojej 17-letniej administracyi państwa Grybowskiego z przeszło 4.000 poddanych, nie wpłynęła ani jedna skarga z ich strony, lecz także z wierności i uległości moich poddanych Grybowskich podczas ostatnich smutnych wypadków. Moje upomnienie poddanych, aby wytrwali wiernie przy prawie i porządku, chociażby on pod jakimkolwiek pozorem przez obcych zamącony został, znalazło większy posłuch, aniżeli wezwania, groźby a nawet czynne zniewagi ze strony zamaskowanych podżegaczy w towarzystwie już podburzonych gmin sąsiednich. Co więcej, jeden z moich wiernych wójtów, Święs z Kąclowej zwrócił się ze swoją gminą do mnie z prośbą, aby mógł wyruszyć przeciw podburzonej gminie niedawno przezemnie zakupionego państwa Wojnarowej. W braku wszelkiej najmniejszej nawet pomocy ze strony władz rządowych prośbę jego chętnie uwzględniono. Temu wystąpieniu moich wiernych poddanych, przyczem wielu chłopów przytrzymano, przypisać należy, że podżegacze nie zdążyli dalej ku południu. Jedynie tym poddanym zawdzięczam to, że tylko mój dom mieszkalny nad rzeką Białą nie uległ zniszczeniu na całej przestrzeni od granicy węgierskiej ku Wiśle i służyć może obecnie za schronisko dla pozbawionych dachu nieszczęśliwych sąsiadów oraz dla oficerów małej załogi. Chociaż ci dzielni poddani nie zdołali już ocalić mojej posiadłości Wojnarowej, którą zastali zupełnie zniszczoną, to jednak w czasie mojego ostatniego pobytu korzystałem

ze sposobności, aby nietylko wyrazić im w obecności komisarza cyrkularnego i komendanta załogi moje najszczersze podziękowanie, lecz nadto w miarę możności wynagrodzić wszystkie (5) gminy wierne i porządku przestrzegające. Publiczne urzędowe uznanie takiej legalności i wierności, jakiej dowody nie wiele gmin złożyło, jeszcze obecnie wywarłoby pomyślny skutek w przywróceniu porządku prawnego; powetowałoby z pewnością w interesie państwa po części to, co sprawiło wyrażone publicznie podziękowanie za usługi oddane rzezią, morderstwem, rabunkiem i pożogą, przez co utrudniono odsłonięcie niecnej sieci właściwego sprzysiężenia, sędziemu odjęto możność wydania wyroku a katowi należną mu opłatę.

»Całkiem niezgodną z mojem, jak sądzę, zdrowem zapatrywaniem jest opinia komisarza cyrkularnego Grohmanna, zamierzającego usunąć wspomnianego powyżej wójta mojego Święsa, który w ciągu 14 lat umiał utrzymać porządek w gminie, a to z tego powodu, że jest już za długo wójtem i trzyma z dworem. W takim składzie rzeczy niebawem trudno będzie utrzymać jakikolwiek porządek i powagę dziedziców. Jak tutaj, tak przeważnie i w innych miejscowościach objawia się dążność do poniżenia powagi dziedziców, daje się każdemu dziedzicowi ile możności uczuć całą władzę urzędu w sposób najdotkliwszy, a często wobec najkrnąbrniejszych poddanych w sposób upokarzający, wreszcie podtrzymuje się nieporozumienie między obiema stronami.

»Ręka moja drży z wewnętrznego wzburzenia, bolu i głębokiego smutku na myśl, że chociażby jednemu tylko organowi rządu prowincyonalnego powiodło się nasycić swoją nienawiść ku szlachcie z takim planem haniebnym, jak to powyżej wspomniałem, dla planu takiego zjednać posłuch i widzieć w nim potem wytknięty sposób postępowania, wskutek czego mój wysoki rząd, zawsze sprawiedliwy i ojcowski, obciążony zostaje niezmiernie, chociażby tylko pozorem aprobaty. W ciągu prawie 20 lat starałem się zawsze łagodzić skargi właścicieli dóbr na ucisk rządu, zwracając ich uwagę na błędne identyfikowanie rządu z poszczególnymi organami jego, więc na bezpodstawność żalów. To staranie jest już teraz daremne, a skarżący się zostali w zdaniu swojem utwierdzeni.

»Podniecone tą nienawiścią rozjuszenie ludu wzrastało jak huragan we wszystkich kierunkach od Tarnowa, tej kolebki wzburzenia i zmusiło mię wczesnym rankiem 21 lutego do ucieczki na Węgry,

chociaż w dniu poprzednim nie miałem jeszcze najmniejszego przeczucia o niebezpieczeństwie. Ze mną było 15 osób, kobiet i dzieci, z których najmłodsze liczyło dopiero cztery miesiące. Była to moja rodzina wraz z dwiema opuszczonemi kobietami z sąsiedztwa, które błagały mię o opiekę i o ocalenie życia. Z jakiemi uciążliwościami i strasznemi dla kobiet obawami połączoną była ta ucieczka dla nieposzlakowanego i na całej drodze dobrze znanego obywatela państwa!

»Ciągłe złowrogie wiadomości z moich stron nie pozwalały mi tam powrócić. Nie mogłem zatem na miejscu jakąkolwiek działalnością przyczynić się do rozdarcia zasłony, pokrywającej istotę ruchu i do zdemaskowania szatana, który niezmienną prawość austryacką w podejrzenie podać i podwalinami związku państwowego wstrząsnąć zamierzał. Pozostał mi tylko jeden środek; na wezwanie magistratu w Bardyowie (Bartfeld) złożyłem urzędowe oświadczenie o sposobie, w jaki dokonane zostało moje aresztowanie na granicy dóbr moich przez straż skarbową, mianowicie przez Hoffmanna, który z dwoma towarzyszami swoimi już po dwumiesięcznej służbie zdobył się na taką odwagę, że z najeżonym bagnetem napadł moją żonę, uciekającą z czteromiesięcznem dziecięciem i z mamką, a mnie w pisemnem poleceniu do starszego strażnika skarbowego aresztować kazał dopiero w Izbach, o dwie mile odległych od miejsca naszego spotkania. A przecież jeżeli miał wątpliwość co do mojej osoby i charakteru, coby w tym czasie zupełnie zrozumiałem było, mógł zażądać legitymacyi już w Florynce, na granicy moich posiadłości. Tymczasem ów młodzieniaszek kazał 30—40 uzbrojonym chłopom eskortować 16 kobiet, dzieci i sług w towarzystwie dwóch mężczyzn i jednego służącego od wsi do wsi po ogromnym śniegu górskim bez śladu drogi, a potem aresztować w Izbach i tam w nocy ustawić na straży przy mnie w pokoju dwóch ludzi, a dokoła domu 30—40 uzbrojonych chłopów! Był to zaprawdę niegodny pozazdroszczenia los dla kobiet i dzieci, stanowiących rodzinę obywatela państwa, duszą i ciałem jemu oddanego. W tem postępowaniu, które moją żonę wtrąciło w 12-dniową bardzo niebezpieczną chorobę, leży dowód, że na takie traktowanie przygotowani byli ruscy górale, mianowicie w tym wypadku przez straż skarbową. Kto zna niechęć chłopa ruskiego do wszelkich usług, ten wie także, jak trudno na zawołanie jednego strażnika skarbowego pobudzić późną nocą całą gminę do zbrojnego wystąpienia. Mnie, właścicielowi dwóch wsi z ludnością ruską, wypadłoby pewnie

daremnie czekać całemi godzinami, zanimby 5—6 chłopów z każdej gminy zgłosiło się z gotowością do podobnej usługi.

»Nazajutrz po przybyciu do Bardyowa otrzymałem przez chłopa ruskiego moje listy z wyjednanymi z Izb paszportami dla mojej rodziny i dla moich sąsiadek, pani Zielińskiej i hr. Stadnickiej. Na moje pytanie, co słychać w okolicy, chłop ów odpowiedział, że w państwie Muszyńskiem (33 wsi i 2 miasteczka) otrzymano dziś rozkaz z cyrkułu, aby z każdego numeru dostawiono jednego mieszkańca jakbądź uzbrojonego do Sącza dla osłony. Takie powołanie było chwalebniejsze i stosowniejsze, aniżeli polowanie na szlachtę w północnej części obwodu. W przygotowaniu takiej mobilizacyi leży także dowód, że wypadki były przewidywane.

»Z mojego oświadczenia, złożonego w magistracie Bardyowskim, najwyższa władza węgierska w Budzie powzięła wiadomość o wypadkach w Galicyi. Wysłała ona zaraz najbliżej stojące wojska ku granicy. Magistrat w Bardyowie otrzymał pochwalne uznanie za swoją gorliwość, a mnie i uciekającemu ze mną sąsiadowi Kochanowskiemu bardzo łaskawie przyrzeczono opiekę na Węgrzech. Całą moją korespondencyę z Galicyi, którą często i regularnie otrzymywałem, podawałem bez wezwania w tej mierze przez magistrat do wiadomości władz węgierskich.

»Już drugiego i trzeciego dnia po mojem przybyciu do Bardyowa nadciągnął do miasta szwadron huzarów z poczciwym i uprzejmym pułkownikiem hr. Kolowratem. Był on tak dobry, że mojej rodzinie, którą umyślnie w tym celu odwiedził, dodał otuchy, zapewniając ją o swojej opiece. Dowiedziawszy się o przybyciu hr. Kolowrata i jego życzliwem współczuciu, wyraziłem mu moje podziękowanie a zarazem życzenie, aby mię przyjął do huzarów za szeregowca i przy pomocy najwyżej 50 ludzi położył kres dalszym okropnościom, zaznaczając w ten sposób, że jest jeszcze między nami żołnierz austryacki, któremu na seryo zależy na ocaleniu rządu z kłopotliwego położenia. Szlachetny hrabia Kolowrat był z tego bardzo zadowolony, chodziło mu na prawdę i seryo o państwo i o naszą drogą dynastyę. Hrabia Kolowrat odesłał mię do Jego Excellencyi Fmp. br. Bechtolda, który zarówno energiczny jak dzielny już był opuścił Koszyce i udać się miał do Preszowa, aby tam wydać najstosowniejsze zarządzenia. Mniemałem, że spełni się moje życzenie i byłem pewny wykonania zamiaru, gdyż J. Exc. był od dawna po przyjacielsku dla mnie usposo-

biony i od dawna także znał moją miłość dla mego domu cesarskiego, a przedewszystkiem dla prawa. O świcie byłem już w drodze do Preszowa i spotkałem wysłanego po wojskowe posiłki, a obecnie powracającego landsdragona z Sącza Müllera, który wręczył mi pismo J. Exc. utwierdzające mię w mojej nadziei.

»W ubraniu zatrzaskanem wskutek szybkiej jazdy po bezdennej drodze zajechałem wprost przed pomieszkanie kapitana N. z pułku im. Wilhelma, gdzie, jak wiedziałem, J. E. przebywał. Witając mię serdecznie, a nawet radując się ze zwycięstwa Austryi, zawołał J. Exc. br. Bechtold: Przyjacielu mój, wszystko skończone bez strzału! Wszystkich, wszystkich ubito! Chłopi są z nami!

»Na te słowa jakbym się pod ziemię zapadł! Obok siebie stali dwaj przyjaciele, jeden silny, dla Austryi uzbrojony, drugi słaby, szukający wyjścia; obaj duszą i ciałem Austryi oddani, ale zupełnie niezgodni w poglądzie na niebezpieczeństwo danej chwili.

»Nie straciłem jeszcze nadziei, że wreszcie, mając już 43 lat, zostanę żołnierzem i starałem się zjednać J. Exc. dla mojego przekonania. Daremnie! Nieszczęsny list p. Scholtena z Tarnowa do zięcia w Preszowie, przepisany dla urzędowego użytku (był on w połowie wydrukowany w *Allgemeine Zeitung*, w artykule z Koszyc z datą 8 marca) rozczarował mię. J. Exc. sam mi ten list przeczytał.

»Excellencyo! — zawołałem. — Czyż ten list przynosi Panu spokój i szczęście? Ja się czuję przez ten list nieszczęśliwym, zrozpaczonym. Zawiera on tylko słowa pułkownika br. Moltkego, który, siedząc przy stole razem z liczniejszem towarzystwem szlachty galicyjskiej, powiedział do Scholtena: Od lat siedmiu przesiaduję z tymi panami przy jednym stole w przyjaznem towarzystwie, a do dwóch godzin możemy stanąć przeciw sobie w śmiertelnych zapasach. Czyż nie widzisz, Excellencyo, w duchu dzielnego, znakomitego żołnierza, z poczuciem honoru i z sercem, z zaciśniętą ale ubezwładnioną pięścią, która nie czekając dwóch godzin chciałaby zaraz zerwać się do walki? Jeżeli tak nie jest, to Wasza Excellencya nie zna br. Moltkego. Z dalszej treści listu wypływa, że ohydne zdarzenia były przewidywane, niepowstrzymywane a więc wywołane.

»Jak przy każdej sposobności, gdzie chodzi o nienaruszalną cześć mojego rządu, gdzie chodzi o ochronę tej czci wobec reprezentantów, nie umiejących podjąć tej obrony na widok samych pozorów niebezpieczeństwa, popadłem wobec świadków rozmowy w najwyższą dra-

żliwość. Panie! — zawołałem. — Lepiej było, jak niegdyś w Florydzie przeciw Indyanom, puścić na szlachtę zgrają psów gończych i skazać ją w ten sposób na rozszarpanie, aby oszczędzić prochu i ludzi. Przy takiem postępowaniu byłby przynajmniej dla późniejszych pokoleń pozostał nietkniętym węzeł, który jedynie może zagwarantować utrzymanie naszego monarchicznego ustroju państwowego, mianowicie węzeł wzajemnego zaufania pomiędzy dziedzicem a poddanymi. Czyż Excellencya nie widzi w liście Scholtena jeszcze drugiej wskazówki, jak niebezpieczną jest ta gra straszna? Według tego listu rotmistrz hr. Thurn w chwili przybycia na widownię rzezi powitany został przez chłopów okrzykiem: Niech żyje Cesarz! Kiedy rozbrzmiewał ten dla każdego prawego Austryaka podniosły okrzyk, rotmistrz ów mógł skorzystać z korzystnej chwili i natychmiast przy pomocy wiernych, jak mniemano, chłopów schwytać lub zarąbać buntowników, gdyby nie był się kierował względami, które kazały mu pozostać nieczynnym.

»Niestety później w Nowym Sączu zawiodłem się co do tego hrabiego i jego nazwiska niemieckiego. Powiedział on bowiem do mnie: W obwodzie sądeckim za mało ludzi ubito; wszystko trzeba było ubić, całą tę hołotę. Jak stare baby chcieli się na nas rzucić i potruć nas, ci łajdacy. Dobrze im tak. Ale tutaj starosta i inni należą do Polaków. — Hołota!

»Mój drogi przyjacielu, rzekł br. Bechtold, zaaresztują Cię tutaj, jeżeli takie rzeczy będziesz głosił. Jesteś źle poinformowany.

»Nie uczynią tego, Excellencyo, odpowiedziałem dobitnie. Przecież jeszcze będę wysłuchany. Moje szczere serce, przejęte dobrą sprawą mojego wysokiego domu cesarskiego, będzie zrozumiane. Nie jestem wprawdzie dobrze poinformowany, nie mam w ogóle informacyi, ale na szczęście nie jestem także uprzedzony, aby powtarzać starą piosnkę nienawiści i oszczerstwa i zamiast jednoczyć ludzi, jątrzyć jeszcze więcej jednych przeciw drugim.

»Jedno, jedno pytanie — rzekł br. Bechtold. — Co u was mówią teraz o Breinlu?

»Pytanie to, rzucone na pożegnanie, głęboko mnie dotknęło. Stanowiło ono nowy dowód słuszności mojej obawy.

»Excellencyo, odpowiedziałem, nie wiem w tej chwili, co tam u nas o Breinlu mówią, ale pewnie jeszcze mniej korzystnie niż dotąd. Co do mnie, teraz najmniej go cenię. Jakżeż mogłoby być inaczej?

Kto dla swej nienawiści i dumy zapomina o wszystkich obowiązkach człowieka, obywatela i sługi państwa, kto zapoznaje te obowiązki, ten przestał być godnym wszelkiego szacunku.

»W ten sposób rozstałem się z br. Bechtoldem. Wróciłem do moich stron, aby tam bliżej poinformować się o stosunkach. Wezwano mię tam z zapewnieniem, że spokój został już przywrócony. Nie zgadzało się z tem jednak wysłanie dwóch żołnierzy na granicę dla mojej eskorty i upomnienie mojego oficyalisty, abym na granicy prosił jeszcze o wzmocnienie eskorty ze straży skarbowej.

»Otrzymałem potem od br. Bechtolda nowe pismo z poleceniem, abym nie zapomniał donieść o naszych stosunkach. W przejeździe przez Koszyce złożyłem ustnie relacyę zgodną z poniższymi szczegółami, zapewniając, że starałem się najusilniej podczas krótkich wizyt moich przyjaciół, majora Fejérvárego i radcy gubernialnego Bochyńskiego, zasięgnąć co do moich poglądów na stosunki informacyi, które bynajmniej nie uprawniają do przypuszczania, iż stosunki obecne uważać można za stan uspokojenia. Czy mi się powiodło mojej opinii o większem niebezpieczeństwie drogę utorować? Br. Bechtold mógł najlepiej przekonać się z doniesień, otrzymanych po 21 marca.

»Lekceważenie i niedbałe badanie aresztowanych poprzednio osób z niższych stanów, zaniechanie aresztowania podejrzanych spiskowców z wyższych stanów, co w Poznańskiem energicznie wykonano, bierne zachowanie się wojska w chwili wybuchu, pochwalanie i obdarowywanie chłopów za przystawionych, chociażby pomordowanych w własnym domu spiskowców a nawet niewinnych chłopców, mężczyzn i starców szlacheckiego rodu, wypuszczanie na wolność przytrzymanych morderców i rabusiów, co więcej ochrona, pod którą wzięto tych rabusiów, o czem wszyscy przekonani byli — są to widocznie zarządzenia, spowodowane wyższemi instrukcyami. Wykonane bowiem zostały chociaż nie z taką bezczelną otwartością, jak w Tarnowie, także w innych miejscowościach, przez co zakłopotanie mojego drogiego rządu austryackiego co do uchylenia pozoru, jakoby to przezeń spowodowane było, potęguje się do najwyższego stopnia.

»Niema wątpliwości, że plan takich zarządzeń był tylko dziełem wielkiej, nie liczącej się z żadnemi następstwami złości i nienawiści. Trudno pojąć, jak plan taki znaleść mógł posłuch, a jeszcze trudniej to pojąć, że mógł wejść w wykonanie. Tutaj kończy się moja zdolność do kombinacyi. Czyż mogłem obawiać się niebezpieczeństwa, wi-

dząc, że uosobiona dobroć z uwidocznioną w czynach dążnością do świątobliwości [1]) najgorliwiej czuwa nad zachowaniem prawa i blasku mojego ukochanego domu cesarskiego, że dobroć ta wyposażona wszelką siłą stoi na straży, a przy niej jest geniusz [2]), w służbie państwowej doświadczony, przejęty miłością dla swojego domu cesarskiego, dla prawa i obowiązku, posiadający przytem wypróbowaną, głęboką znajomość rzeczy? Czyż mogłem obawiać się, że pod taką opieką, idąc 20 lutego wieczorem bez troski na spoczynek, nazajutrz rano będę musiał w przerażeniu uciekać, aby sobie i rodzinie życie ocalić, że w najbliższej przyszłości będę zniewolony z żoną i z ośmiorgiem dzieci obcej pomocy szukać? A jednak tak się stało. Lżejszą byłaby moja niedola, gdybym nie wiedział, że w niebezpieczeństwie znajduje się państwo, a nawet Europa, skoro jej serce, Austrya, popadło w chorobę.

»Codziennych relacyi z zagrożonych miejscowości nie braknie pewnie mojemu wysokiemu rządowi. Obawiam się, że one już obecnie potwierdzą moje obawy.

»Przeciw moim uwagom i obawom mógłby być podniesiony zarzut, że podnoszę tylko brak szczerego, prawu oddanego ducha austryackiego u większości reprezentantów rządu austryackiego w Galicyi i temu brakowi jedynie przypisuję wywołanie wypadków bieżących, szlachtę zaś usprawiedliwić pragnę, zupełnie nie dostarczywszy dowodów na moje zapatrywanie o komunistycznym charakterze powstania z 19 lutego.

»Cała wina za sprzeczny z prawem przebieg spada niezawodnie na wydane zarządzenia i użyte środki. Nie myślę jednakże usprawiedliwiać całej szlachty, chociaż pokładałem najzupełniejsze zaufanie moje w tej części, która do ruchu się przyłączyła. Nawet obecnie, gdy jedni zostali zabici, a wszyscy inni jako skompromitowani dostali się do więzienia, nie mogę im jeszcze całkowicie odmówić tego zaufania. Chodzi o zbadanie, kiedy do ruchu przyłączyła się szlachta w ogóle, a szczególnie ta część, która była znana rządowi z większej dla niego przychylności, czy to przyłączenie się nastąpiło dobrowol-

---

[1]) Domyślać się należy, że jest tutaj mowa o ówczesnym generał-gubernatorze Galicyi, arcyksięciu Ferdynandzie d'Este. *(Przypisek autora).*

[2]) Zapewne ma tutaj Hosch na myśli ówczesnego prezydenta gubernialnego br. Kriega. *(Przypisek autora).*

nie, czy pod przymusem, a w ostatnim wypadku, skąd przymus pochodził.

»Niewątpliwą jest rzeczą, że do szlachty dotarły hasła socyalistyczne. Z pewnością jednak skompromitowani po większej części dopiero w ostatniej chwili przed wybuchem powstania przyłączyli się do niego i to tylko dlatego, że ich steroryzowano fałszywemi przedstawieniami o rozmiarach i rozgałęzieniu komunizmu, uniemożliwiając tem odmówienie akcesu. W kołach narodowych umiano wzbudzić nadzieję, że tylko przez przyłączenie się do ruchu możliwem jest uzyskanie narodowej niezależności. W ostatniej chwili nawet pod przymusem fizycznym wpadały ofiary w przepaść. W tej kategoryi osób niejedna, upatrzona szczególnie na ofiarę komunizmu, padła pod jego ciosami, utrudniając w ten sposób zbadanie sprawy. Komunizm odniósł — powtarzam to — pierwsze wielkie zwycięstwo. Zdołał on zniszczyć szlachtę lub ściągnąć na nią podejrzenie u rządu tak, że spowodowana tem nieufność równała się zniszczeniu. Zgadzam się na bezwzględne ukaranie winnych z każdego stanu, ale drżę o utrzymanie obecnego ustroju państwowego, jeżeli mój rząd ojcowski pozwoli na upadek szlachty, chociażby tylko galicyjskiej. Następstwa takiego kroku rychło przekroczyłyby granice prowincyi. Musi to już pozostać zadaniem komunizmu, żeby na zawsze usunięta i zniszczona została największa zapora jego zgubnych, z istnieniem społeczeństwa sprzecznych zasad, t. j. stan uprzywilejowany, posiadający. W ciągu lat 15 — mówi proklamacya komunistów — pracowaliśmy nad naszym posiewem zbawiennym. Chociaż nie całych 15 lat starania te były ożywione, to jednak niezawodnie tak było od dłuższego czasu i dlatego tem trudniej to pojąć mogę, że ze strony władz galicyjskich zaniechane zostało skuteczne przeciwdziałanie. Dla nich wszelkie ruchy nie miały żadnego znaczenia, jeżeli przytem szlachta nie mogła być skompromitowana. *Tousjours perdrix.*

»Zawsze najbliżej monarchy i jego władzy stały szlachta ziemię posiadająca i mieszczaństwo, potem silny stan chłopski i pracowity stan robotniczy. Pośredniczenie pomiędzy wszystkimi stanami i ich zastępowanie, więc doniosłe i najpiękniejsze zadanie, należało do urzędników państwa. Ten ostatni wielce ważny stan miał wszystkie inne trzymać w karbach prawa i łączyć je wewnątrz w całość. Równe i niemniej ważne, we wszystkie stany sięgające znaczenie posiada stan, którego zadaniem jest nauka i kształcenie, czy to nauka religii, czy

duchowe lub fizyczne kształcenie. Żaden z tych stanów nie stanowi sam w sobie społeczeństwa, tworzy je dopiero całość, rozwijająca się dotąd, dopóki miłość i harmonia wszystko jednoczą. Daremnie usiłują czcze, niezniszczalne zasady, jak zasady komunizmu, przeniknąć całe społeczeństwo. O tem muszą być przekonani nawet najgorliwsi i najzapamiętalsi zwolennicy komunizmu. To też zniewoleni byli torować w Galicyi swoim nieszczęsnym zasadom drogę tam, gdzie widzieli grunt najpodatniejszy, mianowicie w moralnie najsłabszym, chociaż fizycznie najsilniejszym stanie chłopskim i robotniczym. W tym samym stanie niemieckiego pochodzenia, gdzie oświata jako wielka zapora w tej mierze dalej postąpiła, usiłowanie takie byłoby daremne. Do tego dodać należy, że na nieszczęśliwe społeczeństwo polskie łatwiej, niż na inne ludy słowiańskie, wpływać można propagandą przez wychodźców, którzy z łona tegoż społeczeństwa zwrócili się do ojczyzny wszelkich ruchów demagogicznych, gdzie żaden środek, zapewniający im egzystencyę, nie jest zdrożny.

»Wpływanie przez jednostki na ogół stanowi zawsze zadanie wielkie i trudne do wykonania. Jako człowiek praktycznego zawodu, któremu podobne sprawy zawsze były obce, nie jestem w stanie wyśledzić i napewne wskazać dróg i środków, jakimi komunizm w ciągu 15 lat dokonał swojego posiewu i doprowadził do tak zgubnych rezultatów, jakie w Poznańskiem i w Galicyi dojrzały. Od chwili jednak, gdy związek państwowy wydaje mi się widocznie zagrożonym, a wskutek tego obudziło się we mnie pragnienie przyczynienia się wszelkiemi siłami do wzmocnienia tego związku, stanął mi przed oczyma fakt, który przedtem, nie troszcząc się o nic, uważałem za błahy i zupełnie pominąłem.

»Od czterech lat mniej więcej, szczególnie jednak w ostatnich dwóch latach spostrzegłem wpadającą w oko zmianę w zaufaniu moich poddanych, które dotąd przyzwyczaiłem się uważać za nieograniczone. Co więcej, zmieniło się od tego czasu dawne chętne posłuszeństwo i gotowość do usług u moich poddanych. Takie same doświadczenie, w wyższym nawet stopniu, zrobili wszyscy moi sąsiedzi. Od kilku lat zaczęły pomiędzy chłopami obiegać pogłoski o darowaniu pańszczyzny, a od roku byli oni nawet przekonani, że najwyższy dekret w tej sprawie już został wydany, lecz dziedzice złośliwie ukrywają go i dlatego nie nastąpiło obwieszczenie. Gdy przed trzema laty służący mojego przyjaciela Leona Dzwonkowskiego zagroził

jednemu poddanemu, że doniesie dziedzicowi o jego krnąbrności, zawołał ten poddany otwarcie: Niech dyabli porwą dziedzica. Da Bóg, że już na wiosnę naszych dziedziców zaprzęgniemy do pługa!

»Daleko więcej jeszcze wzrosło rozdwojenie pomiędzy poddanymi a dziedzicem od chwili zaprowadzenia tak zwanych towarzystw wstrzemięźliwości. Gorliwość duchowieństwa w tej mierze niewątpliwie posuwała się często tak daleko, że nieufność ku dziedzicowi podsycano z kazalnicy. I tak w Łużnej, w cyrkule Jasielskim, ksiądz proboszcz Nowakowski zapewniał z kazalnicy, że odkąd panowie produkują okowitę z chemiczną domieszką, zawierającą trujący proszek, ludzie pijący okowitę są zatruwani. Proboszcz ten przeniesiony został później na jedną z najintratniejszych plebanii przemyskiej dyecezyi do miejscowości, której nazwa wyszła mi z pamięci. To pewna, że w obecnym nieszczęśliwym ruchu jest kilku księży skompromitowanych. Zbadanie, do jakiego stronnictwa oni należą, jest rzeczą ważną, chociaż zarazem i trudną. Wpada to bardzo w oko (trzeba tylko okiem rzucić na mapę), że granice czynnego ruchu zbiegają się, nawet dokładnie, z granicami surowych i najsurowszych towarzystw wstrzemięźliwości tak w Galicyi, jak i w Poznańskiem. Natomiast w Królestwie Polskiem, gdzie na tworzenie takich towarzystw nie pozwolono, wcale nie było takiego ruchu, tak samo, jak nie było go tam, gdzie nie znalazł poparcia w gr.-kat. duchowieństwie. Czyż miałoby to być tylko dziełem przypadku? Wobec bardzo trudnego, a ze względu na nadzwyczajną czujność rządów nawet bardzo niebezpiecznego wpływania poszczególnych emisaryuszy na ogół stanu chłopskiego i robotniczego, tylko w podobny sposób mogła być prowadzona propaganda, do której najlepiej nadawali się ludzie ze stanu prywatnych oficyalistów, nauczycieli, z niższego duchowieństwa, nawet ze szlachty niezadowolonej i w ogóle malkontenci. Krótko mówiąc, trzeba było werbować osiadłych na miejscu zwolenników, którzy zostawali w ciągłej ożywionej styczności z niższymi stanami. Obecnie zbytecznem jest podtrzymywanie tych zgubnych nauk w objętych powstaniem powiatach przez emisaryuszy. Niema tam zapewne gminy, któraby nie posiadała kierującego nią rodzimego propagatora. Jedynie forytowanie interesów komunistycznych, podpatrywanie stosunków danej chwili, o ile one najlepiej mogą się nadawać dla celów wytkniętych, zajmuje może jeszcze w tych stronach emisaryuszy, a większa ich część stara się w od-

łegłych okolicach wschodnich uzyskać to, co się im dotąd w ruskim żywiole nie powiodło.

»Widząc swoje zasady, którym, o ile tego okoliczności wymagały, nadawano mniej więcej pozory interesów narodowych, rozpowszechnione i zakorzenione w niższych stanach, komuniści umieli wciągnąć w grę także i wyższe stany, przyciągając je go siebie nadzieją odzyskania niepodległości narodowej, więc urokiem, któremu żaden Polak, nie biorący rzeczy trzeźwo, oprzeć się nie zdoła. Niema narodu, któryby miał tak błędne pojęcia o możliwości bytu i rozwoju narodowości, jak Polacy, którzy rozwój taki bez samodzielności uważają za niemożliwy. Gdzie urok powyższy był za słaby, tam w grę wchodziła ewentualność wykluczenia z całego przedsięwzięcia narodowego, które 20 milionów Polaków niechybnie za jednym zamachem w czyn wprowadzić poprzysięgło. Gdzie i ten środek był niedostatecznym, występowano wreszcie z otwartemi groźbami, które wezwanym do udziału powzięcie postanowienia utrudniało, albo nawet niemożliwem czyniło. Wyjścia z takiej kolizyi szukali, jak się zdaje, w ucieczce generał Chłopicki i inni. Ci, którym brakło środków lub sposobności do ucieczki, ulegali, aby ocalić życie. Wszystkie te wnioski wysnuwam z trzech proklamacyi, o których powyżej wspomniałem.

»Jednakże i z tego, co sam doświadczyłem, mogę przytoczyć dowód na moje wnioski.

»Podczas ostatniego 12-dniowego pobytu mojego w zamku Grybowskim przyszła do mnie za zezwoleniem także w zamku mieszkającego komisarza cyrkularnego Grohmanna pani Lubieniecka, matka czworga dzieci z dwóch małżeństw, wdowa po pensyonowanym nadporuczniku Lubienieckim, moim najbliższym sąsiedzie, który wmieszany w ruch powstańczy, odebrał sobie życie w chwili, gdy go jego poddani pochwycić chcieli. Pani Lubieniecka jest najnieszczęśliwsza z tych licznych kobiet, obecnie nieszczęściem nawiedzonych. Widziałem ją po raz pierwszy w moim domu. Jej mąż odwiedzał mię czasem, w ostatnich czasach częściej niż przedtem, do czego zmuszały go niepomyślne stosunki finansowe. Winien mi był bowiem znaczniejszą kwotę i prosił o zwłokę w spłaceniu długu. Jego wyglądanie było tak zmienione, że nie mogłem przypuścić, iżby powodem tego były tylko jego niepomyślne stosunki. W czasie ponownych odwiedzin na moje naleganie wyjawił mi swoje położenie. Jako wojskowy zawarł małżeństwo bez pozwolenia, a sprawa ta wyjdzie na jaw, gdyż krewni

z którymi pozostaje w sporze, chcą o tem donieść, a może już nawet donieśli. Ofiarowałem mu chętnie moje pośrednictwo, ale czekałem daremnie na wezwanie do uczynienia pierwszych kroków.

»Przyjąłem p. Lubieniecką z najżywszem współczuciem dla jej nieszczęścia. Po ludzku rzecz biorąc, nie mogłem nawet inaczej postąpić. Panie! — zawołała, padając mi do nóg, od których jej oderwać nie mogłem — Pan jesteś pierwszym, który od chwili moich niezmiernych cierpień, nie odtrącił mnie szorstko od siebie. Pan wysłuchasz skarg moich i udzielisz rady opuszczonej wdowie w niedoli.

»Przyrzekłem chętnie nieszczęśliwej kobiecie radę i pomoc, o ile tylko na to moje stosunki i moje siły pozwolą. Że jej mąż był skompromitowany, dowiedziałem się z listów przezemnie otrzymanych. Chciałem jednak w tej mierze otrzymać ile możności wyjaśnienie od samej p. Lubienieckiej. Odpowiedź jej tak opiewała: Panie! Mógł on zawinić, mógł zbłądzić, ale nie popełnił żadnej zbrodni. Jeszcze w czasie świąt Bożego Narodzenia mój dobry mąż nie miał przeczucia o tem, co się poza naszym domem działo. Nigdy bowiem z domu nie wyjeżdżał. O tej nieszczęsnej porze przybył do naszego, całkiem na uboczu stojącego domu, człowiek nam zupełnie obcy. Po obiedzie usłyszałam w przyległym pokoju mojego męża jego żywą rozmowę z owym gościem. Słyszałam, jak mój mąż głośno oświadczył, że nie chce o niczem wiedzieć, jako wątły i chory, a nadto jest oficerem i t. p. Odgadłam, o co chodzić mogło, weszłam do pokoju i stając pomiędzy obu, powtórzyłam zapewnienie mojego męża z całym naciskiem zaniepokojonej żony. Milcz Pani — zawołał przybysz, odtrącając mię — gdyż inaczej chodzić będzie także i o twoją głowę!

»Od tej chwili — ciągnęła dalej p. Lubieniecka — nie pozostawiłam mojego męża samego ani na godzinę. Nie puszczałam go nawet z pokoju, chyba dwa lub trzy razy, gdy szedł do Pana w odwiedziny. Od tej chwili nikt też już nie przyszedł do mojego męża, więc nie mógł on do niczego czynnie się przyłożyć. Nie mogłam go jednak powstrzymać od wyjazdu na ostatni targ bydła w Nowym Sączu. Stamtąd przywiózł nieszczęsną krucicę, którą sobie życie odebrał. Ta krucica i pałasz służbowy stanowiły całą zbrojownię nieboszczyka.

»Trudną była rada na okropne nieszczęście tej dobrej i najlepszej sławy zażywającej kobiety. Do uznania ważności małżeństwa pozostawała jedynie droga łaski, którą ostatnie wypadki zamknęły. Małą

tylko pomoc mogłem jej przynieść w tem nieszczęściu, obejmując na jej prośbę w administracyę mały, zupełnie wyniszczony mająteczek o 75 morgach roli. Dała mi do tego pełnomocnictwo, aby usunąć się z miejsca swoich nieszczęść.

»Powiedziałem powyżej, że tak władze galicyjskie, jak i szlachta polska stały się co do ostatnich strasznych wypadków ofiarą podstępu, a także co do kierownictwa i rozpoznania tych wypadków były przez komunizm w błąd wprowadzone. Że tak się niezawodnie stało z lojalną częścią szlachty, to, jak mniemam, już wykazałem. Dalszy dowód stanowi, jak mniemam, artykuł jednej z gazet wiedeńskich z 3 kwietnia. Autor artykułu widzi ze swojego narodowo-lojalnego stanowiska, że komunizm w Galicyi występuje przeciw celom narodowym i mniema, że posiewem takim zajęły się władze austryackie. Ja zaś, patrząc okiem austryackiem i z sercem austryackiem, widzę ten sam komunizm, ale nie odgaduję, kto był siewcą. Obawiam się jednak, że posiew wschodzi i rozrasta się.

»Jeżeli w trwożliwem przeczuciu na widok ciężkich stosunków mojego położenia nie stracę mojej siły duchowej, to złożę ją, jak w ogóle wszystkie siły moje, na usługi mojego drogiego domu monarszego, gdybym był tak szczęśliwy, iż doszłyby mnie pewne rozkazy co do rady lub działania.

»Waszej Excellencyi sługa całkiem powolny, a mojego serdecznie ukochanego Cesarza Ferdynanda i Jego wysokiego domu poddany najuleglejszy«.

Ferdynand Hosch.

Wiedeń, 6 kwietnia 1846 r.

II.

Powyższy memoryał Hoscha tak dalece zwrócił na siebie uwagę ministra stanu Franciszka hr. Kolowrata, że wezwał on autora do wskazania »środków przywrócenia porządku, wznowienia i wzmocnienia dawnych stosunków w państwie oraz do wskazania środków, którymi możnaby odnowić i wzmocnić zamącony stosunek wzajemnego zaufania pomiędzy szlachtą a dworem i rządem«. Tak sam Hosch sformułował temat zadany sobie przez ministra hr. Kolowrata i omó-

wiony w drugim memoryale z maja 1846 r. Pod tytułem tego memoryału dodał autor jego następujące uwagi: »Opinia ta, na której napisanie wyznaczono mi tylko 24 godzin, może być ze względu na drażliwy przedmiot uważana jedynie za śmiały fragment i musiała mi zaszkodzić«. Na czem ta szkoda polegała, nie można się nawet domyśleć z samego tekstu opinii. Mogła ona tyczyć się chyba praktycznego skutku przedstawionych wniosków. Że jednak Hosch nie stracił zaufania, na to najlepszym dowodem fakt, że, jak potem zobaczymy, już znacznie później, w jesieni r. 1846, miał audyencyę u arcyksięcia Ludwika, na tej audyencyi trzy godziny z nim rozmawiał i na jego rozkaz napisał trzeci, w treści swojej może najdrażliwszy, bo krwawe premie Breinla omawiający, memoryał o wypadkach z lutego 1846 r.

Tak samo jak pierwszy memoryał i drugi także zawiera na samym wstępie gorącą afirmacyę patryotyzmu austryackiego i poczucia dynastycznego. »Zanim rozkazowi Waszej Excellencyi zadość uczynię — pisze Hosch do ministra hr. Kolowrata — pozwolę sobie przemówić najpierw jako Austryak, a potem dopiero o Austryi i o Polakach. W utrzymaniu ustroju monarchii w takim stanie, jaki Bóg jej nadał, leżało i leży jej dobro i dobro różnorodnych jej ludów. Berło i miecz powinny spoczywać w ręku ojcowskiego monarchy, lub w ręku tego, którego On godnym uzna. A tymczasem grozi rozbicie berła na szczątki...[1]) Rozbicie praw monarszych stanowi główną przyczynę obecnych stosunków w monarchii, a przedewszystkiem przyczynę nieszczęśliwych stosunków w Galicyi. Racz Excellencyo nie uważać mojego poglądu na położenie i obecne stosunki Austryi za zuchwałość lub arogancyę. Niewymowna lękliwość o błogą egzystencyę państwa dodaje mi odwagi. Otwartość staje się dla mnie obowiązkiem wobec niebezpieczeństwa dla przyszłego utrzymania mojej rodziny, które to niebezpieczeństwo grozi każdemu wiernemu obywatelowi państwa, wobec ojcowskiej, ujmującej dobroci, z jaką Wasza Excellencya już przedtem raczyłeś mnie wysłuchać i poznać moje uczucia. Na czemże mógłbym oprzeć moje nadzieje, jeżeli nie na dobrej woli Waszej Exc., połączonej z Jego wysokiemi zdolnościami i władzą

[1]) Jest to może śmiała aluzya do ówczesnych stosunków rządowych w Wiedniu, wystawionych na rozstrój z powodu choroby cesarza Ferdynanda. *(Przypisek autora).*

a przedewszystkiem na sercu Waszej Excellencyi, wylanem dla dobrej, sprawiedliwej sprawy, dla blasku mojego ukochanego domu cesarskiego«.

Po takiem solennem zapewnieniu czystości motywów patryotycznych, Hosch formułuje w następujący sposób swoje wnioski pod względem »przywrócenia trwałego porządku w Galicyi i trwałego zjednania tego kraju dla Austryi«.

»1) Należy przyczyny obecnego ruchu zbadać bez żadnego uprzedzenia ku któremukolwiek stanowi a z wszelką starannością dla wykrycia prawdy. Zbadane przyczyny należy usunąć i wydać takie zarządzenia, aby się w przyszłości nie powtórzyły.

»2) Tak zbadaniem jak i uchylaniem podobnych przyczyn, zająć się może tylko komisya, posiadająca bezwzględne zaufanie tak rządu, jak i ludności a przedewszystkiem szlachty. Składać się ona powinna z powszechnie poważanych urzędników państwowych i równie poważanych, zupełnie nieposzlakowanych, rządowi, porządkowi i prawu przychylnych reprezentantów narodowej, ziemię posiadającej szlachty i mieszczaństwa. Trzy a najwyżej cztery nadzwyczajne komisye krajowe tego rodzaju wystarczyłyby do pomyślnego załatwienia zadania w czasie jak najkrótszym. Siedzibami komisyi miałyby być miasta: Tarnów, Lwów i Stanisławów, ewentualnie i Tarnopol.

»3) Komisye te najlepiej mogłyby zbadać stosunki kraju i jego odrębne potrzeby z uwzględnieniem obecnej oświaty i zwyczajów, wskazać zmiany i sposób uregulowania stanu na przyszłość.

»4) Najpilniejszem zadaniem byłoby zapewnienie ustawom wykonywania i powagi w duchu i według woli ojcowskiego ustawodawcy oraz zapobieżenie lekceważeniu ustaw i ich dowolnemu tłumaczeniu. Kary za obejście i naruszenie ustaw i przepisów przez strony interesowane są zazwyczaj w samych ustawach ustanowione i jako niezawodnie na winnych spadające zabezpieczają poszanowanie prawa. Jednakże z drugiej strony także i kary za dowolne tłumaczenie i stosowanie ustaw przez władze powinny również stanowczo być postanowione i niezawodnie spadać na winnych.

»5) Stosunki pomiędzy organami rządu a dziedzicami i pomiędzy ostatnimi a poddanymi należy zbadać, ściśle rozgraniczyć i na przyszłość w sposób stały określić. Szczególnem zadaniem komisyi krajowej byłoby uregulowanie i ustalenie powinności inwentaryalnych w sposób, stosunkom danej chwili odpowiadający, czem już zapobie-

żonoby w przyszłości przeważnej części skarg poddańczych. W ten sposób odjętoby także reprezentantom rządu na prowincyi środek, za pomocą którego w sposób drażniący wciskają się pomiędzy obie strony, na korzyść jednej lub drugiej kosztem prawa trzecich, z pozorami urzędowej humanitarności a w rzeczywistości w sposób niehumanitarny i nielegalny. Wywołane przez takich reprezentantów rządu nieporozumienia między rządem a rządzonymi zostałyby uchylone i wróciłoby napowrót zaufanie.

»6) Należałoby zaprowadzić instytucye, za pomocą których dałoby się szlachtę galicyjską, tę właściwą reprezentacyę narodu, więcej niż dotąd przywiązać tak do austryackiej dynastyi, jak i do własnej posiadłości. I tak n. p. urządzenie majoratów i fideikomisów oraz przestrzeganie niepodzielności dóbr pomniejszej szlachty zabezpieczyłoby dobrobyt rodzin. Drobna szlachta musiałaby szukać odpowiedniego stanowi utrzymania w zawodach naukowych, w służbie wojskowej lub państwowej. Obecnie szlachta tej kategoryi wskutek ciągłego dzielenia swojej posiadłości ubożeje i chłopieje, nie zrzekając się mimo to swoich aspiracyi z tytułu szlachectwa, w czem tkwi powód istnienia tak wielu malkontentów«.

Na tem kończy się projekt Hoscha. Nie ustanowiono w Galicyi komisyi przezeń proponowanych, więc nie zainicyowano także i akcyi przezeń zaleconej. Mimo to jednak nie możnaby powiedzieć, że cała ta praca poszła na marne, nie pozostawiwszy żadnego śladu w dalszych dyspozycyach rządowych. Niewątpliwie i ten memoryał Hoscha zwrócił na siebie uwagę i pobudził do refleksyi wiedeńskie sfery rządowe już dlatego, że napisany został na wyraźne wezwanie ministra stanu i to w chwili, gdy w centralnych kołach rządowych zaczęto już odgadywać straszną mistyfikacyę, wskutek której Breinl chwilowo uchodził w tych kołach za zbawcę austryackiego rządu w Galicyi, a Jakób Szela za siermiężnego a bohaterskiego alianta starosty tarnowskiego w stłumieniu ruchu powstańczego. Może wtedy jeszcze Breinl nie spadł był, jak później w poważnem dziele Maurycego br. Sali, byłego radcy gubernialnego i sekretarza generał-gubernatora Galicyi, arcyksięcia Ferdynanda d'Este, na poziom tchórzliwego blagiera i niesumiennego mistyfikatora, a Jakób Szela na poziom prostego mordercy i rabusia, ale w każdym razie blask obu tych bohaterów krwawych orgii był już zaćmiony. To też nie było już mowy o takiej eksterminacyjnej represyi, jaka w duchu relacyi i wniosków

Breinlowskich, powinnaby była w Galicyi stać się przewodnią myślą dalszego systemu rządowego, a natomiast wysłano do nieszczęśliwego kraju Rudolfa hr. Stadiona, brata późniejszego namiestnika hr. Franciszka, w charakterze nadzwyczajnego komisarza z rozległem pełnomocnictwem, ale nie w kierunku represyjnym, lecz informacyjno-organizacyjnym. Rudolf hr. Stadion fatalnie wywiązał się z swojej misyi, powikławszy sprawę pańszczyźnianą tak, że jej potem brat jego Franciszek, pomimo dobrych intencyi już rozwikłać nie mógł i nagłe a dorywcze rozcięcie tego węzła gordyjskiego w wichrowatym r. 1848 uważać musiał za wybawienie z kłopotliwej sytuacyi. Faktem jest jednakże, że to powikłanie było jedynie — w Wiedniu wcale niezamierzonym — skutkiem niedostatecznego poznania stosunków krajowych przez nadzwyczajnie upełnomocnionego, ale bynajmniej nie nadzwyczajnie uzdolnionego komisarza nadwornego. Faktem jest dalej, że Rudolf hr. Stadion za przybyciem swojem do Galicyi szukał sposobności do zetknięcia się z wybitniejszemi osobistościami z grona szlachty i przyjmował od nich memoryały. W ten sposób postępował z pewnością nie z własnej inicyatywy i na własne ryzyko, lecz stosownie do wskazówek, otrzymanych w Wiedniu w chwili wyjazdu. Że takie wskazówki były wydane, na to złożyły się niezawodnie różne informacye i przyczyny, ale zbyt śmiałem nie będzie przypuszczenie, że w tej mierze także oba memoryały Hoscha odegrały pewną rolę, wpłynęły w pewnej mierze na decyzye wiedeńskich sfer rządowych. W jakim stopniu wpływ ten zaważył, o tem autentyczną informacyę znaleźćby można chyba w archiwum byłego ministerstwa stanu.

Po wręczeniu drugiego memoryału ministrowi stanu hr. Kolowratowi Hosch wyjechał na Węgry, aby zabrać z sobą rodzinę, która przebywała tam bez przerwy od chwili ucieczki z Galicyi wśród katastrofy lutowej. Do Wiednia wrócił Hosch w jesieni r. 1846 i napisał tam w październiku trzeci memoryał, który w pozostawionym odpisie tak jest zatytułowany: »Dodatek do przedstawienia o stosunkach galicyjskich z zebranymi dowodami, napisany wskutek przeszło trzygodzinnej audyencyi prywatnej u Jego c. k. Wysokości Najdostojniejszego Arcyksięcia i złożony na Jego ręce«. Hosch nie wymienia arcyksięcia, któremu memoryał swój wręczył. Że jednak chodzi tutaj o arcyksięcia Ludwika, który za czasów chorowitego cesarza Ferdynanda brał wielki, poniekąd decydujący udział w rządach, o ile nie

równoważył go potężny wpływ kanclerza Metternicha, to wypływa z samego faktu, że owo przedstawienie (pierwszy memoryał), do którego dodatkiem jest trzeci memoryał, wręczone zostało arcyksięciu Ludwikowi.

Genezę tego trzeciego memoryału wyjaśnia sam Hosch w jego tekscie. »Przy sposobności audyencyi, udzielonej mi najłaskawiej w kwietniu b. r., gdy ustnie uzupełniałem moje przedstawienie o stosunkach galicyjskich i o wypłacaniu premii za pomordowanych mówiłem według mojego najgłębszego przekonania, jako o fakcie, Wasza ces. król. Wysokość w Swoim usprawiedliwionym gniewie nazwał moje twierdzenie nieprawdziwem i z urzędownie zlikwidowanej sumy kosztów (500 złr.) wysnuwał konsekwentnie niepodobieństwo wypłacenia premii za tyle odstawionych trupów i rannych. Gniew Waszej ces. król. Wysokości był zaprawdę całkiem słuszny i godny członka austryackiego domu cesarskiego. Ale niech gniew ten spadnie na winnego«.

Z tych słów można sobie wyobrazić, o czem i w jakim tonie była mowa na kwietniowej audyencyi u arcyksięcia Ludwika. Hosch z wielką, na owe czasy i stosunki wprost podziwu godną odwagą zdemaskował starostę tarnowskiego Breinla, obwiniając go o wypłacanie krwawych premii za pomordowanych przez chłopstwo powstańców, oczywiście na własną rękę, bez wiedzy generał-gubernatora Galicyi, arcyksięcia Ferdynanda d'Este. Z tą niezwykłą odwagą cywilną łączyło się w Hoschu głębokie przekonanie o słuszności podniesionego zarzutu i przeświadczenie, że jego gorący patryotyzm austryacki bynajmniej nie wkłada nań obowiązku zamilczania lub upiększania ohydnych sprawek samowoli biurokratycznej, lecz owszem każe otwarcie i jawnie napiętnować te sprawki tak, aby cała odpowiedzialność spadła na występne jednostki i nie rzucała najmniejszego cienia ani na generał-gubernatora Galicyi, arcyksięcia Ferdynanda d'Este, ani w ogóle na rząd austryacki w ścisłem tego słowa znaczeniu. Podobna dążność przebija z powyżej powołanego dzieła Maurycego br. Sali, ale w takiem zamgleniu, niemal zaciemnieniu i z takiemi zastrzeżeniami, że dostrzegalną staje się tylko dla czytelnika, który zna już inne materyały do historyi r. 1846, przytem umie, że tak powiemy, czytać między wierszami i wiele odgadywać, a wreszcie ani na chwilę nie zapomina o tem, że autor jako radca gubernialny i prezydyalista lwowski z r. 1846, więc bądź co bądź krępowany względami dawnego koleżeństwa urzędowego, musiał sobie nałożyć niezwykłą miarę

wstrzemięźliwości w wyjawieniu nadużyć biurokratycznych. Co do premii Breinlowskich jednak Sala stoi na stanowisku bezwarunkowej negacyi i traktuje wieści współczesne jako oszczerstwo, kiedy tymczasem Hosch wieści te przedstawia jako oparte, jeżeli nie na absolutnych dowodach, to przynajmniej na bardzo ciężkich poszlakach, których nie wahał się przedstawić arcyksięciu Ludwikowi w trzecim swoim memoryale. Stanowiłby zatem memoryał ten materyał niezmiernej wagi dla historyi r. 1846, gdyby odpis przechowany w Zakładzie Ossolińskich był całkowitą kopią oryginału. Do odpisu jednak nie zostały dołączone kopie załączników w tekście powołanych, a ponieważ właśnie w tych załącznikach mieszczą się poszlaki czy dowody podniesionego oskarżenia, więc wartość materyału zmniejsza się wskutek tego znacznie. Co gorsza, sam tekst memoryału w braku załączników staje się w głównej części niejasny, poniekąd nawet niezrozumiały, wskutek czego zrzec się musimy przytoczenia go w dosłownem brzmieniu, jak to uczyniliśmy z pierwszym memoryałem. Ale nawet urywkowa i skrócona reprodukcya zachowa jeszcze zawsze charakter ważnego materyału.

Także i ten październikowy memoryał Hoscha zaczyna się jak oba poprzednie od uroczystej afirmacyi gorącego patryotyzmu. »Z silnem przeświadczeniem — pisze Hosch — że służę Bogu, państwu, ludzkości i prawu, opuściłem z końcem marca 1846 r. moją posiadłość w Galicyi, moją rodzinę, chroniącą się przed hańbą i śmiercią na Węgrzech i pospieszyłem do Wiednia, aby mojemu najwyższemu rządowi przedstawić stosunki nieszczęśliwej Galicyi, jak je widziałem i teraz jeszcze widzę, bez uprzedzenia, w taki swobodny i otwarty sposób, jaki przystoi każdemu obywatelowi państwa, ojczyznę swoją namiętnie kochającemu, najwyższej swojej dynastyi z prawdziwie dziecięcem przywiązaniem i wiernie oddanemu. Byłem tak szczęśliwy, że zostałem wysłuchany. Moja dobra wola i troskliwość o dobrą sprawę, o utrzymanie powagi prawa, historycznego honoru mojej ojczyzny i niezaćmionego blasku mojego wysokiego domu cesarskiego kazały mi zobowiązać się najuniżeniej wobec Waszej Ces. Wysokości do dodatkowego dostarczenia dowodów, które mogłyby moje poprzednie przedstawienie uzupełnić i uzasadnić. Nietylko moje słowo lecz i moje życie byłbym chętnie gotów dać w porękę, gdybym nie widział, że jest to niedostatecznem wobec urzędowych relacyi, które uchodzą lub uchodzić muszą za nieomylne. Wierzę jedynie w nieomylność Boga,

a nigdy nie uwierzę w nieomylność galicyjskiego starosty, komisarza cyrkularnego lub dragona cyrkularnego, chociażby oni nawet największą sobie do tego rościli pretensyę. Jak o Bogu, tak samo nie zwątpię także o Austryi i jej sprawiedliwości. Zamącenie mojego szczęścia i mojego majątku wskutek wypadków przez owe czynniki spowodowanych nie podkopie mojego zaufania. Drogi Opatrzności są cudowne, niezbadane. Co uważałem za rzecz leżącą daleko poza sferą możliwości [1]), stało się w czasie moich usilnych zabiegów faktem. A jednak muszę słowa dotrzymać. Jest to moje szczere, usilne staranie. Wielkie ofiary, które chętnie poniosłem, aby państwu oddać pożyteczną usługę, wystawione są na podejrzywanie. Nazywają mię człowiekiem egzaltowanym, agentem Polaków i waryatem! Przez wysokiego urzędnika państwowego w Tarnowie [2]), przyjaciela mojego zmarłego ojca z lat szkolnych i młodzieńczych, o którego szacunek zawsze i skutecznie się ubiegałem, zostałem przy ostatniem spotkaniu przyjęty jako jeden z głównych wrogów Austryi. Na moje szczęście nie zostałem już później w ten sam sposób pożegnany [3]). Oby tylko setna część ludności Austryi z jednego pokolenia w drugie wyrastała na takich jak ja waryatów! Pewnie Austrya nie znalazłaby się w takim razie nigdy w tem położeniu, żeby się widziała zdradzoną w swoich najświętszych interesach, a jej obywatele nie przebywaliby nigdy takich wypadków i nie oglądaliby takich aktów jak poniższe«.

Jako akt pierwszy tego rodzaju przytacza i dołącza Hosch pismo prezydyalne generała brygady Collina l. 162 z dopiskiem starosty Bernda (z Bochni) z 24 lutego 1846. Że ten dopisek zawierał dyspozycyę paraliżującą wkroczenie siły zbrojnej, może przez generała Collina ofiarowanej, a tem samem dyspozycyę, która pośrednio przyczyniła się do rozpasania zbrodniczych band chłopskich, o tem wnosić można z następującego komentarza Hoscha do tego aktu: »Dnia 24 lutego chyba tylko ślepa namiętność mogła w Bochni uniemożliwić poznanie prawdziwego stanu rzeczy. Dla komendy batalionu w Są-

---

[1]) Dopisek własnoręczny Hoscha: »Starosta Breinl otrzymał już order Leopolda wbrew przyrzeczeniu Jego c. k. Wysokości«.

[2]) Dopisek Hoscha: »Prezydent sądowy Hohn«.

[3]) Dopisek Hoscha: »On sam wydał mi z aktów sprawy zamordowanego Bogusza (z registratury) oryginał rozkazu Breinla do Szeli, który znajduje się w rękach Jego c. k. Wysokości Arcyksięcia Ludwika«.

czu, odległej od widowni rzezi, musiał ten urzędowy dodatek mieć charakter wstrzymującego zarządzenia. A komenda ta, chociaż nieliczna i słaba, mogła wielkich rzeczy dokazać! Nie brakło chęci i odwagi, ale sparaliżowało je takie polecenie«.

Twierdzenie, że w cyrkule tarnowskim wydawano karty bezpieczeństwa i że kupcowi w Tarnowie Herzbergowi wydano kartę, która jego majątek od rabunku i pożogi ocaliła, uważał Hosch, jak sam mówi, za pogłoskę »zmyśloną i rozpowszechnioną pod wpływem goryczy obrażonego poczucia prawa«. Jednakże z dalszych dochodzeń swoich przekonał się Hosch, że wiadomość ta była prawdziwa, a na dowód dołączył do memoryału pismo profesora ks. Serwatowskiego, stwierdzającego z gotowością do złożenia przysięgi, że kartę powyższą nie tylko na własne oczy widział, lecz nawet dłuższy czas miał w swojem przechowaniu. Że do tego faktu Hosch przywiązywał tak wielkie znaczenie, to rzecz dość łatwa do wytłumaczenia. Prawdopodobnie oskarżając Breinla na prywatnej audyencyi u arcyksięcia Ludwika, utrzymywał Hosch, że Breinl zostawał w porozumieniu z Szelą i że za jego wpływem przez wydawanie takich kart bezpieczeństwa ocalał osobistości, które jak ów Herzberg w zagadkowy sposób zdobyły sobie sympatyę starościńską, kiedy tymczasem dokoła ginęli pod ciosami chłopskimi najpoważniejsi obywatele, a ich mienie stawało się pastwą rabunku i pożogi.

W sprawie najdrażliwszej, w sprawie krwawych premii Breinla, przytaczamy główne ustępy memoryału Hoscha dosłownie, chociaż w braku powołanych załączników są one miejscami niezupełnie jasne.

»Co do premii — pisze Hosch — wypłaconych za odstawionych jeńców, rannych i zabitych nie stanowi jeszcze wcale zupełnego dowodu drugi ustęp dołączonej deklaracyi prof. Serwatowskiego. Jednakże rozmowa z kancelistą cyrkularnym Zgórskim i wyrażona przytem obawa znajduje ilustracyę w sposobie odprawiania chłopów, którzy dzierżawcę z Białej pod Tarnowem pojmali i nietkniętego odstawili. Tutaj zupełnie obalone jest przedstawione mojemu najwyższemu rządowi usprawiedliwienie, jakoby wypłacano tylko należność za podwody i stracony zarobek. Dzierżawca ten Franciszek Szlagórski gotów jest przed sądem pod przysięgą powtórzyć, co mnie powiedział, że mianowicie w jego obecności innym chłopom płacono gotówką po 5 złr. m. k., podczas gdy chłopi, którzy go przywieźli, otrzymali tylko po 20 krajcarów. Szlagórski jako notorycznie niewmieszany

w sprawę został zaraz na wolność wypuszczony. Jestto człowiek w poważnym wieku i z taką opinią, że o krzywoprzysięstwo posądzony być nie może. W drugim ustępie swojej deklaracyi poświadcza profesor Serwatowski pod przysięgą, że widział na własne oczy, jak darowano chłopom konie dworskie, którymi oni zabitych przywieźli. Dzierżawca z Woli grądzkiej, Wincenty Nowina Smagłowski, ratując się ucieczką 19 lutego, kazał konie swoje wyprawić do Partynia. Tymi końmi chłopi przywieźli zabitych z Partynia do Tarnowa. Pan radca gubernialny (starosta tarnowski) Breinl darował te cudze konie chłopom, którzy je znowu żydowi sprzedali. W tej sprawie spisano w Partyniu protokół, który został wysłany mandataryuszowi Polkowskiemu w Tarnowie, a przez niego odstąpiony magistratowi tarnowskiemu. Smagłowski wniósł w tej sprawie skargę, która może już doszła do Najj. Pana. Treść skargi dobitnie stwierdza zaprzysiężone zeznanie prof. Serwatowskiego. Jeżeli sam nie byłem jeszcze w stanie dostarczyć Waszej Cesarskiej Wysokości niezbitego dowodu na fakt, że za zabijanie premie płacono, to powód leży jedynie w tem, że przez śledzenia za takimi dowodami sam tylko mogłem się na niebezpieczeństwo wystawić, na razie bez korzyści dla mojego najwyższego rządu, która była i pozostanie najwyższym celem moich usiłowań.

»Wasza Ces. Wysokość powątpiewa także o prawdziwości przedstawionej przezemnie ustnie pogłoski o wyznaczeniu premii 1.000 złr. na głowę Karola Kotarskiego. Sprawdzenie tej pogłoski usunęłoby może w znacznej części, jeżeli nie całkowicie, podniesiony przeciw Kotarskiemu zarzut, jakoby on stanął był na czele ruchu lub popierać go zamierzał. Ze sprawdzenia tej pogłoski dałoby się może wysnuć ten wniosek, że wobec nieszczęśliwego rezultatu nierozważnie wyznaczonej premii w konsekwencyi przy dochodzeniu winy Kotarskiego większą zwracano uwagę na okoliczności, pozornie tę premię uzasadniające, aniżeli na te, które wykazać mogłyby od dawna uznaną i wypróbowaną, dobrą i lojalną opinię Kotarskiego, którego działalność i enuncyacye aż do ostatniej chwili zawsze przechylały się na stronę Austryi a przeciw wszelkim knowaniom. W mojem badaniu prawdziwości powyższej pogłoski dotarłem do Macieja Schiffera, kolektanta loteryjnego i właściciela domu w Tarnowie, który listownie doniósł o tem jako o rzeczy najświeższej hr. Moszczeńskiemu w Zbylitowskiej Górze. Pan hrabia gotów jest list ten, jeżeli go znajdzie, przedłożyć w oryginale lub w każdej chwili powtórzyć szczegóły o fakcie,

jak to wobec mnie, w obecności adwokata dr. Piotrowskiego z Tarnowa i powołanego powyżej Macieja Schiffera oświadczył. Docierając do źródła tej pogłoski, wskazuję na osławionego żyda tarnowskiego Luxemberga, który opowiadał o tem tarnowskiemu mieszczaninowi Hossakowskiemu, jak to stwierdza dołączona a pod przysięgą złożona deklaracya ostatniego. Przytem pamiętać należy o tym ważnym szczególe, że Schiffer i Luxemberg żyli z starostą Breinlem w ciągłej, ścisłej a nawet przyjaznej styczności. A tylko Breinl jako starosta mógł taką premię wyznaczyć, jeżeli w ogóle premia była wyznaczona. Schiffer nie chce sobie przypomnieć listu pisanego do hrabiego w Zbylitowskiej Górze, a żyd Luxemberg wypiera się rozpowszechniania powyższej pogłoski, chociaż mu przedstawiałem, że mogę mu wykazać kłamstwo zaprzysiężoną deklaracyą poważnego mieszczanina. Gdyby nawet deklaracya Hossakowskiego nie była poparta gotowością do zaprzysiężenia, to jeszcze uważałbym ją za wiarygodną. Zawarte bowiem w tej deklaracyi samochwalcze poufne zwierzenie Luxemberga, że on »wie wszystko«, doskonale charakteryzuje tego żyda. Ruchliwe krzątanie się Luxemberga podczas katastrofy w budynku cyrkularnym i ciągłe stykanie się jego ze starostą, w urzędzie lub w jego pomieszkaniu, zanadto jest notorycznem w mieście, aby jeszcze potrzebny miał być dowód na to. Zresztą wiadomość Luxemberga o cyrkularnych zarządzeniach, czem się sam chwalił, była w tych nieszczęsnych dniach lutego rzeczywiście podziwienia godna i bynajmniej uchodzić nie może za zwyczajną żydowską przechwałkę«.

O tym Luxembergu podaje Hosch jeszcze jeden szczegół, którym słusznie jest zgorszony. Luxemberg znał doskonale kasę Breinla, bo w rozmowie z Hoschem prostował cyfrę wydatków, poniesionych przez starostę na podwody, któremi w dniach katastrofy chłopi zwozili do Tarnowa zabitych i rannych powstańców. »Skąd ta pewność?— pyta Hosch. — Czy sprostowanie to jest słuszne? Rzuca ono wiele światła na stosunki i zasługuje na zbadanie«.

W dalszym ciągu memoryału Hosch, powołując się na to, co o nieudolności i złośliwości biurokracyi powiedział w pierwszem przedstawieniu swojem, zarzuca jej, że taką, jaką była w dniach katastrofy, pozostała i później, gdy dość już upłynęło czasu, aby odzyskać spokój i zastanowienie. Na dowód tego twierdzenia przyłączył do memoryału własnoręczne pismo starosty Breinla z 20 marca 1846 do »kierownika powiatu« w Pilznie Langera. Odpisu tego pisma

niema w naszym rękopisie, ale z tekstu memoryału wynika, że chodziło tutaj o opiekę Szeli dla Józefy Boguszowej. Jak bardzo kompromitujące dla Breinla musiało być to pismo jego, poznać można z następującego komentarza, który Hosch w memoryale swoim dodał: »Chociaż pismo to brzmi życzliwie dla zupełnie przez Szelę zrujnowanej Boguszowej, to jednak świadczy ono o skompromitowanem stanowisku austryackiego starosty. Nadaje on jakiemuś Langerowi tytuł kierownika powiatu, więc urząd przez siebie stworzony, którego zakresu nie zna żaden austryacki obywatel państwa, a w piśmie tem w sposób poufny żąda i oczekuje zastosowania się mordercy i rozbójnika (Szeli) do treści pisma. Józefa Boguszowa oddana zostaje pod opiekę i na łaskę swojego poddanego, rozbójnika, mordercy całej rodziny Boguszów. Wezwanie i oczekiwanie pana starosty pozostało bez skutku, a pani Boguszowa nic o tem piśmie nie wiedziała. Dostało się ono z aktami spadkowemi po zamordowanym przez Jakóba Szelę Nikodemie Boguszu do registratury sądu tarnowskiego. Stamtąd wydobyłem je na prośbę nieszczęśliwej Boguszowej, aby akt uwłaczający tak dalece powadze urzędu austryackiego przedłożyć Waszej c. k. Wysokości do przejrzenia i zniszczenia, przez co zapobieży się dalszemu rozpowszechnieniu«.

Miał więc Hosch w rękach swoich dokument niezmiernej wagi, dowód poufałego stosunku Breinla z Szelą. Jeżeli zaś z takiego dokumentu Hosch nie pozostawił kopii, a oryginał wręczył arcyksięciu Ludwikowi dla zniszczenia, to złożył tem niezbity dowód, że wszystkim jego zabiegom około wyjaśnienia katastrofy z r. 1846 i zdemaskowania winowajców przyświecał wyłącznie ten cel wyższy, jaki przedstawił w poprzednich memoryałach ze stanowiska patryoty austryackiego.

»Szela — pisze dalej Hosch — tak wyniesiony i szanowany przez starostę tarnowskiego, znalazł łatwo szacunek także u starosty jasielskiego, na co dowodem załącznik dto 22 marca 1846 (również niedołączony w odpisie). Dominium Cieszynę, które doniosło o odmówieniu pańszczyzny wskutek rozkazów, wydanych przez osławionego Szelę i o niebezpieczeństwie dalszego podburzania poddanych przez Szelę, wzywa jasielski urząd cyrkularny w tem piśmie do cierpliwości, gdyż Szela dał zapewnienie, że obecnie postara się o nakłonienie poddanych przynajmniej do dokonania zasiewów wiosennych. Jakie to pocieszające dla dworów zapewnienie!«

Dotąd przemawiał Hosch jako patryota austryacki, oburzony na

niegodne, nawet haniebne postępowanie niektórych organów rządowych z ujmą dla powagi rządu, po za którego plecyma samowolnie działały, jako człowiek prawy i sprawiedliwy, zgorszony i do żywego dotknięty widokiem niezmiernego nieszczęścia i zbrodni, których sprawcy chodzą bezkarnie lub nawet jak Szela zaszczyceni poufałem traktowaniem ze strony starosty Breinla. Przy końcu memoryału odzywa się w Hoschu szlachetne serce, ujmujące się za nieszczęśliwymi bez obawy, że takie ujęcie się może nań ściągnąć podejrzenie. Hosch broni ks. prof. Serwatowskiego, na którym zaciężyły niesłuszne podejrzenia władzy, a dla Eustachego hr. Romera pragnie widocznie wzbudzić litość arcyksięcia Ludwika. Chociaż hr. Romer na kilka dni przed wybuchem ruchu zwrócił uwagę starosty na grożące niebezpieczeństwo, mimo to zaciężyło na nim podejrzenie władzy, a jego dwóch młodziutkich synów wsadzono do więzienia jako podejrzanych o uczestnictwo w ruchu. »Czy wina — pisze Hosch — spada na ojca, czy na obywatela państwa? Czy schorowany hrabia, ofiarując przysięgę, chce jeszcze nad grobem popełnić krzywoprzysięstwo, aby ocalić swoje dzieci ścigane? Nie mogę dać odpowiedzi na to pytanie, nie mogę kwestyi tej badać. Pragnąłbym jednak obok dołączonego oświadczenia hr. Romera, przedłożyć Waszej Ces. Wysokości także oba listy jego synów, pisane w więzieniu. Mogłyby one bardzo ułatwić dochodzenie winy. Są to świstki pisane po polsku ołówkiem. Wskutek częstego odczytywania przez rodziców, wskutek łez ojcowskich, padających przytem na te listy, stały się one już prawie nieczytelne, a będą niebawem zupełnie nieczytelne, jeżeli je chory hrabia dalej odczytywać będzie innym osobom z wzruszającem łkaniem«.

XI.

Głos Niemca-biurokraty z roku i o roku 1846.

I.

Wielu uzupełnień i sprostowań wymaga jeszcze krytyczny inwentarz materyałów, na których oprzeć będzie można dokładny obraz historyczny r. 1846 w Galicyi, obejmujący w pragmatycznem przedstawieniu nietylko opis ówczesnych krwawych wypadków, osnuty na dobrze nakreślonem tle stosunków politycznych, prawnych, administracyjnych i w ogóle społecznych, lecz także cały długi spiskowy prolog tych wypadków i ich następstwa. W ostatnich, w półwiekową rocznicę rzezi wydanych obrazach historycznych tej doby, nie został jeszcze należycie wyzyskany nawet tak łatwo dostępny, niejako pod ręką leżący, a bardzo cenny materyał, jak znajdujące się w rękopiśmiennych zbiorach Zakładu Ossolińskich w autoryzowanych odpisach memoryały Ferdynanda Hoscha [1]), Niemca i szczerego patryoty austryackiego, który jako naoczny świadek a poniekąd i ofiara rabacyjnej zawieruchy, gospodarkę ówczesnej biurokracyi, szczególnie starosty tarnowskiego Breinla, przedstawił arcyksięciu Ludwikowi w takiem świetle, że wobec jego zeznań i przytoczonych przezeń faktów daremne są wszelkie niemieckie próby rehabilitacyi winowajców, nie wyjmując nawet ostatniej próby tego rodzaju, podjętej przed dziesięciu laty przez prof. Losertha z Gracu przy ogłoszeniu w Berlinie pamię-

---

[1]) Rks. nr. 1483. — Por. rozdz. X.

tnika samego Breinla, znalezionego przypadkiem w styryjskiem archiwum krajowem [1]).

W ostatnich czasach przybył do historyi doby spiskowej oraz wypadków z r. 1846 i następnych materyał ogromnej objętości, t. j. złożone w Archiwum Bernardyńskiem akta dawnego lwowskiego sądu kryminalnego, w którym koncentrowały się wszystkie polityczne sprawy kryminalne. Czy wydatność historyczna tych aktów w przybliżeniu dorówna ich objętości, o tem z pierwszego poglądu i sumarycznego przejrzenia pomimo uzasadnionej wątpliwości, dziś jeszcze sądu wydać nie można. W każdym razie jednak materyał ten zasługuje na uporządkowanie i krytyczne rozpatrzenie, co połączone będzie z niemałym nakładem pracy i nie uwolni badacza od wielkiej ostrożności w czerpaniu szczegółów z tego świeżego źródła. Ostrożność ta wskazana jest nietylko z samej natury rzeczy, lecz nadto jeszcze z tego powodu, że owe akta pochodzą z czasów zupełnie niepodobnych do stanu obecnego, nietylko co do ustroju sądownictwa, lecz także co do całego ustroju prawnego i administracyjnego. A przytem wobec faktu, że wypadki r. 1846 w historycznej perspektywie nie są jeszcze zbyt odległe od dzisiejszego pokolenia, liczyć się trzeba więcej niż gdzieindziej, z tym nieuchwytnym czynnikiem, który, nawet wśród metodycznych poszukiwań tego rodzaju często ważną zwykł odgrywać rolę, t. j. liczyć się trzeba z szczęśliwym przypadkiem, nasuwającym nieraz pod rękę rzecz nadzwyczaj cenną, która łatwo mogła pozostać niespostrzeżoną lub nawet uledz zagładzie.

Takiemu właśnie szczęśliwemu przypadkowi zawdzięczamy poznanie wielce ciekawego aktu, znalezionego wśród stosu starych papierów, pozostałych po zmarłym niedawno wyższym urzędniku administracyjnym, którego nowicyat służbowy na stanowisku konceptowego praktykanta dawnego gubernium galicyjskiego przypadł w czasy rabacyi [2]).

Akt ten z podpisem niewyraźnym, z drobnemi poprawkami tem

---

[1]) Ob. Preussische Jahrbücher, tom 112 z r. 1903, str. 248—287. — Por. dodatek do rozdz. IX.

[2]) Papiery te pozostały po ś. p. Aleksandrze Zborowskim, radcy Namiestnictwa, zmarłym 30 września 1905 r. na emeryturze w Krakowie. Niemiecki oryginał aktu, o którym tutaj mowa, oddany został przez rodzinę do zbiorów rękopiśmiennych Zakładu Ossolińskich Nr. 4643. *(Przypisek autora).*

samem pismem co podpis zrobionemi, wygląda jak czystopis, pod względem kaligraficznym doskonały, ale wskutek owych poprawek już zepsuty. Być może, że jest to jeden z odpisów, które autor memoryału, wysyłając oryginał pod właściwym adresem, sporządzić kazał dla siebie, aby je potem znajomym lub kolegom rozdać. Są to jednak kwestye bez znaczenia wobec wybitnych w całej formie i w treści cech autentyczności i wobec merytorycznej wagi dokumentu historycznego, jako poważnej enuncyacyi biurokraty współczesnego, Niemca z rodu, więc sędziego bezstronnego w opisaniu wypadków i stosunków, jako głosu urzędnika lojalnego i całą duszą swojemu rządowi oddanego, więc skłonniejszego do zamilczenia lub maskowania błędów biurokracyi, niż do łagodzenia winy spiskowców, wreszcie jako relacyi chwilowego uczestnika akcyi rządowej około uśmierzenia rozruchów przy pomocy siły zbrojnej, więc klasycznego znawcy środków tej akcyi, oraz sposobu ich użycia.

Akt ten podajemy poniżej w dosłownym przekładzie, zastrzegając sobie ku końcowi rozdziału uwagi, które się nam potrzebnemi wydają. Nie wyłączamy ani nie zmieniamy w tym przekładzie żadnego zdania, chociaż w niektórych ustępach, zwłaszcza tam, gdzie jest mowa o duchowieństwie lub o żydach galicyjskich z owej doby i o żydach w ogóle, znajdują się uwagi i zdania skrajne, nawet tak drażliwe, że chętnie opuścilibyśmy je tutaj, gdyby nie wzgląd na wagę, jaką przypisujemy temu aktowi.

Wstrzymamy się także od podnoszenia lub podkreślania poszczególnych, uderzających czy to trafnością czy oryginalnością poglądów i zdań powyższego memoryału Niemca-biurokraty, bo w takim razie powstałaby stąd parafraza, a gdybyśmy ją nadto uzupełnić chcieli potrzebnemi w niektórych ustępach zastrzeżeniami i uwagami prostującemi i uzupełniającemi, wypadłoby przełamać ramy tej pracy wytknięte i nakreślić niejako tło historycznego obrazu r. 1846. Ograniczamy się tedy tylko do zaznaczenia tego, co w piśmie tem wydaje się nam szczególnie uwagi godnem i co mu nadaje wyjątkową wartość dla przyszłego historyka r. 1846.

Otóż najpierw ten w całem piśmie swojem tak lojalny, tak oddany rządowi ówczesnemu i o jego reputacyę na zewnątrz tak dbały Niemiec-biurokrata wypowiada nie w formie przypuszczenia, lecz w sposób stanowczy zdanie, dotąd wprawdzie z polskiej strony z niezachwianem przekonaniem powtarzane, ale przez niemieckich i w ogóle

niechętnych nam pisarzy zazwyczaj jako tendencyjne naginanie lub nawet przekręcanie faktów przedstawiane, mianowicie zdanie, że w roku 1846 władze centralne w Wiedniu były w błąd wprowadzone urzędowemi relacyami z Galicyi o ówczesnym jej stanie, zwłaszcza o stosunkach społecznych. Za sprawą tych błędnych informacyi uważano w pierwszej chwili wybuch dzikich instynktów nastrojonego przeciw szlachcie chłopstwa za samorzutny objaw wzburzonego uczucia patryotycznego wobec rządu austryackiego, a mordy i najohydniejsze zbrodnie, popełniane w rozbestwieniu z dzikiej złośliwości i prostej chciwości łupu, za czynne wyrażenie przywiązania ludu do rządu, przywiązania, którego w rzeczywistości nie było, które wcale rozwinąć się nie mogło. Takiem urojeniem zagłuszano własne skrupuły i maskowano ohydne zdrodnie wobec władz centralnych, przedstawiając przytem w przesadnem generalizowaniu faktów lub nawet w sposób wprost zmyślony wrzekomo niesłychany ucisk pańszczyźniany chłopów ze strony szlachty. W memoryale podniesiono, że w Sanockiem właśnie dwory, znane powszechnie z ludzkiego postępowania z poddanymi, padły w czasie rabacyi ofiarą ich rozbestwionego tłumu. Co Niemiec-biurokrata mówi pod tym względem o stosunkach cyrkułu sanockiego, to stosuje się także do innych stron kraju rabacyą objętych. A zaznacza przytem ten Niemiec-biurokrata bez zastrzeżeń, że urzędnicy cyrkularni stronniczem postępowaniem w sprawach pańszczyźnianych utrzymywali chłopa w zawiści społecznej, którą — zaraz dodać tu należy — niestety i z innej strony jeszcze w zaślepieniu spiskowem w niepojęty sposób podsycano.

Równie stanowczo, jak błędne informowanie Wiednia o stosunkach galicyjskich, zarzuca Niemiec-biurokrata władzom cywilnym i wojskowym, że w chwili krytycznej nie spełniły tego, co do nich należało. Gdy wybuch podnieconych dzikich instynktów chłopskich przybrał formy i rozmiary nieprzewidywane, władze cywilne i wojskowe popadły w przerażenie, straciły wprost głowę i nie umiały stłumić zbrodniczych wybryków środkami, którymi rozporządzały, a które umiejętnie użyte mogły były zupełnie wystarczyć. Autor memoryału w podniesieniu ostatniego zarzutu przemawia śmielej, niż w innych ustępach. Miał do tego wszelkie prawo, bo sam przykładem swoim okazał, jak małą asystencyą zbrojną, kilku żołnierzami, można było wtedy zapobiedz wielkiemu nieszczęściu. Tak samo jak w Sanockiem, było pod tym ostatnim także względem w zachodnich cyrkułach, objętych

rabacyą. Ta jednak zachodzi różnica, że z Sanockiego posiadamy szczerą relacyę od prawego a klasycznego świadka, kiedy tymczasem starosta tarnowski Breinl tak w pierwszych relacyach swoich, pisanych dla arcyksięcia Ferdynanda, jak i w pamiętniku, wstydliwie przed współczesnym światem ukrywanym i dopiero w pół wieku później ogłoszonym, kłamstwami i przesadą starał się zamaskować niedołęstwo i nieporadność organów cywilnych i wojskowych, aby tem lepiej zasłonić własną przewrotność i złą wiarę.

O wypadkach galicyjskich z r. 1846 mamy dwa niemieckie, wrzekomo historyczne dzieła, napisane przez dwóch wybitnych przedstawicieli ówczesnej niemieckiej biurokracyi we Lwowie, przez byłego dyrektora policyi Leopolda Sacher-Masocha i przez byłego prezydyalnego radcę gubernialnego Maurycego br. Salę. Obaj byli tak nastrojeni, jak sfery ugrupowane około prezydenta gubernialnego br. Kriega, więc sfery, z których wychodziły błędne informacye dla władz centralnych o stanie i stosunkach kraju. Obaj ci biurokraci pisali dzieła swoje o r. 1846 wprawdzie nie zaraz po katastrofie, lecz dopiero po upływie wielu lat, ale obaj nietylko wytrwali w swojem uprzedzeniu, lecz nadto czerpali uzupełniające daty i szczegóły z aktów władzy centralnej w Wiedniu, więc z głównego zbiornika tych wszystkich fałszywych informacyi, jakie tam ze Lwowa wpływały. To też oba te dzieła stanowią obok oskarżenia szlachty o buntowniczość i o srogi ucisk pańszczyźniany także próbę zrehabilitowania biurokracyi, jako rzekomej opiekunki ludu uciskanego i za to przez szlachtę znienawidzonej a potem oczernionej, oraz apologię chłopskich band rabacyjnych, jako rzeszy, patryotycznie wobec Austryi nastrojonych i do jej rządu opiekuńczego szczerze przywiązanych.

Zestawmy teraz te obie tomowe apologie rozbójniczych band rabacyjnych z r. 1846, napisane przez dwóch biurokratów, przejętych aspiracyą do roli historyków (Sacher-Masocha i Salę), z wydobywającym się dziś tylko dzięki przypadkowi niepretensyonalnym głosem trzeciego biurokraty, który w r. 1846 odgrywał skromną rolę, rzecz swoją napisał z wyraźnem zastrzeżeniem, że nie jest ona przeznaczona do publicznego ogłoszenia, a pisząc ją i wyjawiając w niej prawdziwy stan rzeczy dla informacyi władzy przełożonej, pewnie przejęty był świadomością odpowiedzialności, na jaką się naraża, zarzucając organom rządowym błędne informowanie władz centralnych o stanie rzeczy, a potem niedołężne postępowanie przy poskromieniu zbrodniczych

ekscesów chłopskich. Będzie to niejako konfrontacya świadków przed trybunałem historyi. Pierwsi dwaj biurokraci opisują krwawą łunę, jaką wśród pożaru rabacyjnego oglądali z odległego i wygodnego, biurowego punktu obserwacyjnego, a co do szczegółów pożaru — *referunt relata*, powtarzając fałszywe informacye, dostarczane w swoim czasie Wiedniowi. Trzeci świadek-biurokrata stał wtedy w ogniu, obserwował przebieg katastrofy w jednym niebezpiecznym punkcie jej widowni własnemi oczami, odegrał w akcyi ratunkowej czynną rolę i zdał sprawę ze wszystkiego, co widział na własne oczy wtedy i przedtem, gdy się dopiero zanosiło na katastrofę. Wynik takiej konfrontacyi jest jasny dla każdego, kto poznać chce całą prawdę.

II.

Akt, o którym tutaj mowa, tak opiewa w dosłownym przekładzie:

»Nadzwyczajne wypadki, których widownią była Galicya w lutym r. 1846, rozmaicie omawiane i często rozmyślnie przekręcane we wszystkich krajowych i zagranicznych dziennikach, są tego rodzaju, że podobnych nie może dotąd wykazać historya żadnego dobrze zorganizowanego państwa, że więc ludzki i w stałym takcie współczesnego postępu działający rząd austryacki pewnie tego przewidzieć nie mógł.

»Wysoki rząd nie może tedy dość ściśle zająć się tymi wypadkami, żeby z jednej strony dokładnie zbadać wszystkie sprężyny, które przytem w grę wchodziły, z drugiej strony zaś usunąć wszystkie przy tej sposobności spostrzeżone niedostatki w organizacyi tej prowincyi stosownemi reformami, bez nadzwyczajnych ofiar pieniężnych, z wszelkiem możliwem oszczędzaniem prerogatyw szlachty, na dobro i pożytek całego kraju.

»Wysoki rząd ma tedy przed sobą bardzo trudne zadanie, którego rozwiązanie opiera się wyłącznie i jedynie na jak najdokładniejszej znajomości faktów, jaką tylko pozyskać zdoła. Że złożone w tej mierze urzędowe relacye różnych władz nie są dostateczne, na to wystarczającym dowodem powinna być już ta okoliczność, że tak przed wypadkami z lutego, jak i wśród tych wypadków władze popełniły wielkie błędy, na których upiększeniu niejednemu naczelnikowi urzędu zależeć musiało, niestety kosztem prawdy i ze szkodą dla całej sprawy.

Skoro każdą rzecz obserwować można z różnego punktu widzenia, to rozliczne z Galicyi do Wiednia wysłane relacye różnych władz mogły wprawdzie pomienione wypadki opisać zgodnie z prawdą, ale decydujące przyczyny mogły być przytem albo nienależycie uchwycone, zatem przekręcone, lub wcale pominięte. Relacye takie spowodowały zarządzenia, które dotąd niestety nie zdołały ani przywrócić spokoju w kraju, ujmując lud napowrót w karby prawa i posłuszeństwa, ani przejednać cieni wielu całkiem niewinnie pomordowanych, których duchy nie tylko w pamięci pozostałych wdów, sierót i wszystkich krewnych, lecz także w sercach wszystkiej szlachty krajowej podsycają złe usposobienie, wprawdzie dotąd bezsilne, zawsze jednak na uwagę zasługujące. To też nadzwyczajna łagodność, z jaką postępuje się przeciw uwięzionym powstańcom i osobom skompromitowanym, nie może wpłynąć na umysły w sposób pojednawczy i uspokajający. Przeciwnie, tłumiona nienawiść odzywa się z dnia na dzień głośniej i spostrzegać się daje coraz większe skłanianie się całej szlachty na stronę niedawno jeszcze najwięcej znienawidzonego przeciwnika polskiej narodowości, t. j. Rosyi.

»Wysokiemu rządowi zdają się tedy być potrzebne oprócz władz także inne organa, które w wieloletniej styczności z krajem szczegółowo poznały jego stosunki, patrzały na wypadki niezamąconem okiem a z bezstronnem sercem i podać mogą obserwacye swoje do wysokiej wiadomości.

»Z tego motywu wypłynęło niniejsze pismo, a jego autor byłby dostatecznie wynagrodzony, jeżeliby tylko jeden lub drugi punkt znalazł przychylne przyjęcie, a to lub owo z przedstawionych zdań zostało jako faktycznie prawdziwe uznane i dla dobra kraju zużytkowane. Autor zastrzega się jednak najuroczyściej przeciw insynuacyi, jakoby występował tylko jako krytyk zarządzeń swoich bezpośrednich przełożonych i władz niższych. Do spisania swoich uwag skłoniło go tylko prawdziwie szczere życzenie, aby jako wierny poddany według słabych sił swoich w interesie dobra publicznego złożył także swoją ofiarę na ołtarzu ojczyzny.

»Po tym wstępie stosownem będzie wspomnieć o ostatniej rewolucyi i bliżej objaśnić wypadki, które ją poprzedziły, zarządzenia co do nich przez niższe władze wydane, oraz ich wyniki, jako właściwe zdarzenie fatalne, które wywołało zdumienie w całym świecie i wypominane jest najniesłuszniej wysokiemu rządowi. Wyznania nieuprze-

dzonego świadka naocznego, Niemca z urodzenia, powinny być uznane jako bezstronne i prawdziwe.

»Materyału palnego i burzliwych żywiołów rewolucyjnych jest dziś, dzięki przedewszystkiem propagandzie komunistycznej, niestety więcej, niż dawniej, w każdym kraju, w każdej prowincyi. Nikogo to dziwić nie może, że żywioł ten nagromadził się przedewszystkiem w polskich prowincyach, gdyż w ciągu ostatniego stulecia żaden naród nie został tak srogo dotknięty, jak dumny ze swojej odrębności i niegdyś tak potężny naród polski wskutek utraty samodzielności i podziału jego wielkiego państwa pomiędzy trzech obcych mocarzy. W tem nieszczęściu wina spada wprawdzie na sam naród, ale mniema on, t. j. mniema tak myśląca część narodu (a tą jest dotąd prawie wyłącznie tylko szlachta), że za winę już dostatecznie odpokutowano. W sercu żywi naród polski tylko to jedno gorące życzenie, aby doczekał się połączenia w niezawisłe, samodzielne państwo, do czego gotów jest przyczynić się krwią i mieniem. Takie życzenie, trzymane w głębi serca, nie stanowi jeszcze zbrodni, lecz przeciwnie zasługuje na pochwałę i szacunek u każdego człowieka w podobnem położeniu, bez względu na to, do jakiej narodowości należy. Kilkakrotnie życzenie to dojrzało w krwawy czyn i rozbiło się tylko dlatego, że stosunki danej chwili nie sprzyjały przedsięwzięciu.

»Ale to nieszczęście narodu polskiego wzbudziło dlań sympatyę prawie u wszystkich ludów, a nawet u wielu rządów, wskutek czego dziś lub jutro stać się musi niebezpiecznem dla jednego z państw, które się Polską podzieliły. Sympatye te, tak często, prawie codziennie, bez obawy i skrupułu publicznie objawiane, a w izbach i gabinetach innych potężnych narodów omawiane, podsycają nieustannie ognisko rewolucyjne i stanowiły też główny impuls do ostatniego przedsięwzięcia. Każdy poryw tego rodzaju znajduje w każdem sercu silny odgłos, pominąwszy nawet wszystkie przypadkowe, takim porywom sprzyjające okoliczności, jak brak majątku, zawiedzione nadzieje w staraniach o zabezpieczenie bytu, rzeczywisty lub urojony brak uznania dla wiedzy lub zasług, widoki zdobycia warunków szczęścia i t. d. Nawet pomiędzy osobami zadowolonemi z obecnego rządu można zyskać prozelitów nieznaczną przynętą lub groźbą co do lękliwych umysłów. Tak się rzecz ma zwłaszcza w takim razie, jeżeli wskutek istotnej lub chociażby tylko pozornej bezczynności lub wskutek błędów niższych władz interesowanych w tej mierze rządów toruje się

drogę rozmyślnie rozpowszechnianej wieści, jakoby znaczna część nawet wyższych urzędników i wojska była niezadowolona i czeka tylko na pierwszy wybuch, aby przyłączyć się do przedsięwzięcia. Taka opinia istotnie rozpowszechniona była wszędzie pomiędzy powstańcami i szlachtą, a wzmocniona została jeszcze przez to, że chociaż dłuższy czas przed wybuchem rewolucyi już każde dziecko o tem mówiło i widocznem było żywe wzburzenie i spotęgowane poruszenie pomiędzy szlachtą, jej oficyalistami i służbą, ze strony niższych władz prawie zgoła niczego nie przedsięwzięto, aby podburzającej działalności garstki ludzi wcześnie kres położyć.

»Ta zupełna bezczynność niższych władz dodawała sprawcom niepokojów, pomimo nadzwyczaj małych środków, coraz więcej odwagi. Wysyłane do różnych naczelników urzędów i funkcyonaryuszy w formie ostrzeżeń listy z pogróżkami, w których często była mowa o wymordowaniu wszystkich urzędników i osób wojskowych do rewolucyi nie przystępujących, powiększyły trwogę już u władz niższych wzbudzoną. Zamiast wystąpić przeciw tak niedorzecznemu wśród dzisiejszych stosunków przedsięwzięciu w poczuciu obrony słusznej sprawy i swojego monarchy z otwartą przyłbicą, z rozwinięciem całej energii, z odwagą i bohaterstwem, straciły te władze przytomność umysłu, tak wielce potrzebną do zwalczenia takiego więcej w wyobraźni istniejącego niebezpieczeństwa, wskutek czego nie tylko dotąd zdala się trzymający właściciel dóbr i każdy poddany uległ trwodze, lecz nadto strach i lęk o życie ogarnęły przedewszystkiem stan urzędniczy i obywateli po miastach, a po części także wojskowych. Niczego nie podjęto nawet w ostatnich dniach przed oznaczonym i już znanym terminem wybuchu rewolucyi, gdyż niższe władze już zupełnie przekonane były, że wybuch nie znajdzie u ludu wiejskiego żadnego oddźwięku, że zatem przedsięwzięcie powstającej szlachty z góry uważane być może za chybione, gdy wysłanie malutkich oddziałów wojska na różne punkta cyrkułu wystarczyć mogło do utrzymania spokoju i porządku, a zarazem nadzorowanie od dawna już wiadomych punktów zbornych do udaremnienia schadzki powstańcom i do ich aresztowania. Przeciwnie, wszystko pozostawiono samemu biegowi rzeczy. Każdy komendant koncentrował swoje wojsko około własnej osoby i może prędzej pozwoliłby był uciąć sobie rękę, aniżeliby miał wyprawić najmniejszy oddział.

»Przeciw urojonej sile wielu tysięcy ludzi, której nigdzie nie

było i być nie mogło, układano w ciągu tych strasznych dni nieustannie plany obrony, projektowano barykady, oznaczano linie odwrotu, a o ataku i zwycięstwie nikomu się nie śniło. Każdemu gońcowi z wiadomością o sile sprzysiężonych w różnych okolicach cyrkułu (a byli to po największej części lękliwi żydzi i chłopi, którzy opowiadali o tysiącach, gdy tylko o dziesiątkach można było mówić i którzy po największej części tylko ze słuchu opowiadali, a sami niczego nie widzieli) bezwarunkowo dawano wiarę, chociażby wiadomość była najniedorzeczniejszą. W ten sposób okazały niższe władze i wielu komendantów wojsk trwogę i słabość nie do darowania, czem w najwyższym stopniu skompromitowano wysoki rząd i waleczną armię austryacką.

»Kiedy same wojska pałały żądzą zmierzenia się z wrzekomym nieprzyjacielem, wyruszenia bez trwogi dla wyszukania nieprzyjaciela w jego kryjówkach, skazano je na bezczynność. Z przesadnej obawy skompromitowania wojska, które wszędzie za zbyt słabą siłę uważano, skompromitowano właśnie to wojsko jego bezczynnością w najwyższym stopniu. Starzy wojskowi w ogóle zwykli zawsze powtarzać: nie należy wojska kompromitować. Znaczy to tyle, co hasło: nie uderzaj nigdy na nieprzyjaciela, chyba gdy z góry jesteś przekonany, że jesteś liczniejszy i silniejszy. Piękna to maksyma! Nigdy z niej nie powstałby wódz, nigdy nie doprowadziłaby ona do zaszczytnego czynu wojennego. Takiej maksymy wstydzić się musi każdy dzielny żołnierz. Nigdy nie kompromituje się wojsko spełniające swój obowiązek, chociażby dziesięciu żołnierzy stawało przeciw tysiącom. W historyi Austryi niema przykładu, żeby kiedy wojsko opuściło dzielnego i odważnego wodza, bez którego nawet przemagająca siła nie odniesie zwycięstwa w walce z bandami nieregularnemi, ale odważnie prowadzonemi i zapałem przejętemi.

»Powszechnie powtarzanego twierdzenia, że przed wybuchem rewolucyi władze galicyjskie nie rozporządzały dostateczną siłą wojskową, nie podziela pewnie żaden dzielny, skory do walki a do tego uzdolniony wojskowy, któremu znana jest nadzwyczajna przewaga regularnego wojska nad pozbieranemi bandami i dobra postawa austryackiego żołnierza. Ale tajemnica tkwi w stosownem rozdzieleniu i użyciu wojska.

»Zdumienie z powodu bezczynności władz wzrastało z dnia na dzień. Niczego nie uczyniono dla ostrzeżenia lub uspokojenia pospólstwa.

Obwieszczenie z 18 lutego [1]) pojawiło się nadto późno. Nawet największa część urzędników nie otrzymała od swoich szefów ani ostrzeżenia, ani jakiegokolwiek pouczenia, co w ostatecznym razie uczynić należy. Każdy urzędnik pozostawiony był samemu sobie. Obiegały tysiączne wieści, z których każdy według indywidualnego poglądu wybierał sobie niektóre jako artykuły wiary i stosownie do tego zastanawiał się, co mu uczynić lub czego zaniechać wypadnie.

»Nieliczni, przez swoich przełożonych wtajemniczeni urzędnicy chodzili z tajemniczemi, zastraszonemi minami i tem potęgowali tylko ogólną trwogę. Gdy wreszcie nadeszły dnie 19, 20 i 21 lutego, kiedy co wieczór oczekiwano z pewnością napadu na miasto, a wojsko niepotrzebnie się nużyło, w całem mieście nie było końca lamentom, a wszędzie się pakowano. W tem ogólnem przerażeniu byłby zaprawdę mały, dzielny oddziałek wystarczył, aby sprowadzić wielkie nieszczęście na miasto i jego mieszkańców. Jest to stara prawda, że każda rewolucya potężnieje, jeżeli się w przeciwnym obozie trwoga objawi i tylko wielkiemi ofiarami można zniweczyć korzyści przez nią w pierwszej chwili odniesione. Przerażona strona znajduje się zatem zawsze w niekorzystnem położeniu. Aż do przedednia wybuchu według powyższego przedstawienia niestety rząd znajdował się w tem położeniu, gdyż niższe władze niczego nie uczyniły dla zwalczenia wybuchu. Z wyjątkiem miast cyrkularnych i niewielu innych cały kraj wydany był powstańcom bez dobycia broni, bez strzału. Czyż w takim składzie rzeczy nie miała róść w najwyższym stopniu odwaga nawet najtrwożliwszych powstańców, czyż w niestosownych zarządzeniach niższych władz nie mogli oni upatrywać niejako uznania a nawet poparcia dla swojego przedsięwzięcia? Cóż innego pozostawało najwierniejszym poddanym po wsiach, jak przyłączenie się do powstańców za pierwszem wezwaniem? Jakiej pomocy i jakiej ochrony doznali oni od władz niższych? Niestety żadnej. Nawet ucieczka do miast została im odcięta, gdyż wobec ogólnego podejrzenia wzbraniano uciekającym pobytu w miastach.

»Kraj poza miastami, pozostawiony bez wszelkiej władzy, oddany został na łaskę sprzysiężonym i chłopstwu. Powstańcy wprawdzie jeszcze nie zjednali sobie chłopów, ale mając w pamięci r. 1830,

---

[1]) Była to znana odezwa arcyksięcia Ferdynanda, ostrzegająca kraj przed wybuchem. *(Przypisek autora).*

kiedy to ogół ludu równy okazywał współudział, ani na chwilę nie wątpili, że lud połączy się z nimi. To też mniemali, że z wezwaniem ludu do chwycenia za broń mogą się wstrzymać aż do chwili rozstrzygającej. Ale tutaj powstanie rozbiło się w swojej podstawowej rachubie i wszystkie iluzye powstańców zmieniły się — w krew, z ich własnych żył wytoczoną!

»Tego nagłego zwrotu, tego gromu uderzającego z jasnego nieba na powstańców nikt nie przypuszczał, nikt nie przewidywał, chociażby nawet kto przeciw temu twierdzeniu chciał wystąpić. Nie przewidywały tego władze, pozostawiając lud samemu sobie bez legalnych przewódców, gdyż inaczej musiałyby były przewidywać popełnione przezeń niesłychane mordy, okrucieństwa i rabunki, a tem samem niejako z góry je pochwalać. Takiej hańby przecież żadna władza nie zechciałaby ściągnąć na siebie! Nie przewidywali tego powstańcy, gdyż inaczej nie byliby się tak na oślep rzucili w przepaść zagłady. Jakaż tedy była przyczyna tego jedynego w swoim rodzaju zdarzenia w historyi? Czy było to czyste przywiązanie ludu do istniejącego rządu i do monarchy, czy następstwo nienawiści i mściwości poddanych wobec dziedziców, czy wreszcie ślepy przypadek w grę wchodzący? Nie jedna z tych przyczyn sprawiła to, lecz mieszanina wszystkich trzech przypuszczeń, której przeważającą ingredyencyę jednak stanowił komunizm.

»Czyż w rozsądnem rozpatrzeniu się można przypuścić, żeby zachodziło takie przywiązanie ludu do rządu i monarchy, nie objawiając się wszędzie tak, żeby każdemu było znane? Jeżeli się zaś to przypuści, czy można w takim razie pomyśleć, że szlachta całego kraju, a z nią przewódcy spiskowców byli tak zaślepieni, iżby nie widzieli tego przywiązania, nie znali go i przystępowali do przedsięwzięcia, którego powodzenie przy tak niedostatecznych fizycznych i moralnych siłach zależało jedynie i całkowicie od udziału i powstania ludu *en masse?*

»Nie można wprawdzie tego zaprzeczyć, że chłop galicyjski przez ochronę, jaką znajduje wobec po największej części tylko urojonych uciemiężeń swojego dziedzica, zdany jest na władze, zwraca się do nich i wzywa je przy najmniejszej sposobności, ale każdy urzędnik często z chłopem się stykający musi to przyznać, że z wyjątkiem tego jedynego wypadku, mianowicie zażalenia, lud galicyjski w większości żywi największą nieufność wobec wszystkich władz i słucha

wyłącznie podszeptów opłacanego przez gminę pisarza pokątnego. Zatem tylko pisarze pokątni stanowią wyrocznię i ewangelię galicyjskiego ludu wiejskiego.

»A czemże jest taki pisarz pokątny? Jest to albo wyrzutek społeczeństwa, albo indywiduum czujące się przez rząd upośledzonem i zaniedbanem, a tem samem do niczego niezobowiązanem. Jest to zatem naturalny przeciwnik i wróg rządu, oraz wszystkich jego zarządzeń, jest to propagator komunizmu, więc najniebezpieczniejszy podżegacz, żyjący tylko z wyzyskiwania głupoty pospólstwa. Armia pisarzy pokątnych wzrasta niestosunkowo z roku na rok, gdyż wielka liczba uczniów, corocznie opuszczających rozmaite zakłady naukowe, nie może znaleść pomieszczenia w służbie państwowej, do której się wszyscy garną, a wskutek tego znaczna część kandydatów pozostaje bez chleba i nie mając ochoty, lub nie będąc w stanie wrócić do rzemiosła ojcowskiego, lub do znojnego a wzgardzonego pługa, z początku staje się ciężarem dla żyjących rodziców i wkońcu wyrabia się na pisarzy pokątnych, na podżegaczy ludu wiejskiego.

»Ile to gmin waha się podpisywać protokoły urzędowe lub odmawia przyjęcia urzędowych ugód i t. d.! Daremnie wzywa do tego szef cyrkularny a nawet szef krajowy. Żadna gmina nie złoży oświadczenia bez poprzedniego zapytania swojej wyroczni, pisarza pokątnego. Gdzie tedy niema zaufania do rządu i władz rządowych, tam nie można szukać przywiązania. Wszystko stanowi pozór, a tylko lęk przed widomą siłą trzyma lud w karbach. Natomiast żywioły komunistyczne są już w kraju tak rozpowszechnione, że śmiało można utrzymywać, iż niema gminy, któraby nie posiadała u siebie wykształconych komunistów. Zasady komunizmu zbyt są ponętne dla pozbawionej mienia masy ludu, żeby wszędzie nie miały znaleźć przystępu i zwolenników.

»Powszechnie tak wiele mówi się o ucisku i zdzierstwach, które chłop galicyjski dziś jeszcze znosić ma od swojego dziedzica. Nawet wysoko postawieni urzędnicy nie wahają się bez skrupułu wtórować temu powszechnemu, bezmyślnemu krzykowi. Jednakże każdy nieuprzedzony, wolny od przesądu i bezstronny człowiek, który nie nosi się z niewykonalnymi jeszcze na razie planami filantropijnymi, a ma sposobność do wglądnięcia w stosunki krajowe, musi według swojej najlepszej wiedzy i sumienia wystawić szlachcie galicyjskiej świadectwo, że dziś z nielicznymi, bardzo często tylko przez niższe władze

popieranymi wyjątkami, o nieprawnym ucisku chłopa przez dziedzica lub za jego wiedzą nigdzie już niema mowy i że poddany w całym kraju swoich różnorodnych powinności nigdzie tak nie uiszcza [1]), jak je inwentarze i cesarskie patenty przepisują. Uciskany i zdzierany bywa dziś chłop w Galicyi po największej części już tylko przez żydów, mandataryusza i, niestety trzeba to powiedzieć, przez księdza swojego. O tym potrójnym ucisku będzie mowa poniżej.

»Ucisk przez dziedzica wywierany jest tylko prawny, ale zawsze jest to ucisk i do tego pozornie najdotkliwszy, gdyż jednostajne, zawsze powtarzające się żądanie dziedzica co do uiszczania różnorodnych powinności przez poddanych, powstająca stąd wskutek komunistycznej agitacyi i podżegania, a nawet już wszczepiona myśl zawistna, że rezultat pracy rąk poddańczych gromadzi się u dziedzica, a sam poddany zawsze biednym pozostaje — to wszystko czyni położenie chłopów wobec dziedzica nieznośnem i przejmuje ich zazdrością i zawiścią wobec najlepszego dziedzica. Pożądaną zatem być musi dla chłopa każda sprzyjająca chwila, aby pofolgować swojemu niezadoleniu, uchylić się od swoich powinności, jednem słowem wyrządzić szkodę dziedzicom.

»Gdy tedy w przededniu rewolucyi lud wiejski ujrzał się zdanym niejako tylko na siebie samego, a właściwie na swoich ewangelistów, pisarzy pokątnych, stały dla ostatnich dwie drogi otworem,

---

[1]) Z ducha całego ustępu i w ogóle memoryału możnaby zdanie to tak pojmować, że autor chciał powiedzieć, iż szlachta galicyjska nietylko nie uciskała ludu wygórowanemi żądaniami pańszczyźnianemi, lecz nawet sama redukowała powinności poddanych poniżej wymiaru określonego w inwentarzach i patentach cesarskich. Jakkolwiek takie pojmowanie tego zdania dałoby się z tekstu logicznie uzasadnić, to jednak nasuwa się pod tym względem wątpliwość, bo ostatecznie sam autor memoryału uznaje »nieliczne« i »wyjątkowe« wypadki ucisku pańszczyźnianego. Wszelka niejasność w tej mierze ustanie, jeżeli — za czem w tekście niemieckim prawdopodobieństwo przemawia — przypuścimy, że autor tylko przez pomyłkę po raz drugi napisał wyraz nigdzie (nirgends) w drugim ustępie zdania. Po takiej poprawce ustęp ten (...und dass der Unterthan im ganzen Lande (nirgends) seine verschiedenartigen Schuldigkeiten so leistet, wie sie die Inventarien und kaiserlichen Patente vorschreiben) stanowiłby afirmacyę w tem znaczeniu, że »poddany w całym kraju swoje różnorodne powinności tak uiszcza, jak je inwentarze i cesarskie patenty przepisują«, że zatem dziedzice nie wymagają zgoła niczego ponad prawną należność swoją. *(Przypisek autora).*

Leszczawy dolnej, Leszczawy górnej, Dydni, Ropienki, Dynowa i t. d., ten dla każdego z nich przejęty jest szacunkiem. A jednak wszystkie te dwory zostały zupełnie splądrowane. Czyż w grę wchodził tutaj patryotyzm, lub prosta żądza zemsty? Nie — były to już następstwa i poszczególne wybuchy komunizmu skrycie działającego. Należało je zatem poddać najsurowszej karze dla przykładu odstraszającego. Niestety, dotąd po upływie przeszło sześciu miesięcy jeszcze w tej sprawie zgoła niczego nie zarządzono. W tem tkwi, pominąwszy nader niebezpieczny przykład dla spokojnie zachowującej się ludności wiejskiej, najgłówniejszy powód rozgoryczenia szlachty. Aby rozpętanej swawoli ludu nadać pozór legalny, aresztowano i wśród najstraszniejszego maltretowania i bicia wleczono do miasta cyrkularnego wszystkich nieubranych po chłopsku, nawet najniewinniejszych rzemieślników ze wsi, z tej prostej przyczyny, że po miejsku byli ubrani.

»Dla nieuprzedzonego i przejętego uczuciem widza nad wyraz oburzającym był widok tych kilkuset krwią oblanych, po największej części niewinnych ofiar ślepego rozjuszenia chłopów. Wiele ofiar znieść musiało w samym rynku miasta cyrkularnego dalsze bicie i maltretowanie w oczach uzbrojonego wojska i ich dowódców, nie znajdując w oślepionym tłumie żadnego współczucia.

»Dla położenia kresu ślepej wściekłości chłopstwa piszący to otrzymał w niedzielę 21 lutego po południu polecenie, ażeby z asystencyą udał się do wsi, powstrzymał gminy od dalszych gwałtów i przywiódł je do uspokojenia. Piszący to uprosił sobie tedy asystencyę dziesięciu żołnierzy i wyruszył jeszcze tegoż dnia wieczorem z Sanoka, nie słuchając wcale obaw i ostrzeżenia wszystkich, że nie należy tak lekkomyślnie wystawiać się na niebezpieczeństwo, gdyż wszędzie jeszcze roi się od powstańców. Spełnienie otrzymanego polecenia powiodło się piszącemu ponad wszelkie oczekiwanie. Niejednemu dworowi w asystencyi tylko dwóch żołnierzy (resztę już przedtem rozdzielono) przyniesiono pomoc, o której tam już wszyscy zwątpili, a piszący tem najlepiej okazał, co znaczy ochrona rządowa i że respektowana jest tylko siła zbrojna nawet w jednostkach do niej należących. W podobny sposób postępowano w innych okolicach 22 lutego i później. Trwało to jednak tylko kilka dni, gdyż cofnięto nawet tę nieznaczną asystencyę, a oporność poddanych głównie od tej chwili stawała się powszechną.

»Teraz wypada dać pogląd na wewnętrzne stosunki Galicyi, od-

słonić niedostatki, które tej prowincyi przed wszystkiemi innemi dolegają i wskazać chorobę, która się w nią wżarła. Ponieważ pismo to nie jest przeznaczone do ogłoszenia, przeto należy ujemne strony bez zastrzeżeń wyjawić.

»Gdy piszący to w młodości, zanim jeszcze poznał Galicyę, czytał o prześladowaniach, na jakie żydzi tak często wystawieni byli w dość już oświeconych wiekach w krajach niemieckich i innych, gdy piszącemu to przesuwały się przed oczyma całe setki, nawet tysiące ofiar mordowanych wśród ślepej zaciekłości fanatycznego ludu, umysł jego był do najwyższego stopnia wzburzony i niepojętem się wydawało, jak podobne podjudzanie, jak podobna zaciekłość przeciw obcej sekcie wyznaniowej mogła wybuchnąć i spotęgować się do niesłychanej żądzy mordów. Podobne uczucia pewnie w każdem sercu się odzywały. Odkąd jednak piszący poznał Galicyę i postępowanie żydów galicyjskich, nietylko zdarzenia powyższe są dlań zrozumiałe, lecz przeciwnie ogarnia go największe zdziwienie, że takie wybuchy zaciekłości ludowej przeciw temu przekleństwem Boga obciążonemu plemieniu nie zachodzą jeszcze obecnie, nawet codziennie. Piszący na prawdę nie byłby — Bóg na to świadkiem — ostatnim, który podniósłby kamień na tego najstraszniejszego wroga wszystkich ludów chrześcijańskich, na te nienasycone pijawki, grabarzy szczęścia i spokoju najzasobniejszych rodzin. Tolerancya jest hasłem boskiem i wieczysta wdzięczność należy się tym, którzy odważnie najpierw je głosić i w obronę brać zaczęli. Ale tolerancya nie powinna być stosowana do sekt religijnych, których nauka i artykuły wiary przejęte są duchem nieprzyjaznym przeciw kościołowi panującemu. Tak się rzecz ma rzeczywiście z nauką żydowską, której wyznawcy oszukanie chrześcijanina uważają za miłe Bogu dzieło, a każdy środek wiodący do tego celu za uświęcony. Ta dążność oszukańcza jest jako zasada religijna wszystkim żydom bez wyjątku wspólna. Tylko stosunki, wśród których w innych krajach żydzi żyją, ich mniejsza liczba i większe oświecenie ludu, zmusza ich do większej ostrożności w działaniu i postępowaniu, aby oszustwo nie tak łatwo dało się przejrzeć i wyłapać.

»Uczciwość i nieuczciwość — to dla żyda całkiem obce pojęcia. Nie zna on różnicy między temi pojęciami, a wszystko, co do celu wiedzie, nazywa spekulacyą. Już w najwcześniejszej młodości wszczepia się w niego z pierwszemi pojęciami religijnemi także pojęcia sza-

cherki, faktorstwa i spekulacyi, jednem słowem wszystkie sztuczki oszustwa. W tem, że plemię to wybrało sobie Galicyę za główne siedlisko i tutaj, jak ciężki wróg się zagnieździło, w tem jedynie tkwi ruina i nieszczęście kraju. Przez żydów zostały w Galicyi podkopane wszelka moralność, prawość i uczciwość, a przekupstwo, oszustwo, niesłychana lichwa i kradzież weszły na porządek dzienny. W żadnym kraju żyd nie jest obciążony wyższymi podatkami, aniżeli w Galicyi, a byłyby one dlań wprost niemożliwe do uiszczenia, gdyby oddawał się tylko dozwolonym zatrudnieniom. A przecież Galicya jest krajem obiecanym żydów i straszliwie zalana tymi mętami ludzkości. Dlaczego nie wynoszą się do tak pięknych krajów, jak Francya, Anglia i t. d., gdzie się dla nich objawiają takie sympatye i gdzie niejeden świetny mowca gorąco staje w ich obronie? Chociażby dziś żydzi wyemancypowani zostali w całym świecie, nie opuszczą oni pewnie Galicyi z jej wysokimi podatkami i ostrymi patentami żydowskimi. Czyż nie jest to najlepszy dowód ruiny kraju? Co pomogą wszystkie przez wysoki rząd wydawane przepisy i rozporządzenia przeciw żydom? Pięknie one brzmią w czytaniu, ale jedna część obecnie nie jest już wykonalna, a druga część nie bywa przez niższe władze przestrzegana. Żyd galicyjski postępuje tedy, jak mu się podoba, przeprowadza wszystko, a więcej niż połowa szlachty, więcej niż połowa stanu urzędniczego jest przez żydów tak oplątana, że o wyzwoleniu, o odzyskaniu swobody wcale myśleć nie może. W otoczeniu żydostwa występują na jaw wszystkie zdrożności, do jakich tylko zdolną jest natura ludzka, żydzi urągają ze wszystkich ustaw, żyd tylko umie wszystko wyzyskać na swoją korzyść, a tak rząd, jak i prywatne osoby ulegają żydom. Żyd jest w pierwszym rzędzie najstraszniejszą pijawką chłopów, a jego obleśne i nader chytre maniery obałamucają ciemny lud wiejski tak dalece, że bez niego żyć nie może.

»Kto, jeżeli nie żyd, arenduje wszystkie budowle, wszystkie myta, dostawy, propinacye, karczmy po wsiach, jednem słowem wszystkie interesa kontraktowe i t. d.? Chrześcijaninowi niepodobna konkurencyi dotrzymać. Rząd na własną niekorzyść przyświeca przykładem, naśladują go prywatne osoby i są zmuszone tak postępować. A przecież wszelki zysk z żydem osiągnięty jest tylko iluzoryczny i wiedzie bezpośrednio do straty. Nie można tedy ani nadto często, ani nadto głośno powtarzać, że w żydostwie jedynie tkwi przyczyna ubóstwa i niedoli, degeneracyi i nadzwyczajnej niemoralności galicyjskiego

chłopa, a wobec tego znika wszelki inny ucisk. W żydostwie tylko tkwi przyczyna zupełnego prawie braku oddanego przemysłowi, zamożnego i poważnego stanu średniego. Przez żydostwo wreszcie udaremnione są najlepsze zarządzenia rządu i głównie podkopywana jest prawość i nieprzystępność stanu urzędniczego.

»Czyż da się tedy pomyśleć większa plaga dla kraju? Czyż nie jest najświętszym obowiązkiem rządu to w brudach swoich tylko dojrzewające i straszliwie mnożące się, a wrogie chrześcijanom plemię uczynić wszelkimi rozporządzalnymi środkami nieszkodliwem, a nawet w najgorszym razie z kraju wyrugować? Jeżeli uczciwość, prawość, dobroć i miłość bliźniego mają dalej istnieć, co więcej, jeżeli te wszystkie cnoty mają odżyć, a nie zejść zupełnie do znaczenia próżnych słów i pobożnych życzeń, to żyd jako żyd musi być wygubiony, musi być zatem w chrześcijanina zmieniony, albo należy mu wzbronić pobytu w państwie chrześcijańskiem. W tym środku leży popieranie dobra całej ludzkości. Gdzież jednak jest taki do Boga podobny człowiek, któryby swoje życie i swoją działalność poświęcił tej pracy, który, wyposażony stanowiskiem i władzą, umiałby pokonać wszystkie przeszkody [1])?

»Drugiem złem dla Galicyi, tak dla rządu jak i dla ludu, jest urządzenie jurysdykcyi dominikalnej. W kraju, gdzie prerogatywy i nadużycia dziedzica wobec poddanych nie znały jeszcze granic, kiedy już u innych narodów stosunek poddańczy od dawna był uregulowany, gdzie dziś jeszcze niejeden szlachcic w najmilszym zachwycie rozkoszuje się tylko wspomnieniem tych świetnych czasów, nagły zwrot i wystąpienie łagodnego, ludzkiego rządu musiało wprowadzić w życie mnóstwo rozporządzeń, które mniej lub więcej miały ścieśnić przywileje i nadużycia dziedzica, a osłaniać poddanego. Wykonania i dokładnego przestrzegania tych ustaw wymaga się jednak od indywiduów zawisłych w swojej egzystencyi właśnie od tej klasy, na której niekorzyść głównie te ustawy działać mają. Czy jest to logiczne? Najmniejsze uchybienie mandataryusza wobec dziedzica pozbawia go chleba. Jest on skazany na kij żebraczy i nie znajdzie ochrony u władz.

---

[1]) Następuje tutaj takie końcowe, cały ten ustęp zamykające zdanie: »Komu nie przyjdzie przytem na myśl anegdota o ks. Kaunitzu, ministrze cesarza Józefa II?« Nie jest nam znana anegdota historyczna, któraby się tutaj w myśli niejako narzucała. *(Przypisek autora).*

Czy można sobie wyobrazić istotę podobniejszą do kameleona, aniżeli mandataryusz? Aby nie narazić się ani rządowi, ani swojemu chlebodawcy, musi on być wobec obu stron podstępnym, rzuca wobec dziedzica podejrzenia na rząd, wobec poddanych na rząd i dziedzica, lub *vice versa*. Na nieszczęście jest jeszcze takie mnóstwo małych dominiów, które ze swoich małych dochodów nie są w stanie utrzymać dla siebie osobnego mandataryusza. To też mandataryusz, zazwyczaj żonaty i rodziną obarczony, widzi się zniewolonym brać więcej dominiów, aby tylko znaleźć utrzymanie. Niejeden mandataryusz ma pod sobą 12—16 i jeszcze więcej dominiów, ale nie myśli o ścisłem spełnieniu wszystkich swoich obowiązków. Gdyby zresztą nawet był skłonnym do tego, to wobec tylu dominiów nie jest w stanie tak postąpić. A jaka niekorzyść wynika stąd dla toku spraw, dla poddanego i dla dziedzica! Do tego przyłącza się jeszcze leżąca już w charakterze polskiego szlachcica, jako główny rys jego, niezgoda z własnymi sąsiadami. Jest dajmy na to 4—5 dziedziców-sąsiadów, z których żaden nie jest w stanie trzymać dla siebie osobnego mandataryusza. Zdawałoby się tedy, że się porozumią między sobą, aby wybrać zdolnego urzędnika, opłacać go w stosunku swoich posiadłości i osiedlić go u siebie dla własnego i ogólnego dobra. Tymczasem zazwyczaj dzieje się przeciwnie. Jeżeli dziedzic A dowie się, że jego sąsiad B przyjął mandataryusza X, mającego siedzibę swoją w odległej często o 4—5 mil miejscowości N, to A wybierze z pewnością mandataryusza Y z miejscowości M, równie odległej, ale po przeciwnej stronie położonej. Mandataryusz zatem nie widzi niejednego ze swoich dominiów ani razu często w ciągu 3—4 miesięcy, a musiałby ciągle jeździć, jeżeliby chciał zajrzeć do swoich dominiów przynajmniej raz w tygodniu. Według istniejących przepisów wprawdzie żaden mandataryusz nie powinien trzymać *ex currendo* dominium, odległego ponad dwie mile od swojego miejsca zamieszkania, ale czy przepis ten jest przestrzegany lub dozorowany?

»Wreszcie wobec nadzwyczaj wielkiej liczby mandataryuszy, z których zawsze znaczna część jest bez chleba i utrzymuje się z zajęć aktuaryuszy lub pisarzy pokątnych, jeden drugiemu psuje służbę, tak, że majątki ziemskie, które łatwo płacić mogłyby 100 złr. i dawniej rzeczywiście tyle płaciły, płacą obecnie 40 złr., a często nawet mniej, a mimo to mają wielu kandydatów do wyboru. Stąd pochodzą liczne defraudacye podatkowe, zdzierstwa na poddanych popeł-

niane i t. d., z których nawet setna część nie dostaje się do urzędowej wiadomości, a do których dziedzice i poddani już się niejako przyzwyczaili.

»Im porządniejszy i więcej rządowi oddany jest mandataryusz, tem trudniej mu zazwyczaj przychodzi uzyskać trwałe lub kilka lat trwające pomieszczenie u jednego i tego samego dziedzica. Z roku na rok odbywa się tedy w niesłychany sposób zmiana mandataryuszy w Galicyi. W dominiach bardzo rzadko znaleźć można porządną kancelaryę dominikalną, natomiast prawie wszędzie zachodzi zupełny brak wszelkich, najważniejszych nawet aktów i zadziwiająca niedbałość w załatwianiu wszelkich poleceń urzędowych i t. d. Ani egzekucye, ani posłańcy karni, ani kary policyjne nie wiodą do celu. Rok się kończy, mandataryusz odszedł, nowy wchodzi na jego miejsce i niedbalstwo zaczyna się od początku napowrót, dziedzic zaś opłacać ma egzekucye, posłańców karnych, kary policyjne, koszta podróży, brakujące kwoty podatkowe i t. d., których nie przewidywał, a które powstały z przewinienia jego urzędnika. W braku świadomości lub z nieznajomości rzeczy skarży się wtedy na sekatury ze strony władz. Tak tedy daną jest podstawa do niezadowolenia i niechęci wobec rządu.

»Jest mnóstwo takich dziedziców, którzy swoim mandataryuszom pod rozmaitymi pretekstami nie wypłacają przyrzeczonego wynagrodzenia rocznego. Zażalenia mandataryuszy pod tym względem bywały dawniej w drodze politycznej załatwiane i w ten sposób pretensyom wielu biednych urzędników czyniono zadość w najkrótszej drodze. Teraz mandataryusz z zażaleniami takiemi odsyłany jest na drogę prawa i musi często dla 30—40 zł. udawać się do adwokata. Niewielu mandataryuszy posiada takie środki, aby mogli zwrócić się na tę kosztowną i długą drogę. Na jak smutny los wystawiony jest tedy w ogóle najuczciwszy i najdzielniejszy młody człowiek, który poświęci się służbie mandataryackiej. Czyż może on pozostać uczciwym, nieposzlakowanym i zachować zaufanie wyższych władz, od których mało lub zgoła niczego spodziewać się nie ma, skoro tylko popadnie w nieporozumienie ze swoim chlebodawcą?

»Dość powszechnie nawet wysoko postawieni urzędnicy wyrażają to zapatrywanie, że instytucya prywatnych mandataryuszy musi pozostać, gdyż, jako przedstawiająca pierwsze organa rządu, stanowi, jak to wykazała ostatnia rewolucya, niejako gromochron dla zacie-

kłości ludu prostego, a w ten sposób rząd nigdy nie będzie skompromitowany. Czy można wyobrazić sobie większy nonsens nad takie twierdzenie? Na pastwę zaciekłości ludu miałby swoje najniższe organa wydawać rząd, którego wszystkie rozkazy owiane są duchem największej łagodności i sprawiedliwości, a którego zarządzenia w najgorszym razie tylko w przeprowadzeniu wskutek fałszywego pojmowania ze strony poszczególnych niższych władz lub urzędników, więc zupełnie nie z winy samego rządu, zmierzają do przeciwieństwa tego, co właściwie osiągnąć miały? Tacy urzędnicy, zamiast przejąć się duchem przepisu i stosownie do tego działać, postępują w swojej pedanteryi lub w swojem ograniczeniu tylko ściśle według fałszywie pochwyconego brzmienia słów i przez to często więcej złego i dla ogółu szkodliwego sprawiają, aniżeli ich odpowiedzialność pokryć może. Takie zapatrywanie nie może wysokiego rządu spowodować do tego, żeby nie miał znieść jurysdykcyi dominikalnej i zaprowadzić cesarskiej.

»W takim konglomeracie wielu narodowości i prowincyi, jak monarchia austryacka, często wyższe względy, ważniejsze powody nie pozwalają na stosowne reformy w jednej lub drugiej prowincyi. Podobnie rzecz się może mieć ze zniesieniem dominikalnej jurysdykcyi w Galicyi, pominąwszy miejscowe trudności i wielkie koszta, połączone z taką nagłą zmianą. Jednakże jest to pilnie potrzebnem, aby na wybór, t. j. ustanowienie i opłacanie mandataryuszy, oraz na ich oddalenie ze służby wpływ był wywierany, aby cesarskie urzędy cyrkularne dokonały podziału cyrkułów na dystrykty mandataryalne, aby ograniczono wielką liczbę mandataryuszy przez ściślejsze egzamina, a to składane nie przed jednym tylko urzędnikiem, aby wreszcie znowu postawiono mandataryuszy z ich pretensyami do wynagrodzenia służbowego pod opiekę władz politycznych.

»Do głupoty, nieświadomości i ubóstwa galicyjskiego ludu wiejskiego przyczynia się wreszcie niestety także i duchowieństwo w wielkiej mierze. Jak małą jest dziś jeszcze liczba godnych mężów tego stanu, szczególnie w grecko-katolickim obrządku. Prawie możnaby zawołać: w Galicyi niema duszpasterzy, lecz są tylko gospodarze rolni, spekulanci, lichwiarze, podżegacze poddanych przeciw ich dziedzicom i t. d., których całe pragnienie i dążenie na tem polega, aby powiększyli swoje dochody, zebrali majątki. Dobro i zbawienie dusz w gminie najmniejszą stanowi troskę. Jak najgorszy rzemieślnik wy-

konuje swój proceder, tak samo wielka część duchowieństwa sprawuje swój święty urząd. Widać wszędzie pospiech, z jakim ono chce uporać się z przepisanemi mu duchownemi powinnościami, aby tylko oddać się zajęciom ubocznym. Zamiast przykładem i nauką krzewić moralność, bojaźń Bożą i oświatę, cnoty, bez których wszystkie środki rządu na nic się nie zdadzą, największa część duchowieństwa stara się tylko o swoje cele prywatne, wiedząc o tem, że z żadnej strony nie spotka zapory, że stan duchowny jest najwięcej protegowany, że wystąpienia przeciw niemu każdy jak najwięcej się strzeże. Biedny poddany musi drogo opłacać się księdzu za każdą, chociażby najmniejszą usługę i przytem dzieją się takie wypadki ucisku, że włosy na głowie stają. Trzeba płacić za chrzest, ślub i pogrzeb, nawet za spowiedź, a nikt nie przestrzega ustawowej skali. Pod płaszczykiem religii ucisk nieprawny, najsilniejszy po ucisku żydowskim, wywierany jest na ludzie wiejskim, a przytem postępuje się tak bezlitośnie, że trudno o równy przykład. Mimo to nie odzywają się skargi w tej mierze, gdyż ciemny chłop obawia się o zbawienie duszy. Jego pasterz duchowny umie to wpoić w niego i ostatnią krowę, ostatni środek wyżywienia licznej często rodziny wydziera zastępca Chrystusa z zimną krwią, twardem sercem i chciwą ręką. Taki czyn, taki ucisk przeważa na szali tysiąc przekroczeń pańszczyźnianych.

»Wszystkie niższe władze znają te straszne nadużycia, a nikt nie ujmie się za ciemnym ludem wiejskim. Nawet na skargi wnoszone wcale się nie zważa lub traktuje się je powierzchownie i ucisk trwa ciągle. Jeżeli zaś poddany wystąpi z najmniejszą skargą o obrazę honoru (!!!), przeciążenie pańszczyzną i t. d., ze skargą, którą napisał pisarz pokątny, a której treści żalący się poddany wcale nie zna, co tak często zachodzi, — to zaraz sypią się dochodzenia i komisye i niestety często gwałtem wynajduje się powód, aby wydać orzeczenie przeciw dziedzicowi. Ślepa zaciekłość w poniżaniu powagi dziedzica, szlachcica, w oczach jego poddanego, w podejrzywaniu jego osoby i czynów wobec wszystkich i tak często objawiane złośliwe zadowolenie w razie powodzenia takich zamysłów, stanowi niestety właściwość bardzo wielu urzędników politycznych. Szkoda zaś stąd dla wysokiego rządu wynikająca jest nieobliczalna. W ten sposób bowiem najpierw lud wiejski jest zaprawiany w oporze i najwyższem nieposłuszeństwie przeciw swojemu dziedzicowi, co potem powoli objawiać się musi także wobec wszystkich władz i wobec samego wysokiego

rządu. Jednem słowem, sami urzędnicy polityczni tu i owdzie wstrząsają podwalinami wysokiego rządu w państwie czysto monarchicznem i torują drogi komunistycznym kaznodziejom. Urzędnik polityczny, nie pojmujący doskonale swojego stanowiska, może dziś działaniem swojem na pozór zupełnie zgodnem z obowiązującemi ustawami wysokiemu rządowi więcej zaszkodzić, aniżeli dziesięciu emisaryuszy zagranicznych.

»W stanie duchownym wielce źle oddziaływa nadzwyczajna nierówność w dochodach mniejszych prebend, t. j. probostw i ich rozdawanie przez patronów bez względu na lata służby, zasługi, szczególne wiadomości, cnoty i t. d., tak, że często rozstrzygający wpływ wywierają całkiem przeciwne motywa, prywatne, często nawet niebezpieczne dla państwa. Należałoby zatem prawo patronatu przynajmniej o tyle ograniczyć, aby przy obsadzaniu prebend każdy konsystorz, znający najlepiej swoje duchowieństwo, przedstawiał trzech kandydatów, z pomiędzy których tylko patron miałby wybierać. Na razie zapewne niema mowy o innych pożądanych reformach co do duchowieństwa, jego dziesięciny, ciężącej tak twardo na gminach, jego poborów za funkcye, co do oddzielnych świąt w obrządku łacińskim i gr. kat. i powstającej stąd profanacyi, wreszcie co do zaopatrzenia wdów i sierót po gr. kat. księżach.

»Piszący to zamyka tedy powyższe pismo następującemi uwagami:

»1) Szlachta galicyjska w ogóle brała udział w ostatniej rewolucyi, ale jej nie wywoływała, lecz po największej części była uwiedziona i ślepo pędziła ku swojej zgubie. Mimo to jednak według ustawy każdy, najodleglejszy nawet uczestnik, podpada za zdradę stanu karze śmierci. Musiałaby ona każdego dosięgnąć i dlatego jest niewykonalną. Łaska i amnestya co do wszystkich, z wyjątkiem przewódców, byłaby zatem tem więcej wskazana, że wymagają tego tutaj nie same tylko interesa i dobro kraju, lecz sympatye całej Europy. Ale jeżeli łaska i kara mają być skuteczne, muszą rychło zapaść, a nie po lata trwających śledztwach, które umysły rozgoryczają, wiele rodzin doprowadzają do kija żebraczego, nadzwyczajne wydatki za sobą pociągają, niczego więcej nie odsłonią ponad to, co już jest jawnem i w końcu odbierają cechę łaski u tych, dla których zamierzona była. Polityka musi dyktować łaskę i karę. Nie mogła ona pomylić się zaraz po czynie i nie potrzebuje foliantów śledczych.

»2) Galicya, od wielu lat niedomagająca, popadła w ostatnich

czasach w niebezpieczną chorobę, a nawet tu i owdzie wystąpiły znaki gangreny. Choroba osiągnęła zatem stopień najwyższy, a w takim stanie zręczny lekarz zapisywać winien tylko leki szybko działające. Przy długiem badaniu bowiem, lub przy łagodnych środkach pacyent umiera często pod ręką lekarza. Szybki upust krwi na właściwem miejscu bywa zazwyczaj przed wszystkimi środkami pilnie zalecany. Jednakże źle go zaaplikowano i nie przyniesiono ulgi. Nic dziwnego zatem, że choroba przechodzi w stan uporczywy w najwyższej mierze, którego końca jeszcze wcale przewidzieć nie można, a który przez zewnętrzne, przewidzieć się niedające wpływy łatwo przybrać może charakter niebezpieczny.

»3) Należałoby dążyć do wykupna pańszczyzny i zupełnego oswobodzenia gruntów, na razie przynajmniej w przeludnionych już po części cyrkułach: Wadowice, Bochnia, Tarnów, Sącz, Jasło, Sanok i Przemyśl, gdyż przez to właściciele dóbr spowodowani zostaną do podziału swoich obszarów dla dobra powszechnego, a w ten sposób komunizm skutecznie zostanie zatamowany. Komunizmowi bowiem niechętny jest każdy, kto rozporządzać może wolną, na wyżywienie wystarczającą posiadłością, bez szkodliwego ograniczenia, a w tem położeniu dotąd w Galicyi, oprócz dziedzica, nikt się nie znajduje.

»4) Dopiero przez zwolnienie pługa ze spadających nań, uwłaczających ciężarów, stan rolniczy osiągnie taki stopień rozwoju, jaki jedynie sprowadzić zdoła rozkwit kraju, a przy tak wzrastającej ludności każdy pospiesznie postara się o to lub dążyć będzie do tego, aby nabył lub uprawił grunt celem uczciwego zaopatrzenia siebie i rodziny.

»5) W poczuciu swojej władzy i siły każdy ludzki rząd powinien pozbyć się wszelkiej nieufności, w razie potrzeby zaś występować zawsze z wszelką energią i stanowczo. Im więcej policyi jest w kraju, tem więcej ona wymyśla, a niczego nie wykrywa. Każda bajka dziecinna odmalowana zostaje jako spisek niebezpieczny dla państwa, każdy agent policyjny mniema, że nie wypełnia swojego stanowiska, jeżeli ciągle nie fabrykuje raportów, a wysoki rząd bywa w błąd wprowadzany przez same tajne doniesienia i bezpodstawne podejrzywania poszczególnych osób i całych gmin.

»6) Wreszcie dla utrzymania dobrego ducha i prawdziwego przywiązania do wysokiego rządu nie można naczelnikom rozmaitych urzędów i wszystkim wyższym urzędnikom dość surowo nakazać, aby

wobec swoich podwładnych i wobec każdego postępowali z uprzejmością, jakiej wymaga duch czasu i do jakiej prawo ma każdy człowiek wykształcony. Tylko w ten sposób bowiem można zapobiedz wszelkim niechęciom i poprzeć dobro powszechne, tylko w ten sposób niejeden pogodzony zostanie z nieznacznem stanowiskiem, które często bez swojej winy zajmuje, pominie brak wielostronnego wykształcenia i wiedzy u swojego przełożonego, a cenić będzie jego uprzejmość, jego ludzkość i pozostanie oddany jemu, a tem samem także urzędowi i wysokiemu rządowi.

Sanok, 15 lipca 1846 r.«

III.

W pamiętnikowych i historycznych przedstawieniach genezy i przebiegu krwawych wypadków r. 1846 występuje cały legion biurokratów-opryszków, a ludzkie postacie ze świata urzędniczego pojawiają się tak rzadko, że po przeczytaniu powyższego aktu narzuca się pytanie, czy lepsze żywioły w ówczesnym świecie urzędniczym Galicyi były istotnie tylko bardzo rzadkimi wyjątkami, lub znajdowały się przecież w cokolwiek większej liczbie, ale nie ośmieliły się występować z odmiennemi zdaniami i odmiennym sposobem postępowania. I jedno i drugie przyjąć można za rzecz prawdopodobną. Wyjątkami były niezawodnie takie lepsze żywioły, bo karyera urzędnicza wymaga w ogóle, a w tych czasach wymagała w nierównie wyższym stopniu od każdej jednostki naginania się do panującego systemu i prądu, nawet z pominięciem skrupułów, które sumienie i w ogóle poczucie godności dyktowało. Kto zaś skrupułów tych przezwyciężyć nie mógł, a chleba utracić nie chciał, ten chyba w ukryciu mógł tak działać, jak mu owe skrupuły wskazywały. Takich wyjątkowych urzędników, w których panujący system administracyjny głosu sumienia zupełnie zagłuszyć nie zdołał, musiało być w tych czasach więcej, aniżeli dotąd na jaw wyszło, ale skoro nie mogli się tak zamanifestować, jakby to odpowiadało ich pojęciom i uczuciom, ślad zaginął o ich istnieniu i urzędowaniu, a tylko przypadkowo mogły się ich nazwiska na wierzch wydobyć. Taki przypadek zaszedł n. p. wkrótce po zawierusze rabacyjnej w Jasielskiem. Umarł wtedy w Jaśle komi-

sarz cyrkularny Karol Banhölzel, którego chłopi w swojej nałogowej skłonności do popularnego przekręcania nazwisk niemieckich powszechnie »Panhycel« nazywali. Na pogrzeb komisarza Banhölzla tłumnie zjechała się szlachta do Jasła z całej okolicy, a trumnę na barkach zaniesiono do grobu. Fakt ten sprawił senzacyę w sferach gubernialnych, a z prezydyum zarządzono zaraz poufne ale bardzo ścisłe dochodzenia w przekonaniu, że zmarły był skrytym protektorem spiskowych machinacyi. Tymczasem z całego dochodzenia pokazało się, że Banhölzel był sumiennym urzędnikiem, ale przytem i prawym człowiekiem, który nie podburzał chłopstwa przeciw szlachcie w sprawach o pregrawacye pańszczyźniane, a wśród rabacyi postępował po ludzku, odwracając lub łagodząc w miarę możności ciosy, wymierzane na szlachtę, postępując z uwięzionymi sprawcami i uczestnikami wybuchu powstańczego według prawa, ale bez znęcania się i udręczania ponad rygor prawa.

Także tylko przypadkowi zawdzięczyć to należy, że dziś w powyższym akcie wychyliła się z otchłani zapomnienia postać prawego człowieka i urzędnika z r. 1846. Jego nazwisko zasługuje na honorowe miejsce pomiędzy urzędnikami z tej doby. Nazwisko to jednak nie da się z podpisu na akcie z całą pewnością odcyfrować. W podpisie tym bowiem tylko początkowe litery *(Sch)* są wyraźne, a dalsze tracą kontury w skręconych liniach. Kombinując ten podpis z datami szematyzmu urzędowego za r. 1846, można dojść do domysłu z cechami prawdopodobieństwa. Szematyzm ten bowiem wykazuje w personalu cyrkułu sanockiego z r. 1846 dwóch urzędników, których nazwiska mają początkowe litery *Sch.* Był wtedy mianowicie w cyrkule sanockim pierwszym komisarzem Jan Schiffner, a w oddziale rachunkowym urzędu cyrkularnego, więc na drugorzędnem stanowisku, Kajetan Schaefer. W podpisie na naszym akcie jest jedno tylko *f*, a szczegół ten w połączeniu z dalszym składem liter w podpisie przemawia za drugiem nazwiskiem. Obok tych formalnych wskazówek także merytoryczne względy przemawiają za tem, że mamy tutaj do czynienia z elaboratem Kajetana Schaefera. Elaborat ten bowiem krytykuje całe postępowanie władzy cyrkularnej, w której pierwszy komisarz był po staroście główną figurą. Gdyby tedy ówczesny pierwszy komisarz cyrkularny w Sanoku, Schiffner, ocknął się był na widok katastrofy w swojem sumieniu urzędniczem, uczuł skrupuły, to musiałby był to wyrazić w innej formie i w innym tonie, w formie

przyznania się do błędu i w tonie usprawiedliwiającym, nie byłby podnosił potrzeby szukania informacyi u innych organów poza dotychczasowymi sprawozdawcami urzędowymi, a już z pewnością nie byłby wytknął tak wyraźnie wyniosłego postępowania urzędników wobec interesentów i osób podwładnych.

Inaczej rzecz ma się z Schaeferem, który z urzędu swojego nie był powołany w czasach normalnych do bezpośredniego udziału w akcyi polityczno-administracyjnej, ale mógł na nią patrzeć z ubocza. Jak się pokazuje, patrzał uważnie, a posiadając dar obserwacyjny, wiele też podpatrzył. W normalnym stanie rzeczy nie mógł bez narażenia się na zarzut arogancyi lub nawet wykroczenia przeciw karności zdawać sprawy z wyników swojej obserwacyi. Dopiero wśród samej zawieruchy, gdy siły komisarskie, w ogóle konceptowe cyrkułu okazały się niedostatecznemi do podołania spotęgowanej akcyi i trzeba było, jak to wtedy we wszystkich cyrkułach zarządzono, zaprzęgnąć do agend służby komisarskiej wszystkie inne, nawet manipulacyjne siły pomocnicze, Schaefer otrzymał mandat do bezpośredniej a samodzielnej akcyi i wywiązał się z poruczonego sobie zadania z najlepszem, jak sam opisuje, powodzeniem, co mogło go już ośmielić, a nawet zachęcić do spisania swoich spostrzeżeń i uwag o stosunkach w kraju w ogóle.

Na oryginale aktu niema adresu, ale z całego przedstawienia rzeczy i z tonu wnosić można, że był przeznaczony dla władzy wyższej, dla gubernium lwowskiego. Za tym domysłem przemawiają także inne okoliczności. W lecie r. 1846 bowiem, kiedy memoryał ten był pisany, obudziła się już była w Wiedniu wątpliwość co do ścisłości i trafności pierwszych relacyi urzędowych z Galicyi o charakterze, przebiegu i motywach zbrodni chłopskich i całego ruchu rabacyjnego, tych relacyi, na których po rabacyi opierały się pierwsze monarsze podziękowania, odznaczenia, a nadto ulgi w powinnościach pańszczyźnianych, przyznane wyraźnie jako zadatek dalszych ustępstw. Ocknięto się w Wiedniu z pewnem przerażeniem, gdy chłopi po splądrowaniu dworów zaczęli wprost stawiać opór władzy i odmawiać wszelkiej pańszczyzny, w innych prowincyach państwa zaczęto się obawiać naśladowania tego oporu, a w Galicyi, wśród anarchii u dołu i bezradności u góry, nie widziano punktu oparcia dla skutecznej akcyi zaradczej. Wysłano wtedy do Lwowa jako pełnomocnego komisarza nadwornego Rudolfa hr. Stadiona, który niejako dał do poznania, że

chętnie odbierałby informacye także poza drogą urzędową. Toteż wyszły wtedy nawet z grona szlachty memoryały, które w licznych odpisach po kraju krążyły. Wśród tej sytuacyi powstał znany już z kilkakrotnych drukowanych przytoczeń (ostatnim razem w książce St. Schnür-Pepłowskiego: »Z papierów pozostałych po A. hr. Fredrze«), śmiały i dobitny w całej swojej treści i formie memoryał Aleksandra hr. Fredry, wzywający rząd do reform konstytucyjnych i administracyjnych, w zarysie wskazanych. Obiegał także po dworach odpis memoryału Franciszka Trzecieskiego z Gorajowic w Jasielskiem, który wzywał rząd, aby wreszcie zdecydował się do kryminalnego traktowania zbrodni rabacyjnych, o pomstę do nieba wołających i do ukarania przykładnego nietylko morderców w siermięgach chłopskich, lecz także podżegaczy i sprawców intelektualnych ze sfery biurokratycznej. Memoryał ten pozostał w aktach gubernialnych, a autor jego naraził się śmiałym tonem apostrofy wprawdzie nie na otwarte prześladowanie, ale na dotkliwą w późniejszych szykanach i dokuczliwościach niechęć rządu. Rzecz naturalna, że starostowie wzywani byli wtedy do pisemnych i ustnych relacyi informacyjnych, przyczem nie pomijano i tych podwładnych im urzędników, którzy ze stanowiska swojego lub ze zbiegu okoliczności powołani byli do wybitniejszej roli. Ale wszystkie te informacye nie wystarczyły, bo Rudolf hr. Stadion nie był zdolny do wzniesienia się nad uprzedzenie, z jakiem w drogę z Wiednia wyruszył, ani nawet do zoryentowania się w chaosie. Chodziło przedewszystkiem o zadowolenie chłopów. Uregulował tedy R. hr. Stadion pańszczyznę w ten sposób, że właścicieli ziemskich naraził na przejścia zabójcze dla całej konstelacyi gospodarczej, a chłopów mimo to nie zadowolił, w ustrój administracyjny wprowadził inowacye, które jeszcze więcej go skomplikowały.

Rzecz nieskończoną albo raczej powikłaną pozostawił niefortunny komisarz nadworny swojemu bratu i następcy, gubernatorowi Franciszkowi hr. Stadionowi, wraz z całym stosem informacyjnych materyałów, relacyi i t. d. Z tego źródła zaczerpnął Franciszek hr. Stadion materyał do wielu trafnych zarządzeń, któremi w ogóle odznaczał się pierwszy okres jego gubernatorstwa. Jego okólniki, zalecające kilkakrotnie najsurowszą represyę wobec pokątnych pisarzy, wprowadzające zmiany w ustroju mandataryatów i gromiące biurokratów za zasklepianie się w aktach z ujmą dla spraw, wymagających inicyatywy i akcyi urzędowej, oraz za wyniosłe, a nawet szorstkie trakto-

wanie interesentów, zwłaszcza szlachty — wszystko to przypomniało się nam żywo przy tłómaczeniu powyżej podanego memoryału Niemca-biurokraty! Kiedy Franciszek hr. Stadion wydawał owe okólniki swoje, memoryał Schaefera nie był już pewnie białym krukiem w nagromadzonym przez gubernium materyale informacyjnym. W półtora roku bowiem po rabacyi w świecie biurokratycznym otwarły się oczy i porozwiązywały języki. Ale w chwili, kiedy Schaefer pisał swój memoryał, stanowił on wyjątek, bo w pierwszej chwili po rabacyi stanowczo przeważała opinia, że rozterka społeczna między dworem a chłopem powinna być jako racya stanu podsycana i w ustroju jurysdykcyi patrymonialnej jako fundamentalny artykuł systemu rządowego w Galicyi kultywowana. W sposób cyniczny, co prawda, ale szczery i otwarty wypowiedział tę opinię w relacyi do kancelaryi nadwornej starosta przemyski Czetsch-Lindenwald, uważany za jedną z najtęższych głów w ówczesnej biurokracyi [1]).

Zachodził jeszcze jeden powód, dla którego wkrótce po rabacyi ze strony rządu krajowego może zachęcano lub nawet wzywano uczestników akcyi represyjnej, do których w Sanockiem Schaefer należał, aby przesyłali szczegółowe relacye ze swoich spostrzeżeń i zarządzeń. W zachodniej Europie groza krwawych wypadków galicyjskich wywarła głębokie wrażenie, w parlamentach i w prasie ozwały się głosy tak przykre dla rządu austryackiego, że w Wiedniu w pierwszej chwili uznano konieczność urzędowego sprostowania i usprawiedliwienia. Zaczęło się tedy uśmierzanie wzburzonej opinii za pomocą kilku pozyskanych w tym celu dzienników, których korespondentów informowano oczywiście z lwowskich relacyi gubernialnych. Zapadło zarazem najwyższe postanowienie, że ma być napisane i kosztem rządu wydane historyczne przedstawienie genezy i przebiegu wypadków. Ale materyały nagromadzone nie nadawały się do takiego *pensum* historycznego, bo takie wynurzenia, jakie zawiera akt tutaj omawiany, byłyby tylko potwierdziły zarzuty, a takiej relacyi, jak powyżej wspomniana starosty przemyskiego, trzeba się było wstydzić.

---

[1]) W relacyi z 18 kwietnia 1846: »Beseitigt man den Haupterreger der Gehässigkeit zwischen Bauer und Adel, nämlich die Patrimonialgerichtsbarkeit, so hinuntergräbt man die Existenzbedingungen der Regierung« (Ob. Ludwig von Mises: Die Entwicklung der gutsherrlich-bäuerlichen Verhältnisse in Galizien (1772—1848). Wien & Leipzig 1902, str. 94, przypisek 1).

Łatwiejszem wydawało się napisanie takiej oficyalnej historyi r. 1846 z aktów procesowych lwowskiego sądu kryminalnego. W złożonych obecnie w lwowskiem Archiwum Bernardyńskiem aktach tego sądu znajduje się polecenie, wydane w myśl powyższego najwyższego postanowienia prezydentowi Maurycemu Wittmannowi, aby zajął się zebraniem i zestawieniem materyałów do oficyalnej historyi roku 1846. Wittmann gorąco zajął się tem zadaniem i odstawił do referatu historycznego najtęższą siłę. Jak się zdaje, Wittmann elaboratem swoim nie odpowiedział planom wiedeńskim. Chciano tam bowiem według brzmienia samego polecenia mieć historyę tak napisaną, żeby z niej wypływało, że motywem band rabacyjnych były nie zawiść do szlachty, nie chęć rabunku, lecz tylko przywiązanie do rządu, wdzięczność za jego opiekę, w ogóle pobudki i uczucia patryotyczne. Było to zadanie wprost niewykonalne. Z aktów procesowych o zdradę stanu mógł Wittmann chyba to wykazać, że w spiskach poprzedzających r. 1846 chłopi nie brali udziału, a wezwani przez powstańców do broni w chwili krytycznej nietylko tego wezwania nie usłuchali, lecz wprost zwrócili się przeciw wzywającym. Ale stąd nie wypływało jeszcze wcale, że w ohydnych zbrodniach rabacyjnych nie odgrywały roli głównej drapieżne instynkty, żądza krwi i rabunek w dworach szlacheckich. W innych procesach kryminalnych, prowadzonych z powodu kilku mordów i rabunków, których wobec nalegania rodziny ofiar w Wiedniu niepodobna było odwlec, a wobec notoryczności faktów, pomimo wszelkich usiłowań, nie dało się ani zatuszować, ani zabagnić, — wyszły na jaw i z konieczności prawnej oparły się o najwyższą instancyę w Wiedniu takie straszne szczegóły, jakie tam pierwotnie uważano wprost za niepodobne [1]).

Ostatecznie wszystkie materyały administracyjne i sądowe poszły do Wiednia, ale nie do rąk oficyalnego historyka, lecz do schowku archiwalnego. Jak się zdaje, przypuszczono potem do tego schowku Maurycego Salę, który wybrał z materyałów to wszystko, co służyło tendencyi z góry zakreślonej dziełu. Sam Sala jednak dla swojego dzieła zastrzega charakter studyum prywatnego. Natomiast zapowiedziane tak uroczyście, bo cesarskiem postanowieniem, historyczne przedstawienie wypadków galicyjskich z r. 1846 jako urzędowa od-

---

[1]) Kilka szczegółów w tej mierze zawiera mój szkic: »Epilog kryminalny« (Galicya w r. 1846). Ob. rozdz. XIII.

powiedź na wrzekome oszczerstwa zagranicy wcale nie przyszło do skutku. Doskonale daje się tutaj zastosować przysłowie niemieckie: *Keine Antwort ist auch eine Antwort!*

Ale nie chcemy zbyt daleko odbiegać od głównego celu tej rzeczy. Było nim bowiem właściwie tylko ocalenie od zapomnienia głosu Niemca-biurokraty z r. 1846, tak dosadnie popierającego polskie przedstawienia i poglądy na tło, genezę i przebieg ówczesnych wypadków galicyjskich. Cel ten został osiągnięty już samym przekładem aktu, a dalsze uwagi miały tylko znaczenie ilustracyjne.

XII.

Galicya w roku 1846 (III).

Winowajcy.

Aleksander hr. Fredro, w tej dobie należący już do najwybitniejszych osobistości w polskiem społeczeństwie Galicyi, nietylko z tytułu literackiej sławy, lecz także ze stanowiska obywatelskiego w ogóle, napisał zaraz po rzezi dla zesłanego z Wiednia nadzwyczajnego komisarza cesarskiego, Rudolfa hr. Stadiona, memoryał o położeniu kraju, bardzo oględny pod względem politycznym, ale za to bardzo dobitny w traktowaniu stosunków społecznych i administracyjnych. Szczegóły rzezi ominął hr. Fredro w tym memoryale, ale sąd swój o niej wypowiedział w tem wymownem zapewne i dla komisarza cesarskiego zdaniu: »Nie możemy wchodzić w krwawe zdarzenia zachodnich cyrkułów. Czas je wyświecić może — Bóg osądzi pewnie«.

Przed sądem Bożym stanęli już dawno wszyscy bezpośredni i pośredni sprawcy i uczestnicy rzezi z r. 1846, ale o wyświecającym wpływie czasu można powątpiewać. Od czasu, kiedy Fredro pisał swój memoryał, upłynęło z górą lat sześćdziesiąt, w tym okresie przeszło półwiekowym wydano wiele pamiętników, szkiców i obrazków historycznych na temat roku 1846, ale mimo to wszystko kwestya, którą hr. Fredro z pewnością głównie miał na myśli, kwestya winy urzędników cyrkularnych, pozostała dotąd w takiej pomroce, jak gdyby chodziło o bardzo odległe czasy. Kwestya ta jest właściwie jasną dla nas,

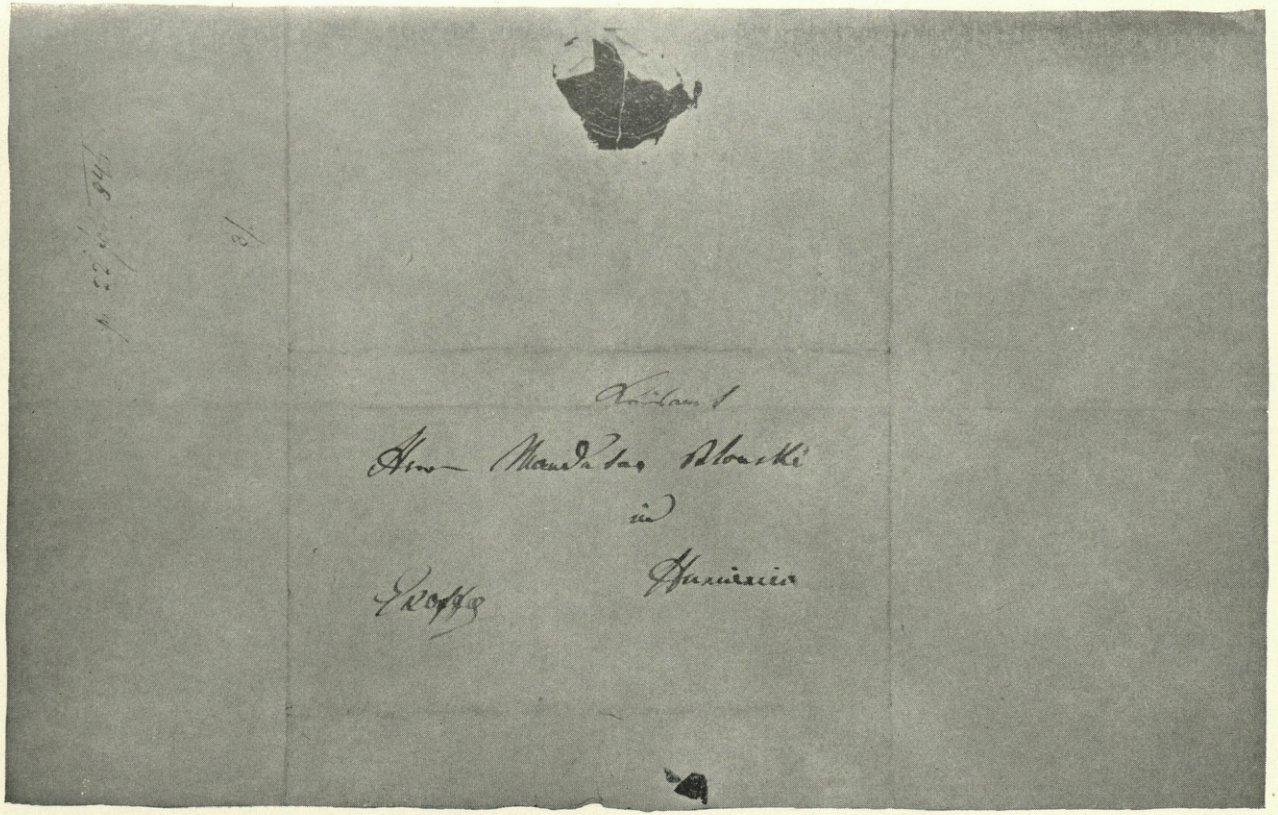
jeżeli weźmiemy za podstawę sądu tyle pozytywnych twierdzeń zupełnie wiarygodnych świadków współczesnych z polskiej strony. Historyk tych czasów jednak zawsze liczyć się musi z faktem, że tym twierdzeniom polskim niemieccy autorowie przeciwstawiają mniej lub więcej stronnicze zaprzeczenia, a ponieważ między tymi autorami są tacy, którzy, jak naprzykład br. Sala, chełpią się zbadaniem i zużytkowaniem źródeł urzędowych, więc i tutaj tak samo, jak w dociekaniach filozoficznych, *negantis maior potestas* i zawsze od oskarżycieli, podejrzanych o stronniczość goryczą podyktowaną, wymagane będą dowody kategoryczne i autentyczne. A właśnie pod tym względem sam wpływ czasu podnosi szanse tych, którzy, licząc na powolne znikanie dowodów, odpowiadają na oskarżenie śmiałem, chociażby tylko gołosłownem zaprzeczeniem.

Kiedy bowiem otworzą się wreszcie dla historyka archiwa rządowe, nie znajdzie już w nich aktów cyrkularnych, szkartowanych i niszczonych wśród tylu późniejszych organizacyi i reorganizacyi, jakim ulegała administracya polityczna Galicyi, a akta gubernialne i ministeryalne, o ile także peryodyczne szkartowanie prywatne ze strony interesowanych nie rozbiło ich na luźne, już więcej spoić się niedające fragmenty, zawierać będą w oględnie i poprawnie ustylizowanych relacyach chyba dalsze a zbędne już dowody na fakt, że sfery rządowe w Wiedniu, w swoim zupełnym rozstroju ówczesnym, nie wiedziały o wszystkiem, a tem samem wszystkiego ani zarządzić, ani aprobować nie mogły. Przypadek jednak, jak zawsze, tak i tutaj wyświadczyć może wielką przysługę, wtrącając niejako historykowi pod rękę akt, który albo sam w sobie posłużyć może już za klasyczne poparcie twierdzeń, dotąd oficyalnie, ale gołosłownie zaprzeczanych, albo, jakby jedna kość zwierzęcia przedpotopowego dla anatoma, stanie się podstawą do wysnucia wniosków o całości.

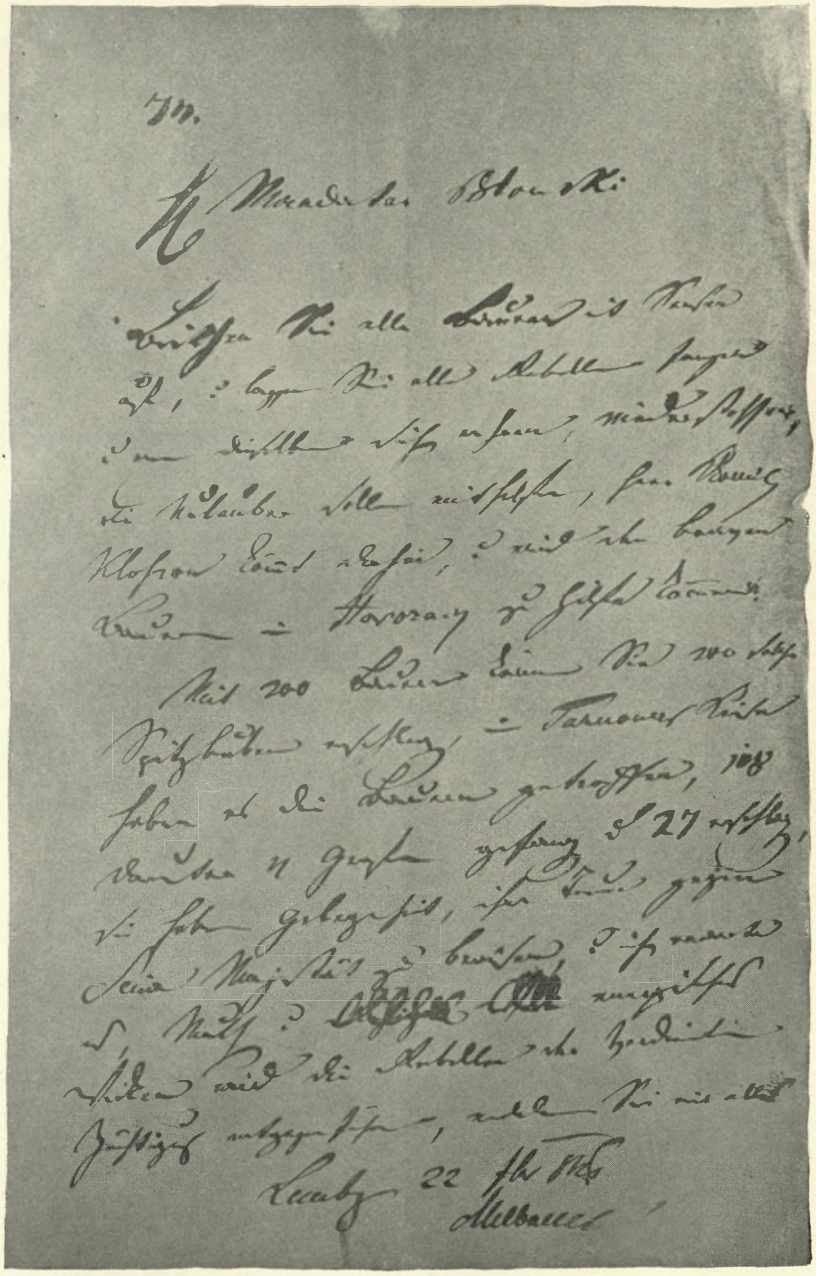
Takiemu łaskawemu przypadkowi zawdzięcza piszący, że wśród spowodowanych innym tematem [1]) poszukiwań archiwalnych, tyczących się przekształcenia, a następnie zniesienia dawnych mandataryatów galicyjskich, wpadł mu pod rękę akt, który zasługuje z pewnością na nazwę historycznej *pièce à conviction.*

---

[1]) Studyum o pierwszym okresie rządów Agenora hr. Gołuchowskiego. *(Przypisek autora).*



PISMO STAROSTY LWOWSKIEGO MI



ACHERA Z WEZWANIEM DO RZEZI.

Kiedy po zniesieniu pańszczyzny dawni mandataryusze ubiegali się o posady rządowe, mianowicie przy organizacyi urzędów podatkowych i powiatowych za pierwszego namiestnikostwa Agenora hr. Gołuchowskiego, niejaki Erazm Błocki, były mandataryusz z Humieńca w dawnym cyrkule lwowskim, był tak naiwny, że do podania swojego dołączył, jako dokument, specyalnie go zalecający wobec rządu, następujący pisemny rozkaz starosty lwowskiego Milbachera, własnoręcznie przezeń napisany i zaadresowany [1]):

»L. 74. Do pana mandataryusza Błockiego [2]).

Zwołaj Pan wszystkich chłopów z kosami i każ im Pan wszystkich buntowników pochwytać, a jeżeliby się bronili, zgładzić. Urlopnicy powinni pomagać, pan komisarz Klosson przybędzie tam i przyniesie pomoc dzielnym chłopom w Horożanie. Ze 100 chłopami możesz Pan ubić 100 takich drabów; w Tarnowskim cyrkule chłopi poradzili sobie dobrze; schwytali 108, pomiędzy nimi czterech hrabiów i zabili 27. Masz Pan sposobność do stwierdzenia swojej wierności dla Najjaśniejszego Pana i oczekuję też tego; odwaga i energiczne działanie doprowadzą do zasłużonego ukarania buntowników. Donoś mi Pan o wszystkiem.

Lwów, 22 lutego 1846 roku.

M i l b a c h e r«.

Jest to przekład dosłowny i ścisły. Z oryginalnego tekstu niemieckiego przebija jednak ton jeszcze ostrzejszy, którego wierne oddanie w przekładzie polskim wymagałoby koniecznie pewnego odstąpienia od dosłownej ścisłości. A na takiej ścisłości właśnie najwięcej zależało.

Do tego hajdamackiego aktu, którego, mówiąc mimochodem, namiestnik hr. Gołuchowski, z łatwej do odgadnięcia przezorności, nie kazał zwrócić Błockiemu, potrzebny jest dla objaśnienia krótki ko-

---

[1]) Por. facsimile.

[2]) W akcie mylnie: Błońskiego.

mentarz. W cyrkule lwowskim były fałszywe alarmy, ale nie przyszło do żadnego wybuchu. Horożana, gdzie się w lutym roku 1846 rozgrywały krwawe sceny, znane z dokładnego opisu jednego z uczestników ruchu, podlegała kompetencyi starosty samborskiego. Starosta lwowski, Milbacher, kazał zatem mobilizować chłopstwo z kosami bez konkretnego powodu, niejako z przezorności. Uczynił to z własnej inicyatywy i na własną rękę, a dopiero po dokonanym fakcie doniósł gubernium galicyjskiemu w sposób ogólnikowy, dodając przytem z oburzającym tryumfem biurokraty te słowa: »Poddani z radością chwytają za kosy dla utrzymania spokoju i chwytania powstańców«, — których wcale nie było pod Lwowem.

Jeżeli takie nakazy wydawał starosta lwowski, nie zagrożony wybuchem, a w dodatku mogący w każdej chwili ustnie zaalarmować gubernium i na poczekaniu otrzymać zbrojną asystencyę z załogi lwowskiej, to cóż dopiero zawierać mogły, nawet zawierać musiały ustne i nie zaprotokołowane, lub pisemne, wprawdzie lakonicznie z numerem zaprotokołowane, ale jak przez Milbachera wprost w oryginale, a nie w czystopisie, więc bez pozostawienia śladu archiwalnego ekspedyowane i na zawsze już dla historyka stracone rozporządzenia i rozkazy w cyrkułach naprawdę zagrożonych, zwłaszcza w cyrkule tarnowskim i bocheńskim! A dalej, jeżeli tak dziko postępował Milbacher, wprawdzie w pamięci źle zapisany, ale nie najbezwzględniejszy jeszcze starosta galicyjski z roku 1846, to cóż dopiero pozwalać mógł sobie taki Bernd w Bochni, bezwzględny z natury, a do tego podniecony mściwością za śmierć syna, porucznika, poległego w pierwszych utarczkach powstańców zachodnio-galicyjskich z wojskiem austryackiem, to na cóż zdobyć się mógł taki istny potwór, jak Breinl w Tarnowie! A trzeba jeszcze i to zaznaczyć, że Bernd i Breinl mało pisali, a za to ustnie zalecali i rozkazywali na konferencyach z wójtami i delegatami gmin wiejskich, że nadto Breinl, sprytniejszy i nierównie przebieglejszy, niż jego koledzy, na widok europejskiego rozgłosu wypadków tarnowskich, pewnie nie zaniechał poniszczyć pisemnych śladów swoich nadużyć, zanim jeszcze zjechał do Galicyi wysłany z Wiednia, dla zasięgnięcia informacyi, radca kancelaryi nadwornej, a późniejszy gubernator Wacław Zaleski. W tej dobie zatem tak *verba*, jak i *scripta* — *volant*.

Gdyby takich hajdamackich starostów poskramiało było przynajmniej poczucie odpowiedzialności wobec najwyższego szefa władzy

krajowej, generał-gubernatora, arcyksięcia Ferdynanda, tak znanego z ludzkości i dobroczynności, że nikt przypuścić nie mógł, aby tolerować i osłaniać zechciał rozpętanie krwiożerczych instynktów chłopstwa. Tutaj właściwie pokazuje się, jak nadużyta została ta firma przez występną biurokracyę. Wyszło bowiem z gubernium lwowskiego, gdzie br. Krieg wszechwładnie panował, już po pierwszych chybionych ruchach powstańczych, po pierwszych mordach w Tarnowskiem, o których do Lwowa doszła może jeszcze nie dość dokładna co do szczegółów, ale niezawodnie urzędowa wiadomość (23 lutego 1846 roku), okólnikowe rozporządzenie do szesnastu starostów tej treści, że »z powodu wybuchłego już powstania w kilku cyrkułach, poleca się urzędom cyrkularnym wysyłanie urzędników do wsi, aby wzywali poddanych do współdziałania, do stawiania oporu powstańcom i do ich chwytania». Dziś polecenie takie mogłoby wydać się uzasadnionem ze stanowiska władzy, uprawnionej, nawet obowiązanej do wezwania pomocy lojalnych żywiołów dla słumienia ruchu powstańczego. Ale nie zapominajmy o tem, że ten lojalny żywioł chłopski był przedtem przez biurokracyę programowo i systematycznie podniecany przeciw szlachcie, jako swojej dręczycielce pańszczyźnianej, że dalej do współdziałania w tłumieniu ruchu używali chłopstwa ci sami komisarze cyrkułowi, którzy przedtem zjeżdżali do wsi na komisye i na każdym kroku objawiali dążność do pogłębiania przepaści między dworem a gromadą. W danej chwili zatem powyższe rozporządzenie gubernialne stanowiło w oczach starostów i komisarzy, skłonnych do hajdamackiej akcyi represyjnej, rozgrzeszenie *a priori* z wszelkich aktów samowoli.

Nie ocknęło się gubernium nawet wtedy, gdy — biorąc nawet na uwagę ówczesne prymitywne, a nadto jeszcze wypadkami wyjątkowo utrudnione stosunki komunikacyjne, — już stanowczo o tem wiedzieć musiało, że w kraju krew się leje nietylko wśród walki otwartej, która nie pozwala z góry ani przewidzieć, ani oznaczyć miary i stopnia surowości represyjnej, lecz wśród rzezi, niegodnej państwa cywilizowanego w połowie XIX stulecia.

Już w pierwszych dniach rzezi tarnowskiej starosta sąsiedniego cyrkułu, sądeckiego, dokąd także zaraz wtargnął prąd hajdamacki, przedstawił prezydyum gubernialnemu »obraz okrucieństw zbiegającego się chłopstwa z prośbą o wysłanie wojska«. Załatwienie gubernialne tej relacyi ujęte zostało w utartą, ale w tym wypadku wprost

grozą przejmującą formułę biurokratyczną: »*ad acta*«. Niechżeż więc za to dziś sprawa ta przejdzie — do aktów trybunału historyi. Niemal równocześnie wpłynęła druga relacya od starosty cyrkułu jasielskiego, także sąsiadującego z tarnowskim, »z wielką prośbą o pomnożenie posterunków wojskowych dla poskromienia rozbestwionych tłumów chłopskich i z oznajmieniem, że sam starosta wskutek wrażeń, doznanych na widok nieszczęścia, widział się zniewolonym oddać kierownictwo urzędu pierwszemu komisarzowi cyrkułowemu«. Gubernium nie było tak wrażliwe, jak starosta jasielski, bo nie zarządziło pomnożenia posterunków. Starosta lwowski Milbacher, który pewnie wtajemniczony był w zamysły i plany gubernialne z bliskiej osobistej styczności z prezydentem br. Kriegem, wystosował doń w drugiej połowie lutego 1846 roku pismo, w którem donosząc, że samborski sąd karny zamierza wdrożyć śledztwo przeciw sprawcom mordów w Horożanie, przedstawia potrzebę »surowego wzbronienia takich kroków niestosownych, mogących pociągnąć za sobą szkodliwe następstwa«. Równocześnie prezydent lwowskiego sądu apelacyjnego, Enzendorfer, więc głowa sądownictwa, najwyższy w kraju stróż wymiaru sprawiedliwości, odniósł się do prezydyum gubernialnego wprawdzie bez tak wyraźnego podniesienia obawy przed »szkodliwemi następstwami« ścigania zbrodniarzy, ale niezawodnie z pokrewnych tej obawie motywów politycznych z przedstawieniem, że należałoby porozumieć się co do traktowania »nadużyć«, przez chłopstwo popełnionych. Prezydyum gubernialne, załatwiając oba pisma Milbachera i Enzendorfera, »pouczyło 28 lutego 1846 starostów i delegowanego do dochodzeń karnych, radcę sądowego Wotawę, że »zabójstwa, skaleczenia i inne gwałty, popełnione przez poddanych przy odpieraniu powstańców i celem ich odstawienia, mają być uważane za akt obrony koniecznej«. W chwili, gdy w ten sposób we Lwowie myślano tylko o zasłonieniu zbrodniarzy przed odpowiedzialnością kryminalną, a żądanie wojskowej interwencyi zbywano milczeniem, wiedzieli już wszyscy, że na żadnym punkcie organizacya powstańcza nie doprowadziła do niebezpiecznego wybuchu, że nawet w cyrkule tarnowskim, najwięcej zagrożonym, chłopstwo od pierwszej chwili nie znajdowało się w stanie obrony koniecznej, lecz było stroną atakującą i to atakującą garstkę szaleńców, z góry na doszczętną zagładę skazanych.

Równocześnie złożono w gubernium lwowskiem »do akt«, więc do kosza, szlachetnem oburzeniem podyktowane przedstawienie jed-

nego z urzędników złoczowskiego cyrkułu (Schumanna), który z narażeniem się, jeżeli nie na obwinienie o udział w spiskowaniu, przed czem zasłaniało go niemieckie nazwisko, to co najmniej na zarzut arogancyi, wprost do prezydyum gubernialnego wniósł przedstawienie, że chłopom należy odebrać kosy dla zapobieżenia niechybnym nadużyciom. Byłby ten uczciwy urzędnik dobrze popamiętał swój śmiały krok, a jego pismo z pewnością nie byłoby poszło do kosza, lecz do rąk surowej komisyi dyscyplinarnej, gdyby prezydyum gubernialne nie lękało się było nadania sprawie rozgłosu, gdyby było tak pewnem siebie, jak się to ze stanowczości jego rozporządzeń wydawać mogło. Ale w otoczeniu br. Kriega uczuwano już wtedy potrzebę pomijania milczeniem takich głosów przestrogi, aby się na wszelki wypadek zasłonić przed Wiedniem, dokąd zaczynały skądinąd dochodzić wieści o rzezi, niezgodne z lwowskiemi relacyami o niebezpieczeństwie grożącem Austryi i o patryotycznych chłopach, odpierających ataki powstania w stanie obrony koniecznej. Musiały te wieści pochodzić od poważnych osób, skoro kanclerz, hr. Inzaghi, wydał 26 lutego 1846 roku drogą niezwykłą, bo bezpośrednio bez poprzedniego porozumienia się z gubernium lwowskiem, polecenie do pięciu starostów (w Wadowicach, Bochni, Tarnowie, Rzeszowie i Przemyślu), aby koniecznie starali się przywrócić uspokojenie między rozbestwionem chłopstwem. Gubernium otrzymało dopiero później zawiadomienie o tym kroku centralnej władzy rządowej i niczego ze swojej strony nie zarządziło. Dalszem pismem (z 2 marca) zawiadomił kanclerz, hr. Inzaghi, gubernium, że z Wiednia zjedzie na widownię krwawych wypadków radca kancelaryi nadwornej, Wacław Zaleski.

Oba te niezwykłe w szablonie biurokratycznym, bo samodzielne i bezpośrednie dyspozycye władzy centralnej świadczą o tem, że w Wiedniu uczuwano w danej chwili brak pewnej informacyi urzędowej o stanie rzeczy w Galicyi, a natomiast za wpływem wiadomości, skądinąd otrzymanych, budzić się zaczęła nieufność wobec podwładnego gubernium. Toteż gubernium to czyniło ze swej strony wszystko, co było możliwe, aby do Wiednia nie docierały z polskiej strony autentyczne opisy rzezi, dopóki ostateczny rezultat ryzykownej akcyi, to jest zupełne uchylenie przesadnie opisanego niebezpieczeństwa dla rządu przez doszczętne wytępienie i pojmanie żywiołów ruchu, nie pozwoli pokryć wszystkich bezprawi fikcyą krwawego zwycięstwa

w krwawej walce i rozgrzeszyć wszystkich wojenną formułką absolucyjną: *comme à la guerre!*

Toteż wprost nie puszczano w tych czasach do Wiednia nikogo, kto podejrzany był o zamiar wniesienia skargi do tronu, lub przynajmniej do władzy centralnej. Takim podejrzanym osobom odmawiano paszportu, bez którego wyjazd do Wiednia był niemożliwy. Wdowie po jednej z pierwszych ofiar rzezi, po Karolu Kotarskim, nawet Agenor hr. Gołuchowski, ówczesny radca gubernialny, nie zdołał wyjednać takiego paszportu u br. Kriega. Było w tem dobre wyrachowanie, bo samo pojawienie się Kotarskiej w Wiedniu mogło było pomieszać szyki matadorom gubernialnym, którzy umieli nietylko w relacyach do władzy centralnej zamglić prawdziwy stan rzeczy, lecz nadto wprowadzili w błąd zagranicę przy pomocy usłużnych piór biurokratyczno-dziennikarskich. Z pod tych piór wychodziły drukowane w augsburgskiej »Allgemeine Zeitung«, głównem źródle informacyjnem dla całej prasy niemieckiej, korespondencye galicyjskie, fałszujące nawet notoryczne szczegóły w sposób bezczelny, a jednak na razie wielce skutecznie. Dziennik ten bowiem posiadał wtedy powagę europejską, więc oczywiście wpływał znacznie na opinię europejską.

Nie braknie wskazówek autentycznych, z których wypływa, że w Wiedniu nie miano do ostatniej chwili wyrobionego trafnego wyobrażenia o postępowaniu władz galicyjskich, lecz dopiero z luźnych faktów i szczegółów wysnuwano wnioski, nieufność zdradzające. I tak naprzykład, kiedy właściciel dóbr, w lwowskim cyrkule położonych, Józef Ubysz, wniósł w pierwszej chwili zamętu do kancelaryi nadwornej w Wiedniu skargę na starostę Milbachera z powodu ubliżającego dla szlachty tonu jego pism urzędowych, kancelarya ta przesłała skargę prezydyum gubernialnemu z poleceniem, »aby zawiadomiono starostę, że jego postępowanie sprawiło zdziwienie«. Dla prezydyum gubernialnego jednak, wysoko ceniącego Milbachera, nie było w tem żadnego powodu nawet do zdziwienia, gdyż, nie troszcząc się o polecenie przełożonej władzy, złożyło jej reskrypt do aktów, więc do kosza. Albo weźmy drugi przykład. Po zmasakrowaniu oddziału powstańczego pod Gdowem przez pułkownika Benedeka na czele czerni chłopskiej polecono z Wiednia, oczywiście na wniosek, ze Lwowa przedstawiony, urzędowi sprzedaży soli w Bochni, aby zwycięskich chłopów wynagrodzono bezpłatnem rozdaniem soli, jako zadatkiem na późniejsze, z góry umówione wynagrodzenie pieniężne. Cóż dziwnego, że ów-

czesny służbisty poborca tego urzędu, Wacław Franciszek Tegetthoff, bawiąc wkrótce potem w Wiedniu, na własną rękę rozpisał subskrypcyę pieniężną na rzecz »dzielnych chłopów galicyjskich« i zamierzał wynik jej ogłosić w dziennikach wiedeńskich. Tymczasem prezydent najwyższej władzy policyjnej (hr. Sedlnitzky), pewnie nie bez ważnego powodu, uznał ów zamiar Tegetthoffa za »niedopuszczalny z wielu względów« i kazał przezydyum gubernialnemu we Lwowie tak samo postąpić co do tamtejszych dzienników.

Mając jednak po swej stronie sukces, w swojem wyobrażeniu dla państwa i rządu bardzo ważny, chociaż okupiony niepotrzebnie strumieniem krwi i stekiem najdzikszych wybryków podbechtanej czerni chłopskiej, prezydyum gubernialne we Lwowie nie trwożyło się objawami refleksyi w kołach wiedeńskich i już nawet po wyjściu na jaw wszystkich tych wybryków, po stłumieniu wszystkich ruchów powstańczych, trwając w zaciekłości swojej, czy nie mogąc powstrzymać się na pochyłej drodze, nietylko nie wystąpiło z silną represyą przeciw ponawianiu się tych wybryków, lecz nawet ignorowało po prostu błagalne głosy najpoważniejszych obywateli w kraju o wysłanie asystencyi wojskowej z powodu groźnej postawy chłopstwa. Taki naprzykład głos Leona ks. Sapiehy z Krasiczyna zakomunikowano chłodno staroście w Przemyślu (w kwietniu 1846 roku), »pozostawiając mu uwzględnienie prośby według możności«, co znaczy, że wszystko pozostawiono jego dobrej woli. Starosta ten, mając w swych ręku dyskrecyonalną władzę, zrobił z niej użytek, godny historycznego upamiętnienia, Wydał bowiem rozporządzenie, że szlachcie, napływającej z całego cyrkułu do Przemyśla pod osłonę władzy, przebywanie w tem mieście nie będzie dozwolone. Prezydyum gubernialne przyjęło to zarządzenie »do wiadomości«, nie troszcząc się oczywiście dalej o losy szlachty. Jaką była jej dola ówczesna, to jeden z żyjących jeszcze świadków ówczesnych (Edward Micewski z Tuczemp) z własnej inicyatywy przedstawił piszącemu w liście prywatnym, który tak opiewa: »Pamiętam doskonale rok 1846. Urzędy bardzo obojętnie patrzyły na popełnione zbrodnie i tolerowały wszystko. Jednakże gdy wreszcie polecono stłumić w Jasielskiem i Sanockiem rozhukane, szalone chłopstwo, starosta przemyski wysłał komisarza, Neussera, z rozkazem poskromienia buntu. Ten nie rozumiał żartów, postępował z całą energią i po niejakim czasie zapanował spokój. Gdy zdał o tem raport staroście, ten tak się wyraził: Spodziewałem się, że Pan dłużej pozostawisz szlachtę w opa-

łach; coś Pan uczynił, to idzie na pańską odpowiedzialność. Te słowa z ust samego Neussera słyszałem; podaję je jako ciekawy szczegół do owej epoki. Gdy się zdawało, że nieszczęsna rabacya (tak nazywano ówczesną hajdamaczyznę) zbliża się ku Jarosławiu, w którego pobliżu, mając majątek ziemski, mieszkaliśmy, ojciec mój i ja z nim wyjechaliśmy dla schronienia się do Przemyśla. Starosta jednak kazał nam natychmiast opuścić miasto i tylko za wstawieniem się komisarza Neussera zezwolił nam pozostać, jednakże pod warunkiem, żebyśmy nie wychodzili z domu i nie pokazywali się w mieście, aż chyba późnym wieczorem«.

Historyczny dekorator działalności biurokracyi austryacko-galicyjskiej z roku 1846, br. Sala, zaćmiwszy — bardzo zresztą oględnie i delikatnie — tę aureolę patryotycznego bohaterstwa, jaką Breinla opromienili pamfleciści niemieccy *à la* Sacher-Masoch, mniemał, że, dawszy w ten sposób dowód bezstronności, może tem śmielej odeprzeć i nawet oszczerstwem nazwać podniesione z polskiej strony zarzuty, iż niektórzy urzędnicy cyrkularni nietylko biurową swoją działalnością przyczynili się do katastrofy, lecz nawet bezpośrednio udziałem swoim dodawali animuszu bandom hajdamackim. I tutaj znowu szczęśliwemu przypadkowi zawdzięczamy poznanie aktu urzędowego, więc dokumentu autentycznego, który nietylko w innem świetle stawia owe wrzekome oszczerstwa polskie, lecz nadto rzuca fatalny cień na prawdomowność br. Sali.

Dokument ten tyczy się młodego urzędnika cyrkularnego, Vitzthuma, który w roku 1846 stał się głośnym w cyrkule bocheńskim, głośnym z tego, że opinia posądzała go wprost o uczestnictwo w wyprawach chłopskich na dwory szlacheckie, w masce, do okoliczności i sytuacyi zastosowanej, bo w ubraniu chłopskiem. Ten Vitzthum ściągnął na siebie w swoim czasie wiele oskarżeń, wniesionych do przełożonej władzy, ale mimo to wszystko byłby wyszedł bez szwanku z tych opałów, gdyby nie fakt, że także osobistość, dobrze w opinii rządu zapisana, padła ofiarą jego niegodziwości i widocznie nie licząc na to, żeby w prezydyum gubernialnem znaleźć mogła satysfakcyę, odniosła się ze skargą swoją wprost do kancelaryi nadwornej w Wiedniu. Według szablonu biurokratycznego skarga ta przesłana została prezydyum gubernialnemu, które tym razem nie mogło już złożyć sprawy »do aktów«, jak tyle innych skarg szlachty z roku 1846. Za to jednak umiano sprawę tak pokierować, żeby z wielkiej chmury

spadł na Vitzthuma tylko mały deszczyk dyscyplinarny. *Ut aliquid fecisse videatur*, wytoczono przeciw Vitzthumowi dochodzenie w sposób taki, żeby szczegóły i samo zakończenie pozostały na zawsze ukryte w tajnikach prezydyalnych. Przypadek jednak zrządził, że akt dochodzenia, zapewne wśród późniejszego rozgardyaszu archiwalnego przy organizacyi nowych rządów administracyjnych, dostał się między stosy innych aktów, dla wielu oczu dostrzegalnych i dla wielu rąk dotykalnych. Warto go przekazać historyi ściśle w tej formie, w jakiej się dotąd utajony dochował.

Oto dosłowny przekład z niemieckiego:

»Elżbieta z br. Przychockich Dydyńska i Franciszek br. Przychocki wnieśli do c.-k. kancelaryi nadwornej podanie, w którem proszą o satysfakcyę za zniewagę, wrzekomo wyrządzoną ich ojcu, właścicielowi dóbr Aleksandrowi br. Przychockiemu, przez gubernialnego praktykanta konceptowego Vitzthuma, oraz o odszkodowanie z powodu splądrowania ojcowskiego majątku przez chłopów. Według osnowy tego podania, miał Vitzthum w czasie rozruchów, gdy w Dziekanowicach od zgromadzonych chłopów otrzymał wiadomość o zrabowaniu dworu Przychockich w Sierakowie, czyn ten pochwalić i powiedzieć przytem, że baron jest taki sam łajdak, jak wszyscy inni i że słusznie go taki los spotkał. Wskutek tego podania, polecono staroście w Bochni bliższe zbadanie postępowania Vitzthuma, politycznego zachowania się właściciela dóbr, Aleksandra br. Przychockiego i jego dzieci w czasie powstania, wreszcie powetowanie szkody, przez rabunek zrządzonej, o ile to jest możliwem i winni mogą być wyśledzeni. W przedłożonej relacyi donosi starosta w Bochni, że w sprawie odszkodowania już przedtem wydano zarządzenie, że zrabowane przedmioty, o ile je u poddanych znaleziono, zostały im odebrane i właścicielom zwrócone, a równocześnie zarządzono przez urzędownie ustanowionych mandataryuszy sprawdzenie istoty czynu co do popełnionego rabunku i przesłano sprawę sądowi karnemu do urzędowania. Do relacyi dołączony jest wykaz przy rewizyi w gminie Sieraków i Nowawieś znalezionych, a ze zrabowanego dworu sierakowskiego pochodzących efektów, które rodzinie Przychockich zwrócono. Co do postępowania Vitzthuma, starosta bez wdrożenia formalnego dochodzenia zasięgnął jedynie informacyi w sposób, w oko nie wpadający, polecając komisarzom cyrkularnym, Vajdzie i Gedlowi, aby w formie pogadanki wybadali świadków wymienionych w podaniu do kancelaryi

nadwornej. Rezultat jest następujący: Według sprawozdania komisarza cyrkularnego Gedla, administrator parafii dziekanowickiej, ks. Wieczorek i szynkarz w Sierakowie, Broniewski, potwierdzali w rozmowie, że Vitzthum wobec poddanych dziekanowickich, od których otrzymał wiadomość o zrabowaniu dworu w Sierakowie, czyn ten pochwalił i do administratora parafii, ujmującego się za starym Przychockim, powiedział głośno, że »słusznie mu się to stało, bo jest taki sam łajdak, jak wszyscy inni«. Według dalszego oświadczenia ks. Wieczorka miał Vitzthum chłopom, prowadzącym dzierżawcę Jaworskiego, wydać rozkaz, aby zdarli z niego futro lisie. Według opowiadań komisarza cyrkułowego Gedla, ma Vitzthum z powodu poruczonych mu spraw wielu nieprzyjaciół i zapewne z tej przyczyny posiada złą opinię w cyrkule bocheńskim. W sprawozdaniu komisarza cyrkularnego Vajdy przedstawiony jest Vitzthum jako człowiek niezwykle lekkomyślny i niedoświadczony. Podczas ważnych misyi, poruczonych mu w czasie powstania, postępował w sposób nierozsądny i proklamował w gminach poddańczych uwolnienie od pańszczyzny. W tym czasie miał być zawsze w stanie wzburzonym, zapijać się, a wysłany do Limanowej, przez swoją nieroztropność dał tam powód do nieporozumienia, które łatwo doprowadzić mogło do krwawych ekscesów i zażegnane zostało tylko dzięki oględności komisarza cyrkularnego Grohmanna. O Vitzthumie obiegają zresztą w obwodzie bocheńskim rozmaite wieści. I tak np. mówią, że przy rozdzielaniu pieniędzy składkowych i przy zakupnie zboża nie postępował w sposób całkiem nieposzlakowany, że w czasie rozruchów w kilku miejscowościach przywłaszczył sobie kosztowne przedmioty. Wieści te znajdują poniekąd wiarę ze względu na wpadające w oko, a z dochodami konceptowego praktykanta gubernialnego w żadnym stosunku nie stojące wydatki, które Vitzthum, notorycznie nie posiadający majątku, na życie łożył. Co do politycznego zachowania się rodziny Przychockich, donosi starosta, że ojciec, Aleksander który umarł ze zgryzoty po zrabowaniu jego majątku, a do którego odnosiły się powyżej przytoczone słowa Vitzthuma, był człowiekiem honorowym i wcale nie mieszał się do knowań politycznych. Służył on niegdyś w galicyjskiej gwardyi szlacheckiej, był potem cyrkularnym komisarzem, ustąpił po kilkuletniej służbie, został przez cesarza Franciszka I mianowany kuratorem klasztoru benedyktynek w Staniątkach i odznaczony krzyżem kawalerskim orderu Leopolda. Podpisane na podaniu do kancelaryi nadwornej dzieci

Aleksandra, Franciszek, Eliza i Walerya Przychoccy, nie brały udziału w knowaniach politycznych i w ogóle nie miały zgoła żadnego znaczenia politycznego. Najstarszy zaś syn, Teodor Przychocki, z powodu obwinienia o udział w wypadkach rewolucyjnych pozostawał w śledztwie sądowo-karnem, ale został potem uwolniony i był w Gracu internowany«.

Więc Vitzthum, według świadectwa kolegów, dwóch komisarzy cyrkularnych, biurokratów, co najmniej pobłażliwie traktujących nadużycia ówczesne, był hultajem na wielki kamień, upijał się i żył nad stan, pochwalał rabunki przez chłopów dokonane, a nawet kazał dzierżawcę Jaworskiego z futra obrabować, przywłaszczał sobie kosztowne przedmioty z dworów w sposób, łatwo odgadnąć się dający, wreszcie sprzeniewierzał grosz publiczny. Cóżby dopiero byli zeznali ludzie pokrzywdzeni, jeżeli koledzy-biurokraci, wysilający się na pobłażliwość, tylu nikczemności, jako notorycznych, już absolutnie ani ukryć, ani usprawiedliwić nie próbowali! Ale pokrzywdzonych nie słuchano i nie pytano o nic, chociaż ofiarą i skarżącym był dawny komisarz cyrkularny, Przychocki, obywatel pewnie lojalny, skoro odznaczony został wysokim orderem Leopolda. Prezydyum gubernialne dyskretnie poprzestało na informacyach, zasięgniętych w sposób »w oko nie wpadający«. Za to dziwoląg ten tak wpada w oko, że sam jeden wystarcza do zachwiania wiarygodności br. Sali, co do jego protestu przeciw polskim »oszczerstwom«, na biurokracyę rzucanym.

Jeżeliby tylko starosta bocheński krępowany był wobec Vitzthuma, a prezydyum gubernialne było istotnie tak niewtajemniczone w nadużycia, jak to br. Sala w swojem dziele przedstawił, to już po takiem, przez samo gubernium napisanem, resumé skargi i szczegółów sprawdzonych, wypadałoby oczekiwać gromów, ciśniętych na starostę bocheńskiego i wymiaru jakiej kary na Vitzthumie. Tymczasem prezydyum gubernialne nie wysłało do kancelaryi nadwornej żadnej relacyi, nie dało skarżącej stronie żadnej, chociażby frazesowej, satysfakcyi, nie wytknęło nawet Vitzthumowi nadużyć, lecz przewlókłszy sprawę do wiosny roku 1847, wystosowało do starosty w Rzeszowie, gdzie już wtedy przebywał przeniesiony do tego cyrkułu Vitzthum, następujące rozporządzenie: »Załączona relacya starosty bocheńskiego wraz z dodanemi do niej opiniami komisarzy cyrkularnych, Vajdy i Gedla, poinformuje WPana o niewłaściwościach, zarzuconych zostającemu obecnie w służbie przy rzeszowskim urzędzie cyrkularnym, gubernialnemu

praktykantowi konceptowemu, Vitzthumowi, z czasów, gdy tenże służbę pełnił w bocheńskim urzędzie cyrkularnym, mianowicie z czasów powstania, oraz o wątpliwościach wyrażonych co do jego charakteru nieposzlakowanego. Komunikuje się WPanu ten akt z wezwaniem, abyś na tego zresztą z gorliwości i zręczności korzystnie znanego urzędnika, którego nieroztropne i niewczesne wyrażenia, jeżeli je rzeczywiście wypowiedział, tylko panującem wówczas wzburzeniem dadzą się usprawiedliwić, zwracał w przyszłości uwagę, zalecał mu usilnie spokój i umiarkowanie w urzędowaniu, a przytem wyrobił sobie należytą opinię o jego moralnem zachowaniu się i jego prawości, donosząc o ewentualnych ujemnych spostrzeżeniach w tej mierze«.

Oczom własnym nie chce się wierzyć, że przełożona władza, zamiast skarcić takiego hultaja, wystawia mu świadectwo pochwalne jako »urzędnikowi znanemu korzystnie z gorliwości i zręczności«, mieniąc jego czyny z oczywistą kwalifikacyą kryminalną tylko »niewłaściwościami« i to jeszcze »usprawiedliwionemi panującem wzburzeniem«, każe staroście rzeszowskiemu dopiero »wyrabiać sobie należytą opinię o prawości« — nikczemnika. Ten jeden fakt uzasadniałby już dostatecznie ujemny sąd o biurokracyi z 1846 roku.

Nie wiemy, jaką opinię wyrobił sobie ostatecznie starosta rzeszowski o Vitzthumie, ale opinia o prezydyum gubernialnem w tej sprawie może być tylko jedna, to jest ta, że wobec Vitzthuma było krępowane tak samo, jak starosta bocheński — poczuciem współwiny i wspólnej odpowiedzialności. A br. Sala tak się oburza w swojem dziele na podobne twierdzenia, ze strony polskiej podnoszone. Skoro, jak się sam w swojem dziele chwali, miał w ręku wszystkie akta gubernialne, to i o sprawie Vitzthuma posiadał urzędowe dane. Nie wiemy, czy akt przez nas przytoczony znajdował się w ręku br. Sali w chwili, gdy się zabierał do pisania swojej »historyi«, ale że miał go w ręku w roku 1847, jako ówczesny radca gubernialny, stojący najbliżej wielkiego ołtarza, to fakt najpewniejszy pod słońcem. Na samym akcie bowiem umieścił prezydent br. Krieg następujący dopisek (oczywiście po niemiecku): »Panu radcy gubernialnemu, baronowi Sali, do uprzejmego przejrzenia po ekspedycyi«. Br. Sala przejrzał akt niezawodnie, bo stwierdził to na nim swoim własnoręcznym podpisem. Mniemamy, że już ten jeden szczegół wystarcza do zachwiania powagi źródłowej, którą br. Sala dla swojego dzieła windykuje, a której mu nawet polska krytyka historyczna nie zaprzeczyła w sposób sta-

nowczy. Br. Sala jest autentycznym, o ile chodzi o przytoczenie aktów popierających jego dążności do rehabilitacyi biurokratycznych działaczy z roku 1846, ale ukrywając lub pomijając milczeniem takie dokumenty historyczne, jak akt powyższy, lub przedtem podane hajdamackie rozporządzenie starosty Milbachera do mandataryusza Błockiego, już nietylko uchybił ścisłości, lecz nawet dopuścił się skrzywienia obrazu historycznego.

W obrachunku winy i odpowiedzialności za rzeź galicyjską z r. 1846 na szali ciężko dziś zaważyć musi jeden argument natury negatywnej ale wiele mówiący. Argument ten sformułować można w pytaniu: dlaczego na wszystkie współczesne, całą Europę obiegające i o pomstę wołające oskarżenia biurokracyi galicyjskiej nie odpowiadano takiem autoryzowanem urzędowem przedstawieniem genezy i przebiegu krwawych wypadków, o jakiem, jak to z aktów się okazuje, początkowo na seryo myślano w wiedeńskich kołach rządowych? Wyszło nawet w tym duchu w roku 1847 cesarskie polecenie, którego nie wykonano ani w swoim czasie, ani później. Dzieło br. Sali nie może uchodzić za taką autoryzowaną odpowiedź rządu, bo sam autor w przedmowie zaznacza to wyraźnie. Wprawdzie w roku 1846 i 1847 biuro prasowe, nie zorganizowane w sposób dzisiejszy, ale mimo to gorliwie i wydatnie funkcyonujące w ówczesnym aparacie rządowym, zasypywało z Wiednia i ze Lwowa zjednane dla obrony pisma zagraniczne (w pierwszym rzędzie wspomnianą już wyżej augsburską «Allgemeine Zeitung«) korespondencyami, piętnującemi nazwą oszczerstwa wszelkie obwinienia biurokratów galicyjskich o przyczynienie się do krwawego przebiegu wypadków, a zarazem przedstawiającemi cały wybuch jako straszliwe, na mordy obliczone sprzysiężenie komunistów, w ogóle żywiołów wywrotu społecznego, do spółki z emigracyą polską, działającą pod hasłem narodowem, ale zawsze w duchu jakobińskich tradycyi, przekazanych porozbiorowemu społeczeństwu polskiemu ze schyłku XVIII stulecia; ale wszystkie te filipiki nie zdołały zagłuszyć głosów przeciwnych, rozbrzmiewających równocześnie w wybitnych liberalnych organach europejskich i w parlamentach. Straszydło jakobinizmu, które od chwili genezy swojej tyle razy nieocenione oddało usługi dyplomacyi europejskiej kosztem oczywistej prawdy, mogło jeszcze i w tych czasach być wydobyte z rupieciarni dyplomatycznej *in usum* oficyalnego świata, uważającego mowę za dar boży, dany człowiekowi dla ukrywania myśli i rzeczywiście też, obok

komunizmu, wydobyte zostało przez ks. Metternicha w jego notach ówczesnych; ale opinia zachodniej Europy, dla której sprawy polskie nie były już, jak przed kilkudziesięciu laty, *terra incognita,* nie dała się tak łatwo w błąd wprowadzić.

W półtora roku później, w roku 1848, nawet ze stanowiska interesów zagranicznej polityki austryackiej potrzebnem, wprost koniecznem było takie autoryzowane odparcie oskarżeń z roku 1846, o jakiem pierwotnie w Wiedniu myślano. Pokazało się bowiem, że ks. Metternich nie zdołał nawet zagranicznego świata dyplomatycznego przekonać o bezpodstawności tych oskarżeń, skoro, jak się to okazuje z dokumentów przez br. Helferta[1]) ogłoszonych, lord Palmerston z okazyi obłożenia przez marszałka Radetzkyego wielką kontrybucyą magnatów lombardzkich, wtedy poza krajem przebywających, nie zawahał się w rozmowie z austryackim ambasadorem uczynić jego rządowi zarzutu, że w roku 1846 wywołał rzeź w Galicyi. Austryackim ministrem spraw zagranicznych był wtedy Feliks ks. Schwarzenberg, niezmiernie drażliwy o powagę i honor Austryi, ale nadto dbały o swój dżentelmański charakter nawet w polityce, aby posługiwać się zechciał wykrętnymi środkami. Gdyby wtedy ks. Schwarzenberg mógł był w Wiedniu z aktów o r. 1846 powziąć niezłomne przekonanie, że postępowanie organów rządowych w Galicyi było zupełnie nienaganne, byłby zapewne zaraz spowodował wykonanie cesarskiego rozkazu co do autoryzowanego przedstawienia genezy i przebiegu krwawych wypadków roku 1846, a już co najmniej byłby wobec Palmerstona wystąpił tak energicznie, aby za obrazę dane było zupełne zadośćuczynienie. Tymczasem ks. Schwarzenberg postąpił sobie w tej sprawie w taki sposób, jak gdyby chciał ubić niemiłą kwestyę raz na zawsze, warując jakie takie pozory gniewu za krzywdzące uchybienie. Takie wrażenie bowiem sprawia nota ks. Schwarzenberga z 30 listopada 1848 roku, wystosowana do ambasadora austryackiego w Londynie, a którą dosłownie przytaczamy: »Widzę z Pańskiej relacyi z 20 listopada — pisze książę Schwarzenberg — że lord Palmerston, mówiąc o polityce rządu cesarskiego wobec Włoch, pozwolił sobie imputować mu rzeź galicyjską z roku 1846 i w ogóle w rozmowie z Panem przybrać ton, którego reprezentant Austryi nie może znosić

[1]) J. A. Frh. v. Helfert: »Geschichte Oesterreichs vom Ausgange des Wiener October-Aufstandes 1848«, Prag 1870 — tom IV (w aneksach).

bez narażenia powagi swojego dworu. Wobec tego wzywam Pana, abyś odtąd z pierwszym sekretarzem stanu utrzymywał tylko stosunki czysto urzędowe, a przedewszystkiem, abyś nigdy nie wchodził z nim w dyskusye o kwestyach politycznych. Będziesz Pan tylko wywiązywać się z poleceń odemnie otrzymanych i przyjmiesz jedynie *ad referendum* wszystko, co on Panu powie«.

Trzeba jeszcze dodać, że Palmerston wcale nie przeraził się taką zmianą w postępowaniu ambasadora austryackiego i snać nie obawiał się zaostrzenia konfliktu o powyższą sprawę, skoro dalej dokuczał Austryi z powodu aktualnej wówczas sprawy włoskiej tak dalece, że aż przyszło do zamanifestowania żalu wobec samego dworu angielskiego. Po zaszłej bowiem wtedy w Austryi zmianie osób na tronie, nie wysłano z Wiednia do Londynu, jak do innych dworów, arcyksięcia z listem nowego cesarza (Franciszka Józefa I), lecz poprzestano na zwyczajnej dyplomatycznej notyfikacyi jego wstąpienia na tron. Do demonstracyi tej ks. Schwarzenberg dodał reprezentantowi austryackiemu na dworze londyńskim komentarz, w którym lord Palmerston nazwany został »zaciekłym nieprzyjacielem Austryi« i »zdeklarowanym protektorem buntowniczych poddanych cesarza«.

Czy na ks. Schwarzenberga wpłynęła tak bardzo spuścizna archiwalna, objęta po poprzedniku, ks. Metternichu, że poniekąd płazem puścił, a w każdym razie bardzo niedostatecznie powetował zniewagę, Austryi wyrządzoną? Czy spotkał się może w tej spuściźnie z dowodami, lub przynajmniej wskazówkami na to, że na ks. Metternicha, jako wszechwładnego w roku 1846 kanclerza, spada znaczna część odpowiedzialności za rzeź galicyjską, że zatem racyę miał w tej mierze Aleksander hr. Wielopolski w swoim słynnym wówczas liście otwartym, w Brukseli po francusku wydanym, więc dla całej Europy przystępnym?

Żeby ks. Metternich przewidywał takie łotrostwa, jakie za plecyma Breinla popełnione zostały przez bandy hajdamackie pod wodzą Jakóba Szeli, żeby, mogąc im zapobiedz, z rozmysłem nie uczynił tego, żeby wreszcie przy pisaniu swoich pierwszych not dyplomatycznych o wypadkach galicyjskich z lutego 1846 roku miał już jakie pewne informacye o prawdziwym stanie rzeczy i dowody kłamliwości bezpośrednich relacyi Breinla, a wszystko to z planem ukrył przed cesarzem, tego przypuścić nie można, chociażby tylko z tego powodu, że taki przebiegły dyplomata, jak ks. Metternich, nie byłby w takim

razie niejako prowokował opinii europejskiej tonem, jakim tchną jego ówczesne noty, znane dziś w tekscie autentycznym z dzieła, wydanego przez syna kanclerza [1]). Dopóki jaka niespodzianka w formie publikacyi nieznanych dotąd, sekretnych aktów kanclerskich z tej doby nie dostarczy innego materyału, trzeba w sądzie o roli ks. Metternicha w roku 1846 poprzestać na powyższym materyale autentycznym.

Z tego materyału okazuje się przedewszystkiem, że ks. Metternich we współczesnych pismach dyplomatycznych przedstawił reprezentantom rządu austryackiego za granicą charakter wypadków galicyjskich z lutego 1846 roku w najfałszywszem świetle, mianowicie w ten sposób, iż chodziło tutaj nie o szalony poryw wolnościowy z przewodnią ideą narodową, lecz o zbrodniczy zamach komunistyczny na porządek społeczny. Cele i środki tego zamachu wyglądają w tych pismach tak potwornie, że wobec nich krwawa represya, której szczegóły oczywiście zostały milczeniem pominięte, wygląda jako akt koniecznej obrony ustroju państwowego, podminowanego w fundamentach społecznych.

Dla ilustracyi przytoczymy kilka ustępów z tych pism ks. Metternicha: »Zdaje się, — pisze do ambasadora austryackiego w Paryżu, hr. Apponyi'ego, dnia 20 lutego 1846 roku, — że odkrycia, poczynione w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, skłoniły frakcyę komunistyczną do spróbowania zamachu w małem państewku Krakowskiem. Przedsięwzięcie jest bezmyślne, ale partya ta może podejmować tylko zamysły, odpowiadające jej duchowi. W Krakowie jest wiele pieniędzy do zabrania, jest możność teroryzowania, a mniejsza o to, co się potem stanie. Trwoga, wywołana przez tych krwiożerców *(ces buveurs de sang),* jest tak wielka, że ludzie posiadający nie mają już tyle odwagi, aby nocować w swoich pomieszkaniach. Filantropowie *quand même,* zabierając głos w sprawie polskiej, mogą używać na rzecz swoją dźwięcznych słów, ale nie mają one praktycznego znaczenia. W mojej depeszy z dnia dzisiejszego mówię o dwóch stronnictwach polskich. Jest rzeczą pewną, że stronnictwo arystokratyczne znikło, a góruje stronnictwo skrajnej lewicy. Stronnictwo to składa się z drobnych oficyalistów, z kasty szlachty zrujnowanej (żebraczej) i zapaleńców ze wszystkich klas. Propaguje ono podział dóbr i formuje

---

[1]) »Aus Metternich's nachgelassenen Papieren«, Wien, 1883 (część druga, tom piąty).

się w bandy, celem atakowania klasy posiadającej. W Galicyi dziś chłopi sprawują policyę. Nasi włościanie są szczęśliwi i właśnie lękają się tego, żeby się nie znaleźli w dawnem położeniu swojem. Chwytają zatem agitatorów i wydają władzy«. W siedm dni później pisze ks. Metternich do tego samego ambasadora: »Gdzie się zatrzyma i w jakim kierunku rozwinie się ruch, raz rozbudzony? Początek jego odsłonił dla właścicieli niebezpieczeństwo komunizmu. Lud galicyjski zwalcza instygatorów, gdyż odrzuca doktrynę, której nie rozumie«. Komunikując 18 marca 1846 roku hr. Apponyi'emu wyciągi z papierów uwięzionego w Poznaniu Mierosławskiego, mianowicie wyciągi z instrukcyi rewolucyjnych, ks. Metternich taki dodaje komentarz: »Redaktorowie (tych instrukcyi) powiedzieli sobie, jak się zdaje: Zacznijmy od zabijania, rabowania i niszczenia, a potem przyjdzie kolej na resztę. Z tych instrukcyi pokazuje się, że były one dosłownie pojmowane przez spiskowych w cyrkule tarnowskim«.

Zmora jakobinizmu, łączonego od schyłku XVIII stulecia nierozdzielnie ze wszystkimi ruchami polskimi, widocznie tak opętała ks. Metternicha, że rozstrzygającemi dla jego postępowania były informacye, dostarczane przez agentów policyjnych, śledzących szczególnie działalność najskrajniejszych żywiołów emigracyi polskiej w Paryżu i w Wersalu. Od tych agentów nadchodziły potworne wiadomości o planach zapaleńców *à la* Mierosławski i Edward Dębowski, z których pierwszy śledzony był w Poznańskiem i wpadł wreszcie w ręce policyi, a drugi uwijał się po Galicyi pomimo wytężonej czujności policyjnej tak szczęśliwie, że nie wpadł w ręce władzy austryackiej. Dębowski padł na czele procesyi, która w roku 1846 z Krakowa wyruszyła na Podgórze przeciw nadciągającemu wojsku austryackiemu, ale jeszcze i po śmierci, której na pobojowisku w pierwszej zaraz chwili nie stwierdzono autentycznie, tak trapił swojem wspomnieniem policyę austryacką i tak się władzom przywidywał, że starostowie urządzali formalne obławy, a nawet w rok później zarządzono rewizyę wszystkich więzień i więźniów politycznych, wskutek uporczywie utrzymującej się pogłoski, jakoby Dębowski żył jeszcze i albo dalej pełnił funkcyę emisaryusza z właściwą sobie bajeczną zręcznością, albo dostał się do więzienia pod fałszywem nazwiskiem.

Że pisma, wychodzące z tych kół radykalnych i ustna propaganda ich wysłanników w Galicyi dostarczały, niestety, aż nadto wiele materyału na poparcie urojeń ks. Metternicha, jakoby chodziło głów-

nie o komunizm i w ogóle o przewrót socyalny, jakoby mianowicie partya radykalna, wpływając na lud wiejski ponętną obietnicą zniesienia pańszczyzny, usiłowała porwać go za sobą, a przytem zawładnąć szlachtą, w ten sposób steroryzowaną, to, niestety, nie ulega wątpliwości, to jeszcze więcej utwierdzało koła rządowe w przekonaniu o trafności dotychczasowej nieszczęsnej polityki, której pierwszym fundamentalnym artykułem było takie traktowanie i forytowanie chłopa, aby on tylko od rządu oczekiwał ulgi w ciężarach pańszczyźnianych, a w cyrkułach widział swoich opiekunów i obrońców. Jeżeli jednak mężowi stanu, dzierżącemu w rękach swoich, jak ks. Metternich, ster polityki wewnętrznej i zagranicznej całego państwa, nie można darować takiego zaślepienia w poleganiu na informacyach jednostronnych, to już żadną miarą nawet złagodzić nie można ciężkiej odpowiedzialności za to, że, opierając się na chłopach, pozwalając im, jak sam mówi, »sprawować policyę«, nie pomyślał wcześnie o tem, aby dzikie instynkta tej siermiężnej policyi ujęto w karby powagą władzy, ewentualnie siłą zbrojną. Że ta powaga nie wystarczy zaraz w pierwszej chwili żywiołowego wybuchu i siła zbrojna jest niedołężna, to były rzeczy jawne w Galicyi, o tem kierujące sfery w Wiedniu wiedzieć były powinny i wiedzieć mogły, gdyby, nie polegając wyłącznie na ustnych informacyach biurokratycznych, zechciały były wysłuchać głosów poważnego obywatelstwa z kraju. Historya jest bezwzględną w potępianiu mężów stanu, którzy nie przewidywali czegoś, co zmysł polityczny bez daru proroczego przewidzieć jest w stanie. W tym wypadku nie chodziło nawet o przewidywanie rzeczy, możliwych wśród pewnych tylko komplikacyi, lecz o trzeźwy pogląd na sytuacyę i ostrożne wzięcie pod rozwagę ewentualności, nietylko przewidzieć się dających, lecz wprost przewidywanych przez poważnych obywateli kraju.

Ks. Metternich był tak jednostronnym i zaślepionym w swoich poglądach i dążeniach, że nawet w chwili, gdy Galicya stała się już widownią najstraszniejszych nadużyć chłopskich, zamiast potężnym wpływem swoim pobudzić wszystkie czynniki do poskromienia anarchii, myślał więcej o jej wyzyskiwaniu dla swoich planów politycznych. Oddawna solą w oku była mu emigracya polska i włoska, poruszająca się swobodnie we Francyi, więc teraz skwapliwie korzystał ze sposobności wymierzenia ciosu w tego wroga swojego. Naraz tedy już nie jakobinizm polski, lecz aspiracye narodowe występują na pierw-

szy plan, a emigracya polska, działająca w Paryżu pod osłoną prawa azylu, uchodzi za sprawczynię całego ruchu. Stąd wypływa oczywiście wniosek, że prawo to powinno być odjęte emigrantom polskim. Życzenie takie wypowiada ks. Metternich w notach swoich do hr. Apponyi'ego coraz wyraźniej, w końcu, bez wszelkich ogródek, natarczywie i poleca mu, aby w tej mierze nalegał na ministra Guizota, przedstawiając mu dobitnie wspólność niebezpieczeństwa w razie dalszego tolerowania akcyi emigrantów, dalej wspólność interesów a nawet wspólność myśli, którą w nocie z 18 marca 1846 roku temi słowy określa: «Chciej Pan z mojej strony oświadczyć Guizotowi, że moralnie łączę go z mojemi własnemi myślami. Czego ja pragnę, tego on chcieć powinien, co ja czuję, to on także uczuwać powinien, co ja wiem, to i on wiedzieć powinien; a jeżeliby miało być inaczej, żałowałbym go z całej siły mojego sumienia«.

Mógł w ten sposób ks. Metternich apelować do wspólności celów i myśli z Guizotem, gdyż obaj czuli to dobrze, że pod strzeżonym przez nich systemem politycznym, wyglądającym na oko jak budowla, przez cyklopów wzniesiona, grunt już drżeć zaczyna, a dolatujące ich uszu głuche pomruki zwiastują zbliżający się kataklizm. Ks. Metternich pozostawił między swoimi papierami, przez syna wydanymi, własnoręczne zapiski, w których zwierzył się z tych obaw. Obaj mężowie stanu przeczuwali więcej, niż przewidywali zawieruchę, która w dwa lata później (1848) zerwała się nad ich głowami i obu porwała w przepaść.

Ks. Metternich, kując energicznie żelazo, rozpalone w piekielnym ogniu rzezi galicyjskiej, straszył nietylko Guizota, lecz także sąsiadów Austryi zmorą przewrotu społecznego. Br. Minutoli, prezydent policyi w Poznaniu, kijowski generał-gubernator, generał Bibikow, generał Mirkowicz w Wilnie, namiestnik ks. Paskiewicz w Warszawie informowani byli o szczegółach ruchu galicyjskiego, oczywiście w powyżej wskazanem oświetleniu, bądź przez poufnika Metternichowskiego, szefa policyi w Wiedniu, hr. Sedlnitzkyego, bądź za jego pośrednictwem przez gubernium galicyjskie. Cały kartel antypolski był w ruchu i w emocyi. Wobec krwawej łuny, zawisłej nad Galicyą, ks. Metternich i jego powiernik, hr. Sedlnitzky, ślepo już polegali na najdziwaczniejszych raportach gęsto po zachodniej Europie rozsianych tajnych agentów, którzy, w popłatnym pościgu za materyałem, ciekawym dla ich chlebodawców, już dawno przed wybu-

chem przestali się liczyć nawet z względami na prawdopodobieństwo, puszczając zupełnie wodze denuncyatorskiej fantazyi co do emigrantów włoskich i polskich. Włosi mają na to niezbite dowody, gdyż przypadkiem wpadły w ich ręce sekretne akta policyi Metternichowskiej [1]). Polskim rękom nie sprzyjało pod tym względem szczęście, a tym, którzy po upadku ks. Metternicha mogli zaglądnąć do archiwalnej pozostałości kanclerza, nie wiele na tem zależało, w jakiem świetle były tam przez tajną policyę przedstawione zamysły paryskich i wersalskich klubów polskich co do ruchu w Galicyi. Można się jednak domyśleć, że na temat polskich planów spiskowych fantazya policyjna była jeszcze bujniejsza i płodniejsza, niż w sprawach włoskich, gdyż, jak powiedzieliśmy, tacy zapaleńcy, jak Dębowski, dostarczali jej szalonymi pomysłami swoimi wątku do zapowiadania nawet krwawego przewrotu na tle stosunków społecznych. Obawa, że za przykładem chłopów galicyjskich, podburzonych przeciw szlachcie obietnicą darowania pańszczyzny, rozbudzi się podobny ruch, groźny także i w innych prowincyach państwa, gdzie ciężar pańszczyźniany był z pewnością bardzo dokuczliwy, a tylko nie tak okrzyczany, jak co do spotwarzonej pod tym względem Galicyi, — przejmowała wszystkie koła interesowane, oczywiście, w sposób, zapewniający aprobatę najostrzejszym środkom represyi przeciw sprawcom ruchu. Przerażały tedy wszystkich dyabły, na ścianie malowane, a tymczasem chmura rzeczywistych szatanów wyprawiała w nieszczęśliwej Galicyi orgie, o pomstę do nieba wołające! Za to ks. Metternich mógł już być pewnym, że bez oporu Rosyi i Prus, jako mocarstw, współinteresowanych protektoratem, będzie mógł zagarnąć dla Austryi Kraków, główną jego zdaniem kwaterę polskich żywiołów ruchu rewolucyjnego.

Od odpowiedzialności za wypadki galicyjskie z roku 1846 w zakreślonej przez nas mierze nie zasłonili ks. Metternicha wydawcy papierów, w spuściźnie po nim pozostałych. Spuścizna ta nie obejmuje oczywiście całego materyału kancelaryi kanclerskiej. Dla historyi Galicyi największe znaczenie miałyby akta, tyczące się wydanego po rzezi podziękowania cesarskiego dla lojalnej ludności, w sprawie odznaczenia niektórych krwawych bohaterów, zasłonienia Jakóba Szeli i t. p. Akta te stanowiłyby dowód na to, że takie jątrzenie włościan przeciw

---

[1]) *Anton Springer:* »Geschichte Oesterreichs seit dem Wiener Frieden« 1809. Leipzig, 1863, tom I, str. 287 i n.

dworom, jakie biurokracya uważała za główną dla siebie dyrektywę, posiadało sankcyę programu politycznego. Osłonienia zbrodniarzy bowiem, a zwłaszcza odznaczenia winowajców ze świata biurokratycznego, niepodobna inaczej wytłómaczyć, jak tylko w ten sposób, że »akcyę« chłopów i biurokratów przedstawiono monarsze jako spełnienie obowiązku patryotycznego, a rozlew krwi niewinnej jako ubolewania godne, ale — *comme à la guerre* — do pewnego stopnia usprawiedliwić się dające przebranie miary w środkach »obrony koniecznej«.

Ale w tej wrzekomej wojnie dla wrzekomego zwycięzcy najfatalniejsza powstała sytuacya właśnie w chwili, w której prawdziwy zwycięzca w prawdziwej wojnie, mając u stóp swoich pokonanego nieprzyjaciela, ogłasza światu swój tryumf i wyzyskuje zwycięstwo. Jeżeli ks. Metternich miał chwilę upojenia zwycięskiego, gdy czytał raport Benedeka z pod Gdowa i pierwsze relacye tarnowskie Breinla, to teraz, gdy już nie było śladu powstańców, a natomiast po dworach plądrowały zwycięskie bandy hajdamackie, ciężko okupić musiał złudzenie. Powstały bowiem kolizye, z których bez przyznania się do strasznego błędu trudno było wybrnąć. Całą Europę obiegały opisy krwawych scen tarnowskich i takich potwornych zbrodni, jak wymordowanie rodziny Boguszów. Toteż coraz natarczywiej odzywało się pytanie: czy sądy kryminalne rozpoczęły już akcyę swoją wobec notorycznych zbrodniarzy? czy Jakób Szela z pod sprzymierzeńczej opieki Breinla dostał się już do celi więziennej? A tymczasem wszyscy ci zbrodniarze, zamiast drżeć przed karą, czekali na dalsze nagrody, mianowicie na całkowite darowanie pańszczyzny. Kiedy wreszcie w Wiedniu uznano, że z akcyą kryminalną wobec hajdamaków dłużej zwlekać niepodobna, pokazało się — może chociaż wtedy ku przerażeniu sfer, dotąd złudzenia szukających — że nie można wystąpić bezwzględnie przeciw Szeli i jego podkomendnym, jeżeli obok nich nie mają równocześnie zasiąść na ławie oskarżonych także i — współwinowajcy cyrkularni! Ale sprawa kryminalna rzuca tyle światła właśnie na tę stronę historyi roku 1846, którą w tych szkicach odsłaniamy przed czytelnikiem, że niepodobna zbyć jej tutaj mimochodem, zwłaszcza wobec faktu, że i tutaj szczęśliwemu przypadkowi zawdzięczamy nowe materyały, zasługujące na osobne opracowanie.

Kolizya, która powstała w sprawie ścigania i ukarania zbrodniarzy bez przyznania się do strasznego błędu, mogła być przewlekana

i pozorami ścisłego śledztwa przed światem upiększana. Natomiast druga kolizya, którą wytworzyły stosunki administracyjne i społeczne po skompletowaniu »zwycięstwa«, wymagała bezzwłocznego rozpoczęcia akcyi zaradczej. Widok anarchii, panującej w Galicyi, widok chłopstwa rozbestwionego, odgrażającego się, że pańszczyzny odrabiać nie będzie, bo ją już darowali spiskowi, a komisarze cyrkularni z łaski cesarskiej zupełnie ulżyć przyrzekli, wreszcie widok bezsilności władzy, formalnie wypierającej się wszelkiego wspólnictwa z postępowaniem chłopskiem, a jednak w rzeczywistości popadłej w zależność od niego — wszystko to wzbudzało w szlachcie innych prowincyi obawę, aby ruch nie posunął się poza granicę Galicyi. Za tą obawą poszło oczywiście naleganie na rząd, aby kres położył anarchii galicyjskiej. Krótko a węzłowato odsłonił Breinl w swoim pamiętniku trudności, jakie zachodziły w tej mierze. Cytujemy jego zdanie z rękopisu profesora Losertha: »O przywróceniu pańszczyzny i myśleć nie można było w danej chwili. Arcyksiążę Ferdynand, który sprawę tę traktował więcej z wojskowego punktu widzenia, niż ze stanowiska administracyjnego, był skłonny do wymuszenia pańszczyzny siłą zbrojną, co musiałoby było doprowadzić do wojny chłopskiej«. Takie samo zdanie objawił Breinl w swoim czasie (1 marca 1846 r.) w relacyi, bezpośrednio do kancelaryi nadwornej wystosowanej. »Jedno nieostrożne słowo — mówi Breinl w tej relacyi — mogłoby sprowadzić jak największe nieszczęście, mianowicie to, że chłopi zwróciliby się przeciw rządowi, a wtedy nie możnaby myśleć o tem, żeby rząd utrzymał się w kraju«. Czyż nie jest to otwarte przyznanie się do zależności od chłopstwa, zależności, sprowadzonej poprzedniem wejściem w alians przeciw ruchowi? Jeżeliby potrzebny był jeszcze dalszy dowód na to twierdzenie, to stanowią go słowa, jakiemi Breinl w relacyi do swojej przełożonej władzy usprawiedliwia zaniechanie uwięzienia Szeli. »Byłaby to — mówi — rzecz niebezpieczna, jeżeliby wielka liczba gmin (jak mówią, około 100), które mają pokładać zaufanie w Szeli, została wzburzona teraz, gdy wszystko dla ich uspokojenia podjąć należy«.

Jeżeli arcyksiążę Ferdynand myślał, jak zapewnia Breinl, o użyciu siły zbrojnej dla poskromienia oporu chłopów w sprawie pańszczyźnianej, to mógł się z tem odezwać chyba we Lwowie przed wyjazdem na teatr rzezi (w marcu 1846 roku), gdy jeszcze nawet nie przewidywał, z jak strasznemi spotka się tam rewelacyami. Stanąwszy

na tym teatrze, arcyksiążę Ferdynand zapewne nie został przez starostów, Breinla i Bernda, zupełnie szczerze poinformowany o wszystkiem, co zaszło, ale, patrząc nawet na sytuacyę przez pryzmat biurokratyczny, musiał to odrazu spostrzedz, że niepodobna wystąpić z całą bezwzględnością ani przeciw chłopom, mogącym się zasłonić cyrkularnemi instrukcyami, ani przeciw autorom tych instrukcyi, mającym na swoją obronę fakt, że postępowali ściśle w duchu systemu administracyjnego, który podtrzymywanie nieufności i zawiści między dworem a gromadą uważał za naczelny punkt programu rządzenia w Galicyi. Okazuje się to z przytoczonych przez bar. Salę rozporządzeń, które arcyksiążę Ferdynand wydał 10 marca 1846 roku w Bochni do starostów na teatrze rzezi. Niema tam mowy o energicznej represyi, a natomiast polecone zostało starostom nakłanianie poddanych »z należytą dobrocią i wyrozumiałością« do spełniania powinności poddańczych. Co więcej, polecono starostom wpływanie na dwory, aby w wymaganiach swoich w tej mierze postępowały »z wszelkiem umiarkowaniem« i odpisywały poddanym odpowiednią część powinności za »straż, pełnioną podczas rozruchów«. Czem te straże chłopskie były w cyrkule tarnowskim pod komendą Breinla, tego po tem wszystkiem, cośmy poprzednio o gospodarce Breinla na podstawie jego pamiętnika powiedzieli, domysłami bliżej określać nie potrzeba.

W dalszych rozporządzeniach, po powrocie do Lwowa wydanych, arcyksiążę Ferdynand zarządził wprawdzie wysyłanie asystencyi wojskowej do gmin, które nie dały się nakłonić łagodnemi przedstawieniami, ale zastosowanie środków drastyczniejszych przeciw opornym było tak ograniczone i ścieśnione zastrzeżeniami, że zakrawało na dyspozycyę, wydaną... *ut aliquid fecisse videatur*. Zresztą arcyksiążę Ferdynand nie mógł już osobiście dopilnować wykonania swoich zarządzeń, gdyż w kwietniu powołany został do Wiednia na konferencyę o sprawach galicyjskich. Był to tylko pretekst, pod którym postanowiono zatrzymać arcyksięcia Ferdynanda w Wiedniu i, co też później rzeczywiście nastąpiło, delikatnie zniewolić go do rezygnacyi ze stanowiska generał-gubernatora w Galicyi.

Według bar. Sali, ustąpienie arcyksięcia Ferdynanda uznano w wiedeńskich kołach rządowych za konieczne dlatego, że spostrzeżono tam wreszcie, iż dotychczasowe pojmowanie ruchu galicyjskiego jako zamachu komunistycznego, obliczonego głównie na przewrót stosunków społecznych, było fałszywe. Otrzymano bowiem bliższe

informacye, według których ruch ten miał głównie charakter narodowy, kierowany był przez ks. Adama Czartoryskiego i obejmował całą szlachtę polską. Odpowiedzialność za niedokładne informacye zwalono na arcyksięcia, a nadto uznano go z powodu zbyt konserwatywnych przekonań za nieodpowiedniego do dzieła reform, za któremi zaczął się teraz oświadczać ks. Metternich w przewidywaniu, że ruch galicyjski jest tylko początkiem ogólnego europejskiego zamachu na dotychczasowy system polityczny.

Br. Sala znalazł w łączności roku 1846 z rokiem 1848 bardzo dogodny i zręcznie wyzyskany środek do takiego umotywowania rezygnacyi arcyksięcia Ferdynanda, aby jej ścisły związek z krwawymi wypadkami roku 1846 i rolą, przez biurokracyę w nich odegraną, został osłoniony względami wyższej polityki. Ale osłona ta zbyt jest wątła. Najpierw bowiem arcyksiążę Ferdynand, który opierał się podsuwanej mu dymisyi, mógł odpowiedzialność za niedokładne informacye o charakterze ruchu galicyjskiego zwalić na sfery wiedeńskie, na ks. Metternicha, który cały świat dokoła w błąd wprowadzał bredniami swoich agentów o komunistycznych zamysłach inicyatorów i propagatorów tego ruchu, a powtóre, jeżeli chodzić miało o reformy polityczne, do których nagle uczuć miał skłonność skruszony, czy przerażony kanclerz państwa, to właśnie poważna firma członka domu cesarskiego najlepiej nadawała się do tego. Nie takie więc motywa, lecz inne, bliższe, a więcej trafiające do przekonania arcyksięcia Ferdynanda, musiały go skłonić do ustąpienia. Musiał on sam w czasie swojego pobytu w Tarnowie i w Bochni spostrzedz, że niepodobna bez narażenia na szwank całej powagi władzy wystąpić przeciw sprawcom i uczestnikom hajdamaczyzny z całą surowością prawa, że trzeba natomiast, jak to uczynił w powyżej przytoczonych rozporządzeniach, balansować między poddanymi, wypowiadającymi posłuszeństwo, a dziedzicami, uprawnionymi do upomnienia się o należne im powinności pańszczyźniane, więc między zbrodniarzami a ich ofiarami. Była to rola dobra dla gubernatora-biurokraty, ale niegodna członka cesarskiego domu. Być może, że arcyksiążę Ferdynand, wyjeżdżając do Wiednia, nie zdawał sobie dobrze sprawy z całej trudności swojego położenia i dopiero w Wiedniu, jak bar. Sala mówi, niechętnie, pod łagodnym naciskiem sfer dworskich, dał się nakłonić do rezygnacyi. Że tam wywierano taki nacisk, to także tylko w ten sposób wytłómaczyć można, iż wreszcie i tam już odsłoniła się cała

straszna sytuacya w Galicyi, cała krwawa konsekwencya dotychczasowego systemu administracyjnego. W grę wchodziły najwyższe interesa, bo powaga władzy i rządu, a do ich ochrony pozostawała w tej chwili już tylko polityka półśrodków, niegodna firmy arcyksięcia.

Do roli tej wybrano gubernatora morawskiego, Rudolfa hr. Stadiona. Wysłano go do Galicyi w lecie 1846 roku w charakterze nadzwyczajnego komisarza rządowego z wyjątkowo rozszerzonym zakresem działania i z upoważnieniem do wszelkich zarządzeń, za potrzebne uznanych. Hr. Rudolf Stadion pojął swoją misyę w ten sposób, jak to powyżej wskazaliśmy: zaczął balansować, zbliżając się do wybitniejszych osobistości ze świata obywatelskiego, od których przyjmował, u których niemal zamawiał sobie memoryały o stanie Galicyi i potrzebnych w danej chwili zarządzeniach, a przytem, układając plany regulacyi pańszczyzny w ten sposób, aby poddani, niecierpliwie oczekujący nagrody za swoje krwawe dzieło, widzieli w nim swojego wybawcę z dotychczasowej niedoli. Misya ta skończyła się na pozór pomyślnie, bo zasłoniła chwilowo przed światem rozpaczliwą dla rządu sytuacyę, ale w następstwach okazała się fatalną. Hr. Rudolf Stadion bowiem przeprowadził regulacyę pańszczyźnianą bez bliższego poznania stosunków kraju, biorąc za podstawę odmienne stosunki w Morawach, wskutek czego powstała taka sytuacya, że wielu dziedziców uważać to mogło za dobrodziejstwo, żeby im wolno było zrzec się całkowicie pańszczyzny, a przytem uzyskać także uwolnienie od ciężarów, z nią połączonych. Z tym fatalnym rezultatem musiano się liczyć w Wiedniu, nietyle z dbałości o interesa szlachty galicyjskiej, ile z uwagi na wrażliwość szlachty innych prowincyi i jej obawę, aby w Galicyi nie powstał precedens, dla niej niepomyślny.

Dopiero w roku 1847 zaczęła się dla Galicyi uśmiechać lepsza dola. Z widowni cicho znikły figury, które, jak prezydent bar. Krieg, starosta Breinl i t. p., samem pozostaniem na swoich stanowiskach paraliżowały wszelką politykę, skierowaną ku kojeniu świeżych ran i zacieraniu strasznej przeszłości w pamięci kraju, a gubernatorem Galicyi zamianowany został brat Rudolfa hr. Stadiona, Franciszek, który w Galicyi przed laty rozpoczynał nowicyat urzędniczy, szybko przebiegł potem wszystkie stopnie karyery i w chwili powołania na następcę arcyksięcia Ferdynanda był gubernatorem w Tryeście.

Była to prawdziwa perła w ówczesnym świecie urzędniczym Austryi, był to mąż stanu wyższej miary w swojej inteligencyi poli-

tycznej i w swoich aspiracyach. Gdyby nie wichrowaty rok 1848, który wprowadził hr. Franciszka Stadiona w kolizyę ze społeczeństwem polskiem, w kolizyę, z której, z winy obu stron, wywiązał się w końcu antagonizm, nowy gubernator byłby o wiele lat prędzej zainaugurował ten proces politycznego zbliżenia się, jaki między Austryą a Galicyą rozpoczął się dopiero z brzaskiem ery konstytucyjnej.

Samem powołaniem hr. Franciszka Stadiona w roku 1847 na gubernatora Galicyi sfery rządowe w Wiedniu przyznały się niejako do tego, że rok 1846, jako rezultat zgubnego systemu politycznego i niegodziwej, do granicy zbrodni doprowadzonej metody w jego aplikacyi przez biurokratów starego autoramentu, wymaga zwrotu w całem postępowaniu. Było to więc niezawodnie *desaveu* polityczne dla tych biurokratów, gdyż Franciszek hr. Stadion nie byłby się podjął swojej misyi galicyjskiej, gdyby nie miał był podstawy do mniemania, że chodzi o spełnienie dzieła szlachetnie pojmowanej pacyfikacyi w kraju, skazanym przez tragikę dziejową na to, aby w tych czasach stał się zapalnem ogniskiem dokoła prowadzonych tajnych knowań rewolucyjnych. W podróży z Tryestu do Lwowa nowy gubernator galicyjski zatrzymał się w Wiedniu, aby poinformować się o stosunkach i ułożyć sobie plan działania. Z relacyi galicyjskich bar. Kriega mógł powziąć przekonanie, że w Galicyi znajdzie sytuacyę dla misyi swojej bardzo dogodną, że mianowicie zastanie szlachtę świadomą swojej winy i przygnębioną, więc gotową do szczerego poparcia pacyfikacyjnych dążności nowego gubernatora, a lud wiejski, po krwawem odparciu wrzekomo groźnych zamachów rewolucyjnych na państwo, już zupełnie uspokojony, wyprowadzony zupełnie ze stanu »obrony koniecznej« i przejęty podniosłym duchem bezinteresownego patryotyzmu austryackiego.

Przykry zawód spotkał Franciszka hr. Stadiona na samym wstępie do Galicyi, gdy, nieuprzedzony o tem w Wiedniu, więc bezwiednie zdążył pod Lwów w chwili, gdy ustawiano tam dwie szubienice, nie dla morderców i podpalaczy, z których żaden jeszcze nie spotkał się z ostrzem prawa karnego, lecz dla dwóch więźniów stanu, Teofila Wiśniowskiego i Józefa Kapuścińskiego. Aby nie wjeżdżać do Lwowa w tak fatalną chwilę, nowy gubernator zawrócił z drogi i zaimprowizował najpierw objazd niektórych cyrkułów!

Tego przykrego zawodu wcale nie ukrywał Franciszek hr. Sta-

dion przed Wiedniem, lecz, owszem, dał mu wyraz dobitny, gdy spostrzegł, że Wiedniowi ma do zarzucenia coś gorszego jeszcze, niż brak informacyi co do tych szubienic lwowskich, że mianowicie w Galicyi zastał stan rzeczy odmienny od tego obrazu, jaki sobie w Wiedniu wyrobił z relacyi lwowskich, oraz z ustnej informacyi tych, którzy na relacyach lwowskich zupełnie polegali. Takim dobitnym wyrazem zawodu jest relacya Franciszka hr. Stadiona z 28 grudnia 1847 roku do ówczesnego ministra policyi, hr. Sedlnitzkyego, w sprawie wyjednania amnestyi od skutków prawnych kondemnaty, względnie śledztwa o zdradę stanu z dawnych lat dla siedemnastu skompromitowanych osobistości, pomiędzy któremi znajdowali się także: późniejszy austryacki minister dla Galicyi, br. Floryan Ziemiałkowski i prezydent izby deputowanych Rady państwa, dr. Franciszek Smolka, obaj u schyłku życia tajni radcy, obaj zaszczycani szczególnymi względami i łaskawością cesarza Franciszka Józefa. Z tym wnioskiem amnestyi wystąpił hr. Stadion wbrew opinii prezydenta lwowskiego sądu apelacyjnego, który zalecał odroczenie wniosku amnestyjnego aż do ukończenia procesów o zdradę stanu z roku 1846.

Wydobywszy relacyę tę Franciszka hr. Stadiona, dzięki łaskawemu dla historyi Galicyi przypadkowi, z otchłani archiwalnej, przytaczamy ją w całości jako materyał pierwszorzędnej wagi do charakterystyki stosunków ówczesnej doby. Jeżeli się zważy, że relacyę tę pisał gubernator austryacki, Niemiec, przejęty gorącym patryotyzmem austryackim, a tem samem i oburzeniem z powodu ostatnich zamachów powstańczych, urzędnik z zawodu, co prawda niepospolity inteligencyą i wyższemi pojęciami o swojej misyi, ale zawsze urzędnik, poniekąd uprzedzony na korzyść biurokracyi, z którą wiązał go do pewnego stopnia *esprit du corps* — jeżeli się to wszystko zważy, to owa relacya uważana być może za autentyczne potwierdzenie słuszności wszystkich poprzednich uwag naszych, nietylko o gospodarce biurokratycznej w Galicyi w roku 1846, lecz także o całym systemie rządzenia w Galicyi przed tym nieszczęsnym rokiem.

»Jeżeliby we wniosku niniejszym — pisze gubernator Franciszek hr. Stadion — chodziło tylko o zwyczajny akt łaski, w którym polityka wprawdzie w grę wchodzi, ale dopiero w drugim rzędzie, jeżeliby chodziło jedynie o wcześniejsze lub cokolwiek późniejsze ułaskawienie poszczególnych indywiduów, to musiałbym się przyłączyć do opinii prezydenta sądu apelacyjnego i czekać na stosowną porę

do zaproponowania rozleglejszego aktu łaski monarszej, jak to prezydent ten nadmienił. Jednakże wyższe względy polityczne skłaniają mię do postawienia tego wniosku. W jego rychłem uwzględnieniu widzę nie odosobniony akt łaski, lecz konieczną manifestacyę postępowania, które, według mojej obserwacyi stosunków galicyjskich i według mojego najgłębszego przekonania, przestrzegane być musi dla uspokojenia kraju i doprowadzenia go do lepszej doli.

»Kraj znajduje się w stanie niezadowolenia i wzburzenia. Trzeba wszystko to widzieć własnemi oczyma, żeby sobie o tem wyrobić zupełnie jasne wyobrażenie. Niezadowolenie ogarnęło wszystkie klasy ludności. Zewsząd zarzucają władzom, że kraj, który mógłby być jedną z najbardziej kwitnących prowincyi monarchii, dla braku dobrej administracyi nie może równać się nawet z najbiedniejszymi, przez naturę najwięcej po macoszemu uposażonymi krajami; że dalej niczego nie uczyniono ani dla duchowego i moralnego wychowania, ani dla materyalnego podźwignięcia ludu! Że taki jest stan rzeczy, tego, niestety, zaprzeczyć nie mogę.

»Przekonałem się, że administracya, bezpośrednio na lud wpływająca, znajduje się w ręku nieudolnych i nieposiadających wcale żadnego szacunku organów [1]), które, mając na myśli tylko własne chwilowe korzyści, interesów kraju ani pojąć nie są w stanie, ani popierać nie mogą. Policya złożona jest w ręce, na które wcale spuścić się nie można, o sądownictwie poza miastami wprost niema mowy. Chociaż starostów w przecięciu cenić należy dla ich zdolności i dobrej woli, to jednak, jak spostrzegam, w urzędach cyrkularnych przeważa opinia, że urzędy te mają właściwie tylko akta załatwiać, a kraj sam nie wiele, albo wcale ich nie obchodzi. Nigdzie nie spotkałem się ze świadomością wyższego celu lub obowiązku pracowania dla kraju, głównie z tego powodu, że urzędy cyrkularne, ze względu na absolutną niedostateczność i zły ustrój najniższych organów, muszą je zawsze zastępować, a i temu zadaniu sprostać nie mogą z powodu nawału spraw. Brak im tedy czasu do zajęcia się właściwemi pięknemi czynnościami zawodowemi. Stąd pochodzi, że, pomimo nieskończonej pisaniny i mnożenia się aktów, na niezmierne przewleka-

---

[1]) Chodzi tutaj o mandataryaty, których cała powaga, jak to poprzednio nadmieniliśmy, podkopana została do głębi w roku 1846 przez biurokracyę cyrkularną. *(Przypisek autora).*

nie wystawione są wszystkie, cokolwiek trudniejsze sprawy, które właśnie mają dla kraju wielkie znaczenie. Nigdzie nie widać jednolitości w działaniu, a każdy urząd cyrkularny pozostaje w urojeniu, że wcale nie potrzebuje troszczyć się o to, co robią w sąsiednim urzędzie, co się dzieje w sąsiednim cyrkule. Każdy urzędnik mniema, że jest, jeżeli nie najrozumniejszym, to tak rozumnym, jak każdy inny, że żaden nie potrzebuje od nikogo rad przyjmować. Wielu, szczególnie młodszych urzędników trwa — nad czem szczególnie ubolewać należy — w tem fatalnem urojeniu, że nie można lepiej objawić swojego patryotyzmu, jak tylko w ten sposób, że się wymyśla na kraj i jego ludność nawet na miejscach publicznych, że się manifestuje głośno pogardę, potępiając cały kraj i cały naród, że się pod osłoną stanowiska urzędniczego w sposób, w najwyższym stopniu niewłaściwy, obraża i drażni mieszkańców zniewagą lub pogardą, zapominając o tem, iż mieszkaniec Galicyi jest takim samym poddanym austryackim, jak mieszkaniec każdej innej prowincyi, a urzędnicy nie na to wysłani zostali do tego kraju i nie na to płace pobierają, aby kraj zohydzali i do rządu, którego są organami, nienawiść wzbudzali, lecz na to, aby współdziałali dla podniesienia dobra kraju.

»Lud wiejski znalazłem w stanie wzburzenia, gdyż podżegacze, a nawet źli lub nieroztropni urzędnicy wzbudzili nadzieje, które się teraz nie ziszczają. Lud wiejski jest zniechęcony i ponuro nastrojony wskutek panującej epidemii, a w niektórych okolicach kraju wskutek grożącego głodu, z czego powstaje uprzedzenie przeciw rządowi i właścicielom dóbr.

»U właścicieli dóbr, u szlachty w ogóle, spotkałem się wszędzie z przekonaniem, że rząd nieprzyjaźnie z nią postępuje i dąży do jej zagłady. Na dowód przytaczają wszędzie regulacyę, to jest zniżenie pańszczyzny bez oparcia reformy na słusznej podstawie i bez wynagrodzenia dla ponoszących stratę, nałożenie na dominia całego ciężaru utrzymywania żandarmeryi, surowe ściąganie funduszów zapomogowych, rozdawanych pomiędzy chłopów pełną garścią, często bez potrzeby i bez dostatecznego powodu, surowe prowadzenie procesów o zdradę stanu, wydawanie surowych wyroków na winnych, którzy niejednokrotnie nieświadomie i mimowoli porwani zostali w wir wypadków, kiedy tymczasem rząd niechętnie i z widocznem wahaniem się występuje przeciw chłopom, którzy dopuścili się oburzających w najwyższym stopniu okrucieństw w czasie, gdy, niestety, anarchia

zyskała przewagę, kiedy dalej chłopów tych, jeżeli tylko jest jaki pretekst, uwalnia się od postępowania kryminalnego, kiedy wreszcie jeszcze żaden chłop nie został skazany, ani nawet zakwalifikowany do śledztwa kryminalnego. Nawet ci ze szlachty, którzy nie są przeciwni rządowi i ostatnie usiłowania powstańcze głośno potępiają, skarżą się otwarcie z powodu nierównego wymiaru sprawiedliwości. Szlachcic bowiem, jeżeli tylko w najmniejszym stopniu stał się podejrzanym, podpada śledztwu i uwięzieniu, a często, odzyskawszy wreszcie wolność, zostaje ponownie wtrącony do więzienia, ponownie poddany śledztwu i, jeżeli nie skondemnowany, to przynajmniej internowany lub postawiony pod dozór policyjny; tymczasem morderca, rozbójnik i podpalacz ze stanu włościańskiego siedzi w domu wolny i nie nagabywany, rząd nie pociąga go nawet do odpowiedzialności, a tem mniej karze ludzi, którzy, jakkolwiek zostają w jego służbie, podniecali chłopów do ekscesów, lub nawet sami w nich udział brali.

»Temi skargami powitano mię zaraz po przybyciu do kraju, a powtarzano je nie bez goryczy, gdyż nieszczęsny los zrządził, że, przez nikogo o tem nieuprzedzony, przybyłem do kraju właśnie w chwili, gdy wyroki śmierci, wydane w ostatnich czasach za zdradę stanu, miały być wykonane. Musiałem zboczyć z drogi, aby nie stanąć we Lwowie właśnie w dniu tracenia i nie rozpoczynać swojej działalności od przygotowań do tego aktu. Cała szlachta upatrywała w tym nieszczęśliwym zbiegu rozmyślne działanie rządu, aby odrazu odjąć krajowi nadzieję zwrotu ku łagodności i pokazać mu, że teraz nie sprawiedliwość z wyrozumiałością, lecz tylko sroga surowość ma zapanować, że chodzi nie o uspokojenie, lecz o gwałtowny ucisk kraju.

»Nie mogę też zataić, że zasmucił mię ten nieszczęśliwy zbieg okoliczności nietylko dlatego, iż łatwo mógł być ominięty, jeżeliby tylko w Wiedniu w interesie kraju zechciano naprzód zwrócić na to moją uwagę, lecz więcej z tego powodu, iż zbieg ten postawił mię w sytuacyi, całkiem odmiennej od położenia, jakie spodziewałem się zastać. Byłem niemal pewny, że zbliżą się do mnie z zaufaniem ludzie spokojni, z klasy posiadającej, którzy na przewrocie tylko stracić mogli. Jednakże, wskutek powyższego zdarzenia nieszczęsnego, musiałem zrzec się tej nadziei. Wysoki stopień wzburzenia, wszędzie się objawiającego i nieufność, bez ogródek wypowiadana, nie mogły mnie zadziwić, skoro nowy gubernator wysłany został do kraju w jednym dniu z katem, a niewidziany w ubiegłej połowie stulecia akt tracenia

politycznych przestępców stanowił wstęp do działalności nowego gubernatora.

»Spełniając swój obowiązek, rząd powinien teraz położyć kres temu niezadowoleniu, wydobyć kraj z jego opłakanego położenia, torując w nim taki postęp materyalny i moralny, jakim się cieszą inne prowincye monarchii austryackiej. Zwrot ten musi się dokonać bez wahania, gdyż obecny stan kraju może być pożądany jedynie dla rewolucyjnej propagandy za granicą, która, posiadając tylko w niezadowoleniu tutejszej ludności punkt oparcia, stara się je podtrzymywać i potęgować, a niezadowolonych pobudzić do nowych prób rewolucyjnych.

»Kraj ten, który mógłby się stać najbardziej kwitnącą prowincyą Austryi, czeka bezgraniczna nędza, w razie, jeżeliby rząd odraczał konieczne ulepszenia. Nikt bowiem nie jest w stanie przewidzieć, dokąd posunąć się może ludność namiętnie wzburzona, jeżeli się jej odejmie nadzieję poprawienia doli, jeżeli się odroczy do niepewnej dalekiej przyszłości to wszystko, czego kraj oczekuje i czego, jako część wielkiej monarchii austryackiej, oczekiwać ma prawo. Obecnie kraj jest niejako zawieszony pomiędzy nadzieją a trwogą, zadanie rządu zaś polega na tem, aby trwogę rozprószył, a nadzieję urzeczywistnił.

»Usunięcie niezadowolenia, wypływającego z błędnej i niedostatecznej administracyi politycznej i sądowniczej, leży poza sferą mojej działalności. Co w mojej mocy było, to już uczyniłem, zalecając dobitnie wszystkim urzędnikom, bez różnicy rangi, przyzwoite i godziwe zachowywanie się wobec ludności i zaznaczając stanowczo, że płazem nie puszczę żadnych nadużyć, popełnionych słowem lub czynem. Dalej nieustannie dążę do tego, aby w postępowaniu urzędów cyrkularnych wprowadzona została jednolitość i zgodność. Działalnością tych urzędów tak kieruję, aby wreszcie krajowi odjęty został powód do skarg na dowolność rządów biurokratycznych. Zadanie to nie jest łatwe, jeżeli się zważy, że polityczna administracya zostawała tak długi czas w rozstroju, że wszędzie pomiędzy urzędnikami cyrkularnymi panowała dążność do nadania przewagi własnej opinii, że nie przywykli oni wznosić się ponad codzienną rutynę biurową i widzieć w aktach nietylko numer, który z biurka uprzątnąć trzeba, lecz sprawy, na kraj oddziaływające, że wreszcie uroili sobie, iż ich służba jest czemś samodzielnie dla siebie, a nie dla dobra kraju istniejącem. Wspierany

przez wiceprezydenta [1]), odznaczającego się wybitnemi zdolnościami, dokładną znajomością stosunków krajowych i bezwarunkowo dobrą wolą, postawiony na czele gremium gubernialnego [2]), które dla swojej uczciwości, inteligencyi i dobrych chęci zasługuje na najwyższy szacunek, mam nadzieję, że spełnię powyższe zadanie w sposób odpowiedni. Jednakże wszystkie te starania nie wydadzą znacznych rezultatów, dopóki nieudolność administracyi nie zostanie u dołu usunięta przez zaprowadzenie państwowych pierwszych instancyi i dopóki kraj nie przyjdzie do przekonania, że rząd austryacki rzeczywiście pragnie jego dobra i dąży do tego nietylko samem pisaniem, lecz i działaniem. Pierwszym warunkiem takiej zmiany jest to, żeby rząd przejął się życzliwością dla kraju, żeby życzliwość tę okazywał, a korzystając z danych wypadków, w których życzliwość czynem stwierdzić można, dowiódł, że nie żywi złości wobec nieszczęśliwego kraju, a surowością powoduje się tylko wtedy, gdy to jest koniecznem, lecz nie z niechęci do kraju i ludności. Zaprowadzenie pierwszych instancyi zostało cesarskiem słowem poręczone. Ze stanowiska sprawiedliwości i polityki jest to konieczność nieodzowna. Niebawem będę mógł przedstawić najwyższemu kanclerzowi moje szczegółowe wnioski i już naprzód proszę Waszą Ekscelencyę o ich poparcie w interesie rządu i kraju, gdyż bez uregulowania tej sprawy dobra administracya jest absolutnie niemożliwą. Każda, chociażby najpilniejsza naprawa administracyi i wszelka akcya dla dobra kraju rozbija się o brak organów wykonawczych. Urzędy cyrkularne ani nie są powołane do tego, ani nie rozporządzają środkami, potrzebnymi do zajmowania się szczegółami administracyi i właśnie dlatego, że, mimo to wszystko, muszą być do tego używane, bez możności podołania zadaniu, że zatem zupełnie zaniedbywać muszą swoje powołanie jako władze kierujące i nadzorujące, wszystko źle się dzieje w tym prawdziwie nieszczęśli-

---

[1]) Wiceprezydentem gubernium był wtedy po odejściu bar. Kriega Filip bar. Krauss (poprzednik Agenora hr. Gołuchowskiego). Bar. Krauss, tak na posadzie wiceprezydenta gubernialnego we Lwowie, jak i później, na stanowisku ministra skarbu (w roku 1848), zjednał sobie opinię zdolnego i prawego urzędnika. *(Przypisek autora).*

[2]) Gremium to nie posiadało samodzielnych atrybucyi, lecz słuchało niewolniczo komendy każdoczesnego kierownika swojego. *(Przypisek autora).*

wym kraju. Smutnem następstwem tych wymagań, nie stojących w żadnym stosunku do sił urzędów cyrkularnych, jest wzburzenie, panujące między ludnością wiejską, Skargi poddanych są późno i niedbale badane, dochodzenia w tych sprawach ciągną się w nieskończoność, a całe lata powtarzane prośby i nalegania pozostają nieuwzględnione. Nic dziwnego zatem, że poddani wpadają na myśl samopomocy i mniemając, że władze popierają interesy dworów, popadają w renitencyę. Najważniejsze sprawy poruczane być muszą niedoświadczonym komisarzom cyrkularnym, praktykantom a nawet urzędnikom manipulacyjnym. Stąd wynika bardzo często powód do podejrzywania uczciwości administracyi i narzekania na samowolę jednostek, gdyż każdy stara się tylko pozbyć się sprawy i dla zyskania czasu raczej rozciąć węzeł, niż rozwikłać, utrudniając tem załatwienie rozpraw. Nadto lud bywa w ten sposób w błąd wprowadzany, gdyż urzędnik, nie pojmując często swojego zadania, w razie powstania skrupułów i wątpliwości, zamiast oświecić ludność wiejską, zbywa ją czczemi nadziejami i schlebia jej pożądliwości fałszywemi przyrzeczeniami, aby tylko wydobyć się z kłopotliwego położenia. Do mojej wiadomości doszło już kilka wypadków takiego bałamucenia ludności wiejskiej, a nawet podczas mojej ostatniej wizytacyi kilku obwodów widziałem się zniewolonym w pewnej gminie na miejscu naprawić błąd, popełniony przez urzędnika cyrkularnego i gminę stosownie pouczyć. Poleciłem także starostom najdobitniej, aby przynajmniej do najważniejszych czynności urzędowych używali tylko komisarzy, na których zupełnie spuścić się można. Zbyt często będzie to tylko pobożnem życzeniem, dopóki niema pierwszych instancyi. Zwróciłem się także do ordynaryatów z usilną prośbą, aby przez duszpasterzy pouczać ludność wiejską o jej obowiązkach wobec rządu i właścicieli ziemskich. Chcąc obmyśleć środki zapobieżenia niedostatkowi w zachodnich okolicach górskich, niedawno sam je objeżdżałem.

»Zaniepokojenie szlachty z powodu regulacyi pańszczyzny niezawodnie ustąpi, skoro tylko ona przyjdzie do przekonania, że rządowi nigdy na myśl nie przyszło, a wobec jego znanego poczucia sprawiedliwości nawet na myśl przyjść nie mogło ograbienie posiadaczy prawnych w tym celu, aby poddanym ofiarować podarunek. Nie wątpię i nigdy ani na chwilę nie wątpiłem, że każdy, kto straci cokolwiek ze swoich prawnych dochodów, otrzyma odszkodowanie.

Najwyższe postanowienie z 22 lutego 1847 roku uspokoi dziedziców, skoro podane zostanie do powszechnej wiadomości [1]).

»Wielce nad tem ubolewać należy, że władze tak długo odwlekały kroki sądowe przeciw tym chłopom, którzy wierność dla monarchy uważali za płaszczyk, aby pod jego osłoną mordem, pożogą, rabunkiem i plądrowaniem wielką część kraju pogrążyć w nieszczęście. Nad tem zwlekaniem tem więcej ubolewać należy, ile że ono doprowadziło do nieszczęsnego zamącenia pojęć o prawie i bezprawiu, o dobrem i złem, a nieprzyjaciołom rządu dostarczyło powodu do rzucenia nań najhaniebniejszych kalumnii w kraju i za granicą. Śledztwa przeciw niektórym mordercom i rozbójnikom tej kategoryi zostały już przekazane sądom kryminalnym, a rozległe dochodzenia są jeszcze prowadzone. Chociaż zaniedbanie pozostanie zawsze błędem ubolewania godnym, już dla tego, że z powodu niemożności zupełnego stwierdzenia istoty czynu niejeden zbrodniarz ujdzie karze sprawiedliwej, to jednak władze dążyć będą do tego, aby w obrębie zakreślonych im granic sprawiedliwość została wymierzona, jak tego prawo wymaga i o ile to po upływie dwudziestu trzech miesięcy jest jeszcze możliwem.

»Że przyszło do takich scen okropnych, to wielkie nieszczęście, za które przed Bogiem i własnem sumieniem odpowiedzialni są ci, co sprowadzili je nieoględnością lub przecenieniem własnego zdania i własnej odwagi. Pewną jest bowiem rzeczą, że w wielu cyrkułach chłop stanął w obronie rządu, nie popełniając przytem ani ekscesów, ani okrucieństw, dzięki rozwadze i energii mężów, którym poruczone było kierownictwo cyrkułów, którzy umieli utrzymać spokój i porządek. Jest to przykra sprawa, którą podnoszę, ale, niestety, prawdziwa. Niczego nie uczyniono dla zapobieżenia wybuchowi powstania, a gdy ono wybuchło, nikt nie był ani zdecydowany, ani przygotowany na stłumienie własnemi siłami. Zwycięstwo przyszło stąd, skąd go nie oczekiwano. Po zwycięstwie przyszła odwaga, a tylko rozum nie odezwał się. Myślano długo jeszcze o zwycięstwach, chociaż nie było już nieprzyjaciela, a tylko chłop rozwścieklony mordował i rabował. Jeżeli już tych, którzy w chwili niebezpieczeństwa głowy potracili, nie

---

[1]) Niezupełnie ziściła się nadzieja hr. Stadiona, gdyż nie cofnięto fatalnych zarządzeń jego brata Rudolfa, lecz tylko umożliwiono pewne złagodzenie złego. *(Przypisek autora).*

może dosięgnąć ramię sprawiedliwości, to nie może ono przecież oszczędzać tych, którzy w tych opłakanych czasach nadużywali swojego stanowiska urzędowego, aby ludność wiejską pobudzać do ekscesów, zachęcać ją do mordowania i rabowania, albo nawet w tem uczestniczyć. Wiele otrzymanych doniesień każe mi, niestety, uważać za rzecz prawdopodobną, że nie brakło i takich urzędników zapoznających swoje obowiązki. Gdyby rząd był zaraz dochodził szczegółów tych wieści, byłby pewnie odszukał winnych, a ich ukaranie byłoby silniej odparło wszelkie oszczerstwa, aniżeli wszystkie inne dowody i rząd byłby usprawiedliwiony wobec całego świata. Jako organ rządu austryackiego, jako wierny poddany Jego Cesarskiej Mości, jestem obowiązany nie spocząć, dopóki się nie pokaże, ile prawdy jest w tych pogłoskach o podeptaniu obowiązków przez poszczególnych urzędników w owych czasach. Jeżeli podejrzenia okażą się uzasadnionemi, będę wobec publicznej moralności i wobec monarchy obowiązanym zarządzić jak najściślejsze postępowanie urzędowe, aby świat, a szczególnie wrogowie Austryi poznali, że rząd w Galicyi, jak wszędzie, trzyma się prawa obowiązku, że Austrya na swojem prawie i na swojej sile wewnętrznej polegać może, a ze wstrętem odwraca się od wszelkiej wspólności ze zbrodnią.

»Proces o zdradę stanu zostanie w ciągu bieżącego miesiąca w pierwszej instancyi zakończony. Ponieważ oczekuję z zupełnem zaufaniem, że wyższe instancye nie zaostrzą wyroków i nie zarządzą nowych śledztw, przeto sprawiedliwości stanie się zadość, po czem kolej przyjdzie na kwestyę, czy i o ile, ze względu na postawę klas ludności, w procesie tym w pierwszym rzędzie w grę wchodzących, łagodność może być zastosowana do skazanych i karę cierpiących, o ile dalej łagodność taką zalecić należy dla uspokojenia kraju z tego powodu, iż według zdania prezydenta apelacyjnego niektóre wybitne rodziny, wskutek fałszywego kroku tych ze swojego grona, którzy z braku doświadczenia i samodzielności, częścią namowami, częścią groźbami dali się wbrew własnemu interesowi nakłonić do udziału w zbrodniczych dążnościach, popadły w położenie opłakane, ogólne współczucie wzbudzające, wreszcie o ile na łagodność taką naprowadza już ten wzgląd, że władze nie są wolne od zarzutu, gdyż nie uczyniono wszystkiego, co uczynić należało dla odwrócenia nieszczęścia.

»Na razie, jak mniemam, nie należy tamować sprawiedliwości, aby kraj doprowadzony został do uznania popełnionych wielkich prze-

stępstw i swojem zachowaniem się zasłużył na łaskę. Aby jednak postępowanie takie nie było pojmowane jako surowość, aby od rządu odwrócony został nawet pozór, jakoby w Galicyi teraz surowość miała zapanować i jakoby rząd tylko karać lubiał, powinienby on, zdaniem mojem, nie pomijać żadnej stosownej sposobności, przy której dowieść może, że karze tylko wtedy, gdy to czynić musi, a chętnie zwraca się ku łagodności, skoro to tylko uczynić może. Już teraz nasuwają się rządowi dwie sposobności do zastosowania łaski, raz przez zniesienie sekwestracyi z dóbr książąt Czartoryskich, a powtóre przez zupełne ułaskawienie osób na wstępie relacyi wymienionych. O pierwszy akt łaski ośmieliłem się prosić bezpośrednio Jego Cesarskiej Mości, a jakkolwiek Jego Ces. Mość nie raczył wysłuchać tej prośby, to jednak nie mogę zaniechać jej ponowienia i polecam ją jak najusilniej łaskawej, a wielce wpływowej opiece Waszej Ekscelencyi. Podnoszę to nie z tej jednej przyczyny, że dobra, z których reszta zasekwestrowana została, nie są własnością ks. Czartoryskiego, lecz jego małżonki, a dochód z tych dóbr nie jest znaczny i ubytek rent uczuć się może daje w gospodarstwie księżnej, ale na usposobienie i działalność księcia żadnego wpływu nie wywiera. Właśnie dlatego, że przez przyznanie tej łaski państwo nie poniesie najmniejszego uszczerbku, lecz owszem rząd przez odstąpienie od tego wyjątkowego zarządzenia złoży dowód, iż siłą swojej potęgi i swojego prawa potrafi udaremnić wszelkie usiłowania przewrotowe, ponawiam wniosek powyższy. Mam najgłębsze przekonanie, że ten akt łaski sprawi daleko silniejsze wrażenie na korzyść rządu, objawiającego w ten sposób siłę swoją przez wstąpienie na normalny grunt prawny, aniżeli dalsze trwanie surowości, gdyż ta, zamiast uśmierzać namiętności, jeszcze więcej je podnieca, a niezadowolonym ciągle daje powód do odświeżania w pamięci wypadków, które pójść powinny w zapomnienie, jeżeli kraj odzyskać ma tak bardzo potrzebny spokój. Jest jeszcze jeden powód, który skłonił mię do ponowienia tej prośby. Tym powodem jest obawa przed skutkami sekwestracyi. Renty zostały odjęte, ale nie są przekazane skarbowi państwa, gdyż nasze ludzkie ustawodawstwo nie zna konfiskaty majątku. Komukolwiek renty te zostaną w swoim czasie wydane, rząd zawsze musi wykazać, że uczciwie niemi zarządzał. Każdy zarząd w drodze sekwestracyi jest kosztowny, a nadto tylko w bardzo rzadkich razach zapobiedz można pogorszeniu kultury w takich dobrach. W każdym zaś razie dochody zmniejszą się, jeżeli za-

rząd musi być złożony w obce ręce. Przez sekwestracyę zatem, nie przynoszącą żadnej korzyści, lecz tylko kłopoty, rząd wystawia się na mnóstwo podejrzeń i zarzutów w kołach, źle dlań usposobionych w kraju i za granicą. Dla wszystkich rządów i nieprzychylnych organów prasy będzie to pożądany powód do rzucenia na rząd najzuchwalszych i najzjadliwszych oskarżeń o roztrwonienie rent, nieuczciwą administracyę i rozmyślne pogorszenie kultury dóbr. Sama natura sekwestracyi dostarczy środków do nadania tym oskarżeniom pozorów prawdy, kiedy tymczasem jej zniesienie byłoby wszędzie uznane za akt wspaniałomyślności i pewnie niemało przyczyniłoby się do uspokojenia umysłów w kraju, do odświeżenia wiary w jednakową zawsze łaskawość austryackiego domu cesarskiego, do wzbudzenia nadziei lepszej przyszłości, wreszcie do zjednania szacunku rządowi, przenoszącemu łagodność nad surowość, skoro tylko na to okoliczności pozwalają.

»Niemniej dobroczynny skutek wywarłoby zupełne i bezwarunkowe amnestyonowanie osób na wstępie wymienionych, co spowodowało wystosowanie tej relacyi. Kraj powitałby ten akt z wdzięczną radością, jako zapowiedź dalszej łaski. Oba te akty zbliżyłyby do rządu wszystkich obywateli z poczuciem honoru, wszystkich, których krewni i powinowaci znoszą dziś następstwa fałszywych kroków i włożyłyby na nich moralne zobowiązanie do postępowania ręka w rękę z rządem celem przywrócenia spokoju i porządku w kraju, gdyż tylko w ten sposób umożliwionoby Jego Ces. Mości złagodzenie losu skazanych. Zamiast szukać w obwinieniu administracyi wątpliwego usprawiedliwienia przestępstw politycznych, kraj we własnym interesie rzuci zasłonę na przeszłość, przerzuci się ze złej polityki na pole właściwych materyalnych i duchowych interesów swoich, aby współdziałać z rządem dla ich podniesienia«.

Taką wagę przywiązywał gubernator, Franciszek hr. Stadion, do tej relacyi swojej i tak bardzo zależało mu na przyjęciu wniosku amnestyjnego, że odpisy relacyi przedłożył pierwszemu kanclerzowi, hr. Inzaghiemu i prezydentowi najwyższego trybunału, hrabiemu Taaffemu, z usilną prośbą o życzliwe poparcie sprawy.

Dla ścisłości, a poniekąd także i dla charakterystyki sytuacyi wypada zaznaczyć, że w brulionie powyższej relacyi gubernatora hr. Stadiona ustęp o poddaniu biurokratów-hajdamaków pod ramię karzącej sprawiedliwości został skreślony. Czy skreślenie to pochodzi

z ręki hr. Stadiona i czy ustęp ten skreślono tak, że już go kopista w przeznaczonym dla Wiednia czystopisie opuścił, to kwestya, którą dziś już chyba tylko domysłami objaśniać można. Bierzemy w rachubę najdalej idącą ewentualność, to jest tę, że ustęp ów skreślił sam hr. Stadion i to w tym celu, aby nie dostał się do czystopisu. Jaki motyw skłonił go do tego kroku? Czy może zachwiał się w swojej opinii o biurokratach tej kategoryi? Tego absolutnie przypuścić nie można, bo najpierw w takim razie musiałby hr. Stadion skreślić już dla samej konsekwencyi kilka innych ustępów, albo nawet przerobić całą relacyę, a powtóre nie mogło już nic wpłynąć na taką zmianę opinii. W chwili bowiem, kiedy relacya była układana, upłynęło już kilkanaście miesięcy od rzezi z r. 1846, a pół roku od przyjazdu hr. Stadiona do Galicyi. Co więc wtedy doszło do wiadomości nowego gubernatora Galicyi, to nie było już wieścią niewiadomego pochodzenia, niesprawdzoną, a mimo to przez ogół powtarzaną, jak wśród samej rzezi, lecz stanowiło jakikolwiek rezultat poufnych dochodzeń, jak w przedstawionej przez nas sprawie Vitzthuma, rezultat minimalny, bo obejmujący tylko szczegóły, które z biegiem czasu nie poszły w zapomnienie i przed nowym gubernatorem ukryć się nie dały. Więc jaki motyw skłonić mógł hr. Stadiona do tego skreślenia? Widocznie zachwiał się przed konsekwencyami, a zachwianie takie łatwo wytłómaczyć. Kryminalne traktowanie winowajców ze świata biurokratycznego byłoby skompromitowało rząd austryacki wobec całego świata, bo jeden fakt takiego traktowania byłby odświeżył i niejako uwierzytelnił wszystkie obwinienia, które na wiosnę 1846 r. gradem posypały się na Austryę w dziennikach i parlamentach zagranicznych. Takiej ewentualności mógł się obawiać hr. Stadion tem więcej, że cały program jego misyi w Galicyi polegał na dążeniu do pacyfikacyi kraju w szlachetnem tego słowa znaczeniu. Od wytkniętego zaś celu pacyfikacyjnego oddalałoby niewątpliwie nowego gubernatora stawienie na ostrzu spraw, na których drażliwość upływ czasu zaczynał już działać w sposób uśmierzający. Co innego sprawa morderców i rabusiów siermiężnych, których bezkarność, pomimo upływu czasu, jednakowo, a nawet coraz więcej drażnić musiała ofiary popełnionych zbrodni. Toteż za ukaraniem zbrodniarzy tej kategoryi przemawiał nowy gubernator stanowczo, chociaż, jak innym razem poznamy, niestety, ale nie z jego winy, bez skutku. A wreszcie i o tem pamiętać należy, że relacya z wnioskiem amnestyjnym musiała pójść do kancelaryi ce-

sarskiej, a tam pewnie nie przypuszczano tego, że w rzezi galicyjskie biurokracya zgrzeszyła nietylko nieoględnością i nieudolnością, czego wtedy zapewne przed cesarzem Ferdynandem nie ukrywano, lecz także, co nawet dla nowego gubernatora aż do rozpatrzenia się w stosunkach na miejscu było tajemnicą dobrze strzeżoną — bezpośredniem przyczynieniem się do wołających o pomstę zbrodni!

W smutnym bilansie lat 1846—1848 historya Galicyi musi i to zapisać w rubryce ciężkich strat, że Franciszek hr. Stadion, którego intencyi, w przytoczonej relacyi wyrażonych, kraj nie mógł odrazu odgadnąć, nie zdołał swojego programu ani w części wykonać. Nie doczekał się ukarania morderców i rabusiów z roku 1846, za jakiem przemawiał, wskutek czego w wichrowatym roku 1848 w sferach tych odżyły zbrodnicze instynkty. Hr. Stadion przejęty na seryo obawą, żeby instynkty te wśród wznowionej agitacyi żywiołów ruchu nie wybuchły znowu z taką dziką gwałtownością, jak w roku 1846, wydał starostom energiczne zarządzenia zapobiegawcze. Były one w formie swojej nie bardzo szczęśliwe, a niektórzy starostowie do tego jeszcze i w wykonaniu otrzymanych poleceń tak niezręczni, że wzburzonej opinii społeczeństwa polskiego stanęła przed oczyma cała groza gospodarki biurokratycznej z r. 1846. Powstały zatargi, których ostatecznym fatalnym rezultatem było to, że Galicya źle się rozstała z gubernatorem Franciszkiem hr. Stadionem, a ten, odchodząc ze Lwowa zniechęcony, rozgoryczony wobec społeczeństwa polskiego, w kilka miesięcy później, jako minister spraw wewnętrznych, dał krajowi uczuć swoje rozczarowanie, wprawdzie nie mściwością pospolitą, jaką mąż stanu tej miary przejmować się nie mógł, lecz przerzuceniem swojej protekcyjnej sympatyi na stronnictwo świętojurskie, które właśnie wtedy rozpoczynało swoją karyerę polityczną.

Na zakończenie jeszcze uwaga pod adresem Maurycego bar. Sali Albo nie była mu znana powyższa relacya Franciszka hr. Stadiona, a w takim razie przechwałką jest tylko wypowiedziane w przedmowie do jego dzieła o roku 1846 twierdzenie, że miał do dyspozycyi wszystkie akta wszystkich władz, albo relacyę tę miał w ręku, ale przeszedł nad nią do porządku dziennego, jako nad materyałem, bardzo niewygodnym dla powziętego z góry zamiaru upiększenia wypadków roku 1846, a w takim razie jego dzieło traci charakter historycznego przedstawienia i uważane być musi za jednostronne i ten-

dencyjne, chociaż, co prawda, w tonie spokojnym i poważnym trzymane *plaidoyer* w procesie historycznym przeciw biurokracyi austryackiej starego autoramentu. W jednym i drugim razie bar. Sala nie zasługuje na to, aby jego dzieło traktowane było przez pisarzy polskich, jak to dotąd było, z względami należnymi źródłowemu materyałowi.

XIII.

Galicya w roku 1846 (IV).

Epilog kryminalny.

Justitia fundamentum regnorum! W kryminalnym epilogu wypadków galicyjskich z r. 1846 ów fundament rządów, wymiar sprawiedliwości, tak został zachwiany i rozluźniony, że dziwić się nie można, iż w dwa lata później cała struktura państwowa ery Metternichowskiej z jednocześnie przegniłemi belkami politycznemi nie wytrzymała pierwszego nacisku zrewoltowanej ulicy wiedeńskiej i runęła za pierwszym podmuchem świeżego prądu politycznego od zachodu.

We wszystkich państwach europejskich dzisiejsze sądownictwo, zwłaszcza karne, uległo, począwszy od drugiej połowy XIX stulecia, pod względem ustawodawczych rękojmi niezależności sędziowskiej i w ogóle wszystkich rękojmi słusznego wymiaru sprawiedliwości takim zmianom, że nie można go już porównywać ze stanem z pierwszej połowy tegoż stulecia. W Austryi różnica ta jest bez porównania większa, tak samo, jak bez porównania większą jest ewolucya, jaka się w tem państwie dokonała pod względem ustroju politycznego w zestawieniu z innemi państwami europejskiemi. Nie myślimy tej uwagi objaśniać bliższymi szczegółami, gdyż mogłyby one wprawdzie stanowić bardzo ciekawy przyczynek do historyi rozwoju prawa karnego w Austryi, a nawet do historyi kulturalnego rozwoju Austryi w ogóle, ale tutaj miałyby charakter zbędnego balastu. Wystarczy nam

samo stwierdzenie niewątpliwego faktu, że w tej dobie w Austryi w ogóle, a w Galicyi przedewszystkiem, sądownictwo karne, sądownictwo w ogóle nie stanowiło warowni prawa i sprawiedliwości, ściśle oddzielonej od kapryśnej administracyi, a tem samem wyjętej z pod zmieniających się i krzyżujących prądów i tendencyi politycznych, lecz niejako jedno z ramion tego olbrzymiego polipa biurokratycznego, który rozsiadł się na ciężko skołatanym organizmie społeczeństwa polskiego. Sędzia-biurokrata, jak każdy biurokrata w ówczesnej Galicyi, wysługiwał się dawanym z góry wskazówkom politycznym, bo od tego zawisłą była cała jego karyera. Takie wysługiwanie się nie wymagało zresztą od ówczesnych sędziów-biurokratów zbyt heroicznej walki z głosem sumienia, przypominającym kiedy niekiedy majestat prawa. Najpierw bowiem prawo karne wszędzie, a w Austryi szczególnie było wtedy, a do pewnego stopnia zawsze być musi, elastycznem w określeniu znamion i kryteryów przestępstw politycznych, a powtóre nawet w razie, gdyby elastyczność definicyjna okazała się tutaj niedostateczną do naciągania i podciągania danych faktów pod upatrzoną z góry sankcyę karną, to sumienie sędziego-biurokraty mogło wtedy liczyć z pewnością na absolucyę tak pobłażliwej instancyi, jaką wszędzie i zawsze bywa w takich razach — *raison d'état!*

Toteż galicyjskie sądy karne, które już przed lutowym wybuchem w r. 1846 były arcygorliwe w pościgu za wszelkimi najdrobniejszymi objawami nie samych tylko spiskowych knowań, lecz w ogóle wszelkich wykroczeń natury politycznej, rzuciły się skwapliwie na materyał, jakim dla ich biurokratycznej służbistości były wszystkie ofiary wybuchu, czy to pojmane z bronią w ręku lub wśród przygotowań do zbrojnego wystąpienia, czy to zadenuncyowane przez bardzo pochopne do tego chłopstwo i żydostwo. Szczególnie starosta tarnowski Breinl posługiwał się denuncyantami z kół żydowskich. A musiał od nich obfity otrzymać materyał także i przed rzezią, skoro w tak ociężałej zazwyczaj drodze biurokratycznej już w maju 1846 r. i to z mocy cesarskiego postanowienia, wypłacono trzem żydom: Mendlowi Fencherowi, Izraelowi Salomonowi i Mojżeszowi Klappholzowi po 500 złr., kwotę na ówczesne stosunki dla ludzi tego stanu wprost ogromną, czwartemu zaś, Bersonowi, 100 złr. Przytaczamy nazwiska tych współpracowników Breinla dla stwierdzenia faktu, z jak mętnych źródeł czerpał ten potworny biurokrata materyał do swojej krwawej »akcyi«.

Zapełniły się zaraz po rzezi więzienia galicyjskie po brzegi, nietylko spiskowcami, z bronią w ręku pochwyconymi, nietylko obciążonymi ważnemi poszlakami, lecz w ogóle osobami podejrzanemi. W kwietniu wyjednano nawet w Wiedniu postanowienie cesarskie tej treści, że »z powodu obecnego stanu Galicyi należy ze wszystkimi, a więc i z kobietami, postępować według przepisów obowiązujących«. Jakiem będzie to postępowanie, jaki los czeka uwięzionych, to dla nikogo nie było wątpliwem. Pamiętniki więźniów stanu polskich i włoskich z przed r. 1846 zawierają pod tym względem szczegółowe informacye, a że i późniejsze traktowanie tych więźniów nie było lepsze, to po r. 1848 stwierdziły dalsze zapiski pamiętnikarskie. Przyniesienie więźniom jakiejkolwiek ulgi było bardzo utrudnione, poza wypadkami jakiejś wyjątkowej protekcyi wprost niemożliwe. I tak np. Franciszek Trzecieski z Gorajowic w cyrkule jasielskim daremnie przedstawiał w memoryale, do gubernium wystosowanym, nieludzkie postępowanie z więźniami, ofiarując wyraźnie własne fundusze na lepsze żywienie. A że żywienie więźniów politycznych było wprost okropne, to najlepiej wykazuje fakt, że starosta złoczowski przedstawił prezydyum gubernialnemu wniosek, który też zaraz zatwierdzony został, aby »dla więźniów politycznych z niższych klas (t. j. nie należących do szlachty) wyznaczono na wyżywienie zamiast 8 krajcarów tylko 4 krajcary«. Czyż nie jest to istne *horrendum*, chociażby się przypuściło, że ówczesne ceny artykułów żywności wynosiły tylko piątą część dzisiejszych? A wiadomo przecież, że na kuchni więziennej i szpitalnej zazwyczaj obławiać się zwykły nieprawnie różne pasorzyty z niższej służby. W Tarnowie działo się jeszcze gorzej, gdyż w lutym 1846 r. było tam kilkuset więźniów, a podczas gdy wtedy przybywało ciągle wiele głodnych żołądków z powodu powiększenia załogi, zbiegających się do miasta tłumów chłopstwa i uciekających z całej okolicy trwożliwych mieszkańców, ustał chwilowo wszelki obrót i dowóz artykułów żywności. Sam starosta Breinl donosił wtedy prezydyum gubernialnemu, że chcąc sprowadzić artykuły żywności ze wsi okolicznych, musi dla fur dostarczać asystencyi wojskowej. I dopiero pod naciskiem ogromnej drożyzny starosta Breinl postanowił wyjednać w prezydyum podwyższenie wydatku na pożywienie dla więźniów, a podwyższenie to wynosiło aż — 2 krajcary od głowy (z 8 na 10 krajcarów)!

A jakie było pomieszczenie tych więźniów! Wypełniono i prze-

pełniono najpierw budynki więzienne, a potem wynajmowano (w Tarnowie) domy prywatne, przyczem nie liczono się z żadnymi względami na zdrowie. I w tej sprawie zacny Franciszek Trzecieski wystosował do rządu przedstawienie, w którem ofiarował swój własny dom pod Jasłem na pomieszczenie uwięzionych. Własnym oczom nie chce się wierzyć na widok gubernialnego załatwienia tej ludzkiej propozycyi z 23 lutego 1846 r. Polecono bowiem staroście jasielskiemu dom zabrać na cel wskazany (czy tylko na ten cel?), ale przytem »natychmiast aresztować Trzecieskiego za tę jego bezczelność«. Trzecieski został rzeczywiście zaraz aresztowany i do Lwowa wywieziony, jako podejrzany także i o udział w spiskach. Mimochodem zapisać tutaj musimy, że ten dzielny obywatel jeszcze po raz trzeci wystąpił z memoryałem do rządu, który w lecie 1846 r. wręczył Rudolfowi hr. Stadionowi, objeżdżającemu Galicyę w roli nadzwyczajnego i pełnomocnego komisarza cesarskiego. W tym trzecim memoryale Trzecieski wytoczył już najcięższe zarzuty przeciw organom rządowym, wskazując mianowicie na fakt, że hajdamacy z tarnowskiego i jasielskiego cyrkułu, powtarzając wśród rzezi baśń, iż cesarz zniósł dziesięcioro przykazań boskich, powoływali się wyraźnie na różne figury blisko urzędów stojące. Cały szereg równie ciężkich zarzutów zawiera ten memoryał, ale autor jego tym razem już nie poszedł do więzienia za »bezczelność«, gdyż, jak to przedstawiliśmy w jednym z poprzednich szkiców o Galicyi z r. 1846, samo wysłanie Rudolfa hr. Stadiona do Galicyi było oznaką, że w Wiedniu w sferach centralnego rządu zaczęły się — oczy otwierać!

Dolę więźnia wśród śledztwa, a zarazem cały charakter sędziów-biurokratów tej doby dosadnie oświetla fakt, o którym niema żadnej wzmianki w dziele br. Sali o r. 1846, dziele, wrzekomo odsłaniającem całą prawdę na tle i na podstawie aktów urzędowych. W marcu 1847 r. wpłynęło do prezydyum gubernialnego we Lwowie pismo prezydenta ówczesnej najwyższej władzy policyjnej z 20 marca tegoż roku z poleceniem wydania zarządzeń tej treści, »że, według objawionej przez Najjaśniejszego Pana najwyższej woli, inkwizytom w sprawach zdrady stanu w więzieniach nigdy nie mają być dodawane zaufane organa policyjne celem *wyłudzania* od nich przyznania się *(um von ihnen Geständniss auszulocken)*, gdyż takie postępowanie naraża policyę na nienawiść, a zdanie sędziów kryminalnych czyni chwiejnem«. Prezydyum gubernialne podało reskrypt ten, jak to było jego

nieodbitym obowiązkiem, tylko do wiadomości starostów, dyrekcyi policyi i prezydyum sądu apelacyjnego we Lwowie, nie zarządzając zresztą ani skarcenia »wyłudzających« przyznania, ani naprawienia następstw nadużycia.

Faktem niezbitym pozostanie tedy na zawsze, że biedni więźniowie polityczni z r. 1846 byli w swoich celach więziennych otoczeni ajentami policyjnymi, wyłudzającymi od nich przyznanie się do winy. A niegodziwe to postępowanie musiało być na wielką skalę praktykowane, skoro rzecz taka przedarła się pomimo wszelkich trudności do Wiednia, oparła się aż o cesarza i wywołała jego decyzyę. Nie zapadają podobne decyzye najwyższe na jedną lub drugą skargę prywatną. Musiała w tej sprawie wziąć inicyatywę najwyższa instancya sądowa w Wiedniu, gdy z aktów sądowych, które w ówczesnym ustroju postępowania kryminalnego dostawały się jej w sprawach zdrady stanu nie dopiero w toku instancyi, lecz już w czasie śledztwa, powzięła pewną wiadomość o takim niegodnym pomyśle galicyjskich sędziów-biurokratów. Można to uważać za jeden z dowodów na wypowiedziane już przez nas w poprzednich szkicach o r. 1846 twierdzenie, że w sferach dworskich, nie wyjmując do pewnego stopnia nawet i galicyjskiego generał-gubernatora, arcyksięcia Ferdynanda d'Este, nie miano w chwilach krytycznych trafnego wyobrażenia o stanie rzeczy w Galicyi, że dalej nawet władze centralne w Wiedniu nie prędko przejrzały przez gęstą mgłę krętactwa i jawnych fałszów, zawartych w pierwotnych relacyach gubernialnych i bezpośrednich raportach starosty Breinla. Jak więc tam dopiero z toku spraw konkretnych dowiadywano się o wyłudzaniu zeznań przez agentów policyjnych, dodawanych więźniom w celach, tak i o głównej sprawie biurokracyi, o powolnem przygotowaniu chłopa galicyjskiego do roli hajdamackiej przez podjudzanie gromad na dwory, dowiedziano się dopiero po opublikowaniu manifestów i dekretów dziękczynno-pochwalnych.

Czy wobec przestępców politycznej kategoryi akcya prawnokarna większe lub mniejsze zakreślić ma sobie koło, obejmując tylko schwytanych na gorącym uczynku uczestników zbrojnego ruchu, lub także najdalsze ogniwa przygotowawczej działalności spiskowej, czy dalej ostrze prawa karnego ma z całym impetem bezwzględności spaść na uznanych za winnych w jakimkolwiek stopniu, lub tylko dosięgnąć najważniejszych, a innym jedynie pogrozić — to było w tej dobie

kwestyą oportunizmu, który z natury swojej zawsze jest chwiejny, a w sprawach tego rodzaju jak powyższe nawet z drogi najostrzejszej represyi z łatwością zawrócić może na tory pobłażliwości amnestyjnej.

Natomiast sprawa przestępców drugiej kategoryi, hersztów i uczestników tych band chłopskich, które dopuściły się zbrodni pospolitych, dzikich rabunków i o pomstę wołających mordów nawet na osobach notorycznie niewinnych, nawet na starcach, chorobą i wiekiem ubezwładnionych i na dzieciach, miała znaczenie zasadniczo doniosłe, gdyż w grę wchodziły najwyższe interesa społeczne, cała powaga prawa, więc cała podstawa porządku społecznego. Gdyby miało było pójść po myśli tych biurokratów cyrkularnych, którzy czynną odegrali rolę w całej zawierusze z lutego i marca 1846 r., to wszystkie zbrodnie powyższej kategoryi musiałyby były pozostać nienapiętnowane mianem ciężkiej zbrodni, nieskarcone, nawet wcale nie wzięte w rachubę kryminalną, t. j. w ogóle niepoddane śledztwu. Owe bandy chłopskie uchodziły w oczach takich biurokratów za oddziały posiłkowe niedostatecznej do stłumienia ruchu siły zbrojnej, a popełnione przez nie czyny zbrodnicze za akty obrony koniecznej lub dzieła akcyi patryotycznej, rozlew krwi zaś za nieszczęście, nierozdzielnie połączone z każdą przeprawą wojenną. Wszakżeż nawet generał Benedek, pisząc swój raport o rzezi pod Gdowem z garstką powstańców wyprawionej, nazwał bandy chłopskie, do uczestnictwa w tej wyprawie przyzwane, bez ogródek i bez skrupułów swoją siłą posiłkową. Starosta Breinl w całym pamiętniku swoim traktuje wyprawy hajdamackich band około Tarnowa jako operacye wojenne, kontrrewolucyjne, a opryszka nad opryszkami, Jakóba Szelę, przedstawia w roli swojego sprzymierzeńca i poufnika. Kiedy wreszcie ten łotr stał się wielce niewygodnym dla samego rządu, gdyż najpierw pozostawienie go na wolnej stopie po tylu mordach stawało się wprost skandalem, całą zagranicę gorszącym, a powtóre jego agitacya przeciw odrabianiu pańszczyzny podburzała w sposób groźny chłopstwo zachodniej Galicyi starosta Breinl, czyniąc zadość otrzymanemu poleceniu, musiał wystąpić przeciw swojemu faworytowi. Aresztowano wreszcie Szelę, ale jak to się odbyło! Przytaczamy słowa Breinla z relacyi z 20 kwietnia 1846 r., bo trzeba to wszystko widzieć czarno na białem, żeby uwierzyć, że w ten sposób traktowano potwornego opryszka w chwili, gdy więzienia galicyjskie przepełnione były ofiarami poronionego ruchu

powstańczego. »Zawołałem Szelę do siebie — pisze Breinl w tej relacyi — i zrobiłem mu propozycyę, aby celem zejścia z drogi wszystkim insynuacyom i oskarżeniom, sam zdecydował się opuścić swoją ojcowiznę na pewien czas i pozostał w Tarnowie pod zarządzonym przezemnie ukrytym dozorem. Szela oświadczył gotowość swoją w tej mierze, oznaczył dzień wczorajszy jako termin jawienia się i punktualnie go dotrzymał. Umieściłem go u rewizora policyi w jej koszarach i zarządziłem, aby był ściśle dozorowany, aby z nikim nie prowadził rozmowy bez kontroli, aby we wszystkiem był obserwowany, wreszcie aby dowolnie nie wychodził. Mimo to utrzymuję go w mniemaniu, że nie jest aresztowany, lecz dobrowolnie w Tarnowie pozostaje«.

Dokonawszy tak honorowego czy fikcyjnego aresztowania Szeli, starosta Breinl, jakby dla stwierdzenia swojej opinii, że jest on nie hersztem band zbrodniczych, lecz tylko niesłusznie spotwarzonym wodzem patryotycznie wobec Austryi nastrojonych rzesz wieśniaczych, zalecał generał-gubernatorowi, arcyksięciu Ferdynandowi, aby rząd nie nalegał bardzo na przywrócenie stosunków pańszczyźnianych w opornych gminach, lecz owszem, niejako wynagradzając poddanych za ich wystąpienie, poprzestał na ustanowieniu umiarkowanej opłaty za powinności poddańcze.

W miarę jednak, jak do sfer centralnego rządu w Wiedniu torowała sobie drogę naga prawda o stosunkach galicyjskich, wyłaniała się w coraz przykrzejszej formie kłopotliwa kwestya, jak dla uspokojenia wzburzonej w całej Europie opinii postąpić należy wobec tych siermiężnych zbrodniarzy, którzy pod pretekstem patryotycznej kontrrewolucyi dopuścili się szeregu morderstw i rabunków, grozą świat cywilizowany przejmujących. Przeciw najwłaściwszemu i na pozór najłatwiejszemu rozwiązaniu powyższej kwestyi, t. j. przeciw zastosowaniu prawa karnego z całym, poczuciu sprawiedliwości należnym rygorem, przemawiały ważne względy polityczne. Każdy zbrodniarz tej kategoryi mógł bowiem zasłonić się tem, że postępował i działał tak, jak pojmował rozkaz z cyrkułu wydany [1]). Trzebaby więc było

---

[1]) Zaraz po pojawieniu się pierwszego szkicu o r. 1846 autor otrzymał listy od osób sięgających jeszcze pamięcią po ten rok straszny, a wyrażających uznanie za bodaj częściowe oświetlenie ciemnych dotąd stron obrazu historycznego. Między innemi pisze do autora p. Zofia z Kochanowskich Jordanowa z Więckowic: »W r. 1846 miałam lat 12, więc pamiętam wiele szcze-

w konsekwencyi pociągnąć do odpowiedzialności także wszystkich urzędników, z których ust padły podobne wskazówki, ale ci znowu mogliby się powołać na fakt, że nietylko cały system rządowy polegał na protegowaniu poddanych wobec dziedziców, wprost na pogłębieniu przepaści między dworem, jako wrogim dla państwa czynnikiem, a gromadą, jako podporą rządu w Galicyi, lecz nadto jeszcze na okoliczność, że w pierwszej chwili po wybuchu powstańczym (23 lutego) samo gubernium wysłało do cyrkułów okólnik, w którym polecano »wysłanie urzędników celem wzywania poddanych do współdziałania, stawiania oporu i chwytania powstańców«.

Rzecz naturalna, że, zarządzając wysłanie takiego okólnika, ani generał-gubernator arcyksiążę Ferdynand, ani jego najbliżsi doradcy z jednej strony nie mieli jeszcze jasnego wyobrażenia o tem, co się w Tarnowie stało, a z drugiej strony nie myśleli pewnie o takiem użyciu chłopów »do współdziałania«, jakie starosta Breinl zainicyował. Ale była to już niejako tylko kwestya interpretacyi słów wyższej władzy. Dla ówczesnej opinii Europy, wcale niepobłażliwej wobec Austryi, zawsze rozstrzygającym byłby pozostał fakt, że od rządu wyszedł impuls do użycia chłopów jako żywiołu kontrrewolucyjnego, więc na nim zaciężyć musi odpowiedzialność za wszystkie następstwa tego kroku, chociażby nawet one pochodziły z błędnego pojmowania wydanych rozkazów lub z ich przekroczenia samowolnego.

Sądownictwo, zależne w tej dobie od administracyi, zachować się musiało biernie, dopóki rząd nie wskaże drogi wyjścia z tej kolizyi. Jeden tylko sąd karny (w Samborze) zamierzał bez opowiadania się i zasięgania informacyi wdrożyć dochodzenie karne z powodu ekscesów chłopskich (w Horożanie), ale zamiaru tego dokonać nie mógł, gdyż, jak to już wspomnieliśmy w jednym z poprzednich szkiców o r. 1846, starosta lwowski Milbacher, dowiedziawszy się o tem, zaraz zaalarmował prezydyum gubernialne, zwracając uwagę na konieczność »zapobieżenia takim niezręcznościom *(Missgriffe)*, które mogłyby pociągnąć za sobą szkodliwe następstwa«. Że chodziło tutaj

---

gółów. Kiedy mój ojciec, przestrzeżony o mającej nadjechać rewizyi, dał się nakłonić do wyjazdu, zebrali się wkrótce potem chłopi i otoczyli dwór nasz. Wyprowadzono dzieci do chaty przychylnej kobiety, a płaczącą siostrę moją uspokajał chłop temi słowy: nie płacz głupia, na baby i dzieci niema *befelu* (rozkazu). Był więc *befel* na mężczyzn«. *(Przypisek autora).*

o następstwa szkodliwe w znaczeniu politycznem, tego nawet dodawać nie potrzeba. Z temi następstwami liczył się przedewszystkiem także i ówczesny najwyższy dygnitarz sądownictwa, prezydent lwowskiego sądu apelacyjnego; za jego inicyatywą prezydyum gubernialne wydało 28 lutego dyrektywę, według której »zabójstwa, skaleczenia i inne gwałty, popełnione przez poddanych przy stawieniu oporu ze strony powstańców i w celu ich pojmania mają być uważane za obronę konieczną«. Dyrektywa ta stanowiła już uznanie bezkarności dla jednej kategoryi zbrodni, gdyż obrona konieczna uchyla odpornie działalność karną, a na orzeczenie, czy zachodzą warunki obrony koniecznej, nie daje i nie może dać żadne prawo karne tak stanowczych i pozytywnych kryteryów, żeby nie pozostawało szerokie pole dla dowolności sędziów, zwłaszcza austryackich sędziów-biurokratów z tej doby.

Ale w powyższej dyrektywie gubernialnej była mowa tylko o zbrodniach popełnionych przy stawianiu oporu przez powstańców i przy ich chwytaniu. Mogło się to wydawać dostatecznem w chwili wydania dyrektywy (28 lutego), kiedy w prezydyum gubernialnem prawdziwy stan rzeczy nie był jeszcze dobrze znany, lecz nie wystarczało później, gdy się dowiedziano, że bandy chłopskie, mianowicie te, którym Szela przewodził, mordowały ludzi spokojnych i bezbronnych, nawet starców i dzieci i to już po stłumieniu ruchu powstańczego, że rabowały i plądrowały dwory szlacheckie, opuszczone przez przerażonych mieszkańców lub zamieszkane przez ludzi, którym nawet nie śniło się o jakiemkolwiek przygotowaniu do powstania. A przecież niepodobna było rozdzielić obu kategoryi zbrodni w poszczególnych procesach karnych, bo stanowiły one razem jeden piekielny łańcuch z ogniwami krwią i żelazem ściśle spojonemi. Co do wszystkich niemal głównych zbrodniarzy musiałyby być wydane dwa wyroki, jeden orzekający bezkarność czynów popełnionych wobec powstańców w stanie wrzekomej obrony koniecznej, a drugi orzekający kryminał za czyny już nie w tym stanie popełnione, ale łączące się z poprzednimi w jedną całość »akcyi«, wrzekomo lojalnością natchnionej. Nie zapobieżonoby tedy w ten sposób kompromitacyi wobec świata, a w dodatku sfery rządowe musiały się obawiać, że poddani nie zrozumieją ani takiej subtelnej różnicy w kwalifikacyi czynów, ani podwójnej miary prawa i podniosą głośny protest pod hasłem patryotycznego spełnienia nakazów cyrkularnych.

Nikt wtedy przewidzieć nie mógł, że wystarczy samo biurokratyczne przewlekanie spraw karnych, że w dwa lata później (1848) gwałtowny prąd rewolucyjny w całej Austryi wymusi na rządzie amnestyę dla przestępców stanu z r. 1846, którą można będzie objąć także i hajdamaków. Tak się bowiem rzeczywiście stało, a br. Sala w swojem dziele historycznem mógł bardzo wygodnie uporać się z tą kłopotliwą dlań sprawą, zaznaczając krótko, że skoro ułaskawiono winnych zdrady stanu, to »naturalnie dalsze wdrażanie lub prowadzenie postępowania kryminalnego przeciw chłopom z powodu gwałtów popełnionych nie było już wskazanem, a nawet byłoby względnie niesprawiedliwem«.

Takiego rozwiązania kolizyi nikt, jak powiedzieliśmy, przewidzieć nie mógł w r. 1846, więc w danej chwili rząd nie miał innego wyjścia z kolizyi, jak tylko wydanie specyalnych postanowień karnych i proceduralnych dla zbrodni przez chłopów popełnionych. Jakoż istotnie zakomunikowano sądom karnym następujące »najwyższe postanowienie z dnia 30 maja 1846 r., wydane na podstawie wniosków najwyższej władzy sądowej w porozumieniu z kancelaryą nadworną:

1) »Należy dobrze odróżnić, czy czyny gwałtowne, popełnione przez poddanych podczas ostatnich wypadków rewolucyjnych w Galicyi, spełnione zostały przy oporze stawianym buntowi, lub ze złośliwych motywów bez związku z represyjnem działaniem przeciw buntownikom. Gwałty pierwszego rodzaju, które zaszły mianowicie przy oporze poddanych przeciw wezwaniom i groźbom buntowników, lub dla odparcia gwałtu, wymierzonego przez buntowników przeciw poddanym, albo też wreszcie wywołane zostały takimi czynami buntowników, które wiernemu ludowi wiejskiemu dawały uzasadniony powód do czynnego wystąpienia celem odwrócenia niebezpieczeństwa, grożącego jemu i państwu, nie mają być dochodzone w drodze sądowo-karnej nawet w takim razie, gdyby przytem przekroczono granice obrony koniecznej. Natomiast gwałty, popełnione z motywów złośliwych, bez związku z represyjnem wystąpieniem przeciw buntownikom, mają być poddane karno-sądowemu postępowaniu.

2) »Tak kwestyę, czy wskutek doniesień o gwałtach poddanych mają być zarządzone dochodzenia celem bliższego wyjaśnienia właściwości czynu, jak i kwestyę, czy w poszczególnych wypadkach nastąpić ma zwyczajne postępowanie karno-sądowe lub też sprawa ma być zaniechana, oceniać winien galicyjski sąd apelacyjny razem z guber-

nium krajowem, a to pierwszy w kolegium kilku radców apelacyjnych pod przewodnictwem prezydenta apelacyjnego. W gubernium zaś odnośne obrady odbywać się mają pod przewodnictwem Jego Cesarskiej Wysokości galicyjskiego generał-gubernatora lub galicyjskiego prezydenta gubernialnego, w każdym razie przy udziale ostatniego, dalej w regule przy udziale wiceprezydenta gubernialnego, radcy dworu przydzielonego do gubernium i dwóch radców gubernialnych.

3) »Wniesione do odnośnych sądów kryminalnych lub do urzędów obwodowych doniesienia o gwałtach przez poddanych popełnionych przedkładane być mają galicyjskiemu sądowi apelacyjnemu, który stosownie do charakteru okoliczności w doniesieniu podanych i skądinąd mu znanych, oraz w regule po zasięgnięciu informacyi u prowadzącego śledztwo w sprawach zdrady stanu lwowskiego sądu karnego lub w komisyach kryminalnych, zajętych w odnośnych cyrkułach prowadzeniem dochodzeń o zdradę stanu, a w razie potrzeby w odnośnych cyrkułach, objawić ma gubernium swoją opinię, czy w specyalnych wypadkach należy zarządzić wstępne dochodzenie na miejscu czynu, lub dochodzić sprawy natychmiast na zwyczajnej karno-sądowej drodze, albo wreszcie zaniechać dochodzenia. Jeżeli obie władze zgadzają się w opinii, to wspólna uchwała ma być niezwłocznie wykonana. W przeciwnym razie, t. j. gdy zachodzi różnica w zdaniach politycznej i sądowej władzy, łagodniejsza opinia powinna być utrzymana i zastosowana. Jeżeli postanowione zostały wstępne sumaryczne dochodzenia dla wyjaśnienia sprawy, to ma je przeprowadzić odnośna komisya obwodowa, wskazana w następnym ustępie. Jeżeli natomiast postanowiono dochodzić zaraz sprawy w drodze karno-sądowej, to dalsze urzędowanie przekazać należy właściwemu sądowi kryminalnemu.

4) »W każdym z cyrkułów, w których władze otrzymały doniesienia o gwałtach popełnionych w złośliwym zamiarze, ustanowiona ma być komisya mieszana, złożona z komisarza cyrkularnego, radcy lub aktuaryusza kryminalnego i urzędnika do prowadzenia protokołu. Komisya ta ma według polecenia, przez galicyjski sąd apelacyjny i przez gubernium wydać się mającego, przedsiębrać co do udzielonych jej doniesień i zapisków, oraz co do urzędowania w danym razie przez władze lokalne przeprowadzonego, krótkie sumaryczne dochodzenia, ograniczając się przytem tylko do zbadania znamion czynu i powodu, z którego wypłynął. Akta tego dochodzenia ma wspo-

mniana komisya przedkładać w każdym poszczególnym wypadku właściwemu naczelnikowi cyrkułu ze swoją opinią, czy ma nastąpić dalsze normalne urzędowanie właściwego sądu karnego, naczelnik ten zaś winien akt otrzymany wraz ze swoją opinią i z wszelkiemi zapiskami co do znanych mu, a do wyświecenia sprawy służących stosunków przesłać bezzwłocznie galicyjskiemu sądowi apelacyjnemu, który porozumie się z gubernium galicyjskiem w kwestyi, czy sprawa ma być w drodze karno-sądowej dochodzona i postąpi dalej według przepisów trzeciego ustępu.

5) »To wyjątkowe postępowanie ma być zastosowane jedynie w tych cyrkułach Galicyi, w których wybuchły rewolucyjne zamachy i tylko do tych gwałtów, które zaszły w wspomnianych cyrkułach w czasie od 18 lutego do 16 marca 1846 r. Gwałty nie w tym okresie czasu popełnione podlegają zwyczajnemu postępowaniu.

6) »Porozumieniu się galicyjskiego sądu apelacyjnego z gubernium pozostawione zostaje równoczesne wysłanie w miarę możności kilku komisyi do jednego cyrkułu dla przyspieszenia wspomnianych dochodzeń.

7) »Gdzie cała gmina lub przynajmniej znaczna część jej członków brała udział w gwałtach popełnionych bez związku z represyjnem wystąpieniem przeciw buntownikom, tylko podżegacze i przywódcy gmin poddani być mają śledztwu i dalszemu postępowaniu według przepisów prawa karnego«.

Przy wydaniu tych wyjątkowych przepisów karnych oznajmiono z Wiednia lwowskiemu prezydyum gubernialnemu, że należy je »zakomunikować tylko władzom interesowanym bez ogłoszenia dla publiczności«. Jest to szczegół wielce charakterystyczny, bo świadczy wyraźnie o tem, że w Wiedniu, zwłaszcza »w najwyższej instancyi sądowej«, gdzie przepisy te sformułowano, dobrze to uznawano, iż tylko pod naciskiem wszechmocnej *raison d'état* mógł być uczyniony taki wyłom w prawie karnem, że dalej trzeba było w danej chwili ten wyłom wbrew kardynalnej zasadzie jawności ustaw i rozporządzeń osłonić ile możności ścisłą dyskrecyą wobec zagranicy, śledzącej uważnie rozwój wypadków w Galicyi i stanowisko rządu austryackiego, a niedowierzającej uspokajającym zapewnieniom, dawanym przez dyplomatycznych i publicystycznych agentów ks. Metternicha.

Br. Sala liczył w dziele swojem w r. 1846 na wielką naiwność

czytelników, wspominając o tych przepisach karnych jako o dowodzie, że rządowi zależało na wymiarze sprawiedliwości wobec wszystkich zbrodniarzy. Że rzecz się ma wprost przeciwnie, że przepisy te czyniły wyłom w prawie karnem dla zabagnienia wymiaru sprawiedliwości, dla zatuszowania krwawych wypadków, to okaże się z krótkiego komentarza objaśniającego.

Nie mamy tutaj na myśli szczegółowej, fachowej krytyki prawniczej, gdyż o ile ona miałaby prawnika dopiero przekonywać o słuszności naszego twierdzenia, równałoby się to wyłamywaniu drzwi na oścież otwartych. Chodzi nam niejako tylko o podkreślenie ustępów najwięcej rażących, aby nawet czytelnik bez specyalnego prawniczego wykształcenia mógł powziąć wyobrażenie, jak ciężkie musiały być przewinienia biurokracyi galicyjskiej i jak nierozdzielnie powikłana była jej akcya ze zbrodniami popełnionemi przez bandy chłopskie, skoro dla zasłonienia tego obrazu przed światem, w najwyższych sferach, pomimo świadomości, że *iustitia regnorum fundamentum,* zdecydować się musiano wprost na wymierzenie zamachu na kardynalne postulaty wymiaru sprawiedliwości.

Zaraz w pierwszym ustępie powyższego dyskrecyonalnego rozporządzenia czy dyrektywy dobitnie występuje na jaw dążność do zasłonienia zbrodniarzy przed wszelką odpowiedzialnością karną. W każdym bowiem wypadku mogli oni wysunąć ten pretekst, że zachodziły »czyny buntowników, które dawały powód do wystąpienia celem odwrócenia niebezpieczeństwa, grożącego ludowi wiejskiemu i państwu«. W tych czasach bowiem, jeszcze przed terminem i oznakami zbliżającego się wybuchu, z różnych mętnych źródeł rozbiegły się po wsiach najniedorzeczniejsze i najpotworniejsze wieści o zamierzonem bliskiem wymordowaniu chłopów i urzędników przez gromadzące się w lasach oddziały powstańcze. W wieściach tych dwory szlacheckie przedstawione były jako ogniska spisków, magazyny broni i kryjówki powstańców, więc każdy dwór szlachecki uchodził za widownię czynów, uprawniających do popełnienia zbrodni z gwarancyą bezkarności. Dalszy dodatek zaś, że takie hajdamackie wystąpienia »nie mają być dochodzone w drodze karno-sądowej nawet w takim razie, gdyby przytem przekroczono granice obrony koniecznej«, zapewniał bezkarność nawet tym łotrom, którzy, nie poprzestając na mordowaniu osób, z jakiegokolwiek powodu za podejrzane uznanych, pastwili się je-

szcze w sposób okrutny nad rannymi i bezbronnymi, nad kobietami i dziećmi.

Drugi ustęp dyrektywy czyni wytoczenie śledztwa karno-sądowego zależnem od gubernium, więc od administracyi, od tej samej władzy, która, jak wykazaliśmy w poprzednich szkicach, instrukcyami swojemi, wydanemi do cyrkułów w przededniu wybuchu, tak ciężko zawiniła, która też teraz była przedewszystkiem interesowana przebiegiem akcyi kryminalnej, dla której w końcu już z natury rzeczy względy polityczne większe miały znaczenie, aniżeli przedmiotowe postulaty ścisłego wymiaru sprawiedliwości. Jeszcze dobitniej zaznaczona została ta zależność akcyi kryminalnej od gubernium i jego podwładnych organów w trzecim ustępie, który mówi o wpływie »okoliczności skądinąd znanych« na decyzye sądowe, a jako jeden z czynników w tej mierze rozstrzygających, wymienia także informacye cyrkułu, zdając tem samem sprawę wymiaru sprawiedliwości na łaskę tych samych biurokratów, z których w razie ścisłego zastosowania prawa karnego niejeden musiałby był zasiąść na ławie oskarżonych obok głównych winowajców w roli sprawcy intelektualnego. A mimo to wszystko dodano jeszcze w tym ustępie zastrzeżenie, że w razie niezgodności opinii władzy sądowej i politycznej co do wdrożenia postępowania karnego, »łagodniejsza opinia powinna być utrzymana i zastosowana«.

Czwarty ustęp dyrektywy, poruczający mieszanym komisyom pierwsze stadyum dochodzenia, tyczące się jedynie ewentualnego zakwalifikowania gwałtów do formalnego śledztwa karnego lub do ubicia sprawy, zmierza chyba tylko do ułatwienia tej ostatniej ewentualności gubernium jak i sądowi apelacyjnemu. W mieszanych komisyach bowiem komisarz cyrkularny oczywiście odgrywać miał główną rolę, a ponad opinią komisyi stać miała jeszcze opinia starosty. Więc już w tem pierwszem stadyum dochodzenia decydowały o jego przebiegu i wyniku te same czynniki, które w niejednym wypadku znaleźć się były powinny, jak powyżej powiedzieliśmy, razem z głównymi sprawcami na ławie oskarżonych.

Piąty ustęp dyrektywy rozciąga wyjątkowe postanowienie na zbrodnie popełnione w czasie od 18 lutego do 16 marca 1846 r., więc na pospolite morderstwa i rabunki, popełnione przez bandy opryszków także i w chwili, gdy już mowy nie było o jakimkolwiek ruchu powstańczym. Wszakżeż po rozgromieniu garstki powstańców

pod Gdowem przez generała Benedeka i pod Podgórzem przez generała Collina, a biorąc nawet najdalszy termin po wkroczeniu tegoż generała oraz wojsk rosyjskich pod generałem Paniutinem do Krakowa w dniu 3 marca 1846 r., nie było już śladu jakiejkolwiek zbrojnej organizacyi powstańczej, więc nie było już najmniejszej podstawy do tak wyjątkowego traktowania zbrodni po tym terminie popełnionych.

Koronę dzieła stanowi ustęp siódmy dyrektywy, według którego nawet co do zbrodni, popełnionych bez związku z represyjnem wystąpieniem przeciw buntownikom, więc zbrodni już niewątpliwie pospolitych tam, »gdzie cała gmina lub przynajmniej znaczna część jej członków brała udział w gwałtach«, śledztwu karnemu poddani być mają nie wszyscy winni, lecz tylko »podżegacze i przywódcy«. Wprost monstrualnem nazwać można to postanowienie. Gdyby rzecz sama nie była tak smutną, postanowienie to mogłoby posłużyć za wątek do szyderczego wyniesienia ustawodawcy ultrakonserwatywnej Austryi z r. 1846 za to, że o pół wieku wyprzedził najskrajniejszych włoskich socyologów kryminalnych ze szkoły Lombrosa, którzy oparłszy swoje »nowe horyzonty« w teoryi prawa karnego na determinizmie i zerwawszy zupełnie z odmiennemi zasadami karno-prawnemi, a przedewszystkiem z ideą odpowiedzialności moralnej i przedstawiwszy zbrodniarza w roli ofiary własnej chorobliwej organizacyi fizycznej, stosunków społecznych, środowiska i t. d., chcieliby także zbrodni zbiorowej nadać odrębny charakter, a tłum zbrodniczy uznać za odrębną, teraz dopiero odkrytą i rozpoznaną formacyę społeczną, w której jednostka niknie jak pyłek w tumanie kurzu! Coby był dał za to np. Sighele, inicyator takiego taksowania tłumu zbrodniczego, gdyby, pisząc swoją monografię o nim, wiedział był o tem, że przed pięćdziesięciu laty tak radykalnie rozwiązano w Austryi mozolnie przezeń rozebraną tezę, jak ma być stosowana kara, albo raczej, mówiąc językiem tych reformatorów prawa karnego, »represya społeczna«, do tłumu zbrodniczego! Sighele nie doszedł w tem dociekaniu do pozytywnego wniosku, a może bał się wypowiedzieć tak radykalnej konkluzyi, jakiej w r. 1846 nadano w Galicyi moc obowiązującą.

Ale bierzmy rzecz tę seryo, t. j. tak, jak ona w tej dobie wyglądała. Ostatni przepis tajnej dyrektywy stanowił niejako ostateczne zatarasowanie drogi, po której można było dotrzeć do rozjaśnienia spraw i do wymiaru karzącej sprawiedliwości. Każdy bowiem mor-

derca i rabuś, chociażby nawet zbrodnia jego była notoryczna, mógł się zasłaniać tem, że nie postępował samodzielnie, lecz szedł za tłumem, za obcym impulsem, za nieznanymi mu hersztami i podżegaczami. Takich hersztów i podżegaczy pewnie nie zdradziłby żaden z ich towarzyszy, a urzędnik, prowadzący dochodzenie, albo nie chciałby, albo nie mógłby ich odszukać. Ta ostatnia ewentualność była możliwa nawet przy najlepszej woli urzędnika, gdyż w tym ogólnym zamęcie, jaki zapanował począwszy od 19 lutego, trudno było znaleść wątek do takiej klasyfikacyi zbrodniarzy, jakiej wymagała dyrektywa wiedeńska.

Zabagnienie śledztw karnych, dyrektywą tą wywołane, musiało być rażące, skoro aż w Wiedniu z inicyatywy najwyższej instancyi sądowej pomyślano o pewnem przyspieszeniu spraw. Wydano bowiem 9 grudnia 1846 r. dodatkowy dekret tej treści, że sprawy gwałtów, popełnionych tam, gdzie ich ofiary nie są podejrzane o udział w zdradzie stanu, mają być z ominięciem komisyi mieszanych oddawane odrazu sądom kryminalnym z zastrzeżeniem przedkładania spraw sądowi apelacyjnemu w takim razie, jeżeliby w toku postępowania karnego okazało się jakie podejrzenie. Ale refleksya ta trwała bardzo krótko. Z powodu wrzekomego niepodobieństwa, aby komisye kryminalne, a nawet starostowie posiadali niewątpliwe kryterya co do nieposzlakowanego charakteru politycznego osób poszkodowanych, rozporządzono z mocy postanowienia cesarskiego z 11 czerwca 1847 r., że każda w ogóle sprawa, w której według poprzedniej normy miałoby nastąpić postępowanie karne, ma być w razie zakwalifikowania do śledztwa kryminalnego najpierw przedłożona sądowi apelacyjnemu, a ten może znieść decyzyę powziętą. W ten sposób, zamiast przyspieszyć akcyę kryminalną, otworzono nową skrytą furtkę, którą w danym razie możnaby wypuścić zbrodniarza, podejrzanego o możliwość skompromitowania władzy zeznaniami we własnej obronie składanemi. Rzecz naturalna bowiem, że według ostatniego rozporządzenia sąd apelacyjny, działający w najściślejszem porozumieniu z prezydyum gubernialnem, mógł ubić sprawy karne nawet w takich razach, gdy na jakiej ofierze gwałtów ciężyło jakiekolwiek chociażby nieuchwytne podejrzenie, np. denuncyacya, pozbawiona wszelkiej podstawy. A takich denuncyacyi mnóstwo wtedy wpływało tam, gdzie jak np. w Tarnowie starosta brzęczącą nagrodą werbował sobie wszelkiego rodzaju sprzymierzeńców!

Cel wytknięty normom, wydanym specyalnie dla zbrodni hajdamackich z r. 1846 z ominięciem kodeksu karnego, został osiągnięty. Procesy o te zbrodnie wlokły się tak leniwo, że notoryczni mordercy i rabusie pozostawali na wolnej stopie, kiedy tymczasem przestępcy polityczni już za prawomocnym wyrokiem karnym wypełniali cele kryminalne w Galicyi i w innych prowincyach austryackich, a dwaj z nich (Wiśniowski i Kapuściński) zginęli na rusztowaniu. Był to krzyczący dowód stronniczego wymiaru sprawiedliwości i deprawacyi sądownictwa biurokratycznego. Wkrótce potem spadła zasłona amnestyjna i zakryła ten wstrętny widok przed współczesnem, gorączką rewolucyjną rozebranem pokoleniem, ale nie przed historyą, jakby sobie tego życzył pozujący na autoryzowanego historyka Maurycy br. Sala.

Z pomiędzy tych nieznanych materyałów archiwalnych, które szczęśliwy przypadek nasunął nam pod rękę, przytoczymy tutaj jeden, nietylko potwierdzający w sposób klasyczny nasze powyższe uwagi o tendencyjnem przewlekaniu procesów karnych i zacieraniu śladów zbrodni hajdamackich, lecz nadto świadczący wymownie o tem, że zbrodnie te były zanadto jaskrawe, aby na ich widok nie drgnęło wreszcie sumienie nawet w zahartowanych sędziach-biurokratach.

Dokument, który poniżej podajemy, tyczy się sprawy zbrodni, popełnionych w Kamienicy górnej (w cyrkule jasielskim) przez bandę chłopską, której przewodził syn Jakóba Szeli, Stanisław, oczywiście wierny i gorliwy wykonawca krwawych inspiracyi swojego ojca. Zamordowano tam w okrutny sposób dwóch Bogu ducha winnych, młodziutkich Górskich (braci Wiktora i Seweryna), oraz również niewinnego leśniczego Michalskiego z 13-letnim synem, chorym chłopaczkiem. Pomimo jaskrawości zbrodni, sąd apelacyjny we Lwowie wytrwale dążył do odwlekania procesu karnego, za czem potem widocznie pójść miało ubicie sprawy. Przyszło w końcu do tego, że sam prezydent sądu zawiesił jego uchwałę odraczającą z 10 września 1846 r. i odniósł się po decyzyę do najwyższego sądu w Wiedniu. Zapadła tam decyzya dopiero w grudniu 1846 r., a 17 grudnia wystosował w tej mierze najwyższy kanclerz hr. Inzaghi następujące pismo do prezydyum gubernialnego (br. Kriega):

»Istota czynu opiera się na urzędowych, przez kameralnego justycyaryusza Strzelbickiego przeprowadzonych dochodzeniach i na zaprzysiężonych zeznaniach świadków i osób poszkodowanych. Przesłu-

chano nawet wiele osób obwinionych o te ohydne czyny. Z tych dochodzeń nie okazała się najmniejsza wskazówka, żeby ze strony pomordowanych osób lub w ogóle z czyjejkolwiek strony na całym obszarze dworu czynione były kroki, zmierzające ku zdradzie stanu lub przygotowania, wezwania lub namowy, które mogłyby były dać powód do takich okrutnych czynów. Komisya kryminalna w Jaśle oznajmiła co do udzielonych jej komunikatów tak samo jak starosta, że ani właściciel dóbr, ani dzierżawca nie brał udziału w spiskowych usiłowaniach, że nawet całe ich polityczne zachowanie się było całkiem wolne od zarzutu, że tak samo co do osób pomordowanych nie uczyniono żadnych ujemnych spostrzeżeń.

»Sąd apelacyjny uchwalił objawić w tej sprawie gubernium swoją opinię w ten sposób, że akta dochodzenia w myśl najwyższego postanowienia z 30 maja 1846 r. mają być udzielone mieszanej komisyi celem zbadania powodu tych gwałtów. Do powzięcia tej uchwały pomimo niemieszania się pomordowanych osób z dzierżawy dóbr do działań spiskowych, widział się sąd spowodowanym przez to, że z zeznań świadków okazuje się, iż obaj osławieni Szelowie, mianowicie młodszy, dali hasło do zamordowania obu Górskich i obu Michalskich, uważając ich za powstańców, a nie została jeszcze wyjaśniona kwestya, jaki powód mieli do tego przypuszczenia Szelowie, odgrywający wtedy w ogóle znaczną rolę, kiedy tymczasem w najwyższem postanowieniu z 30 maja wyraźnie rozporządzono, że gwałty poddanych nie mają być dochodzone w drodze karno-sądowej nawet w razie przekroczenia granic obrony koniecznej, jeżeli spowodowane zostały takiem działaniem buntowników, które wiernym poddanym dawało uzasadniony powód do czynnego wystąpienia. Prezydent sądu apelacyjnego, nie zgadzając się na tę uchwałę, zarządził trzykrotne traktowanie sprawy w powiększonym za każdym razem senacie. Jednakże nawet w ostatnich obradach *in plenissimo* znaczna większość głosów (13 przeciw 6) wytrwała przy pierwszej uchwale.

»Niepodobna pojąć, dlaczego w sprawie tej wobec powyższego stanu rzeczy miałaby być jeszcze delegowana komisya mieszana dla zbadania właściwego charakteru czynu. W razie przyjęcia tej, na samem tylko przypuszczeniu możliwości opartej opinii sądu apelacyjnego i ogólnego jej zastosowania na niezmiernym obszarze spraw tego rodzaju, sfinalizowanie ich byłoby czystem niepodobieństwem, a w konsekwencyi wypadłoby podjąć zupełnie bezcelowe i z ogromnymi kosz-

tami połączone rozwlekłe traktowania rzeczy. Potrzebne do tego siły nie stoją sądom karnym do dyspozycyi i w ogóle nie mogą być dostarczone. Według dotychczasowego rezultatu informacyi, zasięgniętych przez komisye kryminalne i starostów, trzebaby delegować do takich sumarycznych dochodzeń przynajmniej dla połowy wypadków do wiadomości podanych, a więc około 600 komisyi mieszanych. Dopiero potem, wobec przewidzieć się dającego rezultatu takich dochodzeń, mogłoby tyleż komisyi kryminalno-sądowych podjąć urzędowanie w zwyczajnej drodze, co sprowadziłoby niedające się usprawiedliwić rozbicie i tak już nadzwyczaj niedostatecznych sił roboczych i obciążyłoby skarb państwa niezmiernymi kosztami. Dotąd jedna tylko mieszana komisya tego rodzaju wysłana została do Pstrągowej w cyrkule tarnowskim, gdzie popełnione zostały okrucieństwa, o jakich nigdzie i nigdy nie słyszano. Komisya ta udała się na miejsce już 7 sierpnia, nie ukończyła jeszcze swojej pracy, a już kosztuje przeszło 1.000 złr. Jak ogromna suma musiałaby zaciężyć na skarbie państwa, jeżeliby setki takich komisyi wysłać wypadło według zdania sądu apelacyjnego! Skąd wziąć potrzebny do tego personal i jak długi szereg lat musiałby upłynąć, zanim taka praca mogłaby być załatwiona!

»Wśród tej tragicznej katastrofy popełniono w kraju najokropniejsze okrucieństwa. Bez powodu do represyjnego wystąpienia zbierały się liczne bandy wyrzutków, które, roznamiętnione jedynie chęcią rabunku, a po części nienawiścią ku wyższym stanom, sięgały z jednego miejsca na drugie, rabowały wszystkie dwory szlacheckie, niszczyły złośliwie wszystko, czego ze sobą zabrać nie mogły i popełniały po większej części najstraszniejsze okrucieństwa na różnych osobach bez względu na stan, płeć i wiek. Nie oszczędzano nawet dzieci, jak się to w niniejszym wypadku z synem Michalskiego stało. Sąd apelacyjny otrzymał nawet wiadomość o sprawdzonym zaprzysiężonemi zeznaniami fakcie, że przy jednym takim napadzie rozbójniczym trzyletnie dziecię wrzucone zostało do ognia i wskutek tego życie straciło. Dla ekspiacyi wobec podeptanych uczuć ludzkości i dla utrzymania powagi sprawiedliwości, takie niesłychane i haniebne zbrodnie winny niezwłocznie podpaść pod karzące ramię sprawiedliwości. A jednak dotąd ani jeden wypadek nie został przekazany sądom kryminalnym do urzędowania i nie rychło przyjdzie do tego, jeżeliby postępowano według opinii sądu apelacyjnego«.

Ocknąwszy się, tak samo jak inne władze centralne w Wiedniu,

bardzo późno, zapóźno, bo dopiero na widok nagiej a okropnej rzeczywistości, najwyższy sąd przychylił się w sprawie Kamienicy do opinii prezydenta lwowskiego sądu apelacyjnego, któremu też polecono przedłożyć całą sprawę gubernium z wnioskiem przekazania jej sądowi do wdrożenia zwyczajnego postępowania kryminalnego. Gubernium mogło jeszcze według dyrektywy z 30 maja 1846 r. sprawę ubić, gdyż w danym razie opinia jego, jako łagodniejsza, weszłaby w zastosowanie. Jak się z aktu okazuje, gubernium byłoby chętnie tak postąpiło, gdyby nie fakt, że decyzya najwyższego sądu oparła się aż o cesarza i uzyskała jego aprobatę. Trzeba było bodaj na oko poddać się takiej decyzyi, a jeżeli wypadło koniecznie zasłonić opryszków, szukać do tego celu jakiej krętej drogi i tylnej furtki. Wszystko to znalazło się, bo biurokracya staro-austryacka była niewyczerpaną w kruczkach tego rodzaju. Przytrzymano najpierw akt cały w gubernium do maja 1847 r., a zyskawszy już wiele na zwłoce, oświadczono pozorną zgodę na wdrożenie postępowania kryminalnego przeciw mordercom kamienickim, ale z tym dodatkiem, że należałoby jeszcze przedtem wziąć pod rozwagę pewne okoliczności. Samo ich przytoczenie wystarczy na dowód, że zbrodnie zaszły w chwili najwyższego wzburzenia między chłopstwem, gdy z sąsiednich gmin cyrkułu tarnowskiego dochodziły alarmujące wieści, wywołane zabiciem burmistrza w Pilznie (Markla) przez powstańców, że w takiej chwili ofiary kamienickie mogły się chłopom wydać podejrzanemi, zwłaszcza wobec odbywających się dokoła przygotowań do powstania, że wreszcie obaj Szelowie, którzy w Kamienicy byli podżegaczami, objęci są osobnem śledztwem. Po przytoczeniu tych aż śmiesznie błahych a bezwstydnie wykrętnych wątpliwości zdjęło prezydyum gubernialne nawet tę nędzną maskę i wyjawiło swoje właściwe cele w następującym końcowym ustępie pisma swojego do sądu apelacyjnego: »Wszystkie te okoliczności w razie sprawdzenia naprowadzają na wniosek, że zamierzone było represyjne wystąpienie, do czego, chociaż rewolucyjnych zamachów nie było w Kamienicy górnej, wypadki z najbliższego sąsiedztwa mogły dać powód. Przy tem represyjnem wystąpieniu zaszły ekscesy, które niezawodnie przekroczyły miarę sprawiedliwości i konieczności. Wszystkie powyższe okoliczności są najwyższej wagi przy ocenianiu imputacyi gwałtów, a gubernium widzi się zatem spowodowanem wyrazić życzenie, aby przy zarządzeniu sądowo-karnego dochodzenia uwaga sądu zwrócona została wyraźnie i szczególnie na

te okoliczności, oraz ich ewentualny związek z dochodzeniem przeciw Szeli prowadzonem, dalej aby sąd został zobowiązany do zbadania z wszelką sumiennością i ścisłością, z jakich powodów i zamiarów wypłynęły te gwałty«.

Postawiło więc ostatecznie gubernium na swojem wbrew decyzyi najwyższego sądu, przez cesarza aprobowanej. Sprawa kamienicka ugrzęzła ze wszystkiemi innemi tej kategoryi w matni kruczków i sztuczek biurokratycznych, którym w kilka miesięcy później (1848) przyszła w pomoc ogólna amnestya, rozszerzona na pospolitych morderców i rabusiów, jak tego — zdaniem Maurycego br. Sali — sprawiedliwość wymagała!

* * *

Stanąwszy u kresu szkiców o wypadkach r. 1846 w Galicyi, zamykamy je kilku ogólnemi uwagami, do których pobudza nas nie sam tylko interes autorski.

Szkice te nie mają pretensyi do całości, składającej się na pełny obraz wypadków z r. 1846. Powstały one z przygodnie zebranego materyału źródłowego, mają więc charakter fragmentów, ale — jak to autor zaznaczyć może bez przechwałki, do której zresztą tytuł stanowiłaby nie sama jego zasługa, lecz więcej szczęśliwy przypadek — fragmentów, które, jako oparte na materyale autentycznym, oddadzą pod niejednym względem przysługę przyszłemu polskiemu historykowi r. 1846. Czekamy dotąd jeszcze na tego historyka, bo dotychczasowe polskie publikacye na ten temat, nawet razem wzięte, nie wypełniają tej luki w naszej literaturze historycznej.

Praca Maurycego br. Sali stanowi niezawodnie poważne dzieło i z tytułu swojego jest kompletną historyą wypadków galicyjskich z r. 1846, ale historyą napisaną *in usum* tendencyi politycznej, którą w toku naszej pracy niejednokrotnie nacechować nam wypadło. Jeżeli się nam powiodło zachwiać z gruntu powagę tego dzieła, jako wiele przemilczającego, a jeszcze więcej do celów tej tendencyi naginającego, to będzie to w każdym razie korzyść wielka dla przyszłego opracowania tego tematu historycznego. Dzieło br. Sali bowiem, oparte niewątpliwie na aktach urzędowych, a napisane przytem — szczerze czy obleśnie — z pozorami sympatycznego zainteresowania się losami

społeczeństwa polskiego i współczuciem dla jego niedoli, było dotąd w polskich pracach o r. 1846 traktowane ze zbytkiem dobrej wiary, niemal jako źródło, na którem polegać można, a w każdym razie jako kompletne już wyzyskanie materyału archiwalnego. Tymczasem materyał ten, jakkolwiek według zapewnień samego br. Sali w całości służył mu do dyspozycyi, został przezeń wyzyskany tylko częściowo, bo w widokach z góry wytkniętej tendencyi. Ten sam materyał zatem dotąd jeszcze jest obfitą kopalnią dla historyka, chociażby niemieckiego, ale nieuprzedzonego i niekrępowanego tendencyą z góry sobie wytkniętą.

Kiedy br. Sala pracował nad swojem dziełem, w lat kilkanaście zaledwie po wypadkach w niem opisanych, materyał archiwalny dostać się mógł tylko takiemu jak on badaczowi, dającemu z całej przeszłości swojej — był bowiem radcą gubernialnym we Lwowie w r. 1846, a później ministeryalnym szefem sekcyi w Wiedniu — wszelką rękojmię, że nie odsłoni bezwzględnie tego, coby mogło rozbudzić uspione, ale wówczas jeszcze nie pogrzebane skargi i krzywdy żyjących świadków i ofiar katastrofy, a tem samem utrudnić rządowi wiedeńskiemu proces polityczny, jaki się wtedy zaczął dokonywać i w rezultacie swoim miał sprowadzić zupełne przeobrażenie ustroju państwowego, stworzyć jednem słowem całkiem nową Austryę z systemem politycznym, opartym na przeciwieństwie tego, co w starej Austryi uchodziło za zasadę niewzruszoną, t. j. na zapewnieniu swobodnego rozwoju politycznego i kulturalnego wszystkim narodowościom w skład państwa wchodzącym. W tej nowej Austryi już nie sama tylko figura urzędowa, jak br. Sala, lecz każdy historyk mógłby, a przynajmniej powinien mieć otwartą drogę do zbadania całego materyału archiwalnego o r. 1846.

A byłoby to zadanie bardzo wdzięczne, nie z samego tylko galicyjskiego punktu widzenia i interesu. Rok 1846 stanowił przecież pierwszą erupcyę, która do głębi wstrząsnęła systemem Metternichowskim, na zawsze czarno zapisanym w dziejach nie samej Austryi tylko, lecz w ogóle Europy. Po takiem wstrząśnieniu do zupełnego wywrócenia tego systemu w dwa lata później wystarczył już wysiłek zrewoltowanej ulicy wiedeńskiej.

W historyi społeczeństwa polskiego r. 1846 na zawsze będzie zapisany jako jeden z najtragiczniejszych ciosów, ale zarazem także jako historyczny dowód jego żywotności i odporności wobec zapę-

dów germanizacyjnych. Staro-austryacki system germanizacyjny nie może się wprawdzie mierzyć z systemem pruskim pod względem przewrotnej działalności i celowej systematyczności w dążeniu do planu eksterminacyjnego, ale za to nie był w tej dobie krępowany najmniejszym skrupułem konstytucyjnym i wskutek tego mógł nie wzdrygnąć się nawet przed takim straszliwym środkiem, jak otwarte podburzanie i upajanie ciemnych mas ludu wiejskiego nietylko w politycznym, lecz także i w socyalnym kierunku. To też w dzisiejszych właśnie czasach z wielu względów zasługuje na odświeżenie takie świadectwo — *magistrae vitae.*

XIV.

Sprawa kryminalna Aleksandra hr. Fredry

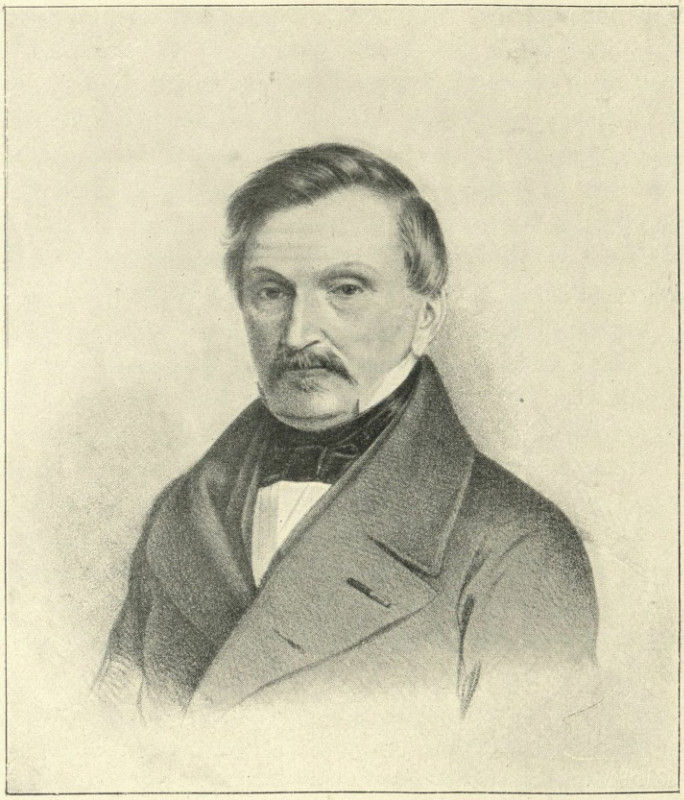
o zdradę stanu [1]).

Burzliwy rok 1848 zastał Aleksandra hr. Fredrę u szczytu popularności, na którą złożyły się: piękna przeszłość żołnierska w wielkiej armii napoleońskiej, rozgłośna, pomimo długiej przerwy w twórczości, sława autorska i powszechnie w kraju uznana powaga obywatelska

---

[1]) O tym bardzo przykrym w swoim czasie, a dziś ze stanowiska historycznego ciekawym epizodzie z życia Aleksandra hr. Fredry, niema żadnej wzmianki w jego opowiadaniu pamiętnikarskiem (»Trzy po trzy«). Zygmunt Kaczkowski, którego łączyły ścisłe stosunki z domem Fredrów, wspomina o tym epizodzie tyle tylko (»Mój pamiętnik«, str. 63), że po roku 1848 Fredro, chociaż zawsze zaliczał się do konserwatystów, uległ prześladowaniu ze strony rządu austryackiego, że jednak »na to, ażeby się aż wziąć do jego osoby, przecież nie miano odwagi«. W biografii Fredry, opartej na materyale autentycznym, czerpanym z archiwum familijnego (Stanisława Schnür-Pepłowskiego »Z papierów po Fredrze«, str. 95), znajduje się o tym epizodzie taka tylko krótka wzmianka: »Gorszono się w sferach biurokratycznych pewnem, zbyt krańcowem może ozwaniem się Fredry na posiedzeniu Rady narodowej w Rudkach. Słówko wzlata ptaszkiem, a powraca wołem, więc też autor nasz mógł dotkliwie odpokutować swe wyskoki dobrego humoru«.

W tajnem do niedawna, dopiero od roku 1904 dla poszukiwań otwartem archiwum lwowskiego sądu kryminalnego, sprawa kryminalna Aleksandra hr. Fredry stanowi osobny, kilkaset arkuszy obejmujący fascykuł. *(Przypisek autora).*



ALEKSANDER HR. FREDRO.

z tytułu publicznych wystąpień w sprawach krajowych. Wystąpieniom takim stosunki konstytucyjne przed rokiem 1848 zakreślały w Galicyi ciasne granice, ale, mimo to i w takim ścieśnionym zakresie, umiał Fredro rozwinąć wybitną działalność, najpierw jako członek sejmu stanowego i deputat w wydziale stanowym, a potem jako jeden z tych obywateli, którzy w roku 1846 wręczyli na wezwanie wysłanemu wtedy z Wiednia, nadzwyczajnemu i pełnomocnemu komisarzowi cesarskiemu, Rudolfowi hr. Stadionowi, memoryały o smutnem położeniu Galicyi i o środkach wydobycia kraju z rozstroju po ówczesnej wielkiej katastrofie. Memoryał Fredry odznaczał się wielką na owe czasy śmiałością w wypowiedzeniu całej prawdy o zgubności dotychczasowego systemu rządowego, mianowicie o zabójczej dla Galicyi działalności biurokracyi, oraz w podniesieniu potrzeby nadania Galicyi w miejsce dotychczasowego, skostniałego ustroju stanowego, takich urządzeń konstytucyjnych, któreby dawały rękojmię normalnego, wszystkie klasy społeczeństwa obejmującego życia politycznego. Ten memoryał Fredry pozostał tylko materyałem informacyjnym, przez hr. Stadiona z kwaśną miną przyjętym i oczywiście nieuwzględnionym, ale rozpowszechniony w kraju w licznych odpisach, stanowił w tych smutnych czasach podnietę moralną a poniekąd i otuchę. Dowiedziano się bowiem stąd, że przynajmniej jeden surowy, a poważny głos prawdy dotarł do sfer, na które tyle odpowiedzialności spadło za ostatnie krwawe wypadki, które też teraz powołane były jeżeli nie do naprawienia złego, które w ogóle już naprawić się nie dawało, to przynajmniej do stworzenia warunków lepszej przyszłości.

Kiedy w marcu 1848 r. prąd konstytucyjno-rewolucyjny dotarł z Wiednia do Lwowa z gwałtownością siły żywiołowej, a ówczesny gubernator Galicyi, Franciszek hr. Stadion, pozostawiony co do swojego zachowania się bez instrukcyi z ministerstwa, stał bezradny i bezwładny wobec potęgującego się z każdym dniem, niemal z każdą godziną, ruchu politycznego i chwycił się, jak deski ratunku, podjętej przez wiedeńskie Stany próby uspokojenia opinii przez rozszerzenie i odmłodzenie skostniałego ustroju stanowego, Fredro powołany został do grona obecnych we Lwowie, najwybitniejszych reprezentantów szlachty, które w pałacu gubernatorskim zebrało się na naradę i z namowy gubernatora miało wybrać swoich przedstawicieli do wiedeńskiej komisyi dla projektowanej reformy. Ale myśl ta była już spóźniona nietylko w Wiedniu, lecz i we Lwowie, gdzie zaraz w pierw-

szym dniu wszczętego ruchu został ułożony i przez tłumną deputacyę wręczony gubernatorowi adres, domagający się dla Galicyi szeroko zakreślonego ustroju konstytucyjnego. Kiedy więc gubernator, hr. Stadion, przedstawił zgromadzonej w swoim salonie szlachcie projekt wiedeński, Fredro pierwszy wystąpił z oświadczeniem, że szlachta, przystąpiwszy do adresu lwowskiego, nie może już przykładać ręki do wiedeńsko-stanowego konceptu [1]). To śmiałe, a dla późniejszego przebiegu sprawy zasadniczo rozstrzygające wystąpienie Fredry powitano we Lwowie z wielkim aplauzem, który znalazł serdeczny odgłos także i poza stolicą w najszerszych kołach obywatelstwa.

Wszedłszy raz w tak ścisły kontakt ze zwycięskim na bruku lwowskim ruchem, Fredro porwany został dalej w tym kierunku do udziału w gwardyi narodowej i w Radzie narodowej, która wtedy odgrywała rolę samorodnej reprezentacyi krajowej. Ale śmiałe wystąpienie na zebraniu u gubernatora, hr. Stadiona, było tylko aktem obywatelskiego akcesu do programu konstytucyjnego, nie oznaczało jednak bynajmniej gotowości do łączenia się z wszystkiemi skrajnemi hasłami tej doby, niezgodnemi zresztą z całym charakterem ani ze sposobem myślenia Fredry. To też nie mógł on wytrwać w ścisłej łączności z lwowską Radą narodową, gdy rozwój stosunków coraz widoczniej parł wszystko ku ostremu starciu z rządem. Mimo to nie usunął się demonstracyjnie od całej organizacyi ówczesnej, lecz tylko nie dawał się dalej porywać prądowi, a pod jesień opuścił Lwów, aby wytchnąć na wsi, w Bieńkowej Wiszni pod Rudkami, które stanowiły niejako stolicę całego kompleksu dóbr Fredrowskich.

Miasteczko Rudki dziś jeszcze, po połączeniu kolejowem z odległym o 40 kilometrów Lwowem, po przekształceniu na siedzibę starostwa i innych urzędów, a tem samem po — znacznem stosunkowo — zabudowaniu się, uchodzi w świecie urzędniczym, więc w jedynem kole swojej inteligencyi, za miejsce wygnania, nawet bliskością stolicy kraju niedostatecznie osłodzonego. W r. 1848 Rudki z dwoma czy trzema murowanymi domami wśród chałup wieś przypominających, ze słynnym z błota rynkiem, w pośrodku którego stał drewniany dom gościnny z pompatyczną nazwą ratusza, tak niezawodnie wyglądały, że tylko ślepa wiara w trafność urzędowej nomenklatury mogła im

---

[1]) Bliższe szczegóły o tem wystąpieniu Fredry podałem w szkicu: »Epilog Stanów galicyjskich«. (Rozdział IV).

zjednać nazwę miasta. Dopiero Fredro wsławił Rudki, oczywiście w humorystycznem tego słowa znaczeniu, wierszem, w którym żartobliwie opisuje swój wyjazd z Paryża w r. 1813 po pogromie wielkiej armii napoleońskiej:

Wyjechaliśmy razem z odmiennych pobudek,
Napoleon na Elbę, ja prosto do Rudek.

Ale nadzwyczajny pod każdym względem r. 1848 wywołał także i w Rudkach ruch, jakiego tam przedtem nigdy nie było. Poszły bowiem Rudki za przykładem Lwowa i utworzyły własną Radę narodową, do czego inicyatywa wyszła z pobliskich Hoszan od znanego w historyi Galicyi z tej doby obywatela, Henryka Janki i miejscowego parocha gr. kat., ks. Jana Hryniewieckiego. Początkowo nazwano stowarzyszenie czytelnią i rzeczywiście tak je urządzono, ale później zachciało się uczestnikom uroczystej nazwy Rady narodowej, do czego parła tak ważna w małem miasteczku figura, jak mandataryusz miejscowy Kajetan Krokoszyński. Skoro zaś raz powstała Rada narodowa, to niepodobna było dłużej zwlekać z uformowaniem własnej gwardyi narodowej, którą zaraz w pierwszej chwili ruchu rewolucyjno-konstytucyjnego patent cesarski usankcyonował dla miejscowości z ludnością powyżej 1.000. Wobec tego zlegalizowania gwardyi narodowej mandataryusz Krokoszyński jawnie i w całej pełni swojego charakteru urzędowego mógł przystąpić do czynności organizacyjnych. To też odniósł się w tej sprawie do urzędu cyrkularnego w Samborze i sprowadził stamtąd komisarza Bartmańskiego dla tej sprawy.

Ale z gwardyą narodową rzecz nie poszła tak gładko, jak z utworzeniem czytelni i z jej przekształceniem na radę narodową. Chociaż komisarz cyrkularny obwieścił legalność instytucyi i wzywał do wstępowania w jej szeregi, chociaż syn Fredry (Jan Aleksander), wówczas młodzieniec gorąco kąpany, a w kilka miesięcy później ochotnik rewolucyjnej armii węgierskiej w otwartej wojnie z armią austryacką, obchodził domy mieszczan rudeckich i zachęcał do zaciągania się w szeregi gwardyi narodowej, mimo to wszystko, rzecz postępowała oporem. Mieszczanie, chłopi i żydzi słuchali namowy, namyślali się i naradzali pokątnie, ale czy niedowierzali legalności instytucyi, czy lękali się jej podobieństwa do wojska, w którem służba

uchodziła za nieszczęście, dość, że zgłoszeń nie było. Mandataryusz Krokoszyński, nie dając za wygraną, dla wywarcia nacisku na trwożliwych obywateli rudeckich, pierwszy sprawił sobie efektowny uniform gwardyjski i ostentacyjnie wyjeżdżał w nim do sąsiedniego Komarna, gdzie gwardya już się uformowała i odbywała musztrę pod fachowym instruktorem. Sprawiło to senzacyę, tem więcej, że wkrótce potem z dziedzińca budynku »dominikalnego« słyszano marszowy odgłos bębna, a wtajemniczeni głosili, że pan mandataryusz kazał policyantom zużyty i podarty cokolwiek bęben, używany dotąd tylko do obwieszczeń dominikalnych, połatać i na świeżo pomalować, a nadto wyćwiczyć się w wybijaniu marsza żołniersko-gwardyjskiego. Gdy to wszystko nie wystarczyło jeszcze do należytego podniesienia animuszu w mieszkańcach Rudek, wpadł raz do miasteczka na pięknym karym koniu dzierżawca jednej z wsi sąsiednich w okazałym uniformie konnego gwardzisty i rozpoczął energiczną propagandę wobec gapiących się dokoła niego mieszkańców. Zaczął swoją przemowę w tonie energicznym, żołnierskim, ale z miejsca tak wysoko wziętym co do nieparlamentarnych epitetów, że słuchacze uczuli się na honorze dotknięci. Już się zabierano do pochwycenia zbyt prędkiego w słowach gwardzisty w swoje ręce i byłoby się niezawodnie skończyło na wielkim dlań despekcie, gdyby, na szczęście, jego dzielny kary koń nie był ocalił sytuacyi jednym śmiałym a i zręcznie ku rogatce skierowanym susem!

Pomysłowy mandataryusz Krokoszyński postanowił tedy dobyć ostatniego atuta. Nie wychylając się z rezerwy, jakiej jego urzędowe stanowisko wymagało, umiał zręcznie poddać i wykonać projekt, który od razu mógł podnieść wysoko w opinii rudeckiej Radę narodową, a przez to rokował także i formacyi gwardyi narodowej lepszą przyszłość. Idąc za inspiracyą pana mandataryusza, Rada narodowa wybrała bawiącego w Bieńkowej Wiszni Aleksandra Fredrę swoim prezesem i przez osobną deputacyę zaprosiła go do objęcia tej najwyższej w Rudkach godności obywatelskiej. Fredro, chyba dla przerwania nudów wiejskich, na które w danej chwili nie było lepszego antidotum, jak taka bliska obserwacya małomiasteczkowych figur w lansadach wielkiej polityki, przyjął ofiarowaną sobie godność, zjechał do Rudek i wygłosił w Radzie narodowej mowę. Podziękował w niej za okazane sobie zaufanie, a nadto dorzucił uwagi nietylko o legalności i pożyteczności gwardyi narodowej, lecz także o korzyściach,

jakich po gotującej się zmianie systemu rządowego oczekiwać było można. Ze względu na audytoryum, nie ukwalifikowane do zrozumienia korzyści politycznych, a natomiast bardzo łakome ulg materyalnych, napomknął Fredro o zniżeniu cen soli i tytoniu. Dostało się w tej mowie osobliwie znienawidzonej biurokracyi, z którą Fredro niedawno w memoryale dla Rudolfa hr. Stadiona ostro się rozprawił.

Szczęśliwie dla reżyserów Rady narodowej, ale nie najlepiej dla Fredry zdarzyło się, że w tym czasie właśnie przyjechał do rodziców, koło Rudek mieszkających, na wakacye akademik i gwardzista wiedeński Maciulski, na którego inteligencya spoglądała, jak na wyższą istotę. Maciulski wszedł także do rudeckiej Rady narodowej i wygłosił w niej obok Fredry taką płomienną mowę, jakiej w Rudkach nigdy nie słyszano. Mowca zapomniał, że nie stoi na gorącym bruku wiedeńskim, lecz na błocie rudeckiem. Na szczęście użył frazesów tak górnolotnych, że, zamiast rozpalić głowy rudeckich polityków żarem rewolucyjnym, zabił w nie klina tak, że wszyscy słuchacze po swojemu te frazesy komentowali, a nikt ich dobrze nie zrozumiał.

Po tem wszystkiem, oczywiście, musiało się podnieść znaczenie rudeckiej Rady narodowej. Zaczęli się do niej garnąć nietylko mieszczanie rudeccy, lecz także ludzie z okolicy, nie wyłączając nawet przybywających do miasta chłopów z okolicy, dla których większą od politycznej była propinacyjna siła atrakcyjna. Ulokowała się bowiem ta rada w kamienicy propinacyjnej na pierwszem piętrze, gdzie była największa sala rudecka. Ludzie ze skrupułami mogli tedy częściej zaglądać do szynku na dole pod pretekstem, że leży po drodze do miejsca, na którem dopełnić pragną powinności obywatelskiej. Zaczęli ludzie garnąć się do Rady narodowej nietylko dla czytania dzienników i słuchania rozmów politycznych, lecz także po radę w różnych dolegliwościach — a nawet — jakby do jakiego wyższego trybunału po rozsądzenie spraw, w zwykłej instancyi albo niepomyślnie załatwionych, albo zbyt długo przewlekanych. Przykład zachęcający dał najpierw jeden z przedmieszczan rudeckich, który, mając do miejscowego proboszcza bardzo wątpliwą pretensyę o grunt, wniósł pisemną skargę do Rady narodowej. Sekretarz wypisał na niej natychmiast według wszelkiej formy urzędowej dekretacyę do rozprawy z sakramentalnym inicyałem: »wolność, równość i braterstwo« oraz z wezwaniem »obywatela« proboszcza do przedstawienia tytułów i dokumentów. »Obywatel« proboszcz, widocznie zastraszony kategorycznym tonem

wezwania, natychmiast pisemnie sumitował się przed »prześwietną« Radą narodową z powtórzeniem powyższego inicyału, a sekretarz na tej obronie zadekretował dalszą akcyę. Że postępowanie to stanowi kolizyę z prawem, za którą może komu kiedyś odpowiadać wypadnie, o tem wtedy nikt nie myślał, a biegły w prawie pan mandataryusz może nieraz i pomyślał, ale się z tem nie ozwał, aby nie tamować wszczętego ruchu.

Także i formacya gwardyi narodowej była teraz bliższa pomyślnego załatwienia, bo niektórzy w letniem ubraniu Fredry, podczas jego zachęcającej mowy w Radzie narodowej, chcieli koniecznie dopatrzeć się kroju uniformu z oznaką rangi kapitana na ramionach. A przecież Fredro był kapitanem napoleońskiej daty, więc opowiadania takie trafiały do przekonania nawet żydom rudeckim, którzy i ten szczegół tak samo, jak gwardyjski uniform pana mandataryusza, łączyli z ćwiczeniem się policyantów w wybijaniu marsza na bębnie dominikalnym i zaczęli przemyśliwać nad tem, czy zapisaniem się do gwardyi narodowej nie mogliby się młodzieńcy w wieku popisowym wykręcić od zawsze strasznej dla nich, a w tych czasach istotnie bardzo ciężkiej i długiej służby wojskowej.

Ale wszystkim tym planom gorących żywiołów, wątpliwościom ociężałych w myśleniu mieszczan i kombinacyom trwożliwych żydów rudeckich nagle kres położył dochodzący od Lwowa huk salw działowych, któremi komenderujący generał br. Hammerstein odpowiedział lwowskiej radzie i gwardyi narodowej na jej śmiałe wystąpienia i zbombardował stolicę kraju do kompanii z księciem Windischgrätzem, bombardującym równocześnie zrewoltowaną stolicę państwa. Od razu zmieniła się sytuacya w rozbudzonych do życia politycznego Rudkach. *Nec locus ubi* — Rada narodowa! Mieszczanie i przedmieszczanie wrócili do zaniedbanych zajęć gospodarczych i warsztatowych, żydzi ochłonęli z wszelkiego strachu, nie słysząc już więcej złowrogiego odgłosu bębna dominikalnego, a pan mandataryusz Kajetan Krokoszyński zawiesił nowy uniform gwardyjski na kołku.

Po hucznym karnawale politycznym cisza cmentarna zapanowała we Lwowie, a sroga reakcya szykować się zaczęła do swojej mściwej, terorystycznej działalności w całej Austryi, szczególnie w Wiedniu, we Lwowie, w ogóle w Galicyi, jako w głównych ogniskach ruchu rewolucyjnego. Rozpoczęły się pod stanem oblężenia wojskowo-sądowe rozprawy, którym organy policyjne dostarczały ciągle

świeżego materyału, wygrzebując z aktów i pamięci wszystkie, do niedawna z wymuszoną cierpliwością i potulnością znoszone wybryki, a organom tym w całem państwie przychodziła w pomoc rozbudzona i zachęcona z góry ochotnicza służba policyjna, — cały rój denuncyantów. Reakcya ówczesna postanowiła nietylko w odstraszający sposób ukarać rzeczywistych winowajców — przestępców politycznych i na nich mściwie powetować niedawne upokorzenia rządu, lecz nadto— usunąć jak najdalej od życia publicznego, więc zizolować pod dozorem policyjnym wszystkie gorętsze żywioły inteligencyi, do których nie dała się zastosować kodeksowa kwalifikacya kryminalna, a które w niedawnem oszołomieniu politycznem okazały się niebezpiecznymi, lub chociażby tylko niewygodnymi dla rządu.

W Rudkach nie było na razie takiego ochotnika policyjnego, jakkolwiek nie byłoby brakło dlań materyału w wersyach, krążących o mowie Fredry w Radzie narodowej i w notorycznych faktach jej nielegalnej judykatury, zwłaszcza od chwili, gdy w całej okolicy głośnem już było, że młody Fredro (Jan Aleksander) przemknął się do Węgier, do armii rewolucyjnej, a razem z nim, czy obok niego, w każdym zaś razie równocześnie, podążyli tą samą drogą dwaj inni młodzi ludzie z Rudek, z których jeden był pisarzem »dominikalnym«, a zatem podwładnym funkcyonaryuszem mandataryusza Krokoszyńskiego. W razie denuncyacyi, fakta powyższe byłyby dały powód co najmniej do dokuczliwego śledztwa i połączonego z niem nagabywania — nawet ludzi bezpośrednio w to niewplątanych. Wszystko byłoby może poszło w zupełne zapomnienie, gdyby nie postępowanie mandataryusza Krokoszyńskiego, który w wygórowanem poczuciu swej godności i władzy mandataryackiej, najwyższej albo raczej jedynej w skromnych Rudkach, zachowywać się zaczął, jak mały satrapa. Władza mandataryacka, cokolwiek zaćmiona przez niedawne zniesienie pańszczyzny, urosła znacznie w pierwszym okresie reakcyi dlatego, że rząd pilnie potrzebował wojska i pieniędzy na toczącą się już we Włoszech i rozpoczętą w Węgrzech kampanię, a rekrutacya, kwaterunek i pobór podatków wchodziły właśnie w zakres funkcyi mandataryackich. Nadto rygor dozoru policyjnego nad ludnością miejscową i nad przejezdnymi został w tym czasie bardzo zaostrzony, a mandataryusz, jako organ policyjny, trzymał w swojem ręku klucze od aresztu »dominikalnego«, do którego, wobec podniesionej na poziom systemu dowolności, wtrącać mógł bez kontroli i bez regresu nawet

za błahym pozorem. Dwa lata takich rządów wzbudziły w ludności, szczególnie żydowskiej, gorycz, którą z obawy przed mściwością Krokoszyńskiego, bardzo dobrze u swej przełożonej władzy cyrkularnej w Samborze zapisanego, tłumiono w milczącej rezygnacyi, czekając na jakieś wyniesienie w godności, a tem samem i przeniesienie małego satrapy.

Ale wreszcie kosa trafiła na kamień. Krokoszyński w swej dokuczliwości nie poprzestał na chłopach i żydach, lecz dopiekł do żywego także kilku księżom, z których jeden, ruski paroch w najbliższej wsi, ks. Narcyz Rewakowicz, osobiście znękany i do tego dotknięty w uczuciach ojcowskich przez surowe postępowanie ze swoimi synami za jakieś kolizye ich z prawem karnem, rzucił rękawicę nieznośnemu mandataryuszowi i zaczął się zbroić do rozpaczliwej walki. W tym celu długo zbierał i wreszcie zebrał cały rejestr faktów, wersyi i plotek, z których miało wypływać, że Krokoszyński jest nietylko niegodziwcem, lecz i skończonym zbrodniarzem. W skardze swojej ks. Rewakowicz tak ułożył ów rejestr poszczególnych grawaminów, żeby widocznem było, że między surową aplikacyą przepisów rekrutacyjnych, podatkowych i policyjnych przez Krokoszyńskiego, a jego kieszenią, spiżarnią i wszystkiemi ubikacyami gospodarczemi, zawsze zachodził związek jak najściślejszy, że mianowicie — kieszeń pana mandataryusza, jego spiżarnia i stodoła wypełniają się w miarę zbliżania się rekrutacyi i wzrostu frekwencyi w aresztach »dominikalnych«. W żydach, swoim losem najlepiej ilustrujących samowolę mandataryusza, potrafił ks. Rewakowicz wzbudzić taką otuchę i odwagę, że zarząd gminy wyznaniowej otwarcie przyłączył się do przygotowanej skargi, wymieniając świadków na zarzuty przedajności, nadużycie władzy i t. p. Wiedząc jednak, że Krokoszyński bardzo dobrze jest zapisany w cyrkule samborskim, ks. Rewakowicz tak sformułował swoje oskarżenie, żeby nie sama tylko władza cywilna o niem rozstrzygała, lecz żeby ono zająć mogło także i wszechwładne w tych czasach, a surowe sfery wojskowe. W tym celu na pierwszy plan wysunął zarzut, że Krokoszyński w r. 1849 działał w duchu rewolucyjnym, namawiając gminy do odmawiania rekruta i nakłaniając dwóch młodych ludzi do zaciągnięcia się w szeregi rewolucyjnej armii węgierskiej, co, według proklamacyi stanu oblężenia z 10 stycznia 1849, podpadało pod jurysdykcyę sądów wojennych.

Nie jednego Krokoszyńskiego, lecz cały legion mandataryuszów

można było sprzątnąć taką litanią zarzutów. A do tego jeszcze szczęście zdawało się sprzyjać ks. Rewakowiczowi. Właśnie bowiem wtedy, gdy miał już skargę swoją przygotowaną, butny adwersarz jego popadł w kolizyę z komendantem posterunku żandarmeryi, który, dbały o swoją powagę i nie czując wyższości mandataryackiego dostojeństwa w Rudkach, wniósł na Krokoszyńskiego skargę do swojej przełożonej komendy. Nad głową Krokoszyńskiego zawisły tedy takie gęste chmury, że zdawało się, iż nie jeden grom, lecz cała salwa gromów spadnie nań w jednej chwili z cyrkułu i komendy wojskowej. I rzeczywiście centralna komenda stanu wyjątkowego wzięła się do sprawy na seryo. Zesłała bowiem do Rudek osobną komisyę śledczą, złożoną z audytora wojskowego i z dwóch wojskowych asesorów. Ze względu na to, że po osądzeniu zarzutów, jurysdykcyi wojskowej podlegających, sprawa cała oprze się potem o cywilny sąd kryminalny, dodano komisyi radcę kryminalnego ze Lwowa, Filousa, jako asystenta i ewentualnego kontynuatora dochodzeń.

Zjechała ta groźna komisya śledcza do Rudek w jesieni 1852 r. i przesłuchała najpierw kilkudziesięciu świadków wypadków z roku 1848, oraz pokrzywdzonych przez Krokoszyńskiego w latach następnych, spisując z nimi stosy protokołów. Potem badano Krokoszyńskiego, z którym spisano protokół takich rozmiarów, że w druku powstałby z tego tom spory. Jest to bardzo ciekawa, a przytem i zabawna lektura, ale wszystko zbyć tutaj musimy krótką wzmianką. Przesłuchani, ks. Rewakowicz i połączeni z nim przeciw Krokoszyńskiemu żydzi, nietylko powtórzyli ustnie to wszystko, co pisemnie wnieśli, lecz nadto uzupełnili skargę nowymi szczegółami. Nie spisałby nikt wszystkich zarzutów, na prawdę, na wołowej skórze, gdyż papier, zapisany przez komisyę, większą zajmuje przestrzeń, aniżeli kilka skór wołowych, chociaż w czytaniu odnosi się wrażenie, że protokolant ile możności streszczał gadaninę. We wszystkich tych zeznaniach figuruje Krokoszyński jako formalny potwór z piekła rodem. Żydzi nazwali go już nie wrogiem samego plemienia izraelskiego, lecz literalnie »wrogiem ludzkości«, który uczuwa demoniczną pasyę w pastwieniu się nad swemi ofiarami i w dokuczaniu ludziom. Wymieniano nawet ofiary tej zabójczej pasyi, między niemi proboszcza rudeckiego, zmarłego rzekomo wskutek udręczenia niesłychanym ciężarem kwaterunkowym.

Przy czytaniu tych wszystkich protokołów czeka się tylko, kiedy

komisya każe nałożyć kajdany na Krokoszyńskiego. Tymczasem następują jego odpowiedzi na każdy zarzut tak zręcznie sformułowane, że zarzucone mu okropne zbrodnie bledną coraz więcej, a w końcu albo całkowicie znikają, albo co najwięcej pozostawiają po sobie ślady zwyczajnych dowolności mandataryackich, podlegających nie sankcyi kryminalnej, lecz dyscyplinarnej wobec przełożonej władzy cyrkularnej. Widocznie oskarżyciele przesadzili bardzo i tą przesadą ułatwili znakomicie obronę sprytnemu przeciwnikowi. Cóż bowiem znaczyły wszystkie skargi na sekatury i nadużycia przy poborze rekruta i podatków, przy kwaterunku i wykonywaniu kontroli policyjnej, skoro Krokoszyński ku wielkiemu zdumieniu komisyi śledczej złożył na jej stole cały szereg dekretów pochwalnych z samborskiego urzędu cyrkularnego, w których ten rzekomy zbrodniarz przedstawiony jest jako bardzo energiczny i sumienny przytem wykonawca otrzymanych wyższych poleceń, a nawet jako wzorowy i zasłużony funkcyonaryusz państwa, który w chwili krytycznej, wśród kampanii węgierskiej, przysporzył w rekrutach i podatkach najpotrzebniejszych środków zwycięstwa. Rzekome odmawianie rekrutów, zachęcanie do udziału w rewolucyjnej armii węgierskiej i wysłanie dwóch młodzieńców do tej armii okazało się oczywiście bajką.

Jednakże, w toku tego wojskowo-sądowego śledztwa, audytor pytaniami swemi wywołał także omówienie działalności Krokoszyńskiego przy zawiązaniu Rady narodowej w Rudkach. Niektórzy świadkowie, pociągnięci przez audytora za język, mówili o wszystkiem, więc także o wystąpieniu Fredry, w którego mowie miały się znajdować słowa o potrzebie wypędzenia »dyabła w stosowanym kapeluszu«, (przez co niektórzy rozumieli samego cesarza), o zmianie rządu i t. p. Wojskowa komisya śledcza zamknęła tedy swój protokół i przesłała go komendzie stanu wyjątkowego z oznajmieniem, że wprawdzie nie znaleziono śladów zbrodni, według manifestu o stanie oblężenia wojskowej judykaturze podlegających, że jednak niektóre zarzuty ks. Rewakowicza i żydów rudeckich wymagają dalszego rozpatrzenia przez sąd karny i urząd cyrkularny w Samborze, a nadto zeznania niektórych świadków zawierają przeciw Fredrze znamiona zbrodni zdrady stanu, podlegającej kompetencyi lwowskiego sądu kryminalnego.

W październiku 1852 r. władze wojskowe wysłały wszystkie akta do lwowskiego sądu kryminalnego, gdzie je oddano do referatu radcy Filousowi, temu samemu, który asystował wojskowej komisyi śledczej

w Rudkach. Był to sędzia biurokratycznego pokroju, który praktykę sądową rozpoczął w smutnej epoce spiskowej przed r. 1846, kiedy to lwowski sąd kryminalny z osławionym Pressenem, jako prezydentem, a jeszcze więcej z osławionym radcą Maurycym Wittmannem, jako głównym filarem w procesach politycznych, był powolnem narzędziem panującego systemu rządowego, ulegał wskazówkom dyrektora policyi, Sacher-Masocha, w toku śledztwa, oglądał się zawsze w wyrokach swoich na głównego reżysera tego systemu, prezydenta gubernialnego br. Kriega i nawet sprawy studenckie, jak n. p. w procesie Karola Szajnochy, naciągał do najsurowszej kwalifikacyi kryminalnej.

W chwili, gdy sprawa Fredry weszła po raz pierwszy na sesyę (9 listopada 1852), sytuacya w lwowskim sądzie kryminalnym zmieniła się pod niejednym względem. Wszedł w życie nowy kodeks karny, na którym, w porównaniu z jego poprzednikiem, znać już było wpływ przełomowy r. 1848, nie dający się zupełnie powstrzymać srogą reakcyą polityczną. Procedura karna, oparta na trącącej średniowiecznemi pojęciami prawnemi zasadzie inkwizycyjnej, przestała już obowiązywać w innych prowincyach państwa, ustępując miejsca nowożytnemu, na zasadzie oskarżenia opartemu postępowaniu, a Galicya uczuła tę zmianę bodaj pośrednio, z tego powodu, że już w rok później także dostąpić musiała tego dobrodziejstwa prawnego, z czem sądy w postępowaniu swojem poniekąd naprzód liczyć się musiały. Co najważniejsza jednak, to fakt, że chociaż w danym ustroju państwowym sądownictwo pozostało zawsze jeszcze w dawnej zależności od administracyi, więc od prądów panujących w polityce, nie wynikały już stąd, zwłaszcza w Galicyi, takie dotkliwe następstwa dla przestępców politycznych, jak dawniej. Z tego miejsca bowiem, z którego dawniej w sprawach polityczno-kryminalnych wychodziła systematyczna surowa instygacya, oddziaływała teraz na sprawy tej kategoryi równie systematyczna mitygacya. Nie było już bowiem w prezydyum gubernialnem br. Kriega, a na czele rządów krajowych stał Agenor hr. Gołuchowski.

Radca Filous, chociaż wyszedł z bardzo złej szkoły sędziowskiej, posiadał, jak widać, zmysł polityczny, bo zoryentował się w sytuacyi i poznał doniosłość ewentualnej kondemnaty kryminalnej, lub chociażby znękania takiej znakomitości, jaką był wtedy Fredro. Toteż na sesyi przedstawił jego sprawę w sposób wcale liberalny, uznając

opowiadanie świadków wobec wojskowej komisyi śledczej jako bałamutne, a wyrażenie przez Fredrę użyte, biorąc nawet takie same zeznania w rachubę, za niedostateczne do wysnuwania stąd wniosku, że Fredro zamierzył obrazić panującego monarchę austryackiego, lub pobudzić słuchaczy swoich do buntu przeciw rządowi. Tem mniej można Fredrze takie zamiary podsuwać, ile że w tych zawichrzonych czasach (1848) ludzie najtrzeźwiejsi wychodzili z równowagi i w wystąpieniach publicznych po prostu nie zdawali sobie sprawy ze znaczenia słów wypowiedzianych. Wywód swój, w tym duchu szczegółowo rozwinięty, zamknął radca Filous wnioskiem zaniechania wszelkich dalszych dochodzeń przeciw Fredrze. Za wnioskiem tym oświadczyła się większość wotantów, mniejszość zaś, a na jej czele znany z dawniejszych procesów polityczno-kryminalnych Sellyey, przemawiała za wytoczeniem procesu — co najmniej o zbrodnię zakłócenia wewnętrznego spokoju państwa. Ta mniejszość stanowiła starą gwardyę kryminalno-sądową, która tak samo, jak stara gwardya napoleońska pod Waterloo, powiedziała sobie, że zginie, a nie podda się nowym prądom i pojęciom prawnym w sprawach polityczno-kryminalnych.

Zdawało się, że na tem skończy się cała sprawa, że będzie ona, według terminu biurokratycznego, ubita. I byłoby się tak istotnie stało, gdyby nie ta fatalna dla Fredry okoliczność, że główna w tych czasach kuźnia represyjnych zarządzeń w Wiedniu, najwyższa władza policyjna, w danej chwili właśnie na Galicyę zwracała uwagę swoją. W początku r. 1852 bowiem stracono w Wiedniu znanego w historyi spisków galicyjskich spiskowca-fanatyka, Juliana Goslara, który po dwukrotnem skazaniu na karę śmierci i dwukrotnem ułaskawieniu, za trzecim wreszcie razem poszedł na rusztowanie. W wiedeńskim procesie Goslara zebrano wszystkie ślady jego ostatnich koneksyi w Galicyi i szukano wątku do nowych procesów. Wtedy to ślad przygodnej tylko znajomości Goslara z Wincentym Polem, znajomości, w której najwięcej wspólne aspiracye poetyckie w grę wchodziły, wywołał, w połączeniu z dalszą denuncyacyą, za rzekomo nielojalne zachowanie się Pola i innych profesorów uniwersytetu Jagiellońskiego wobec młodzieży, dochodzenia policyjne w Krakowie, z których, w braku substratu dla procesu kryminalnego, szef najwyższej władzy policyjnej, generał br. Kempen, potrafił drogą dowolności administracyjnej wysnuć takie konsekwencye, że dziś zakrawałoby to na bajkę, gdyby nie dało się stwierdzić z autentycznych źródeł archiwalnych. Nie ogląda-

jąc się wcale na ministra oświaty, któremu dyscyplinarnie podlegają profesorowie uniwersytetu, br. Kempen wyjednał u cesarza zatwierdzenie wniosku, według którego usunięci zostali z katedr swoich, bez formalnego pociągania do odpowiedzialności, bez przesłuchania i bez wskazania motywów, profesorowie Antoni Małecki, Wincenty Pol, Zygmunt Antoni Helcel i Józef Zielonacki. Ministrowi oświaty zakomunikował br. Kempen dopiero *fait accompli*, aby sobie innych profesorów poszukał.

Uchwała lwowskiego sądu kryminalnego w sprawie Fredry rychło doszła do wiadomości tej wszechpotężnej w państwie, najwyższej władzy policyjnej z tego powodu, że z aktami owego śledztwa rudeckiego w jedną całość połączone były akta zatargu Krokoszyńskiego z żandarmeryą, której komenda krajowa ze wszystkiego opowiadała się przed swoim zwierzchnikiem wiedeńskim. Br. Kempen ściśle przejrzał akta całej sprawy i zaalarmował ministerstwo sprawiedliwości doniesieniem, że we Lwowie ubito sprawę Fredry, pomimo widocznych poszlak zbrodni zdrady stanu. Przejrzano wszystkie akta także i w ministerstwie sprawiedliwości, uznano tam oczywiście remonstracye najwyższej władzy policyjnej za uzasadnione i wysłano całą rzecz do lwowskiego sądu apelacyjnego z przykrem wytknieniem tak pobłażliwego traktowania sprawy. Ministerstwo sprawiedliwości kategorycznie poleciło, aby sąd kryminalny przeprowadził dalsze, uzupełniające dochodzenie szczegółów co do mowy Fredry w rudeckiej radzie narodowej i zaczął śledztwo od natychmiastowego, sumarycznego przesłuchania Fredry.

Sprawa Fredry wróciła oczywiście do dotychczasowego jej referenta, radcy Filousa, które spełnił polecenie ministerstwa, wzywając obwinionego do protokolarnego przesłuchania. Odbyło się ono dnia 26 czerwca 1853. Dla dokładnego poznania sprawy przytaczamy protokół spisany z Fredrą, oczywiście z ograniczeniem się do głównych pytań i odpowiedzi.

Radca Filous: Z śledztwa pokazało się, że przybywszy do Rady narodowej i przemawiając do zgromadzonych włościan rudeckich, oraz mieszkańców tamtejszej okolicy, przedstawił im pan hrabia, iż »przyszły dla nich pomyślne czasy, aby się od jarzma uwolnili i cesarza w jego stosowanym kapeluszu stąd wykorzenili i do dyabła napędzili«. Do tych słów pan hrabia musiał jakiś cel przywiązywać. Proszę się więc wytłumaczyć.

Zaraz obok tego pytania protokół zaznacza w formie spostrzeżenia samego sędziego śledczego, że Fredro »wpadł w niekłamane oburzenie i odpowiadał w uniesieniu«.

Fredro: »Że podczas mojej bytności w Radzie narodowej w Rudkach mogła być mowa o uformowaniu gwardyi narodowej, tego ani pamiętam, ani zaprzeczać nie chcę. Że jednak przeciw mnie takie oskarżenie wniesiono, jak się teraz dowiaduję, to mię oburzać musi. Nietylko bowiem niczego podobnego w Rudkach nie powiedziałem, co zapewniam i nawet zaprzysiądz gotów jestem, lecz nic podobnego w całem życiu mojem z ust moich nie wyszło. Nazwaćby mię musiano głupcem, gdybym w Rudkach, w obecności takich ludzi, jacy się tam wtedy znajdowali, coś podobnego powiedział. Powołuję się na świadectwo tutejszych mieszczan i urzędników, którzy mnie nawet osobiście nie znają, czyli mój sposób myślenia jest taki, żebym coś podobnego mógł powiedzieć. Dlatego najsolenniej oświadczam, że oskarżenie przeciw mnie wniesione jest z największą głupotą, bezczelnością i potwarzą«.

Radca Filous: »Przedstawienie panu hrabiemu uczynione nie opiera się na luźnem doniesieniu, lecz na zeznaniach wielu, pod przysięgą słuchanych świadków, a zatem samo zaprzeczenie wystarczyć nie może. Zechce zatem pan hrabia powiedzieć, czy i jakim sposobem może udowodnić, że podobnej mowy nie wygłosił?«

Fredro: »Nie wiem, jakim sposobem byłbym w stanie wykazać nieprawdziwość wniesionego przeciw mnie oskarżenia. Powołuję się zatem na powszechnie znany mój sposób myślenia i moje postępowanie we Lwowie w r. 1848, czy kiedy i kogo przed kim podburzałem, czy wszędzie nie dążyłem do tego, aby był spokój i porządek. Proszę zasięgnąć o mnie zdania policyi i wszystkich wyższych urzędników, czyli w r. 1848 wszędzie nie byłem tego zdania, aby był spokój. O ile pamiętam, nikomu nigdy żadnej krzywdy nie uczyniłem i dlatego nawet przypuścić nie mogę, iżby kto ze złości i nienawiści o coś podobnego mię oskarżył. Sądzę owszem, iż nie zrozumiawszy moich słów, ludzie w rozmowach pomiędzy sobą i z opowiadań o tem zdarzeniu, coś sobie uroili, a przesłuchiwani — z bojaźni, żeby ich o co do odpowiedzialności nie pociągnięto, przeciw mnie zeznali to, co się nigdy nie stało«.

Nazajutrz Fredro stanął znowu do protokołu przed radcą Filousem i, nie czekając na dalsze pytanie, prosił o zapisanie następującego

oświadczenia: »Wczoraj byłem tak oburzony oskarżeniem, że uszło mi z pamięci kilka uwag, które tutaj dzisiaj przedstawiam. Od czasu zdarzenia, o które zostałem oskarżony, minęło lat cztery, a zatem więcej czasu, aniżeli potrzeba, iżby plotka, po karczmach powtarzana, urosła i skrzywiła się. Słuchając oskarżenia, co się tyczy wyrazów przeciw cesarzowi, byłem tak oburzony, że tylko na treść zwróciłem całą uwagę; teraz zaś muszę rozebrać i słowa tego oskarżenia. Nie mogłem powiedzieć włościanom, że przyszedł czas, aby się z pod jarzma nad sobą uwolnić, bo właśnie odebrali największe dobrodziejstwo, t. j. uwolnienie od pańszczyzny i niczego więcej żądać nie mogli. Wyraz, »aby cesarza w stosowanym kapeluszu stąd wykorzenić«, jest ledwie nie bez sensu, bo słowo »wykorzenić« nie da się zaaplikować w tym sensie, t. j. mówiąc o jednym człowieku. Co do stosowanego kapelusza, to nawet portretów cesarza w takim kapeluszu nie widać. Nareszcie wyrażenie »do dyabła wypędzić« jest nadto grubiańskie i karczemne, aby w jakiemkolwiek zgromadzeniu mogło być użyte. Zastanowiwszy się na tem, każdy przyzna, że mowa, o którą jestem oskarżony, nie mogła wyjść z ust człowieka, który trochę tylko dobrego wychowania otrzymał.

»Powiedziałem wczoraj, że nikomu nigdy krzywdy nie zrobiłem i dlatego przypuścić nie mogę, aby ktoś był moim nieprzyjacielem. I teraz to powtarzam, ale przypomniałem sobie, jacy to ludzie mogą mię oskarżać. Na wsi dość odmówić drzewa, pastwiska, lub zagrabić za jaką szkodę, żeby mieć nieprzyjaciela. N. p. w owym czasie jeden włościanin rudecki, Michał Chymiak Mikołków (którego zeznanie zaprzysiężone głównie ściągnęło na Fredrę obecne śledztwo kryminalne — *przyp. aut.)* pogorzał i żądał odemnie drzewa bezpłatnie, na co mu odpowiedziałem, że każę mu tanio sprzedać, ale darmo nie dam, gdyż dawne stosunki poddańcze zmieniły się. Najwięcej dlatego odmówiłem, że jest to włościanin majętny. Za to odmówienie drzewa odgrażał się na mnie. Są także w Rudkach mieszczanie Pawlikowscy (i oni także zeznaniami swojemi obciążyli Fredrę — *przyp. aut.)*, którzy grożą mi procesem za jakąś chałupę, czy stodołę, którą mandatary usz Krokoszyński kazał rozebrać, czy pozwolił rozebrać. Gdybym mógł wiedzieć, kto jest moim oskarżycielem, może przypomniałbym sobie wiele okoliczności, tłumaczących nieprzyjaźń ku mnie, jako do dawniejszego dziedzica, który najmniejszem odmówieniem łaski mógł się częstokroć narazić.

»Powoływałem się wczoraj na zdanie mieszczan i urzędników lwowskich o mnie, a zapomniałem powołać się na mieszczan rudeckich, zwłaszcza tych, którzy obecni byli na zgromadzeniu tak zwanej Rady narodowej. Wszakże i tam niewątpliwie byli ludzie uczciwi. Żałuję tylko, że znękany chorobą, cierpieniem i zgryzotą od lat kilku, nie mogę dobrze przypomnieć sobie ich nazwisk«.

Radca Filous (po rekapitulacyi oświadczeń Fredry co do słów o »zrzuceniu jarzma«, o »wykorzenieniu i wyrzuceniu do dyabła cesarza w stosowanym kapeluszu«): »Zważywszy, że w mowie nie można wyrazów pojedynczo roztrząsać, a chodzi o zrozumianą treść mowy, wyrazom pańskim nie można podstawić uwolnienia od pańszczyzny, lecz uwolnienie od istniejącego rządu, zwłaszcza że była mowa o Najjaśniejszym Panu. Także wyraz »wykorzenić« mógł być użyty, jeżeli, mówiąc o Najjaśniejszym Panu, miałeś pan hrabia przed oczyma dynastyę panującego domu. Zresztą wtenczas przemawiałeś pan hrabia do ludzi prostych, a zatem mogłeś używać wyrazów, zastosowanych do ich edukacyi«.

Fredro: »Nie mogę żadnym sposobem wchodzić w roztrząsanie mniemanego sensu mowy, ponieważ wczoraj oświadczyłem, iż od początku do końca nigdy z ust moich nie wyszła. Jeżeli teraz zrobiłem kilka uwag o słowach, które mi oskarżenie przypisuje, to uczyniłem to jedynie dla tego, że człowiek, cokolwiek dobrze wychowany, nie mógłby się w ten sposób wyrazić. Ale jeszcze raz powtarzam, że nie byłbym się wdawał w roztrząsanie niewłaściwości wyrazów, gdybym już wczoraj nie był odrzucił całego oskarżenia z największem oburzeniem«.

W dalszych pytaniach swoich radca kryminalny Filous wciągnął w ramy tematu śledczego udział Fredry w lwowskiej Radzie narodowej, która uchodziła za centralne ognisko prądów i »knowań rewolucyjnych« z r. 1848. W odpowiedziach swoich na szereg pytań, w tej mierze postawionych, z których tylko główne zdania przytoczymy, Fredro określił swój stosunek do lwowskiej Rady narodowej w sposób następujący: »Wiadomo, że w r. 1848 zawiązała się we Lwowie redakcya dziennika pod tytułem »Rada narodowa«. Należałem do tej redakcyi, czyli raczej do wydziału redakcyjnego. Byłem wezwany przez Jana Dobrzańskiego. Nie chciałem zrazu przyjąć tego wezwania, ale moi znajomi zrobili uwagę, że rozsądnym ludziom nie należy się od wszystkiego usuwać. Usłuchałem tego zdania i wszedłem do wydziału

redakcyjnego. Po kilkunastu dniach, gdy się rzeczona redakcya do gmachu teatralnego przeniosła i gdy posiedzenia zaczęły być publiczne, uznałem za stosowne zupełnie usunąć się od wszelkiego udziału w czynnościach rzeczonej redakcyi. Podałem listownie to moje oświadczenie i od tego czasu nigdy, ani razu jednego na zgromadzeniach lwowskiej rady narodowej nie byłem. W tak krótkim czasie nie mogłem przedsięwziąć żadnego działania. Na list nie otrzymałem żadnej odpowiedzi; dowiedziałem się tylko, że czytany był w kilka dni później na zgromadzeniu. Cofnąłem się, bo byłem wybrany, jako literat, do wydziału redakcyjnego, a przekonałem się, że tam dzieje się nie podług mego sposobu myślenia«.

Na ostatnie, po odczytaniu inkwizytowi protokołu postawione pytanie, czy inkwizyt ma co do dodania lub sprostowania, podyktował Fredro następującą odpowiedź: »Przeczytane mi zeznania bez odmiany potwierdzam i najusilniej upraszam o przyspieszenie ile możności tej sprawy, gdyż stan mojego zdrowia jest taki, że, jak to świadectwami doktorów udowodnić mogę, przez opuszczenie jednego lata bez wód mi wskazanych i opóźnienie operacyi, co do której ułożyłem się z chirurgami w Paryżu, wystawiłbym się, jeżeli nie na śmierć, to na kalectwo niezawodne«.

Sędziowie niezależni od wyższej presyi, z zagwarantowaną prawnie, jak to dziś jest w Austryi, wolnością a nawet z przykazanym sobie wprost obowiązkiem słuchania tylko głosu sumiennego przekonania i poczucia prawnego, znaleźliby się byli po tem przesłuchaniu Fredry w kolizyi między dosadnie wypowiedzianem życzeniem wyższej władzy a dawną uchwałą uwalniającą, której motywa znalazły właśnie w wyniku przesłuchania Fredry tylko poparcie i potwierdzenie. Ale dla sędziów ówczesnych nie istniały skrupuły i kolizye tego rodzaju w ogóle, a w sprawach polityczno-karnych przedewszystkiem. Skinienie takiej potężnej władzy, jak najwyższy organ policyi, poparte do tego poleceniem ministerstwa sprawiedliwości, stanowiło rozkaz apodyktyczny i uchylało wszelkie wahania. Toteż nazajutrz po przesłuchaniu Fredry zapadła na sesyi uchwała, że nastąpić ma »wszechstronne zbadanie« sprawy i to nie w sposób zwyczajny, lecz — jakby dla demonstracyjnego okazania żywego przejęcia się intencyą najwyższej władzy policyjnej — przez osobną, do Rudek wydelegowaną komisyę, której kierownikiem nie ustanowiono już radcy Filousa, jako inicyatora poprzedniej uwalniającej uchwały, lecz radcę Jana Summera,

jako więcej zbliżonego do tradycyi sądu kryminalnego w sprawach politycznych z czasów spiskowych.

Na biednego Fredrę spadła ciężka troska, nawet obawa, bo któż mógł zaręczyć, że po upływie pięciu lat od owej fatalnej mowy nie powiedzie się indagacyi i instygacyi komisyi śledczej znaleźć wątka do ciężkiego oskarżenia, a przynajmniej — długiego nękania śledczego, zwłaszcza wobec faktu, że syn jego (Jan Aleksander) z powodu udziału w rewolucyjnej kampanii węgierskiej, musiał ratować się ucieczką za granicę i tem ściągał na ojca nieufność i niechęć sfer reakcyjnych.

A do tego przyłączyły się cierpienia fizyczne. Fredro był wtedy dotknięty taką chorobą (kiszkową), że wyjazd, mocno zakwestyonowany ostatnią uchwałą sądową, był dlań istotnie poniekąd kwestyą życia. To też zwrócił się do namiestnika hr. Gołuchowskiego z przedstawieniem swojego stanu i z prośbą o wystawienie paszportu, niezbędnego wówczas do każdego wyjazdu, nawet w obrębie państwa. Hr. Gołuchowski wedle formy urzędowej odniósł się do prezydenta sądu kryminalnego br. Pohlberga z zapytaniem, czy nie sprzeciwia się wystawieniu paszportu za granicę. Poszła i ta sprawa na sesyę, a uchwała opiewała, że ponieważ w sprawie Fredry zachodzą poszlaki zbrodni zdrady stanu, przeto żaden paszport nie może mu być wydany. Na szczęście hr. Gołuchowski zdecydował się w tej sprawie naruszyć przykazanie biurokratyzmu i, nie oglądając się na uchwałę sądową, postąpił tak stanowczo, jakby tego pewnie nie był uczynił namiestnik-urzędnik zwykłej miary, drżący przed odpowiedzialnością za ewentualne ułatwienie ucieczki człowiekowi, o zdradę stanu posądzonemu. Hr. Gołuchowski wysłał do Fredry protomedyka rządowego i, opierając się na jego relacyi o stanie zdrowia Fredry, wystawił mu trzymiesięczny paszport na zmodyfikowany przez samego petenta projekt podróży (do Wiednia i Teplitz). Zawiadomiony o tem sąd kryminalny, pośrednio tylko remonstrował, żądając, by namiestnictwo zapobiegło przynajmniej wydaniu Fredrze w drodze dalszego paszportu przez władzę krajową w Wiedniu lub w Pradze.

* * *

Radca kryminalny Summer, zjechawszy we wrześniu r. 1853 do Rudek z całym pomocniczym personalem i aparatem biurowym, rzucił oczywiście postrach już samem pojawieniem się w takiej asystencyi.

Zaraz na wstępie spotkał się z dowodem sprytu i przebiegłości mandataryusza Krokoszyńskiego, który, mówiąc mimochodem, tryumfował już wtedy na całej linii wobec swoich wrogów i oskarżycieli, bo — jak sąd wojskowy nie uznał go winnym jakiegokolwiek popierania rewolucyi węgierskiej, tak samo sąd obwodowy w Samborze w przysłanych sobie aktach nie znalazł żadnych znamion zbrodni nadużycia władzy urzędowej. Zemścił się teraz Krokoszyński na całych Rudkach w sposób, który pośrednio wyjść musiał także na korzyść Fredry w razie, gdyby kto w dalszem śledztwie podniósł przeciw niemu jakie nowe zarzuty. Kiedy bowiem Summer zażądał od Krokoszyńskiego, jako szefa miejscowej władzy policyjnej, wskazania mężów zaufania, którzyby, według przepisów ówczesnej procedury, asystować mieli przy słuchaniu świadków i podpisem swoim potwierdzać autentyczność spisanych z nimi protokołów, pan mandataryusz odpowiedział na to wezwanie urzędowe także w formie urzędowej, że »miejscowość Rudki zamieszkują po największej części ludzie, pod różnymi względami podejrzani, między którymi, ściśle rzecz biorąc, niema żadnego indywiduum, któreby zasługiwało bezwarunkowo na zaufanie urzędowe«. Po tem fatalnem świadectwie moralności dla obywatelstwa rudeckiego wymienił Krokoszyński, jakby od niechcenia, tylko dla dopełnienia formalności, kilkunastu mieszczan, co do których »możliwą jest nadzieja«, że »zaprzysiężeni i jak najuroczyściej upomnieni«, od biedy nadawać się będą do funkcyi honorowych asesorów. A trzeba dodać, że funkcye asesorów, jako biernych świadków (tylko do dyskretnego słuchania zeznań i podpisywania protokołu obowiązanych), wymagały minimalnej kwalifikacyi, t. j. tego tylko, żeby asesor nie był wprost — kanalią! Summer otrzymał wprawdzie od obu proboszczów spory wykaz osób, uznanych bez zastrzeżeń za godnych zaufania, ale ostatecznie w aktach swoich musiał pozostawić pismo urzędowe dominium rudeckiego, z którego wypływało przekonanie, że w moralnie upośledzonych Rudkach sędzia sumienny nie może liczyć na wiarygodne zeznania świadków.

Przesłuchanie całego legionu powołanych świadków trwało kilkanaście dni po 8—10 godzin dziennie, bo Summer wziął się do rzeczy po amatorsku i z tą, ze wszystkich protokołów przezierającą tendencyą, że chodzi mu o pochwycenie każdego wątka, z którego dałaby się wysnuć kryminalna interpretacya słów, użytych w mowie Fredry. Ten gruby stos protokołów, w Rudkach spisanych, stanowi

lekturę niejednokrotnie tak zabawną, że zapomina się o opałach biednego Fredry, a narzuca się natomiast myśl, że humor, który był formalnie niewolnikiem jego w utworach scenicznych, niewolnikiem, gotowym na zawołanie do usług serdecznych, także i w tej, przykrej dla swojego pana przeprawie, figlami swoimi starał się złagodzić jej grozę. Na wszystkich w ogóle świadków padł przestrach wielki, bo nie wiedzieli, czy chodzi tylko o samego Fredrę, lub o wszystkich, którzy kiedykolwiek zaszli byli do lokalu Rady narodowej. Żydzi tem więcej byli przestraszeni, ile że niedawno tak się sparzyli na kampanii sądowej z Krokoszyńskim, w której występowali jako strona zaczepna z całym arsenałem zabójczych środków walki, a mimo to zostali pokonani. To też wszyscy świadkowie w zabawny sposób starali się ujść natarczywości Summera w dobywaniu zeznań stanowczych, a kiedy wreszcie komu z nich wymknęło się jakie pozytywne twierdzenie, zaraz potem każdy kręcił i odwoływał wszystko, zasłaniając się brakiem pamięci wobec upływu pięciu lat od chwili krytycznej. Summer zapisywał wszystko ze stereotypowym dodatkiem, że świadek, w ten sposób chwiejnie zeznający, okazał się podejrzanym. Świadek Michał Chymiak, który przed audytorem najwięcej obciążył Fredrę, także i tym razem najmniejszą okazał odporność wobec śledczej natarczywości Summera, ale radość jego z tej zdobyczy zamącona została odpowiedziami na końcowe pytania, w których inteligencya świadka, mającego zeznawać, jak sobie tłumaczył słowa Fredry, okazała się bajecznie upośledzona. Zapytany bowiem, kiedy w Rudkach zawiązała się Rada narodowa, w lecie czy dopiero w jesieni, Michał Chymiak, do którego ciasnej głowy jeszcze nie dotarły takie subtelne różnice kalendarzowe, odpowiedział, że musiało to być w lecie, bo nie miał na sobie kożucha, a on zna tylko dwie pory roku, t. j. zimę, kiedy nosi kożuch i lato, kiedy kożuch na kołku zawieszony.

Summer świadkom obciążającym odczytywał zeznania przed audytorem złożone, albo raczej przez audytora w pierwszem dochodzeniu spisane. Z obawy, żeby zaprzeczenie nie ściągnęło jakiej kary, świadkowie tacy, zastrzegając się zlekka brakiem pamięci, dodawali, że musiało tak być, jak pan audytor spisał. Tak postąpił i Chymiak. Drugi jednak główny świadek obciążający, Jan Pawlikowski, nie dał się sprowadzić na tę drogę, pomimo dwukrotnego przesłuchania i krzyżowej salwy pytań Summera. Aby nie być dalej wzywanym do protokołu, Pawlikowski, człowiek stary i chory, położył się do łóżka

i wraz ze świadectwem lekarskiem wysłał do komisyi pisemne oświadczenie, że poprzednie zeznania swoje uznaje za nieścisłe, gdyż przed audytorem zeznawał po polsku, a protokół audytorski pisany jest w niezrozumiałym dlań języku niemieckim. Zamiast zarządzić bliższe dochodzenie co do tego ważnego szczegółu, czy można polegać na niemieckiem tłumaczeniu pierwotnych zeznań przed audytorem, Summer zatrzymał oświadczenie Pawlikowskiego w aktach tylko na dowód, że dalsze przesłuchanie z powodu choroby musiało być zaniechane.

Sumiennego sędziego pismo Pawlikowskiego byłoby naprowadziło na dobrą drogę i nakłoniło do przeprowadzenia śledztwa *ab ovo* bez oglądania się na akta wojskowej komisyi śledczej. W aktach tych bowiem były bijące w oczy dowody, że audytor nie znał dobrze języka polskiego, więc też nie mógł dobrze przetłumaczyć zeznań polskich na język niemiecki. Dowodami takimi były wszystkie w nawiasie zawarte dopiski, które stanowić miały niby wierne powtórzenie wyrażeń, przez świadka użytych. Wyrażeń takich nie mógł użyć żaden świadek w Rudkach ani w ogóle w Galicyi z tej prostej przyczyny, że nie miały one ani polskiego, ani polsko-ruskiego brzmienia, lecz stanowiły oryginalną kompozycyę lingwistyczną pana audytora z brzmień, zasłyszanych gdzieś w Czechach i w Morawach, a pomieszanych z tem, co podczas krótkiego pobytu w Galicyi połapał.

Po powrocie do Lwowa z ciężkim ładunkiem aktów, uzupełniwszy je tutaj jeszcze dalszemi przesłuchaniami świadków, Summer zacytował Fredrę na 8 listopada 1853 i spisał z nim protokół, który tak samo jak pierwszy, przytaczamy z opuszczeniem pytań i odpowiedzi formalnej natury, oraz takich, które nie mają merytorycznego znaczenia dla sprawy.

Radca Summer (po przedstawieniu przedmiotu inkwizycyi): Wzywa się pana hrabiego, żeby się szczerze i rzetelnie wytłumaczył.

Fredro: Nie wiem, czy o wszystkie zarzucone mi fakta byłem pytany przy pierwszem mojem przesłuchaniu, dlatego proszę, aby mi wolno było dać niejakie w tym względzie wyjaśnienie. Nie spodziewałem się, abym przy lojalnem postępowaniu całego życia, mógł być kiedy zmuszony tłumaczyć się z podobnych zarzutów. Zebrałem jednak w mojej pamięci, co po tak długim czasie tylko mogłem. W r. 1848 wyjechałem ze Lwowa do mojego majątku, Bieńkowej Wiszni i Rudek, a to tak z powodu choroby, natenczas szerzącej się

we Lwowie, jak i dla załatwienia na wsi niektórych miejscowych interesów, a mianowicie dla powstrzymania napadów sąsiednich gromad na mój las i ukończenia sprawy z mandataryuszem Adamowiczem, który wpadł w deces pieniędzy podatkowych i za to odkrycie zresztą mi się odgrażał. W Bieńkowej Wiszni odebrałem od Rady narodowej, w Rudkach dawniej już zawiązanej, a której członkiem nie byłem, zaproszenie i uwiadomienie, że na miesięcznego prezesa tej rady wybrany zostałem. Lubo wiedziałem, że Rada narodowa w takiem miasteczku, jak Rudki, powstała tylko z chęci naśladowania innych większych miast, jednakże, obawiając się, aby pod moim bokiem w moich osobistych miejscowych interesach i w miejscu pod moją jurysdykcyą jeszcze zostającem ta rada jakiego głupstwa nie zrobiła, aby się w spory, jak to raz tam miało mieć miejsce względem jakiegoś mandataryusza, w spory zupełnie do niej nie należące nadal nie wdawała, chcąc nareszcie moją przytomnością odsunąć od niej podobnych ludzi, jak Adamowicz, przyjąłem zaproszenie i byłem w radzie rudeckiej dwa razy. Za pierwszym razem miałem ową mowę, która stała się powodem oskarżenia mojej osoby. Nie była to właściwie mowa naprzód napisana, lub w myśli przygotowana, lecz krótkie przemówienie, zwyczajne w podobnych okolicznościach. Ile sobie teraz przypominam, oświecony w części zapytaniami, zadanemi mi przy pierwszem mojem przesłuchaniu, w części zaś pamięcią przytomnych tam podówczas moich znajomych, podziękowałem zgromadzeniu za zaufanie, objawione mi wyborem na prezesa, mówiłem, że podług najwyższych rozkazów gwardye narodowe mają być wszędzie formowane, aby w Rudkach do niej się zapisywano, że gwardya narodowa jest przeznaczona do utrzymania miejscowego porządku. Dobrze sobie teraz przypominam, że gdy jeden z przytomnych odezwał się, że kto się do gwardyi zapisze, będzie przeto wolny od rekrutacyi, powiedziałem: »Nie; nie należy bałamucić. Rekrutacya, jak była, pozostanie i zawsze rekrutów na rozkaz cesarski trzeba będzie dawać«. Potem, ile sobie przypominam, wspomniałem o zmianie formy rządu na konstytucyjną, o zniesieniu ciężaru pańszczyzny, na czem i dziedzice zyskają, a to przez usunięcie owych procesów pregrawacyjnych (o uciążliwości prestacyjne), których to procesów niektórzy nieprzychylni urzędnicy używali za środek wyszczególnienia siebie, choćby to miało ciągłą między nami niezgodę utrzymywać. Wtedy to, mówiąc o podobnych urzędnikach, nazwałem ich stosowanymi kapeluszami. Użyłem może

tego wyrazu, bo wszyscy wtenczas mieli przed oczyma mnóstwo karykatur, wystawiających najczęściej rzeczonych urzędników w stosowanych kapeluszach. I w dawniejszych także czasach, jeszcze w mojem dzieciństwie, nieraz słyszałem, że ich tak po wsiach nazywano. Nie mogłem nigdy przypuścić, aby te słowa, jeśli istotnie wyrzeczone były, bezczelne oszczerstwo pochwyciło i dało im sens, którego nawet cienia ani w myśli, ani w sercu mojem nigdy nie było. Z największem zatem oburzeniem odparłem i jeszcze raz odpieram hańbiący zarzut, jakobym w rzeczonej mowie w Rudkach miał coś przeciw osobie Najjaśniejszego Pana powiedzieć; przeciwnie, starając się zawsze na legalnem utrzymywać stanowisku, zakończyłem, jak sobie teraz dokładnie przypominam, zwykłym moim okrzykiem: Niech żyje cesarz! co też i przez zgromadzonych powtórzone zostało.

Niech mi będzie wolno to szczere zeznanie zakończyć uwagą, że moje wcześniejsze postępowanie tutaj we Lwowie, od samego początku i w całym ciągu r. 1848, zawsze wolne było od wszelkiego zarzutu nielegalności. Zaledwie wszedłem do Rady narodowej lwowskiej, jako członek komitetu redakcyjnego, a już po dziesięciu dniach wystąpiłem, spostrzegłszy, że ten komitet redakcyjny schodzi z drogi, której wszystkie redakcye dzienników trzymać się powinny. I pewnie nie dlatego odsuwałem się, ile możności, od wszelkiego czynnego udziału, tak, że po mojem wystąpieniu z komitetu redakcyjnego ani razu nie byłem na zgromadzeniu lwowskiej Rady narodowej, — nie dlatego, mówię, starałem się zawsze i wszędzie uspokajać umysły, abym potem miał jechać do Rudek i tam podburzające, a bez sensu rzeczy rozprawiać.

Nakoniec muszę jeszcze dodać, że od czasu owej mowy mojej w Rudkach do dziś upływa pięć lat. Czy jest zatem podobieństwem, aby ludzie, którzy wtenczas słuchali mowy w przedmiotach zupełnie dla nich nowych, w sposobie wyrażenia może trochę wyższym, aniżeli oni wyrażać się zwykli, ludzie nareszcie, z których pewnie połowa była ruskiej narodowości, mogli dokładnie pamiętać i powtarzać słowa moje? Jak mię później wieść doszła, Adamowicz, zawsze mi nieprzyjazny, zawsze po szynkach goszczący, tłumaczył tym, co byli i tym, co nie byli na radzie, jaka myśl w każdym moim wyrazie miała być ukryta, a rozumie się, że wszystko na moją szkodę i potępienie.

Radca Summer: Z inkwizycyi okazuje się, że pan hrabia

w swojej przemowie wspomniał o zaprowadzeniu innego rządu temi słowy: »żebyśmy sobie zaprowadzili nasze rządy«.

Fredro: Jeżeli o rządzie wspomniałem, to mogłem tylko mówić o zmianie formy rządu, zresztą ten wyraz »inny rząd« lub »nasz rząd«, który mi zarzucono, jest tak niepewny, że z tego niczego wnioskować nie można, a gdybym był chciał w sensie rządowi nieprzyjaznym mówić do ludzi, nie posiadających po największej części żadnego wykształcenia, to byłbym się musiał dokładniej wyrazić.

Radca Summer: Pan hrabia, wzywając do formowania gwardyi narodowej, określił cel temi słowy: »żebyśmy mogli tego dyabła w stosowanym kapeluszu z kraju wygnać«.

Fredro: O wygnaniu dyabła w stosowanym kapeluszu mowy nie było, a co się tyczy wyrazów »w stosowanym kapeluszu«, już wyżej wyjaśniłem, iż tylko urzędników nieprzychylnych przez to rozumieć mogłem.

Radca Summer: Pan hrabia, mówiąc o stosowanym kapeluszu, w dalszej przemowie miał powiedzieć: »Cesarz trzyma sól drogo i tytoń drogo, a gdyby to było nasze, to byłoby tańsze«. Z tego wnosić trzeba, że słowa o stosowanym kapeluszu tyczyły się osoby Najjaśniejszego Pana i że pan hrabia o zaprowadzeniu innego rządu, a nie tylko o zmianie formy rządu mówić musiał.

Fredro: Jak już poprzednio z największem oburzeniem powiedziałem i zapewniałem, tak też i teraz z oburzeniem powtarzam, że ani ja, ani ktokolwiek ze zgromadzonych niczego złośliwego o osobie Najjaśniejszego Pana nie powiedział, czego byłbym nawet nie zniósł i zapewniam, że byłoby to dla mnie największem szczęściem, gdyby mi pozwolono moje zapewnienie przysięgą stwierdzić. Co się tyczy tytoniu i soli, tego sobie nie przypominam, a że mnie tak, jak każdemu właścicielowi dóbr, najwięcej na uspokojeniu umysłów zależało, przeto być może, że nadmieniłem: Jeżeli będziecie spokojni i posłuszni, to się wydatki rządowe zmniejszą i wtedy może nastąpić zniżenie cen artykułów rzeczonych. Zresztą, gdybym był wtedy chciał włościan podburzać, to byłbym ich przeciw samemu sobie podburzał.

Radca Summer: Z inkwizycyi okazało się, że pan hrabia, kończąc swoją przemowę, zawołał: Niech żyje król konstytucyjny!

Fredro: Mnie się zdaje, żem powiedział: cesarz konstytucyjny, ale być może, żem dodał: cesarz i król konstytucyjny, gdyż cesarz jest oraz królem Galicyi i Lodomeryi.

Radca Summer: Jakim sposobem mógłby pan hrabia udowodnić, że mowę swoją na zgromadzeniu rudeckiej Rady narodowej wygłosił w wyłuszczonym przez siebie sensie?

Fredro: Naprzód odwołuję się do świadków, natenczas na zgromadzeniu obecnych, których sobie teraz dokładnie przypomnieć nie mogę, ale spodziewam się, że wielu było takich, którzy zrozumieli istotny sens mojej mowy. Zresztą odwołuję się do opinii publicznej całego Lwowa, gdzie prawie całe życie swoje mieszkam, czy według mojego usposobienia i zawsze lojalnego postępowania byłbym w stanie mieć zarzuconą mi mowę wobec takiego zgromadzenia, jakie w Rudkach być może.

Radca Summer: Jakim sposobem mógłby pan hrabia udowodnić, że w r. 1848, po upływie dziesięciu dni, wystąpił z komitetu redakcyjnego dziennika Rady narodowej we Lwowie?

Fredro: O tem wiedzą wszyscy członkowie tutejszej Rady narodowej, gdyż na piśmie wystąpienie moje oznajmiłem (wymienia świadków, którzy udział brali w pierwszem utworzeniu komitetu redakcyjnego — *przyp. aut.)*.

Radca Summer: Jaki cel i jakie statuta miała Rada narodowa w Rudkach?

Fredro: Nie wiem, czy ta rada miała jakie statuta, a nawet twierdzić mogę, iż żadnych statutów nie miała. Co się tyczy jej celów lub dążności, to i tego tam nie było, bo, jak powiedziałem, chodziło tylko o naśladowanie większych miast.

Radca Summer: Z inkwizycyi okazało się, że pan hrabia, mówiąc o zaprowadzeniu gwardyi narodowej, także i o składkach pieniężnych wspomniał.

Fredro: Składano się tam na prenumeratę gazet, co zapewne dało powód do mylnego mniemania, iż to przeznaczone być miało na gwardyę narodową.

Częściową niezgodnością pierwszego, całkowicie przeczącego protokołu z drugim, przyznającym niektóre szczegóły, Fredro niezawodnie pogorszył swoją sytuacyę procesową, zwłaszcza w danej chwili, gdy, pomimo zaprowadzenia nowego, cokolwiek złagodzonego prawa karnego, obowiązywało jeszcze dawne postępowanie inkwizycyjne, zdające obwinionego na łaskę sędziego śledczego i referenta w jednej osobie. Z całego materyału, zebranego w dwukrotnem przesłuchaniu świadków, dziś prokurator państwa nie zdołałby skonstruować aktu

oskarżenia o zbrodnię zdrady stanu, lecz w najgorszym razie chyba o jakie mniejsze przestępstwo z powodu wyszydzenia biurokracyi. Ale po r. 1848, pomimo chwilowo tak silnego powiewu prądu wolnościowego, w całej Austryi z pierwszym brzaskiem represyi absolutnej odżyły w biurokratach, jakimi byli i sędziowie ówczesnego pokroju, tradycye poprzedniego okresu procesów politycznych. W lwowskim sądzie kryminalnym nie było już wprawdzie głównych filarów tych tradycyi, nie było Wittmanna, Tinza, Janowicza i t. p., ale radcowie wtedy wyrokujący patrzyli na ich działalność, więc niejako wyszli z ich szkoły. Radca Summer był, jak to widać z całego postępowania jego w sprawie Fredry, bardzo zdolnym i pojętnym uczniem tej szkoły. Umiał tedy, a wobec interwencyi najwyższej władzy policyjnej czuł się nawet obowiązanym wskrzesić w sprawie Fredry tradycye tej szkoły. To też w referacie swoim, z wszelkiem wytężeniem wrodzonego sprytu i przyswojonej sobie przebiegłej metody, zestawił materyał śledczy tak, że wszystko, co przeciw Fredrze przemawiało, sterczy w referacie na pierwszym planie, a wszystko, co osłabić mogło obciążające Fredrę zeznania świadków, przybierało charakter prostego wykrętu. Do takiej konstrukcyi referatu Summer już naprzód przygotował sobie podstawę, bo kiedy wszystkie zeznania, obciążające Fredrę, były przed wojskową komisyą śledczą zaprzysiężone, w uzupełniającem dochodzeniu świadków, zeznających na korzyść Fredry, nie dopuszczono do przysięgi jako podejrzanych.

Wywód końcowy radcy Summera, wyłuszczony z grubej powłoki jurydycznych argumentów i wniosków, tak rzecz całą przedstawia: Fredro w połowie października r. 1848, jako prezes Rady narodowej w Rudkach, wygłosił tam mowę, w której wzywał słuchaczy do utworzenia gwardyi narodowej i do składek w tym celu. Jakkolwiek, wobec ówczesnego prawnego uznania gwardyi, postępowanie takie samo w sobie nie zawiera znamion czynu karygodnego, to jednak, ze względu na ówczesne stosunki, nie można w tem widzieć lojalnego sposobu myślenia. Wiadomo bowiem, że stronnictwo rewolucyjne w Galicyi zaprowadzenie gwardyi narodowej wyzyskało dla swoich celów, aby pod płaszczykiem legalności uzbroić masy do wskrzeszenia państwa polskiego, a tem samem — do obalenia prawnego porządku i rządu, co szczególnie w październiku 1848 r. jasnem było nietylko dla ludzi wykształconych, lecz także i dla najniższych klas ludności. Zresztą o legalnej intencyi przy tworzeniu gwardyi na-

rodowej w październiku 1848 r., niema mowy już dlatego, że w tej porze monarchia austryacka była w swoich podstawach wzruszona, a w jej stolicy stronnictwo rewolucyjne 6 października jawnie wywiesiło swój sztandar. Wojsko cesarskie musiało wtedy Wiedeń zdobywać w otwartej krwawej walce z gwardyą narodową. Jako cel utworzyć się mającej gwardyi narodowej, wskazał Fredro w swojej mowie »wypędzanie dyabła w stosowanym kapeluszu z kraju i zaprowadzenie własnego rządu«. Ponieważ z tem powiedzeniem łączyło się w mowie Fredry twierdzenie, że wysoka cena soli i tytoniu przez cesarza ustanowiona byłaby niższą, »gdyby te artykuły do nas należały« przeto »nie powinno to ulegać żadnej wątpliwości, że, mówiąc o dyable w stosowanym kapeluszu, Fredro musiał mieć na myśli uświęconą osobę Jego cesarsko-królewskiej Apostolskiej Mości, jak to, według przeprowadzonego badania istoty czynu, niektórzy słuchacze mniemali. Z tego wypływa, że Fredro przez powyższe, przed wielu obecnymi słuchaczami wypowiedziane wezwanie, czy zachęcenie zmierzał zapewne do wywołania lub powiększenia buntu wewnątrz państwa, co według § 58 lit. c ustawy karnej, stanowi zbrodnię zdrady stanu«. Wprawdzie na korzyść Fredry świadczy fakt, że zaprzeczył twierdzeniu innego mowcy, jakoby należenie do gwardyi narodowej uwalniało od służby wojskowej i że zakończył swą mowę okrzykiem: niech żyje cesarz, ale »powyższe okoliczności nie są tego rodzaju, żeby całkiem wykluczyć mogły rewolucyjną dążność mowy. W pierwszej uwadze bowiem Fredro sprostował tylko ogólne mniemanie o celu i przeznaczeniu gwardyi narodowej. Okrzyk zaś: niech żyje cesarz, potwierdzili jedynie podejrzani świadkowie, a okrzyk: niech żyje król konstytucyjny, mógł stanowić tylko *reservatio mentalis*. Okrzykiem tym, według doświadczeń z r. 1848, posługiwali się ludzie ze stronnictwa rewolucyjnego, działający na rzecz wskrzeszenia Polski«.

Dnia 3 grudnia 1853 r. weszła sprawa Fredry na sesyę sądu kryminalnego. »Znamienitą większością głosów« — jak mówi protokół sesyjny — zapadła uchwała, że Fredro uznany zostaje, mówiąc słowami ówczesnej procedury, — zakwalifikowanym do postępowania kryminalnego o zbrodnię zdrady stanu i że ma być osadzony w więzieniu na czas dalszego postępowania. Kwalifikacya ta równała się, według prawa karnego z r. 1803, grozie kary śmierci, a według nowo zaprowadzonego kodeksu, grozie ciężkiego więzienia od 10 do 20 lat. Na sesyi dwa głosy ozwały się za lżejszą kwalifikacyą, t. j. za zbro-

dnią zakłócenia spokojności publicznej, a jeden tylko głos (radcy Styczyńskiego) za uznaniem, że nie zachodzi żadna zbrodnia. Radca Styczyński podyktował do protokołu *votum separatum* i uzasadnił je szczegółowo na samym akcie. Wywód ten wskazuje najpierw, że radca Styczyński nie polegał, jak prawdopodobnie wszyscy jego koledzy, na samym referacie Summera, lecz przewertował poprzednio wszystkie akta i protokoły z zeznaniami świadków, a powtóre świadczy chlubnie o wyższości tego radcy nad całem gremium — tak pod względem sumienności sędziowskiej, jak i inteligencyi jurydycznej. Radca Styczyński wykazał w tym wywodzie, że z urywkowych fragmentów mowy Fredry, które podali niejasno i chwiejnie świadkowie obciążający, sami ludzie o bardzo ograniczonych pojęciach, niepodobna złożyć takiej całości, żeby na tem oprzeć można uznanie zbrodni w ogóle. W fragmentach poszczególnych zaś, z osobna wziętych, niema kryteryów kryminalnych. Ani należenia do Rady narodowej, ani zachęty do tworzenia gwardyi narodowej nie można nazwać czynem karygodnym, gdyż w danej chwili prawnie była uznana wolność stowarzyszeń, a gwardya narodowa stanowiła instytucyę ulegalizowaną i nawet przez organ rządowy organizowaną. Wzmianka w mowie Fredry o nowej formie rządu była w danej chwili także legalną enuncyacyą polityczną, gdyż wtedy w całem państwie toczyły się ożywione debaty konstytucyjne, wśród których wypływały rozmaite, mniej lub więcej radykalne pomysły, między nimi także pomysł nadania monarchii austryackiej federacyjnego ustroju z odrębną dla każdej prowincyi organizacyą konstytucyjną. Fredro w mowie swojej odezwał się w sposób lekceważący o biurokracyi i wtedy użył obrazowo słów o dyable w stosowanym kapeluszu. Można to lekceważenie uznać za naganne, jak w ogóle całe wystąpienie człowieka z tak wybitną pozycyą obywatelską i z tak rozgłośną sławą autorską, jak Fredro, w obskurnej rudeckiej Radzie narodowej, ale sędzia może nad tem chyba tylko ubolewać, bo do kwalifikacyi kryminalnej niema podstawy. Wreszcie łączenie powyższych słów Fredry z osobą cesarza mogło powstać tylko w ciasnych głowach niektórych świadków i jest dla sędziego wprost niedopuszczalne, skoro wiarygodni świadkowie w sposób niewątpliwy potwierdzili, że Fredro zakończył przemówienie swoje okrzykiem na cześć cesarza. Zresztą, gdyby nawet nie było takich świadectw, to do podsuwania Fredrze zamiaru uchybienia cesarzowi nie uprawnia nikogo cała jego przeszłość, jako obywatela zawsze umiarkowanego

i poważnego, a zarazem jako rozgłośnego pisarza, którego pisma nigdy nie weszły w kolizyę z ostrymi przepisami cenzury rządowej.

Ale w tem stadzie kruków kryminalno-sądowych, wtórujących Summerowi, radca Styczyński był jedynym białym wyjątkiem. Głos jego przebrzmiał bez echa, bo zaraz pod jego wywodem inny wotant, Sellyey, zapisał swoje zdanie, w którem właśnie na okrzyk Fredry na cześć cesarza kładzie nacisk, jako na okoliczność, wzmacniającą kryminalny charakter sprawy. Fredro bowiem wiedział to dobrze, że przemawia jako dziedzic do swoich poddanych, którym otwarcie nie mógł wyjawić swoich zamysłów zbrodniczych. Okrzyk ten tedy uważać należy za płaszczyk, pokrywający zły zamiar, za upiększenie zbrodniczej treści przemówienia, jakie tylko wróg rządu mógł wygłosić.

Kiedy jeszcze radca Summer zajęty był przygotowywaniem swojego referatu i wniosku na sesyę, Fredro zwrócił się do namiestnika (hr. Gołuchowskiego) z prośbą o wydanie paszportu na kilkumiesięczny wyjazd do Francyi i Włoch dla poratowania zdrowia. Znowu tedy hr. Gołuchowski zapytał prezydenta sądu kryminalnego, w jakiem stadyum znajduje się sprawa Fredry i czy można mu wydać paszport. Uchwaliwszy 3 grudnia aresztowanie Fredry, sąd zaraz nazajutrz zawiadomił hr. Gołuchowskiego o swojej uchwale i oczywiście stanowczo sprzeciwił się wydaniu paszportu. Widocznie Fredro został natychmiast ostrzeżony, a zapewne i co do dalszych kroków poinformowany przez hr. Gołuchowskiego, gdyż zanim jeszcze sąd zdołał wykonać uchwałę o aresztowaniu, Fredro 5 grudnia 1853 sam zgłosił się do radcy Summera i zażądał, aby z nim spisano protokół. W protokole Fredro, wyraziwszy zdumienie swoje, że w ogóle mogła zapaść uchwała tak surowo kwalifikująca jego błahe przemówienie w Rudkach, wniósł formalnie rekurs przeciw tej uchwale do sądu apelacyjnego, a zarazem przedstawienie przeciw wykonaniu uchwały o aresztowaniu przed decyzyą apelacyjną. Przedstawienie to poparł Fredro tem, że w obecnym stanie zdrowia, wymagającego ciągłej opieki domowej, więzienie byłoby dlań wprost zabójczem. Solennie przytem przyrzekł, że aż do zakończenia swojego procesu nie wydali się ze Lwowa bez pozwolenia sądu, a kaucyę na to stanowią: kamienica, we Lwowie posiadana i majątek ziemski.

Po spisaniu tego protokołu zaraz zwołana została sesya sądu kryminalnego i teraz zaczął się szereg niespodzianek. Radca Summer wystąpił z wnioskiem, aby aż do załatwienia rekursu Fredry zanie-

chano aresztowania. Dwaj wotanci przedstawiali, że wobec zakwalifikowania o zdradę stanu pozostawienie obwinionego na wolnej stopie jest prawnie niedopuszczalne, ale Summer i na to znalazł odpowiedź, mianowicie tę, że kwalifikacya kryminalna Fredry nie stała się jeszcze prawomocną i może być przez sąd apelacyjny zniesiona. Ten ostatni argument został tak sformułowany, że wyglądał jakby zapowiedź pewnego zniesienia poprzedniej uchwały. Większą niespodzianką, niż to zachowanie się Summera, było postępowanie prezydenta, barona Pohlberga. Przewodniczył on na poprzedniej sesyi, do rozprawy się nie wmieszał, ograniczając się tylko do biurokratyczno-stylistycznej korektury referatu Summerowskiego, a teraz nietylko oświadczył się za uwzględnieniem prośby Fredry, lecz nadto motywa swoje rozwinął na akcie w obszernym wywodzie, w którym z jurydyczną precyzyą wykazuje, że Fredro nie może być obwiniony o zdradę stanu, lecz w najgorszym razie tylko o zbrodnię zakłócenia spokojności publicznej za słowa o dyable w stosowanym kapeluszu i dalsze wyrażenia, z których wysnuć można zamiar wzbudzenia niechęci słuchaczy do rządu i jego organów. Co najciekawsze, to końcowy ustęp wywodu, zapowiadający już bez ogródek, że sąd apelacyjny uchyli poprzednią, przez Fredrę zarekurowaną uchwałę. Czy teraz dopiero prezydent Pohlberg przestudyował wszystkie akta sprawy i poszedł za *votum separatum* Styczyńskiego, czy z sądu apelacyjnego lub skądinąd spłynęło nań jurydyczne i prorocze natchnienie co do rekursu Fredry?

Wszystkie akta, które tymczasem rozrosły się do bajecznych rozmiarów, poszły z rekursem Fredry do lwowskiego sądu apelacyjnego. Dnia 8 marca 1854 zapadła tam decyzya, która dopełnia miary niespodzianek. Orzekł bowiem sąd apelacyjny i to bez przytoczenia osobnych motywów prawnych, że nietylko rekurs Fredry zostaje uwzględniony co do kwalifikacyi kryminalnej o zbrodnię zdrady stanu, lecz nadto dalsze dochodzenie karne o zbrodnię zakłócenia spokojności publicznej ma być zaniechane »z powodu zaszłego przedawnienia«. Do wniosku, że zaszło przedawnienie, sąd apelacyjny nie mógł dojść inaczej, jak tylko w ten sposób, że przyjął za podstawę najniższy co do ewentualnej kary więzienia stopień przewinienia; w obliczeniu czasu był wspaniałomyślnie liberalnym.

Dla Fredry decyzya ta stanowiła *post nubila Phoebus*, ale dla tego, kto dziś przeczyta uważnie wszystkie akta jego sprawy kryminalnej o zdradę stanu, zwłaszcza dla prawnika, powstają dopiero po

decyzyi apelacyjnej *nubila,* których nie rozjaśni żaden *Phoebus* paragrafowy. Narzuca się bowiem pytanie, dlaczego Fredro był niemal dwa lata nękany przesłuchiwaniami, dręczony nawet wśród choroby trudnościami paszportowemi i gnębiony zawieszoną nad nim grozą długiego więzienia, skoro radca Filous, wcale nie słynący z pobłażliwego traktowania przestępstw politycznych, odrazu postawił był sprawę na tem stanowisku, na jakiem ona stanęła dopiero niemal w dwa lata później w decyzyi sądu apelacyjnego co do zdrady stanu bezwarunkowo, a co do zbrodni zakłócenia spokojności publicznej — pod osłoną przedawnienia. Jeżeli na pytanie to chcemy otrzymać odpowiedź przekonywającą, to trzeba przedewszystkiem nie szukać jej ani w prawie karnem, ani w procedurze karnej, lecz w ówczesnej sytuacyi politycznej, do czego przygotowaliśmy czytelnika już w toku opowiadania kilku mimochodem rzuconemi uwagami.

Z samej natury rzeczy judykatura w zakresie przestępstwa politycznego charakteru podlega nie tylko panującym systemom rządowym, lecz i przemagającym w danej chwili prądom politycznym, tak iż dziś, a więc po upływie przeszło połowy wieku od opowiedzianych tutaj wypadków, w tak dumnych ze swojego sądownictwa Prusach pod panowaniem hakaty — *il n'y a pas de juges à Berlin* nawet wobec dzieci odmawiających pacierz po polsku i matek uczących pacierza po polsku! Cóż dopiero mówić o Austryi po r. 1848, opanowanej całe lata przez dyktaturę wojskową, która mściwą represyą postanowiła wyplenić z korzeniem wszystkie pozostałe chwasty posiewu rewolucyjnego i raz na zawsze odstraszyć wszystkich od powtórzenia prób podobnych! Wiedeń i Lwów, a pośrednio cała Galicya stanowiły główne pole popisowe dla tej akcyi represyjnej.

Było to prawdziwem, długo zapoznawanem, a przynajmniej niedość ocenionem dobrodziejstwem dla Galicyi, że inaugurowany w Wiedniu system represyjny nie miał u steru rządu krajowego w Galicyi tak powolnego narzędzia, jakiem przed r. 1846 był prezydent br. Krieg. Na czele tego rządu stał bowiem Agenor hr. Gołuchowski, który wytrwał w tych niewymownie ciężkich czasach w służbie rządowej — nie jako Wallenrod biurokratyczny z zamiarem sprzeniewierzenia się swoim obowiązkom, lecz jako gorliwy urzędnik państwa, ale przytem także jako obywatel kraju, zasłaniający go wszędzie, gdzie bez potrzeby, lub nawet wbrew rozumnie pojmowanemu interesowi państwa, godził weń zaślepiony system represyjny. Niezmiernie tru-

dnem było to zadanie w pierwszej chwili. Trzeba było wszystko stawiać na kartę i ofiarowaniem dymisyi niejako wymuszać dopiero zaniechanie takich brutalnych aktów bezprawia, jakimi były w roku 1849 cichaczem dokonane aresztowanie Józefa hr. Załuskiego oraz zamierzone wywiezienie Franciszka Smolki [1]).

Na szczęście Fredry sprawa jego stanęła na porządku dziennym w sądzie kryminalnym dopiero w chwili, gdy siła odporna namiestnika hr. Gołuchowskiego wzrosła znakomicie, dzięki zaufaniu zdobytemu u młodziutkiego wówczas cesarza Franciszka Józefa I i poparciu, uzyskanemu w poważnych kołach obywatelstwa krajowego, które w czasie pierwszego pobytu monarchy w Galicyi adresami swoimi wyraziło wdzięczność za postawienie tak dzielnego obywatela i administratora na czele rządu krajowego. W programie hr. Gołuchowskiego na pierwszym planie była dążność do wytworzenia stosunku wzajemnego, lojalnego zaufania między monarchą a szlachtą. Było to widoczne dla całego świata urzędniczego. To też tę misyę pacyfikacyjną namiestnika miało niezawodnie gremium lwowskiego sądu kryminalnego na uwadze przy powzięciu pierwszej uchwały w sprawie Fredry, przy formalnem ubiciu tej sprawy. Chodziło przecież o osobistość, której powaga w całem ówczesnem obywatelstwie ciężko ważyła na szali. Że gremium to potem odstąpiło od pierwotnej uchwały pomimo braku nowego materyału do oskarżenia, to było następstwem tego terorystycznego nacisku, jaki na ówczesnych sędziów-biurokratów wywarła, bo wywrzeć musiała, kategoryczna, pośrednio nakazowi kondemnaty równająca się interwencya wszechwładnej centralnej władzy policyjnej i powolnego dla niej ministerstwa sprawiedliwości. Po procesie Goslara i wobec niezamkniętych jeszcze konsekwencyi tego procesu mogło się takim sędziom chwilowo wydawać, że wróciły czasy z przed r. 1846, kiedy to za dyrektywę w procesach polityczno-kryminalnych uchodziła dążność do naciągania wszystkich szczegółów na najwyższą skalę kryminalnej kwalifikacyi, a więc przedewszystkiem do upatrywania wszędzie zbrodniczych intencyi wobec państwa. Że potem znowu zachwiało się w zdaniu swem gremium sądowe, a jego

---

[1]) Bliższe autentyczne szczegóły co do tych dwóch spraw i w ogóle całej walki Agenora hr. Gołuchowskiego z ówczesnym systemem represyjnym podałem w monografii: »Agenor hr. Gołuchowski« (w rozdziale III). *(Przypisek autora).*

przewodniczący wprost wykonał odwrót do połowy drogi na pierwotne stanowisko, że następnie sąd apelacyjny, wobec sądu kryminalnego wyższy nietylko jako instancya, lecz także w ówczesnym składzie swoim miarą inteligencyi jurydycznej i politycznej, dokonał rozpoczętego odwrotu aż na stanowisko *benignissimae interpretationis* prawa karnego co do kwalifikacyi istoty czynu i przedawnienia, w tem niepodobna nie dojrzeć, jeżeli nie wpływu kategorycznego, to inspiracyi z tej strony, z której w tej dobie wychodziły wszystkie skuteczne usiłowania około paraliżowania ciosów, przez zaślepiony system represyjny na kraj wymierzanych. Fredro w każdym razie nie byłby poszedł do więzienia, gdyż w r. 1854 Gołuchowski posiadał u cesarza wpływ już tak znaczny, że byłby się utrzymał z wnioskiem ułaskawienia. Ale w danej chwili ułaskawienie Fredry, chociaż na pozór równe uwolnieniu od oskarżenia, nie byłoby zrównoważyło szkody, wynikłej dla interesu politycznego z wrażenia formalnej kondemnaty. To też opowiedziana tutaj, w nieznanym dotąd, całym przebiegu, sprawa kryminalna Aleksandra hr. Fredry stanowi szczegół ciekawy nietylko dla jego biografa, lecz także dla historyka tej doby, jako jeden z ilustracyjnych rysów ówczesnego położenia.

Spis osób.

Adamowicz 420, 421.
Albrecht arcyksiążę 216.
Aleksander I 20, 21.
Apponyi (Antoni) hr. 350, 351, 353.
Bach Aleksander 182—185, 187—189.
Badeni Kazimierz 35, 53.
Badeni Władysław 36.
Bąkowski Jan hr. 10.
Banhölzel Karol 208, 327.
Bartmański (Walenty) 401.
Batowski Aleksander 36.
Batowski Jan 10.
Bayer (radca sekcyjny) 184, 185.
Bechtold (Filip) br. 270, 277—280.
Beidtel Ignacy dr. 117, 121.
Bełdowski 139.
Benedek (Ludwik) 211, 213—220, 223—227, 232, 235, 236, 247, 256, 265, 340, 355, 380, 389.
Bernd (Karol) 191, 220, 223, 250, 251, 294, 336, 357.
Berson 376.
Bibikow (Dymitr) 353.
Błocki Erazm 335, 347.
Bobiński Franciszek 132.
Bochdan Stanisław 173.
Bochyński (Karol) 280.
Bogusz Henryk 252.
Bogusz Nikodem 294, 298.
Boguszowa Józefa (Nikodemowa) 298.
Boguszowie 234, 253, 298, 355.
Bolberitz J. 104.
Borkowski Alojzy 35.
Borkowski Włodzimierz 36.
Bratkowski Józef 8.
Breinl von Wallerstern Józef 151, 191, 205, 213, 214, 224—229, 232—237, 239—242, 247—251, 253—256, 261—266, 269, 279, 288, 290—301, 304, 336, 349, 355—357, 359, 376, 377, 379—382.
Breinlowa (Józefowa) 235, 236.
Brigido (Józef) hr. 5, 7, 13, 122, 136.
Broniewski (szynkarz w Sierakowie) 344.
Bubna (Józef hr.) 117.
Cetner Aleksander hr. 173.
Cetner Ignacy hr. 8.
Cichopicki (Józef) 285.
Chmielewski Robert 132, 133.
Chymiak Michał Mikołków 413, 418.
Cięglewicz Kasper 132.
Collin (Ludwik) 210, 226, 232, 294, 389.
Csollich (Albert) 210, 226, 234.
Czaderski (Franciszek) 115.
Czartoryski Adam ks. (generał ziem podolskich) 3.

Czartoryski Adam (Jerzy) ks. 358, 370.
Czaykowski Jan 69, 74, 76.
Czetsch-Lindenwald (Karol) 330.
Dąbczański (Antoni) 115.
Dąmbski Dominik 53.
Dębowski Edward 351, 354.
Dobrzański Jan 414.
Drdacki, ob. Ostrow.
Dunajewski Albin ks. 101.
Dwernicki (Józef) 129.
Dydyńska z br. Przychockich Elżbieta (Eliza) 343, 345.
Dzieduszycki Henryk hr. 39.
Dzieduszycki Maurycy hr. 72, 96.
Dzieduszycki Stanisław Aleksander hr. 53.
Dzieduszycki Tytus hr. 73, 76.
Dzwonkowski Leon 283.
Eminger (Józef Wilhelm dr.) 164, 166, 184.
Enzendorfer (Karol) 338.
Fejérváry (Józef) 272, 280.
Feldhofer (Antoni) 5, 6.
Fencher Mendel 376.
Ferdynand I 37, 50, 58, 74, 82, 93, 124, 191, 194, 201, 230, 231, 288, 291, 373.
Ferdynand Karol d'Este 36, 51, 54, 65, 130, 140, 141, 165, 191, 201, 211, 212, 220, 226, 230—233, 235, 244—246, 258, 269, 281, 292, 304, 310, 337, 356—358, 379, 381, 382.
Ficquelmont (Karol Ludwik) hr. 197.
Filous (Wincenty) 407—412, 414, 415, 429.
Flottwell (Edward Henryk) 200.
Franciszek I 15, 16, 18, 19, 22, 24, 25, 27, 30, 31, 104, 117, 124, 157, 160, 161, 193, 194, 270, 344.
Franciszek Józef I 216, 231, 349, 430.
Franciszek Karol arcyksiążę 195.
Fredro Aleksander hr. 36, 39, 53, 65, 69, 71—73, 81, 96, 210, 329, 333, 398—405, 408—431.
Fredro Jan Aleksander hr. 401, 405, 416.
Fürst (szwoleżer) 221, 223.
Gedl (Franciszek) 343—345.
Goess (Piotr) hr. 20—26.
Gołuchowski Agenor hr. 36, 39, 42, 64, 72, 73, 80, 96, 97, 103, 154—156, 166, 172, 173, 183, 184, 187, 188, 202, 251, 335, 340, 409, 416, 427, 429—431.
Górscy Seweryn i Wiktor 391, 392.
Goslar Julian 410, 430.
Greschke (Karol) 221.
Grohmann (Franciszek) 275, 285, 344.
Guizot (Franciszek) 353.
Hammerstein (Wilhelm) br. 404.
Hauer (Franciszek) br. 25, 201.
Haynau (Juliusz br.) 215.
Helcel Zygmunt Antoni 411.
Herzberg 295.
Hohn (Józef) 294.
Hoffmann (strażnik skarbowy) 276.
Hoffmann (Józef) 221, 222.
Hosch Ferdynand 205, 207, 265, 266, 268—270, 287—295, 297—300.
Hossakowski 297.
Hryniewiecki Jan ks. 401.
Inzaghi (Karol) hr. 168, 191, 200, 201, 205, 268, 339, 371, 391.
Jabłonowski Karol ks. 53, 54, 58, 59, 96, 173.
Jabłonowski Ludwik hr. 53, 72.
Jabłonowski Stanisław ks. 10.
Janiszewski (Józef) 223.
Janko Henryk 401.
Janowicz (Leonidas) 424.
Jaruntowski Jan 173.
Jaworski (dzierżawca) 344, 345.
Jordanowa z Kochanowskich Zofia 381.
Józef II 2, 3, 8—10, 26, 27, 31, 133, 157, 170, 192, 198.
Kalchberg (Józef) 184, 185.
Kamienobrodzki (Makary) 100.
Kapuściński Józef 105, 360, 391.
Kaunitz (Wacław Antoni) ks. 319.
Kempen (Jan) br. 410, 411.
Kicki (Ferdynand Onufry) ks. 6.

P. SMA BR. ŁOZIŃSKIEGO

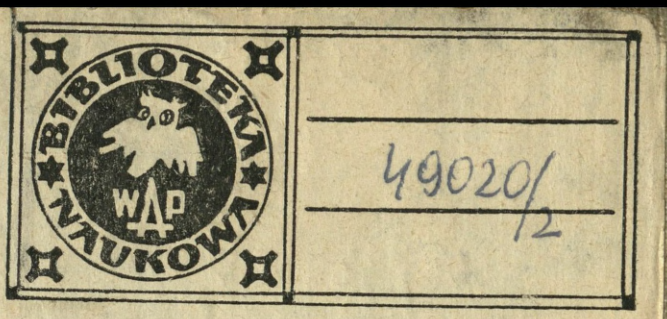
Klappholz Mojżesz 376.
Klosson (Aleksander) 335.
Kochanowski (Adam) 277.
Kolowrat Franciszek hr. 68, 195, 196, 198, 199, 205, 268, 287, 288, 291.
Kolowrat (Leopold) hr. 277.
Konopkowa br. 202.
Kotarska Karolowa 202, 340.
Kotarski Karol 296.
Kraiński Antoni 58.
Kraiński Maurycy 36, 41, 42, 47, 51, 53, 54, 64, 69, 72, 73, 75, 76, 155—157, 166, 170—174, 181—189.
Krasicki Aleksander hr. 96.
Krasicki Antoni hr. 8.
Krasicki Karol hr. 173.
Krasicki Kazimierz hr. 36, 42, 43, 47, 48, 50, 53, 55, 58, 173, 183, 184, 186.
Krauss Filip br. 366.
Krausz (wachmistrz) 222.
Krieg-Hochfelden Franciszek br. 35, 36, 51, 56—59, 65, 102, 117, 130, 131, 140, 165, 168—172, 184, 191, 201, 202, 211, 248, 264, 281, 304, 337—340, 346, 359, 391, 409, 429.
Krokoszyński Kajetan 401, 402, 404—408, 411, 413, 417, 418.
Krynicki 223, 225, 226.
Krzeczunowicz Kornel 36.
Kuciejewski (Konstanty) 221.
Kulczyński Ignacy 132.
Kulicki (Łukasz) 115.
Kuryłowicz (Bazyli) 115.
Kuziemski Michał ks. 97, 184, 185.
Langer 297, 298.
Larisch Karol br. 173.
Lażanzky [1]) Leopold hr. 201.
Lażanzky [1]) (Prokop) hr. 25.
Leopold II 10, 12—15, 18, 32.
Lewicki z Bonowa Józef 49.
Lewicki (Michał) ks. 38.
Lewicki Samuel 8.
Litwinowicz (Spirydion) ks. 184, 185.
Lobkowitz August Longin ks. (jako komisarz obwodowy) 161.
Lobkowitz August Longin ks. (jako gubernator Galicyi) 82, 129, 161, 181, 198.
Lubieniecka (Aleksandrowa) 285, 286.
Lubieniecki (Aleksander) 285, 286.
Lubomirski Jerzy ks. 74.
Ludwik (Józef Antoni) arcyksiążę 68, 195, 196, 205, 265, 268, 288, 291—295, 298—300.
Luxemberg 297.
Maciulski 403.
Małecki Antoni 411.
Malinowski Michał ks. 97.
Malinowski Stanisław 132.
Markl (Kasper) 394.
Marya Teresa 2, 30, 100.
Metternich (Klemens ks.) 67, 68, 104, 191, 194—199, 218, 228, 268, 292, 348—355, 358, 386.
Micewski Edward 341.
Michalski 391—393.
Mierosławski (Ludwik) 351.
Milbacher (Kazimierz) 335, 336, 338, 340, 347, 382.
Minutoli (Juliusz) br. 200, 353.
Mirkowicz (generał) 353.
Moltke (Karol) br. 270, 278.
Montecuccoli Wojciech hr. 66—69, 71, 75—78, 83, 85.
Morgenstern (Stanisław) ks. 240.
Moszczeński (Franciszek) hr. 296, 297.
Müller (landsdragon) 278.
Mysłowski Antoni 173.
Napoleon I 20, 21, 24, 125.
Neusser (Karol) 341, 342.
Niezabitowski Franciszek 36, 37.
Nowakowski (Józef) ks. 284.
Ossoliński Józef Maxymilian hr. 10.
Ostrow (Drdacki) Maurycy 263—265.
Palmerston (Henry John) 348, 349.
Paniutin (generał) 389.

[1]) W tekscie błędnie Lazansky.

Paskiewicz (Jan) ks. 353.
Pauli Żegota 101, 106, 114.
Pawlikowscy (mieszczanie w Rudkach) 413.
Pawlikowski Gwalbert 96.
Pawlikowski Jan (mieszczanin w Rudkach) 418, 419.
Pillersdorff (Franciszek br.) 75, 76.
Piotrowski (Stanisław) dr. 297.
Podlewski Waleryan 36.
Pohlberg (Karol) br. 416, 428.
Pol Wincenty 410, 411.
Polkowski 296.
Potocki Alfred hr. 53.
Potocki Mikołaj hr. 10.
Pressen (Józef) 115, 409.
Prokopczyc (poseł) 184, 185.
Przychoccy br. 343, 344.
Przychocka Eliza br., ob. Dydyńska.
Przychocka Walerya br. 345.
Przychocki Aleksander br. 343—345.
Przychocki Franciszek br. 343—345.
Przychocki Teodor br. 345.
Radetzky (Józef hr.) 215, 348.
Rewakowicz Narcyz ks. 406—408.
Romaszkan Piotr br. 173.
Romer Eustachy hr. 299.
Rylski Eustachy 105—108, 110, 111, 114.
Rzewuski Leon hr. 173.
Sacher-Masoch Leopold 100, 102, 103, 229—231, 233, 264, 265, 304, 409.
Sala Maurycy br. 57, 213, 229—235, 237, 239—240, 247, 248, 251, 258, 259, 263—265, 290, 292, 293, 304, 331, 334, 342, 345—347, 357, 358, 373, 378, 384, 386, 391, 395, 396.
Salomon Izrael 376.
Sanguszko Władysław ks. 53.
Sapieha Leon ks. 35—37, 39, 53, 58, 73, 76, 96, 173, 341.
Schaefer Kajetan 327, 328, 330.
Schiffer Maciej 296, 297.
Schmerling (Antoni) 80.
Scholten (Emil) br. 270, 278, 279.
Schumann (Juliusz) 339.
Schwarzenberg Feliks ks. 348, 349.
Sedlnitzky (Józef) hr. 168, 191, 199, 200, 268, 341, 353, 361.
Sellyey (Wiktor) 100, 410, 427.
Sembratowicz (Bazyli) 115.
Serwatowski (Waleryan) ks. 243, 295, 296, 299.
Settmayer 110.
Siemieński Lucyan 101.
Singer Floryan 69, 74.
Skarbek Stanisław hr. 49.
Skrzyński Ludwik 36.
Skrzyński Władysław 173.
Smagłowski Nowina Wincenty 296.
Smarzewski Seweryn 90, 91.
Smolka Franciszek dr. 68, 71, 361, 430.
Stadion Franciszek hr. 1, 65, 68, 69, 71—73, 75, 82, 83, 85, 86, 89, 90, 92—97, 141, 144, 147—151, 153, 172, 173, 181, 210, 291, 329, 330, 359—361, 371—373, 399, 400.
Stadion Rudolf hr. 65, 69, 139, 141—148, 154, 166, 167, 169—173, 210, 291, 328, 329, 333, 359, 368, 378, 399, 403.
Stadnicka hr. 277.
Stadnicki Aleksander hr. 53.
Stadnicki Edward hr. 53.
Stadnicki Kazimierz hr. 80, 81, 96.
Stadnicki Leon hr. 53.
Stankiewicz 223.
Starzeński Leopold hr. 53.
Stelmach Józef 240, 241.
Stifft (Andrzej Józef) br. 16.
Streitt (Jan) 115.
Stroynowski (Ignacy) 184, 185.
Strzelbicki (Ignacy) 391.
Stuwer (Jan Jerzy) 7.
Styczyński (Piotr) 426—428.
Suchecki Henryk 101, 106, 114.
Summer Jan 415—419, 421—428.
Święs 274, 275.
Szajnocha Karol 100—118, 409.
Szajnocha Wacław 112.
Szaszkiewicz Grzegorz ks. 184, 185.
Szela Jakób 99, 163, 227—229, 232—234,

237, 251—254, 265, 290, 294, 295, 298, 299, 349, 354—356, 380, 381, 383, 391, 394, 395.
Szela Stanisław 391, 392, 394.
Szlagórski Franciszek 295.
Taaffe (Ludwik) hr. 371.
Tegetthoff Wacław Franciszek 341.
Terenkoczy (Józef) 36.
Thurn (Ludwik) hr. 270, 279.
Tinz (Józef) 115, 424.
Tobiaszek Fryderyk 163, 208.
Tomanek (Franciszek) 36.
Trzecieski Franciszek 210, 329, 377, 378.
Tustanowski Michał dr. 183, 184, 186.
Ubysz Józef 340.
Ugarte (Alojzy) hr. 25.
Vajda (Maurycy) 343—345.
Vitzthum (Adolf) 342—346, 372.
Wasilewski Tadeusz 35, 39, 41, 47—49, 59, 72, 162.
Wenger (Dezydery) 5, 6.
Widmann (Karol) 25—27.
Wieczorek (Maciej) ks. 344.
Wielhorski Michał 8.
Wielopolski Aleksander hr. 228, 349.
Wierzchlejski (Franciszek Ksawery) ks. 94.
Wiesiołowscy hr. 232, 233.
Wiesiołowski Franciszek hr. 56, 57.
Windischgrätz (Alfred) ks. 404.
Wiśniowski Teofil 100, 105, 132, 360, 391.
Wittmann Maurycy 100, 105—116, 132, 133, 331, 409, 424.
Wojtarowicz (Józef) ks. 235.
Wolański Franciszek 58.
Wolfarth (Filip) 248.
Wotawa (Franciszek) 338.
Woytowicz (Franciszek) 115.
Wurzinger (Józef) 221.
Wybranowski Roman 153.
Zabilski Piotr 10.
Zaliwski (Józef) 99.
Zaleski Wacław 36, 40, 239, 336, 339.
Załuski Józef hr. 430.
Zamoyski Andrzej hr. 8.
Żeleński Wit hr. 173.
Zgórski (Tomasz) 295.
Zielińska (Aniela) 277.
Zielonacki Józef 411.
Ziemiałkowski Floryan br. 68, 71, 361.

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit. im. F. Dzierżyńskiego



49020/2